

***JANE
FEATHER***

Fiołkowa tajemnica

Prolog

Pireneje, lipiec 1792

Niewielki orszak zmierzał w górę po krętej i wąskiej górskiej drodze. Pozostawiając za sobą francuską granicę, zmierzał w stronę hiszpańskiego miasta Roncesvalles, położonego w górach. Forysie chronili się przed żarem popołudniowego słońca, osłaniając głowy kapeluszami o szerokich rondach, w ciężkim, niezgrabnym powozie można się było udusić, każdy oddech wymagał wysiłku.

Dwie pasażerki opierały się o skórzane poduszki. Starsza - mimo strasznego upału - miała twarz zakrytą woalem, a na dłoniach rękawiczki. Wachlowała się nieustannie i pojękiwała cicho, od czasu do czasu ocierając usta perfumowaną chusteczką. Jej towarzyszka zaszyła się w kącie powozu. Plecy miała spocone, ciemna taftowa suknia lepiała się do skórzanych poduszek. Kapelusz leżał na siedzeniu obok, woal zasłaniający twarz dawno już odrzuciła. Była zarumieniona i rozpalona; kropelki potu zbierały się na jej czole i ściekały po nosie. Wilgotne włosy o barwie dojrzałej pszenicy oblepiały zgrabną, małą głowę, a fiołkowe oczy spoglądały sennie spod opadających powiek.

- Boże święty, czy ta podróż nigdy się nie skończy? - mamrotała starsza dama.

Młodsza nie odpowiedziała na to pytanie. Jej towarzyszka powtarzała je co kilka minut od chwili, gdy rankiem wsiadły do powozu. Dziewczyna spoglądała na swą damę do towarzystwa niemal z pogardą. Istotnie, było gorąco i niewygodnie, ale to właśnie panna Henderson sprzeciwiła się kategorycznie rozsunięciu skórzanych zasłon na oknach powozu, dlatego tkwiły tu jak w piecu... i to tylko ze względu na przyzwoitość... jakby

ktokolwiek, prócz stada kóz, mógł je zobaczyć na tej górskiej przełęczy! Cecile Penhallan nie czuła ani trochę współczucia dla swej przyzwoitki.

Gdyby panna Henderson miała trochę mniej sadła, pewnie by aż tak nie cierpiała! - rozważała, wyobrażając sobie wałki białego tłuszczu rozta-
piające się w tym skwarze jak masło na patelni.

Ta wizja nie podniosła jej na duchu. Znużona Cecile przymknęła oczy.

Odgłos wystrzału i nagłe zatrzymanie się powozu sprawiło, że dziewczyna usiadła prosto i rozsunęła zasłonę w oknie. Jej dama do towarzystwa zaczęła krzyczeć:

- To z pewnością rozbójnicy! Zostaniemy ograbione, napadnięte! Pozbawia nas cnoty! Och, droga panno Penhallan, co też powie na to pani brat?!

- E tam! Cedric i tak nie wierzy w moją cnotę - zauważyła Cecile, wyglądając przez okno. - Kto wie, może ma rację? - dodała z szelmowskim uśmiechem.

Oczy jej błyszczały, niedawna senność całkiem zniknęła. Zwróciła uwagę na jakiś władczy głos, który przebijał się przez bezładną paplaninę strwożonych forsyków i przekleństwa stangreta.

- Och, panno Penhallan, jak...

Cokolwiek jednak panna Henderson zamierzała oświadczyć, nigdy nie zostało to wypowiedziane, gdyż zdjeta nagłym omdleniem upadła na podłogę z chrzęstem sztywnej tafty.

Drzwiczki powozu otwarły się raptownie.

- Bardzo mi przykro, że sprawiam pani kłopot, seniorita, ale muszę prosić, by pani wysiadła - odezwał się ten sam władczy głos po angielsku, choć z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

Wyciągnięta do Cecile ręka była bez rękawiczki, na małym palcu błyszczał imponujący rubin.

Dziewczyna podała mężczyźnie ufnie swoją drobną i białą rączkę, także pozbawioną rękawiczki. Poczowała stwardnienia na dłoni zabijaki. Jego mocne, opalone palce zamknęły się najej dłoni, "wyciągnął dziewczynę na oślepiające światło słoneczne - wtedy zobaczyła ogorzałą twarz, ciemne drapieżne oczy, mocno zarysowane usta, długie czarne włosy, związane na karku wstążką...

- Kim pan jest?

- Nazywają mnie El Baron.

Złożył jej przesadny ukłon.

- Och - westchnęła Cecile.

To był prawdziwy rozbójnik! Taki, jakim matki straszą niegrzeczne dzieci. Władca górskich przełęczy pomiędzy Hiszpanią a Francją. I naj-

piękniejszy mężczyzna, jakiego siedemnastoletnia Cecile zdążyła poznać w życiu.

Wpatrując się w niego, tonąc w tych czarnych oczach, pojęła, że na to właśnie czekała od chwili, gdy poczuła pierwsze zdumiewające porwy swojego ciała i dostrzegła przejawy niepokojącej energii, która kazała jej stawić czoło bratu... Jej arogancka, buntownicza natura była przyczyną obecnego zesłania.

Baron przyglądał się jej równie uważnie. W jego oczach pojawił się błysk, który szybko przerodził się w gorejący płomień. Cecile wiedziała, że w jej oczach płomień ten znalazł wierne odbicie. Przynęła się bliżej nieznanego, jakby przyciągana niewidzialną nicią. Nie dostrzegała tego, co działo się wokół nich: niespokojnych koni i przerażonych forysiów otoczonych przez bandę rozbójników. Z jaką swobodą siedzieli na swych wierzchowcach, z ładownicami na ramieniu i strzelbami niedbale opartymi o łęk siodła! Nie miotali grózb, ale nie było to wcale potrzebne: sama ich obecność wystarczająco zatrząsała!

- Chodź! - powiedział El Baron z niezachwianą pewnością i dziewczyna go usłucha.

Obejmując Cecily w pasie, podsadził ją na grzbiet potężnego kasztana i sam usadowił się za nią.

- Oprzyj się o mnie - powiedział. - Nie masz się czego bać, *querida*.*.

- Wiem - odparła Cecile i oparła się o jego szeroką pierś. - Dokąd mnie zabierzesz?

- Do domu.

Dziewczyna obejrzała się za siebie, gdy koń ruszył, stąpając pewnie po wąskiej, stromej ścieżce. Marianne ocknęła się z omdlenia i wychyliła przez okno; machając rozpaczliwie ręką w mitence dawała jakieś znaki swej znikającej podopiecznej. Zza woalu zakrywającego twarz docierał zdławiony bełkot.

Cecile roześmiała się.

- Biedna Marianne!

Uniosła dłoń w beztróskim pożegnalnym geście.

Od tej chwili ani Marianne Henderson, ani nikt inny z dawnych znajomych nie ujrzał już nigdy Cecile Penhallan.

Banda rozbójników odstąpiła od powozu i ruszyła lekkim kłusem. Szyderczo zasalutowali przerażonym forysiom i drżącej z trwogi Marianne

* *Querida* (hiszp.) - kochana, ukochana.

Henderson, a potem pospieżyli za swym przywódcą i jego branką, pozostawiając cnotę panny Henderson nienaruszoną... jak skórzana sakwa pełna pieniędzy, ukryta pod siedzeniem w powozie.

Nie był to zwykły napad rabunkowy, a jednak napastnicy zabrali ze sobą to, po co przybyli.

1

Portugalia, marzec 1812

Buty adiutanta stukały na drewnianych schodach, gdy spieszył do prywatnego gabinetu naczelnego wodza w jego kwaterze głównej w Elvas. Przed samymi drzwiami jednakże adiutant zwolnił, poprawił kołnierz, obciągnął kurtkę, przygładził włosy. Księżę nie znosił niechlujstwa i potrafił smagać ostrym językiem jak nikt.

- Wejść! - padł rozkaz w odpowiedzi na pukanie adiutanta.

Otworzył drzwi.

W dużym pokoju znajdowały się trzy osoby: pułkownik, major i sam naczelny wódz. Stali w pobliżu ognia, który rozpalono na kominku, by pokonać wilgoć i chłód. Padało od pięciu dni. Nieprzerwana ulewa zmieniła życie w piekło piechocie kopiącej rowy wokół oblężonego miasta Badajos, tuż przy hiszpańskiej granicy.

- Raporty wywiadowców, sir.

Adiutant położył na biurku plik papierów.

Wellington mruknął potakująco i odsunął się od kominka, żeby je przejrzeć. Zmarszczył z niesmakiem długi, kościsty nos. Spojrzał na dwóch oficerów stojących przy ogniu.

- Francuzi wzięli do niewoli La Violette.

- Kiedy się to stało?

Pułkownik, lord Julian St Simon, wyciągnął rękę po raport, który mu Wellington podał.

- Wczoraj. Ludzie Cornicheta otoczyli bandeję opryszków w pobliżu Olivenzy. Sądząc z tego raportu, trzymają La Violette na swoim posterunku tuż za miastem.

- Czy to wiarygodna informacja?

Pułkownik przebiegł wzrokiem dokument.

Wellington wzruszył ramionami i spojrzał pytająco na adiutanta.

- Ten agent to jeden z naszych najlepszych ludzi - odpowiedział adiutant. - Wiadomość jest z ostatniej chwili i dałbym głowę, że pewna.

- Do diaska! - mruknął Wellington. - Jeśli Francuzi mają dziewczynę w ręku, wszystko z niej wycisną. Zna każdziutką przełęcz stąd do Bayonne i wie wszystko o partyzantach!

- W takim razie musimy ją odbić - wycodził pułkownik takim tonem, jakby sprawa była przesądzona. Odłożył raport na stół. - Nie możemy pozwolić, by Jacques Crapaud zdobył informacje, jakimi my nie dysponujemy!

- Nie możemy - przytaknął Wellington, gładząc brodę. - Jeśli La Violette zdażyła się już podzielić z Francuzami tym, co wie, możemy mieć wielki kłopot... jeśli nie skłonimy jej, by także i nas oświeciła.

- Dlaczego Francuzi taką nazywają? - zainteresował się major. - Hiszpanie zresztą też mówią o niej „Violeta”.

- Wynika to chyba ze sposobu jej działania - odparł pułkownik St Simon. W jego głosie zabrzmiała ironiczna nutka. - A raczej z roli, jaką odgrywa, udając skromnie ukrywający się kwiatusek. Zawsze chowa się za plecami dużych oddziałów partyzanckich. Kiedy Francuzi koncentrują się na walce z nimi, lękliwy fiołeczek wraz ze swą bandą grasuje w najlepsze na tyłach, powodując prawdziwą katastrofę - i to tam, gdzie zabójcy najmniej się tego spodziewają!

- A przy okazji fiołeczek robi znakomite interesy - zauważył Wellington. - Powiada, że niczej nie obchodzą żadne armie, ani pojednej, ani po drugiej stronie... Jeśli zaś pomaga hiszpańskim partyzantom, każe sobie za to słono płacić.

- Krótko mówiąc, wyrachowana bestia - stwierdził z niesmakiem major.

- Właśnie! Ale podobno do Francuzów czuje jeszcze mniej sympatii niż do nas. W każdym razie nigdy dotąd, za żadną cenę nie chciała im pomagać.

- Aż do dziś. Może właśnie teraz dobili z nią targu - zauważył pułkownik.

Był to dobrze zbudowany mężczyzna o szerokich barach i potężnej klatce piersiowej. Zdumiewająco niebieskie oczy świeciły spod krzaczastych, rudozłotych brwi. Gęsta grzywa włosów miała tę samą barwę; nieposłuszny kosmyk opadał na czoło. Z całej postaci biła spokojna pewność siebie człowieka przyzwyczajonego od najmłodszych lat do wydawania

rozkazów, których nikt nie kwestionował. Futrzana pelerynka kawalerzysty narzucona była niedbale na szkarłatną kurtkę mundurową, potężna wygięta szabla wisiała u boku. W zamkniętym pomieszczeniu wydawał się jeszcze większy, jakby się tu nie mieścił.

- Słyszałem również, milordzie, że przydomek La Violette wiąże się z jej powierzchownością - ośmielił się wtrącić adiutant. - Podobno przypomina ten kwiat.

- Wielki Boże, człowieku! - Pogardliwy śmiech pułkownika zahuczał w obskurnym pokoju. - To bezlitosna morderczyni, rozbójniczka, która - jeśli jej to dogadza - świadczy partyzantom wątpliwe usługi za niebagatelną cenę!

Speszony adiutant zaszurał nogami, major jednak odezwał się żywo:

- Nie, nie, St Simon, ten człowiek ma rację! Ja także o tym słyszałem. To filigranowa istotka, która wygląda tak, jakby ją mógł zmieść silniejszy podmuch wiatru!

- W takim razie długo nie wytrzyma delikatnych perswazji majora Cornicheta - stwierdził Wellington. - To przebrzydły brutal, któremu przesłuchania jeńców sprawiają ogromną satysfakcję. Nie ma czasu do stracenia. Podejmiesz się tego zadania, Julianie?

- Z przyjemnością. To prawdziwa frajda zdmuchnąć Cornichetowi sprzed nosa jego zdobycze! - Pułkownik nie krył swego entuzjazmu. Gdy trzasnęła obcasami, ostrogi u jego wysokich butów zabrzęczały. - Warto też będzie ukrócić sztuczki tego nieśmiałego fiołeczka. Zbyt długo La Violette dokazywała, bogacąc się cudzym kosztem. - Na jego twarzy odmalował się niesmak. Julian St Simon szczerze pogardzał sępami dorabiającymi się na wojnie. - Zabiorę ze sobą dwudziestu ludzi.

- Czy to dość, by zaatakować francuski posterunek, St Simon? - zaniepokoił się major.

- O, nie zamierzam przypuścić otwartego ataku - odparł z szerokim uśmiechem pułkownik. - Zrobimy to po cichu, ukradkiem... Taka mała partyzancka sztuczka, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- A więc do dzieła, Julianie! - Wellington wyciągnął do niego rękę. - Przywieź nam ten kwiatusek, żebyśmy mogli porachować mu płatki!

- Dostarczę ją tu za pięć dni, sir!

Pułkownik opuścił pokój; dosłownie rozsadzała go energia.

Obietnica powrotu za pięć dni nie była cczą przechwałką i wódz naczelny dobrze o tym wiedział. Dwudziestoosmioletni lord Julian St Simon, który rozpoczął karierę wojskową przed dziesięciu laty, znany był

z nietypowych metod, jego misje zawsze kończyły się sukcesem. W kantine oficerskiej uchodziło za pewnik, że St Simon nigdy nie zawodzi, a jego ludzie poszliby za nim do piekła.

Francuski posterunek na obrzeżach miasta nie wyglądał zbyt efektownie: grupka drewnianych chat i namiotów w zagajniku tuż za murami Olivenzy. Krople deszczu padały rzęście z ołowianego nieba i skapywały z gałęzi drzew, przenikając przez płótno namiotów i wlewając się do wnętrza chat każdą szparą między deskami.

La Violette, dla swoich bliskich po prostu Tamsyn, córka Cecile Penhallan i El Barona, siedziała skulona na mokrej polepie w kącie jednej z chat. Za pomocą sznura, przymocowanego do plecionej skórzanej obroży, którą miała na szyi, uwiązano ją do haka na jednej ze ścian. Odsunęła się nieco, żeby uchylić się przed wodą nieustannie spływającą na jej plecy osłonięte jedynie męską koszulą.

Tamsyn była zziębnięta i głodna, przemoczona i zdrętwiała, ale jej oczy nadal spoglądały bystro, usiłowała też pochwycić coś z prowadzonej ścisłym głosem rozmowy, zagłuszanej w dodatku bębnieniem deszczu. Major Cornichet i dwaj towarzyszący mu oficerowie jedli przy stole ustawionym pośrodku chaty. Zapach doprawionej czosnkiem kiełbasy i dojrzałego sera sprawił, że Tamsyn jeszcze bardziej dokuczał głód. Dotarł do niej odgłos odkorkowanej butelki i niemal poczuła na języku cierpki smak wina z tych okolic, aż zaburczało jej w brzuchu.

Przetrzymano ją tu od dwóch dni. Wczesnym rankiem rzucili jej pół bochenka chleba. Wylądował obok niej w błocie, ale starła je i zjadła łąp-czywie chleb. Przechyliwszy głowę, mogła pochwycić w usta strumyczek wody ściekającej po desce. Przynajmniej nie groziła jej śmierć z pragnienia, choć musiała sama zadbać o jego zaspokojenie. Do tej pory cierpiała tylko na skutek niewygody i upokarzającego położenia.

Odrobina upokorzenia i niewygody to nic! Tamsyn dobrze pamiętała słowa ojca: „Hija*, musisz się nauczyć, co można wytrzymać i z czym nie wolno się pogodzić. O co warto walczyć do upadłego, a o co nie”.

Ale co będzie, gdy skończy się to łagodne traktowanie? Kiedy zabiorą się do niej na serio? Co prawda, mogłaby po prostu dać im to, czego chcieli... Może nawet zażądać za to zapłaty? Ale to była bitwa, którą należało stoczyć. Gdyby pomogła Francuzom, zdradziłaby partyzantów

* *Hija* (hiszp.) - córka.

i sprzeniewierzyłaby się pamięci ojca. A więc... kiedy zabiorą się do niej na dobre?

Jakby w odpowiedzi na jej milczące pytanie major Cornichet wstał i bez pośpiechu podszedł do niej. Popatrzył na nią z góry, gładząc wywoskowany wąs. Tamsyn odwzajemniła jego spojrzenie z takim spokojem, na jaki mogła się zdobyć.

- *Eh bien** - powiedział. - Teraz sobie pogadamy, jak sądzę.

- O czym? - spytała z głupia frant.

W ustach jej zaschło. Mimo zimna i wilgoci czuła, że jest rozpalona i rozgorączkowana. Córka El Barona nie była tchórzem, ale nie trzeba nim być, by lękać się tego, czemu miała teraz stawić czoło.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości - powiedział niemal uprzejmie.

- Możemy załatwić sprawę tak, że nie będzie bolało... ale możemy tego dokonać całkiem inaczej. Mnie wszystko jedno.

Tamsyn skrzyżowała ramiona, nonszalanckim ruchem oparła głowę o ścianę, nie zważając na spływającą po niej wodę, i przymknęła oczy.

Francuz szarpnął nagle sznurem przymocowanym do jej obroży i zmusił dziewczynę, by zerwała się na nogi. Ucisk na jej gardle wzmógł się, gdy Cornichet szarpnął raz jeszcze. Stała teraz na czubkach palców i z trudem chwyciła powietrze.

- Nie bądź głupia, Violette - syknął major. - W końcu i tak nam powiesz! Wszystko, czego chcemy się dowiedzieć, a nawet to, na czym wcale nam nie zależy, byle tylko uwolnić się od bólu. Dobrze o tym wiesz. My też to wiemy. Więc oszczędź nam czasu i fatygi!

Wiedziała, że nie wytrzyma. Nie do końca. Ale przez jakiś czas z pewnością mogła się opierać.

- Gdzie jest Longa?

Wypowiedziane cichym głosem pytanie wciąż dźwięczało w powietrzu, mimo monotonicznie bębniącego deszczu.

Longa przewodził partyzanckim oddziałom na północy. Jego działania sprawiały poważne kłopoty wojskom Napoleona. Nękał je błyskawicznymi atakami, uderzając ni stąd, ni zowąd na posuwające się z trudem kolumny i pustosząc okoliczne ziemie, co uniemożliwiało zdobycie żywności.

Tamsyn wiedziała, gdzie znajduje się Longa. Ale gdyby wieść o jej pojmaniu mogła dotrzeć do wodza partyzantów, zanim ona - Violette

* *Eh bien* (fr.) - no, dobrze.

- załamie się, Longa zdążyłby zniknąć. Oby wieść o jej uwięzieniu dotarła już do Pampeluny! Ludzie z jej bandy - ci, którzy nie polegli - rozpierzchni się... Wszyscy prócz Gabriela. A gdzie jest Gabriel? Gdzieś w tej cholernej dziurze... jeśli go nie zabili. Może nawet zdołał się uwolnić?... Nie sposób wyobrazić sobie, żeby takiego olbrzyma, krzepkiego jak dąb, można było skępować zwykłymi więzami! A jeśli Gabriel zdołał się oswobodzić, z pewnością odnajdzie ją.

Musi wytrwać do tego czasu!

Sznur trochę się rozluźnił i Tamsyn opadła na całe stopy. Poczowała rękę wroga na swojej koszuli. Zamiast zedrzeć z niej ubranie, Cornichet rozpiął koszulę powoli, ostrożnie.

Tamsyn zlodowaciała, gdy dostrzegła nóż w jego ręku. Fala mdłości podeszła jej do gardła. Czyżby Cornichet znał jej wstydlivy sekret? Wiedział, że odczuwa nieprzewyciężony strach na widok własnej krwi? Czarne płatki zaczęły wirować jej przed oczyma, usiłowała jednak zachować przytomność za wszelką cenę.

Jeden z towarzyszy Cornicheta podszedł do nich z uśmiechem. Stała się Tamsyn i ściągnął z niej koszulę, gdy ostatni guzik został rozpięty. Chwytał dziewczynę za przeguby i unieruchomił jej ramiona za plecami, tak że piersi zostały wypchnięte do przodu. Czuła, jak drżą. Szorstki sznur wpijał się w jej nadgarstki.

- Cóż by to była za szkoda! - mruknął Cornichet, obwodząc końcem noża wzgórek nagiej piersi. - Taka delikatna skóra! Kto by się spodziewał takich zalet u bandytki i złodziejki? - Czubek noża zakreślił krąg wokół sutka. - Nie zmuszaj mnie do tego - powiedział przymilnym tonem. - Zdradź mi, gdzie jest Longa!

Nie odpowiedziała, starając się nie myśleć o chacie oświetlonej migotliwym blaskiem świecy i nieustannym bębnieniu deszczu. Usiłowała nie zwracać uwagi na zimny dotyk noża przyciśniętego do jej piersi, tak że ostry koniec kłuł ją, choć jeszcze nie kaleczył.

- Powiesz mi, gdzie jest Longa - kontynuował major tym samym refleksyjnym tonem. - A potem opisziesz wszystkie przejścia przez góry Guadarrama, z których korzystasz ty i twoi przyjaciele.

Tamsyn nadal milczała. I nagle znów zawirowała na końcu sznura, gdy Francuz stojący za nią obróciła twarzą do ściany. Sznur został mocniej zaciśnięty, ona zaś uniosła się znów na palce. Było to jeszcze gorsze, o wiele gorsze, kiedy nie mogła widzieć noża. Ostrze sunęło wzdłuż kręgosłupa, ona zaś czekała na pierwsze skaleczenie. Widocznie miało to być powolne

obłupianie ze skóry: niezliczone drobne nacięcia, krew sącząca się kroplami, zanim popłynie strumieniem...

A potem Tamsyn poczuła dziwny zapach. W pierwszej chwili nie rozpoznała go, wszystkimi siłami usiłując opanować ogarniający ją strach. Ktoś za nią zakasłał, a jej oddech uwiązał w gardle. Dławiła ją ciasna obroża i lęk... Ale nie! To był dym. Gęsty czarny dym wydobywał się spod drzwi. Ostry, duszący dym!

Cornichet zaklął i odwrócił się raptownie w stronę drzwi. Jeden z jego pomocników znalazł się tam przed nim. Szarpnął, otworzył drzwi i upadł do tyłu, cofając się przed nacierającą nań czarną chmurą.

Rozległ się głos trąbki bojowej. Bezwstydnie głośne wezwanie. A potem rozpełtało się piekło. W dławiącym dymie Francuzi zmagali się z czarno odzianymi widmami, które pojawiły się nie wiedzieć skąd z bronią w ręku. Odgłosy wystrzałów przeplatały się z przekleństwami, okrzykami strachu, jękami bólu.

Tamsyn, stojąc na palcach, usiłowała odwrócić się od ściany, ale miała związane ręce i nie mogła się niczego przytrzymać. Nie wiedziała, *co* dzieje się w duszącej ciemności za jej plecami. Gorączkowo zastanawiała się, jak mogłaby ten zamęt wykorzystać. Czyżby Gabriel wywołał to zamieszanie?

A potem jakimś cudem pękł sznur, którym przywiązano ją do ściany, ona zaś upadła na kolana.

- Wstawaj! - powiedział ktoś po angielsku.

Ostrze noża przecięło więzy na jej nadgarstkach.

Nie tracąc czasu, Tamsyn zerwała się na równe nogi, dławiąc się czarnym dymem, który kłębił się wokół niej.

— Szybko! - zakomenderował ten sam głos.

Poczuła na plecach czyjaś rękę, która popchnęła ją do przodu.

W tonie jej wybawcy było coś apodyktycznego, ale w tych okolicznościach nie mogła protestować. Dym szczypał ją w oczy, oddychała z trudem. Uchyliła się przed popychającą ją dłonią i podniosła leżącą na ziemi białą koszulę. Wetknęła ręce w rękawy, a potem osłoniła przedramieniem usta i nos i zataczając się pobięła ku drzwiom, czując znów na plecach ponaglającą ją rękę.

Wszędzie wokół niej ludzie słaniali się na nogach, przeklinali, kasłali, przepychali się do drzwi. Na zewnątrz nie było lepiej. Kłęby gęstego dymu buchały w skapane deszczem niebo, ludzie miotali się bezładnie, chwytając swój dobytek, wykrzykując jakieś rozkazy.

Znów odezwał się głos trąbki. Hasło do odwrotu. Człowiek, który w dalszym ciągu popychał Tamsyn, wrzasnął:

- Szósty regiment do mnie!

Poczwała, że jej stopy nie dotykają już ziemi. Nieznajomy chwycił ją na rękę i biegł ze swym brzemieniem w błocie, deszczu i zamęcie, wymijając Francuzów w niebieskich mundurach.

Ludzie w ciemnych płaszczach pędzili w stronę polanki, na której dwadzieścia koni tupało i rżało, wywracając białkami oczu, gdy poczuły dym.

Pułkownik St Simon rzucił brankę na grzbiet swego wierzchowca i natychmiast sam wskoczył na siodło.

- Gabrielu! - krzyczała dziewczyna, zupełnie zdezorientowana. - Muszę odnaleźć Gabriela!

Zaskakując całkowicie pułkownika, ześlizgnęła się po końskim boku, łądując zręcznie na ziemi.

St Simon nie miał czasu na rozmyślenia. Zeskoczył z konia i na osłep rzucił się za swoją zdobyczą. Schwytał dziewczynę, nim zdążyła przebiec kilka metrów. Zaciśnął dłoń na jej nadgarstku.

- Niech to szlag! Dokąd cię niesie, do wszystkich diabłów?!

Tamsyn nie widziała go wyraźnie. Dostrzegła tylko w migotliwym mroku zarys potężnej postaci. Ton jego głosu znów ją zirykował, ale przypominawszy sobie, że zawdzięcza temu człowiekowi ocalenie, przełknęła ostrą odpowiedź i odezwała się dość spokojnie.

- Bardzo dziękuję za ocalenie mnie z tak niedogodnej sytuacji! Nie wiem, dlaczego pan to zrobił, ale jestem szczerze wdzięczna. Teraz jednak sama już sobie poradzę, a poza tym muszę odnaleźć Gabriela!

Usiłowała wyszarpnąć rękę z jego uścisku.

Niedogodna sytuacja, dobre sobie! Była półnaga, z obrozą na szyi, poddana powolnej torturze noża... I dziękowała mu tak, jakby wierzyła, że uratował ją z czystego altruizmu! W innych okolicznościach St Simon uznałby to za zabawne.

Gdzieś w obozie płomień strzelił wysoko w powietrze. Krzyki i wrzaski mieszały się z odgłosem wystrzałów z broni palnej. Julian słyszał, jak jeden z jego ludzi ponagla do odwrotu. Nie czas na słowne utarczki z La Violette! Zacieśnił jeszcze chwyt, gdy usiłowała wyrwać się za wszelką cenę.

- Mylisz się, panienko - oświadczył, rozpinając wolną ręką swój ciężki czarny płaszcz. — Jesteś teraz gościem wojsk Jego Królewskiej Mości-

ci na Półwyspie Iberyjskim. Mam nadzieję, że ta gościna przypadnie ci do gustu.

Jednym ruchem nadgarstka zarzucił swój płaszcz na drobną, wrywającą się postać. Potok przekleństw urwał się raptownie, gdy owinała ją szalenie płaszczem, a potem wziął znów na ręce, przyciskając głowę dziewczyny do swej piersi.

Tamsyn zdążyła dostrzec szkarłatną kurtkę mundurową i epolety pułkownika, zanim płaszcz ją zakrył, a jej nos zetnął się ze złotymi szamerunkami i błyszczącymi guzikami najego piersi. Położenie dziewczyny zmieniło się błyskawicznie po raz drugi w ciągu kilku zaledwie minut. Nie na lepsze, ponieważ znów znalazła się w mocy żołnierzy - nieważne jakich.

Jej wybawca, który okazał się także jej pogromcą, dosiadł znów konia, bez najmniejszego trudu - mimo swego brzemienia. Na polance rozległa się komenda. Niewielki oddział w czarnych płaszczach zawrócił konie i w ślad za swym dowódcą wtopił się w ciemność.

Tamsyn od razu zorientowała się, że walka z fałdami spowijającego ją okrycia nic by nie dała. Podtrzymujące ją ramię było jak żelazna obręcz uniemożliwiająca jej odsunięcie się od potężnej piersi w szkarłatnej kurtce. Zresztą unoszący ich koń galopował tak szybko, że wszelkie próby zeskokczenia w biegu byłyby samobójstwem.

Starła się więc odprężyć, podczas gdy jej umysł pracował jak szalony. Czegóż chcieli od niej Anglicy? Pewnie tego samego co Francuzi. Czy zniżą się do takich samych metod? W końcu to te same dzikie bestie, bez względu na to, jakie noszą mundury - niebieskie, czerwone, zielone, czarne... A złote szamerunki i epolety też niczego nie gwarantują!

Nawiedziły ją znów koszmarnie wspomnienia straszliwej nocy, gdy żołnierze wtargnęli do Pueblo de St Pedro. Znowu słyszała wrzaski, w nozdrzach czuła zapach krwi tak wyraźnie, jak wówczas, gdy oboje z Gabrielem, całkiem bezradni, obserwowali tę przerażającą rzeź... Gdzież się podział Gabriel?!

Na myśl o tym, że pozostał w ręku Francuzów, podczas gdy ją uwoził, Bóg wie dokąd, oficer angielskiej kawalerii, Tamsyn ogarnęła fala takiej wściekłości, że zblakło upiorne wspomnienie dawnej masakry. W nagłym przypływie desperackiej energii dziewczyna zaczęła się znów wrywać, usiłując odzyskać wolność.

Stalowe ramię objęło ją jeszcze mocniej, a ręka przycisnęła jej głowę do oficerskiego munduru z taką siłą, że Tamsyn zabrakło powietrza. To ją skutecznie uciszyło.

Leżała znów bez ruchu. Ta szaleńcza jazda musi się kiedyś skończyć, lepiej więc oszczędzać siły na przyszłość! Skupiła się na wszelkich możliwych fortelach, z których skorzysta, gdy poczuje wreszcie ziemię pod stopami. Jakiś tam nadęty, apodyktyczny angielski oficer z pewnością nie dorównywał ani sprytem, ani szybkością La Violette! Znała ten teren jak własną kieszeń i nieraz już wydostawała się z gorszych opresji!

Julian czuł energię emanującą z tego pozornie kruchego stworzonka, które przyciskał do siebie. Nawet gdy była spokojna i niby to uległa, nie wątpił, że jest pełna determinacji. La Violette stanowiła własne prawa, podobnie jak jej ojciec, El Baron. Nieraz też udowodniła, że potrafi przechrzyć obie armie. Julian nie przestał mieć się na baczności tylko dlatego, że w tej chwili to bandyckie nasienie wydawało się ujarzmione.

Kawalkada dotarła nad brzeg Guadiany i tu się zatrzymała. Żadnych odgłosów pościgu, jedynie woda szumiała w rzece. Nocne niebo było czarne jak smoła i po ciemku trudno byłoby określić, czy w tym miejscu można przepłynąć bezpiecznie na drugi brzeg.

- Sierżancie!
- Tak jest!

Jeden z jeźdźców w czarnych płaszczach odłączył się od reszty i podjechał do pułkownika.

- Zatrzymamy się tutaj do świtu, a potem poszukamy brodu. Może uda się znaleźć jakąś osłonę przed tym cholernym deszczem. Przepatrzcie tamten zagajnik!

Pułkownik wskazał szpicrutą samotną kępę drzew na równinie.

Sierżant wydał rozkaz i jeźdźcy odjechali galopem we wskazanym kierunku. Pułkownik podążył za nimi. Ze zmarszczonym czołem zastanawiał się, co ma uczynić ze swoją branką, kiedy zsiądą z konia.

W zagajniku znaleźli opuszczoną drewnianą chatę, na której pozostała jeszcze połowa dachu, oraz zrujnowaną stodołę. Żołnierze z szóstego regimentu przyzwyczajeni byli do biwakowania w znacznie gorszych warunkach. Przez cztery lata nieustannych prób wyparcia Francuzów z Hiszpanii i Portugalii, zarówno w letni skwar, jak w płuchy i mroźne zimy, Anglicy nawykli do wszelkich niewygód. Konie uwiązano pod drzewami. Zebrano też dość patyków i gałęzi, by rozniecić ogień pod osłoną ścian walącej się stodoły. Nawet wilgotne drewno można było zapalić, mając przy sobie suchą hubkę i krzesiwo.

Pułkownik zsiadł z konia, nie wypuszczając z objęć branki, która w tej chwili nie sprawiała żadnych kłopotów, i skierował się ku chacie.

- Jak się tu rozpali ogień, będzie ciepło i przytulnie jak u Pana Boga za piecem! - zapewniał sierżant, wchodząc za nimi do środka. - Każdy z chłopaków zabrał hubkę i krzesiwo na tę zabawę z żabojadami, a kubek gorącej herbaty wszystkim się przyda!

- Brzmi to bardzo zachęcająco, sierżancie - odparł pułkownik z lekким roztargnieniem. - Rozstawcie pikiety w zagajniku. Nie trzeba, żeby nasze ogniska zwabiły tu nieproszonych gości.

Spojrzał na postać, którą trzymał w ramionach. Gdy uścisk nieco zelżał, La Violette odwróciła głowę, dotąd ukrytą na jego piersi, i Julian ujrzał parę ciemnych oczu i twarz w kształcie serca. Dziewczyna przyglądała mu się równie uważnie, choć pozornie bez większego zainteresowania, co uspiłoby zapewne czujność kogoś mniej podejrzliwego niż pułkownik.

- I co teraz, panie oficerze?

Jej angielski był zupełnie poprawny, a cudzoziemski akcent ledwie dostrzegalny. Zdziwiło go to.

- Skąd tak dobrze znasz angielski?

- Moja matka była Angielką. Postawisz mnie na ziemi, pułkowniku?

- A jeśli tak, to czy dasz mi słowo, że nie uciekniesz?

- Zawierzysz słowu rozbójniczki, Angliku?

- A powinienem?

Zaśmiała się głośno.

- Przekonasz się niebawem!

Było coś nieprzyjemnego w jej szyderczym śmiechu. Jakaś niemal osobista niechęć. Najwidoczniej na chwilę zapomniała o tym, że znośne warunki podróży zależą od jego dobrej woli.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział sucho St Simon. - Będę się miał na baczności. - Rozejrzał się po niewielkim, pustym wnętrzu. - Mógłbym pewnie wykorzystać tę obrózkę, dar Cornicheta, i unieruchomić cię w ten sam sposób...

Tamsyn opanowała się w jednej chwili. Najwyraźniej nie był to ktoś, z kogo można bezkarnie drwić. Trzeba przyjąć inną taktykę!

- To nie będzie konieczne - odparła pospiesznie. Jej spojrzenie stało się łagodne i pojednawcze. - Proszę postawić mnie na ziemi, pułkowniku! Jak mogłabym uciec? Tyłu tu uzbrojonych mężczyzn!

Nieźła z niej aktoreczka! - pomyślał Julian.

Uśmiechnął się w duchu, niezbyt wesoło. Nie zmyliło go to spojrzenie zagubionej małej dziewczynki.

- Z przyjemnością postawię cię na ziemi - wycedził. - Ale muszę zastosować pewne środki ostrożności. Sierzancie, przynieście mi sznur!

Tamsyn przeklinała w duchu własną głupotę. Najwyraźniej nie doceeniła tej ozdoby kawalerii Wellingtona! Pozwoliła, by gniew wziął w niej górę, i zdradziła się z pogardą i nienawiścią do tego nadętego paniczyka ze złotymi szamerunkami. Ale okazało się, że pułkownik nie jest aż tak ślepy i głupi, jak sądziła!

Stała już na własnych nogach, nadal jednak spowita fałdami jego płaszcza.

- Proszę siadać, seniorita - zaproponował pułkownik głosem gładkim jakjedwab. - Co prawda podłogajest trochę wilgotna, ale, niestety, nie mogę ugościć pani tak, jakby należało.

Wziął z rąk sierżanta sznur, a ponieważ Tamsyn nie usiadła od razu, oparł ręce na jej ramionach i zmusił ją do tego.

Opór nie miał sensu. Tamsyn usadowiła się na podłodze i oparła o wilgotną ścianę. Pomyślała z rozpaczą, że wpadła z deszczu pod rynnę. Oczekiwała, że Anglik przywiąże sznurek do obroży, którą nadal miała na szyi, ale - ku jej uldze - schylił się i spętał jej tylko kostki u nóg, po czym przy-mocował drugi koniec sznura do pasa, na którym nosił szablę. Sznur był dość długi, by zapewnić mu swobodę ruchów w chacie. Mógł przy tym zapobiec każdej próbie ucieczki swojej branki. Nie było to jednak dla niej ani tak niewygodne, ani upokarzające jak obroża.

Mając nieskrępowane ręce, mogła sama wyplatać się z fałd jego płaszcza. .. A kto wie, czy w sprzyjających okolicznościach nie nadarzy się oka-
zja do rozwiązania nóg, gdyby udało jej się zmylić czujność pułkownika lub gdyby zapadł w sen? Uwolniła się też od znenawidzonej obróżki i od-rzuciła ją najdalej, jak mogła.

Pułkownik, widząc to, unióśł brwi, nic jednak nie powiedział i nie szu-
kał obroży. Widać wolał własne metody pilnowania jeńców. Tamsyn okryła się płaszczem, opadła na ziemię i czekała, co będzie dalej.

Niewielki ogień trzaskał już w zadaszonej części chaty. Sierżant za-wiesił nad nim kociołek z wodą. Oliwna lampka migotała, rzucając grote-
skowe cienie, gdy pułkownik rozpiął kurtkę mundurową, rozwiązał zdjęte z konia juki i szperał w nich. Tamsyn słyszała kroki i ściszone głosy dola-
tujące z zewnątrz, kiedy żołnierze rozlokowali się już w swoim prowizo-
rycznym obozowisku.

Ślinka napłynęła jej do ust, gdy przyglądała się, jak pułkownik wydo-
bywa bochen chleba i kawał pieczeni na zimno. Sierżant parzył herbatę, zalewając wrzątkiem cenne listki w kubku.

Ci Anglicy umieją zadbać o siebie, myślała Tamsyn, nawet w tak niesprzyjających okolicznościach!

Julian pożywał się z apetytem. Biorąc kubek z herbatą z rąk sierżanta, podziękował mu, a ten odszedł, by dołączyć do reszty żołnierzy biwakujących pod drzewami. Pułkownik z rozmysłem unikał wzroku swojej branki, popijając herbatę z wyraźnym zadowoleniem. Doszedł do wniosku, że La Violette powinna się nieco przegłodzić. Może to wpłynąć pozytywnie na jej zachowanie.

- Co powiedziałaś Cornichetowi? - spytał nagle.

Tamsyn wzruszyła ramionami i przymknęła oczy. Nie wiedzieć dlaczego, jej słynna wytrzymałość opuściła ją i teraz dziewczyna była bliska płaczu. Marzyła o herbacie jeszcze bardziej niż o jedzeniu. Prawdę mówiąc, gotowa by zabić dla kubka parującej, mocnej herbaty!

- Nic.

- Dopiero zaczęli cię przesłuchiwać, co?

Nie odpowiedziała.

- Czego chciał się dowiedzieć?

- Jakim prawem traktujesz mnie jak więźnia, panie oficerze? - odcięła się.

- Nie jestem wrogiem Anglików. Pomagam partyzantom, nie Francuzom!

- Pomagasz, jeśli ci się to opłaca! —Jego głos był ostry jak śmigłowiec bata. - Nie udawaj patriotki! Wszyscy wiemy, na czym zależy La Violette.

- Nie twój interes! - odpaliła z furją, zapominając o głodzie i zmęczeniu. - Nie wyrządziłam wam żadnej krzywdy. Nie wtrącam się w sprawy angielskiej armii. To wy depczecie mój kraj, udając zesłanych z nieba herośów! Zadowolone z siebie, nadęte...

- Pilnuj języka! - Pułkownik zerwał się na równe nogi. Oczy mu pałały. - Ten przeklęty półwysep przesiąkł krwią moich rodaków przez te koszmarnie, niekończące się cztery lata! Robimy to, czego nie zdołali uczynić twoi rodacy: usiłujemy wybawić was od Napoleona! Straciłem tu więcej przyjaciół, niż zdołam zliczyć! Polegli w obronie twego żałosnego kraju, więc nie waż się ich obrażać! Rozumiesz?!

Wznosił się nad nią groźnie, a Tamsyn starała się ukryć drżenie. Nagle pochylił się i wziął ją pod brodę, zwracając twarz dziewczyny ku migotliwej lampie.

- Rozumiesz?

Głos miał spokojny, ale w niebieskich oczach płonęła furia.

- Anglicy też mają w tym swój interes! - odparowała, zmuszając się do spojrzenia mu w twarz. - Wasz kraj by nie przetrwał, gdyby Napoleon

zdobył Hiszpanię i Portugalię i zamknął wszystkie porty dla waszych towarów, wtedy zdechlibyście z głodu!

Oboje wiedzieli, że to prawda. Zapadło milczenie. Pułkownik nadal dotykał twarzy Tamasyn, czuł ciepło jej skóry. Jej zaś przesłaniał całe pole widzenia. Nie dostrzegała już nic poza nim - ani nędznego otoczenia, ani rozpalonych ognisk.

Julian odkrył, że po raz pierwszy przygląda się dziewczynie uważnie, gdy jego słuszny gniew zagął pod wpływem jakże prawdziwej riposty.

Bardzo jasne włosy osłaniały jak czapeczka niewielką głowę. Oczy w kształcie migdałów, ocienione gęstymi rzęsami, były ciemnofiołkowe...

- Dobry Boże! Twoje podobieństwo do fiołka to nie czcze urojenie!
- skonstatował, przerywając ciszę pełną napięcia. - Ale to jakaś niezwykła, kolczasta odmiana fiołka, nieprawdaż?

Palce Juliana zacisnęły się mocniej na jej podbródki i przez chwilę jego usta znajdowały się tuż nad ustami La Violette. Czuła jego oddech na swych wargach. Wrażenie, że są tylko we dwoje w przestrzeni i czasie, jeszcze się nasiliło. Kiedy usta pułkownika dotknęły jej ust, Tamsyn wydało się to nieuchronne. Miała wrażenie, że ześlizguje się w ciepłą, piżmową ciemność. Czuła zapach jego mokrej od deszczu skóry, szorstkość jego zarostu na swoim policzku, sprężysty dotyk jego warg... I nagle chwila urzeczenia minęła. Uniosła rękę i uderzyła go w twarz.

- *Bastardol** - syknęła z nienawiścią. - Gwałcisz swe branki, angielski oficerku? Myślałam, że tylko wasi szeregowcy tak się zabawiają... ale widzę, że biorą przykład z wyższych rangą!

Głębia jej oburzenia i siła nienawiści, tkwiące w tych słowach, ogłuszyły go na chwilę. Wpatrywał się w dziewczynę, bezwiednie przyciskając ręką piekący policzek. Potem raptownie objął znów jej twarz rękoma i pocałował, tym razem jednak z brutalną siłą, która miażdżyła jej wargi, kalecząc je o zęby, i sprawiła, że Tamsyn uderzyła głową o ścianę.

Kiedy ją puścił, nawet się nie poruszyła. Twarz jej była bladym owalem w mroku, oczy przypominały ciemne jeziora.

- W przyszłości nie pomylisz już wzajemnej czułej pieśczoły z gwałtem - stwierdził głosem pełnym napięcia. Był równie zły na siebie, jak na dziewczynę. Nie mógł pojąć, co go opętało. Zawsze przestrzegał zasady: nie zadawać się z kobietami, które w jakiś sposób związane były zjedną z armii przemierzających Półwysep Iberyjski. - Nie

Bastardol (hiszp.) - bękart, drań.

obrażaj mnie więcej w ten sposób, *mi muchacha**, bo nie odpowiadam za konsekwencje!

Przebiegła ją dreszcz, ale nadal nie poruszyła się ani nie odezwała. Julian stał, wpatrując się w nią. Dopiero teraz dostrzegł błękitnawe cienie pod jej oczami i delikatne linie cierpienia na ściągniętej twarzy. Od dwóch dni była więziona przez Francuzów. Kiedy po raz ostatni jadła? Albo spała?

Przypominała mu zdeptany kwiat.

Dobry Boże! Czyżbym padł ofiarą jakichś sentymentalnych urojeń?! - pomyślał z niesmakiem, ale odwrócił się do ognia i po raz drugi napełnił kubek herbatą.

- Proszę!

Wzięła herbatę bez słowa, spostrzegł jednak, że palce jej drżą, gdy zacisnęła je wokół kubka, podnosząc go do ust. Radosny dreszcz przebiegł przez smukłe ciało, kiedy gorący płyn spłynął jej do gardła.

Julian odłamał kawałek chleba, ukrajał dwa plastry baraniny na zimno i podał dziewczynie. Potem odwrócił się, żeby dołożyć do ognia. Chciał dać jej przynajmniej namiastkę prywatności przy jedzeniu, choć nie rozwiązał łączącego ich sznura.

Kiedy rozcierał dłonie nad ogniskiem, zorientował się, że deszcz przestał padać. Po siedmiu dniach nieustającej ulewy monotonne dudnienie spadających kropel wreszcie ucichło! Spojrzał w niebo widoczne nad pozbawioną dachu połową chaty. Spomiędzy chmur przezierał nieco zamglony błękit. Piękna pogoda znacznie przyspieszy prace oblężnicze pod Badajos. Obleganie miasta to niewdzięczne zadanie; żołnierze stawali się niecierpliwi i niezadowoleni. Wszyscy będą radzi, kiedy to się skończy!

Zerknął przez ramię na dziewczynę. Postawiła opróżniony kubek na podłodze obok siebie i otuliła się jego płaszczem. Oczy miała zamknięte.

Jak na taki kolczasty fiótek, wydawała się dziwnie bezbronna i słaba. Niemniej jednak pułkownik St Simon postanowił czuwać przez resztę nocy.

2

Tamsyn obudziła się dwie godziny później. Jak zawsze, wróciła od razu do przytomności. Umysł miała jasny, ciało wypoczęte. Pamiętała wyraźnie przebieg wydarzeń, skutkiem których znalazła się w tym miejscu. Z wyjątkiem... z wyjątkiem tego, że nie mogła pojąć, co spowodowało ten pierwszy pocałunek. To nie miało sensu! Nie zносиła ludzi w wojskowych mundurach, gardziła nimi... A jednak całowała tego mężczyznę, który bezprawnie więził ją w tej błotnistej ruderze! Całowała go i sprawiało jej to przyjemność. Było to dla niej takim szokiem, że obsypała tego Anglika niesłusznymi wyrzutami i w pełni zasłużyła na brutalną karę.

Otworzyła oczy i zerknęła na pułkownika. Siedział przy ognisku, końska derka okrywała jego ramiona; głowa opadała mu na pierś. Ogień nie zdążył wygasnąć, pewnie więc nie spał zbyt długo.

Ręce miała złożone na brzuchu pod peleryną. Nie spuszczać oczu ze skulonej, śpiącej postaci, rozplotła palce, które powędrowały w dół, do węzła zaciśniętego wokół kostki. Jeśli nie będzie poruszać stopami, sznur pozostanie naprężony i jej prześladowca nie zauważy żadnej różnicy.

- Nawet o tym nie myśl!

Jego głos był chłodny i szorstki. Uniósł głowę. Oczy spoglądały ostro i przenikliwie w świetle poranka. Jeśli w ogóle spał, to czujnie jak kot! - pomyślała smętnie Tamsyn.

Udała, że nie rozumie, co miał na myśli.

- Muszę wyjść na dwór — powiedziała z niedbałym ziewnięciem, przeciągnęła się i dodała zjadliwie: - Chyba mam do tego prawo?

- Nic nie stoi na przeszkodzie - odparł obojętnym tonem i wstał. Kiedy i ona się podniosła, pociągnął mocniej za sznurek. - No, chodź! Nie będziemy z tym marudzić przez cały dzień!

Tamsyn zakłęta pod nosem i ostrożnie wyszła za nim. Cóż za balsamiczny poranek!

Niebo bezchmurne, słońce wstawało nad horyzontem jak czerwona, jarząca się kula. Powietrze pachniało czystością i świeżością. Zagajnik tętnił ptasim śpiewem, a żołnierze z szóstego regimentu wstawali już, wieszali kociołki nad ogniem i oporzadzali uwiązane konie. Zerkali ciekawie na swego pułkownika i jego brankę zmierzających w stronę rzeki.

- Znajdziesz sobie ustronny zakątek za tymi skałkami - zauważył pułkownik, wskazując ruchem ręki kamienny występ na brzegu rzeki. - Sznur

jest dostatecznie długi, żebyś ty mogła być po jednej stronie, a ja po drugiej-

- Cóż za niezwykła delikatność!

- Chyba masz rację - przytaknął z beztróskim uśmiechem, udając, że > nie dostrzega ironii w jej głosie.

- Czego ty w końcu chcesz ode mnie? - spytała niecierpliwie.

Zadała mu to pytanie ubiegłej nocy, ale sprawy trochę się pogmatwały i nie otrzymała wyraźnej odpowiedzi.

- Wellington chce z tobą pomówić - odparł - i wobec tego zabieram cię do jego kwatery głównej w Elvas.

- W charakterze więźnia? - Wskazała na krępujący ją sznur. - Czy to niezbędne do przeprowadzenia zwykłej rozmowy?

Jej głos ociekał sarkazmem.

- Czy La Violette raczy przyjąć zaproszenie naczelnego wodza wojsk Jego Królewskiej Mości na Półwyspie Iberyjskim? - spytał równie ironicznym tonem.

- Nie! - odmówiła bez ogródek. - Nie chcę mieć do czynienia z żadnym wojskiem! Im prędzej nasz kraj uwolni się od was, tym lepiej! - Spojrzała gniewnie na czerwoną kulę wschodzącego słońca. - Nie macie prawa wtrącać się do naszych spraw, tak samo jak Napoleon! Nie jesteście lepsi od niego!

- Ale, niestety, potrzebujecie nas, żeby się go pozbyć - odpowiedział, powstrzymując gniew. - A Wellington potrzebuje pewnych informacji od ciebie. Ty zaś, moja droga, udzieliś mu ich. A teraz się pospiesz!

Tamsyn nie ruszyła się od razu. Ten angielski pułkownik był zbyt zadowolony z siebie, podobnie jak oni wszyscy! Przez chwilę spoglądała na rzekę i w końcu powiedziała:

- Bardzo bym się chciała wykapać! Tkwiałam w błocku nie wiem, ile dni...

- Wykapać się? - Julian patrzył na nią zaskoczony tą nagłą zmianą tematu. - Nie bądź głupia, woda musi być zimna jak lód!

- Ale słońce jest gorące! - argumentowała. - A ja od małego kapałam się w tutejszych rzekach. Chcę tylko raz zanurzyć się w wodzie, żeby zmyć z siebie najgorszy brud! - Zwróciła na niego błagalny wzrok. - Cóż to komu szkodzi, pułkowniku?

Zawahał się i już miał odmówić, ale nim zdążył to uczynić, zaczęła ściągać koszulę. Przegarnęła też ręką swoje krótkie włosy.

- Jestem taka brudna! Proszę spojrzeć na moje ręce... - Podetknęła mu je pod nos. - Albo na moje włosy. Obrzydliwość! Nie mogę wytrzymać

we własnej skórze! Jeśli muszę stanąć przed waszym wodzem naczelnym, pozwólcie mi zachować choć odrobinę godności!

Zmarszczyła nos z niesmakiem i rozbawiła tym Juliana, chociaż jej poprzednie uwagi rozgniewały go. Rzeczywiście, była brudna! Dobrze wiedział, jakie to przykre. Po wielu dniach marszu w najgorszą pogodę i nocach spędzonych na rozmiękłej ziemi, pod żywoplotem, człowiek nie mógł znieść odoru własnego ciała! Miał dostarczyć tę dziewczynę do kwatery głównej w Elvas... Mógł jednak spełnić jej prośbę, jeśli była uzasadniona.

- Zamarzniesz na śmierć! - powiedział. - Ale jeśli tak ci na tym zależy, proszę bardzo. Daję ci na to dwie minuty.

- Dzięki! - Zrzuciła buty i spojrzała na niego z nadzieją w oczach. - Mogę rozwiązać ten sznur? Strasznie się zaciśnie, kiedy będzie mokry!

- Możesz - wyraził zgodę. - Ale jeśli marzy ci się ucieczka, to wiedz, że cię złapię i dotrzesz do Elvas na piechotę, uwiązana do mego strzemięcia!

Gniew błysnął w jej oczach, zniknął jednak błyskawicznie. Tamsyn wzruszyła ramionami, jakby przyjmowała jego oświadczenie do wiadomości, i pochyliła się, by rozplatać sznur. Potem ściągnęła pończochy i pozbyła się spodni. W samych tylko płóciennych majtkach i w koszuli odwróciła się i ruszyła w dół, ku rzece.

Nagle Julian wyczuł tryskający z niej strumień energii, podobnie jak wczoraj, gdy jechali konno. Całe jej ciało prężyło się, pełne determinacji. Chwycił dziewczynę za ramię.

- Chwileczkę!

Popatrzył na rzekę. Na jej przeciwległy brzeg. Powierzchnia wody była stosunkowo gładka, dostrzegł jednak wyraźny ślad podwodnego prądu, kilka metrów od brzegu. Mało prawdopodobne, by dziewczyna zdołała przepłynąć na drugą stronę... Tak, mało prawdopodobne, ale niewykluczone. W końcu była to La Violette, nie byle kto!

- Zdejmij resztę ubrania.

- Co?! Mam się całkiem rozebrać? Na twoich oczach?!

"Wydawała się oburzona, ale jakoś go nie przekonał ten przejaw dziewczęcej skromności.

- Tak, całkiem - potwierdził ze spokojem. - Wątpię, czy nawet ty przepłynęłabyś się na drugi brzeg i szukała tam schronienia na gołasa!

- Myślisz, że zdołałabym dopłynąć tak daleko? - Zrobiła wielkie oczy i minę niewiniątka. - To więcej niż osiemset metrów pod prąd! Nie pływam aż tak dobrze.

- Wybacz, ale ci nie wierzę - odparł równie spokojnie jak poprzednio.
- Jeśli chcesz się wykapać, kap się bez ubrania. Jeżeli nie, rób, co masz robić za skałami i wracamy do obozu.

Przez jej twarz przemknął wyraz zawodu i Julian wiedział już, że się nie mylił: La Violette planowała ucieczkę.

Tamsyn odwróciła się do niego tyłem i rozpięła koszulę. Do diabła! Co za sprytny drań! Przepłynięcie na drugi brzeg byłoby dla niej zabawką, a potem znalazłaby pomoc u pierwszego lepszego wieśniaka. Ale co innego wałęsać się w przemoczonej koszuli i długich majtkach, a co innego paradować całkiem nago!

Jej mózg rozważał błyskawicznie inne możliwości, oczy zaś błędziły wzdłuż brzegu, usiłując wypatrzeć coś, co mogło się przydać. Teren był stonunkowo płaski i porośnięty mchem. Pobiegnie tamtędy jak wiatr! Mniej więcej w odległości stu metrów wznosiło się niewielkie wzgórze pokryte spletanym gąszczem krzaków. Gdyby zdołała tam dobiec, zaszyłaby się jak lis ścigany przez psy myśliwskie. Żaden angielski żołnierz nie wytropiłby La Violette na jej własnym terenie!

Rzuciła koszulę na ziemię. Rozwiązała tasiemkę podtrzymującą w pasie majtki i zdjęła je. St Simon miał rację, zakładając, że jego branka nie jest skromniszą, choć potrafi ją udawać w razie potrzeby. Nie była wychowaną w klasztorze córką jakiegoś hidalga; wyrosła w rozbójniczym obozie, gdzie nie bawiono się w ceregiele, i wcześniej zapoznała się z realiami życia. A poza tym była zbyt zaprzątnięta pomysłem, który jej właśnie przyszedł do głowy, żeby przejmować się tym, iż pułkownik zobaczy ją bez niczego.

Zebrawszy swoje rzeczy, poskładała je starannie i położyła na ziemi w pobliżu skał. Był to gest porządnickiej, któryjakoś mu nie pasował do La Violette. Zanim jednak St Simon zdążył sobie uświadomić, dlaczego takie zachowanie dziewczyny zaniepokoiło go, Tamsyn odwróciła się przodem do niego. Stanąwszy w niewielkim rozkroku, wzięła się pod boki. Nie miała na sobie nic prócz srebrnego medalionu na cienkim łańcuszku.

- Usatysfakcjonowany, pułkowniku?

W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na dwuznaczność tego pytania, które rzuciła mu jako pogardliwe wyzwanie. Jego spojrzenie przesunęło się po całym jej szczupłym, sprężystym ciele, które tętniło energią. Uświadomił sobie, że jej pozorna kruchość wynika z drobnej budowy. Gdy zrzuciła ubranie, ukazało się zwarte, gładko umięśnione ciało urodzonej atletki, gibkie i proste jak strzała. Wzrok Juliana zatrzymał się na niewielkich, sterczących piersiach, na wdzięcznej wypukłości bioder, na kępce jasnych włosów w dole brzucha.

To drobne ciało było jak najbardziej godne pożądania. Oddech Juliana stał się przyspieszony, nozdrza rozduły mu się, kiedy starał się opanować swoje podniecenie. Chyba postradał zmysły, narażając się na podobną sytuację! Dlaczego, u diabła, w ogóle pozwolił jej na kąpiel w rzece?! Ale pozwolił. ... i było już za późno na odwołanie tej decyzji.

Opanował swoje emocje i spojrzał w twarz dziewczyny, a wtedy spostrzegł z satysfakcją, że te dokładne oględziny zbiły ją z tropu. W jej wyzywającej postawie było mniej pewności siebie, a jej oczy unikały jego wzroku. Zmniejszyło to trochę jego zażenowanie z powodu własnej mimowolnej reakcji.

- Jak najbardziej! - wycodził. - Jak najbardziej usatysfakcjonowany.

W Tamsyn gniew wzięła górę nad zmieszaniem. Zrobiła krok w jego stronę... Przez sekundę St Simon oczekiwał, że znów uderzy go w twarz. Jeśli to uczyni, gorzko tego pożałuje!

Tamsyn wyczytała groźbę w jego spojrzeniu i postawie. Chęć zaatakowania pułkownika przeszła jej błyskawicznie, gdy pojęła, że byłaby to tylko strata czasu. Ważny był teraz tylko plan ucieczki, który całkiem się już skonkretyzował. Odwróciła się bez słowa i ruszyła ku rzece.

Julian przyglądał się jej, gdy stała nad wodą. Widok z tyłu jest równie ekscytujący jak z przodu! - myślał z rozmarzeniem. Na koniec dziewczyna wspięła się na palce, uniosła ramiona i zręcznie dała nurka do rwącej rzeki.

Stanął na samym brzegu, tuż nad wodą, czekając, kiedy jasna głowa wynurzy się znów na powierzchnię. Woda płynęła silnym nurtem, jakieś półtora metra od brzegu znaczył się wyraźnie podwodny prąd. Zimorodek błysnął intensywnym błękitem, zanurkował pod powierzchnię i wychynął z rybą połyskującą srebrzyście w promieniach wschodzącego słońca. Nie było jednak ani śladu La Violette. Zupełnie jakby przestała istnieć!

Strach chwycił Juliana za gardło. Czy to możliwe, by zaplątała się w zdradzieckie wodorosty, których ciemnozieloną gęstwinę mógł dostrzec tuż pod powierzchnią wody?

A może przepłynęła na przeciwległy brzeg, ani razu nie zaczerpnąwszy powietrza? Zerknął na jej starannie ułożone ubranie. Leżało nadal w pobliżu skały. Udaremnił tę próbę ucieczki! Ajednak nie było jej. Ani śladu! Jak dawno zanurkowała? Ile minut upłynęło?

Ściągał buty i rozpiął pospiesznie kurtkę, nie podjąwszy jeszcze świadomej decyzji. Rzucił na trawę pas z szablą, zdarł z siebie bryczesy i koszulę i skoczył do rzeki, jak najbliższej miejsca, gdzie zanurkowała jego branka.

Wynurzył się zaraz, szczękając zębami. Woda była lodowata! Spływała w dół z pokrytych śniegiem górskich szczytów. Nikt by nie wytrzymał w tej temperaturze dłużej niż kilka minut. Julian wpatrywał się w gładką powierzchnię rzeki, wytrząsając wodę z włosów. Nic nie było widać. Dziewczyna zniknęła tak nagle, jakby w ogóle nie istniała.

Zanurkował ponownie i z otwartymi oczyma przedzierał się przez gąszcz trzciny, wypatrując białego ramienia czy pukla jasnych włosów, które wskazałyby mu miejsce, gdzie uwięzła dziewczyna.

Tamsyn wynurzyła się za skałami, kiedy tylko usłyszała plusk świadczący o tym, że pułkownik skoczył do wody. Ona również trzęsa się z zimna, włosy pociemniałe od wilgoci oblepiły jej głowę. Oczy jednak płonęły triumfem, a posiniałe wargi wygięły się w szerokim uśmiechu. Nie była wcale pewna, czy angielski oficer skoczy za nią bez wahania, ale historyjki o rycerskości Anglików, które ze śmiechem opowiadała jej matka, okazały się prawdziwe. Pułkownik nie był wyjątkiem od reguły!

Tamsyn wyskoczyła na brzeg, ukryła się za skałami i otrząsnęła się z wody z energią rozbrykanego szczeniaka. Słońce ogrzało ją trochę, ale wychyliła się z za skał i sięgnęła czym prędzej po złożoną porządnie garderobę.

Julian wynurzył się znów, by zaczerpnąć powietrza. Był odrętwiały z zimna i wiedział, że nie powinien pozostawać w wodzie ani minuty dłużej. Postanowił jednak zanurkować raz jeszcze. Gdy zbierał siły do tego, spojrzął na brzeg i dostrzegł na tle skały jakiś błądny cień, który natychmiast zniknął. Pułkownik nie miał jednak wątpliwości, co zobaczył.

Ryk wściekłości zamącił spokój poranka nad brzegami Guadiany. Kulik krzyknął, jakby przedrzeźniał rozsierzonego pułkownika. Stado dzikich kaczek poderwało się ze swych legowisk w trzcinach, bijąc skrzydłami na alarm, gdy Julian brnął do brzegu.

Tamsyn zakłęta pod nosem i wzięła nogi za pas, pędząc po równym, porośniętym mchem gruncie w stronę niewielkiego, pokrytego zaroślami wzgórza. Nie próbowała nawet włożyć na siebie ubrania, przyciskała je tylko do mokrej piersi. Pułkownik musiał jeszcze wdrapać się na stromy brzeg, ona zaś z pewnością była bardziej zwinna od tego potężnie zbudowanego wojaka!

Julian jednak zawsze znakomicie biegał i jego długie nogi pokonywały z wyjątkową szybkością dzielącą ich przestrzeń. Pędził owładnięty ślepa furją, zły na siebie za zbytnią łatwowierność, a na dziewczynę za to, że wystrychnęła go na dudka. Nigdy dotąd nie zawiódł, gdy postanowił coś osiągnąć... i tym razem także nie da się pokonać tej śmiesznie małej spryciuli, tej oszustce i rozbójniczce!

Zbliżał się do niej coraz bardziej. Teraz już nie lodowata woda z rzeki, ale krople potu lśniły na jego nagiej skórze. Jednak Tamsyn była już prawie na wzgórzu i pułkownik zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli schowa się w chaszczach, szanse odnalezienia jej będą znikome. Wiedział z doświadczenia, że partyzanci potrafią na tym terenie zniknąć bez śladu.

Oddech Tamsyn stawał się coraz bardziej urywany i bolesny, gdy zbliżała się do wzniesienia. Raczej czuła, niż słyszała za sobą prześladowcę, ponieważ oboje stąpali bezgłośnie po pokrytym wilgotnym mchem gruncie. Wiedziała jednak, że pułkownik jest coraz bliżej. Zebrała resztkę sił i puściła się pędem po zboczu, gdy nagle stopa uwięzła jej w płataninie wystających z ziemi korzeni.

Upadła na kolana z okrzykiem irytacji, który przerodził się we wrzask wściekłości i trwogi, gdy Julian zniemacka schwycił ją za kostkę. Nie zdawała sobie sprawy, że był aż tak blisko. Wierzgała na oślep, on jednak przyczepił się jak rzep i nie puścił jej nawet wtedy, gdy kopnęła go w brodę. Usiłowała przytrzymać się żyłastych korzeni, zdobyć wystarczające oparcie, by się oswobodzić. On jednak chwycił ją również za drugą nogę i odciągał dziewczynę do tyłu, na równinę.

Palce Tamsyn ześlizgnęły się z korzeni i straciwszy swą podporę, stoczyła się na dół; pułkownik zaś ciągnął ją brutalnie, tak że jej obnażony brzuch i piersi ocierały się boleśnie o twardy grunt; raniły ją gałązki i drobne kamyczki.

- *Espadachin!** - złościła się dziewczyna, przewracając się na plecy i usiłując dosięgnąć twarzy Juliana paznokciami. - Ranisz bezbronną kobietę!

- A ty zrobiłaś ze mnie durnia - odparował z gniewem lord St Simon. - *Diablillol!*** Chytry, podstępny, przeklęty małpiszon! - Złapał rękę, usiłując dosięgnąć jego twarzy, i przemocą unieruchomił jej ramiona ponad głową. - Chciałaś mi wypłatać niezłego figla, co? Ale dowiedz się, *mi tnu-chacha*, że pierwsza lepsza kłamliwa bandytka nie wygra ze mną!

Tamsyn wykręciła się bokiem do niego w nadziei, że podetnie mu nogi, on jednak przygniótł ją swoim ciężarem, siadając okrakiem na jej udach, tak że czuła się przygwożdżona do ziemi.

- *Espadachin!* - zakłęła znowu. - Możliwe, że jestem bandytka... ale z ciebie odrażający brutal! Puszczaj!

* *Espadachin!* (hiszp.) - szermierz.

** *Diablillol!* (hiszp.) - diabełek.

- Nie.

Ta kategoriyczna odmowa wstrząsnęła nią. Spoglądała w twarz przeciwnika, spokojną i obojętną, jakby znajdowali się w salonie. Czuła, że mokra wełna jego kalesonów drażni skórę na jej udach. On nie skoczył do wody całkiem nagi!

Pełna zdumienia cisza trwała zaledwie parę sekund; potem dziewczyna wybuchnęła potokiem obelg. Miała tak bogate i urozmaicone słownictwo, że zadziwiła pułkownika. Posługiwała się trzema językami naraz, a takich prze-kleństw i zniewag nie powstydziliby się najbardziej wyszczekany piechur.

- Przestań się popisywać, dziewucho!

Julian ochłonał ze zdumienia i chcąc powstrzymać ten potok inwektyw, posłużył się najprostszą metodą, jaka mu przyszła do głowy: zamknął jej usta pocałunkiem. Jego palce zacisnęły się jeszcze mocniej na nadgarstkach dziewczyny. Nadal czuła też ciężar jego ciała na swoim.

Tamsyn omal się nie udławiła, usiłując w dalszym ciągu wykrzykiwać obelgi, mimo naporu jego ust. Szarpała się pod nim jak wyrzucona na piasek ryba, którą zaraz przebodzie oścień. Jej skóra była rozpalona, krew w niej wrzała, a oczy przesłaniała szkarłatna mgła. W ustach czuła jego język. Zdawał się żyć własnym życiem, poznawał ją i swawolił, aż jej własny język, zamiast zachować spokój, podjął te pląsy.

Wszystko dziwnie się spletało. Była w tym trwoga i gwałtownie rosnące pożądanie. Był także gniew... przemieszany z pasją całkiem odmienną, choć równie zawziętą. Jej ciało stało się płynnym ogniem, a mózg całkiem stopniał. Julian nadal trzymał ramiona Tamsyn nad głową i ciągle nie przestawał jej całować. Tylko jedna z jego rąk powędrowała w dół. Pieściła jej pierś, dotarła do rozpalonego brzucha... Biodra Tamsyn same się uniosły jej uda rozchyliły się.

Poruszał się głęboko w jej wnętrzu, ona zaś czuła, że unosi się w górę, na jakąś inną płaszczyznę bytu, gdzie powietrze pełne było trzaskających iskier, gdzie otaczały ich tańczące płomienie. Ta ognista gloria niosła zarazem unicestwienie...

Julian z wolna wracał do przytomności. Najpierw poczuł ciepło słońca na plecach, potem oddech żywej, miękkiej istoty, która znajdowała się pod nim. Spojrzał jej w twarz. Oczy miała zamknięte, skórę zaróżowioną, wargi rozchylone. Wpatrywał się w nią, jakby dzięki temu mógł pojąć, co się przed chwilą wydarzyło... Na koniec poczuł na plecach dotyk zimnej stali.

Nie mógł tego zobaczyć, ale domyślił się, że ktoś przyłożył ostrze rapiera do jego kręgosłupa. Nie widział też stojącego za nim mężczyzny, czuł

jednak ciepło jego ciała; oddech nieznajomego sprawił, że zjeżyły mu się włosy na karku.

- Módl się, człowieku! Masz pół minuty na pojednanie ze swoim Stwórcą.

W głosie nieznajomego pobrzmiwał śpiewny akcent górali szkockich, ale jego słowa zionęły grobowym chłodem. Ostrze broni przesunęło się na zębra i napierało na skórę, gotowe w każdej chwili przebić ją i dotrzeć do serca.

Takiej trwogi Julian doświadczał po raz pierwszy w życiu. Stawiał już czoło śmierci w ogniu bitwy, ale to było całkiem co innego - łut szczęścia albo zrządzenie losu. To zaś była kara śmierci, wymierzana z rozmysłem. I wiedział, że nie jest w stanie nic powiedzieć ani uczynić, by ją powstrzymać. .. Choć nie miał pojęcia, dlaczego śmierć przyszła po niego w pogodny ranek, zaraz po cudownym porywie namiętności.

- Nie! - zaprotestowała pospiesznie leżąca pod nim dziewczyna.

Odzyskała widać przytomność; otworzyła oczy, a w ich fiołkowej głębi płonęła znów świadomość.

- Nie, Gabrielu! Nie!

Próbowała uwolnić ręce, które Julian nadal więził w uścisku. Puścił je. Odepchnęła się od niego i usiadła z trudem. On zaś nie mógł się poruszyć, by ostrze rapiera go nie przeszyło, pozostał więc między jej udami, myśląc: Cóż to za farsa, ginąć w takiej pozycji!

- Gabrielu, nie stało się nic złego! - zapewniała Tamsyn z desperacją, znając porywczosć i morderczy gniew olbrzyma stojącego nad pułkownikiem.

Gabriel sądził, że spotkała ją krzywda, a celem jego życia była obrona Tamsyn i pomsta. Ona zaś... owszem, miała do pułkownika pretensję o to, jak ją potraktował, odbiwszy Francuzom. Ale nie winiła go za to, co przed chwilą zaszło między nimi! Był to akt szaleństwa, za który oboje ponosili odpowiedzialność. Anglik zaś z pewnością nie zasłużył na śmierć, jaką Gabriel chciał mu zadać z obojętnością człowieka, który przez całe życie nie rozstawał się z bronią.

- Gabrielu! On nie zrobił nic wbrew mojej woli!

Mówiła teraz powoli i dobitnie, ciągle jednak nagłaco.

Julian czuł, że krew stygnie mu w żyłach, kiedy to słyszał. Niewątpliwie znała człowieka, który postanowił go zabić, i była przerażona. Przypomniawszy sobie, jak zeskoczyła z jego konia, oznajmiając, że musi odnaleźć Gabriela. Ale to Gabriel, kimkolwiek był, znalazł ją pierwszy.

- Zmykałaś przed nim cholernie szybko jak na taką, co chce, żeby ją złapać!

Głos człowieka z rapierem był powolny i pełen niedowierzania. Zimne stalowe ostrze ciągle dźgało plecy Juliana.

Tamsyn usiłowała zebrać myśli. Jak wyjaśnić mu coś, czego sama nie pojmowała?

- To bardzo trudno wytłumaczyć, Gabrielu! - Popatrzyła mu w oczy.
- Nie potrafię tego uczynić, ale naprawdę nie stało się nic, czego bym sobie nie życzyła!

Milczenie, które trwało chyba całą wieczność, przerwał nagle ryk śmiechu. Zimny koniec rapiera nie naciskał już na plecy Juliana.

- Oj, mała, mała! Co by powiedział El Baron, gdyby zobaczył, jak tarzasz się w trawie, jak jakaś zbereźna dójka?!

- Powiedziałyby: „Cóż, takie rzeczy się zdarzają, *hija!*” - odparowała Tamsyn lekko drżącym głosem, siłąc się na wesołość.

Była prawie pewna, że niebezpieczeństwo minęło, ale z Gabrielem nigdy nic nie wiadomo!

Pułkownik powolutku cofnął się, wysunął spomiędzy jej ud, jak najdalej od rapiera, którego koniec opierał się teraz o ziemię, stanowczo zbyt blisko jego bioder.

Tamsyn usiadła prosto.

- Dobrze wiesz, Gabrielu, że baron tak by właśnie powiedział! Wzruszyłyby ramionami, jak to on, i uśmiechnęły się do Cecile.

Gromki śmiech zahuczał znowu.

- Ażakże, dziewczuszko! Masz rację, ani chybi! - Spojrzał na lorda St Simona z zaciekawieniem, które - choć nie całkiem przyjacielskie - nie było już wrogie. - No więc, mała, co to za jeden, ten twój kochaś?

- Dobre pytanie! - Tamsyn zmierzyła pułkownika zagadkowym wzrokiem. Bezpośrednie zagrożenie minęło, a z chwilą pojawienia się Gabriela ona zyskała przewagę... Myśl o małej zemście była bardzo nęcąca. - Nie zostaliśmy sobie jeszcze oficjalnie przedstawieni. Ale jest pułkownikiem w armii Wellingtona.

Julian nie wyrzekł ani słowa, póki nie wciągnął na siebie mokrej bieleziny, której pozbył się w tym szalonym pożarze zmysłów. Czuł się trochę mniej bezbronny, przyodziewszy się nieco. Niewiele to jednak dało. Nowo przybyły był wielki jak dąb, jego muskuły rozsadały wprost kubrak. Siwiejące włosy miał zebrane w warkoczyk na karku. Jego rumiana cera i drobne żyłki świadczyły o upodobaniu do kieliszka, ale wyblakłe szare oczy były niezwykle bystre. Zachodzące na siebie zęby lśniły w szerokich,

pełnych ustach. Potężnym, dwusiecznym rapierem wywijał z taką łatwością, jakby to był nóż kuchenny.

- Jeśli sobie życzysz, żebym przedstawił się oficjalnie, Violette, wolałbym włożyć przedtem całe ubranie - stwierdził cierpko St Simon.

- Ty też ubierz się przyzwoicie, mała! - polecił jej olbrzym, nie spuszczać wzroku z Juliana. -A ja z pułkownikiem omówię kilka spraw, kiedy się będzie elegantował.

Wskazał rapierem miejsce na brzegu, gdzie leżały rzeczy Juliana.

Ten wzruszył ramionami na znak, że nie ma nic przeciwko temu. W tej chwili przeciwnik objął prowadzenie, ale pułkownik miał dwudziestu ludzi o czterysta metrów stąd i sytuacja mogła niebawem ulec zmianie. Z pozorną nonszalancją skierował się w stronę swego ubrania, a obrońca La Violette szedł obok niego. Wielki rapier nadal nie był ukryty w pochwie, lecz twarz Gabriela miała wyraz obojętny, a spłowiałe oczy spoglądały łagodnie.

Julian nie zamierzał jednak zbyt się odprężyć. Miał nieodparte wrażenie, iż nastroje olbrzyma szybko się zmieniały.

Tamsyn narzuciła na siebie ubranie, zerkając od czasu do czasu na miejsce nad rzeką, gdzie pułkownik się ubierał. Rozmawiając z nim, Gabriel, oparty o skałę, kreślił jakieś esy-floresy na trawie końcem rapiera.

Minęło już wiele miesięcy, odkąd Tamsyn dała się ponieść namiętności. Odziedziczyła impulsywność po matce, jak jej często powtarzano. Oboje rodziców łączyła zaś głęboka namiętność. Przekazali i tę cechę swemu jedynemu dziecku. Tamsyn nauczyła się traktować cielesne porywy jako coś naturalnego i zaspokajając je bez poczucia winy. Obawiała się jednak, że jej rodzice nie pochwaliliby szalonej przygody z pułkownikiem. Nie należy spoufalać się z wrogiem!

A każdy żołnierz był jej wrogiem... osobistym wrogiem.

Wspomnienia napłynęły znów burzliwą falą: straszliwe wrzaski, zapach dopiero co przelanej krwi... Jej ojciec otoczony kręgiem wyjących potworów odzianych w żałosne resztki mundurów różnych armii i formacji... Ich twarze zniekształcone chciwością, umysły zamroczone krwią... Wielki rapier ojca ciął napastników na strzępy, ale napływali wciąż nowi i nowi... Strzały - jeden za drugim - przeszywały ciało barona i dwoje ludzi, bezsilnie przyglądających się walce z pobliskiego wzgórza, zdumiewało się, że może on jeszcze utrzymać się na nogach, choć krew tryska z tyłu ran w jego ciele. El Baron nadal jednak stał, a wrogowie ciągle padali, rażeni jego orężem.

Cecile spoczywała w cieniu z małą czarną plamką na czole. Był to ślad dobroczynnej kuli z ręki męża, dzięki czemu uniknęła męki i hańby masowego gwałtu. Ich córkę spotkałby taki sam los, gdyby znajdowała się wówczas w Pueblo de St. Pedro. Ona jednak wybrała się z Gabrielem na polowanie wśród pobliskich wzgórz.

Tamsyn z trudem zdołała otrząsnąć się ze strasznych wizji, poskromić ból i gniew. Od tamtego dnia to ona stała na czele niewielkiego oddziału. Ci, którzy ocalili z masakry, i inni, którzy przyłączyli się do nich, gotowi byli pójść za córką El Barona. Wraz z nią wspomagali partyzantów, nękali Francuzów, unikali bezpośrednich kontaktów z Anglikami i zadowalali się taką zapłatą lub takim łupem, jaki im los nadarzył.

Aż do dnia, kiedy ten podły, zdradziecki bydlak, Cornichet, przygotował na nich zasadzkę. Tamsyn nie miała pojęcia, ilu ludziom z jej bandy udało się umknąć przez przełęcz, ale Francuzom zależało przede wszystkim na niej. Baron dawno temu powierzył opiekę nad córką swemu najbardziej zaufanemu kamratowi, toteż Gabriel walczył u jej boku i bronił jej zażarcie. Ale jeden człowiek, nawet olbrzym, nie da rady pięćdziesięciu zbrojnym. Otoczono ich oboje i pojmano.

Co się stało, to się nie odstanie. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba jak najlepiej wykorzystać chwilę obecną! Jeśli się uważnie rozejrzeć, zawsze można coś zyskać.

Tamsyn wetknęła koszulę w spodnie i podeszła do obu mężczyzn, trzymając buty i pończochy w ręku. Przyjemnie było czuć pod bosymi stopami chłodny mech.

Intensywnie niebieskie oczy pułkownika spoczęły na niej, gdy podeszła bliżej. Serce Tamsyn mocniej zabiło. Co było, to było, powiedziała sobie twardo, ale ta chwila szaleństwa należy już do przeszłości. Nie ma nic wspólnego z obecną sytuacją!

3

Julian zapiął pas, na którym nosił szablę. Tak uzbrojony poczuł się zdecydowanie pewniej, chociaż Gabriel nadal nie schował rapiera do pochwy i pułkownik nie miał wątpliwości, że olbrzym włada nim równie szybko i sprawnie jak każdy doświadczony żołnierz.

Dziewczyna szła ku nim bez pośpiechu brzegiem rzeki, niosąc w ręku buty i pończochy, jakby byli na pikniku... Julian w dalszym ciągu nie mógł pojąć tego, co zaszło między nimi. Jego gniew i urażona duma z powodu łatwości, z jaką Violette go przechytryzyła, przerodziły się w coś całkiem odmiennego, potężniejszego od zwykłej żądy. Było to doznanie tak silne, że w tym zamęcie splątanych kończyn i w żarze jej smukłego ciała zatracił wszelkie poczucie rzeczywistości i zapomniał o swych obowiązkach.

Omam nie utracił cennego jeńca... a nawet własnego życia. Był wściekły na siebie.

Przemknęło mu przez głowę, że mógłby zawezwać swoich ludzi, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Pewnie by go nie usłyszeli, a nawet gdyby tak było, z pewnością nie zjawiliby się dość szybko, by wesprzeć go w walce z Gabrielem uzbrojonym w morderczy rapier. Co prawda, La Violette nie miała broni przy sobie (Cornichet już o to zadbał!), toteż miałyby do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem, ale za to groźnym.

- Pułkownik powiada, że jest lordem Julianem St Simon - obwieścił Gabriel, gdy Tamsyn dotarła do nich. - Arystokratyczny gość! - Olbrzym wygrzebał paznokciem coś spomiędzy zębów; jego łagodne oczy spoglądały na pułkownika z beznamiętnym zaciekawieniem. - Chyba ocalił ci życie. Ale pewnie uważasz, żeś mu już zapłaciła za tę przysługę?

Tamsyn zaczerwieniła się na ten docinek i odparła pospiesznie:

- Nie w taki sposób, jak ci się zdaje, Gabrielu! Nie będziemy brać pod uwagę tego, co się wydarzyło podczas naszych negocjacji.

- Negocjacji? - Brwi Juliana uniosły się. - Co masz na myśli, Violette? O, przepraszam! Zapewne w rzeczywistości nosisz inne imię. A jeśli już przedstawiamy się oficjalnie...

Skłonił się przesadnie i atmosfera stała się mniej sztywne. Ciało Juliana zachowało pamięć bliskości dziewczyny, podczas gdy umysł usiłował za wszelką cenę pozbyć się wspomnień tego rodzaju. St Simon domyślał się, że Violette musi czuć się podobnie, ponieważ oboje odbyli ten szaleńczy podniebny lot.

- Mam na imię Tamsyn - odpowiedziała - jeśli cię to interesuje.

Wzruszyła ramionami, ale zarówno ten niedbały gest, jak i pozorna beztroska w jej głosie, były niezbyt przekonujące.

Imię okazało się dla Juliana takim samym zaskoczeniem jak jego posiadaczka.

- Ależ tak, bardzo mnie to interesuje! - zapewnił ją, poprawiając pośpiesznie związaną na szyi chustkę; jego palce poruszały się z wprawą wśród fałd cienkiego płótna. - Tamsyn... To kornwalijskie imię!

- Wybrała je moja matka. Skąd wiesz, pułkowniku, że kornwalijskie?

- Bo sam pochodzę z Kornwalii - odparł.

Zdumiało go, że oczy jej nagle rozblęły.

- Doprawdy? - spytała niby to od niechcienia. - Zdaje się, że rodzina mojej matki należała również do kornwalijskiej arystokracji.

Ciężkie powieki przesłoniły oczy pułkownika. Wycedził:

- Wybacz, ale jakim cudem kornwalijska arystokratka znalazła się w łóżku hiszpańskiego rozbójnika?

Gabriel wysunął się do przodu, unosząc swój potężny rapier.

- Uważaj, co mówisz, Angliku! - zagroził, zniżając głos. - Nie obrażaj damy, bo nie odpowiadam za konsekwencje!

Julian uniósł dłoń pojednawczym gestem. Nie wiedział, czy olbrzym ma na myśli La Violette, która pod żadnym względem nie przypominała prawdziwej damy, czy też jej matkę, ale na widok obnażonego rapie - ra i zajadłego gniewu w oczach Gabriela uznał, że najrozsądniej będzie ustąpić.

- Bardzo przepraszam. Nie miałem zamiaru uchybić żadnej damie! - zaakcentował lekko ostatnie słowo. — Ale takie pytanie samo się nasuwa!

- Może i tak, ale to nie twój interes, mój panie! - odparła chłodno Tamsyn. - Żaden żołnierz nie będzie wścibiał nosa w moje sprawy!

Zdumiał go posępny wyraz jej twarzy. Fiołkowe oczy zdawały się przeżywać go na wskroś... Na ich dnie czaiły się jakieś straszne wspomnienia.

A prawda! La Violette objęła dowództwo nad bandą po śmierci ojca... Julian słyszał jakieś pogłoski o tym, że do górskiej osady rozbójników, którym przewodził El Baron, wdarli się dezercerzy, zarówno z angielskiej, jak i francuskiej armii. Te szumowiny grasowały po całym półwyspie, grabiąc, gwałcąc i mordując bez najmniejszych skrupułów.

Gabriel przysunął się bliżej, co nie wróżyło nic dobrego. Julian uznał za stosowne zmienić temat rozmowy.

- Wspomniałaś coś o negocjacjach, Violette?

To imię wydawało mu się bardziej stosowne w obecnej sytuacji. Brwi Juliana uniosły się znów pytająco.

- Nie będzie żadnych negocjacji z cholernymi żołnierzami! - rzucił szorstko Gabriel. - Idziemy, dziewczusko! Ponieważ ten człowiek cię ocalił, darujemy mu życie. Ale wynośmy się stąd, i to już!

- Nie, nie, Gabrielu! Zaczekaj! - Tamsyn położyła mu rękę na ramieniu. - Musimy się jeszcze porachować z Cornichetem! - powiedziała dobitnie.

Oczy jej błyszczały, na ustach pojawił się lekki uśmiech. Jej posępne rozmyślenia rozwiały się, stała znów na pewnym gruncie. Cornichet zabił kilku jej ludzi - nie mówiąc już o tym, jak ją potraktował! - i powinien ponieść za to karę. Nie mogła liczyć na to, że ten angielski pułkownik i jego oddział wdadzą się (bez wyraźnej prowokacji) w bijatykę z Francuzami. Reguły gry wojennej zabraniały takich osobistych porachunków. Mogli jednak udzielić jej pomocy w splataniu figla Cornichetowi.

- Ten angielski milord życzy sobie, żebym porozmawiała z jego wozem... Zgodziłabym się wysłuchać, co Wellington ma mi do powiedzenia, oczywiście nie zobowiązując się z góry do niczego! Ale za tę obietnicę chcę czegoś w zamian.

Gabriel milczał i Julian zorientował się, że to nie ten wielkolud będzie podejmował decyzję. Lepiej uważać, by nie skręcił mi karku, myślał pułkownik, ale decyduje niewątpliwie La Violette!

- W zamian za co, konkretnie? - spytał obojętnym tonem.

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście za to, że zgodzę się pojechać z tobą do Elvas! Nic nie mogę obiecać, jeśli chodzi o sprawy, o których będziemy dyskutować z Wellingtonem, i domagam się z twojej strony gwarancji, słowa kornwalijskiego dżentelmena... - Ostatnia część zdania miała wyraźnie ironiczny posmak. - .. że nikt nie będzie wywierał na mnie żadnych nacisków. Przyjadę do Elvas z własnej woli i odjadę, kiedy zechcę!

Julian miał ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsać, dopóki nie zgaśnie ironiczny błysk w jej oczach, a z jej głosu nie zniknie lekceważący ton. Jak śmiała powątpiewać o jego honorze?!

- A jeśli dam ci takie zapewnienie? - spytał lodowatym tonem. - Czy będziesz mi towarzyszyć z własnej woli?

Tamsyn uśmiechnęła się.

- Owszem... w zamian za drobną przysługę, pułkowniku! Tak, ręczę za to własnym słowem. Daję je bardzo rzadko, milordzie, więc powinieneś je tym bardziej cenić.

A więc to nie jego osobisty honor podawała w wątpliwość! Traktowała go tak samo nieufnie jak wszystkich... zapewne na skutek jakichś przykrych wydarzeń z przeszłości. Było w tej dziewczynie coś niepojętego... Ale nie musi przecież wzuwać się w uczucia tego owocu nieprawdopo-

dobnego związku jakiejś Angielki z hiszpańskim bandytą, by wypełnić swą imisję!

li - Na czym ma polegać ta przysługa, señorita?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i w jej oczach zatańczyły szelmowskie iskierki.

- Pomożesz mi obciąć Cornichetowi epolety, milordzie!

Gabriel znów ryknął śmiechem.

- Oj, dziewczuszko! Ależ ty masz pomysły! Psotna małpka z ciebie!

Tamsyn zachichotała, ale nadal wpatrywała się w Juliana.

- No i jak? Masz dwudziestu ludzi, pułkownika. Gabriel i ja dołączymy do was. Razem z pewnością zdołamy pozbawić tego nadętego Francuza insygniówjowego władzy!

Julian po prostu osłupiał.

- Dobry Boże, dziewczyno! To jest wojna, a nie zabawa, do wszystkich diabłów!

Oczy jej zaiskrzyły, uśmiechnęła się jak łobuziak... Julian zwrócił jednak uwagę na wysuniętą z determinacją brodę i stalowy błysk w oczach.

- Dobrze wiem, że to wojna, pułkowniku! - odparła. Rozbawienie zniknęło z twarzy Tamsyn, teraz miała posępną minę, a w jej głosie dało się słyszeć chłodną stanowczość. - A Cornichet także nie uzna tego za zabawę, kiedy będzie musiał pokazać się podkomendnym w mundurze zdegradowanego oficera!

To rzeczywiście pomysłowa zemsta. Trudno będzie przełknąć tak gorzką pigułkę temu aroganckiemu brutalowi! Ale czym on, St Simon, usprawiedliwi to, że wraz ze swoimi ludźmi wziął udział w takim żarcie?

Julian wpatrywał się w rzekę i szybko kalkulował. Przyrzekł księciu Wellingtonowi, że za pięć dni dostarczy La Violette do Elvas, by naczelnym wódz mógł porachować płatki temu fiołeczkiowi! Dotrzymałby terminu z łatwością, gdyby wyruszyli tam niezwłocznie. Jego dwudziestu ludzi bardzo się przyda przy oblężeniu Badajos... Wzięcie przez nich wszystkich udziału w tej ryzykownej eskapadzie dla dokonania zemsty na Cornichecie było stratą czasu i energii! Jeśli jednak na to nie przystanie, La Violette nie zgodzi się towarzyszyć mu do Elvas... i po raz pierwszy w swojej karierze przyjdzie mu się przyznać do porażki.

Duma mu na to nie pozwoli! Po prostu. Ta dziewczyna rozdawała karty, on zaś nie miał innego wyjścia, jak grać tymi, które przypadły mu w udziale. A poza tym pociągała go myśl o przechytrzeniu Cornicheta jeszcze raz i zrobieniu mu takiego psikusa, choć był to kawał bardziej odpowiedni dla

jakiegoś gołowąsa niż szacownego pułkownika, zaufanego księcia Wellingtona. No, ale wszyscy wiedzieli, że Julian St Simon często stosuje niekonwencjonalne metody walki!

Cornichet i jego ludzie pewnie naprawiają szkody po pożarze na swoim posterunku na obrzeżach Olivenzy, o pół dnia drogi stąd. Gdyby wszystko poszło szybko i sprawnie, mogliby jeszcze - popędzając żywo konie - zdążyć do Elvas w wyznaczonym terminie.

Julian zastanawiał się nad rozmaitymi możliwościami. Będą musieli jakimś sposobem przydybać Cornicheta z dala od jego ludzi...

- Niech będzie! - odparł w końcu i wzruszył ramionami z rezygnacją.
- Moim zdaniem uraga to zdrowemu rozsądkowi, ale to ty rozdajesz karty, Violette! Jeśli jednak przyłączycie się do nas, przejdziecie pod moją komendę. Zgoda?

Tamsyn kręciła głową.

- O nie, jaśnie panie pułkowniku! My zawsze działamy jako niezależni wolontariusze, tak jak wszystkie grupy partyzanckie współpracujące z waszą armią. Ale nie będzie żadnych nieporozumień, gwarantuję!

Teoretycznie dziewczyna miała rację: oddziały partyzanckie współpracowały z armią Wellingtona, kiedy chciały; walczyły przy tym pod własną komendą. To, że jej „oddział” składał się jedynie z filigranowej panienki i z jej opiekuna, nie miało - zdaniem La Violette - żadnego znaczenia.

- Myślę, że zaskoczmy go w nocy - ciągnęła Tamsyn, nie zatrzymując się nawet po to, by rozważyć ewentualne obiekcje pułkownika. - Zazwyczaj kładzie się do łóżka koło północy i przeważnie jest mocno podпиты, ale zawsze sprawdza pikiety. Musimy zacząć się na niego. A potem - ciach, ciach!
- Roześmiała się, ruchem palców imitując dwa zamaszyste cięcia. - To niewielka kara za całe zło, które mi wyrządził... A chciał wyrządzić znacznie więcej! Ale nie jestem specjalnie mściwa - dodała z pogodnym uśmiechem.

- Doprawdy? - mruknął St Simon. - Jakoś mi się nie chce wierzyć! Moim zdaniem utrata cennego jeńca i puszczenie z dymem obozu byłyby wystarczającą karą dla każdego.

- Ale to nie ja się na nim zemściłam - przedkładała mu Tamsyn, zdumiona, że Julian nie dostrzega różnicy - tylko ty wykonałeś swoje zadanie! I nie miało to nic wspólnego z pomszczeniem moich krzywd i śmierci moich ludzi, że już nie wspomnę o Gabrieli!

- O, mną się nie przejmuj, mała - odparł wesoło Szkot. - Już im odpłaciłem za swoje! Rozwaliłem kilka łbów, nim się z nimi rozstałem. Nieprędko zapomną Gabriela McFee!

i. - Ale zabili Gillesa, Pedra, Josepha, Stefana i...

- Ano, wiem. Nie zapomniałem o nich. - Olbrzym machnięciem ręki rzerwał jej wyliczanie poległych kamratów. - Trzymam z tobą, dziewczusko!

- Jeśli to już ustalone, to zajmijmy się czymś innym - wtrącił niecierpliwie Julian, spoglądając na słońce, które stało dość wysoko na niebie. - Największy kłopot będzie z końmi dla was. Ty możesz jechać ze mną, Violette. Ale nie mamy wierzchowca, który udźwignąłby twego towarzysza. .. a na dodatek jeszcze któregoś z moich ludzi.

- O to niech was głowa nie boli! - uśmiechnął się Gabriel. - Mam własnego konia, a przyprowadziłem także twojego, dziewczusko! Stoją tam uwiązane.

Wskazał ręką na wzniesienie.

- Masz mojego Cezara?! - wykrzyknęła Tamsyn. - Przyprowadziłeś go tu?

- Pewnie że tak, mała! Nigdy bym go nie zostawił. Jak mogłaś nawet pomyśleć coś takiego!

Tamsyn wspięła się na palce i ucałowała go.

- Nie mam pojęcia, jak ci się to udało... Prawdziwy z ciebie cudotwórca, Gabrielu! Sprowadzimy je tu od razu! - Odwróciła się do pułkownika. - Spotkamy się w waszym obozowisku!

St Simon zawahał się; nie bardzo miał ochotę puścić dziewczynę wolno z tym olbrzymim opiekunem, ale nie wiedział, jak mógłby temu zapobiec.

- Dałam ci słowo! - przypomniała mu, unosząc dumnie głowę. Oczy jej błysnęły. - Nie ufasz mi, jaśnie panie pułkowniku?!

Dobrze pamiętał ironiczne wyzwanie, jakie mu rzuciła poprzedniej nocy, pytając, czy uwierzy słowu rozbójniczki. Nie zaoferowała mu żadnej gwarancji i wolał jej nie ufać... Dlaczego miałyby teraz zdać się na honor dziewczyny, która nie kryła się z tym, że jest bandytką, złodziejką i wyrafinowaną szelmą?

Znowu wzruszył ramionami.

- Nie ma chyba większego znaczenia, czy ci wierzę, czy nie!

Odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku zagajnika i obozowiska.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, dziewczusko! - zauważył Gabriel, gdy szli żwawo brzegiem rzeki. - El Baron nie chciałby się zadawać z żołnierzami! A ty wybierasz się do kwatery Wellingtona... To nie w porządku!

Pokręcił głową, warkocz objął mu się o ramiona.

- Nie obiecałam, że powiem to, na czym tak im zależy - przypomniała mu.

- A skąd wiesz, że nie wycisną tego z ciebie?
- O, sądzę, że pułkownikowi można zaufać. Dotrzyma słowa! - odparła beztrzesko, a potem ruszyła biegiem. - Otóż i Cezar! I moja strzelba, i mój sztylet... Jak ci się udało odebrać je Francuzom?!

Gabriel prychnął pogardliwie.

- E tam! To była bułka z masłem, dziewczusko! Latało toto jak półprzytomne... a jak kilku z nich połamałem kości, nikt mi już nawet nie przeszkadzał.

Chwycił dziewczynę i podsadził na grzbiet białego jak mleko araba, zanim dosiadł swego wierzchowca. Był to paskudny zwierzak, ale dzięki masywnym barkom i potężnym pęcynom mógł unieść tak olbrzymiego jeźdźca.

- A poza tym mam pewien plan... - Tamsyn kontynuowała myśl, jakby nie było żadnej przerwy w rozmowie. Usadowiła się w siodle i czule wytargała swojego rumaka za uszy. - Mam wrażenie, że nasz utytułowany pułkownik może okazać się użyteczny, jeśli zdołam sobie zapewnić jego usługi.

- Użyteczny? Niby do czego? - W głosie Gabriela brzmiała nieufność. Wiedział z doświadczenia, że plany Tamsyn przeważnie bywają pokrętne. - I jak chcesz sobie zapewnić jego usługi?

Tamsyn uśmiechnęła się i rzuciła tajemniczo:

- Wszystko w odpowiednim czasie, Gabrielu!

Bynajmniej nieuspokojony olbrzym dał jednak za wygraną i dotrzymał dziewczynie kroku, gdy galopowali brzegiem rzeki, potem zaś skręcili między drzewa.

Żołnierze z szóstego regimentu byli już spakowani i gotowi do drogi stali obok swoich koni. Ogniska pogaszono. Julian aż gwizdnął na widok wspaniałego wierzchowca La Violette, niewątpliwie układanego przez mameluków; było to równie oczywiste jak czysta arabska krew siwka.

- Wyobrażam sobie, że musiałeś nieźle się natrudzić, by wydostać to cudo z łap Cornicheta! - zauważył pułkownik do Gabriela, gdy tamci dwoje podjechali bliżej.

- Było trochę kłopotu - odparł olbrzym, zbywając wzruszeniem ramię swą bójkę z sześcioma krzepkimi Francuzami. - Ale miałem maczugę i swój rapier. No i dzięki wam tyle było dymu dokoła, że zabójady miały pełne ręce roboty!

Julian pogładził mleczną szyję araba, oglądając go doświadczonego okiem.

- Dostałam go w prezencie od ojca na moje osiemnaste urodziny - zwierzyła mu się Tamsyn, zachwycona, że prawdziwy znawca koni nie kryje podziwu dla Cezara, jej dumy i radości.

- Wspaniałe zwierzę! - przyznał Julian.

Na właścicielkę ogiera spojrzął nieco ironicznym wzrokiem. Zauważył sztylet w pochwie przy siodle, długą strzelbę przytroczoną do łęku i ładownicę przewieszoną przez pierś dziewczyny. Widywał już nieraz podobnie uzbrojone kobiety, należące do oddziałów partyzanckich, ale kontrast między tym arsenałem broni i filigranową postacią La Violette był doprawdy uderzający! A jednak swobodne zachowanie dziewczyny świadczyło niezbitnie o tym, że czuje się ona całkiem naturalnie w takim rynsztunku i w swym wysokim siodle z doskonale wyprawionej skóry.

- Bez wątpienia skradziony ze stadniny jakiegoś hiszpańskiego granda! - dorzucił Julian, nadal z odcieniem ironii.

- Prawdę mówiąc, to był Turek - odparła Tamsyn. - Przeprowadził się przez Sierra Nevada z całą swą stadniną i mułami, objuczonymi złotem i szmaragdami. Mój ojciec uwolnił go od wszystkich doczesnych dóbr!

- Wstydź się, mała, opowiadać takie kłamstwa - obruszył się Gabriel. - El Baron miał własną stadninę, Anglika! Była szeroko znana w Hiszpanii i Portugalii i chętni zjeżdżali się ze wszystkich stron, by kupić od niego żrebaka. Ale on sprzedawał konie tylko tym, którzy zrobili na nim dobre wrażenie. Widywałem dorosłych mężczyzn we łzach, sypiących złotem... ale El Baron nigdy nie ustąpił, jeśli mu ktoś nie przypadł do gustu.

- Ależ masz bujną wyobraźnię, señorita! - mruknął St Simon, spoglądając na Tamsyn, wyraźnie urażoną nieproszonymi uwagami Gabriela.

- Nie tak bujną jak twoja, pułkowniku! - warknęła.

Wzruszył ramionami.

- Proponuję, byś ją wykorzystwała, opracowując szczegóły swojej zemsty na Cornichecie. A teraz w drogę! Nie zamierzam tracić więcej czasu niż to konieczne na tę śmiechu wartą wyprawę!

Skoczył na konia i zawołał:

- Sierżancie, dajcie rozkaz wymarszu!

Czerwona z gniewu Tamsyn trzymała się na uboczu z Gabrielem, gdy oddział konnicy opuszczał polankę. Mało brakowało, a zawróciłaby swego konia i popędziła w przeciwnym kierunku. Żaden oficer kawalerii by jej nie dogonił! Ale jej dawne życie zakończyło się definitywnie - najpierw na skutek masakry w Pueblo de St Pedro, potem zaś zasadzki przygotowanej przez Cornicheta. Musiała więc skoncentrować się na przyszłości... a ten angielski pułkownik

jakoś się w nią wplątał. Potrzebowała jego pomocy, żeby wyrównać rachunki z Cornichetem, ale w jej umyśle zarysował się już inny, znacznie poważniejszy plan, w którym lord Julian St Simon odgrywał niebagatelną rolę. Ten Kornwalijszczyk przypadkiem zjawił się we właściwym miejscu o właściwej porze, choć bardzo wątpliwe, by on sam tak myślał. Sprawa wyjaśni się, kiedy dotrą do Elvas, ale najpierw Cornichet zapłaci za swoje grzechy!

4

Po sześciu godzinach znaleźli się na obrzeżach Olivenzy. Tamsyn i pułkownik nie zamienili ze sobą ani słowa. Dziewczyna podróżowała wraz z Gabrielem tak jak partyzanci - trzymając się z dala od angielskich żołnierzy i jadąc po wzgórzach biegnących równolegle do drogi. Gabriel - niechlubiący się swymi umiejętnościami cudotwórca - wydobyl z juków chleb, ser, suszone daktyle i bukłak wina. Pożywiali się, jak zwykle, nie zsiadając z koni.

Julian nie tracił ich z oczu dzięki lunecie polowej, gdy jechali w pewnej odległości; kiedy jednak dotarli do miasta, dwoje wolontariuszy zjechało na drogę i przyłączyło się do żołnierzy.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale według mnie to dziwacznicy z nich sprzymierzeńcy - mruknął sierżant. - Z tym wyrwidębem wolałbym się nie spotkać w ciemnej uliczce!

- Nie dziwię ci się - przyznał Julian, czując, że sierżantowi należą się pewne wyjaśnienia. - Ale widzicie, sierżancie, La Violette zawsze każe sobie płacić za usługi... i ta mała eskapada to właśnie cena, jakiej zażądała za to, że uda się z nami do kwatery głównej. Nie ma rady, musimy płacić!

Nie wyjaśnił sierżantowi, jak to się stało, że opuścił obozowisko z branką mocno uwiązaną na sznurze, potem zaś wrócił sam, a dziewczyna dołączyła jeszcze później w towarzystwie olbrzyma pełniącego rolę jej straży przybocznej. Podkomendni St Simona mogli z tego wyciągnąć takie wnioski, jakie im się podobały. Byli zresztą przyzwyczajeni do dziwacznych zachcianek oficerów i do wypełniania ich niezrozumiałych rozkazów.

- Lepiej zaczekać do zmroku, nim zbliżymy się do francuskiego posterunku - oświadczyła Tamsyn, podjeżdżając truchtem do pułkownika. Mrużąc oczy, wpatrzyła się w ciemniejącą kulę zachodzącego słońca. - Gabriel zaraz wyruszy na rozpoznanie terenu, żeby się upewnić, że Cornichet nadal tu jest.

- Możecie sobie robić, co się wam podoba, ale my przeprowadzimy zwiad na własną rękę - poinformował ją St Simon lodowatym tonem. - Nie posłę moich ludzi do akcji, opierając się na informacjach z drugiej ręki!

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- Jak sobie życzysz, milordzie! Ale, według mnie, to tylko marnowanie czasu i energii. Założę się, że Gabriel zna się na tym lepiej niż jakikolwiek angielski żołnierz!

- Masz oczywiście prawo do własnego zdania.

Julian zawrócił konia, dając znak swoim ludziom, by postępowali za nim. Wjechali w las otaczający miasto.

Pompatyczny osioł! Tamsyn pokręciła głową z irytacją, pojechała jednak za nimi razem z Gabrielem. Zatrzymali się na niewielkiej polanie w chłodnym, mrocznym ustroniu leśnym. Pułkownik wydał po cichu rozkazy zwiadowcom. Dwóch żołnierzy zsiadło z koni i zniknęło w wysokich zaroślach.

- A niech się sami męczą! - stwierdził pogodnie Gabriel, wzruszając ramionami, i wydobył znowu bukłak. Odchylił głowę do tyłu i ciemnoczerwony strumień popłynął łukiem ze skórzanego worka do jego ust.

- Napijesz się, pułkowniku? - zaproponował grzecznie olbrzym, widząc, że Julian go obserwuje, i podał mu bukłak.

- Dzięki!

St Simon z przyjemnością pociągnął łyk mocnego wina. Chciał zwrócić Gabrielowi jego własność, ale Tamsyn pochwyciła skórzany worek.

Zęby jej błysnęły perłową bielą, gdy otworzyła usta i odrzuciła głowę do tyłu. Julian przyłapał się na tym, że wpatruje się jak urzeczony w jej smukłą szyję i rubinowy strumyk spływający prosto w rozchylone wargi. Krótkie włosy dziewczyny wydawały się niemal białe w gęstniejącym mroku, kontrastując ze złotawą opalenizną i ciemnymi rzęsami. Przypomina barbarzyńską wojowniczkę, pomyślał, dosiadającą wspaniałego rumaka, uzbrojoną po zęby, trzymając wodze w opalanej, nieznaną rękawiczek dłoni... Miała skórzane spodnie i koszulę spryskane błotem, a porządnie znoszone buty do konnej jazdy z miękkiego kurdybanu były najlepszym dowodem na to, że ich właścicielka większą część życia spędza w siodle.

...A jednak było w niej coś delikatnego. Wyraźnie przypominała kwiat!

Odsunął od siebie tę głupią myśl i oderwał wreszcie wzrok od dziewczyny.

i — Sierzancie, przekazcie żołnierzom, że mogą zsiąść z koni i odpocząć, nim wrócą zwiadowcy. Wszyscy powinni coś zjeść, ale ognisk nie rozpalać!

- Tak jest!

Sierzant wydał rozkaz i żołnierze z wyraźną ulgą zsiadli z koni. Mieli za sobą sześć godzin intensywnej jazdy, i to po fatalnych drogach. Nic dziwnego, że przeciągali się, by rozruszać mięśnie, i kłęli, otwierając juki i przygotowując zimną kolację z czego się dało.

Gabriel i La Violette pozostali jednak w siodłach, robiąc wrażenie, że czują się w nich równie wygodnie jak w fotelach. Nie po raz pierwszy Julian pomyślał, że twarde angielskie siodła z niskim łękiem są znacznie mniej wygodne od wyściełanych hiszpańskich.

Zwiadowcy wrócili w ciągu godziny. Francuzi pod dowództwem Cornicheta nadal znajdowali się w obozie położonym w głębi lasu, mniej więcej o pół godziny drogi od angielskiego oddziału. Pracowicie naprawiali uszkodzone podczas pożaru chaty. Podwoili strażę, toteż następny atak na nich byłby znacznie bardziej ryzykowny. Między innymi dlatego, że noc zapowiadała się jasna i pogodna. Nie było co liczyć na ulewny deszcz i gęstą pokrywę chmur.

Julian zmarszczył brwi. Nie zamierzał tracić ani jednego ze swoich ludzi dla jakiegóż tam prywatnej wendety! Trzeba będzie działać z ukrycia, a nie atakować wroga otwarcie.

- Dopilnujcie, sierżancie, żeby wszyscy żołnierze pozostali na miejscu. Nasłuchujcie pilnie i bądźcie gotowi ruszyć nam w sukurs, gdyby coś poszło nie tak!

- Ty - zwrócił się do Tamsyn, wskazując na nią palcem - i Gabriel pójdzicie ze mną. Musimy uporać się z tym we trójkę, inaczej nie ma mowy!

Tamsyn rozważyła sytuację. Pułkownik właśnie zmienił samowolnie warunki umowy... ale jego intensywnie niebieskie oczy były twarde jak diamenty, stanowcze usta zaciśnięte, a broda uparcie wysunięta do przodu, "wszystko wskazywało na to, że nie dobieje z nim korzystniejszego targu. Jednak sam pułkownik nie był ułomkiem i choć nie mógł się równać z Gabrielem, robił imponujące wrażenie. Emanowała z niego wewnętrzna siła. Z takim przeciwnikiem każdy by się liczył! Aj ego ludzie będą ich przynajmniej osłaniali podczas odwrotu.

Tamsyn skinęła głową, a potem zsiadła z konia, zarzucając strzelbę na ramię.

- Lepiej podejść tam na piechotę.

Skradali się przez zarośla. Julian, który okrył znów swój szkarłatny mundur czarnym płaszczem, był zaskoczony, z jaką łatwością Gabriel,

choć taki wielki, potrafi zniknąć w krzakach i wtopić się w tło. Tamsyn poruszała się zwinnie jak łania; jej stopy ledwie dotykały gruntu, nie zgniatając prawie trawy. On sam nie miał doświadczenia w partyzanckich podchodach i czuł się wielki i niezdarny w porównaniu ze swymi towarzyszami.

Zatrzymali się mniej więcej pięćdziesiąt metrów od obozu Francuzów. Mogli stąd obserwować patrolujące teren pikiety. Do jednego wartownika po chwili przyłączał się drugi, z bronią na ramieniu. Zamieniali kilka słów i rozchodzili się w przeciwną stronę.

Przygotowanie zasadzki w pobliżu linii pikiet nie będzie rzeczą łatwą!

- Może by tak obok latryn? - szepnęła Tamsyn. Oczywiście błyszczały szelmowsko w zupełnych już ciemnościach. - Kiedy Cornichet uda się tam, jak co wieczór, moglibyśmy zacząć się na niego. Wszystko robi dzień w dzień o tej samej porze! O jedenastej wieczorem pora na spacer do wychodka. Z kieliszkiem koniaku w ręku!

- Skąd wiesz?

Julian wpatrywał się w nią mimo ciemności. Był podekscytowany, choć nie popierał tej czasochłonnej i ryzykownej wyprawy. Najwidoczniej udzieliło mu się podniecenie psotnej istoty stojącej obok niego.

Tamsyn się skrzywiła.

- Spędziłam przecież dwa i pół dnia jako jeniec w jego chacie, pułkowniku! Miałam okazję poznać dokładnie jego nawyki.

- Wiesz, gdzie znajduje się latryna dla oficerów?

Skinęła głową.

- Pozwolili mi z niej korzystać. Dwa razy na dzień - dodała.

Aż syknęła, przypominając sobie niewygody i upokorzenia związane z niewolą.

Julian nic na to nie odpowiedział. Jeśli ktoś prowadzi nieczystą grę, nic dziwnego, że wyląduje w błocie! Nie sądził zresztą, by La Violette oczekiwała od niego współczucia.

- No więc, gdzie są te latryny?

- Na samym skraju obozowiska, jakieś trzy metry przed linią pikiet.

- No to prowadź, Violette!

Miał kwaśną minę. Ze wszystkich zwariowanych eskapad musiał wpłatać się właśnie w tę najgorszą! Ale ta hiszpańsko-kornwalijska rozbójniczka miała niesłychanie bujną wyobraźnię, jeśli chodzi o planowanie upokarzającego upadku swoich wrogów. Położenie Cornicheta będzie niemal tak groteskowe jak jego, gdy został przyłapany między nogami tej bezwstydnej bandytki!

Gabriel uśmiechał się szeroko, ubawiony obmyśloną przez Tamsyn zemstą. A przecież on też ucierpiał z rąk Cornicheta i jego ludzi.

Skradali się w ciszy wzdłuż linii pikiet. Jakaś gałązka trzasnęła pod bu-tem Juliana, jakby ktoś wystrzelił z pistoletu. Tamsyn natychmiast zbliżyła dłonie do ust, doskonale naśladowując głos lelka. Gabriel skinął głową z apro-batą, Julian zaś przeklinał w duchu, że jest tak niezdarny.

Zapach dymu i swąd pogorzelniska nadal unosił się w powietrzu, a las był niezwykle cichy. Jego mieszkańcy pierzchnęli przed człowiekiem i ogniem. Drzewa nadal były bezlistne i sierp księżycy przeświecał przez gałęzie z za-trważającą jasnością, ale Gabriel i Tamsyn potrafili stopić się z osrebrzonym pniem i przeczołgać na brzuchu przez zarośla, Julian zaś naśladował ich, jak mógł. Przemykali się od jednej plamy cienia do drugiej, aż wreszcie okrążyli posterunek i niemiły zapaszek zdradził im, gdzie wykopano latryny.

- Latryna dla oficerów znajduje się na samym końcu, najbliższej obozu - szepnęła Tamsyn cichutko. - Jest osłonięta płótnem, jakby oficerowie przychodzili tu w innym celu niż zwykli żołnierze! - dodała szyderczym tonem.

- Ale sama byłaś rada z tego odosobnienia? - zauważył sucho Julian. Niechętnie potwierdziła.

Jest diabelnie uparta, pomyślał, ale potrafi ustąpić, kiedy nie ma racji!

Od strony linii pikiet dobiegły jakieś odgłosy. Przyglnęli do ziemi za kolczastym krzewem. Tamsyn, wciśnięta pomiędzy dwóch mężczyzn, ostrożnie uniosła głowę, by spojrzeć przez gałęzie. Pułkownik bezceremonialnie przycisnęła ją do ziemi.

- Nie spostrzegli nas! - zaprotestowała gwałtownie. - To tylko spotkali się wartownicy!

- Twoje włosy w blasku księżycy świecą jak pochodnia! - syknął jej do ucha. - Osłoń głowę chustką!

Tamsyn ściągnęła z szyi ciemną chustkę i zawiązała na głowie. Diabli ją brali, że o takim elementarnym środku ostrożności musiał jej przypomnieć ktoś, kogo uważała za nowicjusza w tej grze. Nie mogła jednak odmówić mu racji.

- Pikietujący mniej więcej przez trzy minuty patroluje swój odcinek - szepnął Gabriel. Podczas utarczki słownej pułkownika z Tamsyn skupił się na tym, co było najważniejsze. - Dość czasu, by jedno z nas przemknęło na drugą stronę.

- Ja pójdę pierwsza! - oświadczyła Tamsyn. - Ty, Gabrielu, za mną, a pułkownik na końcu!

- Nie - sprzeciwił się Julian. - Ty pójdziesz między nami. Gdybyś została schwytana, zaatakujemy ich z dwóch stron!

- To może się zdarzyć każdemu z nas, prawda?

- Cornichetowi zależy przede wszystkim na tobie. Nie po to wyciągnąłem cię już raz z tych tarapatów, żebyś znów w nie wpadła! Wystarczy, że zgodziłem się na zaspokojenie twojej idiotycznej zachcianki, z uszczerbkiem dla mojej ważnej misji!

Przez sekundę Tamsyn zmagą się ze sobą. Pułkownik nie mógłby jej powstrzymać, gdyby po prostu przebiegła na tamtą stronę. Gabriel poszedłby za nią i poradziliby sobie bez pomocy tego zarozumialca! Ale on miał trochę racji... Duma walczyła w niej ze zdrowym rozsądkiem i ten ostatni zwyciężył.

Nie odpowiedziała, tylko przycupnęła znów za krzakiem, marszcząc gniewnie brwi. Julian skinął na Gabriela i gdy pikietujący odwrócili się od siebie, by pomaszerować każdy w swoim kierunku, olbrzym skoczył do przodu. Co prawda, przeważnie czołgał się niemal po ziemi, ale przez kilka przerażających chwil był widoczny w blasku księżyca. Potem zniknął wśród cieni - już za linią pikiet.

Dwoje pozostałych zastygło w bezruchu. Pikietujący powrócili i znów się rozdzielili. Tamsyn nie czekała na skinienie głowy pułkownika. Pomknęła naprzód, nisko schylona - małeńka, unosząca się tuż nad ziemią postać. Potem zniknęła również w mroku za linią pikiet.

Julian czekał samotnie. Nie przejmował się już absurdalnością tej wyprawy. Teraz, gdy gra się zaczęła, skoncentrował się bez reszty na tym, by pomyślnie ukończyć zadanie. Kiedy przyszedł czas na niego, wynurzył się z ukrycia i pobiegł. Czuł, jak szabla obija mu się o biodro. Potknął się na jakimś kamieniu i o mały włos nie upadł. Wymyślał sobie od niezgułów, ale w mundurze oficera kawalerii był bardziej obciążony i skrępowany niż jego towarzysze.

- Tutaj! - ciche syknięcie Tamsyn przyzywało go z mroku.

Upadł na ziemię obok tamtych dwojga, tuż za stołem drewna. W obozie było o tej porze zdumiewająco cicho. Z niektórych namiotów i chat dolatywały jednak stłumione głosy - od czasu do czasu wybuch śmiechu czy okrzyk niezadowolenia.

- Chodźmy tam czym prędzej!

Tamsyn już chciała się zerwać, ale Julian chwycił ją za ramię. Uścisk jego palców był mocny, oczy płonęły mu w mroku.

- W tej samej kolejności co przedtem!

Przystała na to bez słowa. Czekali, aż Gabriel przemknie się pomiędzy drzewami do osłoniętej płótnem oficerskiej latryny i zniknie za nią.

- Teraz ty!

Angielskiemu pułkownikowi widać wydawało się, że on tu dowodzi! Nie było jednak czasu na dyskusje z nim. Tamsyn pomknęła jak wiatr, uskrzydłona nadzieją zemsty na Cornichecie. Warto było znieść nawet władcze maniery Anglika, byle osiągnąć ten cel!

Dokładnie o jedenastej wieczorem major Cornichet wynurzył się ze swej chaty z kieliszkiem koniaku w rękę. Przystanął i spojrzął w niebo, rozkoszując się świeżością powietrza. Teraz, gdy deszcz przestał padać, szturm Anglików na Badajos powinien nastąpić lada chwila. Jego własny oddział był zbyt mały, żeby ruszyć z pomocą rodakom i wesprzeć broniący miasta garnizon... Gdyby jednak La Violette nie wymknęła mu się, mógłby teraz zniszczyć kilka okolicznych partyzanckich band. A mapa bezpiecznych przejść przez góry stanowiłaby nieocenioną pomoc dla strudzonych francuskich wojsk!

Cornichet sam zaplanował to mistrzowskie posunięcie i przeprowadził akcję, która omal nie zakończyła się triumfem. Przyniosłaby mu gratulacje zwierzchników i prawie na pewno awans. Dzięki temu mógłby opuścić ten przeklęty kraj, nim zacznie się znów to koszmarne lato! Został jednak wykrywany przez Anglików, którzy pewnie wydobyli już od La Violette wszystkie najistotniejsze informacje.

Cornichet miał zniechęconą minę, gdy kroczył przez obóz, dokonując, jak zawsze, przeglądu pikiet. Chmurnego milczenia dowódcy nie ośmielił się przerwać nikt z jego ludzi. Wreszcie major odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę latryn.

- Już go tam niesie! - szepnął jeden z piechurów do swego towarzysza. - Stary kursuje regularnie, jak w zegarku!

Ordynarna odpowiedź pobudziła do śmiechu obu żołnierzy, a tymczasem major odsunął płócienną zasłonę i zniknął im przed oczu.

Cornichet starał się właśnie usadowić jak najwygodniej na drewnianych deskach nad rowem, gdy ostrze noża przebiło się przez płócienną ściankę od strony ogrodzenia. Major wpatrywał się w nie przez chwilę, nie wierząc własnym oczom. Kiedy płótno pękło z trzaskiem, na twarzy Cornicheta ukazał się wyraz niebotycznego zdumienia, gdyż w otworze pojawiła się drobna twarzyczka La Violette.

- *Bon soir**, majorze Cornichet! - białe zęby dziewczyny błysnęły w uśmiechu bynajmniej nie przyjacielskim. W jednej chwili przyciskała do gardła Francuza sztylet. - Mamy ze sobą niezakończony porachunek! Tylko nie krzycz - dodała cicho, widząc, że przeciwnik odzyskał już zdolność rozumowania. - Jeśli otworzysz usta, mój przyjaciel wpakuje ci kulę w łeb.

Cornichet wpatrywał się w osłupieniu w wyblakłe oczy Gabriela, spoglądające na niego zza pleców dziewczyny z pozorną łagodnością. Lufa strzelby wystawała przez dziurę w płótnie.

- *Sacrebleu!*** - mruknął major na widok tej zjawy, usiłując niezdarnie podciągnąć spodnie, nie poruszając przy tym głową, by nie nadzieć się na ostrze.

- Niezbyt miłe uczucie, prawda? - odezwała się znów dziewczyna.

Nadal się uśmiechała, ale jej oczy były twarde i zimne jak fiołkowe kamiki. Sztylet drasnął Cornicheta i kropla krwi ściekła na fałdy białej chustki, którą miał na szyi.

Jego jabłko Adama poruszyło się spazmatycznie. Przestał już poprawiać garderobę i stał bez ruchu. Na czole perlił mu się pot.

- Jest pewne stare powiedzenie, majorze: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe!” - ciągnęła dalej La Violette. - Pamiętam też jeszcze jedno, o słodyczy zemsty...

Koniuszek noża zakreślił krąg na jego skórze.

- Na litość boską! - szepnął chrapliwie Francuz. - Rób, co masz robić, nie zwlekaj!

Pokręciła głową, a wyraz jej oczu przypawił go o dreszcz. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, St Simon odezwał się ze zniecierpliwieniem z mroku za jej plecami:

- Na Boga, dziewczyno! Nie baw się nim jak kot myszą! Uporajmy się z tym szybko i wynośmy się stąd!

Cornichet wpatrywał się oniemiały w wysokiego Anglika, który bez ceremonii odsunął jego dręczycielkę. W prawej ręce miał kawaleryjską szablę i wydawał się mocno zniecierpliwiony.

- Wybacz, Cornichet, ale chciałbym poprawić coś w twoim stroju! - Ostrze jego szabli błysnęło dwukrotnie tak szybko, że Francuz nie zdążył nawet zaczerpnąć tchu, i obszyte złotem epolety wpadły z pluskiem do cuchnącego rowu.

* *Bon soir* (fr.) - dobry wieczór.

** *Sacrebleu* (fr.) - psiakość.

- Guziki też! - zażądała ukryta teraz w mroku La Violette.
Julian westchnął.

- Przykro mi, Cornichet, ale zawarłem umowę z tą mściwą szelmą!
Jego szabla znów błysnęła i złote guziki od munduru, oznaczone napoleońskim orłem, w ślad za epoletami powędrowały do latryny.

Cornichet usiłował zebrać myśli, ale nim zdążył tego dokonać, nieproszony gość zniknął i major został sam w śmierdzącej klitce. Gdyby nie rozcięcie w płótnie i jego zbezczeszczonego mundur, można by pomyśleć, że był to jedynie koszmarny sen.

Cornichet raz jeszcze chwycił spodnie i podciągnął je wreszcie.

- *A moi... a moi!** — wrzeszczał, wypadając z latryny i pędząc do obozu.

Żołnierze zbiegali się ze wszystkich stron, a rozwścieczony major wykrzykiwał rozkazy, plątał się w wyjaśnieniach i przytrzymywał spodnie w pasie. Jego pozbawiona guzików kurtka mundurowa rozchyłała się, nie zasłaniając piersi.

Julian zorientował się, że Gabriel zniknął, kiedy wpadli w las, słysząc rosnącą wrzawę za ich plecami.

- I my powinniśmy się rozdzielić! - zawołała Tamsyn, gdy pędzili ramię w ramię przez zarośla. - Jeśli każde z nas pobiegnie w inną stronę, trudniej im będzie nas ścigać!

- Nie zamierzam tracić cię z oczu - zgrzytnął zębami pułkownik, chwytając Violette za nadgarstek, gdy usiłowała uskoczyć w bok.

- Przecież dałam ci słowo!

- I tak nie spuszczę cię z oczu. No, pospiesz się, dziewczyno!

- A co ja robię?! - spytała gniewnie. - Gdybyś miał choćby szczyptę rozumu, jaśnie panie pułkowniku, zrozumiałbyś, że z twoimi ludźmi został mój koń! Prędzej szlag mnie trafi, niż zrobię wam prezent z mojego Cezara!

- Wolę mieć dodatkowe zabezpieczenie! - odparł ze spokojem.

- Nie masz pojęcia o walce partyzanckiej!

Więcej nie rozmawiali. Pędząc przed siebie, nie zważali na hałas, jaki robią, ani na ślady, jakie pozostawiają. Liczyła się tylko szybkość.

Z tyłu dolatywały bezładne okrzyki i odgłosy nieregularnej strzelaniny. Ktoś wrzasnął z bólu. Dał się słyszeć także ryk wściekłości.

- Chyba strzelają do siebie! - wysapała Tamsyn i zachichotała. - Sami nie wiedzą, czego szukają! Wyobrażasz sobie, jak Cornichet próbuje im wyjaśnić, co się stało?

A moi... a moi! (fr.) - do mnie, do mnie.

- Przestań się puszyć i nie gadaj tyle! - uciał sucho Julian, choć ledwo mógł się powstrzymać od śmiechu na myśl o zawsze eleganckim majordze, który w opadających spodniach i pociętej kurtce próbuje zrelacjonować zajście w latrynie.

Kula świsnęła nad ich głowami i od razu odechciało im się śmiać. Byli już blisko polanki, na której czekali na nich ludzie St Simona... ale „blisko” nie wystarczało, gdy w każdej chwili ktoś mógł im odstrzelić uszy!

Tamsyn skręciła w bok, ciągnąc za sobą pułkownika, i zmusiła go do przedzierania się przez nieprzebyte gąszcz kolczastych krzewów. O dziwo, okazało się, że było w nim jakieś przejście, ale i tak ciernie rozdzierały ich ubrania.

A potem wydostali się na polankę. Sierżant, słysząc hałasy, polecił dwudziestu żołnierzom z szóstego regimentu siadać na koń i z szablami w rękę gotować się do ataku. Tamsyn wskoczyła na grzbiet Cezara i w tym samym momencie z zarośli wynurzył się Gabriel z obnażonym rapierem. Uniósł dłoń na powitanie z miną tak dobroduszną i beztroską jak zawsze i dosiadł swego wierzchowca.

- Ludzie aż się rwą do walki! - zaraportował sierżant, gładząc rękoięść własnej szabli. - Chyba się im należy trochę zabawy?

Pułkownik St Simon pokręcił tylko głową.

- Walki im nie zabraknie pod Badajos!

Zawrócił konia, uniesieniem ręki nakazując swoim ludziom, by jechali za nim.

Kawalkada opuściła galopem polankę w tej samej chwili, gdy niewielka grupka ścigających ich Francuzów przedarła się przez chaszczę. Ponieważ jednak wszyscy mogli liczyć tylko na własne nogi, patrzyli z bezsilnym gniewem, jak przeciwnicy znikają w mroku.

Koń St Simona zrównał się z białym jak mleko arabem Tamsyn. Pułkownik spostrzegł, że dziewczyna ma długą ryś na policzku - ślad po cierniach, przez które się przedzierali - ale niezbyt się tym przejmując.

Jak, u diabła, ta dziewczyna zdoła udowodnić swe pokrewieństwo z jakąś kornwalijską rodziną?! Wydawało się to mało prawdopodobne, nawet jeśli istotnie miała tam krewnych. Mimo woli doszukiwał się w jej powierzchowności śladów angielskiego pochodzenia. Nie miała co prawda oliwkowej cery, czarnych włosów i ciemnych oczu typowej Hiszpanki, lecz jasną karnację, blade złote włosy i fiołkowe oczy, znacznie częściej spotykane w Anglii. Ale zdarzały się przecież blondynki o jasnej cerze także w Hiszpanii. St Simon uważał, że nic w wyglądzie Tamsyn nie potwierdzało bezspornie jej

twierdzeń, choć również nie przeczyło im kategorycznie. Na dodatek najbardziej rzucały się w oczy takie cechy charakteru Violette, które pasowały raczej do córki hiszpańskiego rozbójnika niż do dobrze ułożonej angielskiej panny, Ot, choćby bezwzględność i arogancja, żeby wymienić tylko te dwie!

- Mam nadzieję, że twoim zdaniem dopełniłem warunków naszej umowy? - spytał z nieco ironicznym uśmiechem.

- W zupełności, pułkowniku! - odparła. - I nie udawaj, że się przy tym nie ubawiłeś! Sama widziałam, jak ci się oczy błyszczały z uciechy!

- Nic podobnego! - odparł zde gustowany pułkownik.

- Naprawdę tak było - zapewniła go z szerokim uśmiechem. Jej prześliczne zęby błysnęły w blasku księżyca. - Po prostu nie spojrzawsz do lustra w odpowiednim momencie!

Na to Julian nie znalazł już odpowiedzi, zmienił więc temat.

- Pozwolę wytchnąć koniom, kiedy to będzie absolutnie konieczne, ale poza tym nie ma mowy o postojach, póki nie dotrzemy do Elvas.

- Cezar jest bardzo wytrzymały - odparła bez trosko. - I wypoczął jak należy w obozie Cornicheta.

- Ty za to nie zaznałeś tam wiele snu - zauważył Julian.

- Potrafię spać w siodle. Często mi się to zdarza. - Zerknęła na niego z ukosa. - Nie martw się o mnie, milordzie! Mam szczerzy zamiar dotrzymać umowy. I nigdy nie złamałam szyku w marszu, nawet gdy się zdrzemnęłam!

Znowu spostrzegł, że smukła, prosta jak strzała dziewczyna aż kipi energią. Tyle w niej było stanowczości i determinacji, że Julian poczuł się jakoś niepewnie. Ilekroć wyczuwał w La Violette taki przypływ, nie wróżyło to nic dobrego!

5

Nieustanne wystrzały z armat, ustawionych pod murami Badajos, zagłuszały wszelkie inne odgłosy, gdy niewielka kawalkada zbliżała się do miasta położonego na wzgórzu pośrodku równiny. Niebo miało barwę ołowiu, chmury wisiały nisko nad szarą ziemią, tworząc całość wypraną z kolorów. Odcinały się od niej tylko szkarłatne kurtki kawalerzystów.

Julian, jadąc na czele swego oddziału, obserwował Gabriela i Violette, jak zwykle trzymających się z boku. Nie słyszał, o czym ze sobą mówili, ale

z ich gestów można było poznać, że się sprzecają. Dziewczyna gestykulowała zapalczywie. Całe jej ciało poruszało się zwinnie w siodle, gdy dowodziła swoich racji. Ogromny Gabriel przeciwnie - wydawał się niewzruszony jak skała; tylko od czasu do czasu kręcił przecząco głową.

Znajdowali się w odległości dwóch godzin jazdy od portugalskiego miasta Elvas, leżącego nad samą granicą, i Julian wiedział już, że dostarczy swój kwiatusek Wellingtonowi w ustalonym terminie. Niestety, nie był to skromny, uległy i wystraszony fiołeczek, któremu wódz naczelny mógł porachować płatki, ale pełna wigoru i pewności siebie chytruska, która - być może - da się skłonić do sprzedania swoich sekretów, lecz z pewnością nie wyjawি ich potulnie na każde żądanie. Ciekawe, jak Wellington oceni La Violette, a także rolę, jaką odegrał w całej sprawie jego pułkownik!

Julian się skrzywił. Trzeba będzie jakoś wyjaśnić, dlaczego utracił władzę nad swoją branką i musiał przystać na zaproponowany przez nią układ... Mógł jedynie żywić nadzieję, że rozbójniczka nie wspomni ani słowem o szaleństwie, jakie ich opętało na brzegu rzeki.

Nagle zorientował się, że tamtych dwoje zmierza galopem w jego stronę. Gabriel był wyraźnie niezadowolony, dziewczyna miała obojętną minę. Zrównali się z nim i odtąd jechali u jego boku.

- Kiedy mnie nie będzie, ty odpowiadasz za to dziecko, Angliku! - stwierdził Gabriel posępnym tonem.

Jego ręka spoczęła wymownie na rękojęści rapiera.

- Kiedy ciebie nie będzie? Dokąd się wybierasz?

- Nie twoja sprawa! Ale za małą ty jesteś odpowiedzialny. Zapamiętaj to sobie!

Julian pokręcił głową i roześmiał się z niedowierzaniem.

- Ja miałbym odpowiadać za postępowanie La Violette?! Dobry Boże! To ponad moje siły!

- Nie za jej postępowanie, tylko za jej bezpieczeństwo - wyjaśnił Gabriel, zanim Tamsyn zdążyła dać wyraz swemu oburzeniu.

- I nie przyszło ci do głowy, że jedno ma związek z drugim? - spytał kąśliwie Julian.

- Sama odpowiadam za własne czyny! - wykrzyknęła niecierpliwie Tamsyn. - Za swoje bezpieczeństwo też! Ależ z ciebie tchórzliwa stara baba, Gabrielu!

- El Baron powierzył mi opiekę nad tobą. - Usta olbrzyma zacięły się w grymasie uporu. - A jeśli chcesz koniecznie zrobić to głupstwo, i to sama jedna, to ja dotrzymam słowa danego twemu ojcu, dziewczuszko, najlepiej

jak potrafię! - Zmierzył niezycziwym wzrokiem St Simona. - I powiadam ci, Angliku, że jeśli spadnie jej choćby włos z głowy, możesz być pewien, że twoja głowa stoczy się z karku!

Tamsyn wzniosła oczy do nieba.

- Nic złego mnie nie spotka pod opieką angielskiego wodza, Gabrielu!

- Za to mogę ręczyć - potwierdził Julian, udając, że nie dosłyszał wrogiego tonu olbrzyma ani jego pogrożek. - Jak długo będzie gościć w naszej kwaterze głównej, nic się jej nie stanie. Ale jeśli wymknie się poza Elvas, umyłam ręce. Nie jestem niańką!

- A ja żadnej niańki nie potrzebuję! - warknęła Tamsyn. - Ani ochrony osobistej! Zabieraj się stąd, Gabrielu! Im prędzej wyruszysz w drogę, tym szybciej będziesz z powrotem.

- A dasz mi słowo, że nie opuścisz Elvas, póki nie wrócę?

Gabriel był wyraźnie zaniepokojony.

- Masz moje słowo! - Pochyliła się i leciutko pogłaskała go końcami palców po policzku. Jej uśmiech był czuły, spojrzenie ciepłe. - No, nie marudź! Będę tu całkiem bezpieczna. A ty dobrze wiesz, że musi tak być, i już!

Gabriel westchnął.

- Jeśli tak mówisz, mała...

Zawrócił konia i odjechał galopem, unosząc rękę w geście pożegnania.

- Biedny Gabriel, za nic nie chciał się ze mną rozstać! - powiedziała Tamsyn z tym samym czułym uśmiechem. - Boi się spuścić mnie z oczu, od kiedy...

Urwała nagle. Twarz jej spochmurniała, uśmiech zniknął.

- Od kiedy co? - spytał zaintrygowany Julian.

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- To stare dzieje, milordzie!

Ośłoniła oczy ręką i spojrzała na rysujące się w dali mury Badajos. Ziemia trzęsła się od wystrzałów armatnich. Słychać też było świst pocisków, którymi Francuzi odpowiadali na tę kanonadę.

- Dokąd on pojechał?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Musi coś mi przywieźć. Widzę, że do ostatecznego szturmuj już niedaleko!

Violette nie zamierzała powiedzieć nic więcej o tajemniczej wyprawie Gabriela. Pułkownik skinął głową.

- Koncentrujemy się na ostrzeliwaniu bastionów Santa Maria i La Trinidad.

- Jak prędko, zdaniem Wellingtona, Soult może przybyć z Kadyksu?
- Widzę, że doskonale orientujesz się w sytuacji! - zauważył, ironicznie unosząc brwi.

Możliwość przybycia francuskiego marszałka na pomoc obleganemu miastu była jednym z największych zmartwień księcia Wellingtona.

- Oczywiście! Przecież i ja biorę udział w tej wojnie, pułowniku!
- Dla własnej korzyści! - wypalił bez ogródek.

Oczy jej błysnęły.

- Podobnie jak wasza armia! Tylko partyzanci walczą po prostu za swój kraj, a ja im pomagam.

- Chyba nie zaprzeczysz, że każesz sobie za to płacić?

Popatrzyła na niego z głęboką pogardą.

- Od tych, których na to stać, biorę pieniądze. Tym, którzy ich nie mają, pomagam za darmo. Chyba to dość uczciwe zasady w interesach, jaśnie panie pułkowniku? A wojna to jeden wielki interes, jak sam doskonale wiesz! Mnóstwo ludzi bogaci się na wojnie.

- Tylko ci, którzy szukają własnej korzyści! - stwierdził z niesmakiem.

- A ty nie liczysz na żadne korzyści, milordzie? - spytała z pogardą w głosie. - Nie mam na myśli nic równie wulgarnego jak pieniądze, rzecz jasna! A zatem, co chcesz zdobyć? Sławę?... Zaszczyty?... Awans?

Julian nie odpowiedział. To prawda, że chciał zdobyć sławę i wyższy stopień, ale przecież walczył za ojczyznę! Powodowały nim lojalność i patriotyzm. Nie zamierzał jednak wyjaśniać takich subtelnosci tej wyrachowanej szelmie. Tylko by je wyśmiała!

Okrażali okopy podchodzące pod same mury. Odgłosy bombardowania były ogłuszające. Arabski koń Tamsyn spłoszył się; zaczął podrzucać łbem i unosił nogi bardzo wysoko, jakby stapał po podmokłym gruncie. Za to kawaleryjskie konie parły uparcie naprzód, nie zważając na hałasy i nierówność terenu.

Kiedy pocisk rozerwał się w odległości kilku metrów od nich i trysnęła fontanna błota, Cezar zarżał z trwogi i uskoczył w bok. Julian odruchowo chwycił za wodze Tamsyn, chcąc uspokoić zwierzę.

- Zabieraj łapy! - syknęła z taką zawziętością, że cofnął natychmiast rękę.

Umiejętnie opanowała konia, przemawiając do niego szeptem po hiszpańsku, a gdy był już spokojny, odwróciła się znów do pułkownika. Oczy jej płonęły.

- Jak śmiałeś dotykać cugli?!

- Bardzo przepraszam. - Był zbity z tropu jej wściekłością. - Przywykłem do przejazdów z moją siostrą. Nie najlepsza z niej amazonka, miałem się więc na bacności przez cały czas.

- Ale ja nie jestem twoją siostrą! - mknęła, nadal rozgniewana.

- Na szczęście, zważywszy na okoliczności! - mruknął z szelmowskim błyskiem w oku.

Nie mógł się powstrzymać!

Tamsyn przez chwilę spoglądała na niego złym wzrokiem, potem zaś parsknęła śmiechem.

- Masz rację, pułkowniku! Bywają grzechy zbyt okropne... nawet dla pozbawionych skrupułów bandytek!

Rozbawienie Juliana, całkiem niestosowne, zgasło równie szybko, jak się zrodziło.

- Nie wspominajmy już o tamtym incydencie, jeśli łaska! - powiedziała sztywno.

Tamsyn zerknęła na jego skępowaną minę i łobuzerski uśmiech przemknął jej po wargach.

- Pewnie nie chcesz, żeby się twój wódz dowiedział, jak zabawiałeś się z branką, co?

- Nie chcę, do wszystkich diabłów! - warknął.

- I nie chciałbyś, żeby się coś takiego powtórzyło? - dumiała na głos.

- Bardzo to niepochlebne dla mnie, pułkowniku. Ja przyznam, nie miałabym nic przeciwko powtórcie!

- Wybacz szczerą, ale ja bym sobie tego nie życzył! - oświadczył bez ogródek, odsuwając się z koniem. - Sierzancie, nie musicie nam już towarzyszyć. Wracajcie z żołnierzami do swojej brygady! My przekroczymy rzekę po moście pontonowym.

- Tak jest!

Sierzant polecił żołnierzom, by jechali za nim i wszyscy skierowali się w stronę miasta namiotów, które było obozowiskiem angielskiej armii pomiędzy Guadianą a rowami oblężniczymi. Pułkownik i jego towarzyszka dotarli brzegiem rzeki do jednego z mostów pontonowych łączących okopy z kwaterą główną w Elvas.

Pograżona w myślach Tamsyn nie mogła uwierzyć w to, że pułkownik powiedział prawdę. Jak mógł ktokolwiek, zaznawszy takiej ekstazy, nie pragnąć zakosztowania jej raz jeszcze? Usłyszała wyraźnie głos Cecile, miękki i zmysłowy, gdy ze śmiechem tłumaczyła córce, że w miłości „ape-

tyt rośnie w miarę jedzenia". Słyszała też potwierdzający te słowa śmiech El Barona i widziała jego ciemne, drapieżne oczy utkwione w twarzy matki z takim wyrazem, jakby miał ochotę ją pożreć.

Znowu zalała ją fala bólu. Nie opierała mu się, czekała po prostu, aż ze-
łżeje. Bolała zresztą przede wszystkim nad własną stratą. Nie mogła uwie-
rzyć, by nawet śmierć zdołała rozdzielić dwie istoty tak ze sobą związane,
jak jej rodzice.

Po moście pontonowym dotarli do niewielkiego miasteczka Elvas. Strzegący kwatery głównej wartownicy salutowali na widok pułkownika. Na brukowanych kocimi łbami uliczkach roiło się od żołnierzy w zielo-
nych mundurach strzelców i w szkarłatnych kurtkach piechoty i kawalerii. Adiutanci biegali między punktami dowodzenia. Ładowne wozy dostaw-
cze przejeżdżały z turkotem przez miasto, wioząc zaopatrzenie dla żołnie-
rzy w okopach. Cezar znowu się spłoszył, kiedy z bocznej uliczki wysko-
czył jakiś kundel, a za nim gromada małych oberwańców.

- Ten koń jest stanowczo zbyt nerwowy - zauważył Julian, gdy Tam-
syn uspokajała znów swojego siwka.

- Nie jest przyzwyczajony do miasta - burknęła, reagując opryskli-
wością na krytykę jej ukochanego Cezara. - Nie przywykł do takiego ści-
sku! Ale poniesie mnie bez chwili odpoczynku setki kilometrów na gór-
skim szlaku i wyprzedzi każdego konia, jakiego masz w swojej stajni, jaśnie
panie pułkownika!

- Wcale w to nie wątpię - odparł sucho.

Wolałyby, żeby Violette tak się do niego nie zwracała. To powiedzonko
miało ironiczny posmak.

Skierował konia do stajni na tyłach kwatery głównej Wellingtona.

- Mam nadzieję, że to nazbyt wrażliwe zwierzę potrafi się odpowied-
nio zachować w towarzystwie stajennych?

- Cezar ma doskonałe maniere! - odparowała, zsuwając się z niezwyk-
łą zręcznością, mimo zmęczenia, z końskiego grzbietu. Stajenny wybiegł
im na spotkanie i zrobił wielkie oczy na widok wspaniałego araba.

- To dopiero cud nad cudami! - powiedział z podziwem, zwracając się
do pułkownika, choć zerkał też ciekawie na jego towarzyszkę.

- Owszem, ale jest niezmiernie wrażliwy - odparł Julian. - Obchodź
się z nim bardzo ostrożnie. Nie mam ochoty szukać innego, równie do-
brego konia!

- Nie znalazłbyś takiego! - oświadczyła Tamsyn, przekazując wodze
stajennemu. - Cezar jest niezrównany! - Gładziła go po szyi, szepcząc

jakieś niezrozumiałe słowa, które wyraźnie konia uspokajały. - Zabierz go!
- poleciała stajennemu. - Teraz będzie całkiem spokojny.

- Chodźmy! - odezwał się St Simon z nagłą szorstkością.

Odwrócił się i ruszył w stronę zewnętrznych schodów drewnianego budynku.

Tamsyn poszła za nim, teraz dopiero uświadamiając sobie, jaka jest zmęczona, a raczej skrajnie wyczerpana. Nie była w odpowiedniej formie do prowadzenia pertraktacji z Wellingtonem. Powinna coś zjeść i przespać się, nim przeprowadzi to śmiałe przedsięwzięcie, które sobie zaplanowała. Wiele będzie zależało od tego, jakim człowiekiem okaże się angielski wódz naczelny. Słyszała, że usposobienie miał zmienne, ale nie wówczas, gdy znajdował się na polu bitwy. Znany był również ze swej słabości do płci pięknej. Czy mogłaby to jakoś wykorzystać? W tej chwili, brudna i obszarpana, raczej nie wyrze na nim korzystnego wrażenia.

U szczytu schodów pułkownik otworzył drzwi i znaleźli się w małym holu, gdzie znajdowała się niewielka kancelaria. Jej zapracowany szef, siedzący przy stole z sosnowego drewna, spojrzął na nich zza sterty dokumentów.

- Witamy, panie pułkowniku! - Zerwał się na równe nogi i zasalutował. - Książę ogromnie się ucieszy na pana widok!

- Znowu poirytowany, co? - Julian odwzajemnił żołnierskie powitanie i zerknął na zamknięte drzwi za plecami adiutanta.

- To już u niego chroniczne - odparł porucznik z niewesołym uśmiechem. - Zwłaszcza że stary Soult może się tu zjawić lada chwila. - Adiutant nie umiał ukryć swego zainteresowania i zerknął na drobną postać za plecami pułkownika, dodając: - Rad będzie, kiedy wreszcie usłyszysz jakieś dobre nowiny!

Pułkownik mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

- Trzeba ją mieć na oku! - wyjaśnił pospiesznie.

Ruszył ku drzwiom gabinetu i zastukał energicznie.

Tamsyn podeszła do okna i przysiadła na szerokim parapecie.

- Jak daleko sięga angielska gościnność? Czy mogę prosić o trochę wina... lub choćby wody? Jechaliśmy bez przerwy przez dwa dni i bardzo chce mi się pić!

Adiutant Wellingtona był wyraźnie zbity z tropu. Rozejrzał się dokoła, jakby szukał kogoś, kto mu udzieli rady.

Tamsyn westchnęła.

- Wbrew pozorom, jestem tu z własnej woli. Zapewniam pana, że nigdzie nie ucieknę i nikt nie musi strzec mnie nieustannie!

- Ale pułkownik...

- Do diabła z pułkownikiem! - odparła z irytacją. - Jest w złym humorze, to wszystko. Czy mógłby mi pan przynieść coś do picia? Bardzo proszę!

Szef kancelarii podniósł się z miejsca, choć minę nadal miał niepewną. Ta dziewczyna nie zachowywała się jak zaden z jeńców, z którymi się zetknął! Polecenie, by mieć ją na oku, wydawało się dość ogólne, a pułkownik St Simon był rzeczywiście w nie najlepszym humorze.

Adiutant zadowolony się półśrodkiem: zamknął na klucz drzwi wychodzące na zewnątrz i zszedł na dół, by wezwać ordynansa i zażądać karafki z wodą.

Czekając na powrót porucznika, Tamsyn wyglądała na ulicę. Pozornie czyniła to od niechcenia, w istocie jednak zwracała uwagę na każdy szczegół i starała się ocenić nastroje żołnierzy. Atmosfera była dobra; żołnierze wyraźnie akceptowali system, w obrębie którego działali. Oczywiście nastroje w kwaterze głównej nie musiały być takie same, jak wśród tych, którzy tkwili w okopach wokół Badajos! Obleżenie miasta to ciężkie i frustrujące zadanie. A im dłużej się przeciągało, tym bardziej brutalnie zachowywali się potem zwycięzcy.

Tamsyn wzdrygnęła się i skrzywiła usta z niesmakiem. Ach, ci żołnierze! - myślała. Dzikie bestie, bez względu na to, jakie mundury noszą i jakiej słusznej sprawie rzekomo służą. Wszyscy są tacy sami!

Adiutant powrócił z ordynansem niosącym karafkę z wodą i szklanek. Tamsyn odwróciła się od okna i siła nienawiści zionącej z jej fiołkowych oczu sprawiła, że obaj cofnęli się odruchowo. Zaraz jednak opanowała się i podziękowała za szklanek wody uprzejmym skinieniem głowy.

W gabinecie naczelnego wodza było ciepło. Płonący na kominku ogień rozjaśnił nieco mroczny dzień. Wellington nalał wina dla siebie i dla St Simona.

- A więc wyciągnąłeś ją ze szponów Cornicheta. Trudno było?

- Niezbyt... - Julian skosztował wina. - W każdym razie nie w tym momencie.

Słyszac to zastrzezenie, Wellington uniósł brwi, nie wypytywał jednak o nic. Podszedł do kominka i stanął tyłem do ognia.

- Jak dużo im powiedziała?

- Nic. Zjawiliśmy się w samą porę. - Julian wyjaśnił pokrótce, jak oswobodzili La Violette. - Odjechaliśmy stamtąd bez strat w ludziach i rozbiliśmy obóz kilka godzin później.

Zamilkł na chwilę. Przechodził właśnie do najtrudniejszej części swego sprawozdania.

- Następnego ranka dziewczyna musiała wyjść za potrzebą. Wyprowadziłem ją za obóz, nad rzekę. Na brzegu jest skalny występ. Violette była uwiązana za nogę, a drugi koniec sznura miałem owinięty wokół pasa...

Znowu napił się wina. Wellington nie odezwał się ani słowem.

- Ona ma ochronę osobistą... Ogromnego Szkota. Zdołał zbiec z obozu Cornicheta, kiedy podłożyliśmy tam ogień. Jechał za nami i... aż wstyd się przyznać, rzucił się na mnie, gdy czekałem, aż Violette skończy...

- Rozumiem. - Wellington gestem ręki przerwał dalsze wyjaśnienia.
- Rozbroił cię?

Julian skinął głową. Minę miał posępną.

- Zachowałem się jak skończony dureń!

..Gdybyś wiedział, jak dalece zgłupiałem!... dodał w myśli.

- A jednak sprowadziłeś ją tutaj?

- Tak, ale musiałem ją zapewnić, że będzie mogła wyjechać, kiedy zechce. Jest jednak gotowa przekazać nam informacje... za odpowiednią cenę.

- A mianowicie?

Julian kręciła głową.

- Tego na razie nie wyjawia.

- A ten jej olbrzymi opiekun?

- Wysłała go, żeby wypełnił jakieś polecenie. Majęj tu szukać, kiedy będzie wracał.

- Tajemnicza niewiasta! - zadumał się wódz.

Jego oczy spoczęły na twarzy pułkownika. Widział niezadowolenie St Simona, poczucie, że nie wypełnił swojej misji, jak należy, aczkolwiek takie niedopatrzenie można by uznać za niewinne potknięcie. Ale Julian St Simon nie tolerował niedociągnięć u innych, a tym bardziej u siebie.

- Poproś ją tu - polecił Wellington po chwili. - Wysłuchamy, co ma nam do powiedzenia.

Julian skinął głową i dodał z pewnym ociąganiem:

- Ona nie jest dokładnie taka, jak się spodziewaliśmy. -To półkrwi Angielka. Jej matka pochodziła z Kornwalii, tak przynajmniej twierdzi Violette. I w

- Szlachetnie urodzona Angielka związała się z osławionym rozbójnikiem?! Nie do wiary!

- Istotnie. Ale po co Violette miałyby wymyślać taką bajeczkę?

Wellington podrapał się po długim, kościstym nosie.

- Nie mam pojęcia!

Julian wzruszeniem ramion przyznał, że i on tego nie wie. Następnie podszedł do drzwi i otworzył je.

- Violette!

Tamsyn wolno zsunęła się z parapetu i podeszła do drzwi, pozostawiając pustą szklankę na biurku szefa kancelarii. Zerknęła na pułkownika z ukosa, gdy mijała go w przejściu, by stanąć przed wodzem naczelnym.

Wellington pochylił głowę w lekkim ukłonie. Jego oczy przesunęły się po drobnej postaci w zniszczonych, ubłoconych bryczesach i wysokich butach. Dziewczyna nadal miała na piersi ładownicę, strzelbę na ramieniu i nóż za pasem. Ajednak, pomyślał książę, jest w niej coś bezbronnego... Wydawała się bardzo młodzianka i bardzo samotna, kiedy tak stała, spoglądając na niego z ledwie dostrzegalnym wyzwaniem.

- Rozumiem, że chciałabyś mi coś sprzedać - powiedział.

- Jeśli się dogadamy co do ceny - potwierdziła.

- Ajakaż to cena?

Tamsyn pokręciła głową.

- Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym trochę odpocząć, zanim przystąpimy do pertraktacji. Nie wiem jeszcze dokładnie, czego pan chciałby się dowiedzieć!

Znowu posłała Julianowi spojrzenie z ukosa, i to tak zmysłowe, że zaparło mu dech w piersiach.

- Może pułkownik zaprowadzi mnie gdzieś, gdzie mogłabym trochę odpocząć?

Ciało Juliana zareagowało gwałtownie na tamto wspomnienie. Krew w nim zawrzała.

Boże święty! Do tej dziewczyny można by przywyknąć jak do narkotyku...

Musi oddalić się czym prędzej od tej niebezpiecznej pokusy, od tych szelmowskich fiołkowych oczu, tego drobnego, sprężystego ciała...

Sprowadził ją tu, wykonał swoje zadanie. Nie jego sprawa, jak Wellington dojdzie z nią do porozumienia!

- Proszę wybaczyć, ale muszę wracać do swojej brygady - odparł chłodno i odwrócił się, by wyjść.

W tym właśnie momencie dziewczyna nagle się zachwiała. Wysunęła rękę, jakby próbowała czegoś się uchwycić.

- Co się stało?

Jednym skokiem znalazł się obok niej i objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego natychmiast - taka mała i bezbronna w porównaniu z jego potężną postacią...

Tamsyn przymknęła oczy i wtuliła twarz w jego mundurową kurtkę, by ukryć uśmiech satysfakcji. Cecile nie przesadzała, mówiąc o niemądrej rycerskości angielskich dzentelmenów! No cóż, chciała mieć lorda St Simona do swojej dyspozycji przez cały czas swego pobytu w Elvas - i gotowa była na wszelkie sztuczki, byle to osiągnąć!

- Co się stało? - powtórzył. - Jesteś chora?

- Tylko strasznie zmęczona - odpowiedziała słabym głosem. - Przeczuję... To takie niemądre, ale jakoś mi słabo...

- Proszę podejść do ognia! - Wellington był bardzo troskliwy i uważający. - Może kieliszek wina? To doda sił!

Nalał wina do kieliszka, z niepokojem spoglądając przez ramię na pułkownika, który prawie niósł dziewczynę, nim posadził ją na fotelu przy ogniu.

- Otóż i wino... - Książę podał jej kieliszek. - Proszę to wypić od razu... Bardzo ładnie!

Skinął głową z aprobatą, gdy posłusznie sączyła trunka.

Tamsyn uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Był to słaby, drżący uśmiech.

- Tyle dobroci... Dziękuję!

Julian nadal pochylał się nad nią i obejmował jej plecy. Nagle cofnął ramię jak oparzony. Mały *diablillo* znów wyprawiał sztuczki! Pułkownik był tego pewien. Odsunął się i oparł o gzyms kominka, mierząc ironicznym spojrzeniem omdlewającą, ale uśmiechającą się dzielnie rozbójniczkę. Co ona jeszcze wymyśli, u diabła?!

- Julianie, musimy znaleźć dla niej wygodną kwatere! Młody Sander-son z pewnością coś wykombinuje.

Wellington pospieszył do drzwi, by naradzić się z szefem kancelarii, którego głównym zadaniem było załatwianie wszelkich poleceń swego dowódcy, choćby całkiem niewykonalnych.

- Co ty znów knujesz? - spytał pułkownik po cichu. - Nie nabierzesz mnie na te dziewicze omdlenia, Violette!

Tamsyn podniosła na niego oczy, wyraźnie urażona podejrzaniem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi! Już nie pamiętam, kiedy po raz ostatni spałam w łóżku... Jestem kompletnie wykończona!

Miała wszelkie powody do tego, a mimo to pułkownik pozostał nadal sceptyczny.

- Sanderson, nieoceniony chłopak, zna odpowiednią kwaterę tuż obok szpitala. - Wellington, zacierając ręce, wrócił znów do ognia. - Powiada, że gospodyni, miła niewiasta, zaopiekuje się tobą, moja droga. A gdy już odpoczniesz, zechcesz chyba zjeść obiad ze mną i z moim sztabem?

Jego oczy spoczywały na twarzy Tamsyn, ostre i przenikliwe, mimo pozornej dobroduszości.

- O tym, jak moglibyśmy sobie nawzajem pomóc, porozmawiamy później.

- Jaki pan dobry, sir... - wyszeptła i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Dopilnuj, Julianie, żeby miała wszystko, co trzeba. I przyprowadź ją tu na obiad! - polecił wódz naczelny, pogodnie i z energią.

- Naprawdę muszę wracać do mojej brygady!

- Tak, tak, oczywiście... Ale później, człowieku, trochę później!

Julian nie mógł nic na to poradzić, "westchnął i skinął głową, po czym zwrócił się do Tamsyn:

- Chodźmy!

Wstała z pewnym trudem, ale lord St Simon całkiem zapomniiał o rycerskich porywach. Stał nadal koło kominka i spoglądał na dziewczynę IZ taką samą ironią jak poprzednio. Co tam! - pomyślała Tamsyn. Grunt, ¹ że osiągnęła to, na czym jej w tej chwili zależało. Wellington spoglądał na nią raczej z sympatią niż wrogo, a pułkownik tkwił nadal przy jej boku. Jeszcze jednym mdlejącym uśmiechem podziękowała księciu i chwiejnym ¹ krokiem ruszyła do drzwi. Pułkownik tuż za nią. Jej zachowanie zmieniło się radykalnie, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. Zerknęła na swego towarzysza i po łobuzersku mrugnęła do niego.

Julian zaczerpnął raptownie tchu, po czym zwrócił się do szefa kancelarii:

- Poruczniku, gdzie mam szukać tej kwatery?

- To siedziba wdowy, señory Braganzy - odparł Sanderson. - Pobiela-ny domek w pobliżu szpitala. Posłałem tam ordynansa, żeby ją uprzedzić, będzie więc na was czekała. - Spoglądał teraz z nieukrywaną ciekawością na Violette. - Ale ta wdowa mówi tylko po portugalsku. Czy ona... czy pani...?

- Oczywiście, że znam portugalski! - odparła Tamsyn z nutką zniecierpliwienia z powodu głupiego, jej zdaniem, pytania.

Spędziła całe swe życie, włączając się po kraju i beztrudnie przekraczając granice oddzielające od siebie Portugalię, Hiszpanię i Francję.

Julian nic nie mówił, ruszył tylko przodem - najpierw schodami na dół, potem zaś ulicą. Tamsyn musiała podbiec, by zrównać się z nim.

- Nie idź tak szybko! Naprawdę jestem wykończona!

- Poszukaj innego dudka, żeby się nabrał na twoje sztuczki! - odparł z irytacją. - Nie wiem, do czego zmierzasz, i nic mnie to nie obchodzi. Im prędzej będę miał cię z głowy, tym bardziej będę rad!

- Co za humory! - mruknęła Tamsyn. - Co ja takiego zrobiłam, że tak cię to rozwścieczyło?! Widocznie należysz do tych niezrównoważonych osób, które wyładowują swoje bóle i niepowodzenia na kim popadnie! Do-
tąd nie natknęłam się na nikogo takiego, a tu masz!

- Skończyłaś wreszcie? - przerwał jej bzdurną gadaninę, nie wiedząc, czy się śmiać, czy wrzeszczeć ze złości.

- Wcale nie! - odpaliła, wyraźnie dotknięta. - Ale ty widać nie lubisz, gdy ktoś mówi prawdę...

I wzruszyła ramionami.

- Wręcz przeciwnie! - zaprzeczył, zaciskając wargi. - Chętnie będę jej głosić. Chcesz posłuchać?

Tamsyn nie odpowiedziała. Przeskoczyła kałużę ze zwinnością, która zadawała kłam jej zapewnieniom o zmęczeniu, i zawołała wesoło:

- To pewnie dom tej wdowy... przed nami na lewo! Jedyny pobielany na tej ulicy.

Señora Braganza, przyzwyczajona do kobiet z oddziałów partyzanc-
kich, nie okazała zdziwienia na widok Tamsyn. Nalegając, by obejrzeni
przeznaczone dla niej pomieszczenie, zaprowadziła ich do małego białego
pokoiku na poddaszu.

- Będzie w sam raz! - orzekła Tamsyn, przerywając wdowie wylicza-
nie wszelkich zalet tej kwatery. - Potrzebne mi do szczęścia tylko łóżko.
I gorąca woda!

Wdowa pospieszyła na dół, by nagrzać wody, a Julian, który stał przy
oknie wychodzącym na ulicę, rzucił szorstko:

- Na mnie już czas!

- Nie spiesz się tak! - Tamsyn podeszła szybko do drzwi i oparła się
o nie, zagradzając pułkownikowi drogę. Uśmiechnęła się do niego. - Dla-
czego udajesz świętoszka, jasnie panie pułkowniku? Mamy czas, mamy na-
wet łóżko...

- Aleja nie mam ochoty - stwierdził opryskliwie. - Odsuń się!

Pokręciła głową, psotny uśmiech zamigotał znowu w jej oczach.
Odrzuciła strzelbę na łóżko i pozbyła się ładownicy, która spadła na

podłogę. Następnie wzięła się do rozpinania pasa. Julian jakby wrósł w ziemię. W skamieniałej postaci żyły tylko oczy. Wlepił je w Tamsyn, gdy ściągała spodnie i zabrała się do rozpinania koszuli. Ukazały się niewielkie, prześliczne piersi z różowymi, wyprężonymi sutkami. Tamsyn odsunęła się od drzwi i podeszła do St Simona, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

Nakrył rękoma jej piersi, czując ich ciężar w dłoniach. Zapatrzył się na delikatne, błękitnawe żyłki pod białą jak mleko skórą. Tętno najej szyi pulsowało gwałtownie; srebrny medalion lekko drżał.

Tamsyn nie poruszyła się, stała nieruchomo pod dotykiem jego rąk, sunących po jej klatce piersiowej, obejmujących smukłą talię, zapuszczających się na plecy... Jego palce wślizgnęły się do wnętrza majtek i pełzły w dół po sprężystej krągłości pośladków.

- Niech cię diabli, dziewczyno! - wykrztusił zdławionym głosem. - Co ty ze mną wyrabiasz?!

Odgłos ciężkich kroków osoby z trudem wspinającej się na drewniane schody sprawił, że czar prysnął. Niebieskich oczu Juliana nie zasnuwała już mgiełka namiętności. Cofnął pospiesznie ręce, jakby ciało Tamsyn było rozpalonym żelazem.

A potem, wybiegając z pokoju, omal nie zderzył się z wdową, która z trudem dźwigała na górę dzban parującej wody, i wypadł na dwór. Było już późne popołudnie wypełnione nieustającym hukiem dział. Julian prawie biegiem wrócił do stajni po swego konia. Stajenny zadrzał na widok błyskawic w oczach pułkownika i jego zaciśniętych szczęk. St Simon wyjechał z Elvas i dotarł do obozu - własnego namiotu i kojącej normalności swoich żołnierzy. Czyżby tracił rozum? Przecież to była brudna intrygantka, sprzedajne czarcie nasienie, pozbawione kobiecości... A jednak podniecała go do szaleństwa!

Tamsyn obserwowała go przez okno, gdy pędził ulicą, jakby całe piekło go ścigało.

- Ależ to niegrzeczne z twojej strony, jaśnie panie pułkowniku! - mruknęła pod nosem. - Czego ty się boisz? Chyba nie mnie?!

Lekki uśmiezek igrał na jej ustach, gdy odwróciła się od okna, by omówić z senorą Braganzą opłakany stan swej garderoby.

6

A gdzie nasz gość, Julianie? - spytał Wellington, gdy pułkownik stawił się w jego apartamencie tego wieczoru przed obiadem.

- Wysłałem Sandersona, żeby ją tu sprowadził - odparł Julian, skinieniem głowy witając mężczyzn należących do sztabu, którzy zebraли się, by towarzyszyć księciu przy obiedzie.

- No więc, co o niej myślisz, Julianie? - Major Carson podał mu kieliszek kseresu. - Umieramy z ciekawości!

- Wolę trzymać się od niej z daleka. Przynajmniej na taką odległość, na jaką sam zdołałbym ją odrzucić! - oświadczył prosto z mostu St Simon.

- A biorąc pod uwagę, jak eteryczne z niej stworzonko, byłyby to niebagatelny dystans! - Wellington roześmiał się z własnego żartu. Jego śmiech przypominał trochę rżenie konia.

Julian uśmiechnął się kwaśno.

- Dałeś się złapać, milordzie, na tę komedię dziś po południu?

- Komedię?

Wellington uniósł jedną brew.

- To całe drżenie, mdlenie i ślanianie się na nogach! Była zmęczona, nie przeczę. W ciągu ostatnich pięciu dni udało jej się przespać najwyżej kilka godzin, a i to przeważnie w siodle. Ale te omdlenia... To zwykłe nabieranie!

Skrzywił się i pociągnął znowu łyk kseresu.

- Nie przepadasz za tą damą, Julianie? - zauważył z szerokim uśmiechem brygadier Cornwallis.

- Znieść jej nie mogę! I muszę ci powiedzieć, Cornwallis, że określenie „dama” zupełnie do niej nie pasuje. To dwulicowa, wyrachowana, niegodna zaufania włóczęga!

Po tej krótkiej, lecz wymownej charakterystyce zapadła nagła cisza. Potem odezwał się pułkownik Webster:

- No cóż, Julianie, nigdy nie mogłeś znieść, kiedy cię ktoś przechytrzył.

Co ty tam wiesz! - pomyślał Julian. Zadowolili się jednak jeszcze jednym kwaśnym uśmiechem i dodał:

- Nie wspominając już o tym, że zaciągnęła mnie z powrotem do Olivenzy, żebym obciął Cornichetowi epolety!

- Co takiego?! - zdumieli się zebrani.

Pułkownik St Simon zaspokoił ich ciekawość, opowiadając pokrótce w tym wyczynie. Zaśmiewali się wszyscy - prócz niego.

- Ja... bardzo przepraszam, sir...

W drzwiach pojawił się porucznik Sanderson.

- Co tam znowu?

Wellington spojrział na niego z lekką irytacją. Nie ulegało wątpliwości, że adiutant zjawił się sam.

- La Violette...

- Chyba nie uciekła?! - przerwał mu Julian, odstawiając z brzękiem kieliszek na stół.

- Ależ skąd, pułkowniku! Tylko że ona śpi, a senora Braganza nie chciała jej budzić...

- Wobec tego chyba nie powinniśmy przerywać jej snu - zasugerował Wellington.

- Ona wcale nie śpi! - zapewnił ich Julian. - To tylko jedna z jej sztuczek. Sprowadzę ją tu za piętnaście minut!

Z tymi słowy pospiesznie wyszedł z pokoju.

- No, no! - mruknął pułkownik Webster. - Nie mogę się doczekać, kiedy poznam tę panienkę! Zrobiła niesłychane wrażenie na St Simonie.

- Rzeczywiście! - zgodził się głównodowodzący, marszcząc czoło w zadumie. - Niezwykle silne!

Senora Braganza powitała rozwścieczonego pułkownika długą i płynną przemową w języku portugalskim, okraszona żywą gestykulacją. Julian, który liznął nieco tego języka i mówił całkiem niezle po hiszpańsku, zdołał zrozumieć, że „ta biedna dziewczuszka śpi jak niewinne dzieciątko i grzech by było ją budzić”. W oczach okolicznej ludności, zarówno hiszpańskiej, jak i portugalskiej, partyzanci byli wzorem wszelkich cnót, toteż wdowa choćby własnym ciałem gotowa była bronić spokojnego snu swej lokatorki.

Julian musiał odsunąć zaczoną matronę na bok, gdyż broniła wstępu na schody. Pokonał je, przeskakując po dwa stopnie naraz, podczas gdy senora deptała mu po piętach i obrzucała wyzwiskami. Otworzył z impetem drzwi do małego pokoiku na poddaszu i stanął jak wryty.

Światło księżycy padało wprost na wąskie łóżko, na którym leżała na wznak Violette, z rękoma zwiniętymi w piastki po obu stronach głowy, jak u śpiącego dziecka.

Julian zamknął drzwi przed nosem nadal opłakującej jego postępek wdowy i po cichutku zbliżył się do łóżka. Stanąwszy przy nim, zapatrzył się

na dziewczynę. Jej twarz, pozostając w bezruchu, miała w sobie tyle młodości i niewinności, że zaskoczyło go to. Jednak nawet sen nie złagodził mocnej linii szczęki ani zdecydowanego zarysu ust.

- Tamsyn?

Wymówił cicho jej imię, nie zdając sobie sprawy z tego, że po raz pierwszy tak ją nazwał. Poruszyła się, rzęsy jej zatrzepotały. Z ust wydobył się niechętny pomruk. Coś w reakcji dziewczyny - może zbyt nagłej? - upewniło go, że Violette nie śpi i wie, że on się jej przygląda.

Zacisnął wargi.

- Wstawaj, Tamsyn! Nie nabierzesz mnie na te komedie.

Powieki uniosły się i fiołkowe oczy spojrzały na niego z taką mieszaniną zmysłowości i rozbawienia, że znowu zaparło mu dech. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, dziewczyna zwinnym ruchem podciągnęła nogi i odrzuciła przykrycie. Uśmiechnęła się do Juliana, uniosła brwi i przesunęła dłońmi po nagim ciele w geście niewątpliwej zachęty.

Juliana zaniemówił w obliczu bezczelności i jawnej zmysłowości tego zaproszenia. Zmagał się ze sobą, by nie ulec pokusie. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos zabrzmiał dziwnie zgrzytliwie w pełnej oczekiwania ciszy.

- Daję ci dziesięć minut. Przygotuj się na obiad u księcia Wellingtona! Jeśli do tej pory nie będziesz gotowa, przysięgam, że zaniosę cię tam bez ubrania!

Potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Niemał biegł, jakby wszystkie te diabelskie pokusy mogły go dopędzić i zaciągnąć z powrotem do niej.

Tamsyn zeskoczyła z łóżka i się przeciągnęła. Jak dziwnie zachowuje się ten angielski pułkownik! Wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni nie odrzucają podobnych zaproszeń. Zwłaszcza że - jeśli się nie myliła - nie był z nikim związany. I na pewno nie domyślał się, co sobie zaplanowała w związku z jego, a raczej ich, najbliższą przyszłością!

Opiekuńcza gospodyni przyniosła Tamsyn czystą bieliznę, pończochy i męską koszulę. Co prawda z samodziału, a ona - córka El Barona - przywykła do batystów i jedwabii... Jednak rzeczy te były czyste, podobnie jak jej skóra i świeżo wymyte włosy. Wdowa wyczyściła również bryczesy z miękkiej skóry i nadała połysk znoszonym butom z kurdybanu. Tamsyn wyglądała więc całkiem schludnie, gdy schodziła po schodach na spotkanie ze zniecierpliwionym lordem St Simonem.

- Już jestem gotowa, jaśnie panie pułkowniku! - Uśmiechnęła się nonszalancko, jakby pełne napięcia chwile w jej sypialni nigdy nie miały

miejsca. -I głodna jak wilk, więc lepiej, żeby wasz książę miał dobrego kucharza!

Julian nie raczył odpowiedzieć. Ruszył szybko przez brukowane kocimi liliami i z rzadka oświetlone lampami uliczki. Było na nich rojno, jak w biały dzień. Wojsko czuwało, a prace oblężnicze trwały przez okragłą dobę.

Wszyscy znajdujący się w pokoju mężczyźni odwrócili się w stronę drzwi, kiedy weszli St Simon i jego towarzysza.

- A, Violette! -Wellington podszedł do niej. - Mam nadzieję, że wypoczęłaś?

- Tak, dziękuję bardzo. Wyspałam się znakomicie!

Tamsyn ujęła rękę, którą książę do niej wyciągnął.

- Panowie, oto La Violette!

Wódz naczelny objął ją w talii, zaznajamiając dziewczynę z członkami swojego sztabu.

Tamsyn nie próbowała wyswobodzić się z uścisku, witając skinieniem głowy przedstawianych jej mężczyzn. Słyszała, że Wellington ma opinię flirciarza, i nic nie miała przeciw takiej grze, gdyby to tylko pomogło jej w osiągnięciu zamierzonego celu.

Julian stał z boku, z posępną miną sącząc kseres i przyglądając się, jak wszyscy pozostali mężczyźni tłoczą się wokół tej drobnej kobietki. La Violette potrafiła przyciągnąć całą ich uwagę. Mimo męskiego stroju i krótko obciętych włosów promieniowała wręcz kobiecym urokiem... Jaki tam urok? Zwykłe babskie sztuczki! - ofuknął się w myśli. Czego, u licha, chciała dopiąć?! Przybyła tu, by sprzedać im pewne informacje, a nie po to, żeby -jak Kirke - zmienić sztab angielskiej armii w wieprze!

Wszedł służący, niosąc baraninę. Postawił ją na nakrytym do obiadu stole przed kominkiem.

- Obiad podany!

- Doskonale! - Wellington zatarł ręce w radosnym oczekiwaniu. - Usiądź obok mnie, moja droga! - Posadził Tamsyn po swojej prawej ręce, sam zaś zajął miejsce u szczytu stołu. Podniósł szkiełko do oka i przyglądał się daniom, gdy służący zdejmowali z tac dymiące półmiski. - Cóż my tu mamy? Kotlety baranie, jeśli się nie mylę. Pozwól, że ci nałożę, moja droga! . Czy mam cię nazywać Violette, czy też nosisz jakieś inne imię?

Położył na jej talerzu kotlet i kilka grubych plastrów wołowiny.

- Naprawdę nazywam się Tamsyn - odpowiedziała, dobierając się z apetytem do pieczonych kartofli. - Violette albo Violeta to imiona, którymi się posługuję w kontaktach z partyzantami.

- Czy wszyscy partyzanci noszą pseudonimy? - spytał brygadier, napełniając winem jej kieliszek.

Tamsyn uśmiechnęła się olśniewająco, biorąc barani kotlet do ręki.

- Może tak... a może nie?

Julian przyglądał się jej, jak ostrymi białymi zębami wgrzyza się w mięso, trzymając kotlet w dwóch palcach. Kiedy obgryzła już dokładnie kość, widelcem nadziała kartofel. Jadła ze swobodą i zręcznością, używając palców, jeśli poręczniej było posłużyć się nimi. W jej sposobie jedzenia nie było nic odrażającego, ale nie przestrzegała żadnych ustalonych norm.

Zauważył, że choć wypita kilka szklanek wody, jedynie od czasu do czasu sączyła wino z kieliszka.

- Nie lubisz wina, Violette?-zagadnął ją od niechcenia.

Spojrzała na niego przelotnie.

- Wręcz przeciwnie, milordzie, we właściwym miejscu i czasie lubię napić się dobrego wina, jak każdy. Muszę jednak uważać, bo idzie mi do głowy. - Uśmiechnęła się. - Cecile miała podobne kłopoty!

- Cecile? - zaciekawił się major Carson.

- Moja matka. Odziedziczyłam po niej niski wzrost. Baron utrzymywał, że obie jesteśmy za małe i za szczupłe, aby pić wino. - Ugryzła z apetytem migdałowe ciastko. — Równie dobre wytłumaczenie jak każde inne!

- St Simon powiedział nam, że pani matka była Angielką - odezwał się brygadier, opróżniwszy kieliszek wina.

- Tak! - potwierdziła Tamsyn. Strzepnęła okruszki z palców i zaczęła się bawić medalionem, który miała na szyi. - Ten drobiazg należał do Cecile. A przedtem zapewne do jej matki.

- Ale jakim sposobem pani matka znalazła się w Hiszpanii? - spytał major Carson.

- Była z wizytą u jakichś przyjaciół rodziny... U ambasadora czy kogoś takiego w Madrycie. A potem w trakcie podróży zniknęła... i trafiła prosto w ramiona mojego ojca. - Tamsyn uśmiechnęła się i wzięła jeszcze jedno ciastko ze stojącego przed nią koszyka. - I nie opuściła go... aż do śmierci.

Jakiś cień przemknął po jej twarzy, ale zniknął, zanim ktokolwiek prócz Juliana - zdołał go dostrzec.

Rozmowa stała się ogólna. Wreszcie sprzątnięto ze stołu i pojawiła się karafka porto. Zapalono cygara, karafka krążyła z rąk do rąk i nikomu nie,

rzyszło do głowy, że obecność La Violette jest czymś nie na miejscu*. A już z pewnością nikt nie zastanawiał się nad tym, że ma do czynienia z rozbójniczką! - myślał z dezaprobatą Julian, obserwując spod ciężkich powiek, jak Violette żartuje z oficerami i całkiem otwarcie flirtuje z Wellingtonem.

Kiedy chwyciła wargami obrane ze skórki winogrono prosto z palców naczelnego wodza, St Simon doszedł do wniosku, że ma już dość tej komedii! Jego ludzie znajdowali się w okopach, on też miał wiele do zrobienia. Odsunął krzesło i wstał.

- Wybaczcie panowie, ale muszę wyznaczyć wartowników. Najwyższa pora wracać do brygady!

- Nastroje wśród żołnierzy są coraz gorsze - zauważył pułkownik Webster, który nagle stracił humor. - Klną w żywy kamień Hiszpanów z Badaj os, że zbyt łatwo ulegli Francuzom... A potem jeszcze bardziej cholerują na żabojadów, że nie poddają się nam, choć nie mają żadnych szans!

- Będą niezłe jatki, kiedy się wreszcie wedrą do miasta. Popamiętacie moje słowa! - dodał zdumiewająco obojętnym tonem brygadier Cornwallis i dolał sobie porto.

- Tak, będzie diabelnie trudno utrzymać ich w cuglach! - stwierdził Julian. - No cóż, dobrej nocy, panowie! — zerknął na Tamsyn i zdumiało go, że twarz jej nagle pobladła i zniknął wszelki ślad rozbawienia. - Zegnaj, Violette! Mam nadzieję, że załatwisz jak najkorzystniej swoje interesy.

Tamsyn wróciła nagle do rzeczywistości. Pułkownik przemawiał do niej tak, jakby już nigdy nie mieli się spotkać!

- Też mam taką nadzieję, milordzie. Przypuszczam, że zobaczymy się jutro rano?

- Obawiam się, że nie - odparł. - Moje zajęcia nie pozwalają mi na częste wypadki do Elvas.

Skłonił się naczelnemu wodzowi i opuścił przytulny pokój, oświetlony ogniem na kominku, by udać się do przewiewnego namiotu w obozie, gdzie świszczały kule i rozlegał się huk moździerzy. Miał jednak nadzieję, że zaśnie tam spokojnie - po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzał La Violette. Skończył już z nią raz na zawsze!

Po obiedzie damy tradycyjnie udawały się do salonu, panowie zaś popijali porto i pozwalali sobie na bardziej swobodną rozmowę w męskim gronie (przyp. tłum.).

Tamsyn spoglądała na drzwi, które się za nią zamknęły, i uniosła brwi z kpiącym wyrazem twarzy. Zajęcia nie pozwalają mu na wypadki do Elvas? Przekona się jeszcze, jak bardzo się mylił! Jej jaśnie pan pułkownik będzie miał mnóstwo roboty w kwaterze głównej!

- A zatem, Tamsyn, czy możemy przejść do interesów? - Wellington w jednej chwili stał się niesłychanie rzeczowy. Cała jowialność gościnnego gospodarza zniknęła, był teraz energicznym i przenikliwym wodzem naczelnym. - Masz cenne informacje do sprzedania, prawda? Jaka za nie wyznaczysz cenę?

Tamsyn pokręciła głową i dostosowała się do jego tonu.

- Wyjawię to, kiedy mi pan wyjaśni, o jakie informacje chodzi.

Wellington wyliczył dokładnie, na czym mu zależy. Pseudonimy i hasła, aktualnie używane w oddziałach partyzanckich w najbliższym regionie. Szczegółowa mapa bezpiecznych przejść przez góry znanych jedynie partyzantom. Stan ich uzbrojenia i braki, które wymagają uzupełnienia.

Tamsyn wysłuchiwała go z uwagą, potem zaś odezwała się:

- To doprawdy pokaźna lista zamówień! Chyba to oczywiście, że muszę się nad tym zastanowić?

- Ależ tak! Mam jednak nadzieję, że niezbyt długo.

- Nie zamierzam też przekazywać takich informacji, które naruszyłyby niezawisłość partyzantów.

- O! - Wellington zmarszczył brwi. - Nie przypuszczałem, że będziesz miała takie skrupuły, Violette!

Oczy jej błysnęły gniewnie.

- Nie sprzedaję swoich przyjaciół!

- Tak, tak, oczywiście! - powiedział uspokajająco. - Ale z pewnością rozumiesz, że całkiem co innego przekazać takie informacje nam, a co innego zdradzić Francuzom! My pragniemy twoim przyjaciołom pomóc, nie szkodzić im.

- Może i tak, ale moi przyjaciele bardzo sobie cenią niezależność. I nie zawsze są skłonni do przyjmowania pomocy od kogokolwiek. - Podniosła się z krzesła. - Dziękuję za wyśmienity obiad. Będę do pańskiej dyspozycji, jutro rano.

Wszyscy mężczyźni wstali, gdy opuszczała pokój. Wellington wyszedł pospiesznie tuż za nią i polecił siedzącemu nadal przy biurku szefowi swej kancelarii:

- Sanderson, odprowadź panią! Dopilnuj, żeby bezpiecznie dotarła do swojej kwatery.

- Ależ nie ma potrzeby! - zaproponowała Tamsyn. - Z pewnością nic mi ale grozi ze strony waszych żołnierzy!

Ten drobny przytyk sprawił, że policzki naczelnego wodza poczerwieniały. Nie rozumiał przyczyny tego zamaskowanego oskarżenia, lecz mimo woli przybrał postawę obronną.

- Jestem pewien, że się pani nie myli - odparł sztywno. - Niemniej jednak nalegam, by Sanderson cię odprowadził.

- Jeśli panu tak na tym zależy... Dobrej nocy!

Zeszła ze schodów w towarzystwie porucznika. Wellington spoglądał za nią ze zmarszczonym czołem.

Niezwykła dziewczyna! - myślał. Niedocenianie jej byłoby wielkim błędem!

W zimnym świetle gwiazd Julian kroczył pomiędzy namiotami, w których była rozlokowana jego brygada. Dwie kompanie pełniły służbę w okopach; reszta miała czas wolny. Żołnierze siedzieli wokół ognisk, rozmawiając z cicha. Dym z fajek unosił się do góry błękitną mgiełką, gdy kurzyli tytoń i raczyli się porto.

Pułkownik zwracał się do każdego z nich po nazwisku, zatrzymywał się, by pogawędzić przez chwilę, starał się zorientować, jakie mają nastroje. Czy byli pełni optymizmu, jeśli chodzi o rezultat zbliżającego się szturm? Rwali się do bitwy? Łaknęli zemsty?

- Ale się chłopaki ucieszą, kiedy wreszcie rozprawimy się z tymi draniami! - zwierzał się krzepki kawalerzysta, który, pykając fajkę, usiłował załatać dziurawą podeszwę. - Oblężenie to cholerna mordęga, za przeproszeniem pana pułkownika!

- Ano tak... Ale jak stary Nochal mówi, że tak trza, no to trza i już dorzucił jego kompan i wzruszył ramionami z filozoficzną rezygnacją.

Julian uśmiechnął się w duchu i poszedł dalej. Żołnierze nadawali wodzowi naczelnemu mnóstwo przezwisk, co było zresztą dowodem jego popularności. Większość z nich nawiązywała do wielkiego, zakrzywionego nosa Wellingtona. Nie ulegało wątpliwości, że poszliby za nim do piekła. Julian spojrzął na ciemny zarys miejskich murów. Zostały zrobione wyłomy w trzech miejscach, ale francuski garnizon skrzętnie naprawiał uszkodzenia, powstałe po bombardowaniach. Szturm zaplanowano na następną noc. Będzie to z pewnością krwawy bój, a miasto drogo zapłaci za swą nieprzejdaną postawę...

- Sierżant Gorman zrobił w kantynie furorę swą opowieścią o epoletach Cornicheta! - odezwał się ktoś tuż za plecami Juliana. - Coś mi się zdaje, że z tej La Violette psotnica nie lada!

- Można to i tak ująć, Frank - odparł sucho Julian, zwracając się do młodego kapitana, który pełnił rolę jego adiutanta. - Ja nazwałbym to całkiem inaczej!

- Przewrotne istoty z tych partyzantów! - zauważył Frank Frobisher. - Czasem traktują nas bardziej wrogo niż prawdziwych wrogów!

- No cóż... Moja znajomość z La Violette dobiegła końca, i Bogu dzięki! - oświadczył Julian. - Może teraz płatać figle Wellingtonowi. Ciekawe, jak na tym wyjdzie? - Zawrócił do własnego namiotu. - Strzelisz sobie kielicha przed snem? Mam całkiem niezły koniak... Jeśli Tim O'Connor nie dobrał się do niego, kiedy mnie nie było!

Frank się roześmiał.

- Wątpię, by nawet irlandzkie pochlebstwa Tima zmiękczyły serce Dobbina. Strzeże twojej własności jak Cerber!

Pochyliwszy głowy weszli do namiotu pułkownika, gdzie jego ordynans czyścił lampę. Woda kipiała w garnku umieszczonym na koszyku z płonącym węglem drzewnym.

- Podać herbatkę? - zasugerował Dobbin, znając na pamięć wieczorny rytuał obozowy.

- Może później... Na razie kapitan Frobisher chętnie by się napił koniaku. - Julian podsunął gościowi składane krzesło i nachyliwszy się, wyciągnął z drewnianej skrzyni butelkę znakomitego koniaku. - Mamyjakiś kieliszki, Dobbin?

- Ajakże!

I ordynans wydobył je.

- Co ja tu czuję? Naprawdę koniak?! - Jakiś młodzieniec o rumianych policzkach wetknął głowę do namiotu. - Cześć, Julianie! Od razu pomyślałem, że to ty! Słyszałem, żeś miał niezłą zabawę! - Tim O'Connor w całej okazałości pojawił się namiocie. Usiadł na drugim składanym krześle i uśmiechnął się szeroko. - Opowiedz nam o tej rozbójniczce! Było na co popatrzeć?

- Nie w moim guście! - zbył go Julian i zmienił temat rozmowy. - W jutrzejszym szturmie przypadł nam bastion San Vincente. Macie jakieś sugestie co do rozstawienia kompanii?

Przeszli do omawiania zadań brygady podczas szturmie na Badajos i La Violette poszła w zapomnienie. Jednak wyraźna niechęć St Simona do relacjonowania wszelkich kontaktów z rozbójniczką nie uszła uwagi przyjacielom.

Kiedy Frank i Tim odeszli, Julian położył się na swoim łóżku i popijając herbatę, myślał o jutrzejszej nocy, o tym, że może zginąć, i o wszystkich, którzy polegą podczas szturmów. Z pewnością straci znów kilku przyjaciół... W ciągu czterech lat wojny na Półwyspie Iberyjskim pożegnał tak wielu, a ból z powodu tej straty nie słabł z upływem czasu.

La Violette także wiedziała, co to znaczy stracić bliskich. Poznał to po jej oczach, po tym, jak często twarz jej mroczniała. To istota pełna kontrastów, myślał. Jak głęboka rzeka, w której czarny nurt bolesnych doświadczeń płynie pod jasną powierzchnią zmysłowości...

I nagle dotarło do niego, że nie musi już zaprzętać sobie głowy tą dziewczyną - myśleć o jej porywach namiętności, o psotach i skłonności do szyderstwa ani o jej smutku. Nigdy więcej!

7

Porucznik Sanderson przybył do domku señory Braganzy następnego ranka, kiedy Tamsyn jadła śniadanie w słonecznej kuchni z oknami wychodzącymi na ziołowy ogród otoczony krzewami wawrzynu; na jego końcu, przy ciepłym ceglanym murze stały rzędem ule.

- Dzień dobry, poruczniku! - Tamsyn powitała gościa pogodnym uśmiechem i wskazała mu krzesło ręką, w której trzymała kromkę chleba z miodem. - Może kawy? Señora Braganza parzy wyśmienitą kawę!

- Bardzo dziękuję, nie skorzystam. Wódz naczelny przysłał mnie tu, bym towarzyszył pani do kwatery głównej.

Porucznik przestępował z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, jak przekonać tę beztrosko pałaszującą śniadanie rozbójniczkę o nagłym charakterze tego wezwania, Wellington był w fatalnym humorze; bez wątpienia miało to związek ze zbliżającym się szturmem na Badajos.

- Tylko skończę śniadanie i będę całkowicie do dyspozycji księcia - odparła z całym spokojem Tamsyn, odłamując kolejny kawałek od leżącego na stole okazałego bochenka i nie żałując sobie miodu. - Z pewnością zdąży pan napić się kawy, czekając na mnie!

Sanderson usiadł przy stole. Jeśli i tak obedną go ze skóry, lepiej się przedtem pokrząć! Tamsyn skinęła głową z aprobatą, a wdowa nalała mu bez zwłoki pachnącej kawy.

- Czy pułkownik St Simon jest dziś rano w kwaterze głównej?

- Skądże znowu, señorita! Jest ze swoją brygadą. Jego dywizja weźmie czynny udział w wieczornym szturmie.

- A więc to już dziś wieczorem! - powiedziała Tamsyn i dreszcz przebiegł jej po grzbiecie.

Iludzi zginie do rana, walcząc o te mury? Czy Julian St Simon będzie jednym z nich? Poczowała lodowaty chłód.

Odsunęła krzesło od stołu tak nagle, że zaskoczyła porucznika. Spojrzała na nią znad kubka kawy i wciągnął raptownie powietrze w płuca na i widok jej twarzy, która zmieniła się w nieprzenikloną maskę. Zniknęła z niej cała promiennosc.

Gdyby St Simon padł podczas szturm na Badajos, musiałyby znów zacząć od zera... Irytująca perspektywa! Tamsyn wstała i wytarła lepkie palce w kraciatą serwetkę.

- Idziemy, poruczniku!

Jej głos, ostry i rozkazujący, sprawił, że Sanderson zerwał się na równe nogi, pozostawiając niedopitą kawę. Przekonał się, że musi dobrze wyciągać nogi, żeby dotrzymać kroku La Violette, gdy spieszenie kroczyła ulicami Elvas.

Wellington powitał ją uprzejmie, lecz krótko. Był wyraźnie bardzo zajęty. Tamsyn, zamiast usiąść na wskazanym krześle, przycupnęła na parapacie.

- A zatem, jakiej żadasz ceny za swoje informacje, Violette? - Naczelny wódz przeszedł od razu do rzeczy. - Sanderson, rób notatki, dobrze?

Adiutant zasiadł przy biurku i zatemperował gęsie pióro.

Tamsyn odpowiedziała z chłodnym uśmiechem:

- Wyjawię to tylko w obecności lorda St Simona. Inaczej nie!

- Co takiego?! - Wellington zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. Przypomniał sobie, co Julian opowiadał mu o zamiłowaniu tej rozbójniczki do rozmaitych sztuczek. - Cóż to za bzdury?!

- Żadne bzdury! - Tamsyn ześlizgnęła się z parapetu. - Taki jest mój warunek. Zrozumie go pan, gdy usłyszysz, o co mi chodzi! Znajdziecie mnie w domu senory Braganzy, kiedy pułkownik się zjawi.

Bez dalszych ceregieli wyszła z pokoju, skinawszy z uśmiechem głową obu panom.

- Co, u diabła, łączy tę dziewczynę z St Simonem? - zastanawiał się półgłosem Wellington. Adiutant udawał, że tego nie słyszy. - Co się za tym kryje?...

Księżę krążył niespokojnie po pokoju, od okna do kominka i z powrotem. Julian z sobie tylko wiadomych powodów dał wyraźnie do zrozumie-

nia, że nie chce mieć więcej do czynienia z tą dziewczyną. Czy powinien więc wzywać go tylko dlatego, że La Violette nalega?

Księżciu zależało jednak na jej informacjach. Kiedy Badajos padnie, muszą znów ruszać w drogę, na północ, w stronę Campo Mayor. Wiadomości przekazane przez Violette bardzo by im ułatwiły ten marsz. A poza tym, jeśli przepuści taką okazję, mało prawdopodobne, by trafiła mu się inna, równie dobra.

- Sanderson, pošlij kogoś po pułkownika St Simona, żeby stawił się jak najszybciej w kwaterze głównej!

- Tak jest!

Adiutant wybiegł pędem. Było jeszcze dość wcześnie, ale za kilka godzin wszyscy będą zajęci wyłącznie przygotowaniem do szturmów.

Julian omawiał właśnie z dowódcami kompanii szczegóły taktyczne, dotyczące ataku ich brygady na bastion San Vincente. Nie brali udziału w głównym uderzeniu, lecz w równoczesnym manewrze bocznym, który miały na celu zdezorientowanie przeciwnika i odciągnięcie francuskich wojsk od wyłomów w murze.

Przybycie chorążego, i to z takim pośpiechem, wywołało zdumienie grupy oficerów zgromadzonych wokół mapy rozpostartej na prostym stole przed namiotem St Simona.

- Błagam o wybaczenie! — Chorąży zeskoczył ze swego wierzchowca i spieszenie zaszalutował. - Wódz naczelny życzy sobie, żeby pan pułkownik przybył do kwatery głównej w pierwszej wolnej chwili...

- Czyli jutro - skomentował z szerokim uśmiechem Frank, podnosząc wzrok znad mapy.

Julian wstał i zmarszczył brwi. Cóż mogło się wydarzyć tak istotnego, że Wellington każe mu opuszczać brygadę tuż przed bitwą?! Oczywiście to sprawa La Violette! Cokolwiek to było, z pewnością maczała w tym palce ta niedowarzona rozbójniczka! Na Boga, to dziewczuszyśko musi wreszcie zrozumieć, że on nie będzie pionkiem w jej grze!

- Dobbin! Mojego konia!

Wydawszy to gromkie polecenie, pułkownik zniknął w namiocie, opuszczając swych oficerów, którzy wymienili zdumione spojrzenia.

Po chwili wyszedł znów na zewnątrz, dopinając pas, na którym nosił szablę. Czoło miał zachmurzone, a jego niebieskie oczy były gniewne.

- Nie będzie mnie najwyżej przez godzinę. Majorze O'Connor, życzę sobie, żeby plan tego ataku został opracowany we wszystkich szczegółach do mego powrotu.

Niecierpliwym ruchem odebrał wodze z rąk Dobbina i wskoczył na siodło.

- Tak jest! - wymamrotał Tim.

Coś tu było nie tak! Julian rzadko zwracał się do przyjaciół tak oficjalnie i nie miał zwyczaju wyładowywać złego humoru na podkomendnych. Między innymi dlatego jego ludzie poszliby za nim choćby do piekła, a niżsi rangą ubiegali się zażarcie o miejsce w jego brygadzie. Lord St Simon był jednym z najmłodszych pułkowników na Półwyspie Iberyjskim, ale nawet starsi wiekiem mężczyźni służyli pod jego dowództwem równie chętnie jak jego rówieśnicy.

- Założę się, że za tym wszystkim kryje się La Violette! - zauważył, przeciągając się, Frank. - Julian nie przepada za nią, mówiąc łagodnie. I jeśli ta dziewczyna spróbuje przykrócić mu cugle, to dojdzie do bijatyki, aż pierze będzie leciało!

- Nie wierzę, by ta hiszpańska bandytka zdołała przechytryć księcia albo okpić St Simona - stwierdził kapitan Deerbourne. - A jeśli wybrała sobie dzisiejszy dzień do takiej rozgrywki, to skończona z niej idiotka!

Oczy wszystkich skierowały się na mury Badajos owiane chmurami armatniego dymu.

Julian galopował do Elvas, kipiąc z gniewu. Widok La Violette siedzącej na kamieniu po portugalskiej stronie pontonowego mostu nie poprawił mu bynajmniej humoru. Było jasne jak słońce, że dziewczyna czeka na niego. A zatem ona spowodowała to wezwanie!

Tamsyn istotnie czekała na niego. Domyślała się, że pułkownik nie jest w najlepszym humorze, toteż podniosła się na jego widok z wyjątkowo uroczym uśmiechem, gdy bez pośpiechu przeprowadzał swego wierzchowca po chybottliwym moście.

- Dzień dobry, milordzie! - Spiesznie zastąpiła mu drogę, zorientowawszy się, że zamierza minąć ją bez słowa. - Jak miło znów cię zobaczyć!
- Zmrużyła oczy od słońca. Na złocistej skórze wokół nich pojawiły się drobniutkie zmarszczki. Jej włosy w słonecznym blasku były niemal białe.
- I jak to dobrze, że twoje zajęcia nie przeszkodziły ci przyjechać do Elvas
- mimo wszystko!

Palce Juliana zacisnęły się na cuglach. Wyobrażał sobie, że to jej smukła szyja wychylająca się z rozpiętego kołnierza i że ściskają coraz mocniej... A potem jego palce wślizgują się pod uszy dziewczyny, płasko przylegające do głowy, drażniąc delikatną skórę za nimi...

- Chodź tutaj! - polecił zwięźle. - Mam wrażenie, że zmierzamy w tę samą stronę!

Wychylił się z siodła i wyciągnął rękę. Tamsyn ujęła ją bez wahania, oparstopę na jego bucie i zwinnie wylądowała na siodle przed St Simonem.

- Ja też mam takie wrażenie - odparła pogodnie, opierając się o niego plecami, tak iż poczuł przez cienką koszulę ciepło jej ciała. - W ten sposób rzeczywiście będzie o wiele wygodniej!

- A ty, jak zawsze, potrafisz zadbać o własną wygodę! - zauważył złośliwie.

- No cóż... można i tak powiedzieć - odparła po zastanowieniu. - Ale w gruncie rzeczy wcale mnie jeszcze nie znasz!

- Wierz mi, Violette, nie ma mowy o żadnym bliższym poznaniu! - oświadczył z naciskiem.

- Jeśli tak twierdzisz...

Wydawała się ani trochę niezrażonego oświadczeniem; traktowała go pobłaźliwie, jakby starała się udobruchać kapryśne dziecko. Julian omal nie rzucił jej z siodła.

- A więc szturm nastąpi dziś wieczorem - odezwała się innym tonem. - Z pewnością nie chcesz pozostać długo z dala od swej brygady, ale moja sprawa nie zajmie ci wiele czasu.

- Doprawdy mi ulżyło, ale nie powinnaś śpieszyć się zbytnio ze względu na mnie. Szturm na Badajos może poczekać!

Tamsyn odwróciła się w siodle, by spojrzeć na niego.

- Nie bądź taki drażliwy, milordzie! Nie jest ci z tym do twarzy!

Zdumiał się tak bardzo, że odruchowo trącił konia w bok. Zaskoczony wierzchowiec rzucił się do galopu, a Tamsyn zachwiała się, tracąc równowagę.

- Niech to wszyscy diabli! - Julian chwycił ją mocno i przyciągnął do siebie jedną ręką, podczas gdy drugą skrócił cugle, poskramiając konia. - Trzymaj język za zębami! - rzucił szorstko. - Tak będzie lepiej dla wszystkich!

- Tak jest, jasnie panie pułkowniku - wymamrotała Tamsyn i uśmiechnęła się ulegle, a potem znów oparła się o niego.

Julian sam nie wiedział, dlaczego zachciało mu się śmiać. W obecnej sytuacji byłby to raczej śmiech obłąkańca... ale szelmowski uśmieszek Tamsyn wyraźnie go zachęcał, wręcz prowokował do tego. Zupełnie jakby mówiła: „Nie dam się nabrać na te wściekłe miny! Wiem, że takjaka cieszysz się z tej nieoczekiwanej bliskości, tylko nie chcesz się do tego przyznać!”

Pozostawili konia w stajni na tyłach kwatery głównej i weszli znów po zewnętrznych schodach.

- Czekaj na pana, pułkowniku!

Sanderson pospiesznie otworzył drzwi gabinetu.

- O, jesteście tu oboje! Znakomicie! - Wellington wstał zza biurka i oznajmił lakonicznie: - Wybacz, Julianie, ale La Violette nalegała, abyś był obecny podczas negocjacji.

- Domyśliłem się tego. - Julian zwrócił się do Tamsyn ze źle skrywaną wrogością: - W porządku, dopiętaś swego, a teraz uwińmy się z tym jak najszybciej! Mamy tego ranka ważniejsze sprawy na głowie niż dogadzanie wyrachowanej córeczce krwawego zbója!

Wellingtona zaskoczyła brutalna wypowiedź. Mężczyzna nie przemawia takim tonem do zwykłej znajomej, a tym bardziej do obcej osoby!

Tamsyn jednak wydawała się niewzruszona.

- Wiem, że obaj panowie jesteście zajęci, ale to nie ja nagliłam, aby załatwić ten interes. Sprowadzono mnie tu pod eskortą!

- Ale zdołałaś opóźnić nasz przyjazd o dwa dni! - odburknął pułkownik. - No więc, czego ostatecznie chcesz?

Tamsyn wzruszyła ramionami i nie czekając na zaproszenie, usiadła na krześle przed biurkiem. Skrzyżowała nogi, splecione ręce złożyła na kolanach.

- Doskonale, przejdźmy do rzeczy! Jestem skłonna przekazać wam informacje, na których waszej książęcej mości zależy, oprócz tych, które dotyczą uzbrojenia partyzantów. To nie moja sprawa! Sami was o tym powiadomiam, jeśli będą chcieli. Sporządzą również szczegółową mapkę górskich przejść pomiędzy Hiszpanią a Francją, z których korzystał El Baron. Niektóre z nich są bardzo wąskie i niebezpieczne, ale sami to z pewnością odkryjecie. Francuzi ich nie znają.

- Znakomicie, znakomicie! - wtrącił Wellington, zacierając ręce. - Będzie to dla nas bardzo użyteczne. - Spojrzał na St Simona. - Zgadzasz się ze mną, Julianie?

- O tak! - potwierdził Julian. - Bardzo użyteczne. - Stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o drzwi. W jego oczach błyskała ironia, ilekroć spojrzał na Tamsyn. - A ty, czego chcesz od nas, rozbójniczko?

- Właśnie, Violette! Czego się za to spodziewasz?

Tamsyn zwlekła z odpowiedzią. Oczy miała spuszczone, nerwowo przebierała palcami rąk leżących na podołku. Wreszcie podniosła wzrok. Najpierw popatrzyła w oczy pułkownikowi, potem zwróciła spojrzenie na Wellingtona.

- Chcę za to... lorda St Simona.

Milczenie, jakie zapadło w gabinecie, było równie głębokie i ciężkie jak grobowa cisza. Obaj mężczyźni wpatrywali się w Violette, która odchyliła się na oparcie krzesła i siedziała całkiem odprężona, bez śladu niepokoju. Zdobyła się na tak wielkie zuchwalstwo, że sama była zdziwiona, iż nie tylko obmyśliła taki plan, ale jeszcze oblokła go w słowa.

- To jakieś obłąkańcze majaki! - oświadczył Julian, przerywając milczenie. Głos miał szorstki jak papier ścierny. - Albo kpiny z armii Jego Królewskiej Mości... A to drogo cię będzie kosztowało, dziewczyno! - Podeszedł do jej krzesła i pochylił się nad Tamsyn, zaciskając ręce na oparciu po obu stronach jej głowy. Przeszył ją groźnym spojrzeniem, gdy powiedział powoli i dobitnie: - Daj spokój tym głupstwom, bo skończysz w kajdanach!

- Wysłuchajcie mnie najpierw! - powiedziała, nie okazując lęku, choć kosztowało ją to sporo wysiłku.

- Pozwól jej mówić, Julianie!

- Mówić?! - Pułkownik odwrócił się raptownie do swego dowódcy; twarz miał pobladła, szczęki zaciśnięte. - Ta dziewczyna albo jest obłąkana, albo urządza sobie kpiny! Czy muszę przypominać, że dziś wieczorem nasi ludzie idą na śmierć... a ta... ta zwariowana smarkuła drwi sobie z nas?!

- Nic podobnego! - zaprotestowała pośpiesznie Tamsyn. - Przysięgam, że wcale tak nie jest! Tylko mnie wysłuchajcie!

- Mów! - rozkazał jej Wellington, gestem ręki uciszając kipiącego z gniewu pułkownika. - Tylko trzymaj się tematu. I ostrzegam cię, jeśli to jakieś kpiny, osobiście odeślę cię do Cornicheta z najlepszymi pozdrowieniami od nas!

Pogróżki były najcięższego kalibru i nad wyraz nieprzyjemne. Tamsyn poczuła, że strach dławi ją w gardle. Przypomniała sobie, o jak wysoką gra stawkę, i zaczęła wyjaśniać swój plan wymagający współdziałania lorda St Simona.

- Mówiłam już, że moja matka była Angielką i pochodziła z Kornwalii. To także twoje rodzinne strony, pułkowniku.

Twarz Juliana była mroczna.

- No i co z tego?

- Myślałam, że pomożesz mi odnaleźć krewnych mojej matki - powiedziała po prostu. - Nie wyjawiała ich nazwiska. Nie czuła się wśród nich szczęśliwa, a gdy spotkała mojego ojca, postanowiła zerwać raz na zawsze ze swym dawnym życiem.

Zdjęła z szyi medalion i podała go Wellingtonowi.

- To jest jej portret. I mojego ojca. Sam medalion to pamiątka rodzinna i może dzięki niemu oraz portretowi Cecile mogłabym odnaleźć jej krewnych. Moja matka wspomniała, że pochodzi z nie byle jakiej rodziny,

Wellington obejrzał medalion i podał go Julianowi, który spojrzął na wisiorek z roztargnieniem. W myśli przebiegał znaczniejsze rody Kornwalii. Do największych posiadaczy ziemskich należeli St Simonowie i Penhallanowie, którzy odgrywali pewną rolę w polityce. Tregarthan, siedziba St Simonów, i Lanjerrick, majątek Penhallanów, zajmowały niemal połowę hrabstwa. Julian skrzywił się mimo woli na wspomnienie Penhallanów. Wicehrabia miał ambicje polityczne i piął się wzwyż bez skrpułów, ale był niemal wzorem szacowności w porównaniu ze swymi bratankami, tymi odrażającymi bliźniakami!

Julian rzucił medalion bez ceremonii na sąsiedni stół. Delikatny łańcuszek zadźwięczał w zetknięciu z blatem.

- Nie ma na tym żadnego herbu, rodowej dewizy ani nawet inicjałów, po których można by kogoś rozpoznać.

- Jest jeszcze portret! - powiedziała z naciskiem Tamsyn. - Zajrzyj do środka!

Wellington wziął znów do ręki medalion i otworzył go. Kobieta na portrecie była niewątpliwie matką Tamsyn. Podobieństwo rzucało się w oczy. Na szyi kobiety wisiał ten sam medalion. Uśmiechała się i promieniała wprost szczęściem. Książę podał otwarty medalion St Simonowi, który odczytał podpis na odwrotnej stronie miniatury. Samo imię - Cecile. I data sprzed trzech zaledwie lat.

Julian spojrzął na Tamsyn, która siedziała cicho, wyczekująco. Przyjrzał się dokładnie portretowi mężczyzny, zaskoczony tym, jak szlachetne rysy miał ów osławiony herszt bandytów. Czarne, bystre jak u jastrzębia oczy spoglądały zagadkowo z filigranowej ramki. Tamsyn miała usta ojca i równie stanowczy jak on zarys szczęki. Po matce odziedziczyła oczy i jasną karnację.

- A więc? - Zwrócił jej medalion. - Nawet jeśli uwierzemy, że twoja matka pochodziła z Anglii, jakie to ma znaczenie?

- Ogromne! — odparła.

Słuchali uważnie, gdy wyjaśniała, że jej rodzice zginęli tragicznie sześć miesięcy temu, a ludzie, którymi dowodziła, stracili życie na skutek zasadzki Cornicheta lub się rozpiechli. I że - oprócz Gabriela - nie ma nikogo bliskiego.

Jej opowieść robiła tym większe wrażenie, że Tamsyn nie wdawała się w szczegóły. Nie powiedziała, w jakich okolicznościach zginęli jej rodzice, stwierdziła tylko fakt. Zwracała się przede wszystkim do Wellingtona. St Simon nadal był rozdrażniony i zniecierpliwiony; nie mogła liczyć na to, że wzruszy go swą smutną opowieścią. Miała jednak wrażenie, że ta historia przemówi do serca naczelnego wodza.

- Bardzo bym chciała odnaleźć rodzinę matki - mówiła, zaciskając kurczowo leżące na podołku ręce i obdarzyła księcia drżącym uśmiechem. - Nie mam na świecie nikogo, komu zależałoby na mnie, kto by przyjął mnie pod swój dach. Pomyślałam więc, że gdybym odnalazła krewnych matki, zaopiekowałiby się mną... Przewiduję jednak pewne trudności.

Pułkownik wydał jakiś dziwny dźwięk - ni to prychnięcie, ni przekleństwo - i wymienił z księciem porozumiewawcze spojrzenie. Pewne trudności! Ta dziewczyna nie miała pojęcia, jak elitarne i skłonne do pogardy są wyższe sfery!

- Zakładając nawet, że zdołasz odnaleźć krewnych, jak chcesz zarzeć z nimi bliższą znajomość? - spytał lekceważącym tonem Julian. - Zamierzasz podejść do nich i powiedzieć: „Oto ja, wasza nieznajoma kuzyneczka!?”

- Dobrze wiem, że nic by to nie dało - odparła ze smutkiem. Książę spojrzał z wyrzutem na pułkownika. - Nie sądzę, by zaakceptowali mnie taką, jaka jestem. Nie umiem się zachować w eleganckim towarzystwie. Nie wiem nic o Anglii, z wyjątkiem tego, co mi opowiadała Cecile. A poza tym... - Jej opalone policzki okryły się delikatnym rumieńcem. - Jest jeszcze pewien szkopał...

- Mów bez obawy, moja droga!

Wellington wyzbył się całej swej początkowej szorstkości.

- To takie krępujące, ale nie jestem wcale pewna, czy Cecile i baron wzięli ze sobą ślub, taki prawdziwy, z błogosławieństwem Kościoła!

Wypowiedziała to wszystkim jednym tchem, wyłamując sobie palce.

- Ach tak? - zdumiał się książę.

- No i... rodzina mojej matki mogłaby dojść do wniosku, że nie mam prawa przyznawać się do pokrewieństwa z nimi, nieprawdaż? - powiedziała z niepokojem, utkwwszy w twarzy naczelnego wodza swe wielkie fiołkowe oczy.

Wellington odchrząknął, zmieszany.

- No cóż... to całkiem możliwe.

- Dlaczego, u licha, nie zalegalizowali swego związku - zirytował się Julian -jeśli byli tak nierozłączni, jak powiadasz?! Zwłaszcza że postarali się o dziecko!

- Myślę, że sprawa ślubu nie miała dla nich żadnego znaczenia - parła szczerze Tamsyn. - A ja urodziłam się tak jakoś... przypadkiem.

- Strzeż nas Boże przed takimi przypadkami!

Julian roześmiał się nieprzyjemnie.

- To bardzo niemiła uwaga! - zaprotestowała Tamsyn i spojrzała na Wellingtona, jakby szukała w niego obrony.

Ten w zamyśleniu podrapał się po nosie. Co właściwie Julian miał przeciwko tej dziewczynie? Dzielne z niej stworzenie!

- Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz, señorita - przyznał. - W jaki sposób lord St Simon mógłby ci pomóc?

- To bardzo proste - odparła Tamsyn i natychmiast się rozpogodziła. - Sądzę, że w ciągu sześciu miesięcy mogłabym przeistoczyć się w prawdziwą angielską damę. Gdyby pułkownik zechciał mi towarzyszyć do Anglii, do Kornwalii... i nauczyć mnie wszystkiego, co trzeba. Mogłabym wtedy rozpocząć starania o odnalezienie rodziny matki. Ktoś musiał przecież słyszeć dziwną historię o córce, która zniknęła dwadzieścia lat temu podczas podróży po Hiszpanii! Mam nadzieję, że udałoby mi się zawrzeć znajomość z moimi krewnymi, jeśli stałabym się dobrze wychowaną panną. Można by powiedzieć, że moja matka poślubiła hiszpańskiego granda, a sekret swego pochodzenia zdradziła mi dopiero na łożu śmierci. I można by jeszcze dodać, że pułkownik St Simon znał mojego ojca i ze względu na jakiś dług wdzięczności wobec niego zgodził się mną zaopiekować, kiedy zostałam sierotą...

- I może jeszcze coś... - dodała z ujmującym uśmiechem, zwracając do księcia. - Myślę, że bardzo by pomogło, gdybyśmy mogli powiedzieć, że i wasza książęca mość również roztoczył nade mną opiekę...

- Co takiego mielibyśmy rozpowiadać?! - wykrzyknął St Simon, kiedy treść jej wywodów dotarła do niego.

- To, że wzięłeś mnie pod...

- Wiem, wiem! - przerwał jej gwałtownym ruchem ręki. - Nigdy jeszcze nie słyszałem takich absurdalnych kłamstw!

- Ale to powinno wystarczyć! - upierała się Tamsyn. -Jestem pewna, że w to uwierzą! Gdybyś tylko zechciał poświęcić mi sześć miesięcy i pomoc, milordzie... Mam dość własnych pieniędzy, więc nie będę ci ciężarem. Proszę tylko o trochę twojego czasu! Nie znam nikogo innego, do

kogo mogłabym się zwrócić - dodała, raz jeszcze spoglądając błagalnie na księcia. - A tak się składa, że i ty pochodzisz z Kornwalii!

- Cóż to za absurd! - powtórzył z niesmakiem Julian. - Dość czasu na ciebie zmarnowałem!

- W takim razie nie ma o czym mówić - powiedziała Tamsyn. Tym razem nie było w niej nic z opuszczonej sierotki. Wsunęła brodę do przodu i przemawiała rzeczowym tonem. - Proszę wybaczyć, że zajęłam panu tyle czasu!

Wstała i ukłoniła się Wellingtonowi. A potem, nawet nie spojrzawszy na pułkownika, wyszła z pokoju.

- Zastanów się przez chwilę, Julianie! - odezwał się Wellington. - Sześć miesięcy to nie tak znów długo!

- Co takiego?! - Julian spoglądał na księcia, nie wierząc własnym uszom. - Miałbym odgrywać rolę nauczyciela i wychowawcy tego... tego diabelskiego nasienia?! Miałbym teraz opuścić Półwysep Iberyjski? Dobry Hoże, jak można nawet zastanawiać się nad czymś podobnym?!

- Mógłbyś wyświadczyć mi nieocenione usługi, przebywając w Anglii odparł Wellington pogrążony w zadumie. - Zastanawiałem się, kogo tam posłać. A sześć miesięcy to doprawdy nie tak długo. Ani się obejrzysz, będziesz znów z powrotem!

Julianowi zabrakło słów, gdy w jego umyśle zrodziło się niewiarygodne podejrzenie: jego naczelny wódz życzył sobie, by on wyraził zgodę na ten nonsensowny układ!

Przez chwilę spoglądał na księcia z niedowierzaniem, potem bąknął:

- Proszę wybaczyć!

Skłonił się, wykręcił na pięcie i wyszedł z pokoju. Niedowierzenie zmagало się w nim z dziką furią i powstała straszliwa zawierucha emocji, która zamąciła do reszty jasność jego umysłu.

Zbiegł ze schodów i wypadł na ulicę, potracając ordynansa, który niósł stos wypranych i wyprasowanych koszul dowódcy. Cała ta sterta upadła na ziemię. Pułkownik nawet tego nie zauważył i biegł dalej, podczas gdy ordynans, klnąc i mamrocząc coś pod nosem, zbierał świeżutkie pranie z zapylonego bruku.

Skręcivszy za róg, Julian dostrzegł Tamsyn przed domkiem wdowy. Dziewczyna oparta o ścianę gawędziła z seńszą, która pracowała w ogródku.

- A, jasnie pan pułkownik! - Tamsyn na jego widok uniosła brwi do góry. - Myślałam, że już wszystko sobie powiedzieliśmy.

- Możesz mi wierzyć, że nawet nie zacząłem na dobre!

Tamsyn, mimo swej zuchwałości, zadrżała na widok jego sinę z gniewu twarzy. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś, co rozładuje napięcie, pułkownik jednak objął ją w pasie i popchnął przed sobą do domu.

Kłęcząc nadal w zagonie kapusty, señora Braganza spoglądała za nimi. Następnie pokręciła tylko głową i wyrwała z korzeniami jakiś chwast z nieurodzajnej gleby.

Tamsyn dotarła do małego pokoiku pod samym dachem bez tchu Jakby pędziła po schodach, choć jej stopy prawie nie dotykały ziemi od chwili, gdy Julian objął ją w tali. Drzwi zamknęły się z trzaskiem, ona zaś znalazła się w pokoju, nadal zamknięta w uścisku pułkownika.

- Na Boga! - przemówił szeptem tak pełnym napięcia, że robił potężniejsze wrażenie niż krzyk. - Na Boga, dziewczyno, nie zrobisz mi tego! - Wolną ręką chwycił ją za szyję i zmusił do uniesienia brody, żeby musiała spojrzeć na niego. Każde wypowiedziane przez niego słowo było jak policzek. - Nie pozwolę, żebyś to na mnie wymusiła! Ty intrygantko, kłamczucho, złodziejko! Twoja rola w moim życiu skończyła się raz na zawsze! Wbiłaś to sobie wreszcie do głowy, dziewucho?!

Umysł Tamsyn pracował szybko. W głosie Juliana słyszała niemal desperację, mimo brutalności jego zachowania. Bał się, że zostanie zmuszony do spełnienia jej życzeń, czemu sprzeciwiał się całą siłą woli. Cóż mogłoby go do tego zmusić? Rozkaz Wellingtona, oczywiście! Liczyła na to, że księciu bardzo będzie zależało na jej informacjach. Nie przypuszczała jednak, by głównodowodzący posunął się do jakichś środków nacisku, prócz zwykłej perswazji. Ostatecznie, spełnianie życzeń La Violette nie wchodziło w zakres obowiązków służbowych pułkownika! A w takim razie... St Simon obawiał się jej. Tego, do czego mogłaby go namówić.

Nadal przyciskał ją brutalnie do siebie, zmuszał do podniesienia głowy... ale ręce miała wolne, więc z rozmysłem objęła go również. Można by przypuścić, że splekli się w namiętym uścisku!

Drgnął gwałtownie, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie, gdy pojął, co uczyniła.

- Ty kłamliwa dziwko! - wykrzyknął, uwalniając się z jej ramion z taką siłą, że omal się nie przewróciła.

- Nieprawda! - zaprotestowała Tamsyn. - Ścisnąłeś mnie tak mocno, że objęcie ciebie wydało mi się czymś zupełnie naturalnym.

Spojrzał na nią z takim zdumieniem, że poczuła niemal współczucie dla niego. Stawka jednak, o którą grała, była zbyt wysoka. Wykorzystała więc swoją przewagę, zbliżając się znowu do niego.

- To była tylko luźna propozycja, milordzie!

Oczy miała takie przepastne... miał wrażenie, że tonie w ich głębi. A jej uśmiech był tak uwodzicielski, że ziemia zadrżała mu pod nogami.

- Taka groźna mina! - szepnęła z jeszcze szerszym uśmiechem. - Odpreż się, proponuję ci coś bardzo miłego! Pamiętasz, jak było nam cudownie nad rzeką? Pomyśl, że mogłoby tak być zawsze, kiedy byśmy tego chcieli!

- Ladacznica! Chcesz się sprzedać...

- Nie! - przerwała mu Tamsyn. Z jej oczu zniknął uwodzicielski wyraz. - Ja się nikomu nie sprzedaję! Jestem tylko gotowa sprzedać twojemu dowódcy informacje, na których mu bardzo zależy. A tobie proponuję małe zadośćuczynienie, i tyle.

- Zadośćuczynienie za to, że będę skakał na dwóch łapkach koło bękart jakiegoś mordercy i rabusia!

- Co takiego?! - wykrzyknęła Tamsyn. - To tak wygląda twoja rycerskość, ty... ty gnido?! Ze szczerego upodobania i sympatii proponuję ci, żebyśmy się kochali, a ty...

- Ze szczerego upodobania i sympatii! - Parsknął szyderczym śmiechem. - Skąd wytrzasnęłaś podobne wyrażenia?! Uważasz mnie za skończonego durnia? Myślisz, że dam się nabrać?!

- To prawda! - obstawała zajadle przy swoim.

Julian przez chwilę stał bez ruchu. Jego spojrzenie sunęło bez pośpiechu w dół po smukłym, pełnym napięcia ciele Tamsyn. Była pełna energii, oburzenia i czegoś jeszcze... determinacji w dążeniu do celu, którą wyczuwał w niej od pierwszej chwili. Gotowa posłużyć się swoim ciałem, byle skłonić go do zrobienia tego, na czym jej zależało! No cóż... najwyższy czas, by La Violette przekonała się, że nie każdego może wodzić za nos!

- Ze szczerego upodobania i sympatii, co? - rozważał z ręką na klamrze swego pasa. - No to dowiedz mi tego, Violette! - Odpiął klamrę i pas razem z szablą odrzucił na stół pod oknem. - Na co czekasz? - spojrzał na Tamsyn, która nadal stała pośrodku pokoju. - Ściągaj ubranie!

Jakoś nie szło to zgodnie z jej planem! Pozornie wydawało się, że tak, ale czegoś w tym brakowało... Obrawszy jednak tę drogę, Tamsyn czuła się zobowiązana do kontynuowania gry. Ściągnęła buty i rozebrała się pośpiesznie, rzucając ubranie na podłogę.

Pułkownik stał nago w niewielkim rozkroku, z rękoma na biodrach gdy odwróciła się do niego.

- Nie mogę się doczekać tych dowodów szczerzej sympatii - wycodził -Ale ostrzegam, że mam bardzo mało czasu. Wykorzystaj więc najskuteczniejsze sztuczki twego fachu!

Tamsyn zatrzęsała się z gniewu. Jej oczy zwięziły się.

- Przekonasz się, jakie są skuteczne, jasnie panie pułkowniku! - odparła, podchodząc do niego.

Coś ostrzegło go w ostatniej chwili i odskoczył w bok, gdy wymierzyła kolanem morderczy cios w krocze.

- *Fiera!** - ryknął, rozdzymając nozdrza.

Udo pulsowało bólem po gwałtownym kopniaku. Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, co by się stało, gdyby uderzyła go w upatrzone miejsce.

- Jak śmiesz mnie obrażać! - wrzasnęła, rozcierając kolano, które także ucierpiało od zderzenia z twardymi mięśniami Juliana. -Wynoś się stąd! Nie tknęłabym cię, choćbyś był jedynym mężczyzną na świecie!

- Doprawdy? Gdzież się podziała ta szczerza sympatia?! - Rzucił się na dziewczynę, chwycił ją w talii i cisnął na łóżko. - Jakoś prędko wygasła, co?

Tamsyn zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest pobudzony. Najwyraźniej lubił się zmagać. To doprawdy irytujące, ale i ona lubiła zapasy! Czuła mrowienie w tym miejscu, gdzie ich ciała się zetknęły, a na dodatek dawało o sobie znać rosnące podniecenie w dole brzucha.

Pochylił się nad nią i wcisnął kolano między jej uda. W jego niebieskich oczach czaił się drapieżny głód.

- A może nie całkiem? - dopytywał się, rozsuwając jej nogi.

- Sympatia rzeczywiście wygasła - stwierdziła Tamsyn, oblizując zaschnięte wargi.

Nie odrywał oczu od jej twarzy, a palcami gładził ciało dziewczyny, aż pod ich dotykiem cichutko jęknęła z rozkoszy, wtedy wsunął ręce pod jej pośladki i unióś ku sobie. Wniknął w nią głęboko, a ona zadrżała z rozkoszy.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Tamsyn odpowiedziała uśmiechem, podejmując narzucony przez niego rytm. Czuła, że głęboka, gorąca radość wypełnia ją i płynie roztopionym miodem w żyłach. Aż trudno było wy-

obrazić sobie, że kilka minut temu walczyli ze sobą jak para zajadłych kundli!

Oczy mu jaśniały, gdy całował ją namiętnie, a ich języki zaczęły ze sobą tańczyć. Towarzyszyły im krzyki rozkoszy, gdy się kochali w szaleńczym rytmie.

Tamsyn czuła się jak kruchy liść, który opada na ziemię po podniebnym, ekstatycznym locie. Gładziła plecy Juliana, na których pot lśnił w porannym słońcu, i czuła, że i jej pot zbiera się między piersiami.

Julian z żalem oderwał się od niej. Oddech nadal miał nierówny, gdy opadł na wąskie łóżko obok niej. Po chwili usiadł i spuścił nogi na podłogę.

Popatrzył na Tamsyn, leżącą na wznak. Przesunął ręką po jej brzuchu w geście, który był pożegnaniem, a zarazem podziękowaniem za wspólną rozkosz, i wstał z łóżka.

Tamsyn nadal leżała i przyglądała mu się, gdy ubierał się w milczeniu. Jeśli to jawne pożądanie i rozkoszne spełnienie zachwiało jego postanowieniem, aby jej nie pomagać, nie dał tego po sobie poznać. Zapiął pas od szabli i podszedł znów do łóżka. Nachylił się, by ją pocałować - lekko, po przyjacielsku.

- Uważaj na siebie! - powiedział. -I pozdrów ode mnie Gabriela, kiedy przyjedzie, żeby cię stąd zabrać.

Drzwi zamknęły się za nim. Słyszała tupot nóg w wysokich butach, na drewnianych stopniach, jakby pułkownik chciał odejść stąd jak najprędzej.

Lord Julian St Simon udowodnił, że jest bardziej twardy, niż sądziła. Tamsyn wstała z łóżka i podeszła do okna. Widziała, jak wybiegł na ulicę. Następnym razem, gdy się spotkają, będzie już po bitwie pod Badajos. Nie zamierzała... i po prostu nie miała siły ponowić wcześniej swych ataków. Trzeba wstrzymać się z tym do jutra!

Zakładając, że nazajutrz rano Julian będzie jeszcze żył.

8

Rozpoczęło się o dziesiątej wieczór.

Tamsyn wyjechała z Elvas późnym popołudniem i zauważyła tłumione podniecenie wśród żołnierzy, pokrzepionych dodatkową racją grogu. Zbierali się grupami, sprawdzając swój ekwipunek i wymieniając anegdorki

z minionych kampanii. Kilku obejrzało się za dziewczyną, gdy ich mijaiła, ale uważniej przyglądali się arabskiemu rumakowi niż dosiadającej go! amazonce.

Tamsyn zastanawiała się, czy Julian znajduje się w tej osadzie namiotów. Bardziej okazałe należały do oficerów. Przejeżdżała w pobliżu kilku z nich i słyszała dolatujące z wnętrza wesołe głosy oraz brzęk naczyń i kieliszków; obiadowano wspólnie na kilka godzin przed bitwą.

Tamsyn nawet nie próbowała odnaleźć St Simona; powinien się skupić przed szturmem. Wybrała się na tę przejażdżkę jedynie po to, żeby czymś się zająć. Wychowała się w obozie podobnym do tego i dobrze wiedziała, co to niepokój i podniecenie przed starciem. Po prostu nie mogła wysiedzieć w Elvas jak nieużyteczny widz, gapiąc się tylko i czekając.

O zmroku zapadła niesamowita cisza - ucichł trwający przez cały dzień ogień artyleryjski i strzelanina. Atmosfera w obozie uległa zmianie. Oficerowie wychodzili przed namioty, wydawano po cichu związane rozkazy, żołnierze podążali grupami w stronę okopów. Noc była ciemna, ciężkie chmury przesłoniły księżyc.

Tamsyn opuściła obóz, wjechała na niewielkie wzgórze, zatrzymała tam konia i czekała. Na szanćach Badajos migotały światełka wartowników, poza tym jednak wszędzie panowała ciemność. Nic nie wskazywało na to, że cała armia skrada się pod osłoną okopów, by ustawić drabiny w tych miejscach, gdzie w murze broniącym miasta znajdowały się wyrwy. Nie było też widać żołnierzy, gotujących się do szturm.

Francuzi jednak musieli wiedzieć, że nieprzyjaciel nadciąga. Ich zwiadowcy z pewnością przekazali, że należy oczekiwać uderzenia, nawet jeśli nie znali dokładnie godziny ani planu natarcia. Z pewnością gotowali się do obrony poszczerbionego muru, zachowując się równie cicho jak atakujący.

Włoski na karku Tamsyn zjeżyły się, a Cezar grzebał kopytami i cicho rżał.

I nagle straszną, pełną napięcia ciszę przerwał grzmiący okrzyk wojenny, gdy brytyjscy żołnierze popędzili przez zewnętrzne obwarowania, by dotrzeć do murów. W odpowiedzi z szanćów gruchnęły moździerze i noc rozbrzmiała hukami dział i eksplodujących pocisków.

Tamsyn odruchowo zamknęła oczy. Hałas stawał się nie do zniesienia. Każdą przerwę w kanonadzie wypełniały ogłuszające wrzaski i sygnały trąbek, raz po raz wzywających do boju. Błyski jaskrawego światła przenikały nawet przez zamknięte powieki, gdy zaś otworzyła oczy, ujrzała dwie

ogniste kule na niebie. Bomby zapalające wystrzelono z szaniców i padły na ziemię w odległości osiemset metrów, gdzie nadal płonęły, oświetlając przerażającą scenę.

W ich jaskrawym świetle Tamsyn dostrzegła za niewielkim wzniesieniem grupę wojskowych, osłoniętych co prawda od artyleryjskiego ognia, znajdujących się jednak w zasięgu strzałów. Łatwa do rozpoznania postać Wellingtona była wyraźnie widoczna w blasku pochodni, którą trzymał stojący obok niego oficer.

Tamsyn skłoniła niechętnego Cezara, by zbliżył się do nich. Zatrzymała się w pobliżu żołnierzy, stojących obok swoich koni w pełnej gotowości. Zachowywał jednak należyty dystans od naczelnego wodza, który w świetle pochodni wysyłał coraz to nowe rozkazy. Krzyki rannych były tu jeszcze bardziej wyraźne, podobnie jak przeciągłe jęki konających. Trąbki co chwila wzywały do ataku, a żołnierze wspinali się na drabiny oblężnicze, by spotkać się z nieugiętym oporem obrońców. Francuzi wrzucali bomby zapalające oraz baryłki prochu z krótkim lontem do rowu w dole. Rozpryskiwały się tam i w górę tryskała makabryczna fontanna płonących ciał.

Kurierzy na spienionych koniach przybywali z największego bitewnego ścisku z wieściami do naczelnego wodza. Każdy jednak był zwiastunem porażki. Obrońcy miasta odpierali wszystkie ataki. Szeregi szturmujących były zdziesiątkowane, oficerowie padali jak muchy, strącani ze szczytu drabin przez Francuzów. Twarz Wellingtona w migotliwym blasku pochodni przypominała biały granit, gdy otrzymywał jedną po drugiej te rozpaczliwe wieści. Wydawał się jednak niewzruszony, kiedy z zimną krwią dyktował następne rozkazy i przemawiał opanowanym głosem do sztabu, który zebrał się wokół niego.

I nagle w dźwiękach trąbek nastąpiła jakaś zmiana. Tamsyn rozpoznała sygnał odwrotu. Powtarzał się raz po raz, choć nie mogła dostrzec najmniejszego osłabienia zażartych zmagających. Ziemia nadal wyrzucała ku górze płonące ciała, a przeraźliwe krzyki mieszały się z hukami armat i wybuchających min. Nie sposób było wyobrazić sobie, że ktoś mógłby wyjść cało z tego piekła! Tamsyn stała obok niespokojnego konia jak osłupiała - nie pojmując, jak można urządzić taką rzeź, by zawładnąć kupą cegieł i zaprawy murarskiej...

Jednak logiczne rozumowanie w tych warunkach nie było możliwe, • toteż jej myśli i uczucia skoncentrowały się wreszcie na jednym nazwisku. Julian St Simon! Rozbrzmiewało ono bez końca w jej głowie jak natrętny

refren. Julian znajdował się w centrum tego zniszczenia. Tylko to do niej docierało. Nie miała pojęcia, czy on jeszcze żyje, czy leży gdzieś pod ster-
tą ciał, krzycząc w śmiertelnej udręce... A może jest już tylko zimną bryłą
skrwawionej gliny?

Było w pół do dwunastej, półtorej godziny od chwili, gdy zaczęły się te
straszliwe jatki, gdy jakiś oficer z najwyższym pośpiechem przedarł się na
spienionym koniu przez ciżbę.

Wellington odwrócił się do kuriera, gdy zatrzymał się przed nim. "Wy-
mieniono zaledwie kilka słów, ale dla wszystkich dokoła było jasne, że na-
stąpiła jakaś znacząca zmiana.

- Moi panowie, generał Picton zdobył zamek! - Lord March, stojący
u boku księcia, ogłosił oficjalnie tę wieść. - Wezwał żołnierzy z okopów,
by utrzymać tę pozycję. Lada chwila całe miasto znajdzie się w naszych
rękach!

A więc Anglicy byli już w Badajos, przynajmniej jedną nogą! Tamsyn
dosiadła konia, podczas gdy przekazywano sobie tę radosną wieść z ust do
ust, i ruszyła powoli w stronę murów miejskich. Dostali się do środka...
ale jakim kosztem! Wokół piętrzyły się stosy trupów, wrzaski i jęki nic nie
straciły na sile. Dla rannych i umierających triumf Pictona nastąpił zbyt
późno. Jechała wzdłuż murów, nie zważając na strzelaninę na szańcach.
Drabiny obłędnicze, śliskie od krwi, nadal sterczały obok wyrw w mu-
rze, upiornie przystrojone odrąbanymi kończynami i tragicznie splątany-
mi ciałami.

Czy Julian St Simon pozostał przy życiu? Wydawało się nieprawdopo-
dobne, że ktoś mógłby ująć cało z tego piekła... Ale w chwili, gdy to pomyś-
lała, w samym mieście rozległ się triumfalny wrzask, a wojskowa trąbka
obwieściła zwycięstwo. Badajos ostatecznie przeszło w ręce oblegających.

Cezar podrzucił głowę i poruszył się niespokojnie, przestraszony nie-
znanymi odgłosami i zapachem krwi. Tamsyn udało się uspokoić konia,
choć nadal drżał i rozdymał chrapy.

- Już dobrze - powiedziała miękko. - Zbierajmy się stąd!

Zawróciła w stronę Elvas, zamierzając pozostawić tam konia i wrócić
pieszo pod mury Badajos. Przejechała jednak zaledwie kilka metrów, gdy
zatrzymał ją jakiś mężczyzna w zielonej kurtce strzelca.

Tamsyn ściągnęła wodze, a żołnierz, zalany krwią płynącą ze strzas-
kanej szczęki, przykuśtykał do niej. Usiłował podtrzymać zgruchotaną
szczękę jedną ręką, drugą zaś nagląco wskazywał za siebie na coś ukrytego
w mroku.

Tamsyn pospiesznie zsiadła z konia, ściągnając z szyi chustkę. Była przyzwyczajona do widoku rannych i bez obrzydzenia pomagała im, jak mogła. To, że na widok własnej krwi mdlała, było jej wstydliwym sekretem. Wiedział o nim jedynie Gabriel.

Zręcznie podwiązała rannemu szczękę.

- Wsiadaj na mojego konia, podwiozę cię na tyły, do lazaretu!

Strzelec pokręcił głową, znowu pokazując coś w tyle, za sobą. Jego oczy były równie wymowne jak usta nieme. Tamsyn zrobiła krok we wskazanym kierunku i omal nie potknęła się o kogoś jęczącego w grząskim błocie. Krew tryskała z otwartej rany w udzie. Żołnierz usiłował przycisnąć do siebie brzegi rany, jakby w ten sposób mógł powstrzymać krwotok.

- Mój kolega... - szepnął. - Zabierz go... do szpitala! Może się wyliże... Ze mną już koniec...

- On ciebie tu nie zostawi - powiedziała miękko, pochylając się nad nim. - Zrobię z twojego pasa opaskę uciskową i jeśli uda ci się dosiąść mojego Cezara, raz dwa znajdziesz się w rękach lekarzy!

Pospiesznie zatamowała krwotok, choć zdawała sobie sprawę, że szanse rannego są niewielkie. Jego twarz przybrała już szarą barwę znamionującą rychły zgon. Jednak przyjaciel nigdy by się nie zgodził opuścić go, a Tamsyn doceniała potęgę takiej lojalności.

Z nadludzkim wysiłkiem strzelec wziął na ręce swojego cięższego rannego druha i zdołał go jakoś wwindować na grzbiet Cezara.

- Siadaj za nim i podtrzymuj, żeby nie spadł! - poleciła mu Tamsyn, głaszcząc konia po spoconej szyi.

Strzelec wciągnął się jakoś na wysokie, wyściełane siodło. Wyraz jego oczu mówił wyraźnie, że nie jest mu zbyt wygodnie, ale trzymał mocno swego towarzysza, gdy Tamsyn prowadziła konia na tyły.

Droga była zatłoczona furami, na których zwożono rannych z pola bitwy, gdy ustał już ogień flankowy z szanów. Ludzie spoglądali ze zdziwieniem na drobną istotę bliżej nieokreślonej płci idącą pieszo obok wspaniałego rumaka z dwoma rannymi na grzbiecie, ale wszyscy byli zbyt zajęci, by poświęcić im więcej uwagi.

Wokół szpitalnych namiotów panował chaos. Tamsyn chwyciła za rękę przechodzącego sanitariusza.

- Mam tu dwóch rannych. Możecie się nimi zaopiekować?

Popatrzył na nią z roztargnieniem, po czym burknął:

- Zostawcie ich tutaj. Zajmiemy się nimi, jak będzie chwila czasu.

- Jeden z nich wymaga natychmiastowej pomocy! - nalegała Tamsyn. Oczy jej zapłonęły. - Nie przywiozłam go po to, żeby zdychał w błocie pod samym nosem chirurga!

- Co się tu dzieje?

Mężczyzna w zakrwawionym fartuchu zatrzymał się obok nich.

- Mam tu dwóch ludzi potrzebujących natychmiastowej opieki - oświadczyła Tamsyn - a ten dureń każe mi zostawić ich w tym błocku!

Chirurg zamrugał oczyma i spojrzął na nią ze zdumieniem.

- Kim pani właściwie jest?

- Naczelny wódz doskonale wie, kim jestem! A z pułkownikiem St Simonem znamy się bardzo dobrze — odparła bezczelnie. - Kiedy ja tu muszę wyklócać się z tą zakutą pałą, inni ludzie umierają, bo nie mogę ich ratować! - Z najwyższym niesmakiem skinęła na nieszczęsnego sanitariusza. - Pomóż im zsiąść z konia!

Chirurg obejrzał żołnierzy, gdy zdjęto ich z grzbietu Cezara.

- Jeden lżej ranny - orzekł. - Zabierzcie go do drugiego namiotu.

Strzelec z obandażowaną szczęką pokręcił głową. W jego oczach był ból. Wskazywał lekarzowi swego towarzysza z taką samą niemą prośbą, jak przedtem obcej dziewczynie.

- W porządku, zaraz go zbadam - powiedział chirurg z lekkim zniecierpliwieniem. - Niewiele mogę obiecać... z nogą pewnie będzie się musiał rozstać. Hej, wy tam, podajcie nosze!

Skinął na przebiegających obok sanitariuszy z podwójnymi noszami. Położyli na nich rannego.

Dopiero gdy strzelec zobaczył, że jego przyjaciel znalazł się w pierwszym namiocie, strasznym i krwawym, ale dającym pewną nadzieję, pokuśtykał za sanitariuszem, wyciągnawszy przedtem rękę do Tamsyn w niemej podzięce.

- Wygląda na to, mój kochany, że mamy stałe zajęcie! - powiedziała Tamsyn do Cezara, wskakując na siodło. - Wiem, że ci to nie odpowiada, ale nie możemy przecież przyglądać się temu z założonymi rękoma!

Zawróciła w stronę miasta, rozglądając się za rannymi, którzy mogliby skorzystać z tego niezbyt wygodnego, ale za to szybkiego środka lokomocji.

Julian St Simon, jakimś cudem nawet niedraśnięty, ale za to okopcony od stóp do głów od armatnich wystrzałów, stał pośrodku głównego placu miasta i oceniał sytuację. Trzy miesiące wcześniej brał udział w ataku na

iudad Rodrigo, który - aczkolwiek straszliwy - był niczym w porównaniu z tą kwietniową nocą.

- Julian, to ty? Bogu dzięki! - Frank Frobisher podbiegł do niego z drugiej strony placu. - Widziałem, jak spadasz podczas ataku na bastion San Jose, ale nie mogłem przebić się do ciebie w tym ścisku!

Kapitan stracił nakrycie głowy, jego kurtka była porwana, a krwawa krecha biegła przez cały policzek, od osmalonej brwi aż po kącik ust.

- Poślizgnąłem się, i tyle! - wyjaśnił Julian, klepiąc serdecznie przyjaciela po ramieniu. - Tim dostał się do lazaretu. Odłamek szrapnela w oku.

- A Deerbournie poległ - odparł Frank z posępnym wyrazem twarzy. - I George Castleton i tylu innych...

Rozejrzał się po pustym placu. Mieszkańcy Badajos ukrywali się za zamkniętymi drzwiami. Woleli nie pokazywać się zwycięzcom. Od czasu do czasu z szanieców dolatywały jeszcze pojedyncze strzały.

- Nasi ludzie są rozwścieczeni - stwierdził posępnym tonem. - Jeśli książę da im wolną rękę, splądrują to miasto jeszcze straszliwiej niż Ciudad Rodrigo.

- Sądzę, że da - potwierdził Julian z ogromnym znużeniem. - Walczyli jak lwy, widzieli, jak zabijano ich towarzyszy broni... Pozwoli im pomóc poległych.

Obaj mężczyźni spojrzeli w niebo, na którym bładły już gwiazdy.

- Gdyby Wellington kazał powiesić garnizon broniący Ciudad Rodrigo, nie zginęłoby dziś tyle tysięcy ludzi - powiedział martwym głosem Julian. - Philippon nigdy by się tak nie opierał, gdyby wiedział, że w razie klęski czeka go śmierć.

Frank wzruszył ramionami.

- A cóż to za barbarzyńskie obyczaje, Julianie? Karać śmiercią pokonanych!

- Uważasz, że to, co się tu niebawem wydarzy, będzie bardziej cywilizowane? - odparował Julian. - Będzie nam cholernie trudno wziąć znów naszych ludzi w karby po tej krwawej łaźni!

Frank nie próbował przeczyć tej oczywistej prawdzie.

Był już późny ranek, kiedy francuski garnizon odesłano pod eskortą do Elvas, a angielskich żołnierzy opętał diabeł. Wtargnęli do miasta wszystkimi wyrwami i wyłomami i zaroili się na ulicach. Po ostatniej nocy nieugaszona żądza krwi popychała ich do dzikiego rozpasania.

Jakieś dwie godziny po tym, gdy zaświtało, Tamsyn po wielogodzinnym trudzie odprowadziła do stajni Cezara, sama zaś, dotarłszy na swą kwatere

padła na łożko tak jak stała, zabłocona i pokrwawiona, nie chcąc słyszeć o jedzeniu ani gorącej wodzie.

Przespała pięć godzin i obudziła się wypoczęta i przytomna, ale z poczuciem, że zaraz wydarzy się coś złego. Zerwała się z łożka i podbiegła do okna. Ulice były niemal całkowicie wyludnione. Tylko kilku wieśniaków pod murem kurzyło fajki.

Tamsyn zeszała na dół. Nigdzie ani śladu gospodyni. Wyrzała więc na ulicę, nadal w swym ubrudzonym ubraniu. Okropne hałasy z Badajos niosły się daleko w porannej ciszy. Krzyki, trzaski i łomoty mieszały się z nieskładną grą na kobzie i waleniem w bęben.

Tamsyn skrzyżowała ramiona na piersi i aż się wzdrygnęła. Słyszała już kiedyś podobne odgłosy.

Señora Braganza wracała spieszenie do domu z bańką mleka. Zarzuciła swą lokatorkę potokiem słów, zaciągnęła ją do kuchni, posadziła na stołku, przygotowała jej pachnący omlet z ziołami i zaparzyła mocnej, gorzkiej kawy.

Tamsyn zjadła śniadanie nieobecna duchem, podziękowała wdowie z roztargnieniem i wyszła znów na ulicę, nie zważając na ponowne propozycje gorącej kąpieli i zmiany odzieży.

Nogi same ją niosły przez most pontonowy do Badajos.

Obóz wojskowy był niemal opuszczony, z wyjątkiem lazaretów, w których trwała nieprzerwanie gorączkowa krzątanina. Znacznie mniej wozów przywoziło rannych. Kiedy żołnierze dowiedzieli się, że wódz dał im wolną rękę, porzucili swych poszkodowanych towarzyszy broni dla rozkoszy plądrowania i grabienia zdobytego miasta.

Tamsyn dostała się tam przez jedną z wyrw w murze. Czuła, że to szaleństwo, ale coś ją ciągnęło do zdobytego miasta.

Przebiegła obok niej grupa żołnierzy z rękoma pełnymi towarów zagrabionych ze sklepu, którego wyłamane drzwi świadczyły niezbicie o rabunku. Pijackie śpiewy dobiegały z alei, gdzie inna grupa zwycięzców obstąpiła rozbitą beczkę, czerpiąc z niej wino zwiniętymi dłońmi i czapkami. Muszkiety leżały porzucone u nóg uczujących. Oczy mieli nieprzytomne, ale humory doskonałe. Rzucili w stronę Tamsyn jeden czy drugi żarcik.

Zostawiła swoją strzelbę i ładownicę w Elvas i miała tylko nóż za pasem. Doszła jednak do wniosku, że nawet gdyby jej męski strój nie zwiódł żołnierzy, jej brudna, pokrwawiona odzież wystarczająco zniechęci ich do zaczepek. Jediną zaś jej ozdobą był medalion, niewidoczny pod koszulą.

Szła przez brukowane kocimi łbami ulice, słysząc strzały z muszkietów, wybuchy śmiechu, gniewne wrzaski i hałaśliwą, nieskładną muzykę.

Zakonnica w podartym czarnym habicie wybiegła z kościoła, za nią zaś wrzeszcząca zgraja żołnierzy w porozpinanych mundurach i koszulach. Jeden z nich wywijał haftowanym złotem obrusem kościelnym, jak sztandarem zwycięstwa. Inny dźwigał świeczniki z litego srebra. Zakonnica przemykała się chyłkiem do okratowanych drzwi. Tamsyn dostrzegła jej przerażoną twarz, zanim drzwi otwały się i wciągnięto ją do stosunkowo bezpiecznego wnętrza. Mężczyźni ścigający mniszkę zatrzymali się, nie widząc jej. W pijackim zamroczeniu kręcili się wokół, wreszcie zawrócili znów do kościoła.

Tamsyn zdrzała. Wspomnienia oraz to, co widziała teraz, sprawiły, że ogarnęła ją wściekłość. Ręka sama zacisnęła się na nożu. Pożałowała, że to nie strzelba... Nie dlatego, że poczuła się zagrożona, ale miotał nią morderczy gniew z powodu krzywd, jakie żołnierze wyrządzili mieszkańcom Badajos.

Gdzieniedzie widać było oficerów usiłujących powstrzymać swych podkomendnych od najgorszych ekscesów. Jednak żołnierze, upojeni winem i zwycięstwem, pozbyli się wszelkich hamulców.

Tamsyn spostrzegła dwóch oficerów, upominających grupę obdartych piechurów, którzy urządzili salę licytacyjną na środku ulicy. Właśnie miała pójść pod młotek młodziutka dziewczyna, prawie dziecko. Któryś z żołnierzy wystrzelił z muszkietu nad głowami oficerów, inny wycelował swą broń prosto w serce jednego z moralizatorów. Było ich zaledwie dwóch przeciwko dwudziestu pijanym dzikusom.

Tamsyn przyglądała się, jak oficerowie dają za wygraną i odchodzą. Nie wzięła im tego za złe, sama jednak pozostała. Zaczekała, aż dziewczynka została sprzedana za pierścionek z wielkim rubinem; wśród wybuchów śmiechu rzucono ją w ramiona nabywcy, krzepkiego strzelca z opaską na oku. Taszczył swoją zdobycz, przedzierając się przez tłum gapiów na placu przy końcu ulicy. Tamsyn poszła w ślad za nim. Jej morderczy gniew skoncentrował się na tym jednym żołnierzy. Nie mogła powstrzymać ogólnego rozbestwienia, ale do tego nie dopuści!

Po placu bez określonego celu kręcili się żołnierze, to wchodząc, to wychodząc z różnych sklepów, których drzwi wyważono. W oknach wystawowych na parterze powirywano kraty i rozmaite towary poniewierały się na ulicy.

Dziewczynka zanosila się płaczem jak zagubione dziecko i Tamsyn przyspieszyła kroku, depcząc jednookiemu strzelcowi po piętach. Równocześnie usiłowała znaleźć jakąś broń solidniejszą od niewielkiego noża.

Dwaj mężczyźni grali w kości, siedząc na progu zdemolowanego sklepu sukienika. Muszkiety leżały na ziemi obok nich. Tamsyn przysunęła się boczkiem, chwyciła broń i uciekła pędem, nie zważając na wściekłe krzyki za jej plecami.

Wrzaski zresztą szybko ucichły. Odzyskanie muszkietu nie było w tej chwili najważniejszą sprawą dla wojaków. Wrócili do gry.

Pośrodku placu stała pompa na kamiennej płycie, do której prowadziły trzy szerokie, niskie stopnie. Żołnierz zmierzał ku nim ze swą zdobyczą, najwidoczniej mając zamiar zabawić się z dziewczynką w pełnym blasku słońca. Kiedy położył ją na stopniu, Tamsyn skoczyła ku niemu i kolbą muszkietu walnęła go w głowę nad uchem. Ryknął, puścił swą ofiarę i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z napastnikiem.

Tamsyn odskoczyła do tyłu, mierząc mu z muszkietu prosto w serce.

- Ty bydlaku! - zwróciła się doń cicho, lecz groźnie. - Ty podły sukiny-
synu! Gwałcisz małe dziewczynki i jesteś z tego bardzo dumny, co?! A po-
tem, co z nią zrobisz? Odsprzedasz ją swoim koleżkom?!

Dziewczynka klęczała na stopniu i nadal szlochała. Żołnierz wydawał się zdezorientowany. W uchu mu dzwoniło od uderzenia, krew ściekała po szyi. Gapił się na drobną istotkę, która stawiała mu czoło. Jej słowa prawie do niego nie docierały.

- Uciekaj, *nińa!** - ponagliła małą Tamsyn.

Dziewczynka podniosła się, rozejrzała nieprzytomnie po zatłoczonym placu, jakby szukając bezpiecznego schronienia. Jej nabywca oprzytomniał i z rykiem pognął za swą zdobyczą, która rzuciła się do ucieczki. Tamsyn podstawiła strzelcowi nogę i zwałił się na bruk. Zerwał się jednak od razu, rycząc jak zraniony byk.

Pułkownik St Simon i kapitan Frobisher pojawili się na placu w chwili, gdy w pobliżu pompy doszło do zwady. Jakaś dziewczynka biegła na bosaka po kocich łbach, a łzy przerażenia lały się strumieniami z jej oczu. Wpadła na Juliana, który chwycił ją i przygarnął do siebie. Dziewuszka przytuliła się do niego, drżąc jak zaszczute zwierzątko. Złote szamowania i epolety oficerskiego munduru rozpoznała trafnie jako rękojmię bezpieczeństwa.

- Jezus, Maria! - wymamrotał Julian, gdy promień słońca zaśnił we włosach La Violette na sekundę przedtem, zanim zniknęła w gniewnym tłumie szydzących z niej żołnierzy.

Przekazał Frankowi czepiające się go dziecko, polecając spiesznie:

- Zabierz ją w jakieś bezpieczne miejsce!

I pomknął w stronę pompy, wyciągając szablę z pochwy, z pistoletem w drugiej ręce.

Wpadł w sam środek zamieszania, wymachując szablą na prawo i lewo, i przeklinając w barwnym koszarowym języku, gdy torował sobie drogę w tłumie. Przekleństwa wywarły znacznie większy efekt niż broń w jego ręku. Na chwilę wyrwały żołnierzy z pijackiego odurzenia, przypominając im o jakiejś elementarnej karności. Po sekundzie wahania zwarty tłum trochę się rozstał i Julian wpadł na sam środek sceny.

Tamsyn usiłowała się wyrwać z rąk strzelca, którego pozbawiła zdobywszy. Odebrano jej siłą muszkiet, chciała więc wyciągnąć nóż zza pasa. Julian wystrzelił z pistoletu w powietrze i w tym samym momencie chwycił Tamsyn za ramię. Przez chwilę wrywali ją sobie z rozwścieczonym żołnierzem. Wreszcie pułkownik wywinął szablą i jednooki z okrzykiem bólu puścił dziewczynę. Z cięcia na jego rękę popłynęła krew.

Gniewny pomruk przeleciał przez tłum. Do pompy ze wszystkich stron zaczęli tłoczyć się żołnierze. Julian z rozmysłem schował szablę do pochwy, zatknął pistolet za pas, odwrócił się i wziął Tamsyn pod pachę jak worek kartofli.

- A niech was wszyscy diabli! - zaklął. - Rozstąpić się! Ta jest moja!

Przepychał się przez ciżbę ze swoim wrywającym się brzemieniem. Ktoś roześmiał się i ten pijacki rechot podjęli inni. Nastrój uległ zmianie. Żołnierze rozstępowali się, wykrzykując sprośne rady pod adresem oficera, który okazał się byczym chłopem i wziął udział w ich zabawie!

- Puszczaj, do cholery! - syczała wściekle Tamsyn.

Do jej wiszącej w dół głowy napływała krew. To absurdalne, że taszczył ją w taki sposób, iż nie dotykała ziemi ani nogami, ani rękami! Żaden mężczyzna nie wykorzystał tak haniebnie jej niskiego wzrostu, toteż morderczy gniew zapłonął w niej jeszcze mocniej.

- Nie puszcze, idiotko! - odparował Julian, równie rozwścieczony jak ona. - Co ty tu robisz, w tym piekle?! Dlaczego się wtrącasz w nie swoje sprawy? Gdybym miał szczyptę rozumu, zostawiłbym cię tutaj, tym diabłom na pożarcie!

Tamsyn zatopiła zęby w jego łydce.

Julian wrzasnął tak, że słysząc go było trzy ulice dalej.

- Przekłeta dzikuska!

Podrzucił ją do góry, jakby była pniakiem, którym Szkoci miotają dla sportu, a potem przewiesił ją sobie przez barki jak upolowaną zwierzynę, trzymając jedną ręką za nadgarstki, a drugą za kostki u nóg.

Tamsyn przeklinała, aż uszy wiodły, gdy opuszczali plac, ale Julian nie zwracał na to uwagi. Zbyt był przejęty oburzeniem i wstrętem z powodu tego wszystkiego, co działo się w Badajos, żeby przejmować się pretensjami Tamsyn. Nie miał pojęcia, co mogło sprowadzić ją tutaj... poza wyjątkową głupotą. Chyba że chciała wykorzystać ogólne zamieszanie i sama coś podwędzić?

- Na litość boską, Julianie, co ty taszczysz?!

Zdumiony głos Franka zatrzymał go, kiedy mijał żelazną furtkę smętnie zwisającą z zawiasów.

Julian wszedł na niewielki dziedziniec, pośrodku którego spokojnie szemrała fontanna. Dziewczynka, którą Tamsyn ocaliła, kryła się bojaźliwie za plecami Frobishera. Jej oczy w poszarzałej twarzycze nadal były pełne przerażenia.

- To Violette - wyjaśnił posepnie Julian i pochyliwszy głowę, ściągnął dziewczynę ze swych barków i postawił na nogi.

Ocalona dziewczynka podbiegła do niej z okrzykiem radości, objęła Tamsyn ramionami i, odzyskawszy wreszcie mowę, zalała wybawicielkę potokiem podziękowań.

Do Juliana dotarł ogólny sens wypowiedzianych w pośpiechu słów i wreszcie pojął, co Tamsyn tu robiła. Poprzednio nie skojarzył sobie uciekającej dziewczynki z obecnością Violette na placu. Dzięki Bogu, że nie wyraził głośno swych podejrzeń, co do jej udziału w rozboju! Już miał przeproszać za swą brutalność, gdy napadła na niego.

- Ty morderco, porywaczu, ty chamie! - obryzgała go zniewagami jak wąż jadem. - Jak śmiesz tak mnie traktować?! Szubrawiec, łajdak, śmieć prosto z rynsztoka!

- Zamknij buzię! - huknął Julian, tracąc ochotę na zawarcie z nią pokoju. - Gdybym się tu nie zjawił, *mi muchacha*, leżałabyś teraz na bruku i miałyby cię po kolei każdy, kto by tylko zechciał!

- Brudne, wstrętne świnię!

Głos jej nagle ścichł i zaczął drżeć.

Ku swemu zdumieniu, Julian dostrzegł, że w fiołkowych oczach załśniły łzy, a jej twarz zastygła w maskę rozpacz.

- Żołnierze! - mówiła tym samym tonem. - Śmierdzące wyciruchy z rynsztoka, co do jednego! Barbarzyńcy, gorsi od dzikich zwierząt! Nawet

ntie nie są takie podle! Nie traktują istot tego samego gatunku jak pozbawione uczucia śmiecie...

Zamilkła nagle, bo łyzy stłumiły jej głos.

Frank spoglądał na nią w kompletnym osłupieniu. Dziewczynka przituliliła się znów do niego. Julian, zakławszy pod nosem, otrząsnął się ze zdumienia, w jakie wprawiła go gwałtowna, pełna pasji mowa Tamsyn i podbiegł do dziewczyny.

- Zostaw mnie w spokoju!

Odwróciła głowę i odepchnęła go, kiedy podszedł zbyt blisko.

Srebrna łyza błysnęła na jej policzku, żłobiąc bruzdę w brudzie, i ściekała w dół, ku ustom. Zlizwała ją końcem języka, ale za pierwszą spłynęła druga i jeszcze jedna...

Julian zapomniał o oskarżeniach, jakimi go zasypywała. Zapomniał, że doprowadzała go do szału przy każdym niemal spotkaniu. Zdawał sobie sprawę tylko z jej niedoli. Dopiero teraz zauważył krew na jej ubraniu.

- Chodź! - powiedział miękko. - Najwyższy czas opuścić to miejsce. Nie da się nic zrobić, póki nie oprzytomnieją!

Położył jej rękę na ramieniu, by poprowadzić ją w stronę murów miejskich.

- Zostaw mnie w spokoju! - powtórzyła, chociaż z mniejszym przekonaniem.

Julian pokręcił głową.

- Wyniosę cię stąd, jeśli będę musiał, Violette!

- *Espadachim* - rzuciła mu jeszcze, ale łyzy płynęły już rwącym strumieniem.

Przeciagnęła dłonią po oczach, rozmazując brud na twarzy; wyglądała jak kominiarczyk. Nie opierała się tym razem, gdy objął ją w pasie i poprowadził dalej ulicą.

- Ocaliłaś tę dziewczynkę - powiedział, chcąc jakoś ją pocieszyć.

- Co znaczy jedna ocalona na tyle skrzywdzonych! - odparowała. - Oni gwałcą zakonnice, bezczeszczą kościoły, przesywają ludzi bagnietami! Widziałam to już wcześniej...

Ostatnie zdanie wypowiedziała tak cicho, że musiał się nachylić, żeby dosłyszeć. Potęga jej cierpienia była ogromna.

Pod miastem oddziały zmęczonych żołnierzy portugalskich kopały zbiorowe mogiły dla poległych. Wysokie stosy ciał czekały na wozach, aż złożą je do ziemi, gdy doły będą dość głębokie.

- Jesteście tacy sami jak wszyscy! - Tamsyn ponowiła nieoczekiwanie swój atak. - Jakże może być usprawiedliwienie dla takiego postępowania? Takiej bezsensownej rzezi?!

- Spytaj o to Napoleona - odparł sucho Julian. - Albo Philippona. Gdyby się poddał, kiedy stało się jasne, że miasto się nie obroni, tysiące ludzi nie straciłoby życia. Nie tylko my jesteśmy winni, Violette!

- Nie mówię, że tylko wy! - odparowała. - To żołnierze! Brutalni, bestialscy. ..

- To wojna zmienia ludzi w bestie! - przerwał jej. - Ale co można powiedzieć o twoim ojcu? On walczył tylko dla złota. Żadnych zasad, żadnego...

- Nie waż się osądzać mego ojca! - Odwróciła się gwałtownie z nożem w rękę. Jej oczy, nadal lśniące od łez, miały teraz gromy. - Co ty możesz wiedzieć o kimś takim jak El Baron?! Ty marny, podły angielski żołnierzu!

Wypluła ostatnie słowo jak największą zniechęcą.

- Nie waż się tak mnie traktować, Violette! - Julian chwycił ją za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że rozwarły się jej palce zaciśnięte na rękojeści i nóż upadł na ziemię. - Mam już tego dość! Atakujesz mnie jak dzikuska! - Odepchnął ją od siebie tak nieoczekiwanie, że upadła na kolana. - Idź sobie, dokąd chcesz, tylko zejdź mi z oczu!

Wykręcił się na pięcie i kipiąc gniewem, pomaszzerował w stronę obozu. Jednak po przejściu kilku metrów zwolnił kroku. Niechętnie obejrzał się przez ramię.

Nadal klęczała na ziemi, głowę miała pochyloną. Łzy lały się w błoto, w którym klęczała. Nie zauważyła nawet, że odszedł. Po raz pierwszy przeżywała każdy szczegół masakry w Pueblo de St Pedro. Dotąd zawsze starała się pamiętać tylko o bohaterskiej walce ojca ze śmiercią i o matce, spoczywającej spokojnie w cieniu... Teraz jednak ujrzała wszystko. Mordowane niemowlęta, gwałcone kobiety, torturowanych mężczyzn i strzelające w niebo płomienie podpalonych domów. A ona i Gabriel, jedyni, którzy ocaleli z kilkuset mieszkańców, patrzyli na to wszystko ze szczytu wzgórza, kompletnie bezradni. Trzy dni później, gdy tamci barbarzyńcy wynieśli się wreszcie, pozostawiając spalone zgliszcza domów i trupy pomordowanych mieszkańców, zrabowawszy wszystko, co zdołali, oni dwoje weszli do wioski i pochowali Cecile i El Barona. A potem wykopali wspólną mogiłę dla innych pomordowanych - taki sam dół, jakie kopano tutaj - bo we dwójkę nie byli w stanie zapewnić oddzielnego grobu każdemu z zabitych.

- Chodź, nie możesz tu zostać!

Głos Juliana był bardzo łagodny, gdy pochylił się nad nią. Wziął ją na ręce i oparł jej głowę o swoje ramię. Czuł, jak całe jej ciało trzęsie się od płaczu. Zaniósł ją do swojego namiotu, powiedział szorstko Dobbinowi, żeby sobie poszedł, a potem starannie zabezpieczył wejście.

- Opowiedz mi o tym! - poprosił cicho.

9

Julian zmierzał przez cały obóz do szpitalnych namiotów. Znajdowało się w nich wielu jego podkomendnych i wizyta pułkownika mogła podnieść na duchu tych biedaków... choć jemu nie poprawiła humoru. Ci z jego ludzi, których nie pochowano w zbiorowych mogiłach ani nie leżeli okaleczeni w lazaretach, nurzali się teraz we wszelkich nieprawościach w Badajos. Aby stali się znowu bystrymi, dobrymi, walecznymi, żołnierzami, tak jak niegdyś, trzeba będzie zastosować drastyczne środki, z szubienicą włącznie, a Wellington w swym bezlitosnym pragmatyzmie zaleci je i dopilnuje, by kary zostały wymierzone.

- Pułkownik St Simon, nieprawdaż?

Wyrwano go raptownie z posepnych rozmyślań, skoro tylko zajrzał do pierwszego namiotu. Chirurg, wymachujący rzeźnickim nożem, spojrzął na niego znad stołu na krzyżakach. Leżał na nim jakiś człowiek, związany i nieprzytomny. Jego prawa noga była obnażona do kolana; strzaskana kość sterczała z rany.

- Tak, to ja.

Julian zatrzymał się uprzejmie, choć miał wrażenie, że nie zna tego lekarza.

- Proszę o wybaczenie... Ubiegłej nocy zetknąłem się z niezwykle młodą kobietą, która utrzymywała, że jest pańską znajomą... dobrą znajomą. - Chirurg otarł spocone czoło rękawem. - Domagała się, żebym udzielił natychmiastowej pomocy jej rannym. Powiedziała, że księżę doskonale wie, kim ona jest.

- La Violette! - powiedział Julian raczej do siebie niż do swego rozmówcy. - Co ta kobieta tu robiła?

- Przywoziła rannych z pola bitwy na wspianiałym siwym koniu... Nigdy dotąd nie widziałem takiego zwierzęcia! - Chirurg nachylił się nad

pacjentem, który poruszył się i jęknął. - Proszę mi wybaczyć, odzyskuje przytomność! Muszę uciąć mu tę nogę, nim całkiem się ocknie!

Julian skinął głową i odszedł, starając się nie słyszeć zgrzytu noża o kość. A zatem Tamsyn spędziła noc, zwożąc do szpitala rannych na grzbiecie swego płochliwego Cezara! Udzielanie im takiej pomocy jakoś nie pasowało do jej gromkich deklaracji nienawiści wobec wszystkich bez wyjątku żołnierzy... A jednak nie zdziwiło pułkownika, że dziewczyna miała swój udział w dramatycznych wydarzeniach ostatniej nocy. Aż dziw, że wraz z ludźmi Pictona nie wspięła się na mury zamku!

Dowiedział się o niej bardzo wiele przez godzinę, którą spędzili razem w jego namiocie. Mówiła cicho i przez łyżki, ale całkiem skądnie. Opowiedziała mu o tragedii w Pueblo de St Pedro. Julian mógł sobie to bez trudu wyobrazić. Widywał już podobne rzeczy.

Tym razem jednak lord St Simon był zbity z tropu. La Violette ukazała mu się znowu w innym świetle. Zaczynał orientować się, jak złożoną jest osobowością, choć przedtem widział w niej jedynie oportunistkę i cudownie zmysłową rozbójniczkę, spod której niezwykłego uroku usiłował się uwolnić z najwyższym trudem. Teraz ujrzał dziewczynę pozostawioną samej sobie po straszliwej śmierci ukochanych rodziców. Młoda kobietę, której rozpadło się w gruzy całe dotychczasowe życie i która - porzucona na łaskę losu w świecie nękanym wojną - radziła sobie, jak umiała.

Był to niepokojący obraz, choćby dlatego, że spod spodu przezierał wizerunek tamtej drugiej, dawnej Tamsyn. Julian w dalszym ciągu był przekonany, że dziewczyna wykorzystała znaną słabość Wellingtona do kobiet, starając się rozbroić go żalosną historyjką o poszukiwaniu rodziny... A równocześnie czuł w kościach, że w jego namiocie Violette nie wyczytniała żadnych sztuczek, i to, co mu opowiedziała, było prawdą.

Sam już nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim! Przystanął obok noszy, na których leżał szeregowiec z jego brygady, z trudem oddychając przez usta, z twarzą owiazaną pokrwawionymi bandażami.

- Doktor powiada, że rano będziesz już w drodze do Lizbony, Carter - powiedział do niego Julian. - Skończyłeś z wojaczką na dobre!

- Nie powiem, żebym rozpacział z tego powodu - odparł ranny z owiazaną twarzą. - Ale straciłem nos... Co na to powie moja żona?!

- Będzie szczęśliwa, że ma cię z powrotem ze zdrowymi rękami i nogami! - zapewnił Julian, dotykając ramienia Cartera na pożegnanie.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak niewystarczające są podobne zapewnienia, ale była to jedyna pociecha, jakiej mógł mu udzielić.

Tamsyn, siedząc w wannie pełnej parującej wody w swoim pokoiku w Elvas, usiłowała rozstrzygnąć, czy jej chwilowe załamanie przyczyniło się do poprawy stosunków z Julianem St Simonem. Nie planowała takiej sceny, ale jeśli już zdarzyło się coś podobnego, można by to wykorzystać w dobrym celu...

Jej historia wyraźnie wzruszyła pułkownika. Był taki łagodny, pocieszał ją, kazał swemu ordynansowi podać herbatę, kiedy jej opowieść dobiegła końca, a łzy obeschły. Siedział na wąskim łóżku, obejmując ją ramieniem, i nic nie mówił, bo nie było nic do powiedzenia. Była mu bardziej wdzięczna za to milczenie niż za całą resztę! Inny mężczyzna mógłby nie oprzeć się pokusie i zasypać jej niezręcznymi słowami współczucia, które odebrałyby tylko godność jej cierpieniu.

A potem odprowadził ją do Elvas, do samego domu señory Braganzy.

Pograżona w myślach Tamsyn mydliła sobie nogi, krzywiąc się na widok brudnej piany zbierającej się na powierzchni wody. Przydałby się jeszcze jeden dzbanek czystej i ciepłej wody do spłukania całego tego mydła!

Jakby w odpowiedzi na jej życzenia, señora Braganza, sapiąc, wspięła się po schodach z miedzianym dzbankiem pełnym świeżej wody. Tamsyn serdecznie podziękowała gospodyni i stanęła w wannie. Wdowa spłukała gorącym strumieniem jej włosy i ciało, a dziewczyna aż zadrżała z radości, pozbywając się do reszty brudu.

Señora wyprała też jej koszulę i bieliznę, ale jedno i drugie było już mocno podniszczone, a spodnie prawie się nie nadawały do noszenia. Tamsyn potrzebowała na gwałt nowego ubrania! Sklepy w Elvas były dobrze zaopatrzone... Niestety, nie mogła liczyć na żadne pieniądze aż do powrotu Gabriela. A wtedy, rzecz jasna, nie będzie musiała nic kupować, gdyż Gabriel przywiezie wszystkie jej rzeczy, razem ze skarbem, tak dobrze ukrytym, że ci mordercy się do niego nie dobrali!

Może pułkownik St Simon dałby się namówić na małą pożyczkę? Będzie miała znakomity pretekst, żeby go odszukać!

Włożyła swoje zniszczone ubranie. Señora nie zdołała sczyścić plam krwi z jej bryczesów, ale zlały się jakoś z innymi plamami, których sporo się uzbierało przez ostatnie dwa tygodnie. Za to przynajmniej jej skóra i włosy były czyste!

Tamsyn przyjrzała się sobie uważnie w pełnym szklanku lusterku. Nie najgorzej, mimo wszystko! Czują się wewnątrz oczyszczona, jakby stawiając czoło okropnościom Badajos, przecięła ropiejący wrzód. Tliła się w niej także iskra radości i ulgi na myśl o tym, że Julian St Simon wyszedł cało z bitwy.

Zwabiona smakowitymi zapachami dolatującymi z kuchni zbiegła na dół.

Señora Braganza ugotowała zawieszistą supę z kapusty i kartofli na kiełbasie z czosnkiem i przyglądała się z satysfakcją, jak jej lokatorka zjada dwie duże miski, zagryzając pajdami chrupiącego chleba. Po tym posiłku Tamsyn - czując się gotowa na wszystko - zabrała ze stajni Cezara i udała się do obozu wojskowego na poszukiwanie pułkownika St Simona.

Tak się akurat złożyło, że gdy dziewczyna była w obozie, pułkownik wyruszył do kwatery głównej Wellingtona. Wezwano go nagle do Elvas, gdy odwiedzał chorych w szpitalu.

Julian widział jasno, że jego wódz naczelny jest w nie najlepszym nastroju. Satysfakcję z odniesionego zwycięstwa przyćmiewał żal po stracie tysięcy najlepszych ludzi, a jego kontrowersyjna decyzja pozwalająca tym, którzy ocalili, rozprawić się z mieszkańcami Badajos, nie pocieszyła go bynajmniej po tej stracie. Podobnie jak St Simon, Wellington był zdania, że gdyby w styczniu dla przykładu kazał stracić garnizon broniący zażarcie Ciudad Rodrigo, obrońcy Badajos znacznie wcześniej poddali się Anglikom, oszczędzając obu walczącym stronom nieopisanych cierpień. Jednak opinia publiczna nie poparłaby takiej barbarzyńskiej rzezi pokonanych, choć zapewne przymknie oczy na ohydny grabież i przemoc w bezbronnym już mieście.

- Julianie, chodzi mi o tę historię z La Violette... - Książę bez zwłoki przeszedł do sedna sprawy, skoro tylko pułkownik się zjawił. - Przemysłałeś raz jeszcze swoją decyzję?

- Nie było na to czasu - przypomniał mu Julian. - Ale moja odpowiedź i tak nie uległaby zmianie... Nie mogę zgodzić się na coś podobnego!

Wellington zmarszczył brwi i zaczął krążyć po pokoju z rękoma założonymi do tyłu.

- Potrzeba nam tych informacji, Julianie! Mam zamiar przepędzić Francuzów z Hiszpanii jeszcze tego lata i na jesieni wkroczyć do Francji. Muszę znać te wszystkie tajemne przejścia! I potrzebna mi większa swoboda działania, jeśli chodzi o partyzantów. Violette może to nam ułatwić.

- Nie przeczę - odparł Julian. - Sądzę jednak, że mogłaby sprzedać te informacje niekoniecznie za cenę mojej duszy! - dodał zgrzyliwie.

- Nie przesadzaj, człowieku! - ofuknął go książę. - To tylko sześć miesięcy, nic więcej. - Zmrużył chytrze oczy. - Coś mi się zdaje, że ta dziewczyna ma jakieś podstawy, by liczyć na twą zgodę.

- Nie ma żadnych podstaw! - stwierdził kategorycznie Julian. - Ani żadnego prawa do stawiania mi jakichś żądań!

- Ach tak?... - Wellington podrapał się po nosie. - No cóż... To bardzo niezwykła młoda kobieta.

- Złodziejka i szczwana intrygantka! - oświadczył pułkownik równie stanowczym tonem. - Nie zamierzam brać udziału w jej grze! Założę się, że gdybyśmy ofiarowali jej wystarczająco dużą sumę, przekazałaby nam wszystkie te informacje bez wahania!

- Może... ale mam co do tego wątpliwości. Napijesz się czerwonego wina?

Książę podszedł do stojących na stole karafek.

- Dziękuję, chętnie.

Julian czekał, co będzie dalej; jego bitwa nie została jeszcze wygrana. Przyjął kieliszek z lekkim ukłonem.

- Nawet bardzo w to wątpię - kontynuował książę, jakby nie było żadnej przerwy w ich rozmowie - ..bo coś mi mówi, że ta dziewczyna zna swoją cenę i nie ustąpi. Chce tylko jednego... i, mój Boże, trudno jej się dziwić. Jest sama na świecie, biedne maleństwo... Nie może mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Jakaż czekają przyszłość, bez przyjaciół i rodziny?

Julian delektował się winem i nie odpowiadał. Pamiętał dobrze ból dziewczyny i jej nieutulony żal. Mimo to nie był wcale pewien, czy epitet „biedne maleństwo” jest najlepszym określeniem dla osieroconej córki El Barona i jego angielskiej kochanki.

- Pewien jestem, że uda się jej odnaleźć krewnych - mówił dalej książę pogrążony w myślach. — Byłoby jednak lepiej dla niej, gdyby stonowała nieco swą oryginalną powierzchowność i sposób bycia. Stałaby się dzięki temu bardziej przekonująca... i bardziej ujmująca, nie uważasz?

- Może - zgodził się Julian obojętnym tonem, nie ustępując ani o krok.

Wellington przyjrzał mu się uważnie.

- No cóż, jeśli się nie zgodzisz, to trudno. Ale jest coś jeszcze, co chciałbym z tobą omówić.

Julian czekał cierpliwie, milczenie się przedłużało, a on wcale nie był przekonany, że naczelny wódz pogodził się z jego odmową.

- Nie muszę ci mówić, jak nieufnie nastawiony jest rząd do naszej kampanii - odezwał się w końcu Wellington. - Mówią, że wyolbrzymiamy znaczenie naszych zwycięstw, że odnieśliśmy je zbyt wielkim kosztem...

Mój Boże, będą mieli dość podstaw do narzekań, kiedy zostanie opublikowana kolejna lista poległych!

Julian skinął głową. Wszystkim było wiadomo, na jakie sprzeciwy ze strony angielskiego rządu był narażony Wellington i z jakim niebotycznym wysiłkiem zdobywał pomoc finansową i zaopatrzenie, niezbędne do prowadzenia kampanii na Półwyspie Iberyjskim.

- Potrzebny mi ktoś, kto przedstawi nasze racje w Westminsterze - oświadczył książę. - Ktoś godny zaufania, wzbudzający szacunek, kto był naocznym świadkiem, uczestnikiem kampanii. W komunikatach z placu boju nie można należycie przedstawić sprawy, a cywilni obserwatorzy są diabła warcil! Nie mają zielonego pojęcia o tym, co się dzieje pod samym ich nosem!

- I wasza książęca mość wybrał mnie do tej roli? - spytał Julian doskonale obojętnym głosem.

Napełnił ponownie kieliszek naczelnego wodza, a następnie swój.

- Idealnie się do niej nadajesz - odparł Wellington. - Jesteś najmłodszym pułkownikiem w naszej armii, a za rok czy dwa czekają cię niewątpliwie szlify generalskie. Byłeś wymieniany setki razy w raportach i komunikatach, i twoje nazwisko jest dobrze znane w kołach rządowych. Dadzą tam wiarę temu, co powiesz.

Wellington nie wspomniał, gdyż rozumiało się to samo przez się, że tytuł lorda Juliana St Simona należał do najstarszych w kraju, a fortuna była wprost niewiarygodna. Dzięki temu liczono się z nim jeszcze bardziej.

Julian podszedł do okna i ze zmarszczonym czołem wyglądał na ulicę.

- Książę życzy sobie, żebym opuścił armię właśnie teraz, kiedy letnia kampania niebawem się rozpocznie? - odezwał się wreszcie. - Żebym porzucił moją brygadę, gdy czekają nas miesiące uciążliwych marszów i walk?

- Uważam tę misję w Londynie za niezwykle ważną, St Simon. - Wellington mówił teraz zwięzłym, dobitnym tonem naczelnego wodza. Nie była to już przyjacielska rozmowa. - Nie brak mi pułkowników, którzy mogą przejąć twoją brygadę, ale nie widzę nikogo, kto nadawałby się lepiej do tej misji dyplomatycznej. Jeśli chcesz, O'Connor pod twą nieobecność będzie cię zastępował. Jego rana nie jest tak groźna, by musiał wracać do kraju. - Wellington zamilkł, po czym dodał z rozmysłem: - A ty otrzymasz stopień brygadiera zaraz po powrocie.

Julianowi serce podskoczyło. Od brygadiera do generała był już tylko jeden mały krok. A on przyrzekł sobie, że zdobędzie generalskie szlify, nim stuknie mu trzydziestka... Myślał jednak, że dosłuży się tego stopnia

boju, prowadząc swych żołnierzy do zwycięstwa, a nie dzięki gładkim
płomatycznym rozmówkom w Westminsterze!

- Czy to rozkaz?
- Tak jest, pułkowniku!

Julian odwrócił się od okna.

- A... tamta druga sprawa?
- Dajże spokój, Julianie! - Wellington uśmiechnął się. - Z pewnością
mógłbyś odwieźć tę dziewczynę do Anglii i pomóc jej w nawiązaniu kon-
taktu z rodziną matki! Przecież i tak się tam wybierasz.

- Odwiezienie do Anglii to nic wielkiego - odparł sucho St Simon.
- Ale wcale nie tego domaga się Violette. Jej się zachciewa prywatnego na-
uczyciela!

Wellington roześmiał się.

- Ma tupet ta mała, nieprawdaż?

Julian westchnął.

- Nie przeczę.
- No więc, zrobisz to?
- Powiedzmy, że wynajmę dla niej odpowiedni dom i wystaram się
o guwernantkę? - zaproponował pułkownik przyparty do muru. - Od-
wiozę ją do Anglii i przekażę w ręce szacownej niewiasty... W tej sytuacji
mógłbym tu być z powrotem za dwa-trzy miesiące!

Wellington wzruszył ramionami.

- Musimy przedstawić tę propozycję Violette. Jeśli ją zaaprobuje, to ja
nie mam nic przeciwko ternu. Zależy mi tylko na jej informacjach.

- Poślę po nią Sandersona!

Julian podszedł do drzwi i wydał polecenie szefowi kancelarii, po-
tem zaś wrócił do gabinetu. Tym razem wódz naczelny stał przy otwartym
oknie, wsłuchując się w hałasy dolatujące z Badajos.

- Dam im czas na opamiętanie się do jutra. Potem, jeśli nie uda się ich
stamtąd wyciągnąć, trzeba będzie postawić szubienicę na placu - powie-
dział obojętnym tonem. - Jak się powiesi kilku rabusiów, reszta powinna
nabrać rozumu.

- Będą w fatalnym stanie!
- Wiem, wiem: zdemoralizowani, skacowani i cholernie zawstyżeni.
Oblężenie to paskudna robota, Julianie!

- Trudno o coś gorszego - przytaknął posępnie Julian, sącząc wino.

Po pięciu minutach wrócił Sanderson z wieścią, że La Violette nie ma
na kwaterze i że zabrała konia ze stajni.

- Odjechała?-Wellington uniósł pytająco brwi.

Julian pokręcił głową.

- Nie, nie! Ona tak łatwo nie daje za wygraną. Obiecała zresztą temu osiłkowi, swemu opiekunowi, że zaczeka na niego w Elvas. - Odstawił kieliszek. - Rozejrzę się za nią.

Wyszedł, usiłując ukryć swój niepokój na myśl, że - być może - Tamsyn wróciła do Badajos. Nie mógł sobie wyobrazić, by zrobiła coś aż tak głupiego, ale Violette postępowała według własnych praw, niepojętych dla przeciętnego człowieka. Nie mógł pojąć, dlaczego niepokoi się o nią; był to najbardziej irytujący aspekt całej sprawy. Violette zdeorganizowała mu życie, manipulowała jego uczuciami i popędami... a mimo to chciał się upewnić, że jest bezpieczna.

Znalazł ją siedzącą przed jego namiotem, otoczoną kręgiem jego oficerów. Cezar leniwie szczypał w pobliżu rzadką trawę.

- O, jest i jaśnie pan pułkownik! - obdarzyła go promiennym uśmiechem, kiedy do nich podjechał. - Mam niewielką prośbę, toteż szukałam cię, pułkowniku, i zapoznałam się z twoim sztabem! A Dobbin był taki dobry, że zrobił mi herbatę.

Uniosła rękę z emaliowanym kubkiem.

- Cóż za urocza scenka! - powiedział sucho. - Czy nie mamy dziś rano nic lepszego do roboty, panowie, jak miłe pogawędki przy herbacie?

- Omawialiśmy sytuację w Badajos - wyjaśniła pospiesznie Tamsyn, podczas gdy towarzyszący jej oficerowie jak jeden mąż zerwali się na równe nogi. — Kapitan Frobisher opowiedział mi, co zdołał zrobić dla dziewczynki, którą uratowałam dziś rano. A inni panowie oficerowie objaśnili, w jaki sposób udało się im zabezpieczyć drzwi klasztoru stanowiącego azyl dla kobiet... Właśnie wrócili stamtąd na krótki odpoczynek.

Julian pożałował swego sarkazmu, gdy spojrział w zmęczone twarze swoich oficerów.

- Przepraszam! - powiedział żywo ze swym nieodpartym uśmiechem, dzięki któremu od dzieciństwa bez trudu uzyskiwał wybaczenie. — Jestem w fatalnym humorze. Nie chciałem być uszczypliwy!

- Wszyscy jesteście nie w humorze - odparł Frank ze znużonym uśmiechem. - Zastanawialiśmy się, czy udałoby się ściągnąć tu naszych zbuntowanych podkomendnych, gdybyśmy stanęli na czele pokaznego oddziału podoficerów?

- Najpierw odpocznijcie trochę. Wypróbujemy ten pomysł wieczorem. Może do tej pory będą tacy otumanieni, że pójda za nami jak baranki?

Zwrócił się znów do Tamsyn. - Wellington chce z tobą porozmawiać, iollette. Pojedziesz tam teraz ze mną?

Nie zabrzmiało to jak kategoryczny rozkaz. Tamsyn uśmiechnęła się odparła filuternie:

- Z rozkoszą udam się wszędzie z tobą, milordzie... jak ci już niejednokrotnie dałam do zrozumienia.

Julian zacisnął usta, a w jego niebieskich oczach zamigotały iskry. Pozostali mężczyźni starali się ukryć szerokie uśmiechy.

- Mogę pomóc przy wsiadaniu, madame? - zaofiarował się Frank, z nim Julian wybuchnął. Kapitan splótł dłonie, by Tamsyn miała na czym oprzeć nogę, ona zaś wskoczyła lekko na siodło i podziękowała.

Zbierając cugle, uniosła brwi na widok nadal kipiącego z gniewu pułkownika i powiedziała:

- Jestem gotowa!

Julian bez słowa zawrócił konia i ruszył wąskim przejściem między rzędami namiotów. Tamsyn pomachała wesoło na pożegnanie oficerom i pojechała za nim.

Przebyli gęsiego most pontonowy wiodący do Elvas i dotarli do stajni przy kwaterze głównej. Julian, nadal bez słowa, wbiegł pierwszy do budynku.

- Czy jego książęca mość jest sam, Sanderson?

- Tak jest. Lord March wyszedł przed kilkoma minutami.

- Doskonale.

Pułkownik zastukał i otworzył drzwi, gestem nakazując Tamsyn, by weszła pierwsza do gabinetu.

- Dzień dobry! - powitała grzecznie wodza naczelnego. - Mogę po gratulować wspaniałego zwycięstwa?

Nie ulegało wątpliwości, że w jej słowach pod pozorami uprzejmości kryje się gorzka ironia, toteż Wellington spojrzał na nią ostro i zmarszczył brwi.

- Moi ludzie walczyli jak lwy! - oświadczył. - I ginęli jak bohaterowie.

- Nie wątpię - odparła tym samym tonem. - Pułkownik St Simon mówił mi, że życzy pan sobie pomówić ze mną...

Przysiadła na szerokim parapecie i popatrzyła na księcia, przechylając łśniącą głowę na bok; jej oczy spoglądały bystro.

Zupełnie jak zuchwały ptaszek! - pomyślał Julian, rozbawiony mimo woli.

- Mamy dla ciebie pewną propozycję, Violette. To sugestia pułkownika, może więc on wyjaśni.

Tamsyn odwróciła się z żywym zainteresowaniem do St Simona.

- Zamieniam się w słuch, jaśnie panie pułkowniku!

Julian wyjaśnił swą propozycję. Miał głos bez wyrazu, twarz doskonale obojętną, ale Tamsyn słuchała z tym samym żywym zainteresowaniem.

Kiedy skończył, powiedziała po prostu;

- O nie! To mi nie wystarczy.

Po tej kategorycznej odmowie zapadło przytłaczające milczenie. Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią. W końcu St Simon spytał:

- A to dlaczego?

- Chyba rozumiesz, że jakaś tam guwernantka nie mogłaby zagwarantować mi tego, czego potrzebuję - odparła rozsądnie. - Ponieważ jestem pewna, że krewni mojej matki to arystokraci, muszę się dowiedzieć, jak dotrzeć do najwyższych kręgów towarzystwa. Guwernantki nie znają się na takich sprawach. Potrzeba mi będzie wielu poufnych informacji o najznamienitszych rodzinach, a o tym wiedzą tylko ludzie z tej samej sfery. I jakże mogłaby mi guwernantka załatwić zaproszenie, kiedy już będę gotowa na spotkanie z moimi krewnymi? Przecież musi wprowadzić mnie ktoś absolutnie bez zarzutu... i wyjaśnić, że znajduję się pod łaskawą protekcją księcia Wellingtona!

Jeszcze jeden uśmiech skierowany do naczelnego wodza.

- Ona ma rację, Julianie.

Julian napotkał spojrzenie swego dowódcy i wyczytał w nim niezłomne postanowienie. Zwrócił się w stronę siedzącej na parapecie Tamsyn. Uważnie przyglądała się swoim paznokciom i wydawała się całkowicie tym pochłonięta.

- Niech cię szlag, Violette! - syknął. - Niech cię wszyscy diabli, ty obłudna czarownico, ty intrygantko!

Nie był to najbardziej odpowiedni moment do ubiegania się o niewielką pożyczkę. Tamsyn podniosła oczy na pułkownika i uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie będę dla ciebie zawadą, milordzie, słowo daję! Postaram się być pilną uczennicą i nie przyniosę ci wstydu!

Mina Juliana była nad wyraz sceptyczna.

Wellington wybuchnął śmiechem podobnym do rżenia.

- Zapędziła cię w kozi róg, co?

Julian podszedł do dziewczyny. Pochylił się nad nią i powiedział tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć:

- Połakomiłaś się na większy kawał mięsa, niż zdołasz pogryźć, Violette! Tak cię wytresuję, że sama już nie będziesz wiedziała, gdzie głowa, a gdzie ogon!

Tamsyn oblizwała wargi i przymrużyła oczy.

- Zniosę wszystkie twoje sztuczki, jaśnie panie pułkowniku!

Ich spojrzenia spotkały się. W jej oczach był upór i wyzwanie, ale było też radosne podniecenie. Oboje lubili się zmagać.

Potem Julian wyprostował się i przemówił opanowanym i doskonale obojętnym głosem.

- A więc zgodziliśmy się na twoje warunki, Violette. Pora, żebyś i ty dotrzymała umowy.

- Oczywiście! - odparła.

Wellington przywołał Sandersona, by robił notatki, i zaczęło się. St Simon zasiadł przy kominku, przysłuchując się uważnie odpowiedziom rozbójniczki i usiłując przyłapać ją na uchylaniu się od odpowiedzi, czy na jakiejś innej próbie oszukiwania ich. Mieli tylko słowo Violette, że przekazuje im prawdziwe informacje, ale Julian złapał się na tym, że wierzy jej bez zastrzeżeń. Potrafiła być śliska jak węgorz, lecz jeśli obiecała, że będzie mówić prawdę, grała uczciwie!

Nie miał pojęcia, skąd wzięło się w nim to przekonanie.

Była to długa i wyczerpująca sesja. Na zakończenie Tamsyn sporządziła dokładną mapę bezpiecznych przejść przez Guadarrama. Potem przeciągnęła się i stwierdziła:

- To już chyba wszystko, do czego się zobowiązałam!

- Tak - odparł Wellington i skinął głową z zadowoleniem. - Wywiązałaś się z tego więcej niż zadowalająco. Serdeczne dzięki!

- Nie powiem, żeby to była dla mnie przyjemność - przyznała otwarcie Tamsyn.

- Och, daj że spokój! - sarknął Julian. - Dostałaś dokładnie to, czego chciałaś za swoje informacje.

- To prawda. - I teraz będę mogła zemścić się na Penhallanach! - do-dała w myśli. - Czy wyruszymy w podróż, jak tylko Gabriel się zjawi?

- Im wcześniej, tym lepiej! - odparł szorstko pułkownik. - Ale i ja chcę mieć naszą umowę na piśmie! - Dał znak Sandersonowi, który nadal siedział przy stole. - Umowa opiewa na sześć miesięcy, zaczynając od dzisiejszego dnia, siódmego kwietnia 1812 roku. Wygaśnie siódmego października. Bez względu na to, czy osiągniesz swój cel, czy nie. Jasne?

- Jak najbardziej.

Sanderson zapisywał to pilnie. Następnie posypał dokument piaskiem i podsunął Tamsyn do podpisania.

- Ależ to wszystko oficjalne! - mruknęła, składając swój podpis. - Można by pomyśleć, że nie masz do mnie za grosz zaufania, jaśnie panie pułkowniku!

- Każdy by przyznał, że mam po temu powody! - odparował, zmierzając ku drzwiom.

- O! - Tamsyn wybiegła za nim, gdy schodził już ze schodów. - Ponieważ nasza umowa obowiązuje od dziś, zanim jeszcze wyruszymy w podróż, mam chyba prawo prosić cię o coś... Mógłbyś udzielić mi niewielkiej pożyczki? Tylko do powrotu Gabriela!

Julian zatrzymał się przy drzwiach wyjściowych i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Na domiar złego chcesz jeszcze naciągnąć mnie na pożyczkę?!

- Muszę kupić jakieś ubranie. To, co mam na sobie, dosłownie się rozpada! Oddam ci, jak tylko Gabriel wróci.

Przyglądała się jej przez chwilę w chmurnym milczeniu. Potem skinął ; głową bez większego zapału.

- Niech będzie! Ponieważ, jak sama mówisz, nasza umowa obowiązuje od dzisiaj, przyznam uczciwie, że istotnie brakuje ci właściwego ubrania. Znam adres odpowiedniego sklepu. Zona pułkownika Delacourta wspomniała mi o nim.

Ruszył żywo ulicą, nie oglądając się na Tamsyn.

Zawahała się. W oczach Juliana dostrzegła coś, co ją zaniepokoiło - błysk złośliwej wesołości. W końcu jednak wzruszyła ramionami i pobiegła za nim.

- Nie ma potrzeby, żebyś i ty się fatygował, jaśnie panie pułkowniku!

- Nie nazywaj mnie tak! .

- Dlaczego nie? - spytała z niewinnym uśmiechem.

- Niezbyt mi się to podoba.

- Taaak? No to jak mam się do ciebie zwracać?

- Możesz mnie nazywać pułkownikiem albo lordem St Simonem, jeśli masz słabość do tytułów.

Tamsyn skrzywiła się.

- To brzmi okropnie oficjalnie jak na sześć miesięcy zażytych stosunków!

- Nie będzie żadnych zażytych stosunków.

Starał się mówić obojętnym tonem.

- O!...-Szła za nim w dalszym ciągu. Skręcił w wąską uliczkę.-Anie mogłabym mówić ci „Julianie”?

- Tak się do mnie zwracają moi przyjaciele. Nie widzę powodu, byś miała ich naśladować.

Otworzył drzwi mrocznego sklepu modystki. Dzwonek zabrzączał.

- To tutaj.

Tamsyn zatrzymała się w progu.

- No cóż... Pewnie dostanę tu bieliznę. Naprawdę nie musisz się facygować, jaśnie... chciałam powiedzieć: pułkownik!

St Simon nie odpowiedział, po prostu wpełchnął ją przed sobą do sklepu.

Z zaplecza wyszła kobieta w ciemnej sukni z bombazyny, w wykrochmalonym muślinowym fartuszk, z czarną koronkową mantylą na ramionach. Jedno szybkie spojrzenie pozwoliło jej ocenić wysoką pozycję klienta. Uśmiechnęła się więc z odrobiną uniżoności do St Simona, witając go po hiszpańsku.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć?

Na Tamsyn zerknęła tylko przelotnie, biorąc ją w ciemnym wnętrzu sklepu za niewysokiego chłopca.

- Moja towarzyszka potrzebuje nowej garderoby - odezwał się żywo St Simon, popychając Tamsyn w nieco lepiej oświetlone miejsce. - Najlepiej będzie, jeśli wszystko z siebie zdejmie i zaczniemy od zera.

- Chwileczkę! - zaprotestowała Tamsyn. - Potrzebne mi gatki, koszula z batystu albo jedwabiu i para pończoch. Señora pewnie nie sprzedaje spodni, więc bryczesy kupię gdzie indziej.

Pułkownik zignorował ją całkowicie i spokojnie mówił dalej do zdumionej senory.

- Potrzebne będą pantalony, damska koszulka, halki, jedwabne pończochy i suknia. Coś niezbyt wyszukanego, z muślinu albo z batystu.

- Co ty wygadujesz?! - zaprotestowała Tamsyn, przerzucając się na angielski. - Nie będę przecież nosić babskich fatałaszków!

- A dlaczego nie? Mnóstwo innych kobiet tak właśnie się ubiera - stwierdził sucho pułkownik.

- Bo to całkiem co innego... Bo ja jestem inna! - oświadczyła. - Co ty sobie w ogóle wyobrażasz?!

- Kiedy po raz ostatni miałas na sobie halkę? - indagował Julian, nie przejmując się jej rosnącym oburzeniem.

- Nigdy jej nie nosiłam! - odparła lekceważąco. - Ani ja, ani Cecile... chociaż ona czasem wkładała suknię - dodała uczciwie. - Ale tylko ze

względu na El Barona! Spódnice są strasznie niepraktyczne w takim życiu, jakie prowadziliśmy.

- Za to są jak najbardziej przydatne w tej grze, na jaką się zdecydowa-
łaś - oświadczył Julian. - Szczerze mówiąc, są niezbędne. Pozwól, że ci
przypomnę: to ty nalegałaś, żebym uczył cię zasad tej gry. A w takim razie
musisz je akceptować. Od dziś masz nosić kobiece ubrania!

- Ale... ale przecież pojedziemy do Lizbony, żeby tam wsiąść na okręt!
Jak mam jeździć konno w babskich fatałaszkach?!

- Tak samo, jak robią to inne kobiety - odparł. - Chyba że wolisz
podróżować powozem.

- Och, nie pleć głupstw! - Odwróciła się niecierpliwie do drzwi. - Ja-
koś sobie poradzę do przyjazdu Gabriela. On przywiezie wszystkie moje
ubrania!

Julian wziął ją za ramię i odwrócił twarzą ku sobie. Jego oczy spoczęły
ze spokojną pewnością siebie na zarumienionej twarzy dziewczyny.

- Chcesz zerwać naszą umowę, Violette?

Jej rumieniec jeszcze się pogłębił. Oczy zapłonęły.

- Chyba raczej ty, pułkowniku?!

Pokręcił głową, nadal trzymając ją za ramię i przyglądał się jej ze spo-
kojem.

- Ostrzegłem cię, że będziemy grać według moich reguł. A jeśli ci to
nie odpowiada, możesz się wycofać.

Tamsyn przygryzła wargę, zmagając się wewnątrz. Wiedziała, że
pułkownik tylko czeka na to, by mu dała pretekst do unieważnienia ich
umowy. Powiedziała mu, że wszystko zniesie... Czyżby się załamała przed
pierwszą przeszkodą? Przecież i tak musi ją pokonać! Po prostu nie była
jeszcze gotowa, by zrezygnować z roli La Violette... Będzie przecież na to
dość czasu, kiedy dotrą na spokojną, zieloną angielską wieś, którą Cécię
tak często wspominała!

- No i co? - spytał Julian, wiedząc, że señora przygląda się im z nie-
ukrywaną ciekawością, nie mogąc zrozumieć tej ostrej - to nie ulegało wąt-
pliwości! - wymiany zdań.

Tamsyn podjęła decyzję. Wyrwała ramię z jego uścisku, mówiąc z lo-
dowatą uprzejmością:

- Niech będzie tak jak zechcesz!

I zaczęła rozpinąć koszulę.

- Ay... ay\

Señora aż pisnęła z przerażenia i zapędziła swą niezwykłą klientkę za parawan.

Tamsyn rozebrała się, przerzucając każdą część garderoby na drugą stronę parawanu. Buty, pończochy, majtki, koszula i bryczesy łądowały na podłodze, gdy tymczasem señora pospiesznie zgromadziła bogatą kolekcję damskiej bielizny, z pewnymi oporami przedstawiając ją pułkownikowi do oceny.

- Wolisz jedwab czy batyst?

Julian rzucił to pytanie w stronę parawanu, przebierając w stercie ozdobnych damskich koszulek.

- Jedwab! - Tamsyn wyjrzała zza parawanu. - Ale żadnych koroneczek ani falbanek! Wiecznie się o coś zaczepiają.

- Przymierz tę! - Rzucił jej koszulkę z kremowego jedwabiu i poświęcił całą uwagę pantalonom. - Majtki też jedwabne, co?

- Nie, batystowe! - odpowiedziała Tamsyn, tylko po to, by mu zrobić na przekór. - Bez żadnych faramuszek!

- To może być trudne - stwierdził, oglądając dokładnie cieniutkie „niewymowne” pod niespokojnym wzrokiem skonsternowanej właścicielki sklepu. - Te są najmniej ozdobne ze wszystkich. Mają tylko różowe kokardki.

- Pfuj! - Tamsyn wyłoniła się zza parawanu ubrana w koszulkę sięgającą jej po uda. - Pokaż, sama zobaczę!

- *Ay de mi!** - jęknęła señora, kiedy pułkownik odsunął się, pozwalając skapo odzianej panience obejrzeć wybraną dla niej część bielizny.

Święty by się nie oparł!... Tamsyn pochylała się nad kontuarem i ocierała się o Juliana... Jego ręka sama znalazła się na jej udzie. Poczul, że dziewczyna zeszywniała. Udawała jednak, że nie wie, co się dzieje, uważnie przeglądając stertę jedwabiu i batystu. Ręka pułkownika sunęła w górę pod koszulką po nagiej, ałtasowej wypukłości jej pośladka. Tamsyn zerknęła z ukosa na Juliana i uśmiechnęła się szelmowsko.

Zdawał sobie sprawę, że oddech mu się rwie. Gdzież się podziało jego postanowienie, że oprze się za wszelką cenę urokom tej rozbójniczki?! Uszczypnął mocno sprężysty tyłeczek, usłyszał, jak Tamsyn wciąga raptownie powietrze, a potem zwrócił się rzeczowym tonem do modystki:

- Proszę mi pokazać kilka sukien, señora. Nie wiem tylko, czy znajduje się coś w tak małym rozmiarze? Może ewentualnie coś z dziecięcej garderoby?

Ay de mi (hiszp.) - ojej.

Tamsyn straciła całkiem ochotę na potajemną grę miłosną, usłyszawszy tę jawną zniewagę. Już miała zaprotestować, zobaczyła jednak, że senora i Julian, pogrążeni w dyskusji, udali się na zaplecze sklepu. Chwyciła więc parę najmniej ozdobnych pantalonów, batystową halkę, jedwabne pończochy i podwiązki, i wróciła z nimi za parawan.

- Chyba ta!

Julian uniósł do góry sukienkę ze złotego muślinu z bufiastymi rękawkami, przewiazaną pod samym biustem fiołkową szarfą. Haft w tym samym kolorze ozdabiał dół sukni i śmiałą linię dekoltu,

Tamsyn wysunęła się zza parawanu z wyrazem niesmaku i rezygnacji na twarzy. Obejrzała suknię, kręcąc nosem.

- Strasznie cienki materiał! Podrze się raz-dwa!

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz o wszystko zaczepiać spódnicą! - westchnął pułkownik, wkładając jej suknię przez głowę, po czym odsunął się, gdy senora pospieszyła z pomocą przy zapinaniu haftek i wiązaniu szarfy.

- Trzeba ją skrócić o jakieś pięć centymetrów - orzekła, uspokoiwszy się, gdy klientka była wreszcie przyzwoicie ubrana. - Będzie gotowa za pół godziny.

Tamsyn zrobiła kilka kroków, energicznie odgarniając stopą zawadzające jej fałdy sukni.

- To idiotyczne! Jak można poruszać się w czymś takim? To majta się wokół nóg!

- Większość kobiet nie ma z tym żadnych trudności - odparł Julian.

- A skrócenie sukni z pewnością poprawi sytuację.

Wpatrywał się w Tamsyn z mimowolnym uśmiechem. Mimo że było jej w tym nowym stroju bardzo niewygodnie, suknia zmieniła ją nie do poznania. Zwiewna sukienka podkreślała smukłość jej figury, a równocześnie dyskretnie uwydatniła biust i biodra. Mała głowa otoczona lśniącymi, jedwabistymi włosami wyrastała jak kwiatek na wiotkiej łodydze szyi.

- Złoty jaskier! - zawołał z uśmiechem. - Tak właśnie wyglądasz. Już nie fiołek, ale jaskier w pełnym blasku słońca!

Mina Tamsyn mówiła wyraźnie, że zbiera się jej na mdłości po tym opisie. Przeszła raz jeszcze dokoła pokoju i zatrzymała się przed dużym ściennym lustrem.

- Matko Boska! - jęknęła. - Ależ ja idiotycznie wyglądam! Stanę się pośmiewiskiem całego miasta! - Rzuciła Julianowi mordercze spojrzenie.

- Pewnie właśnie na tym ci zależy, żeby się na mnie zemścić!

Pokręcił głową.

- Nic podobnego. A poza tym, dlaczego ludzie mieliby śmiać się z tego, że wyglądasz jak kobieta, a nie jakiś rozbójnik z gór?
- Dla mnie to śmieszne, i tyle! - oświadczyła wyzywająco.
- Przywyknij do tego - doradzał - bo tak właśnie będziesz wyglądać, dopóki obowiązuje nasza umowa.
- A ty nie przepuścisz żadnej okazji, żeby się na mnie odegrać, co?
- Nie przepuszczę-potwierdził.-Ani jednej!

10

Tamsyn siedziała na zapleczu sklepu, podczas gdy młoda szwaczka skracając jej muślinową suknię. Julian, zabrawszy ze sobą jeden z jej butów na miarę, udał się na poszukiwanie dla niej odpowiedniego obuwia.

Ależ mnie sprytnie wymanewrował! - myślała posępnie Tamsyn, przyglądając się, jak palce szwaczki uwijają się z podszywaniem dołu sukni. Pułkownik znalazł niezawodną broń, by zapewnić sobie zwycięstwo we wszystkich spornych kwestiach. Tamsyn zależało bardziej niż jemu na utrzymaniu w mocy ich umowy i wobec tego musiała dostosowywać się do jego życzeń!

Niektóre z nich spełniłaby bardzo chętnie... Myślała nawet, że i on uzna ich miłosne igraszki za wystarczającą rekompensatę za wszelkie niedogodności. Niestety, lord St Simon postanowił, zdaje się, za wszelką cenę opierać się jej zabiegom. Co prawda, nie wykazywał pod tym względem zbytnej siły charakteru!

Ta myśl wprawiła Tamsyn w trochę lepszy humor. Zgodziła się, by szwaczka ubrała ją znów w muślinową suknię. Ponieważ długość tym razem okazała się zadowalająca, Tamsyn podeszła do lustra, by się w nim przejrzeć.

Nie była ani trochę podobna do siebie! Miała niepokojące wrażenie, że jej głowę zatknięto na obcym ciele. Postanowiła jednak nie dawać pułkownikowi okazji do kolejnego triumfu. Zastanie ją całkowicie pogodzoną ze swym nowym wyglądem. Choćby nawet ludzie wytykali ją palcami, będzie śmiać się razem z nimi!

Kiedy Julian wrócił z parą brunatnych pantofli z kozłej skóry, Tamsyn powitała go promiennym uśmiechem i ochoczo wysunęła nogę do przymiarki; stwierdziła nawet, że pantofelki są śliczne.

Julian popatrzył na nią podejrzliwie, ale odpowiedział mu tylko bez troski uśmiech. Tamsyn przeszła się po pokoju i oznajmiła, że pantofle

doskonale pasują, i poprosiła senorę, by zapakowała jej porzucone buty i ubranie.

- Buty zachowaj - radził pułkownik - ale reszta nie będzie ci już potrzebna!

- Nie zamierzam tego nosić w twojej obecności, milordzie - odparła słodko - lecz wołałabym je zatrzymać.

Julian wzruszył ramionami i wyciągnął sakiewkę z kieszeni spodni.

- Zapisuj starannie wszystkie swoje wydatki, jaśnie panie pułkowniku - poprosiła z niezmienną słodyczą Tamsyn. - Chciałabym jak najsumienniejsz spłacić mój dług wobec ciebie!

- Nie martw się, jaskierku! Dopilnuję tego.

- Nie nazywaj mnie tak! - fuknęła Tamsyn.

Maska uprzejmości zaczęła pękać.

- A ty nie tytułuj mnie jaśnie panem pułkownikiem! - odparował błyskawicznie, odliczając pieniądze w chciwie nadstawioną dłoń señory.

Widać znalazłam godnego siebie przeciwnika! - stwierdziła w duchu Tamsyn, zmierzając ku drzwiom.

Słońce chyliło się ku zachodowi i na wąską uliczkę padały długie cienie. W powietrzu czuło się chłód... zwłaszcza na obnażonych ramionach. Cienka suknia przywierała do ciała i Tamsyn miała wrażenie, jakby była prawie naga. Wprawiało ją to w zakłopotanie.

- To ci się teraz przyda! - Julian narzucił jej na ramiona jedwabną mantylę. - Señora obawiała się, że złapiesz przeziębienie.

- Nigdy w życiu nie byłam przeziębiona!

- Ale nigdy dotąd nie ubierałaś się tak lekko.

- A więc zgadzasz się ze mną - wykrzyknęła z oburzeniem - że to niepraktyczny, idiotyczny strój i... i nawet nie okrywa mnie porządnie!

Julian roześmiał się, ona zaś pojęła, że skłonił ją do powiedzenia szczerze, co o tym myśli. Ze złości po wyjściu na ulicę uderzała stopą w falbanki z przodu spódnicy i robiła tak wielkie kroki, jakby nadal miała na sobie bryczesy.

Idący za nią Julian aż się wzdrygnął, gdy zahaczyła o coś obrąbkiem spódnicy i szarpnąwszy gwałtownie materiał, kopnęła z całej siły wytworonym pantofelkiem w kamień, który stanął jej na drodze.

- Tamsyn! - Chwycił ją za ramię, zmuszając do zwolnienia kroku. - Damy nie poruszają się w taki sposób. Powinnaś unosić spódnicę i halkę jedną ręką, odciągając je nieco do boku... Spójrz, właśnie tak! - Pokazał jej, chwytając się za spodnie na wysokości kolana. - Widzisz?

- Chyba nie całkiem zrozumiałam - odparła Tamsyn z miną bardzo erio. - Pokaż mi jeszcze raz!

- To zupełnie proste! - odparł ze zniecierpliwieniem. - Trzeba tylko dociągnąć materiał... *Diablillol* - wybuchnął, gdy dziewczyna zanosła się miechem, zgięła w pół i aż się trzęsła. Trzepnął ją wcale nie po dżentel-
eńsku. Oburzenie zmagало się w niej z rozbawieniem. Naprawdę idiotycznie wyglądał!

Wyprostowała się czym prędzej i zwróciła ku niemu roześmianą twarzą. arodiując jego ruchy, drobiąc nogami i zadzierając w górę nos, spytała:
i - Tak mam chodzić, jaśnie panie pułkowniku?

- Jak nie będziesz patrzeć pod nogi, jaskierku, ockniesz się z tyłkiem ryszto! - stwierdził.

Tamsyn skrzywiła się i przestała go przedrzeźniać. Trzeba będzie od-
zwyczać się od nazywania go „jaśnie panem pułkownikiem”!

- A teraz oprzyj się na moim ramieniu - pouczył ją. - Drugą ręką unieś
lekką spódnicę, żeby nie wlokła się po ziemi. I uważaj, gdzie idziesz!

Wyszli na znacznie szerszą główną ulicę Elvas. Tamsyn rozejrzała się
dokoła w nadziei, że nie dostrzeże nikogo znajomego. Ponieważ - według
niej - wyglądała śmiesznie, nie wyobrażała sobie, że ktoś mógłby być od-
miennego zdania.

- Dobry Boże! Czy to nie Gabriel? - wykrzyknął nagle Julian.

Potężny jeździec na równie wielkim wierzchowcu wyłonił się właś-
nie zza rogu ulicy. Wielkolud prowadził dwa juczne muły, a trzeci za-
mykał pochód, dźwigając na grzbiecie kobietę okutaną w mnóstwo szali
i mantylek.

Z okrzykiem radości Tamsyn puściła ramię pułkownika i zapominając
o swoim wyglądzie, pomknęła na spotkanie przyjaciela, podkasawszy
spódnicę z obu stron, żeby się o nią nie potknąć.

- Ależ się szybko uwinąłeś, Gabrielu!

- A coś ty myślała, dziewczuszko? - odparł z zadowoleniem Gabriel,
zsiadając z konia. - Boże świąty! Co też ty masz na sobie, dziecko?!

- O, to tylko część mojego planu - odpowiedziała, wynurzając się
wreszcie z jego uścisku. - Wiem, że głupio wyglądam, ale pułkownik się
upiera... Wszystko ci później wyjaśnię!

- No, no! - wycedził Julian. - A więc Gabriel nie był wtajemniczony
w ten twój plan? Zdumiewające!

Gabriel rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- Widzę, żeś pilnował małęż!

- Oczywiście! Nie powiem, żeby mi to ułatwiała - dodał kąśliwie. Gabriel pokiwał głową.

- A bo to można się po niej tego spodziewać?

Zawrócił do swoich juczych mułów, podczas gdy Tamsyn z ożywieniem rozmawiała po hiszpańsku z kobietą nadal siedzącą na trzecim mule. Gabriel zszedł ją bez trudu, choć Julian zdążył dostrzec pod stertą szali, że była dość korpulentna.

Kiedy stanęła na własnych nogach i pozbyła się spowijających ją szali, okazało się, że jest to dama niskiego wzrostu, o okazałym obwodzie w pasie. Odrzuciwszy mantylę, ukazała swą okrągłą, dobrotliwą twarz i małe, ciemne oczy, przypominające rodzyнки. Natychmiast objęła Tamsyn i powitała ją jak najczulej, nie żałując pieszczotliwych słów. Gabriel przyglądał się temu i kiwał głową z zadowoleniem.

- A teraz przestań głądzić, kobieto, i zostaw małą w spokoju! - powiedział, uznawszy, że powitanie trwa już zbyt długo. - Trzeba to jak najprędzej gdzieś schować! Nie podoba mi się, że jest na widoku. To niebezpieczne!

- O, całkiem bezpieczne - zapewniła go Tamsyn, nareszcie zwracając się znów do niego. - Znajdujemy się w kwaterze głównej armii Wellingtona, pod opieką tego angielskiego dżentelmena... Nieprawdaż, milordzie?

- Jak najbardziej! - odparł gładko, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Proponuję ulokować te zwierzęta w stajni, razem z Cezarem. I spytać señorę Braganzę, czy znajdzie się u niej miejsce dla dodatkowych lokatorów.

- Tak będzie dobrze, dziewczuszko? - upewnił się Gabriel, nie zamierzając przyjmować opinii pułkownika bez potwierdzenia Violette.

- Tak - odparła Tamsyn. - Możliwym jest, aby bagaż z juki zanieść wszystko do mego pokoju w domku señory. Będzie tam całkiem bezpiecznie!

- No to idź przodem, mała! - Gabriel zebrał cugle i skinął od niechcenia głową. - A ty, kobieto, poprowadzisz swego muła.

Tamsyn, biegnąc w podskokach, wskazywała drogę. Julian szybko zrównał się z nią.

- Kim jest ta dama?

- To Josefa, kobieta Gabriela — poinformowała go dziewczyna.

- Jego żona?

Tamsyn wydeła usta, rozważając sprawę.

- Zależy, jak rozumiesz to określenie. Była z nim zawsze, odkąd pamiętam. Była też moją nianią. Popłynie z nami do Anglii jako moja przy-

woitka czy dama do towarzystwa... jak tam chcesz to nazwać. Córka hi-dalga z pewnością wzięłaby ze sobą kogoś takiego. Wszystko dokładnie obmyśliłam!

- Gratuluję przezorności! - mruknął Julian. - Gabriel również będzie nam towarzyszył?

- Oczywiście! Nie puściłby mnie samej! - odparła takim tonem, jakby to rozumiało się samo przez się.

- Jeszcze nie wie, co go czeka, prawda?

- Jeszcze nie - przytaknęła beztrosko Tamsyn. - Wyjaśnię to im obojgu dziś wieczorem. W tej chwili Gabriel zbyt się kłopotczy o skarb, by myśleć o czymś innym. Nie uspokoi się, póki go należycie nie scho-wamy.

- Skarb?

- Mego dziedzictwa. Sama poniosę wszelkie koszty, pułkownik!

Julian patrzył na nią zdumiony.

- Z czego się składa ten... skarb?

- To owoce wieloletnich trudów mojego ojca - odparła sucho. - Cóż by innego? Złoto, srebro, klejnoty... Niezła fortunka!

- Dobry Boże! Więc tamta banda dezertków nie...

Twarz jej stężała.

- Liczyli na to, rzecz jasna! Słyszeli o baśniowych skarbach El Baro-na. Ale mój ojciec nie był głupcem! Tylko on i Gabriel znali miejsce, gdzie znajduje się skarb. Baron wiedział, rozumiesz, że tylko oni dwaj nie pisną ani słowa, nawet na torturach.

- Ach, tak...

Julian nie znalazł stosowniejszej odpowiedzi.

- Chcesz, żebyśmy pojechali do Lizbony z wojskowym konwojem?

- Jeszcze o tym nie myślałam. Ale z takim bagażem im więcej będzie ludzi do obrony, tym lepiej! - Julian skrzywił się na myśl o niezwykle od-powiedzialnym zadaniu przewiezienia takich kosztowności przez góry do Lizbony. Co prawda Portugalczycy byli przyjaźnie nastawieni do Anglików i wdzięczni im za ocalenie od Napoleona, ale na górskich przełęczach, jak zawsze, czaili się rozbójnicy.

- O, Gabriel sam sobie dobrać pomocników! - oświadczyła Tamsyn.

- I nie będą to żołnierze. Wspomniałam o konwoju, bo nie uważam tego za dobre rozwiązanie. Gabriel nie lubi żołnierzy, tak samo jak ja... i bywa czasem... - Urwała. - No cóż, bywa czasem nieprzewidywalny, zwłaszcza gdy sobie podpije.

- Co to znaczy „nieprzewidywalny”? - Julianowi nagle przypomniał się dotyk wielkiego rapiera na obnażonych plecach i wyraz oczu Tamsyn, gdy usiłowała przekonać Gabriela, że nie została zgwałcona nad rzeką.

- W gorącej wodzie kąpany - odparła Tamsyn.

Prawdę mówiąc, było to bardzo łagodne określenie, ale naga prawda mogła być zbyt wielkim szokiem dla pułkownika.

- Dobry Boże! - wymamrotał Julian.

Podróż z bezcennym skarbem w irytującym i niepokojącym towarzystwie La Violette, a na dodatek jeszcze niepoczytalny pijanica!

- Nie zdarza mu się to zbyt często - uspokajała Tamsyn. - I Josefa znakomicie potrafi go ułagodzić... jeśli się zorientuje na czas - dodała, gdy stanęły przed domem señory Braganzy.

Julian powstrzymał się od komentarzy.

- Wybacz, że was tu opuszczę. Kiedy przygotuję wszystko, co trzeba, powiadomię cię.

- A kiedy to będzie? - spytała Tamsyn, marszcząc brwi.

- Dowiesz się we właściwym czasie. Radzę ci, zajmij się swoją garderobą. Będzie ci potrzebna amazonka... i damskie siodło. Mam nadzieję, że siedząc na nim, zdołasz utrzymać w ryzach Cezara? Jeśli nie, musisz postarać się o innego wierzchowca.

Odwrócił się raptownie.

- Gabrielu, mam słówko do ciebie! Chcesz wynająć strażników do tego wszystkiego - wskazał gestem juki - na podróż do Lizbony?

- Do Lizbony? To tam pojedziemy? - Gabriel flegmatycznie wzruszył ramionami. - Przyda się nam paru chłopów do rzeczy! Poszukam ich w okolicy.

- Moglibyśmy się zabrać z wojskowym konwojem. Coraz to jakiś wyrusza z transportem rannych do Lizbony.

Gabriel pokręcił głową i splunął na zapyłony bruk.

- Nie przepadam za żołnierzami. Bez urazy pułkownika!

- Ma się rozumieć - przytaknął sucho Julian. - No cóż... pozostawiam decyzję tobie. Zastanów się. Masz na to dwa dni, może mniej.

Spojrzał w stronę domu. Tamsyn i Josefa prowadziły z señorą ożywioną rozmowę, gwałtownie gestykułując.

Gabriel popatrzył w tym samym kierunku.

- Kobiety muszą wszystko dokładnie obgadać! - stwierdził. - Lepiej się zajmę wyładunkiem. Nie podoba mi się, że to stoi tu, na ulicy. Do zobaczenia, pułkowniku!

Odwrócił się i zabrał do rozładowywania juków pierwszego muła. Wziął na ramię okutą żelazem skrzynię.

Julian zastanawiał się, czy nie zaoferować swojej pomocy, potem jednak /mienił zdanie. W zakres jego obowiązków, acz nietypowych, nie wchodziła taka mordercza harówka! Ruszył w kierunku kwatery głównej.

Tamsyn spoglądała za odchodzącym, marszcząc brwi. Bardzo mu się spieszyło, żeby odejść od niej! Nie podobało jej się, że tak mało ceni sobie jej towarzystwo. Pozostawiając Josefie i seniorze dokonanie inspekcji skromnych pomieszczeń w jej małym domku, Tamsyn podeszła znów do furtki, usuwając się z drogi Gabrielowi, taszczącemu drugą skrzynię.

- Hej, chłopcze! - przywołała niedorostka zabawiającego się kopaniem kamienia po ulicy. - Widzisz pana pułkownika? - Wskazała szerokie plecy oddalającego się Juliana. - Idź po cichu za nim i postaraj się dowiedzieć, gdzie spędzi wieczór. Może wróci do obozu, może zostanie w kwatrze głównej. Potem wróć i powiedz mi o tym, a dostaniesz cruzado!

Dzieciak uśmiechnął się szeroko i pobiegł, żeby czuwać pod kwatą główną, gdzie zniknął pułkownik.

Julian wszedł do gabinetu Wellingtona. Znajdował się tam wódz naczelny wraz ze swoim sztabem. Księżę powitał ochoczo pułkownika, który nie miał pojęcia, że jest śledzony.

- St Simon, zostań z nami na obiedzie! Zastanawiamy się właśnie, czego powinieneś domagać się w Westminsterze. Jak myślisz, czy lepiej wystąpić z listą maksymalnych żądań i pozwolić tym panom coś niecoś utargować? Czy też postawić od razu umiarkowane wymagania, żeby nie wywołać popłochu w ministerstwie?

Julian odsunął od siebie wszelkie myśli o Tamsyn, jej skarbie i nieprzewidywalnym Gabrielu, i zajął miejsce przy stole. Choć nie przepadał za misjami dyplomatycznymi, zdawał sobie sprawę z ich znaczenia.

Chłopak czekał aż do zmroku. Pułkownik nie opuścił kwatery głównej, za to wkroczyła tam procesja służących z tacami pełnymi jadła z kuchni znajdującej się w sąsiednim domku. Szczękanie porcelany i brzęk szklą dolatywały przez otwarte okno gabinetu, a wraz z nimi smakowite zapachy i głosy biesiadników.

Dzieciak wrócił do domku wdowy i zastukał do drzwi kuchennych; pozostawiono je uchylone, by wpuścić do wnętrza łagodne wiosenne powietrze. Chłopiec wetknął głowę do oświetlonej blaskiem świec kuchni,

gdzie Tamsyn, Gabriel, Josefa i señora Braganza spożywali posiłek znacznie mniej wytworny niż ten, którym raczył się książę i jego sztab. Co prawda, takie porównanie nie przyszłoby nawet do głowy uczestnikom skromnej kolacji.

- O, jesteś z powrotem! Dobry z ciebie chłopak - Tamsyn odsunęła się z krzesłem od stołu. - Gdzie jest pułkownik?

- Je obiad w kwaterze głównej, señorita. Wszedł tam i nie ruszył się stamtąd. Nie spuszczałem oczu z drzwi, nawet na minutę!

- Doskonale! - Tamsyn skinęła głową. - Masz cruzado, Gabrielu?

Olbrzym sięgnął do kieszeni i rzucił srebrną monetę stojącemu w drzwiach chłopcu.

- Coś tam znów wykombinowała, dziewczuszko?

Tamsyn uśmiechnęła się i wzięła oliwkę do ust.

- Nic wielkiego! Za pół godziny pójdziesz tam i powiesz pułkownikowi, że muszę się z nim widzieć w bardzo ważnej sprawie, dobrze?

Gabriel oderwał udko od leżącego przed nim kurczaka.

- Jeśli ci na tym zależy...

I wgryzł się w mięso.

Tamsyn skinęła głową, wyjęła z ust pestkę oliwki i rzuciła ją do ogródka.

- Muszę się przygotować. Za pół godziny, nie zapomnij! Będą już wtedy przy porto.

Zniknęła na pięterku, podczas gdy reszta osób pozostała przy stole. Nikt z nich nie doszukiwał się niczego osobliwego ani w jej żądaniu, ani w nagłym odejściu. Jedli dalej z niezmaconym spokojem.

Pół godziny później Gabriel dotarł do kwatery głównej. Skinieniem głowy powitał szefa kancelarii.

- Jest tam pułkownik St Simon?

Wskazał drzwi za plecami porucznika.

- Owszem, ale je obiad - odparł wyniośle Sanderson, przyglądając się potężnej, groźnej postaci nieproszonego gościa, odzianego w skórzane bryczesy i kurtkę oraz zgrzebną koszulę. Zauważył przybrudzoną chustkę na szyi i siwiejące włosy splecione na karku w warkocz. - Kim jesteś, przyjacielu?

- Nie twój interes, chłoptasiu! - odparł dość życzliwym tonem Gabriel. - Muszę pogadać z pułkownikiem.

- Nie! - Sanderson zerwał się na równe nogi, gdy dziwny gość podszedł do drzwi gabinetu. - Nie wolno tam wchodzić!

- Nie strasz mnie, synku! - Gabriel chwycił nieszczęsnego porucznika za kołnierz i podniósł go do góry. - Lepiej się nie kłóćmy. Ty mnie zameldujesz, czy sam mam to zrobić?

Sanderson otworzył już usta, by zawezwać posiłki, gdy Gabriel opuścił go znów na krzesło, dodając całkiem przyjaźnie:

- No to sam się zapowiem!

Nim na schody wpadło bez tchu dwóch piechurów, Gabriel był już w gabinecie naczelnego wodza.

Zebrani wokół stołu spojrzeli na niego ze zdumieniem.

Julian przymknął na sekundę oczy i westchnął z rezygnacją.

Sanderson i dwaj jego pomocnicy wpadli do pokoju tuż za wielkoludem.

- Najmocniej przepraszam! Nie byłem w stanie powstrzymać go...

Wellington uniósł szkiełko do oczu i przyjrząwszy się nowo przybyłemu, zauważył kwaśno:

- Rozumiem, że mogło to być niełatwe. Z kim mam przyjemność?

Gabriel nie przedstawił się, powiedział tylko:

- Przykro mi, że przeszkadzam panom przy obiedzie. Przychodzę po pułkownika St Simona. Dziewuszka chce się z nim widzieć, i to już!

- On ma na myśli La Violette - wycedził Julian, odchylając się na oparcie krzesła i bawiąc się od niechcenia swoim kieliszkiem. - Czego ona znów chce, Gabrielu?

Olbrzym wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Powiedziała tylko, że mam cię przyprowadzić, pułkowniku.

Julian wypił resztkę wina z kieliszka i odsunął krzesło od stołu.

- Panowie wybaczą! Nie mogę pozwolić, by dama czekała.

Jego ton był tak sarkastyczny, że Gabriel się zmarszczył.

- Chyba nie chcesz obrazić małej, co?

- Ta istota, którą z uporem nazywasz „małą” albo „dziewuszką”, Gabrielu, to przewrotna diablica! - stwierdził Julian, nie odpowiadając bezpośrednio na pytanie. - A jeśli masz zamiar bić się ze mną, zejdźmy lepiej do ogrodu.

Nastąpiła chwila napiętego milczenia. Potem śmiech Gabriela zahuczał w całym pokoju.

- Chyba się nie pokłócimy, człowieku! Możemy już iść?

Julian skinął głową potakująco, pożegnał ukłonem współbiesiadników i wyszedł za Gabrielem z pokoju. Sanderson i jego pomocnicy za nimi.

- Nie wyjaśniła ci jeszcze swego zwariowanego pomysłu? - zagadnął Julian, kiedy kroczyli przez niezłe oświetlone ulice Elvas.

- Jeszcze nie - odparł spokojnie Gabriel. - Powie mi, kiedy będzie chciała.

- I nie jesteś ciekaw?

Gabriel pokręcił głową.

- Pójdę tam, gdzie ona.

Dotarli do domku wdowy i Julian zatrzymał się w malutkim przed-sionku, słysząc dolatującą z kuchni paplaninę starszych kobiet.

- No więc, gdzie ona jest?

- Chyba na górze - odpowiedział Gabriel. - Idę do ogródka wypalić fajkę!

Wyszedł przez kuchenne drzwi, zamykając je energicznie za sobą.

Julian zaklął pod nosem. Tamsyn znowu coś knuła, był tego pewien! Spojrzał na wąskie drewniane schody, a potem, niecierpliwie pokręciwszy głową, wspiął się na nie i zastukał mocno do drzwi na samej górze. Cichy głos odpowiedział „Proszę!”, więc otworzył je jednym pchnięciem.

Zamarł na progu w osłupieniu, nie wierząc własnym oczom. Mleczne światło gwiazd wpadało przez niewielkie okrągłe okienko do czarodziej-skiej groty Aladyna. Na podłodze stały otwarte skrzynie i wysypywała się z nich cenna zawartość - lśniące jedwabie, puszyste aksamity, ciemnozielone szmaragdy, sypiące iskrami brylanty, połyskujące głęboką czerwienią rubiny... akwamaryny o barwie morza, prześliczne turkusy...

Gdy tak stał i podziwiał, zauroczony, z wąskiego łóżka doleciał cichy śmiech. Julian odwrócił się powoli w tamtą stronę i przez chwilę myślał, że to j akis szaleńczy sen...

Złoto pokrywało nie tylko łóżko, ale i ciało La Violette. Złote monety z różnych krajów, połyskujące w księżycowej poświacie, unosiły się i opa-dały na mlecznych piersiach dziewczyny w rytm jej oddechu.

- Jezus, Maria! - wyszeptał. - Co ty wyprawiasz, na litość boską?!

- Wybierz sobie, co chcesz - odpowiedziała, nie poruszając się. - Na-leży ci się jakaś nagroda za ciężkie zadanie, do którego zostałeś zmuszony!

Ogarnął go nagły gniew. Spurpurowiał.

- Proponujesz mi zapłatę?! - spytał, nie wierząc własnym uszom.

- Jedynie rekompensatę - odparła szeptem Tamsyn. - Rozejrzyj się dokoła. Weź, co ci się najbardziej podoba!

Poruszyła się nieznacznie i monety pokrywające jej ciało cicho brzęk-nęły.

- Śmiesz mi proponować zrabowane złoto?! - Porywczo zbliżył się do jej łóżka, oczy pociemniały mu z gniewu. - Takiej zniewagi...

- Nie wyciągaj zbyt pochopnie wniosków! - przerwała mu z uśmiechem.

Oczy Tamsyn jaśniały jak klejnoty w skrzyniach. Tylko jej twarz nie była zakryta. Spojrzenie Juliana przesuwano się bez pośpiechu po całym jej ciele. Zafascynowały go pagórki złota zasłaniające jej piersi; wyzierały zza tej osłony ich różowe koniuszki. Złoto piętrzyło się na płaskim brzuchu, szmaragd błyskał z pępka, dukaty pokrywały jej uda. Na stopach pyszniły się połyskujące dublony.

- Nie tylko jeden rodzaj skarbów masz tu do wyboru — mruzczała jak kotka. -Jeśli chcesz, odrzuć złoto i sprawdź, co kryje się pod nim! Może coś przypadnie ci do gustu?

Ostrożnie rozchyliła nogi i spomiędzy nich błysnął olśniewający blask brylantów, bardziej nęcący od mdłego połysku złota.

-Ty... ty...

Nie miał na to słów. Wpatrywał się w tajemniczą szczelinę, ku której ten biały ogień wabił go jak przewrotna pokusa. Opadł na kolana obok łóżka i ostrożnie, końcami palców odgarniał monety zakrywające białe wzgórczki piersi. Pochylił się nad nimi i dotykając językiem wyprężonych sutków, czuł ciepło i słodycz jej ciała zaprawione metalicznym posmakiem złota.

Tamsyn leżała nieruchomo, bez słowa, gdy odsłaniał jej ciało powoli i z rozmysłem, zdejmując monetę po monecie i ustawiając je w równe słupki na podłodze. Każdy fragment jej ciała, który odkrył, pieczętował dotykiem warg.

Tamsyn coraz trudniej było uleżeć bez ruchu. Oczekiwała, że Julian w porywie namiętności zmiecie z niej monety niecierpliwą ręką. Ale to powolne odsłanianie jej ciała sprawiło, że rozedrgały się w niej wszystkie nerwy, skóra lekko poróżowiła od palących pocałunków, a krew rozszalała się w jej żyłach.

Pozostawił szmaragd w pępku, gdy odsłaniał jej brzuch. Języczek znać ognisty szlak na wilgotnej skórze. Niespiesznie odkrywał jej uda, łydki, stopy. Brał do ust każdy palec, muskał językiem podbicie.

Nareszcie ujrzał ją całą.

- Czarodziejka! - wyszeptał.

Wstał z klęczek, ona zaś odwróciła głowę, gdy pochylił się nad jedną ze skrzyń i przebierał w klejnotach. Wrócił do łóżka z naręczem naszyjników i bransolet. Klękając znów obok niej zaczął ją przystrajać, wpatrując się w nią z napięciem. Zapiął bransolety na przegubach jej rąk i nóg,

owinał jej szyję połyskliwym sznurem pereł. Wsunął pod nią złoty łańcuch nabijany szmaragdami i opasał ją nim w talii. Drugim otoczył jej piersi.

Potem odstaąpił o krok i podziwiał swoje dzieło. Lekki uśmiech igrał mu na ustach.

Tamsyn odetchnęła mocniej i uśmiechnęła się, przejęta zdumieniem. Oto kochanek, który dorównywał jej wyobraźnią! Nadal jednak nic nie mówiła. Blask jej oczu rywalizował ze wspaniałością klejnotów, które ozdabiały jej ciało.

Spoglądała na Juliana pożądliwie, gdy rozbierał się bez pośpiechu, jakby miał przed sobą całą wieczność, jakby nie płonał namiętnością tak sarno jak ona. Kiedy był już nagi, spojrzała z jawnym pożądaniem na jego pobudzone ciało i wyciągnęła do niego ramiona.

Pochylił się i ucałował ją zachłannie w usta. Objęła go za szyję, a jej wargi rozchyliły się na powitanie.

Odsunął się po chwili. Jego oczy błyszczały drapieżnie. Przesunął dłońmi po jej ciele, bawiąc się łańcuchami i klejnotami, które ją zdobiły. I wreszcie, bez pośpiechu, rozsunął jej uda, odkrywając sekretne zakamarki jej ciała.

- A teraz najprawdziwszy skarb! - powiedział cicho.

11

Londyn

Król to obłąkaniec, Prinny arogancki głupek, a cała reszta - nieokrzesane gbury!

To zwięzłe, definitywne potępienie rodziny królewskiej przyjęto w posępnym milczeniu, wyrażającym w gruncie rzeczy zgodę. Człowiek, który sformułował tę opinię, wypił potężny haust wina i rozejrzał się po twarzach zebranych wokół stołu w Pałacu Westminsterskim takim wzrokiem, jakby chciał rzucić wyzwanie wszelkim ewentualnym oponentom. Był to mężczyzna dobrze po sześćdziesiątce. Jego czarne oczy spoglądały twardo i ostro spod krzaczastych, siwych brwi i grzywy szpakowatych włosów.

- A na domiar złego to diablo kosztowne towarzystwo, Penhallan! - burknął jeden z trzech jego rozmówców, odchylając się na oparcie krzesła i rozpinając guzik pasiaстей kamizelki, która niemal pękała na potężnym

brzuchu. - Ten koszmarny „fantazyjny pawilon” Prinny'ego w Brighton! Nigdy w życiu nie widziałem podobnego paskudztwa - nic tylko kopuły i smoki!

Cedric Penhallan prychnął pogardliwie.

- Odrażający dziwołag! Ale nasze eleganckie towarzystwo uśmiecha się, kiwa głowami i wychwala gust i niezwykłą wyobraźnię tego matoła! A kto za to płaci? Parlament!

- Właśnie!

Potwierdzenie wyszło z ust premiera, który siedział wyprostowany, ze zdecydowanym wyrazem twarzy, jakby doszedł do wniosku, że najwyższy czas pokierować tą dyskusją. - O to właśnie chodzi, moi panowie! Wellington wечно domaga się pieniędzy na wojnę na półwyspie, admiralicja żąda powiększenia floty, a rodzina królewska robi się coraz bardziej łąsa na pieniądze. Nie jesteśmy w stanie pokonać Napoleona, zaspokajając równocześnie wszystkie bzdurne zachcianki Prinny'ego... że nie wspomnę już o jego braciach!

Cedric Penhallan wziął jabłko ze stojącej na stole misy i obierał je w skupieniu deserowym nożykiem, tak że skórka tworzyła idealną spiralę. Konwersacja podczas obiadu z ministrem i jego zaufanymi współpracownikami przyjęła łątwy do przewidzenia obrót: zastanawiano się, jak równocześnie pokryć koszty prowadzenia wojny i dogodzić regentowi-autokracie, który uważał, że wszystkie jego zachcianki powinny być natychmiast spełniane przez usłużny parlament.

- Dynastia Stuartów otrzymała straszliwą nauczkę - powiedział Penhallan z cynicznym uśmiechem. - Może warto, by dynastia hanowerska posmakowała tego samego lekarstwa?

Nastąpiła chwila milczenia, wszyscy siedzieli osłupiali; potem wokół stołu rozległ się trochę niepewny śmiech.

Dżentelmeni utrzymujący bliższe stosunki z lordem Penhallanem przywykli do surowości jego sądów i niezwykłości zalecanych przezeń środków zaradczych... ale żeby zachwalać rewolucję i królobójstwo, choćby nie na serio?! Tego było trochę za wiele nawet dla bliskich przyjaciół Cedrica.

- Cóż to za przewrotne żarty, Penhallan! - odezwał się premier, uznawszy, że lekkie skarcenie wicehrabiego będzie jak najbardziej na miejscu.

- Myślicie, że żartuję? - lord Penhallan uniósł brwi i nieco pogardliwe rozbawienie błysnęło w jego oczach. - Jak długo rząd brytyjski zamierza finansować wulgarnie ekstrawagancje tego niemieckiego prostaka? -

Odsunął się z krzesłem od stołu, -Wybaczcie mi, panowie... i ty, milordzie' - Skłonił głowę, zwracając się do premiera. - Obiad był wyśmienity. Oczekuję was z niecierpliwością w przyszyły czwartek na Grosvenor Square. Zdobylem niezgorszego burgunda i chciałbym, żebyście go skosztowali.

Pożegnawszy się uprzejmie ze wszystkimi, Cedric Penhallan wyszedł na dwór. Był chłodny marcowy wieczór. Rozmowa u premiera rozdrażniła wicehrabiego, ale dał odczuć swe niezadowolenie i posiał w umysłach przedstawicieli władzy ziarenko, które - być może - wyda owoce. Ktoś wreszcie musi powściągnąć rozrzutność i wybryki rodziny królewskiej! Najwyższy czas przypomnieć rządzącym, że król i jego rodzina to tylko niezbyt inteligentni śmiertelnicy, którzy powinni być kontrolowani przez parlament!

Uśmiechnął się do siebie, idąc żwawo ulicami Londynu. Miał zadziwiająco lekki chód, jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę. Bardzo lubił szokować swoich znajomych... choćby tą wzmianką o egzekucji Karola I. Oczywiście, nigdy by na serio nie doradzał podobnych środków, jego przyjaciele dobrze to wiedzieli, a w każdym razie byli o tym przekonani.

Wicehrabia uśmiechał się coraz szerzej, gdy frontowymi schodami zmierzał do drzwi własnego domu. Wyrobił już sobie opinię wybitnego polityka, raczej za pomocą dyskretnych napomknień i aluzji niż bezpośrednich wypowiedzi. Rzadko zabierał głos w Izbie Lordów - a mimo to jego wpływ były niewątpliwe, a powiązania liczne.

Drzwi frontowe otworzyły się przed nim, zanim dotknął kołatki. Majordomus powitał swego pana ukłonem.

- Dobry wieczór, milordzie. Mam nadzieje, że dzień był udany?

Cedric nie odpowiedział. Stał ze zmarszczonym czołem w oświetlonym blaskiem świec głównym hallu. Z biblioteki dolatywały kobiece piski i męski pijacki śmiech.

- Jak widzę, moi bratankowie postanowili spędzić wieczór w domu - zauważył kwaśno.

Tym razem to majordomus powstrzymał się od odpowiedzi.

Cedric podszedł do drzwi biblioteki i otworzył je z impetem. Na jego ustach pojawił się grymas, kiedy ujrzał, co się tam działo. Trzy kobiety, niemal zupełnie nagie, za to jaskrawo wymalowane, wykonywały na stole jakiś rozpustny taniec ku uciechu pięciu mężczyzn rozpartych na kanapach i fotelach z kieliszkami w rękach.

- O!... Nie spodziewaliśmy się tak wcześniej twego powrotu, wuju!

Jeden z młodych mężczyzn zerwał się z pewnym trudem na nogi. W jego pijackim bełkocie słychać było lęk.

- Właśnie widzę - stwierdził z niesmakiem wicehrabia. - Mówiłem, że nie pozwolę sprowadzać ladacznic do mego domu! Pozbądźcie się ich czym prędzej. Niech uprawiają swój proceder w burdelach, gdzie ich miejsce.

Odsunął się na bok i spoglądał z miazdzącą pogardą na młodzieńców, zrywających się na nogi z nieskładnymi przeprosinami, i na dziewczęta, zeskakujące ze stołu i pospiesznie wkładające porzucone halki i spódnice. W zamglonych trunkiem oczach tych istot, rozpaczliwie walczących o przeżycie, była drapieżna chciwość. Jedna z nich zwróciła się do Dawida Penhallana z błagalnym uśmiechem.

- Gwineę od łebka! - zaskomlała. - Jak pan obiecał!

Aż się zatoczyła, gdy bratanek wicehrabiego uderzył ją na odlew.

- Nie jestem głupi, żeby płacić po gwinei za pijackie harce takich kościotrupów?! - zawołał groźnie. - Wynocha stąd, wszystkie trzy!

Znów się zamachnął i kobieta cofnęła się przestraszona, przyciskając rękę do piekącego policzka.

- Nie, nie, Dawidzie! Powinniśmy dać im coś za te tańce! - wtrącił jego brat bliźniak Charles ze śmiechem, w którym brzmiało nie rozbawienie, lecz okrucieństwo.

Sięgnął do kieszeni i rzucił garść drobnych monet prosto w twarz kobiety. Wycelował doskonale, z rozmysłem. Jedna z monet trafiła dziewczynę w oko, tak że odskoczyła z okrzykiem bólu. Zaraz jednak popędziła razem z innymi za groszakami. Bardzo to ubawiło mężczyzn. Przyłączyli się do nowej zabawy, ciskając monetami w dziewczęta, które nie mogły sobie pozwolić na uchylanie się, by nie stracić zarobku.

Z okrzykiem niesmaku Cedric obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Gardził swoimi bratankami, ale nie próbował powściągnąć ich bezmyślnego okrucieństwa. Kobiety, które dręczyli, były niczym w oczach lorda Penhallana; po prostu nie chciał ich widzieć w swoim domu.

Idąc na górę, wicehrabia zatrzymał się na chwilę na półpiętrze, by spojrzeć na wiszący tam portret młodej kobiety. Bardzo jasna blondynka o fiołkowych oczach spoglądała na niego wyzywająco, z przekornym uśmiechem. Doskonale pamiętał tę minę, choć upłynęło już ponad dwadzieścia lat. Jego siostra. Jedyna istota, do której był niegdyś przywiązany. I jedyna, która ośmielała się prowokować go, wyśmiewać jego ambicje, a nawet zagrażać jego pozycji i autorytetowi.

Cedric dotąd słyszał jej głos i dźwięczny śmiech, gdy wyjawiała mu, że podsłuchiwała jego rozmowę z księciem Cranfordem. Dodała, że William Pitt byłby zdumiony, gdyby się dowiedział, że jeden z jego najbardziej zaufanych

ludzi kopie pod nim dołki. Zażądała za swe milczenie wolności. Brat nie był już dla niej żadnym autorytetem. Zamierzała żyć po swojemu i wybrać *sobie* męża, nie zważając na to, czy będzie on użyteczny dla Cedrica, czy nie.

Śliczna, mała, pełna życia Celia stała się zbyt niebezpieczna!

Lord Penhallan westchnął i ruszył dalej, nie zwracając uwagi na wrzaski i pijackie śmiechy dochodzące z hallu, gdy w ślad za wypędzonymi z rezydencji dziewczętami opuścili ją także rozbawieni młodzieńcy szukający nowych uciech.

Portugalia

- No więc, co się kryje za tą podróżą, mała?

Tamsyn spoglądała w niebo, śledząc lot orła, który szybował nad górską przełęczą. Rozpiętość jego ciemnych skrzydeł wydawała się jeszcze bardziej imponująca na tle bezchmurnego błękitu.

- Zemścimy się na Cedricu Penhallanie, Gabrielu!

Usta Tamsyn były zacięte, oczy spoglądały twardo. Popatrzyła staremu przyjacielowi prosto w oczy, gdy jechali ramię w ramię ścieżką wydeptaną przez kozy na górskim zboczu.

- I odzyskamy brylanty Penhallanów. Należały się mojej matce, a teraz ja mam do nich słuszne prawo!

Gabriel wyciągnął zza pasa bukłak z winem i przechylił go tak, że czerwony strumyk spłynął mu do gardła. Znał tę historię równie dobrze jak Tamsyn. Podał jej bukłak i spytał w zadumie:

- Myślisz, że El Baron życzyłby sobie tej zemsty, dziewczuszko?

- Bez wątplenia! - odpowiedziała ze spokojną pewnością siebie. - Brat Cecile pozbawił ją podstępnie należnego jej dziedzictwa. I chciał ją zamordować! - Przechyliła bukłak, rozkoszując się smakiem i chłodem wina spływającego do jej wyschniętego gardła. - El Baron przysięgał, że zemści się na nim. Nieraz słyszałam, jak rozmawiali w nocy!

Zamilkła na chwilę, wspominając wieczory, gdy leżała na swoim łóżku, a przez uchylone drzwi docierały do niej ściszone głosy rodziców. El Baron nieraz był rozsierzony czyjąś głupotą lub brakiem lojalności. Cecile poważnie umiała rozproszyć jego gniew, ale nigdy nie była w stanie osłabić jego wściekłości na wspomnienie Cedrica Penhallana - z powodu zbrodni, do której niegdyś usiłował go skłonić.

Gabriel zmarszczył brwi. Jego zazwyczaj dobry humor zniknął. Nie był pewny, co uczyniłby w tej sytuacji El Baron.

Miał śmiertelną urazę do rodziny twojej matki - powiedział, stając się zgłębić problem. - Ale chyba nie uważał, że i ty powinnaś ich nienawidzić. A Cecile zawsze mówiła, że nie ma się za co mścić, gdyż plany jej brata spaliły na panewce.

Tamsyn pokręciła głową, zatykając buklak i zwracając go Gabrielowi.

- Doskonale wiem, co El Baron ciągle powtarzał: plany Cedrica wcale nie spaliły na panewce! Chciał się pozbyć siostry i pozbawić ją prawowitego dziedzictwa. I udało mu się to! El Baron zawsze zamierzał naprawić tę krzywdę. Ale nie ma go już z nami, więc ja go w tym wyręcę.

Zmarszczka na czole Gabriela pogłębiła się jeszcze bardziej.

- Cecile nazywała tę krzywdę błogosławieństwem - przypomniał jej.

Nigdy nie było takiej miłości jak jej i El Barona! I zawsze powtarzała, że poznali się dzięki Penhallanowi.

- Cedric Penhallan zapłacił za uprowadzenie Cecile i zamordowanie jej. - Głos Tamsyn był niemal pozbawiony wyrazu. - A to, że zamiast śmierci znalazła szczęście całego życia z człowiekiem, któremu jej brat polecił wykonać tę brudną robotę, to z pewnością nie zasługa Cedrica! Najwyższy czas, żeby zapłacił za swoje grzechy!

Gabriel cmoknął niespokojnie językiem, nadal nie mogąc się uporać z problemem. Baron istotnie zwierzył mu się kiedyś, że chce się zemścić na Penhallanach... Może, wysłuchawszy takich zwierzeń, stary kamrat powinien zrobić to, czego El Baron nie mógł już uczynić?... A w każdym razie miał obowiązek ochraniać jego córkę i jeśli Tamsyn postanowiła dokonać zemsty zamiast ojca, to on nie mógł jej od tego powstrzymać.

Ponieważ zaś był człowiekiem stworzonym do działania, a nie do rozmyślań, poczuł ulgę, gdy wreszcie się na coś zdecydował.

- No to jak udowodnisz im swoje pokrewieństwo, mała?

- Mam medalion Cecile i jej portret, i inne dowody. Cecile pozostawiła ich dość, bym mogła udowodnić, że jestem jej córką. - Tamsyn poprawiła się na nieznanym jej dotąd damskim siedle. - Powiedziała mi też, że naprawdę nazywała się Cełia. Zaczęła myśleć o sobie jako o Cecile, kiedy miała czternaście lat. To imię wydało się jej bardziej romantyczne.

Na ustach Tamsyn pojawił się łzawy uśmiech; jak wyraźnie pamiętała głos matki, zwierającej się jej ze śmiechem ze swych dziecinnych rojeń!

- Mówiła mi, że miała wielką słabość do tego imienia i że jej brata strasznie to irytowało, gdyż nie odpowiadała, kiedy inaczej się do niej zwracano! - Spojrzała znów na Gabriela. - Powiedziała, że gdybym kiedyś

chciała udowodnić Cedricowi swą przynależność do Penhallanów, najlepiej byłoby powtórzyć którąś z anegdotek znanych tylko jej i jemu.

Gabriel świsnął przez zęby i pokiwał głową.

- Jeśli przekazała ci to wszystko, mała, to chyba nie była całkiem przeciwna tej zemście!

- Nie była - przytaknęła Tamsyn. - Tylko ona nazwałaby to „odzyśkaniem należnych praw”! - Roześmiała się. Eufemizmy Cecile zawsze bawiły jej kochanka-rozbójnika. - Dała mi też na piśmie, potwierdzoną przez świadka, relację z jej uprowadzenia - mówiła dalej, już całkiem serio. - Gdyby ta historia trafiła do jednej z londyńskich gazet i została potwierdzona przez córkę, brat Cecile mógłby się znaleźć w kłopotliwej sytuacji, nieprawdaż?

- Jeżeli ten brat nadal żyje.

- W tym sęk! - przyznała. -Jeśli tak, będę wiedziała, co robić. Ale jeśli nie... wszystko zależy odjego spadkobiercy. A raczej od całej rodziny! Jeśli nie mieli nic wspólnego z planem Cedrica, nie mogę mieć do nich pretensji. Poczekamy i zobaczymy, Gabrielu!

- Myślisz o czymś takim jak szantaż, dziewczuszko?

Tamsyn pokręciła głową.

- Nie! Chcę wyjawić całemu światu perfidię Cedrica Penhallana. Ale żeby mi uwierzono, muszę mieć nienaganną reputację. I do tego jest mi potrzebny pułkownik. Kiedy już uzyskam pozycję w towarzystwie jako jego protegowana, moje słowa będą mały większe znaczenie, niż gdybym była nie wiadomo kim. A skoro prawda wyjdzie na jaw, brylanty Penhallanów wrócą do mnie... Przecież naprawdę mi się należa!

- A ile z tej historii wyjawiłaś pułkownikowi?

Tamsyn spojrzała na zbocze góry, gdzie szersza, bardziej uczęszczana droga wiodła przez przełęcz. Wysoka postać lorda Juliana widniała na czele kawalkady objuczonych mułów i ludzi o groźnym wyglądzie, uzbrojonych po zęby. Na samym końcu człapał wytrwale juczny muł, dźwigając na swym grzbiecie Josefę.

- Nic a nic! - odparła Tamsyn. - Nie ma pojęcia o Penhallanach, rodowych brylantach ani o próbie zamordowania Cecile. Pułkownik i Wellington wiedzą tylko tyle, że moja matka pochodziła z Kornwalii, a ja jestem sierotą spragnioną domu i rodziny.

Gabriel odrzucił głowę do tyłu i ryknął gardłowym śmiechem.

- Nabrali się na taką bajeczkę! Wstydz się, mała! Potrafisz dorosłych mężczyzn rozczulić do łez!

- Cecile zawsze mówiła, że rycerskość angielskich dżentelmenów to bardzo pożyteczna słabostka - odparła z uśmiechem satysfakcji. - Potrzebne mi miejsce, gdzie mogłabym zamieszkać w Kornwalii i zawrzeć właściwe znajomości. Pod opieką pułkownika bez trudu to osiągnę.

- Na twoim miejscu uważałbym z pułkownikiem - poradził jej Gabriel. Z pewnością nie przypadnie mu do gustu, że bawisz się jego kosztem!

- Wcale się nie bawię jego kosztem - odparła całkiem rozsądnie Tamsyn. - Chcę go tylko wykorzystać.

- To mu się też nie spodoba!

Tamsyn skłonna była zgodzić się z Gabrielem.

- Nic na to nie poradzi! Ale nie zamierzam pozostać w Anglii, kiedy też dokonam tego, co zaplanowałam. A pułkownik tak się ucieszy z powrotu na ukochaną wojenkę, że nic innego nie będzie go obchodziło!

- Daj Boże, żebyś miała rację, dziewczuszko!

Tamsyn wzruszyła tylko ramionami i uniosła rękę w powitalnym gestie, gdy pułkownik zerknął w ich stronę, osłaniając oczy od słońca.

Julian nie odpowiedział na jej powitanie. Irytowało go, że jechała znów dala od niego, jakby ona i Gabriel nadal byli partyzantami. Pozostała mu tylko dumna samotność albo towarzystwo opatulonej w szale Josefy jadącej na mule. Wynajętych ludzi trudno byłoby uznać za odpowiednią kompanię. Byli bandą nieokrzesanych łajdaków, a ich jednooki prowodyr zachowywał się bardzo podejrzliwie w stosunku do angielskiego pułkownika. Wyglądali jednak dość groźnie i w razie potrzeby potrafiliby zapewne bronić skarbu Tamsyn.

Raz jeszcze zerknął w górę i ujrzał, że Tamsyn porzuciła kozią ścieżkę Cezar zmierza w dół całkiem pewnie przez kaktusy i zarośla, porastające górski stok. Mimo usuwających się spod końskich kopyt kamyków niebawem dotarli do głównej drogi, tuż przed ich kawalkadą.

Tamsyn nie miała kłopotów z damskim siodłem; Julian zresztą wcale się tego nie spodziewał. Czuła się tak pewnie na koniu, jakby na nim jeździła już w kolebce... Ciekawe, jak też jej się spodoba angielskie twarde iodło pozbawione oparcia? Będzie się musiała rozstać z wyściełanym hiszpańskim podczas przejażdżek po Hyde Parku, a nawet spacerów po wiejskich drogach Anglii, jeśli chciała być akceptowana przez najbardziej dystygowane towarzystwo.

- Nie dokucz ci samotność? - zagadnęła go wesoło, znajdując dla siebie dość miejsca na wąskiej ścieżce obok Juliana.

- Ty i Gabriel wydawaliście się pochłonięci jakąś ważną dyskusją - odpowiedział.

Zauważył, że zaczerwieniła się pod opalenizną. Ciekawe, dlaczego?

- O, wprowadzałam go tylko w szczegóły mojego planu - odparła. - Wcześniej nie miałam na to czasu.

- Ach tak? No i co, przyjął twój plan z entuzjazmem?

- Czemuż by nie? - odparła Tamsyn nieco wyzywająco; ubódł ją ironiczny ton pułkownika. - A dlaczego pytasz?

- O, bez powodu! - Julian wzruszył ramionami. - Jestem pewien, że ochoczo wyrzekł się dotychczasowego życia i kraju, który od tak dawna był mu ojczyzną. Ale choćby nawet żałował, ty i tak oczekiwałąbyś, że zrobi to, czego chcesz!

Jego głos był suchy jak zeschnięte liście.

Rumieniec Tamsyn stał się jeszcze bardziej wyraźny.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz!

- Rozumiesz doskonale, moja droga. Kiedy czegoś ci się zachce, nie cię nie powstrzyma! Gabriel niczego nie potrafi ci odmówić, a ty wykorzystujesz jego lojalność bez skrupołów.

- Jesteś okropny! - oburzyła się. - Cóż za potworności opowiadasz o mnie!

- Zapominasz, że i moje obiekcje przełamałaś bez wahania - odparł równie sucho jak przedtem. - Nie miałaś żadnych względów dla mego punktu widzenia ani dla moich uczuć.

Tamsyn przygryzła wargę. Czuła, jak łzy napływają jej do oczu z powodu surowości okazanej jej ni stąd, ni zowąd przez Juliana. A jednak musiała przyznać, że ta surowość była częściowo usprawiedliwiona... Od tamtego cudownego wieczora w czarodziejskiej grocie Aladyna, dwa dni temu, prawie się nie widywali. Rozumiała, że pułkownik ma wiele roboty z przygotowaniem do podróży i z przekazaniem dowództwa nad swoją brygadą zastępcy, toteż nie próbowała odciągnąć go od pracy. Kiedy jednak wyjechali z Elvas tego ranka, był ponury i milczący. W nadziei, że spokojne rozmyślenia wpłyną na zmianę jego nastroju, postanowiła trzymać się Gabriela. Nadzieją okazała się jednak zawodna. Niechęć Juliana ani trochę nie osłabła!

Zamrugnęła oczami i ponagliwszy Cezara do szybszego biegu, opuściła pułkownika i przeszła najpierw w kłus, potem zaś w cwał na wąskiej, niebezpiecznej ścieżce.

- Tamsyn! - zawołał Julian.

Serce podeszło mu do gardła, gdy widział, jak koń i jadąca na nim amazonka przechylają się niebezpiecznie, pokonując ostry zakręt nad urwiskiem. Potem jeszcze przyspieszyli i zniknęli mu z oczu.

- Powiedziałaś coś, co ją zdenerwowało, pułkowniku?

Gabriel niemal sfrunął na swym wielkim koniu i znalazł się obok niego.

- To rozpuszczone, nieznośne półdiabły! - wykrzyknął Julian. - Skręci sobie kark, a koniowi połamię nogi!

- Bardzo wątpię - stwierdził Gabriel. - Zbyt dobrze się znają. Coś jej powiedział?

- Kilka słów prawdy - odparł Julian. - Dawno powinna je usłyszeć!

- To za każdym razem tak na nią działa - zauważył pogodnie Gabriel, podsuwając pułkownikowi bukłak. - Nie chce słyszeć, że źle postąpiła. To samo było z baronem... zwłaszcza wtedy, gdy naprawdę nie miał racji. - Rozesmiał się i obrócił na siodle, by zobaczyć, jak sobie dają radę jadące za nimi objuczone muły. - Radzę zjechać z drogi dobrze przed zachodem słońca. Bywają tu niebezpieczne miejsca... Wolałbym nie wpaść w zasadzkę!

- Ci obwiesie, których sam wybrałeś, wydają się gotowi na wszystko.

- Julian oddał mu bukłak i podziękował skinieniem głowy.

- Może i tak... ale lepiej nie kusić losu!

- Zgadzam się. Zatrzymamy się w najbliższej wsi, jeśli będzie tam coś rodzaju zajazdu.

- Nic porządnego nie znajdziemy - odparł Gabriel. - Nie w tych strojach!

Przez najbliższe pół godziny nie było ani śladu Tamsyn. Julian starał się ukryć swój niepokój, zwłaszcza że Gabriel nie był ani trochę zatrzwożony. Pułkownik mówił sobie, że miał pełne prawo zwymyślać ją tak ostro, jak mu się podobało! Zmusiła go do opuszczenia brygady w najbardziej nieodpowiednim momencie. Była to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie musiał podjąć w życiu. Wellington wysłał oddział zbrojnych do Badajos i kazał wznieść na głównym placu szubienicę. Kilku ludzi osądzono za rozbój i grabież - i powieszono ich. To zmusiło resztę zdemoralizowanej armii do opuszczenia miasta. Wrócili do obozu, gdzie odpowiedzialni za nich oficerowie musieli doprowadzić ich do opamiętania i wdroyć znów do karności. Był to jak najgorszy moment na zmianę dowódcy - nawet jeśli miał go zastąpić nowo mianowany pułkownik Tim O'Connor, wspomagany przez pozostałych oficerów.

Julian był więc w fatalnym humorze tego ranka, gdy opuścili Elvas, i nie przepuścił okazji, by powiedzieć przyczynie swego utrapienia, co o tym myśli. Jednakże - z niewiadomego powodu - mimo gniewu na Tamsyn martwił się o nią i westchnął z ulgą, kiedy znów się pojawiła, zmierzając ku nim cwałem.

- Jest tu w pobliżu wioska, jakieś cztery kilometry stąd - oznajmiła, dzieląc się z nimi swoimi spostrzeżeniami. - Nic wielkiego, ale znajdzie

się tam stajnia dla zwierząt i obora z kamienia, gdzie można by przechować wszystko, co wieziemy. Niełatwo byłoby zagarnąć coś znieca! Starcy wystawili dwie pikiety. Jeśli zdecydujemy się na zmianę wart, każdy będzie mógł przespać się kilka godzin.

Zwracała się wyłącznie do Gabriela i unikała wzroku pułkownika.

- A dla nas znajdzie się jakieś schronienie? - zagadnął Julian obojętnym tonem.

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- Jeden z wieśniaków zaproponował własną stodołę i stryszek na siano. Będzie tam czyściej niż w chacie, gdzie roi się od robactwa!

Pułkownik skinął głową. Mieli własne zapasy i potrzebowali tylko schronienia przed nocnym chłodem. Spojrzał na Tamsyn i zauważył, że nadal wydaje się przygnębiona. Zdumiało go, że tak wzięła sobie do serca jego szorstkie słowa. Taka wrażliwość jakoś nie pasowała do pozbawionej zasad intrygantki, za jaką ją uważał.

- Bądź tak dobra na przyszłość nie znikać bez słowa! - powiedział szorstko.

- Zdawało mi się, że moje towarzystwo nie jest ci miłe.

- A myślałaś, że będzie? - Patrzył przed siebie, usta miał zaciśnięte.

- Przez ciebie musiałem opuścić moich ludzi w dramatycznej sytuacji!

Tamsyn z nieszczęśliwą miną gryzła wargę. Potem odezwała się:

- Postaram się, żeby w podróży... i potem... było ci bardzo miło.

Julian popatrzył na nią z niedowierzaniem. Jej pełne niepokoju spojrzenie wydawało się szczere i niewinne... Czyżby naprawdę nie uświadamiała sobie krzywdy, którą mu wyrządziła? Jak mogła być pozbawiona poczucia zwykłej odpowiedzialności? Przecież była dorosła. Odetchnął głęboko i zdobył się na kazanie. Obawiał się jednak, że jego wywody nie na wiele się zdadzą.

- Twój sposób wynagradzania mnie, moja droga, jest istotnie bardzo miły, ale przecież nie o to chodzi! Nie można manewrować ludźmi i wydarzeniami, byle tylko postawić na swoim, a potem z całym spokojem dać buzi... i uważać, że wszystko zostało załatwione!

- Ale to przecież tylko sześć miesięcy!

Kompletna kłapa. Julian machnął ręką i dał za wygraną.

- Nie ma sensu rozwodzić się nad tym. Zrobię to, do czego się zobowiązałem. Jeśli przez najbliższe sześć miesięcy będziemy odnosić się do siebie ze zwykłą uprzejmością, uznam to za wielkie osiągnięcie.

Tamsyn jechała teraz u jego boku. Milczała, pograżona w myślach, póki nie dotarli do wsi. Nie ulegało wątpliwości, że tych sześć miesięcy w życiu pułkownika to nic nieznacząca chwilka, podczas gdy dla jej przyszłości mogły mieć decydujące znaczenie. Ale było to oczywiście tylko dla niej. Pułkownik nie miał o tym pojęcia!

Kiedy wkraczali do wioski położonej wzdłuż górskiej ścieżki, mieszkańcy wynurzyli się ze swych chat. Obdarte dzieciaki wybiegały na drogę, wrzeszcząc i machając rączkami, czarno odziane kobiety stały na progu, przesłaniając twarze szalem aż po czarne, czujne oczy. Mężczyźni pojawili się przy furtkach prowadzących na niewielkie, smrodliwe podwórka, gdzie chude kury grzebały uparcie w ziemi i walczyły o jakieś nędzne resztki z niechlujnymi kozami.

Strumień spływał po górskim stoku aż na sam środek wsi, gdzie skłeniono prymitywną tamę i dzięki temu powstał głęboki staw dostarczający całej wsi wody pitnej.

Tamsyn pozdrowiła wieśniaka, który wyglądał trochę zamożniej niż pozostali i stał w drzwiach nieco okazalszej chaty.

- On jest naczelnikiem wioski - wyjaśniła. - To z jego stodoły i obory możemy skorzystać... nie za darmo, oczywiście!

Gabriel zsiadł z konia i podszedł do tej ważnej osobistości.

- Ze mną nie chciał wchodzić w układy - wyjaśniła pułkownikowi Tamsyn - ponieważ jestem ubrana po kobiecemu. Gdybym wyglądała jak kobiety z oddziałów partyzanckich, rozmawiałby ze mną jak równy z równym!

Julian uniósł tylko brwi i wzruszył ramionami.

- Na szczęście, amazonka jest wygodniejsza niż zwykła suknia - ciągnęła Tamsyn, chcąc go skłonić do przyjacielskiej pogawędki. - Włożyłam pod spód bryczesy, więc czuję się prawie normalnie. Ale zawsze to zawada w sytuacji takiej jak ta!

- Musisz do tego przywyknąć - odpowiedział chłodno, traktując jej refleksje jak zwykłe uzalanie się. - W Anglii kobiety nie zachowują się jak mężczyźni. ... zwłaszcza gdy chcą zostać zaakceptowane przez społeczeństwo.

Tamsyn zrezygnowała z dalszych prób zawarcia z nim zgody.

- Baron uważał Cecile za równą mu pod każdym względem! - oświadczyła zadziornie.

Julian spojrział na nią z uprzejmym niedowierzaniem.

- Wobec tego był bardzo niezwykłym mężczyzną.

Zsiadł z konia i uniósł Tamsyn z siodła, nim sama zeskoczyła ze zwykłą zręcznością, mimo że Cezar był taki wielki. Julian starał się nie zwracać

uwagi na bliskość dziewczyny ani na zapach jej ciała, które budziły w nim rozkoszne wspomnienia.

- Kobiety przyjmują także pomoc od mężczyzn w pewnych sytuacjach, jak wsiadanie na konia, wysiadanie z powozu czy zajmowanie miejsca przy stole - pouczał z miną sumiennego nauczyciela, stawiając ją na ziemi.

- E tam! - rzuciła z niesmakiem Tamsyn. — Nie jestem stara ani kulawa!

- Istotnie, ale wypada udawać, że wierzysz, iż kobiety to słabsza płeć, i okazywać dżentelmenom wdzięczność za ich uprzejmą pomoc.

Mina Tamsyn była coraz bardziej pełna niesmaku i Julian uznał to za zabawne.

- Chyba że chcesz zrezygnować ze swoich planów - dorzucił z nonszalancją.

Tamsyn pokazała mu język w odruchu dzieciennego protestu, który najlepiej wyrażał jej uczucia. Pułkownik roześmiał się głośno - co rozdrażniło ją jeszcze bardziej - i podszedł do Gabriela i wieśniaka, którzy właśnie dobijali targu. Julian, uderzając rękawiczką o dłoń, rozglądał się po wsi, oceniając jej walory strategiczne.

- Jeśli rozstawimy pikiety na obu końcach tej uliczki, możemy nie obawiać się napaści!

- Pewnie, pewnie... tylko że jest jeszcze droga z góry na dół - zauważył Gabriel, spoglądając na górskie zbocze wznoszące się nad wioską. - Powinniśmy też strzec osobno obory. Ja z trzema moimi ludźmi będę pełnił wartość pierwszy. Potem ty mnie zastąpisz, pułkowniku. Jeśli ci to dogadza! - dodał po namyśle.

- Któż mógłby się dowiedzieć, co wieziemy?

- Nikt... a może każdy? - Gabriel zmarszczył brwi. - Jedno słówko potrafi roznieść się jak ogień po lesie. I wszędzie śledzą nas jakieś oczy. Ludzie nie muszą wiedzieć, co wieziemy; połapią się, że jeśli nam warto tego czegoś strzec, to pewnie i ukraść warto!

- No cóż... Zabezpieczmy się więc najlepiej jak potrafimy!

Julian odwrócił się w stronę jucznych mułów. Zauważył, że Josefa i Tamsyn przenoszą już zapasy do stodoły. Dziewczyna niecierpliwie kopała fałdy spódnicy, pomrukując z irytacją. Wreszcie złożyła niesiony ciężar na ziemi, szybko odpięła spódnicę od górnej części amazonki i uwolniła się od zawady z widoczną ulgą, wystawiając na widok publiczny nogi w miękkich skórzanych bryczesach. Rzuciła Julianowi wyzywające spojrzenie, a zmiętą spódnicę wetknęła pod pachę.

Udał, że tego nie widzi, i podszedł znów do mułów.

Tamsyn i Josefa rozпалиły ognisko na podwórzu koło stodoły i szykowały jedzenie. Julian był mile zaskoczony, że dziewczyna chętnie spełnia gospodarskie czynności. Oczekiwał, że zechce tylko nadzorować pracę mężczyzn, pozostawiając wszystkie „babskie” obowiązki Josefie. Tymczasem obie gawędziły beztrudnie przy ognisku i wkrótce aromat parzonej kawy rozszedł się w wieczornym powietrzu.

Julian podszedł do kobiet.

- Coś tu smakowicie pachnie!

- To polenta - odparła Tamsyn, spoglądając znad garnka, w którym mieszała wielką drewnianą łyżką. - Trzeba jeszcze odszpuntować beczkę wina... Zajmiesz się tym? Mężczyźni będą spragnieni... O, w porządku, Gabriel już o to zadbał!

Josefa wymamrotała coś, potrząsając energicznie garnczkiem, w którym dusiły się grzyby. Tamsyn zerknęła na nią.

- O Boże!

- Co się stało?

- No cóż... Josefa obawia się, że Gabriel za wiele wypije dziś wieczorem. W dodatku znalazł sobie kompanów!

- Chyba się nie upije na umór, kiedy trzeba pilnować skarbu?!

- O, on nigdy się nie upija do nieprzytomności - uspokoiła go Tamsyn. - Tylko rwie się do bójk, jak mu ktoś wejdzie w drogę. Ale skarb będzie bezpieczny, bez względu na to, czy Gabriel jest pijany czy trzeźwy, zapewniam cię!

- Chce pełnić wartę w pierwszej kolejności...

- W takim razie zamierza dobrze sobie podpić - oświadczyła Tamsyn z przekonaniem. - I potem to odespać, a rano będzie całkiem trzeźwy. Pomieszaj w garnku, dobrze? Żeby nie przywarło. Ja muszę na stronę.

Bezceremonialnie wetknęła Julianowi łyżkę do ręki i pospieszyła na skraj wsi.

Zbliżył się Gabriel z dwiema szklanicami czerwonego wina.

- Napijesz się, pułkowniku? Matko Boska, ale mnie dziś suszy!

Gabriel zerknął w stronę Josefy, która mamrocząc coś pod nosem kroila cebulę.

- Stare baby lubią marudzić, no nie? Dobrze człowiekowi robi, jak sobie popije od czasu do czasu. Zaprosiłbym cię, żebyś mi towarzyszył, ale powinieneś przespać się przed wartą. Ja sobie pośpię potem!

Roześmiał się głośno i wypił wino duszkiem.

- Jeśli te twoje opryszki schleją się na umór, niełatwo będzie się nam obronić w razie czego! - zauważył Julian.

- Nie mam zamiaru z nimi popijać - odparł Gabriel. - Dostaną szklanczkę czy dwie do kolacji, ale potem mają być trzeźwi, bo spiorę ich batem. Dobrze wiedzą, że to nie żarty! Przypadło mi do gustu towarzystwo tutejszych wieśniaków - wyjaśnił wesoło. - Pogramy sobie trochę w kości. .. Człowiek się przy tym odpręża.

Julian uniósł tylko brwi, ale nie zaprzeczył temu twierdzeniu. Co będzie, to będzie!

Po kolacji zjawiła się grupa mężczyzn ze wsi z jeszcze jedną beczką wina. Witali Gabriela bardzo przyjaźnie, poklepując go po plecach lub po ramieniu, nim zasiedli w kącie podwórza, by pograć w kości na odwróconej beczce na deszczówkę.

Tamsyn wróciła z Josefą znad strumienia, gdzie pozmywały miski i deszczułki, używane zamiast talerzy.

- Gabriel ma niezłe w czubie! - skomentowała, układając naczynia w jukach ze zręcznością, która znów zaskoczyła Juliana.

Josefa nadal coś pomrukiwała, rzucając nieżyczliwe spojrzenia na mężczyzn w kącie podwórza. Potem wytrzepała koc i rozpostarła go na ziemi. Ułożyła na nim juki w charakterze poduszki i położyła się, owinięta szalami i płaszczem.

Tamsyn szepnęła ze śmiechem:

- Nie spuści go teraz z oka, kiedy wszedł na złą drogę! Ale Gabriel nie potrafi tego docenić. Prędzej zeklnie ją od ostatnich za wtrącanie się w jego sprawę!

Julian popatrzył na czarny atłas nieba z plejadą olśniewających gwiazd. Powietrze było chłodne, od gór zawiewał rześki wiatr.

- Prześpij się choć trochę na stryszku!

- A ty?

Tamsyn wzięła na ramię całe naręcze koców. Miało się wrażenie, że to brzemienia przytłacza, ale dźwigała je bez trudu.

- Ja zdrzemnę się gdzieś na dole - odparł wymijająco.

- Mogę przygotować na stryszku legowisko dla nas obojga. - Zęby jej błysnęły w zachęcającym uśmiechu. - Będzie całkiem przytulnie na sianie!

- Na litość boską, dziewczyno! Nic do ciebie nie dociera?! - rzucił wściekłym szeptem. - Włóż na strych i śpij! Ja muszę zamienić kilka słów z Gabrielem.

Odrócił się, choć jej zranione spojrzenie przypominało mu wyraz oczu skrzywdzonego psiaka, i podszedł do hałaśliwej grupki mężczyzn. Gabriel podniósł głowę. Oczy miał zaczerwienione, ale wyraz twarzy dobroduszy.

- Masz do mnie jakąś sprawę, pułkowniku?

Julian wyciągnął zegarek.

- Zastąpię cię na warcie o drugiej.

- Ano tak... To będzie w sam raz! - odparł pogodnie olbrzym, usiłując mrugnąć porozumiewawczo, ale tylko zrobił zęza. - Do tego czasu cholernie się wzbogacę! - Wyrzucił kości i roześmiał się na widok trzech szóstek. - Tej nocy szczęści mi się jak diabli!

Otoczający Gabriela wieśniacy wybuchnęli śmiechem, a naczelnik wsi dołał mu do wina jeszcze czegoś z kamiennego dzbanka. Pewnie samogonu - domyślił się Julian. Po takiej mieszance przeciętny mężczyzna zwałiby się od razu pod stół!

Julian obrzucił wzrokiem całe obejście. Gabriel całkiem rozsądnie rozstał się ze strażą. Jedną na tyłach, u wylotu krętej ścieżki, która wiodła ze szczytu aż do wioski. Wartownik miał u nóg smolną pochodnię, kolanami ścisnął strzelbę i kurzył śmierdzącą fajeczkę. Pozostali dwaj znajdowali się na drugim końcu wsi, strzegąc głównej drogi. Sam Gabriel usadowił się tak, że miał na oku zarówno wejście na podwórze, jak i oborę, gdzie umieszczono skarb.

Ale ten człowiek ledwie widział z przepicia!

Julian postanowił, że on także będzie czuwał podczas warty Gabriela. Spędził już niejedną bezsenność noc podczas tych czterech lat wojaczki na Półwyspie Iberyjskim. Jedna więcej mu nie zaszkodzi. Zawrócił w stronę stodoły.

- Nie spuszczać małej z oka! - zawołał za nim Gabriel.

Głos jego był nieco mniej zamazany niż przedtem. Trzeźwy czy pijany, zawsze miał przede wszystkim na sercu bezpieczeństwo swojej dziewczynki.

Julian uniósł rękę na znak, że słyszy, i wszedł do stodoły. Trzej pozostali wynajęci ludzie spali na klepisku przyrzuconym słomą. Chrapali w najlepsze, póki nie przyjdzie na nich czas pełnienia warty. Julian usiadł w kącie stodoły, w pobliżu drabiny wiodącej na strych, otulił się płaszczem i postanowił zaczekać, aż Tamsyn zaśnie.

Po upływie pół godziny uznał, że już może udać się na górę. Nieznośna pokusa z pewnością zasnęła głęboko. Po cichu wszedł po drabinie. Tamsyn rozłożyła koce na sianie i uwiła sobie z nich wygodne gniazdko. Przez okragłe okienko wpadało światło księżycy, srebrząc jasne włosy

dziewczyny, a jej równy oddech słychać było w niewielkim pomieszczeniu pachnącym sianem.

Julian na palcach podszedł do okna. Wychodziło na podwórze i widział wyraźnie Gabriela i jego kompanów od kieliszka. Była to spokojna, beztrojska scenka biesiadna.

Obejrzał się na śpiącą Tamsyn. Tylko srebrne włosy wystawały z przytulnego gniazdka. Jak mogła taka dzika, taka niezwykła dziewczyna liczyć na to, że dostosuje się do wymagań wielkiego świata? I że skłoni jakąś sztywną kornwalijską rodzinę, by przygarnęła ją do łona?! Przecież córka rozbójnika mogła zmienić się w angielską arystokratkę - i to w ciągu sześciu miesięcy - chyba tylko cudem! A on musiałby być czarnoksiężnikiem. Co prawda, nie obiecywał, że jej zapewni sukces... ale nigdy nie umiał pogodzić się z porażką!

Zachmurzony odwrócił się znów w stronę okna na podwórze. Nie wiedział, jak długo wpatrywał się w płonące węgle ogniska i w migotliwe pochodnie, oświetlające grę w kości, gdy dostrzegł jakiś cień przemykający za oborą. Zamrugał oczyma, niepewny, czy nie jest to złudzenie... Nagle Gabriel ryknął i zerwał się na równe nogi. Beczka, na której grali w kości, potoczyła się po kamieniach. W rękę wielkoluda pojawiła się - chyba cudem - maczuga. Wywijał nią, zakreślając mordercze kręgi.

Julian zsuwał się już z drabiny z bronią w rękę, gdy Tamsyn usiadła wyprostowana, całkiem przytomna, nadsłuchując odgłosów z podwórza.

Na dole ich trzech ludzie nadal spali na słomie u podnóża drabiny. Julian wymierzył im parę kopniaków, usiłując dobudzić. Zachrapali jednak jeszcze głośniejsze, mamrocząc coś niezrozumiale. Pułkownik potknął się o kamienny dzban, taki sam, jaki widział na podwórzu. Podniósł go i powąchał. Niewątpliwie był w nim niedawno samogon, ale i coś jeszcze: na dnie pozostał biały osad. Gabriel zabronił tym trzem drabom pić po kolacji, ktoś jednak przyniósł im trunek, specjalnie doprawiony.

Julian wybiegł na podwórze. Gabriel, otoczony przez niedawnych kompanów, wywijał maczugą i z bojowym okrzykiem swych szkockich przodków odpierał ich ataki.

St Simon z szablą kawaleryjską w garści skoczył do boju. Nie ulegało wątpliwości, że zaatakowali ich mieszkańcy wioski. Dostrzegł ciemną sylwetkę jednego z wartowników. Leżał na ziemi; zapewne zdzielił go od tyłu ów cień, który Julian zauważył ze strychu. Jeśli jednak wieśniacy liczyli na to, że unieszkodliwią Gabriela za pomocą tego samego środka, który zaaplikowali śpiącym teraz w stodole ludziom, gorzko się rozczarowali.

Olbrzym walczył jak lew, nadal gniewnie porykując. Jego oczy połyskiwały czerwienią w blasku pochodni. Dostrzegłszy Juliana, powitał go dziwnym warknięciem, co miało zapewne znaczyć:

- Jesteś? Doskonale! Wykończymy tych drani!

Napastnicy zaczęli się cofać na widok wywijających zgodnie maczugi i szabli. I nagle Tamsyn znalazła się obok nich. Chwyliła płonąca pochodnię i walnęła nią po głowie jednego z napastników, wymachującego rzeźniczym nożem. Wrzasnął, zakrył twarz rękoma, a nóż upadł z brzękiem na kamienie. Tamsyn schyliła się i chwyciła broń. Wieśniacy rzucili się do ucieczki, ścigani przez Gabriela, Juliana, Tamsyn i Josefę, która wywijała bardzo skutecznie pogrzebaczem.

- *Madre de Dios!** — westchnął Gabriel, gdy zatrzasnęli furtkę prowadzącą na podwórze. Otarł pot z czoła i uśmiechnął się szeroko. - Myśleli pewnie, że mnie spoją!

Zaśmiał się hałaśliwie; jego potężne ramiona trzęsły się z wesołości.

- Doprawili wino nie tylko samogonem, ale i czymś więcej - wyjaśnił Julian. - Ci trzej w stodole - wskazał ruchem głowy - są na razie straceni dla świata.

- Pedro ma na głowie guza wielkości jabłka, ale żyje! - raportowała Tamsyn. Obie z Josefą pobiegły zobaczyć, co się stało z powalonym wartownikiem. - Tylko co z tamtymi dwoma?

- Miejmy nadzieję, że nie spotkało ich nic gorszego - odparł Julian i spojrzał groźnie na dziewczynę. - To był głupi pomysł z tą pochodnią. Mogłaś podpalić stodołę!

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- W nagłej potrzebie chwyta się to, co jest pod ręką!

Julian nie mógł temu zaprzeczyć. Sam nie inaczej by postąpił. Odwrócił się więc do Gabriela, żeby zmienić temat.

- Przyczaimy się do świtu i zaraz potem wynosimy się stąd!

- Ajakże! - skinął głową Gabriel. - Tamtych dwóch zabierzemy, jak będziemy odjeżdżali. Warto pokazać tym wsiokom, że wszyscy jesteśmy zdolni do walki... Choć bardzo wątpię, żeby chcieli jeszcze raz z nami zacząć. Kobieto, zrób nam kawę!

Josefa bez słowa rzuciła pogrzebacz i podeszła do żarzącego się jeszcze ognia.

* *Madre de Dios* (hiszp.) - Matko Boska.

- Pomóż mi ładować juki! - skinął Julian na Tamsyn, która podbiegła ochoczo. Jej oczy płonęły w blasku ognia, a ciało aż tętniło energią i radością z wygranej. - Musimy być gotowi do drogi, kiedy tylko się rozwidni.

- Nie sprawią nam więcej kłopotu! - orzekła Tamsyn z wielką pewnością siebie. - Zbieranina cholernych niedorajdów! - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - El Baron nigdy by ich nie przyjął do bandy. Jego napady były zawsze udane!

Julian powstrzymał się od komentarza.

Dwie godziny później wyjechali z podwórza. Julian z obnażoną szablą na czele, Gabriel zamykał pochód, wywijając rapierem i groźnie rycząc. Tamsyn - pośrodku - wiodła obładowane muły, trzaskając zawzięcie z bąta. Trzej niezbyt jeszcze przytomni najęci do pomocy ludzie chwiali się w siodłach, ale i oni wymachiwali bronią.

Mieszkańcy wioski przyglądali się temu triumfalnemu pochodowi z zamkniętych okiennic. Wiedzieli, że porwali się na silniejszych od siebie. Odjeżdżając, zwycięzcy zabrali jeszcze dwóch swoich ludzi, którzy siedzieli przy drodze, trzymając się za rozbite głowy. Byli jednak w stanie dosiąść koni i cała kawalkada ruszyła w dalszą drogę do Lizbony.

12

Nie wiem, czy mogę dać panu trzy czterofuntówki*, kapitanie Lattimer - oznajmił szef zaopatrzenia z jakąś posępną satysfakcją. - Na „Isoldę” zabrali wczoraj aż sześć!

Kapitan Królewskiej Floty, Hugo Lattimer, z trudem powściągnął irytację. Przegarnął dłonią gęstą, kasztanową czuprynę i rozejrzał się po nabrzeżu zaopatrzeniowym. Tego ranka był trzeci w kolejce, a prócz niego czekało sześciu kapitanów, równie zdeterminowanych, by należycie wyposażą podległe im jednostki, i gotowych nawet błagać szefa zaopatrzenia i schlebiać mu.

- Gdyby mógł mi pan dać choć dwie, byłbym bardzo wdzięczny - powiedział, uśmiechając się z należytą, jak mniemał, uniżonością. - Jakże się

Działa strzelające kulami o wadze czterech funtów, czyli ok. 1,8 kg (przyp. tłum.).

miewa pańska szanowna małżonka, pani Huston? Czuła się nie najlepiej, kiedy byłem ostatnim razem w Lizbonie...

Wyraz twarzy szefa zaopatrzenia nieco zmiękł.

- O, miewa się całkiem dobrze... dzięki za pamięć, kapitanie! Jest w stanie błogosławionym.

- Najszczęsze gratulacje! - Kapitan Lattimer tak się rozpromienił, jakby to jego własna małżonka miała go obdarzyć synem i spadkobiercą.

- Proszę jej przekazać ode mnie wyrazy najwyższego szacunku.

- Uczynię to z pewnością, dziękuję uprzejmie. A zatem, kapitanie, potrzebne panu trzy czterofuntówki?

- Właśnie! - przytaknął, starając się ukryć wyraz triumfu w zielonych oczach. — Będę panu niewymownie wdzięczny!

Szef zaopatrzenia wpisał coś do rejestru z miną tak zbolałą, jakby utoczył sobie krwi, i wydał kapitanowi bezcenne zezwolenie na pobranie niezbędnego wyposażenia. Hugo przytknął palce do swego kapitańskiego kapelusza obszytego złotym galonem i opuścił nabrzeże zaopatrzeniowe wielce rad z odniesionego sukcesu.

Poranek w Lizbonie był upalny, choć dało się jeszcze wyczuć w powietrzu lekkie tchnienie wiosny, łagodzące iście portugalski skwar, który palił wszystko, nawet nad samym morzem. Port tętnił życiem: feluki, barkasy i łodzie rybackie śmigały pomiędzy bardziej nieruchawymi statkami handlowymi. Na zewnętrznej redzie stały cztery brytyjskie okręty wojenne - trzy statki liniowe oraz pełna wdzięku fregata, zbrojna w trzydzieści sześć dział.

Oczy kapitana Lattimera spoczęły z dumą na wytwornej sylwetce fregaty kołyszącej się na kotwicy. Uniósł do oka lunetę, przyglądając się z lubością jednostce, na której sprawował dowództwo. „Błękitny Piotruś”, na razie zwinięty i uczepiony dziobowej bomstengi, rozwinie się w chwili wypłynięcia fregaty w morze. Na pokładach panował ożywiony ruch. Kapitan skinął głową z satysfakcją. Jutro rano odpłyną stąd, pozostawiając za sobą frustrujące zabiegi dyplomatyczne na nabrzeżu zaopatrzeniowym!

- Bardzo przepraszam, czy mam przyjemność mówić z kapitanem Lattimerem?

- Owszem, to ja.

Kapitan odwrócił się i ujrzał wysokiego mężczyznę, mniej więcej w jego wieku, w mundurze oficera kawalerii.

- Pułkownik St Simon, do usług - przedstawił się Julian. - Admirał Moreton wyjaśnił, gdzie mogę pana znaleźć.

Admirał Moreton, komendant portu, był cholerną zawadą! Zawsze mieszał się w nie swoje sprawy i potrafił udaremnić najstaranniej opracowane plany. Hugo zachował jednak obojętny wyraz twarzy, ściskając dłoń pułkownika.

- Czym mogę służyć?

- Zgodą na moją obecność na pańskim okręcie. - Julian od razu przeszedł do rzeczy. - Słyszałem, że jutro odpływa pan do Portsmouth.

Zgodnie z tradycją jednostki marynarki wojennej zapewniały przewóz ważnym osobistościom z kręgów dyplomatycznych i wojskowych.

- Nie widzę przeszkód - odparł Hugo i uśmiechnął się z ulgą, słysząc tę łatwą do spełnienia prośbę.

Pułkownik St Simon z bardzo niepewną miną podrapał się w głowę i wyjaśnił:

- Niestety, sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, niż pan sądzi, kapitanie. Jeśli zgodzi się pan wypić w moim towarzystwie kieliszek wina, wszystko wyjaśnię!

- Proszę mi powiedzieć - zagadnął pozornie obojętnym tonem Hugo — czy mam w ogóle jakiś wybór, czy też chowa pan w zanadru pisemny rozkaz dla mnie od admirała Moretona?

- Admirał zgodził się spełnić życzenie księcia Wellingtona... - Julian ujął sprawę jak najdelikatniej. Zgodnie z uświęconą tradycją flota zajmowała w hierarchii wojskowej najwyższe miejsce i nawet głównodowodzący sił lądowych wolał raczej prosić o wyświadczenie mu grzeczności, niż domagać się względów od wyższego oficera marynarki.

- Rozumiem... W takim razie chyba lepiej będzie, jeśli pokrzepię się kieliszkiem wina! To powinno złagodzić cios - stwierdził cierpkim tonem Hugo.

- Zatrzymałem się... - Julian odchrząknął. - Zatrzymaliśmy się Pod Różą. Mają tam całkiem niezłe wino.

- Niech będzie Pod Różą!

Nagła zmiana liczby pojedynczej na mnogą nie uszła, oczywiście, uwagi kapitana.

Opuszczali właśnie nabrzeże, gdy jakaś postać w pasiastych spodniach i czerwonej marynarskiej kamizeli omal nie zderzyła się z nimi.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, że znalazłem dwa prosiaki jak się patrzy i trzy mleczne kozy! - uśmiechnął się majtek z dumą.

- Znakomicie, Samuelu. Weź to zezwolenie i odbierzcie trzy czterofuntówki. I tyle amunicji, na ile da się ich naciągnąć!

- Tak jest!

Majtek wziął dokument, obrzucił obojętnym wzrokiem towarzysza swojego kapitana i odszedł kołyszającym się marynarskim krokiem.

- Samuel potrafiłby znaleźć beczkę z pitną wodą na pustyni! - pochwalił go Hugo Lattimer, gdy zanurzyli się w chłodny półmrok gospody Pod Różą. - Nieoceniony człowiek!

- Znam ten typ ludzi! - odparł Julian i wskazał stół pod oknem, po czym ponaglił pomocnika szynkarza: - Butelkę porto, chłopcze!

Kapitan usiadł, rozpościerając szeroko poły ciemnoniebieskiego surduta. Omszała butelka i dwa kieliszki pojawiły się na stole. Nalano im wina.

Lattimer opróżnił duszkiem pierwszy kieliszek, nie czując niemal smaku porto.

- „Pierwszy na chybcika, drugi z rozmysłem” - zacytował bez uśmiechu, ponownie napełniając swój kieliszek. - I niechże się już dowiem najgorszego, pułkownika!

- Czwórka pasażerów, trzy konie i góra bagażu - oświadczył bez ogródek pułkownik St Simon.

- Dobry Boże! - Kapitan Lattimer wytrzeszczył na niego oczy. - Skąd znajdę na to miejsce na mojej fregacie?! „Isabelle” nie jest statkiem liniowym!

Julian uczynił gest wyrażający równocześnie zrozumienie dla kapitana i własną bezsilność.

- Admirał Moreton był zdania...

- Admirał Moreton to nieznośny stary pierdoła, który nie ma pojęcia o dowodzeniu okrętem wojennym! Żeglował za biurkiem, psiakrew, od początku swojej kariery! - penił się Hugo.

Znów napełnił swój kieliszek i wlał do gardła całą jego zawartość.

Julian był przyzwyczajony do tego popijających mężczyzn, toteż bez mrugnięcia okiem nalał znów Lattimerowi do pełna.

- A, tutaj jesteś! Wszędzie cię szukałam. Z pewnością się ucieszysz, że ubędą nam dwie skrzynie! O... bardzo przepraszam! - Tamsyn przerwała nagle swoje wywody i spojrzała pytająco na dżentelmena w ciemnoniebieskim surducie z białymi wyłogami i mankietami.

- To kapitan Lattimer. A szynk nie jest miejscem odpowiednim dla damy.

Julian nie próbował nawet ukryć swego niezadowolenia. Miał nadzieję obgadać wszystko w spokoju z kapitanem, nim wystawi go na działanie niepokojącej osobowości Tamsyn.

- Ale ze mnie żadna dama, jak mi bez końca powtarzasz! - odparowała beztrząsco Tamsyn, stawiając jedną nogę w wysokim bucie na wolnym

krześle i opierając rękę na kolanie. - Dzień dobry, kapitanie! Czy popłyniemy na pańskim statku?

Hugo zamrugał oczami na widok drobnej istotki o żywych fiołkowych oczach i krótkich, lśniących srebrzyście włosach. Miała na sobie amazonkę ze spódnicą nieprzystojnie poddartą do tego stopnia, że widać było znajdujące się pod nią bryczesy.

Nigdy bym się na to nie zgodził, gdybym mógł tego uniknąć, moja panno! - odpowiedział jej w duchu i aż się wzdrygnął na myśl o spustoszeniu, jakiego ta nieprzestrzegająca konwenansów panienka mogła dokonać wśród jego załogi.

- Na litość boską, na tym się nie stawia nóg! - rzucił ostro Julian, odsuwając krzesło. - Siądź na nim, jeśli już musisz!

Tamsyn usiadła tam, gdzie przed chwilą znajdowała się jej stopa, i uśmiechnęła się ujmująco do kapitana.

- Proszę nie zwracać uwagi na pułkownika! Jest dziś po prostu wściekły, pewnie z gorąca. Mam na imię Tamsyn!

Wyciągnęła przyjaźnie rękę do Lattimera.

Zdezorientowany Hugo uściśnął jej dłoń. Tamsyn... i co dalej? Czy ona nie ma nazwiska?

- Bardzo mi miło panią poznać, panno Tamsyn - wymamrotał.

- Obiecuję, że nie będziemy zawadą na pańskim okręcie - ćwierkała beztrąsko. - Josefa i ja możemy spać razem w jakiejś klitce. Jesteśmy przyzwyczajone do niewygód! A z Gabriela z pewnością będzie pan miał pożytek... Nieprawdaż, pułkowniku?

- Niewykluczone! - burknął Julian, mając wrażenie, że zaraz krew go zaleje. - A gdzie on się podziewa?

- Dobija targu z kupcami - odparła. - Już ci mówiłam, że nasz bagaż zmalał o dwie skrzynie. Sprzedaliśmy wszystkie tkaniny i mniejszą szkatułkę klejnotów. Zostało tylko złoto i dwie większe skrzynki z biżuterią. Znajdzie się na to trochę miejsca na pańskim okręcie, kapitanie?

- A niech to wszyscy diabli! - wymamrotał Hugo, dochodząc do wniosku, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. - Pokażcie mi lepiej, ile tego zabieracie ze sobą!

- No to chodźmy na górę! - Tamsyn zerwała się na równe nogi. - Pozna pan przy okazji Josefę, kapitanie: stoi na straży naszych skarbów!

Hugo rzucił spojrzenie pełne rozpaczy na pułkownika, który miał miłą jeszcze bardziej posępna.

- Chciałem pana przygotować do tego powoli i taktownie, kapitanie - powiedział. - Ale nie ma mowy o czymś takim w obecności Violette. Tyle w niej delikatności co w stadzie szarżujących słońi!

- Violette?... - Kapitan Lattimer niczego już nie rozumiał. - Odniosłem wrażenie, że ta panienka ma na imię Tamsyn?

- Istotnie - odparł Julian. - Wyjaśnię panu to wszystko dokładnie! - Zwrócił się do Tamsyn: - Nie przeszkadzaj nam przez pół godziny... Chyba to nie jest zbyt wygórowane żądanie? A kiedy Gabriel wróci, przyślij go do nas!

- Chcesz powiedzieć kapitanowi o wszystkim? Jeśli tak, to powinien przy tym być! - Brwi Tamsyn zeszyły się nad nosem w grymasie oburzenia. - Ostatecznie to mój plan i z pewnością potrafię lepiej wytłumaczyć...

- Nie! - sprzeciwił się kategorycznie Julian. - Sam przekażę wszystkie fakty kapitanowi Lattimerowi. On i ja posługujemy się językiem, o którym ; ty nie masz pojęcia. A teraz zmykaj!

Tamsyn, całkiem zbita z tropu, przygryzła wargę. To było jej przedsięwzięcie! Powinna być obecna przy omawianiu strategii! Nagle przyszło jej do głowy, że choć ta podróż do obcego kraju odbędzie się zgodnie z jej życzeniem, ona samajest od tej chwili gościem floty Jego Królewskiej Mości, (w dodatku eskortowanym przez przedstawiciela królewskich sił lądowych. Nie znała się na takich podróżach, ale najwyraźniej nie miała prawa podejmować żadnych decyzji ani nawet wyrażać swojej opinii. A jaśnie pan pułkownik, lord Julian St Simon, oczywiście nie omieszka dać jej tego do zrozumienia przy każdej okazji, i to publicznie!

Była to wyjątkowo irytująca myśl. Nie wyrzekłszy już ani słowa, Tamsyn odwróciła się i wyszła niepocieszona z szynku.

Julian dostrzegł strapienie dziewczyny i obserwował jej odwrót. Zdumiewające, jak taką zadziorną osobkę można było pognać jedną szorstką uwagą! No cóż... będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Zwrócił się znów do swego wyraźnie zdezorientowanego towarzysza.

- Pozwól, że wszystko ci wyjaśnię, Lattimer!

Tamsyn leżała, wsłuchując się w rytmiczne szuranie piaskowca po podkładzie rufowym - szorowano go zaledwie kilka centymetrów nad jej głową. Było tuż przed świtem, słabe, szarawe światło przesączało się przez niewielkie okienko do kapitańskiej sypialni.

Dziewczyna przeciągnęła się i obróciła na bok. Uwiązane u sufitu łożko kolebało się przy każdym jej ruchu. To huśtanie było ogromnie kojące,

zwłaszcza w połączeniu z kołysaniem się całej fregaty na spokojnych w tej chwili wodach Atlantyku. Josefa, śpiąca na takiej samej koi naprzeciw Tamsyn, pomrukiwała coś, budząc się ze snu.

Spokój wczesnego poranka zakłóciły nagle ostre gwizdki. To bosmani budzili śpiących pod pokładem marynarzy mających objąć następną wachtę. Dudnienie stóp o pokład, gromkie wołanie na zejściówkach: „Wstawać! Wstawać!” i tupot ścigających się nóg brzmiały jak przetaczający się grzmot, kiedy majtkowie pędzili co tchu na pokład ze swoimi zrolowanymi hamakami, które utykali wśród rozwieszonych na burtach sieci abordażowych.

Po trzech dniach spędzonych na morzu Tamsyn przywykła do tego hałaśliwego porannego rytuału. Josefa jednak nadal uskarżała się na tak gwałtowną pobudkę. Usiadła właśnie i chwyciła za drewniane boki swojej koi, chyboczącej się przy każdym jej ruchu.

- *Ay de mil* — westchnęła jak co rano, zastanawiając się, jakby tu wydobyc się z łóżka i zeskoczyć na kołyszącą się także podłogę kajuty.

- *Buenos dias**, Josefa!

Tamsyn siadła wyprostowana. Ruchy jej smukłego ciała nie wprawiały w tak gwałtowne chybotanie podtrzymujących koję lin.

Rozległo się głośne stukanie i głos Samuela zahuczał z drugiej strony dębowych drzwi.

- Gorąca woda, pszepani!

- *Gracias, señor***.

Josefa, osłonięta skromnie szalami, poczępała do drzwi i uchyliła je odrobinę. Ujrzawszy uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Samuela, chwyciła dzbanek i wciągnęła go czym prędzej do kajuty. Nie była amatorką podróży morskich i nie dowierzała marynarzom.

Tamsyn siedziała, obejmując rękami kolana. Lekka zmarszczka na czole sprawiała, że jej delikatnie zarysowane brwi schodziły się nad nosem.

- Dziś poniedziałek... Prawda, Josefo?

- Tak i mnie się widzi - odparła zapytana, wlewając wodę do miednicy.

- Ostatni poniedziałek kwietnia...

Tamsyn poczuła wyraźny niepokój. Zasadzka Cornicheta miała miejsce dwudziestego ósmego marca. Pamiętała, że jej miesięczna słabość właś-

* *Buenos dias* (hiszp.) - Dzień dobry.

** *Gracias señor* (hiszp.) - Dziękuję panu.

nie się skończyła i siedząc skulona, uwiązana za szyję, dziękowała niebiosom przynajmniej za to!

.. Ale w takim razie następna miesięczka powinna się zacząć pięć dni temu! Dotknęła piersi, by sprawdzić, czy są -jak zawsze w takich razach - nadwrażliwe... Nic z tego! Tamte trzy cudowne sam na sam z Julianem były istotnie ryzykowne... Ale za pierwszym razem w zamęcie wydarzeń i najwyższych uniesień ktoś by myślał o konsekwencjach?! A w pozostałych dwóch wypadkach nie chciała psuć ich nastroju i spontanicznego charakteru rozważaniem tak prozaicznych spraw jak zabezpieczenie. Nigdy przedtem rozmowa na równie praktyczne tematy nie była dla niej problemem. .. ale lord St Simon to nie pierwszy lepszy kochaś!

Zdołała niemal przekonać samą siebie, że wszystkie trzy spotkania nie groziły żadnymi konsekwencjami, gdyż nie wypadały w samym środku miesięcznego cyklu. Co prawda, ta ludowa mądrość nie całkiem trafiała Tamsyn do przekonania, ale wolała w nią wierzyć.

- Niech to szlag! - mruknęła teraz pod nosem.

Z ponurą miną zeskoczyła z koi i pobiegła do rufowej galerii tuż za sypialnią kapitana. Miała nadzieję, że po wizycie w toalecie przekona się, iż jej obawy były bezpodstawne.

Nadzieja jednak okazała się zawodna, czego się Tamsyn w gruncie rzeczy spodziewała. Wróciła więc do kajuty i ściągnęła przez głowę nocną koszulę. Może dzisiaj zacznie krwawić? Nie zawsze miesięczkowała regularnie, jak w zegarku, a pięć dni opóźnienia to nie tak znów wiele! Energetycznie obmyła całe ciało gąbką, jakby chciała je skłonić do prawidłowego funkcjonowania, po czym włożyła skórzane bryczesy i amazonkę. Zapewniało jej to stosunkowo swobodne ruchy, a zarazem nie było odstępstwem od surowych reguł co do stroju narzuconych jej przez pułkownika.

Słyszała przez ścianę, jak kapitan Lattimer rozmawia z St Simonem w sąsiedniej kajucie. Była to druga kajuta kapitańska, przeznaczona do pracy za dnia. Lattimer odstąpił swą sypialnię obu kobietom, a w tej drugiej kajucie kazał rozwiesić dwa hamaki i dzielił ją z pułkownikiem. Gabriel ze spokojem rozwiesił swój hamak w mesie dla podoficerów, a większość czasu spędzał z ogniomistrzem i Samuelem, z którymi od razu znalazł wspólny język.

Smakowite zapachy zwabiły Tamsyn do pokoju dziennego kapitana. Kajuta była wypełniona porannym światłem, które wpadało przez nachylone do wewnątrz okna na rufie. Na zarzuconych poduszkami skrzyniach, stojących pod nimi, wygodnie się siedziało, a do okrytych boazerią ścian przymocowano półki z książkami. Kapitan i pułkownik siedzieli przy suto

zastawionym stole pośrodku pokoju. Gdyby nie dwa działa, umieszczone w pobliżu wychodzących na rufę okien, można by pomyśleć, że to miłe śniadanko w jakimś wiejskim dworku.

- Dzień dobry, panno Tamsyn! - powitał ją kapitan Lattimer i wskazał jej miejsce przy stole. Miał w ręku szklanicę grogu i zamierzał właśnie rozprawić się z baranym kotлетem i sadzonymi jajkami.

Pułkownik podniósł wzrok znad talerza i skinał jej głową. Było to zdawkowe powitanie, odpowiednie dla niezbyt bliskich i niezbyt lubianych znajomych.

Po chwili odsunął krzesło i wstał.

- Państwo wybaczą, przejdę się po pokładzie.

Tamsyn nachmurzyła się. Julian zawsze znajdował sobie jakąś wymówkę, żeby wyjść, kiedy tylko się pojawiła! Z wyjątkiem obiadu, który jedli oboje z kapitanem. A i wówczas ledwo się do niej odzywał. Siadła przy stole i Samuel postawił przed nią jajka na miękko.

- Zaraz zaniosę tacę paninej służącej, panienko, jeśli jest już gotowa!

- Dziękuję ci, Samuelu!

Tamsyn uśmiechnęła się do niego. Josefa uparła się, że będzie jeść osobno, w ich wspólnej sypialni. Gabriel jadał z bosmanami w mesie.

- Kiedy będziemy przepływać przez Zatokę Biskajską, kapitanie?

Odcięła wierzch jajka i ku rozbawieniu Lattimera zanurzyła kawałek grzanki w żółtku.

- Dziś wieczorem, jeśli szczęście nam dopisze. Jak się czujesz na wzburzonym morzu, panienko?

- Nie mam pojęcia! - odparła Tamsyn, maczając w jajku następny kawałek grzanki. - Nigdy przedtem nie pływałam po morzu, ale do słabowitych nie należę.

- To widać! - uśmiechnął się szeroko Hugo.

St Simon opowiedział mu pokrótce, kim byli rodzice dziewczyny, a Lattimer dośpiewał sobie resztę. Wiedział również, że pułkownik odwozi ją do krewnych matki mieszkających w Kornwalii. Hugo czuł jednak, że kryje się za tym coś więcej. Pułkownik najwyraźniej nie był rad, że obarczono go tą misją, a kapitan podejrzewał, że napięcie pomiędzy St Simonem a jego podopieczną ma jakieś głębsze przyczyny.

- No cóż... jeśli się Biskaje rozszaleją, przekonamy się, jaki z ciebie marynarz, panno Tamsyn! - powiedział teraz Lattimer pogodnym tonem, wstając od stołu. - Zatoka przeważnie jest niespokojna, nawet jeśli nie szaleje sztorm.

- W każdym razie wiem już, czego się spodziewać, kapitanie!

Uśmiechnęła się i z prawdziwą przyjemnością wypijała kawę. Podczas ciąży czuło się podobno wstręt do jedzenia... zwłaszcza rano. Na razie była głodna jak zawsze.

Kapitan udał się na pokład rufowy, a Tamsyn kończyła śniadanie, podczas gdy Samuel uprzątał wszystko wokół niej.

- Wiesz, gdzie się tego ranka podziewa Gabriel, Samuelu?

- Ani chybi, pilnuje swego skarbu - stwierdził Samuel, zgarniając okruchy na dłoń. - Nie lubi spuszczać go z oczu, choć skarb leży porządnie schowany w ładowni!

- Pewnie się boi, że ktoś mógłby zwędzić dukata! - odparła Tamsyn ze śmiechem, chociaż wiedziała, że Gabriel naprawdę się tego obawia.

- Nie na tym statku! - stwierdził kategorycznie Samuel. - Największy dureń wie, że nasz kapitan kazałby takiego ukarać matom, a ci się nie pacyczkują! Cholernie twardej, bardziej niż kapitan!

Tamsyn doszła już do wniosku, że życie na okręcie wojennym Jego Królewskiej Mości nie należało do najłatwiejszych, toteż skinęła głową ze zrozumieniem, wypijała resztę kawy i przeszła na pokład rufowy.

Już podczas pierwszej godziny, którą tam spędziła, zorientowała się, że prawa strona tego pokładu to ziemia święta, absolutna własność kapitana i można tam było wkroczyć wyłącznie na jego zaproszenie. Lord St Simon jednak miał tam zawsze wolny wstęp. W to spokojne przedpołudnie obaj mężczyźni rozmawiali przy relingu sterburty. Stojący na warcie majątek co pół godziny odwracał klepsydrę, potem zaś wydzwaniał „trzy szklanki” na znak, że minęło już półtorej godziny wachty. Gdy rozległ się przenikliwy gwizdek bosmana, trzech podchorążych zaczęło się wspinać po takielunku, przeskakując z wanty na wantę i ścigając się po wyblinkach na sam szczyt masztu, jakieś trzydzieści metrów nad pokładem.

Tamsyn spoglądała na nich z zazdrością. Ależ niesamowity musiał być stamtąd widok! A wspinanie się po wyblinkach nie wydawało się specjalnie trudne. Gdyby pozbyła się spódnicy...

- Nawet o tym nie myśl!

Odwróciła się zaskoczona. Julian spoglądał na nią spod ciężkich powiek przenikliwie i - o dziwo - z rozbawieniem. Nie po raz pierwszy odgadł jej myśli.

- Skąd wiesz, co mi chodziło po głowie?

Uśmiechnął się leniwie.

- Wierz mijaskierku, czytam w tobie jak w otwartej książce!

- Nie mów do mnie „jaskierku”! - burknęła z irytacją.

Julian roześmiał się. Piękno tego poranka osłabiło na chwilę jego gorczy. Nie usiłował dociec, czy urok Tamsyn w jakimś stopniu wzmagają jeszcze wspaniałość tego dnia i zwiększa jego dobre samopoczucie.

- Trudno cię nie porównać do tego kwiatka, kiedy słońce tak lśni na twoich włosach.

Przesunął po nich lekko dłonią.

Tamsyn zdumiała się - gdzie się podziała cała jego sztywność?! Oparty o relingz lewej strony, obok niej, spoglądał na morze; wydawał się spokojny i przyjazny. Tamsyn nadal przyglądała się młodym chłopcom, przeskakującym jak małpki z wanty na wantę, ale myślała o swoim cieple, które wymknęło się spod kontroli. Nie czuła się inaczej niż zwykle, ale to o niczym nie świadczyło. Co robi, na litość boską, jeśli naprawdę zaszała w ciążę?!

Julian zerknął na nią z ukosa i wyczuł jej napięcie.

- Co cię trapi?

Mówił sobie, że nic go to nie obchodzi, a jednak zadał jej to pytanie.

Tamsyn spojrzała mu przelotnie w oczy i znowu się odwróciła, by obserwować podniebną gonitwę.

- Jestem zmęczona tą bezczynnością. Chciałabym zająć się czymś sensownym!

To kłamstwo trafiło mu do przekonania, jak przewidywała. Było w nim zresztą trochę prawdy.

- Tylko spróbuj się tam wdrapać, moja droga, a z naszej umowy nici. Raz na zawsze! Zrozumiano?

- Wyrażasz się jak zawsze, niezwykle jasno - odparła, zadowolona tym razem ze sprzeczki.

- Staram się, jak mogę - odpowiedział kwaśno.

Miał już wrócić do kapitana, gdy usłyszeli ze szczytu masztu głos:

- Żagiel przed nami! Trzy rumby od sterburty!

Hugo podniósł lunetę do oka i spojrzał na spokojny przestwór oceanu. Po chwili dostrzegł punkcik na horyzoncie.

- Wyślij oficera sygnałowego na maszt gwiazdny, panie Connaught.
- Głos kapitana był spokojny, bez śladu podniecenia, które go ogarnęło.
- Chcę wiedzieć, co to za jednostka.

- Tak jest!

Podniecenie dało się wyraźnie odczuć na całym okręcie. Nie wyrażało się jednak w nagłych okrzykach czy gwałtownych ruchach, lecz w pełnym napięcia milczeniu. Znajdujący się na pokładzie marynarze odruchowo przesunęli się w stronę burt, bosmani stali z gwizdkami w pogotowiu.

Wszystkie oczy były skierowane na horyzont, wszystkie uszy wyciążone w oczekiwaniu na chwilę, gdy podchorąży zidentyfikuje flagę statku.

Rozległ się głos młodego chłopca, drżący z podniecenia:

- Płynię pod francuską banderą! Założę się, że pod francuską!

- Nie życzę sobie żadnych zakładów, panie Grantly, tylko rzetelnych faktów. - Głos kapitana ciał jak diament. - Rozwinąć żagle, panie Connaught. Może to pomoże temu młodzieńcowi odpowiedzieć na pytanie.

Rozległy się przeraźliwe gwizdki bosmanów i wszystko potoczyło się z niesłychaną szybkością. Tamsyn spoglądała jak zafascynowana na marynarzy, od których zaroilo się na wantach. Żagle rozwijały się jeden po drugim i wydymały na wietrze, aż wreszcie „Isabelle” pomknęła jak wichur.

- Miałem rację! To francuska flaga! - wrzasnął młodzieniec ze szczytu masztu, tak podekscytowany, że omal nie spadł ze swej wysokiej grzędę.

- Doskonale. Wywiesić amerykańską flagę, panie Connaught. Zmylimy ich trochę. - Kapitan odwrócił się do Juliana, który stał w milczeniu u jego boku. - Masz ochotę przyjrzeć się bitwie morskiej, St Simon?

Uśmiech Juliana wystarczył za odpowiedź. Pułkownik przyglądał się, jak flagę brytyjską zastąpiono amerykańską. Był to dozwolony i często stosowany wybieg. Jedynie z flagą alarmową nie wolno było wyczyniać podobnych sztuczek. W ostatniej chwili Anglicy rozwina znów swój sztandar - jako wyzwanie do bitwy.

- Sygnał dla całej załogi, panie Harris.

Rozległ się gwizdek bosmana i zagrzmiała komenda:

- Wszyscy na pokład!

Tamsyn czuła, że krew zaczyna w niej szybciej krążyć z podniecenia, gdy śpiący pod pokładem zbiegli się z tupotem na pokład, przecierając zaspane oczy. Ta chmara ludzi - zbyt wielu, mogłoby się wydawać, na tak małą przestrzeń - wtargnęła jak fala przyprływu w pozornym beładzie. Wkrótce jednak stało się jasne, że każdy zajmuje z góry ustalone miejsce. A potem ogromna cisza spowiła okręt. Słychać było tylko skrzywienie takielunku, gdy „Isabelle” mknęła po wodzie.

U boku Tamsyn pojawił się Gabriel z pochmurną miną.

- Te żabojady raz tylko rzucą okiem na nasz skarb, dziewczusko, i możemy się z nim pożegnać!

- Najpierw musieliby zwyciężyć, Gabrielu... a wątpię, czy kapitan Lattimer zamierza przegrać tę bitwę! - odparła Tamsyn, nie mogąc już powstrzymać podniecenia.

Gabriel coś odburknął i wyciągnął swój rapier. Przyjrzał mu się pod światło, splunął na ostrze i przetarł je starannie chustką, po czym znów schował broń do pochwy.

- Przygotować się do ataku, panie Connaught. - Głos kapitana Lattimera był spokojny i opanowany jak zawsze, ale w jego zielonych oczach pojawił się błysk podniecenia, taki sam, jak w niebieskich oczach pułkownika.

- Trzymajcie na razie marynarzy pod pokładem. Ich czerwone kamizelki mogłyby wpaść w oko żabojadom!

Obejrzał się przy tym na pułkownika, który uśmiechając się szeroko, ściągnął z siebie szkarłatną mundurową kurtkę.

Pokłady były starannie wyszorowane i grubo posypane piaskiem. W ciszy z furt wynurzyły się działa. Zgromadzono obok nich kule armatnie, złączone łańcuchem półkule do podcinania masztów oraz kartacze. Sześciu kanonierów stanęło przy każdym z dział. Chirurg i jego pomocnicy zeszli do kokpitu, rozkładając swe instrumenty na skrzyniach podchorążych, które miały posłużyć za prowizoryczny stół operacyjny.

- Ta dziewczuszka niech lepiej zejdzie pod pokład - powiedział do pułkownika Hugo, wskazując na Tamsyn, która nadal stała jak urzeczona przy relingu z lewej strony.

- Wydawanie rozkazów to pańska domena, kapitanie - odparł Julian z kwaśnym uśmiechem. - Ale z niej doświadczony wojownik! Nie tak łatwo będzie się jej pozbyć.

Hugo zmarszczył brwi, spoglądając na dziewczynę stojącą przy przeciwległej burcie pewnie i swobodnie, z wysoko podniesioną głową. Wiatr rozwiewał jej krótkie włosy, energia emanowała z całej postaci.

Tamsyn poczuła na sobie wzrok kapitana i śmiało podeszła do niego.

- Chciał pan ze mną mówić, kapitanie?

- Zastanawiam się, czy nie odesłać pani na dół. Pokład fregaty w ogniu bitwy to nie miejsce dla młodej dziewczyny.

- Może i nie. - Odwzajemniła jego spojrzenie ze spokojem, wiedząc, że słowo kapitana jest prawem na jego okręcie. Gdyby kazał jej zejść pod pokład, musiałyby się temu podporządkować. Przynajmniej z początku. Kiedy zacznie się bitwa, będzie mogła tu wrócić; nikt jej nie zauważy!

- Wątpię jednak, czy wytrzymałabyś tam, panienko! - powiedział Latimer i roześmiał się na widok zaskoczenia w jej oczach. - O tym właśnie myślałaś, co?

- Tak jest - przyznała z zalem.

- Pewnie mógłbym cię gdzieś zamknąć... - rozważał na głos kapitan.
- Co ty na to, pułkowniku?

- Ty tu rządzisz, kapitanie - odparł oficjalnym tonem Julian. - Nigdy bym sobie nie pozwolił na wyrażenie własnej opinii.

Tamsyn miała wrażenie... była niemal pewna, że ci dwaj kpią sobie z niej, choć mieli takie poważne miny!

- Niech będzie jak chcesz, panienko - zdecydował wreszcie kapitan Lattimer. - Ale jeśli wejdiesz nam w drogę, każę pierwszemu lepszemu majtkowi znieść cię pod pokład!

- O to się pan kapitan może nie obawiać! - odparła Tamsyn z taką godnością, na jaką mogła się zdobyć, i wróciła na swoje stanowisko.

Francuski statek rósł na horyzoncie i widać już było, że to fregata z osprzętem rejoywym. Flugo wiedział, że Francuzi równie uważnie przyglądają się „Isabelle”. Widzieli amerykańską flagę, co ich z początku zmyliło. Ameryka była o krok od wojny z Anglią, nie okazywała natomiast żadnej wrogości Francji. Dostrzegli jednak również, że okręt przygotowany jest do walki. Pewnie ich to zdziwiło, ale kiedy się połapią, jak jest naprawdę? Czy „Isabelle” zdąży zbliżyć się do nich wystarczająco, by oddać salwę burtową ze wszystkich dział?

Oba okręty dzieliła odległość mniej więcej mili morskiej.

- Sześć rumbów w prawo, panie Harris - polecił sternikowi kapitan.

Jego głos zagrzmiał w ciszy pełnej oczekiwania. „Isabelle” zwróciła się powoli w prawo, sterburtą do francuskiej fregaty.

I wówczas Francuzi wreszcie zrozumieli! Na pokładach zapanował ożywiony ruch. Pospiesznie przygotowywano okręt do walki. W furtach armatnich pojawiły się tępe nosy dział.

- W porządku, panie Connaught - powiedział cicho Hugo.

Angielska flaga została rozwinięta na maszcie „Isabelle”.

- Ognia, panie Connaught!

13

Wszystkie działa na sterburcie „Isabelle” wystrzeliły z hukiem przekraczającym wszelkie wyobrażenia Tamsyn. Salwa burtowa ostrzelała francuski okręt na całej długości. Gdy tylko dym się rozwiął, można było zobaczyć smętnie zwisający takielunek i wielką dziurę w kadłubie nieco powyżej

linii zanurzenia. Dzikie wrzaski napełniły powietrze, potem zaś rozległ się następny potężny huk, gdy Francuzi odwzajemnili się salwą ze wszystkich dział. Tamsyn spojrzała z przestachem na śródkręcie, gdzie eksplodował pocisk armatni, obsypując znajdujących się w pobliżu kanonierów śmierdonośnymi odłamkami. Zbiegła wówczas w dół schodni, by pozbyć się spódnicy.

Oficerowie pełniący służbę przy działach wydawali gromkie rozkazy kanonierom, usiłując przekrzywić wrzaski rannych. „Isabelle” wystrzeliła raz jeszcze ze sterburty, po czym obróciła się majestatycznie, by można było strzelać z lewej burty, podczas gdy działa z prawej pospiesznie ładowano na nowo.

Obok Tamsyn przemknął chłopak zwany prochową małpką, z naręczem ładunków prochu przechowywanych w specjalnych schowkach, z dala od dział. Przelatujący odłamek uwiązał w policzku małego pomocnika. Upuścił swe niebezpieczne brzemię na pokład. Bosman mat podbiegł do niego z wrzaskiem, wywijając liną. Chłopak leżał, płacząc, zwinęty w kłębek na pokładzie. Z jego oka płynęła krew. Tamsyn schyliła się, chwyciła ładunki prochowe i podbiegłszy do najbliższego działą, podała je kanonierowi o twarzy czarnej od dymu. Odpowiedzialny za obsługę działą oficer obrzucił dziewczynę zdumionym spojrzeniem, wkrótce jednak zapomniał o niezwykłym pomocniku; wydał rozkaz nachylenia działą, by można było strzelać z niego połączonymi łańcuchem półkulami, niszczącymi osprzęt wroga.

Hałas stał się tak ogłuszający, że w porównaniu z nim najstraszliwsze wrzaski przypominały szept. W pewnej chwili jeden z marynarzy stanął obok Tamsyn - a w następnej wiał się u jej stóp ze zmiażdżonymi obiema nogami.

Uklękła obok niego. Nie mogła go pozostawić samego w tak przeraźliwej męce, była jednak kompletnie bezradna... Ktoś nagle polecił jej szorstkim tonem:

- Do diaska! Skocz wreszcie po ładunki do szóstego działą!

Wstała więc i pobiegła, starając się nie czuć mdlącego odoru płonącej smoły dolatującego z kokpitu. Chirurg amputował tam kończyny z szybkością bieglego rzeźnika i kauteryzował każdy kikut wrzącą smołą, nim przeszedł do następnej ofiary.

Podając ładunek prochowy, poślizgnęła w kałuży krwi i uchwyciła się instynktownie stojącego obok oficera. Spojrzał na nią i rzucił rozkazująco:

- Piasek!

Zrozumiała, o co mu chodzi, i podbiegła do stojącej w kącie beczki. Rozrzuciła piach po pokładzie pełnymi garściami, by krew weń wsiąkła. Raz po raz odzywały się działa, a Tamsyn podskakiwała, czołała się i obracała w biegu. Ilekroć mogła zerknąć na francuski okręt, widziała coraz więcej strzaskanych masztów i zerwanego osprzętu... a jednak walka nie ustawała, a francuskie armaty niosły śmierć i straszliwe obrażenia załodze „Isabelle”.

Hugo Lattimer zdawał się nie dostrzegać przerażającego chaosu na śródokręciu.

- Panie Connaught, sieci abordażowe.

Spojrzał na pułkownika, który razem z marynarzami podchodził do burty. St Simon uzbroił się w muszkiet i strzelał do francuskich marynarzy na rejach. Ogromny Gabriel stał u jego boku.

- Chciałbyś spróbować abordażu, pułkowniku?

Julian spojrzał na sieci huśtające się między nieprzyjacielskimi okrętami i z rozmachem wyciągnął szablę.

- Z przyjemnością, kapitanie!

Zeskoczył na pokład rufowy; Gabriel za nim. W zamęcie bitwy pułkownik zapomniał o Tamsyn. Teraz niespokojnie rozejrzał się po zalanym krwią pokładzie.

- Mnie szukasz? - rozległ się z tyłu za nim zasapany głos Tamsyn.

Odwrócił się raptownie i popatrzył na nią. Jej ubranie było pokrzwawione, twarz usmolona. Tylko oczy - wielkie i fiołkowe - widoczne były spod tego brudu, a zęby zaskakiwały bielą, gdy uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Przestali strzelać z działa, więc nie jestem im już potrzebna!

- Coś ty tu robiła, na litość boską?! - zdumiał się.

- Podawałam kanonierom ładunki prochu - odparła rzeczowym tonem. - A ty myślałeś, że co?

Julian pokręcił głową.

- Sam nie wiem, co myślałem. Ale powinienem to przewidzieć, że będziesz się znajdować w samym środku wydarzeń!

Oczywiście, że Tamsyn była tam, gdzie najbardziej jej potrzebowano! Nie pomyślała ani przez chwilę o własnym bezpieczeństwie. Poczuli nagłe pragnienie odgarnięcia jej z czoła zmierzwionych włosów, starcia z jej policzka strużki nie wiadomo czyjej krwi... Podzielenia się z nią radosną świadomością, że oboje dzielnie walczyli...

- Chirurgowi przydałaby się pomoc - zwięzły rozkaz kapitana Lattimera rozłądował powstałe między nimi napięcie.

Julian cofnął się znad niebezpiecznej przepaści.

Zdaniem kapitana jego pasażerka zachowywała się jak członek załogi i tak też należało ją traktować.

Wydobył swój kord.

- Idziemy, panowie!

Tamsyn spoglądała z zazdrością, jak zbrojny oddział abordażowy przedostaje się na nieprzyjacielski okręt po chybotliwym moście z sieci. Walka wręcz była dla dziewczyny czymś znacznie bardziej zrozumiałym niż masowa rzeź przy ostrzale armatnim. Brrr! Nie była to, co prawda, zagłada na taką skalę jak podczas szturmu na Badajos, ale i tak coś makabrycznego!

Teraz, gdy ucihły śmiertcionośne strzały, pozostało mnóstwo pracy przy rannych. Tamsyn bez wahania skierowała się w stronę śródokręcia.

Julian jednym skokiem znalazł się na pokładzie „Delphine”. Marynarze z „Isabelle” walczyli zażarcie z Francuzami. Widział, że Hugo Lattimer kosi nieprzyjaciół jak zboże, przedzierając się na pokład rufowy, na którym znajdowali się francuscy oficerowie.

Chyba anioł stróż ostrzegł angielskiego pułkownika, by odwrócić się błyskawicznie, gdy jakiś rozjuszony Francuz rzucił się na niego z forkaasz-telu. Julian sparował uderzenie, ale przeciwnik był doświadczonym szermierzem; St Simon poczuł równocześnie radosne podniecenie i niepokój na myśl o czekającym go pojedynku.

Gabriel tymczasem walczył z całą bandą marynarzy uzbrojonych w noże i odłamki masztu oraz rej. Wielki rapier połykiwał w słońcu, gdy Szkot ciął i rąbał, wydając swój przeraźliwy okrzyk bojowy. Zapędził wreszcie przeciwników w kąt pokładu, gdzie porzucili swój oręż i poddali mu się, wnioskując roztropnie, że bitwa i tak jest już przegrana i nie ma sensu narażać się na dalsze rany.

Ukończywszy chlubnie swoje dzieło, Gabriel rozejrzał się dokoła i zobaczył, że pułkownik nadal walczy z francuskim porucznikiem. Julian miał niełatwe zadanie, ale zaciął usta z determinacją i nie dawał za wygraną. Wkrótce potem Francuz poślizgnął się w kałużę krwi i upadł na jedno kolano.

Julian zniżył broń i cofnął się, umożliwiając przeciwnikowi powstanie z kłęczek. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie, po czym porucznik wrzucił ramionami i z lekkim ukłonem podał swą broń, rękojeścią do przodu, angielskiemu pułkownikowi.

Zgodnie z obowiązującym rytuałem, Julian dotknął jego szpady i uprzejmym gestem zezwolił, by przeciwnik ją zatrzymał. Francuz znowu się skłonił i schował broń do pochwy, a następnie obaj rozejrzeli się dokoła - już nie wrogowie, lecz po prostu znużeni walką wojownicy.

Na pokładzie rufowym Hugo Lattimer przyjmował kapitulację kapitana „Delphine” z podobną kurtuazją, nalegając, by Francuz zachował swój oręż. Nie należy poniżać przeciwnika, który dzielnie walczył. A przy tym nigdy nie można być pewnym, czy - przy zmiennych kolejach wojny - sytuacja się kiedyś nie odwróci.

Julian udał się na pokład rufowy. Hugo powitał go znużonym uśmiechem.

- Pułkownik St Simon, czy mogę panu przedstawić monsieur le *capitaine* Delors?

Uścisnęli sobie ręce, a francuski kapitan zaprezentował Anglikom swych pozostałych oficerów. Zachowywali się tak dwornie i przyjaźnie, jakby niedawna straszliwa rzeź w ogóle nie miała miejsca i wszystko było w najlepszym porządku.

- Umieszczę na tej fregacie załogę pod dowództwem Willa Connaughta - oświadczył Hugo. - I rannych, oczywiście. To i owo trzeba będzie naprawić i Will wróci do Lizbony z naszą zdobyczą.

Hugo nie potrafił ukryć satysfakcji, gdy rozglądał się po „Delphine”. Fregata stanowiła cenną zdobycz. Powinna mu przynieść sporo tak potrzebnego grosza! Cała załoga będzie miała swój udział w zyskach, co powinno gwarantować doskonały nastrój na okręcie przez resztę podróży.

Julian pozostawił na „Delphine” kapitana wydającego dyspozycje i powrócił na „Isabelle”, huśtając się na sieci abordażowej.

- Ten kapitan Lattimer wie, co robi! - orzekł Gabriel, wylądowawszy na pokładzie obok pułkownika. - Ale gdzie jest mała?

- Z pewnością w samym centrum wydarzeń!

Dotarli do śródokręcia, gdzie - Bóg wie, jakim cudem - z chaosu zaczął wyłaniać się porządek. Tamsyn klęczała obok rannego majtka oczekującego na swoją kolejkę do chirurga. Skoro tylko Julian i Gabriel zbliżyli się do niej, podniosła na nich wzrok.

- Już po wszystkim?

- Na to wygląda. - Julian przyjrzał się bacznie jej usmolonej twarzy.
- Nic ci się nie stało?

- Nic. - Wstała z klęczek i przeciągnęła się ze znużeniem. - Sama nie wiem, jakim cudem! I w ogóle - jak ktokolwiek mógł ocaleć w tym

piekle?! To było okropne... Gorsze od wszystkich walk, w jakich brałam; udział!

Julian nic nie odpowiedział. Nie ulegało wątpliwości, że mówiła szczerze, ale oboje byli żołnierzami i okropności wojny stanowiły nieodłączną część ich życia.

- Josefa pomaga chirurgowi - powiadomiła Gabriela Tamsyn. — A on powiada, że jest o wiele zręczniejsza od jego pomocników!

Odwróciła się raptownie, noga jej się zaplątała w liny i runęła jak długa na pokład.

Musi być kompletnie wyczerpana! - pomyślał Julian i wyciągnął rękę, by pomóc dziewczynie wstać. Kiedy nie uchwyciła się tej podpory, pochylił się i postawił Tamsyn na nogi. Starając się ukryć swe zaniepokojenie, stwierdził wesołym tonem:

- Jesteś całkiem wykończona, moja panno!

Zdawało się, że Tamsyn go nie słyszy. Wpatrywała się w swoją nogę. Jakiś ostry odłamek przeciął zniszczone bryczesy i utkwiał w udzie. Krew pocięła z rany.

- Spójrz... to krwawi!...

Podniosła na Juliana oczy pełne przerażenia. Jej twarz zbladła raptownie pod warstwą sadzy.

- Trzymaj ją, pułkowniku!

Ostra, nagląca komenda padła z ust stojącego za nim Gabriela.

Tamsyn zachwiała się, kolana się pod nią ugięły. Julian pochwycił ją w samą porę, nim uderzyła o pokład.

- Co, u diabła?! - Spojrzał na zemdloną dziewczynę w swoich ramionach, potem zwrócił zdumione spojrzenie na Gabriela. - Odłamek wbił się jej w nogę, ale to przecież nic poważnego!

- To na widok krwi - odparł rzeczowym tonem Gabriel. - Zawsze tak na nią działa.

- Przecież cała jest pokrwawiona! - zauważył z niedowierzaniem Julian.

- Ajakże! Ale to nie jej krew-wyjaśnił Gabriel. - Od małego nie mogła znieść najmniejszego skaleczenia. Mdlało dziecko i już. El Baron starał się ją od tego odzwyczaić, ale i on dał za wygraną.

- Dobry Boże!-wymamrotał Julian.

Cóż za absurd! Dziewczyna jeździła konno jak szatan, walczyła jak lew, kpiła sobie z wszelkich trudów... aż tu nagle mdleje z powodu takiej-

go draśnięcia! Pomyślał o nożu Cornicheta i pojął, jak musiała ją przerażać sama myśl o ranach na całym ciele...

- Najlepiej usunąć od razu ten odłamek - powiedział - nim rana znacznie jeszcze bardziej krwawić!

- Pójdę po Josefę.

Julian zaniósł Tamsyn do kapitańskiej kajuty. Powieki dziewczyny za-trzepotały, gdy kładł ją na jednej z zarzuconych poduszkami skrzyń.

- Co się stało?... O Boże, moja noga! Coś się w nią wbiło!

W jej głosie brzmiało przerażenie.

- Zaraz to wyjmemy - odparł ze spokojem. - Widocznie, gdy się potknęłaś, upadłaś na ten odłamek.

- Ale on tkwi w ranie! Cała krew ze mnie wypłynie!

- Nie gadaj głupstw, Tamsyn! - Jej obawy były po prostu śmieszne, ale lęk z pewnością szczerzy. Julian wyjął sztylet z za pasa i wyciął dziurę w skórzanym bryczesach, by odsłonić ranę. - Nie przyglądaj się temu! - polecił, kiedy jęknęła rozpaczliwie na widok płynącej obficie krwi.

- Słyszałem, że ktoś tu potrzebuje mojej pomocy! - Głos chirurga brzmiał zdumiewająco pogodnie, gdy w swym poplamionym krwią fartuchu wkraczał do kapitańskiej kajuty w towarzystwie Josefy i Gabriela.

- O, naprawdę paskudna drzazga - mówił dalej niefrasobliwym tonem.

- Zaraz ją wyjmemy!

- Nie! - wykrztusiła Tamsyn. - Sama to zrobię!

Usiłowała podnieść się i sięgnąć do swego uda.

- Uspokój się, nie bądź głupia! - Julian usiadł z tyłu za nią, oparł jej głowę na swoich kolanach i objął dziewczynę ramieniem. - Leż spokojnie. Zaraz będzie po wszystkim.

Josefa krzątała się wokół Tamsyn, rozcierając jej ręce i przemawiając do niej pieszczotliwie; chirurg tymczasem zręcznie usunął odłamek. Krew popłynęła żywszym strumieniem. Tamsyn jęknęła i znowu straciła przytomność.

- Dobry Boże, co tu się dzieje?!

Kapitan Lattimer wkroczył do swej kajuty i stwierdził, że pełno w niej ludzi, którzy w zwykłych okolicznościach nie mieliby wstępu do jego prywatnych apartamentów.

- Mamy niewielki kłopot - wyjaśnił z lekkim rozbawieniem Julian. Pokręcił głową, jakby nadal nie mógł w to uwierzyć. W dalszym ciągu obejmował Tamsyn. - Ta niemądra dziewczyna zachowuje się jak przeczulona panienczka, ponieważ niewielki odłamek wbił się jej w nogę.

- Dobry Boże! - powtórzył Hugo. - Po tym wszystkim, czego dokazywała podczas bitwy?! Zdaniem porucznika Godfrey'a była nieustraszona!

- Ludzie to dziiii.. wne stwory - stwierdził Samuel, podając chirurgowi miskę gorącej wody. - Zaraz przyniosę bandaż!

Gdy doktor przemywał ranę, Tamsyn odzyskała przytomność. Spojrzała Julianowi prosto w twarz.

- Już nie płynie?

Jej twarz była śmiertelnie blada. Malowały się na niej lęk i bezradność zatrwożonego dziecka. Cały hart Tamsyn, cała jej siła gdzieś zniknęły, kiedy szukała u Juliana uspokojenia i pociechy z ufnością, której nie mógłby zawieść.

Uśmiechnął się do niej i odgarnął jej włosy z czoła, co od dawna pragnął uczynić.

- Już prawie nie krwawi. Doktor zaraz zabandażuje ranę, a za dzień czy dwa nawet śladu nie będzie!

- To nie była głęboka rana, panno Tamsyn - zapewniał chirurg. - Można się nie obawiać infekcji. - Obandażował udo dziewczyny, która leżała bez ruchu. Powoli na jej twarz wracały rumieńce. - Ale pewnie będzie trochę boleć. Może kilka kropel laudanum?

- Bólu się nie boję - odparła Tamsyn. - Nie znoszę tylko, kiedy krwawi!

- Krwawienie wkrótce powinno ustać. - Chirurg otrzepał ręce i wstał. - Radziłbym nie biegać za dużo przez dzień czy dwa. Niech się rana zasklepi!

- Bardzo przepraszam... - powiedziała cichutko Tamsyn. - Idiotycznie się zachowałam, prawda?

Zwróciła się z tym pytaniem do Juliana. Wyczytał bez trudu w jej oczach zażenowanie i niepokój.

Gdyby chciał się na niej zemścić, miałby teraz doskonałą okazję. Nie skorzystał z niej jednak. Tamsyn obdarzyła go zaufaniem z taką samą prostotą, z jaką proponowała mu swoje ciało i zapraszała do udziału w grze miłosnej.

- Powiedzmy, że dość nieoczekiwanie. - Przyciągnął ją do siebie na kolana. Siedziała teraz oparta o jego pierś. - Ale każdy ma swoje słabostki!

- Czuję się jakoś dziwnie - wyznała Tamsyn, tuląc się do niego z całą naturalnością. - Taka jestem słaba i roztrzęsiona...

- Jak nic, przydałaby się panience kąpiel - zawyrokował Samuel. — I gorące mleko z rumem!

- Postaraj się więc o gorącą wodę, Samuelu - polecił mu Hugo. - Przynieś ją tutaj, będzie więcej miejsca. I weź, co trzeba, z moich zapasów. Zostawmy teraz nasze panie. Same sobie lepiej poradzą!

Oddawszy wielkodusznie swe sanktuarium na użytek Tamsyn, kapitan wrócił do pracy i dopiero wówczas, gdy znalazł się na pokładzie rufowym, dotarło do niego, że - choć wszyscy inni wyszli razem z nim - pułkownik pozostał przy Tamsyn.

Hugo uniósł brwi i obejrzał się na zamknięte drzwi swojej kajuty, przed którymi znów stanął wartownik, gdy na okręcie zapanował dawny porządek. Interesujące! - pomyślał kapitan. A jednak, licha wie dlaczego, nie zdziwiło go to zbyt. Zwrócił się do swego drugiego oficera, który przejął obowiązki Willa Connaughta, odkąd tamten został oddelegowany na zdobyczną „Delphine”:

- Podwójna racja grogu dla wszystkich, panie Denny! Załoga sobie na nią zasłużyła.

Gdy rozkaz został głośno powtórzony, podniosły się entuzjastyczne wrzaski. Hugo skinął głową, bardzo zadowolony. W tej chwili wszyscy na „Isabelle” byli szczęśliwi.

Tymczasem w kapitańskiej kajucie Samuel podgrzewał na kapiel deszczówkę ze specjalnej beczki, Tamsyn zaś pozostawała w kojącym uścisku Juliana. Ojciec zwykł obejmować ją w podobny sposób, toteż nie krępować jej to, lecz podnosiło na duchu. Wiedziała, że zrobiła z siebie widowisko, choć niewiele z tego pamiętała, prócz przeraźliwego strachu na myśl o ranie. Nie była jednak w stanie się opanować.

Josefa krzątała się po kajucie, zasypując Samuela poleceniami w języku hiszpańskim, które zresztą przeważnie ignorował, robiąc wszystko, co trzeba, po swojemu.

Po wyjściu Samuela Julian ze zdumieniem usłyszał własny głos:

- Przynieś teraz nocną koszulę i szlafrok panienki, Josefo, a potem zostaw nas samych.

Nie miał bynajmniej zamiaru mówić nic podobnego! Chciał złożyć swe brzemie na poduszkach i pozostawić Tamsyn w doświadczonych rękach dawnej piastunki. Niemniej jednak powiedział, co powiedział.

Josefa spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby wcale nie przypadło jej do gustu to polecenie, ale pułkownik był groźną osobistością, a jej dzieciątko nie zgłosiło sprzeciwu. Prawdę mówiąc, Tamsyn miała zamknięte oczy i wyglądało na to, że się zdrzemnęła.

- *Ay de mil* - mruknęła swoim zwyczajem Josefa i pospieszyła do sąsiedniej kajuty po wspomniane części garderoby, które rozłożyła starannie na krzesła. Następnie przez dłuższą chwilę stała niezdecydowana, zanim ostatecznie wyszła, ostentacyjnie wzruszając ramionami.

- Trzeba będzie rozciąć twoje spodnie - stwierdził Julian rzeczowym tonem.

Rozum ostrzegał go, że byłby szaleńcem, krocząc dalej tą ścieżką, ale Tamsyn do tego stopnia utraciła kontrolę nad swoim ciałem, że jego pomoc wydawała się nieodzowna, naturalna... i wyjątkowo kusząca.

Tamsyn w jego objęciach była lekka jak listek. Jej zmysłowość, której nie potrafił się oprzeć, całkiem zniknęła, ale zastąpiła ją bezbronność, pociągająca go równie nieodparcie.

Złożył dziewczynę na poduszkach i ściągnął jej buty.

- Mogę się sama rozebrać! - zaprotestowała znacznie silniejszym głosem. - Nie zachowam się już tak głupio!

- To doskonale, pozwól mi jednak skończyć to, co zacząłem. Chyba nie chcesz urazić świeżej rany?

Przeszedł ją lekki dreszcz i zaprzestała wszelkich protestów. Zdjął jej więc pończochy i rozciął bryczesy nożem, po czym także je ściągnął. Czuliła się bardzo senna. Miała wrażenie, że stoi nad brzegiem jakiejś ciepłej, mrocznej, przyzywającej ją przepaści, a dotyk rąk Juliana wydawał się niesłychanie kojący, gdy uwalniał ją od reszty ubrania. W głębi jej umysłu kryła się na poły sformułowana myśl, że marnuje nadarzającą się okazję: z jakiejś przyczyny St Simon zmiękł w stosunku do niej, ona jednak nie potrafi zdobyć się na nic ciekawszego, tylko poddaje się jego opiece. Czarne myśli o zajściu w ciążę przebiły się na powierzchnię jej świadomości, ale nie była w stanie skoncentrować się na nich, toteż szybko uleciały.

Leżała na wznak, zanurzona w gorącej wodzie, ze zranioną nogą opartą o bok wanny, a ręce Juliana sunęły po jej ciele z fachowością kąpielowego i ze swobodą kochanka. Tamsyn uśmiechnęła się sennie na tę myśl i znów pożałowała, że brakuje jej sił, by namówić go na bardziej intymne pieszczoty... Potem jednak doszła do wniosku, że to, co jest, sprawia jej zbyt wiele przyjemności, żeby cokolwiek zmieniać... choćby nawet mogła tego dokonać.

- Z czego się śmiesz?

Julian sięgnął po ręcznik, zdając sobie sprawę, że oszukuje samego siebie. Nie było nic platonicznego w sposobie, w jaki dotykał jej ciała... a jego własne ciało płonęło żywym ogniem.

- Bez powodu. - Tamsyn obserwowała go spod półprzymkniętych powiek; dostrzegła napięcie w jego twarzy i mocno zaciśnięte usta. Przyszła jej na myśl tylko jedna przyczyna tego zjawiska i jej senne odrętwienie wydatnie zmalało. - Czuję się bardzo słabo - powiedziała. - Chyba nie ustąpiłabym o własnych siłach...

Julian zaklął pod nosem, ale sam zaczął tę zabawę, musiał ją więc kontynuować. Wyjął Tamsyn z wody i trzymał ją, mokrusieńką, tuż przy swej piersi. Przytuliła głowę do jego ramienia z cichym pomrukiem satysfakcji. Czyżby zrobiła to umyślnie? Jego podejrzliwość wzrosła. Zdecydowanym ruchem posadził ją znów na skrzyni i owinał ręcznikiem.

- Możesz sama się wytrzeć na siedząco. Ja osuszę ci nogi i stopy.

No cóż... - pomyślała Tamsyn. Warto było spróbować!

Wytarła się do sucha, najlepiej jak mogła, a Julian podał jej nocną koszulę. Zdecydowanie mu ulżyło, choć starał się to ukryć, kiedy jej ciało zniknęło w fałdach batystu. Potem podał jej szlafrok.

- Załóż i to na siebie i zaraz będziesz mogła położyć nogi wyżej, odpoczniesz sobie, oparta o poduszki - polecił beznamyślnym, jak mu się zdawało, tonem doświadczonego pielęgniarza. - Zobaczę, czy Samuel przygotował już gorące mleko!

Tamsyn umożliwiła się wygodnie. Czuła się znacznie lepiej, choć nadal było jej słabo i troszkę ją mdliło. Przymknęła oczy... i nagle otworzyła je znowu. Wstrzymując dech, wsłuchiwała się we własne ciało. To tępe pobolewanie w dole brzucha było bardzo słabe, a jednak nie pomyliłaby go z żadną inną dolegliwością! Czyżby to przekłete krwawiące udo miało być zwiastunem innego, upragnionego krwawienia?... Daj to, Boże! - powtarzała bezgłośnie, raz po raz.

Wszedł Samuel ze szklanką parującego mleka na tacy. Postawił ją na stole i doprawił obficie rumem ze schowka na kapitańskie trunki.

- To pomoże ani chybi, panienko! - zapewnił.

Julian nalał sobie kieliszek czerwonego wina z zapasów Hugona i usiadł przy stole, spoglądając na Tamsyn, która powolutku popijała mleko w absolutnym milczeniu. W białej nocnej koszulce i szlafroku wydawała się delikatna i niewinna jak kociątko... zwłaszcza z tymi jedwabistymi włosami o srebrzystym połysku. Dobrze jednak wiedział, jak sprawy się mają w rzeczywistości! Znowu pozwolił, żeby go wywiodła w pole, i odczuł to boleśnie na własnym ciele.

Tamsyn odstawiła szklankę i oświadczyła nagle:

- Muszę wyjść na galerię rufową!

Zwiesiła nogi ze skrzyni z energią, która wyraźnie kłóciła się z jej niedawnym osłabieniem. Uchwyciła się stołu i sapnęła „Uff!”, gdy noga ją zabołała.

Julian zacisnął wargi, wziął ją na ręce, zaniósł do sąsiedniej kajuty i postawił na ziemi tuż przy drzwiach wiodących na galerijkę.

- Bardzo dziękuję! Nie musisz na mnie czekać, Josefa pomoże mi wrócić do kapitańskiej kajuty - uśmiechnęła się słodko.

- Wychodzę na pokład - oznajmił zwięźle. - Opieraj się na zdrowej nodze!

Zostawił ją tam i udał się spieszenie na pokład rufowy w nadziei, że morskie powietrze rozjaśni mu w głowie i ostudzi zbyt gorącą krew.

Kiedy Tamsyn wyłoniła się z rufowej galerii, czuła taką ulgę, jak nigdy w życiu. Serce w niej śpiewało, gdy prosiła Josefę o znalezienie w jej bagażach niezbędnego zabezpieczenia. Nigdy więcej... nigdy, przenigdy więcej nie będzie kusić losu!

Otuliwszy się szczelnie szlafrokiem, pokuśtykała z powrotem do kapitańskiej kajuty i ulokowała się znów przy oknie, wpatrując się w bezmiar wód sięgających po szarą linię horyzontu. Pozwoliła swemu ciału odprężyć się, witała z radością coraz silniejsze pobolewania, przepełniało ją cudowne uczucie ulgi.

Pół godziny później Julian zajął do kajuty po swój płaszcz. Wiatr się wzmógł i miało się wrażenie, że pozostawili daleko za sobą upały Portugalii.

- Jak się czujesz? - spytał St Simon uprzejmym, obojętnym tonem.

- Cudownie! - odparła Tamsyn z entuzjazmem, który zaskoczył pułkownika. - Moja miesięczna słabość opóźniała się i już się bałam...

- Spodziewałem się, że coś od ciebie usłyszę na ten temat - przyznał otwarcie.

- Na szczęście, wszystko w porządku! - odparła Tamsyn, odgarniając włosy z czoła. - A w przyszłości nie dopuścimy do najmniejszego ryzyka!

Usta pułkownika zacisnęły się, a jego oczy były lśniące i ostre jak stalowa klinga, gdy zbliżył się do dziewczyny.

- Zrozum to wreszcie, Tamsyn: nie ma mowy o żadnej przyszłości tego rodzaju! Spełnię warunki tej cholernej umowy, bo muszę, ale nic poza tym! Czy to jasne?

Unikając jego przenikliwych niebieskich oczu, Tamsyn odwróciła się i zapatrzyła na szare, wzburzone w tej chwili morze.

- No cóż... jeśli tak twierdzisz, milordzie...

Posłaniec przyniósł właśnie list do ciebie, moja droga. Czy to nie charakter pisma St Simona? - Sir Gareth Fortescue wszedł do pokoju śniadaniowego, oglądając trzymany w ręku list z niezwykłym zainteresowaniem. - Wysłany z Londynu, o dziwo! Myślałem, że twój brat ugrzązł na dobre na półwyspie!

Położył list obok nakrycia żony i zmierzył niechętnym wzrokiem półmiski ustawione na kredensie.

- Ileż to razy mówiłem tej przekłętej kucharce, że lubię chrupaćy bocek, a popatrz na to! - Uniósł na widelcu plasterek bekonu. - Białe i flakowate jak świńskie przyrodzenie!

Lucy Fortescue pokraśniała i podniosła się z krzesła, mamrocząc z niepokojem:

- Tak mi przykro, Gareth! Naprawdę nie zauważyłam... Czy mam zadzwonić na Webstera i polecić mu, by przyniósł bardziej wysmażony?

- Nie zwracaj sobie tym głowy! - Mąż Lucy z grymasem irytacji opadł na krzesło u szczytu stołu. - Wystarczy mi polędwica.

Lucy wahała się, chcąc czym prędzej przeczytać list od brata, a równocześnie nie okazać małżonkowi braku zainteresowania. Z posępnego wyrazu oczu Garetha i z jego bladości łatwo było odgadnąć, że jest tego ranka cierpiący. Lucy nie miała pojęcia, gdzie spędził wczorajszy wieczór i ostatnią noc. W każdym razie ani we własnym, ani w jej łóżku! Obowiązki małżeńskie nie przypadły młodej mężatce do gustu, ale stanowiły istotną część ich wspólnego życia... i z pewnością nie było rzeczą właściwą, by mąż tak często pozostawiał ją samą w nocy!

Westchnęła i znów zaczerwieniła się z obawy, że Gareth to usłyszy. Nie znosił, gdy użalała się nad sobą! Domyślał się, że to westchnienie jest cichym wyrzutem pod jego adresem.

Było tak istotnie, Lucy jednak pospiesznie odpędziła od siebie te grzeszne, buntownicze myśli. Matka powtarzała jej bez końca, że obowiązkiem żony jest okazywanie małżonkowi posłuszeństwa, zawsze i wszędzie, oraz radosna akceptacja takiego życia, jakie jej zapewnił. Julian zaś - po śmierci ojca jedyny mężczyzna, którego bliżej znała i z którego opinią się liczyła - podzielał w zupełności poglądy matki. W dodatku jej starszy brat był tak przeciwny małżeństwu Lucy z Garethem Fortescue, że po prostu nie mogła oczekiwać od niego współczucia

w chwili, gdy małżeństwo to nie okazało się spełnieniem wszelkich marzeń.

Było jej jednak bardzo ciężko... Młodej mężatce wyrwało się jeszcze jedno westchnienie. Niełatwo, gdy się ma osiemnaście lat, zaledwie w dziesięć miesięcy po ślubie, żyć w wiecznej samotności, we dnie i w nocy, podczas gdy mąż powrócił do kawalerskiego życia i dawnych znajomości... jakby nigdy nie przysięgał jej wierności przed ołtarzem!

- No i cóż?

Spojrzała nań jak winowajca na srogiego inkwizytora. Jej mąż z grymasem niezadowolenia popijał piwo.

- Co masz na myśli, mężu?

- Cóż takiego twój brat ma nam do zakomunikowania? - wyjaśnił niecierpliwie.

- O!... Jeszcze nie przeczytałam listu.

Uśmiechnęła się nieśmiało i przełamała pieczęć.

- O!...-powtórzyła po chwili raz jeszcze.

Brat pisał krótko i treściwie, jak zawsze, toteż wystarczyło pół minuty, by zapoznać się z treścią jego listu.

- No więc?

- Julian pisze, że pozostanie w Anglii kilka miesięcy. Musi załatwić jakąś sprawę dla księcia Wellingtona w Dowództwie Gwardii Konnej w Westminsterze, a potem chce wyjechać do Tregarthan na lato.

- Dobry Boże, a to po co?! Czyżby zrezygnował ze służby w wojsku?

- Nie sądzę - odparła Lucy, marszcząc brwi. - Ale pisze jeszcze, że ktoś mu towarzyszy. Jakaś... jakaś hiszpańska dama! - Spojrzała na męża z najwyższym zdumieniem. - Julian powiada, że miał jakieś zobowiązania względem jej ojca, ten zaś, umierając, poprosił go, by opiekował się jego córką i wprowadził ją do angielskiego towarzystwa. Ta dama, zdaje się, ma jakichś krewnych w Kornwalii i liczy na bliskie kontakty z nimi.

Pastelowo błękitne oczy Lucy robiły się coraz większe, w miarę jak jej zdumienie rosło.

- To zupełnie niepodobne do Juliana, prawda?

Gareth parsknął śmiechem.

- Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, a nie o St Simona, powiedziałbym, że przywiózł ze sobą kochanicę! Ale z niego taki świętoszek, tak dba o pozory, że nigdy by nie wprowadził pod szacowny dach Tregarthan jakiejś włóczęcej się za wojskiem latawicy!

Lucy zaczerwieniła się jak wiśnia i nieopatrznie napiła się gorącej herbaty. Sparzyła sobie gardło i rozkaszała się.

- Nie bądź taką gąską, Lucy! - skarcił ją Gareth dość pobłaźliwie. - Jesteś już przecież mężatką, a nie kompletnym niewiniątkiem! St Simon to mężczyzna z krwi i kości, jak my wszyscy, ale ma diablo staroświeckie poglądy na to, gdzie i jak wolno folgować całkiem naturalnym popędom!

- Tak, tak... Zapewne... - Lucy pospiesznie wstała od stołu. - Wybacz, mężu, ale muszę porozmawiać z kucharką w sprawie menu!

Niemal wybiegła z pokoju, pozostawiając swego małżonka w przekonaniu, że gdyby St Simon nie był takim nieznośnym świętoszkiem, Lucy okazałaby się może bardziej interesującą towarzyszką życia... zarówno w łóżku, jak poza nim. Ten brat, dziesięć lat od niej starszy, pełnił rolę opiekuna aż do zamążpójścia siostry, a jego poglądy na to, co właściwe, a co niewłaściwe, były przesadnie surowe.

Doprawdy, wielka szkoda! Gareth dolał sobie piwa i zauważył z ulgą, że z każdym łykiem skutki przepicia mniej mu dokuczają. Lucy była całkiem miłutka, a jej miękkie, kobiece okągłości bardzo apetyczne... Nie miała jednak pojęcia o tym, jak zadowolilić mężczyznę! Nic więc dziwnego, że szukał przyjemności tam, gdzie zawsze ją znajdował.

Gareth skrzywił się na wspomnienie wczorajszego wieczoru - niewiele właściwie pamiętał, gdyż widział wszystko przez gęste opary alkoholu. Marjorie znów próbowała go naciągnąć... Bez przerwy domagała się podarunków! Brylantowa bransoletka, którą jej dał, nie była pierwszej jakości, a nowa modystka okazała się do niczego i Marjorie postanowiła szyc sobie suknie wyłącznie u Lutece. „Pieniądze nie mają znaczenia!” - powtarzała. - „Gdybyś mnie naprawdę kochał... Czyż nie jesteś ze mną szczęśliwy... bardziej, niż na to zasługujesz?”

Gareth wiercił się na krześle, przypominając sobie, jak bardzo Marjorie potrafiła go uszczęśliwić... Niestety, kazała sobie za to słono płacić - a cena rosła z każdym dniem!

Rozejrzał się po eleganckim wnętrzu uroczego dworu w Sussex. Okna wychodziły na starannie przystrzyżony, trawnik. Jego rodzinny dom popadłby w ruinę, gdyby nie małżeństwo z Lucy St Simon. Z jej posagu opłacił remont domu. Z tego samego źródła szły pieniądze na zaspokajanie zachcianek Marjorie, a raczej na wszystkie jego kosztowne upodobania.

Niejasne poczucie winy zamąciło zwykłą pewność siebie Garetha. Doszedł nawet do zdumiewającego wniosku, że - być może - powinien zrezygnować z niektórych upodobań? Był w końcu człowiekiem żonatym!

A stos niezapłaconych rachunków stawał się coraz wyższy; od krawców, kupców winnych, szewców, kapeluszników... W Tattersallu wypadało płacić w terminie, ma się rozumieć. Długi honorowe również nie mogły czekać. Na szczęście, kupcy i rzemieślnicy nie naciskali jeszcze zbyt mocno. Jego niedawno zawarte małżeństwo stanowiło nadal źródło pokaźnego kredytu. Nie miał jednak ochoty zwracać się do swego szwagra o pożyczki, na spłacenie długów. St Simon spłacił ich i tak mnóstwo, zgodnie z ustaleniami umowy małżeńskiej.

Nie chodziło nawet o to, że St Simon odmówiłby mu pożyczki albo czynił jakieś przytyki do rozrzutności szwagra... Wystarczyło, by uniósł te rude brwi i spojrzął z niedowierzaniem.

Gareth nie miał zamiaru znosić jego min, jeśli tylko mógł ich uniknąć! Odsunął krzesło od stołu, przeciągnął się... i nagle w jego umyśle, zaćmionym jeszcze skutkiem przepicia, zrodził się pewien pomysł. Czemuż by nie złożyć St Simonowi wizyty w jego rodzinnej posiadłości? Pobyt z dala od Londynu będzie - rzecz jasna - nudny, ale odciągnie go od pokus, takich jak Marjorie, wyścigi czy karty. Uniknie też dalszych liścików miłosnych od wierzycieli. Może zresztą nie będą to aż takie nudy? Warto rzucić okiem na tę hiszpańską damę, którą St Simon wziął pod opiekę! Jest w tym coś tajemniczego... diablo tajemniczego!

A poza tym pobyt w Kornwalii dobrze zrobi Lucy. Ostatnio wydaje się taka mizerna... Kochała swoje rodzinne strony, mieszkała tam od dziecka, i będzie uszczęśliwiona, mogąc spędzić kilka letnich tygodni na pogawędkach z dawnymi przyjaciółkami.

Przekonany, że działa w najlepszym interesie swojej małżonki, Gareth Fortescue opuścił pokój śniadaniowy, by powiadomić Lucy o swym genialnym pomysle i wielkodusznym postanowieniu.

- Ależ Julian wcale nas nie zaprasza! - Skonsternowana Lucy upuściła pióro i odwróciła się od sekretarzyka. - Nie możemy przecież zjawić się bez zaproszenia!

- Co za bzdury! - Gareth zbył jej obiekcje machnięciem ręki. - Jest przecież twoim bratem. Z pewnością będzie zachwycony, mogąc cię znów zobaczyć. Nie widzieliście się przecież od dnia naszego ślubu, a i wówczas nie na długo, tak mu się spieszyło z powrotem do regimentu!

- No tak... ale... Ale co z tą hiszpańską damą? Gdyby Julian chciał, bym ją poznała, sam by mnie zaprosił!

- Nie chciał psuć ci planów na lato tylko dlatego, żebyś mu pomogła w pełnieniu obowiązków gospodarza. Możesz mi wierzyć! - za-

pewniał ją Gareth. - Ostatecznie dopiero co wróciliśmy z podróży poślubnej.

Uśmiechnął się i połaskotał żonę pod brodą.

- Możesz być pewna, Lucy, że brat będzie ci wdzięczny, jeśli pomożesz mu w zabawianiu gościa! A poza tym przyda się w Tregarthan pani domu, jeśli ten gość to samotna dama... nawet jeśli w jakimś sensie St Simon jest jej opiekunem. Dzięki twojej obecności wszystko będzie w najlepszym porządku!

Pochylił się i pocałował ją od niechcenia.

- A teraz bądź grzeczną dziewczynką i załatw wszystko tak, byśmy mogli wyjechać pod koniec następnego tygodnia. Udamy się do Tregarthan bez pośpiechu, żebyś się nie zmęczyła!

- O Boże! - wymamrotała Lucy, gdy drzwi się zamknęły za jej pewnym siebie mężem.

Choć wspaniale było widzieć Garetha tak dobrej myśli i tak troskliwego, znała dobrze swojego brata i wiedziała, że niezapowiedziana wizyta bynajmniej go nie ucieszy. Tym bardziej że nie aprobował postępowania Garetha... Niekiedy Lucy miała wrażenie, że Julian po prostu nie lubi jej męża. Intensywnie niebieskie oczy Juliana były zawsze zimne i twarde, gdy rozmawiał z Garethem, a nawet wspominał o nim w trakcie rozmowy. Oczywiście, był wobec niego niezmiennie uprzejmy, ale jak wobec kogoś, kogo się prawie nie zna.

Lucy dobrze pamiętała, jak bardzo jej brat gardził „gogusiami z towarzystwa”, którzy trwonili czas i energię na grę w karty i asystowanie uznanym pięknościom lub posażnym pannom. Mimo całej miłości do męża Lucy musiała przyznać, że i on się do tych gogusiów zalicza. W odróżnieniu od Juliana nie był człowiekiem czynu i nie miał zdecydowanych poglądów. Gareth jednak nie był pod tym względem odosobniony. To raczej Julian wielkiemu światu wydawał się ekscentrykiem!

Lucy znowu westchnęła i wróciła do sekretarzyka. Wybrała swój ulubiony bładoniebieski papier listowy i przygryzając koniuszek pióra, zastanawiała się, jak w taktowny sposób powiadomić brata o swoim rychłym przyjeździe do Tregartan.

I co z tą hiszpańską damą? Jaka ona jest? Młoda? Raczej tak, jeśli ojciec oddał ją Julianowi pod opiekę. Co prawda, jej brat nie zwykł podejmować się takich zadań, ale Julian miał bardzo silnie rozwinięte poczucie obowiązku. Być może ojciec tej damy ocalił mu życie, czy coś w tym rodzaju...

Ciekawe, czy ta Hiszpanka była piękna?

I w jaki sposób można by skłonić kornwalijskie towarzystwo do zaakceptowania kogoś tak egzotycznego? Byli to zwyczajni, dość ograniczeni ludzie i nie dbali o to, co dzieje się poza granicami ich rodzinnej Kornwalii... Może ta hiszpańska sierotka nawet nie zna angielskiego?!

Wszystko to było bardzo osobliwe! Płonąc z ciekawości, Lucy zaczęła spieszenie pisać. Opierając się na sugestii Garetha, stwierdziła, że Julianowi zapewne przydałaby się w Tregarthan pani domu, jeśli przyjmuje takiego gościa. Będzie szczęśliwa, mogąc pomóc drogiemu bratu, i cieszy się ogromnie, że ujrzy go znowu po tak długim czasie. Ma nadzieję, że brat czuje się dobrze i przesyła mu...

W tym miejscu Lucy zawahała się. Co chciała mu przesłać - wyrazy miłości? Zabrzmiało to jakoś nieszczerze. Julian był zawsze miły dla niej *ale* niezmiennie trzymał się na dystans... i nie wahał się jako starszy brat i opiekun narzucać jej swojego zdania, jeśli - co prawda bardzo rzadko - buntowała się przeciw rygorom, jakie on i matka uznali za niezbędne dla córki rodu St Simonów.

Ostatecznie przesłała mu tylko serdeczne pozdrowienia, osuszyła list piaskiem, złożyła i zapieczętowała, a potem ruszyła na poszukiwanie Garetha, żeby wysłał tę epistołę. Julian do tej pory powinien już być w Kornwalii, ponieważ jego list z Londynu pochodził sprzed tygodnia. A zatem wiadomość od niej dotrze do Tregarthan kilka dni po jego przyjeździe. Zbyt późno, by Julian mógł uprzedzić ją i Garetha listownie, że nie życzy sobie gości. A dobre wychowanie nie pozwoli mu odprawić ich z kwitkiem, skoro już się zjawia.

Mógł jednak być w stosunku do nich bardzo chłodny! Lucy odsunęła od siebie tę myśl i doszła do wniosku, że podróż do Kornwalii powinna być przyjemnym urozmaiceniem. I przez następnych kilka tygodni będzie miała przy sobie Garetha. Nie powtórzą się już nocne wyprawy Bóg wie dokąd! A może i ona nauczy się sprawiać mu więcej przyjemności?... Albo przynajmniej lepiej ukrywać, jaki niesmak budzi w niej ta... płatanina ciał?

Lucy, znacznie podniesiona na duchu, udała się do swojej sypialni, by przejrzeć całą swą garderobę i zdecydować, co zabierze ze sobą na letni pobyt w Kornwalii.

Czy w tym koszmarnym, szarym kraju zawsze pada? Tamsyn wychyliła się z okna gospody w Launceston, spoglądając na gmatwaninę łupkowych dachów lśniących i śliskich od deszczu. Nie przestawało padać,

odkąd przed dwoma tygodniami wylądowali w Portsmouth. Nie był to gwałtowny, ulewny, hiszpański deszcz, tylko nieustannie siąpiący kapuśniaczek, w dodatku lodowaty... i to zimno przenikało do szpiku kości!

Za plecami Tamsyn, w niewielkiej sypialni Josefa mamrotała pod nosem, pakując na powrót rzeczy, z których korzystały w nocy. Nie była zadowolona z pobytu w tym zimnym, szarym kraju, gdzie słońce nigdy nie świeciło, ale córka El Barona orzekła, że tak ma być - a jej słowa były dla Josefy święte, jakby pochodziły z ust samego Barona.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i wszedł Gabriel, pochylając głowę, by nie walnąć nią w niskie nadproże. Deszcz ściekał z grubego płaszcza wielkiego Szkota.

- Spakowałaś już rzeczy, kobieto?

- *Ay de mi!*- wymamrotała Josefa, zmagając się z twardymi rzemieniami i klamrami. - Będę rada, jak się wreszcie ta wędrówka skończy!

- Myślisz, że wszyscy tego nie chcemy? - burknął posępnie Gabriel.

Jego ręka spoczęła przez chwilę na ramieniu Josefy, w rzadkim dla niego odruchu współczucia. On przynajmniej urodził się na tej ziemi, ale dla wieśniaczki ze skalistych gór południowej Hiszpanii był to obcy, nieprzyjazny ład. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem i skinieniem głowy, radując się nieoczekiwaną czułością swojego chłopca. Był słońcem, wokół którego kręcił się jej mały światek. Zawsze postępowała dwa kroki za nim, a słowo Gabriela było dla niej prawem.

Gabriel wziął kufer na ramię.

- Dzisiaj jedziesz w powozie, mała! Pułkownik tak zarządził.

- Od kiedy to on wydaje mi rozkazy?! — warknęła wściekle Tamsyn za oddalającym się Gabrielem. - Tego tylko brakowało w ten koszmaryny ranek! Nie mam najmniejszego zamiaru trząść się w karecie! Mdli mnie na samą myśl o tym!

Zeszła za Gabrielem po skrzypiących drewnianych schodach, przez oświetlony jedną tylko lampą i wykładany kamiennymi płytkami hall na mroczny dziedziniec. Stała tam karetka pocztowa, którą przybyli tu z Londynu. Stajenni zaprzęgali do niej konie; jeden z nich uwiązał z tyłu Cezara.

Lord St Simon obserwował tę scenę. Jego płaszcz pociemniał od deszczu, z runda cylindra spływały strużki wilgoci, on jednak zdawał się nie dostrzegać złej pogody.

- Dzień dobry! - powitał wesoło Tamsyn. - Mam nadzieję, że dobrze ci się spało?

- Zawsze śpię jak suseł - odparła. - Nawet wtedy, gdy pościel jest wilgotna. Czy ten deszcz kiedyś wreszcie ustanie?

Parsknął śmiechem.

- Tak, pewnego dnia obudzisz się i zobaczysz błękitne niebo i olśniewające słońce. Ptaki będą śpiewały, a ty całkiem zapomnisz o deszczu. To jedna z naszych angielskich sztuczek!

Tamsyn skrzywiła się, nie wierząc w ani jedno słowo.

To nie jest pogoda dla mego jaskierka! - pomyślał z rozbawieniem Julian. Była taka malutka i żałosna... Jej jasne włosy pociemniały, drobna postać kuliła się pod ciężkim płaszczem. Cała jej zachowatość rozmyła się w tym okropnym klimacie. Ciekawe, co teraz porabia moja brygada? - pomyślał nagle i jego rozczulenie zniknęło. Jeśli Tamsyn nie odpowiada angielski klimat, może mieć pretensję tylko do siebie!

Jak długo trwało, nim Tim O'Connor wziął znów w karby żołnierzy po ekscesach w Badajos?... Jak daleko zdołali dotrzeć w swym pochodzie do Campo Mayor?... Kto z jego ludzi poległ?... Podobne pytania, jak zwykle, rozsadały mu głowę. Z trudem powrócił do chwili obecnej - zlanego deszczem dziedzińca gospody w Launceston i bieżących problemów.

- Pojedziesz dziś razem z Josefą w karecie - poinformował zwięźle Tamsyn.

- Gabriel już mi o tym powiedział, ale ja nie chcę! Wolę przemoknąć do suchej nitki, niż trząść się w tym śmierdzącym pudle!

Odwróciła się, zamierzając odwiązać swego konia.

Julian chwycił ją za ramię.

- Jedziesz w powozie, Tamsyn!

- A to dlaczego?!

- Będziemy przejeżdżać przez wrzosowisko Bodmin Moor - oznajmił takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystko.

Tamsyn się zastanowiła. Przybyli do Launceston wczoraj wczesnym popołudniem i pułkownik uparł się, żeby dalej niejechać... i wspomniał o Bodmin Moor takim samym tonem jak dziś.

- No i co z tego, jaśnie panie pułkowniku?

Otarła zalaną deszczem twarz i popatrzyła na niego, unosząc brwi do góry.

- To, jaskierku - odparł z naciskiem - że domagam się, byśjechała w karecie razem z tym przeklętym skarbem! Gabriel i ja będziemy strzec z obu stron powozu, ale ty również masz być uzbrojona i gotowa do walki!

- O! Czyżby po Bodmin Moor grasowali rozbójnicy?

Tamsyn ożywiła się wyraźnie.

- Niektórzy nazywają ich tu „rycerzami gościńca” - odparł z cierpkim uśmiechem - ale są równie brutalni i nieokrzesani jak każdy zbój grasujący w waszych górach.

Tamsyn postanowiła puścić ten przytyk mimo uszu.

- Gabriel ma pod opieką moją broń. Zaraz ją od niego wezmę!

Oddaliła się niezwłocznie. Jej krok od razu stał się raźniejszy, gdy dostrzegła szansę urozmaicenia sobie nudnej podróży.

Julian uniósł kołnierz płaszcza i przechadzając się po brukowanym dziedzińcu, dokonywał w myśli przeglądu własnej broni. „Wybierz się do Bodmin, jeśli ci życie niemiłe!” - mawiano w tych stronach, gdy trzeba było przeprować się przez posępne, smagane wichrami wrzosowisko.

Całe swe dzieciństwo Julian spędził w Tregarthan, rodowej siedzibie St Simonów nad rzeką Fowey, i czuł się Kornwalijszym z krwi i kości. Kochał tu każde źdźbło trawy, każdy polny kwiatek. Radowało go, że ujrzy znowu swój dom, będzie jeździł konno po swojej ziemi... Szczerze mówiąc, to właśnie stanowiło największą osłodę tego niechcianego powrotu.

Zaczął już wypełniać powierzoną mu przez Wellingtona misję w Londynie. Przedstawił w Westminsterze członkom Izby Lordów wszystkie argumenty przeważające za tym, jak bardzo potrzebne są pieniądze i nowi ludzie, dla zasilenia armii. Słuchali go nad podziw uważnie i zaproponowali, by powrócił za miesiąc, kiedy rozważą gruntownie żądania księcia Wellingtona. Dobrze wiedział, że wszystkie koła i trybiki maszyny rządowej obracają się niezwykle wolno, i pogodził się z koniecznością powrotu do Londynu w lipcu, kiedy to miał nadzieję usłyszeć coś bardziej konkretnego. Zdawał sobie sprawę z tego, że takie politykowanie było bardzo istotne, ale jakże nudne! Zwłaszcza dla kogoś, kto przywykł do zapachu prochu i huku armat, do ambitnych wyzwań i trudnych wyrzeczeń, do wulgarnych dowcipów, do męstwa i głupoty prostego żołnierza... Nawet perspektywa powrotu do własnego domu, na własną ziemię, nie rekompensowała w pełni utraty tego wszystkiego!

A gdyby nie to diabelskie nasienie, ta hiszpańska bandytka, nie musiałby rozstawać się z wojskiem! Wellington z pewnością nie wysłałby go z misją dyplomatyczną, gdyby nie zaistniały takie okoliczności.

Tamsyn, na szczęście, pozostawała w błogiej nieświadomości, co do treści jego rozważań, gdy sadowiła się w powozie razem z Josefą i dokonywała przeglądu skrzyń ze złotem i biżuterią, upchanych pod siedzeniami.

Przez te skrzynie nie było się gdzie obrócić. Dotąd nikomu to nie wadziło, gdyż tylko Josefa podróżowała karetą. Tamsyn nie mogła jednak protestować przeciw środkom ostrożności, jakie podjął pułkownik, jeśli istotnie czekała ich podróż przez dziką i niebezpieczną okolicę. Skuliła się więc w kącie, pozostawiając jak najwięcej miejsca rozłożystej Josefie, i sprawdziła, czy oba jej pistolety są nabite. Gdyby doszło do walki, Josefa mogła je dla niej ładować.

W oknie powozu ukazała się głowa Gabriela.

- Zaraz ruszamy. Wszystko u was w porządku?

- Jak długo będziemy jechali przez te wrzosowiska? - spytała zaciekawioną Tamsyn.

- Nie mam pojęcia. - Gabriel odsunął się od okna. - Pułkownikowi, mała chce wiedzieć, jak długo będzie musiała tłuc się w karecie!

- Mamy prawie trzydzieści cztery kilometry do Bodmin - odparł Julian, dosiadając swego wierzchowca. - A potem może jechać konno, jeśli zechce. Stamtąd do Tregarthan już tylko niecałe dwadzieścia kilometrów.

Usatysfakcjonowana Tamsyn skinęła głową. Był wczesny ranek, do zmroku powinni bez trudu przebyć pięćdziesiąt kilometrów. Udało im się nawet przejechać w ciągu jednego dnia sześćdziesiąt pięć kilometrów z Londynu po drogach o twardej nawierzchni, po których kursowały dyliżanse.

Kiedy jednak pozostawili za sobą zrujnowaną wieżę Launceston Castle, stało się jasne, że wąska, zryta koleinami droga przez Bodmin Moor to nie królewski trakt. Z każdej strony aż po horyzont rozciągały się wrzosowiska, a na nich powyginane od wichrów drzewa oraz kępy żarnowca i kolczastego janowca. Woźnica nie poganiał zbytnio koni na tych wertepach, zwłaszcza że koła grzęzły w rozmiękłej, gliniastej ziemi i powóz co jakiś czas zatrzymywał się nagle. Wtedy woźnica kłął, zacinał konie batem i rozglądał się niespokojnie dokoła. Rusznicę miał w pogotowiu, na kolanach. Po obu stronach karety podróźnej jechali Gabriel i Julian z muszkietami opartymi o łęk siodła i pistoletami za pasem. Nasunięte na oczy kapelusze i podniesione kołnierze miały ich osłonić przed wiatrem i siekącym deszczem.

Jechali w posępnym milczeniu, nieustannie mając się na baczności. Jednak po pięciu pełnych napięcia godzinach wyjechali spośród wrzosowisk, nie spotykając rozbójników. Na innych podróźnych także się nie natknęli w ten mokry dzień wczesnego lata.

Zdrożone konie zjechały ze stromego wzgórza w sam środek Bodmin. Tamsyn wyskoczyła z powozu i odetchnęła z ulgą, gdy zatrzymali się przed

oberżą. Mdliło ją po długiej jeździe i ból głowy dawał się we znaki. Rozejrzała się dokoła mimo nieustającej mżawki. Miasto składało się z domów z szarego kamienia, porozrzucanych jak klocki po stromym zboczu.

Pułkownik zsiadł z konia i podszedł do Tamsyn. Jego bystre oczy dostrzegły błądzenie pod opalenizną i ciemne smugi pod migdałowymi oczami.

- Zmęczona?

- Niespecjalnie, ale mdli mnie jak diabli! To przez ten powóz. Nie znoszę takiego podróŜowania!

- To było konieczne.

Wzruszyła ramionami.

- Nie dostrzegłam ani jednego z tych twoich „rycerzy gościńca”, pułkowniku!

- Takie środki ostroŜności były niezbędne - odparł obojętnym tonem.

Wejđ do oberŜy i zamów dla nas osobny pokój. I coś do zjedzenia. Ja postaram się o świeŜe konie.

- Tak jest, jaśnie panie pułkowniku!

Zasalutowała bezczelnie.

- Musisz się nauczyć dygania, panienko - odparł z niewzruszoną miną. - Przytykanie palców do czapki jest dobre dla stajennych i parobków. SłuŜące dygają.

- Nie jestem słuŜącą!

- Nie jesteś - przytaknął. - Nikt, spojrzawszy na ciebie, nie nająłby cię do słuŜby.

Odwrócił się na pięcie, nie zwaŜając na groźne błyski w jej oczach.

Tamsyn przygryzła wargę w bezsilnej złości, spoglądając za odchodzącym Julianem. Potem weszła do ciepłego i jasnego wnętrza gospody.

OberŜysta nie ukrywał zdumienia na widok nowo przybyłych. Zażywna hiszpańska dama, okutana w szale i mantylki, wyrzuciła z siebie potok niezrozumiałych skarg, na które odpowiedział w tym samym dziwnym języku chłop wielki jak dąb, z potężnym rapierem zatkniętym za szkarłatny pas. Towarzysząca im drobna osóbką na szczęście mówiła - ku radości oberŜy - uczciwą angielszczyzną. Zwróciła się do niego z łatwym do spełnienia żądaniem osobnego pokoju i czegoś do jedzenia. Ale i w niej było coś niepokojąco obcego, może w krótko ostrzyŜonych włosach, a może w zawiadanych krokach, nieprzypominających kobiecych ruchów! Nawet w jej całkiem zwyczajnej amazonce było coś osobliwego, tylko nie umiałyby powiedzieć co...

Potem jednak wszedł do gospody lord St Simon i oberżysta natychmiast przerwał swe rozważania, witając go z należną czcią.

Julian, ściągając rękawiczki, cierpliwie słuchał powitania.

- Zaprowadź nas do osobnego pokoju, Sawyer - przerwał mu wreszcie. - Jazda przez wrzosowisko była piekielna i umieramy z głodu!

- Tak jest, oczywiście, milordzie - Oberżysta żwawo ruszył przodem. - Zaraz każę podać burgunda. Mamy wspaniałe wina, dzięki naszym nieustraszonym przemytnikom! Ale może - dodał po namyśle - obie damy napiłyby się herbaty?

- Dla mnie przynieś rumu - zażądał Gabriel, zanim Julian zdążył odpowiedzieć. - I dla mojej kobiety też. A ty czego się napijesz, dziewczuszko?

- Herbaty - odparła Tamsyn. - I może kieliszek tego samego wina co pułkownik? - Uśmiechnęła się słodko do oszołomionego oberżysty, gdy otworzył drzwi przytulnego saloniku z oknami wychodzącymi na ulicę.

- To mi powinno uspokoić żołądek, bo mdli mnie jak cholera! To przez te wertepy na wrzosowiskach, niech je szlag!

Oberżysta aż otworzył usta ze zdumienia. Zerknął zgorszony na lorda St Simona, który rzucił szorstko:

- Jesteśmy głodni jak lichy, Sawyer. Przynieś nam gorące paszteciki na przekąskę!

- Tak jest, milordzie. W tej chwili, milordzie!

Oberżysta, gnąc się w ukłonach, opuścił wreszcie salonik.

- Moje gratulacje, Tamsyn! Dosłownie zbiłaś z nóg Sawyera - stwierdził Julian z sarkazmem. - A jeśli chciałaś wywołać natychmiast lawinę plotek, to udało ci się nad podziw!

- Pewnie angielskie damy nie mówią takich rzeczy... - przyznała Tamsyn z wyraźną skruchą.

- Zwykle nie mówią - przytaknął Julian, rzucając rękawiczki na drewnianą ławę koło kominka i uwalniając się od płaszcza. - Ale cóż, jak mawiała moja matka: „I w Paryżu nie robią z owsa ryżu!”

- Też coś! - wykrzyknęła Tamsyn z oburzeniem, zapomniawszy o skrusze. - Ty mi tu od owsów nie wymyślaj!

Gabriel grzał sobie plecy przy ogniu i przysłuchiwał się tej wymianie zdań z niewielkim zainteresowaniem. Już dość dawno doszedł do wniosku, że nie musi ustawicznie bronić małej przed złośliwościami pułkownika. Jeśli ktoś nie był związany duszą i ciałem z rodziną El Barona, mógł mieć słuszne pretensje o to, że zmuszono go do wzięcia udziału - wbrew woli - w tym przedsięwzięciu!

- Chyba sama przyznasz, że do ryżu wiele ci brakuje - odparł chłodno Julian.

- Twoja w tym głowa, żeby mi nie brakowało! - odparowała.

Odpowiedział od niechcenia:

- Muszę dołożyć wszelkich starań. Ale sukcesu ci nie gwarantowałem, jeśli pamiętasz!

W tym momencie znów zjawił się oberżysta i ocalił Tamsyn od konieczności udzielenia odpowiedzi. Dziewczyna przeniosła się na ławeczkę pod oknem, skąd obserwowała przechodniów. Wydawało się, że deszcz wcale im nie przeszkadza. Widocznie do wszystkiego można się przyzwyczaić, a tu najwyraźniej ciągle padało!

Podczas gdy Tamsyn obserwowała ruch uliczny, jakiś jeździec na koniu zbliżał się do frontowych drzwi oberży. Był to potężnie zbudowany mężczyzna w grubym płaszczu. Dobrze go tu widać znali, gdyż dwaj stajenni w liberii wybiegli, by zająć się jego koniem, zanim jeszcze z niego zsiadł. Przybysz stał przez chwilę, mimo deszczu, rozglądając się na prawo i lewo. Tamsyn poczuła, że skóra jej cierpnie. Nieznajomy, niewątpliwie ważna figura, po chwili odwrócił się i wszedł do oberży. Zdejmując ociekający wodą cylinder, odsłonił bujną, siwiejącą czuprynę, nim ostatecznie zniknął jej z oczu.

Skórę nadal miała ścierpniętą, doszła więc do wniosku, że to z zimna. Instynktownie zwróciła się do wnętrza przytulnego pokoju, odwracając się od mroku i deszczu za oknem. Pan Sawyer odkorkował butelkę wina, a służąca pospiesznie ustawiła okrągły stół w pobliżu ognia. Gabriel z pomrukiem zadowolenia skosztował rumu. Nie umywał się co prawda do tego, do jakiego przywykł na „Isabelle”, ale zawsze przyjemnie rozgrzewał. Olbrzym zerknął na Josefę siedzącą na ławie i piastującą również czarkę rumu w obu rękach. Teraz, gdy nic nie kapało jej na głowę, wydawała się trochę pogodniejsza. Oczy utkwiała w talerzu gorących kornwalijskich pasztecików.

Jedli w milczeniu. Jedyne Tamsyn próbowała nawiązać rozmowę, lecz gdy odpowiadano jej monosylabami, dała spokój i pogrążyła się w myślach. Musi jakimś sposobem złagodzić gniew pułkownika, który jeszcze się nasilił, odkąd wylądowali na angielskiej ziemi, jakby dopiero teraz Julian pojął w całej pełni, że nie wypłacze się z tej nieznośnej sytuacji. Ale czy naprawdę była tak bardzo nieznośna? Tamsyn mogła mu ją przecież umilić! Jej oczy spoczęły na twarzy siedzącego na wprost niej St Simona. Blask ognia oświetlał jego mocne rysy, bynajmniej nie łagodząc zawziętych ust ani zaciśniętych szczęk.

Tamsyn myślała o tym, jaki inny był Julian, gdy śmiał się szczerze, bez ironii Wspominała zdumiewającą troskliwość, z jaką pielęgnował ją na pokładzie „Isabelle”. Było w nim więc coś dobrego i mogła się do tego odwołać!

- Jeśli się już posililiście, chciałbym ruszyć w dalszą drogę - przewiał milczenie twardy i szorstki głos pułkownika. Tamsyn aż podskoczyła. Czyżby zauważył, że go obserwowała? - Każę zaprzęgać konie. Zejdźcie na dół, kiedy będziecie gotowi.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, a potem usłyszeli tupot nóg, gdy zbiegał ze schodów. Kroki były energiczne, jak zawsze. Gabriel i Josefa poszli w jego ślady, podczas gdy Tamsyn udała się na poszukiwanie toalety. Kiedy pięć minut później schodziła do hallu, usłyszała dobiegający z dołu głos pułkownika.

Przystanęła na schodach i nadstawiła uszu. W głosie Juliana była nieznana jej dotąd lodowata uprzejmość.

Zrobiła jeszcze kilka kroków i uświadomiła sobie, że - nie wiedzieć dlaczego - stąpa na palcach i wstrzymuje dech. Przystanęła znowu na zakręcie schodów, skąd miała dobry widok na frontowy hall na dole. Był ciemny, ze ścianami krytymi boazerią. Mrok rozjaśniała tylko jedna lampa zwisająca z niskiego sklepienia.

Julian rozmawiał z mężczyzną, którego widziała przez okno. Teraz, bez płaszcza, wydawał się jeszcze potężniejszy. Nie robił jednak wrażenia tłuściocha, tylko kogoś ogromnego i bardzo silnego. Nawet St Simon jakby zmalał przy nim, choć nie był ułomkiem! Miał jednak smukłe, choć muskularne ciało...

Tamsyn odepchnęła od siebie wizje, które same się jej nasunęły, i pochyliła się do przodu, chcąc dosłyszeć coś z ich konwersacji. I właśnie wtedy siwiejący mężczyzna podniósł wzrok i spostrzegł ją.

Jego czarne oczy zwięziły się nagle. Tamsyn poczuła znów, że skóra jej cierpnie. Nie potrafiła się ruszyć, jak mucha w pajęczej sieci.

Cedric Penhallan ujrzał na schodach kryjącą się w cieniu Celię. Srebrzysty połysk włosów... wielkie ciemne oczy... pełne, zmysłowe usta, lekko rozchylone... wdzięczna smukłość sylwetki... Ależ Celia nie żyła od ponad dwudziestu lat!

Julian odwrócił się i spojrzał odruchowo w tę samą stronę, w którą biegło zdumione spojrzenie jego rozmówcy. Na zakręcie, ukryta w cieniu, stała Tamsyn z ręką na poręczy schodów, ze stopą wysuniętą, jakby zaraz miała zejść niżej. Julian miał wrażenie, że między Tamsyn a mężczyzną, z którym rozmawiał, przeleciała błyskawica.

Co za bzdura! Tamsyn z krótko obciętymi włosami i egzotyczną urodą była niezwykle zjawiskiem w tej zapadłej prowincjonalnej dziurze i to zapewne spowodowało zainteresowanie wicehrabiego. Julian doszedł do wniosku, że nie ma obowiązku ich sobie przedstawiać.

- Do zobaczenia, Penhallan - rzucił zdawkowo z chłodnym ukłonem, po czym skierował się ku drzwiom prowadzącym na dziedziniec oberży.

- Cóż, St Simon... - Cedric oderwał wzrok od zjawy na schodach. Jego twarz nie była już taka rumiana. - Pewnie się nieraz spotkamy, jeśli zamierzasz dłużej pozostać w Tregarthan.

- Ja też tak sądzę - odparł Julian równie chłodno. Po chwili dorzucił jeszcze półgłosem przez ramię:

- Trzymaj swoich bratanków z dala od Tregarthan, wicehrabio! Jeśli przystąpię któregoś z nich na mojej ziemi, nie odpowiadam za konsekwencje!

I odszedł, nie czekając na odpowiedź.

Cedric prawie go nie słyszał. Jego wzrok powędrował znów ku postaci stojącej na schodach. Po chwili dziewczyna poruszyła się, zbiegła lekko do hallu, zeskakując z ostatnich dwóch stopni. Niemal otarła się o niego, wybiegając za St Simonem na dziedziniec.

Penhallan podszedł do drzwi. Zobaczył, jak St Simon podsadza dziewczynę na wspaniałego, mlecznobiałego araba. Potem odwrócił się i wszedł z powrotem do wnętrza oberży

Celia wróciła do Kornwalii. A może to duch Celii?

Gdy odjeżdżali, Tamsyn odwróciła głowę, by raz jeszcze spojrzeć na oberżę. Nigdzie nie było ani śladu jej wuja, ale krew nadal się w niej burzyła. A zatem Cedric Penhallan żył... Musi dojść do ostatecznej rozgrywki!

15

Następnego ranka Tamsyn obudziła się wcześniej i przez chwilę leżała zdezorientowana pod stosem kołder. Oczy miała nadal zamknięte, ciało jeszcze się całkiem nie ocknęło, ale wszystkie zmysły podpowiadały jej, że świat uległ zmianie. Czuła na powiekach delikatne ciepło i lękając się niemal uwierzyć w to, co podszeptował jej instynkt, otworzyła oczy.

Świeciło słońce. I nie był to jakiś jeden czy drugi zbłąkany promyk - cała sypialnia tonęła w złocistym świetle. Tańczyły w nim drobinki kurzu, a stojące na toalecie słoiczki z rżniętego szkła rzucały tęcze iskry.

Tamsyn odrzuciła przykrycie i wyskoczyła z łóżka. Zerwała z siebie nocną koszulę i przeciągnęła się, zachwycona ciepłym dotykiem słońca; swoim nagim ciele. Miała wrażenie, że budzi się do życia po przespaniu długich miesięcy w zimnej i wilgotnej jaskini.

Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież, spoglądając z zachwytem i zdumieniem na roztaczający się w dole widok. Poprzedniego dnia przybyli tu już po zmroku i nie mogła obejrzeć domu z zewnątrz. Czym prędzej weszli do środka, by schronić się przed deszczem; Tamsyn zapamiętała tylko świece rzucające migotliwe cienie na boazerie i pokryte stiukami sufity, a także wielkie kominki, w których płonął ogień, oraz urocze podwójne schody, które zdawały się ulatywać ku górze z ogromnego frontowego hallu.

St Simon zniknął natychmiast, kiedy tylko zapoznał swego gościa z zarządzającą domem matroną, i Tamsyn znalazła się w przestronnym pokoju narożnym. Stało w nim wielkie łóżko z baldachimem, ściany były zawieszane gobelinami, a na podłodze z lśniącego dębu leżały wzorzyste dywany. Gorąca woda do mycia oraz kolacja na tacy zostały przyniesione przez zaciekawioną, ale trzymającą język za zębami służbę. Josefa krzątała się po pokoju, wypakowując kupione w Londynie suknie. Tamsyn wcześniej położyła się do łóżka, rozkoszując się - po nocach spędzonych w przydrożnych zajazdach - czyściutką, pachnącą lawendą pościelą, odbłaskami ognia na suficie i miękkością materaca, na którym leżała.

Teraz zaś przebudziła się w całkiem innym świecie! Roztaczały się przed nią rozległe zielone trawniki poprzedzielane klombami i rabatkami. A za nimi, na samym dole, było morze - błękitne i roziskrzone w porannym słońcu. Z prawej i lewej strony ciągnęła się nierówna linia brzegowa; kredowe cyple odcinały się bielą od połyskliwego morza i nieba.

Tamsyn podbiegła do wschodniego okna i otworzyła je równie szeroko. Wychyliła się, opierając łokcie na szerokim, kamiennym parapecie. Z tej strony widok był równie malowniczy. W blasku wschodzącego słońca wody Fowey płonęły, a przy ujściu rzeki kołysała się na kotwicy cała flotylla łodzi. W słońcu jaśniały także dachy niewielkiej wioski rybackiej, Polruan, położonej na przeciwległym brzegu rzeki.

- Jak tu pięknie! - szepnęła zachwycona Tamsyn, wdychając głęboko niesioną z wiatrem woń róż i zapach złocistych laków kwitnących na szerokiej rabatce pod jej oknem. To była pełna zieleni ojczyzna jej matki, którą Cecile wspominała z taką miłością pod skwarnym słońcem Hiszpanii.

Tamsyn wskoczyła w bryczesy, narzuciła koszulę i wybiegła z pokoju na bosaka. W całym domu panowała cisza, choć sądząc po świetle wpadającym przez liczne, rozdzielone kolumnami okna, była mniej więcej piąta rano. Co prawda to niedziela... może w tym dniu służba śpi trochę dłużej?

Zasuwy na potężnych drzwiach frontowych okazały się bardzo ciężkie i Tamsyn odciągnęła je z wysiłkiem. Drzwi otwarły się na oścież i stanęła oślepiona jasnością poranka, a jej dusza chciała uciec na skrzydłach w tym ciepłe i blasku. Dom zwrócony był frontem ku wschodowi. Przez niewielką, łukowatą furtkę w kamiennym murze otaczającym dziedzińiec Tamsyn dostała się do głównego ogrodu, który opadał w dół aż do morza. Obejrzała się na okno swojej sypialni i dopiero teraz zorientowała się, że jej pokój znajduje się w kwadratowej, porośniętej bluszczem wieży.

Dom lorda St Simona jest naprawdę wspaniały! - pomyślała z aprobatą. Widać od razu, że należy do kogoś bogatego i potężnego. W wędrownym życiu córki rozbójnika dowodem potęgi i bogactwa nie były budowle ani rozległe włości, ale Cecile opowiadała córce, że Anglicy przywiązują do nich wielką wagę.

Cedric Penhallan był kimś znaczącym, można by powiedzieć, że miał wpływ na losy państwa... Cecile wyjaśniła, że bez bogactwa i rozległych włości nawet ktoś o jego ambicjach nie zdobyłby takiego znaczenia. Tak wysoko cenił sobie pozycję głowy rodu, iż uważał się za pana życia i śmierci każdego, w kim płynie krew Penhallanów, choćby rozrzedzona. Skutkiem tego w swym triumfalnym pochodzie stratował zbuntowaną siostrę.

Ale mnie nie stratujesz! - pomyślała Tamsyn z ponurym uśmiechem i ruszyła przez trawnik w stronę przyzywającego ją morza. Choć płynie we mnie krew Penhallanów, mówiła sobie w duchu, sprawię, że zginiesz od własnej broni! A jednak, gdy to pomyślała, stanęła jej przed oczami postać wuja. Wyczuwała niezwykłą siłę, która zeń emanowała, groźną i jak lawina niszczącą wszystko na swej drodze. W oberży spostrzegł ją, gdy stała na schodach, i poruszył go ten widok. Rozpoznał ją i bardzo się zdziwił - gotowa też była przysiąc, że w jego oczach widziała strach.

Nie wiedział, kim on jest. I nie dowie się prawdy, póki sama mu jej nie wyjawia, i to publicznie. A do tej chwili niechże go dręczy niepokój na widok nieszkodliwej z pozoru młodej cudzoziemki zwiedzającej obcy kraj!

Czy jednak będzie mogła nawiązać kontakty z Penhallanami, przebywając pod dachem St Simona? Tamsyn przerwała na chwilę swoją wędrowkę

po trawniku. Wyczuwała wrogość pomiędzy St Simonem a Cedrikiem Penhallanem. Głęboką wrogość, sądząc z lodowatego głosu Juliana. I co miała znaczyć ta uwaga o bratankach Cedrica? „Trzymaj ich z dala od mojej ziemi, bo nie odpowiadam za konsekwencje”... Co to za bratankowie? Zapewne jej cioteczni bracia.

Było w tym wiele zagadek, ale każdą z nich można przecież rozwiązać! Gabriel popyta w okolicznych gospodach... Zawsze czuł się w nich jak w domu i był doświadczonego szpiegiem: równie zręcznie rozsiewał pogłoski, jak zbierał informacje. Najważniejsze, że gra się rozpoczęła!

Tamsyn skinęła głową z satysfakcją i pobiegła po trawie do niskiego muru z kamienia. Zatrzymała się tam i aż otworzyła usta z podziwu. Dalej grunt opadał i długa, kręta ścieżka, wijąca się wśród nadmorskich skał, prowadziła do niewielkiej zatoczki o piaszczystym brzegu. Zdumienie Tamsyn wywołała jednak niezwykła gra kolorów. Znieruchomiała na sekundę, a potem z okrzykiem radości popędziła na cudowną, falującą, kwiatną łąkę.

Z wielkich okien swego pokoju Julian obserwował jej taneczne kroki po zroszonej trawie. Ubierał się właśnie, gdy coś kazało mu podejść do okna... i oto teraz stał bez koszuli, z kciukami zatkniętymi za pasek spodni, wpatrując się ze zmarszczonymi brwiami w tańczącego na dole beztroskiego elfa. Tamsyn złamała ustalone reguły, wymykając się z domu w takim stroju - i to na spokojnej, konserwatywnej kornwalijskiej wsi!

Samo przybycie Tamsyn na pewno wywołało mnóstwo plotek; nie należało dawać służbie tematu do nowych. Dziewczyna z pewnością nie zostanie przyjęta do lokalnego towarzystwa, a co dopiero do najwyższych kręgów arystokracji, jeśli będzie się pokazywać w tak bezwstydnym stroju!

Jeśli Tamsyn nie zechce dostosować się do jego wskazówek, miał prawo położyć kres całemu przedsięwzięciu.

Wyszedł spiesznie z pokoju, mijając zaspaną służącą, która zbiegała właśnie ze swego pokoiku na poddaszu, by rozpaścić ogień w kuchni, nim zjawi się kucharka i inne równie ważne osobistości. Dziewczyna dygnęła pospiesznie i zarumieniła się na widok nagiej piersi jego lordowskiej mości.

Julian kiwnął jej głową. Nie znał tej służącej. Postanowił porozmawiać z zarządzającą na temat osób zatrudnionych pod jego nieobecność.

Opuścił dom bocznymi drzwiami i ruszył przez trawnik niemal po śladach Tamsyn, widocznych jeszcze na wilgotnej trawie. Jego irytacja trochę

osłabła pod wpływem świeżości poranka, kropel rosy błyszczących w słońcu i słodkich zapachów dolatujących z klombów.

Kiedy dotarł do kamiennego muru, zatrzymał się i spojrział w dół, stronę zatoczki. W pierwszej chwili nie dostrzegł nigdzie Tamsyn, chociaż musiała gdzieś tam być... chyba że wspięłaby się na strome skały?

I nagle błysnęły mu srebrzyście jej włosy w połowie zbocza, w masie purpurowych kwiatów naparstnicy i liliowych rododendronów.

Julian bez wysiłku przeskoczył przez murek i ruszył w dół, w stronę to ukazującej się, to znikającej jasnej główki.

- Tamsyn!

Odwrociła się i pomachała mu ręką. Twarz jej jaśniała radością. Barwa jej oczu stała się jeszcze bardziej intensywna.

- Czy to nie cudowne? Nigdy nie widziałam czegoś takiego! - zawołała, brodząc wśród sięgających jej do pasa kwiatów.

- Sądząc z twego stroju, zakładam, że już ci nie zależy na umowie, o którą tak zabiegałaś - stwierdził i zacisnął usta, gdy podeszła do niego.

Jeśli nawet Tamsyn usłyszała te słowa, puściła je mimo uszu. Zanurzyła nos w kwiatkach, które trzymała w ręku.

- Jak one się nazywają? Nigdy nie widziałam równie pięknych... i to dziko rosnących!

- To naparstnica - odparł Julian.

- I słońce tak świeci, a morze tak lśni... Wszystko jest takie śliczne! Nigdy bym nie uwierzyła, że w Anglii może być tak pięknie! - entuzjastycznie mówiła się Tamsyn, odrzucając głowę do tyłu, by poczuć światło słoneczne na twarzy. Szyja jej tworzyła wdzięczny łuk, gęste rzęsy rzucały półkolisty cień na opalone policzki. - Cecile często opisywała lato w Kornwalii, ale ostatnio byłam pewna, że zapomniała, jak tu naprawdę jest!

Zaniósł się beztroskim, dźwięcznym śmiechem.

Promieniowała z niej głęboka, zmysłowa radość i Julian był poruszony, mimo że starał się oprzeć jej urokowi. Była jak jaskier unoszący złotą główkę do słońca.

Gwałtownie otrząsnął się z tych fantazji i powiedział ostro:

- Masz pojęcie, jakie plotki wywołasz, parując w tym stroju?! Dlaczego miałbym nadal trzymać się tej zwariowanej umowy, jeśli ty nie przestrzegasz podstawowych reguł?!

- O! - Uniosła powieki i jej migdałowe oczy spojrzały na niego figlarnie. - Wcale się nie upieram, aby nosić ten strój, jaśnie panie pułkowniku!

Nim zdążył zaprotestować, obsypała go kwiatami naparstnicy, po czyni spiesznie ściągnęła z siebie koszulę, pozbyła się bryczesów i stanęła nago w morzu purpurowego kwiecia, uśmiechając się prowokacyjnie.

- Tak jest lepiej?

- Wielkie nieba! -jęknął.

Jego rozstrojone zmysły zawirowały jak pod wpływem huraganu. Cały rozsądek i opanowanie opuściły go. Była istotą zrodzoną ze słońca, morskiej bryzy, zapachu dziko rosnących kwiatów... Jej ręce objęły go w pasie, zręcznie sobie radząc z guzikami. Wysunął koniec języka spomiędzy warg. Bez pośpiechu ściągnęła mu bryczesy na biodra, przysunęła się bliżej i przycisnęła swój brzuch do jego pobudzonego ciała. Potem podniosła oczy i roześmiała się, zdejmując złamaną łodyżkę naparstnicy, która uczepiła się jego piersi.

- Tak lepiej, jaśnie panie pułkowniku?

Sam nie pojmował, dlaczego od razu nie ukrócił tych wybryków! Nie odepchnął jej od siebie, nie podciągnął spodni, nie ujarzmił swego ciała, nie wrócił do domu... Sprzeniewierzyła się przeciw regułom i miał święte prawo powstrzymać jej machinacje!

A on stał wpatrzony w nią, drżąc z pożądania, gdy dotknęła go gładkim brzuchem. Objął ją w talii, czuł jej naprężone sutki na swej piersi.

Powoli opadła na kolana w tym morzu purpurowych kwiatów. Jej ręce sunęły po biodrach Juliana... Zanurzył palce w jedwabistych włosach dziewczyny. Przyklęknął obok niej, objął jej twarz rękoma i ucałował gorące wargi. Czuł smak soli i woń jej podnieconego ciała.

Popchnął ją i upadła na wznak w purpurowe kwiaty. Jej ciało było takie jasne, kremoworóżowe, na tej pościeli z kwiatów. Rozchyliła uda i wydawała ciche, radosne jęki. Uniosła biodra pod ognistą pieszczotą jego języka.

Z uśmiechem w półprzymkniętych oczach, płonąć z namiętności, sunął językiem w górę - po jej piersiach, po szyi... A potem ich usta znów się spotkały. Ręce Juliana przesunęły się w dół, obejmując pośladki dziewczyny, unosząc ją ku sobie, by wnikać w jedwabiste ciało, które zacisnęło się wokół niego. Z dreszczem zachwytu doświadczał najcudowniejszych przeżyć uwieczony w niej, mając ją pod sobą i wokół siebie.

Jakby z ogromnej dali słyszał jej ciche triumfalne okrzyki, gdy całkiem się zatraciła się w namiętności. On z najwyższym wysiłkiem usiłował zachować poczucie rzeczywistości. Zdołał wysunąć się z jej ciała, nim wraz z nią zatonął w nieskończonej, bezmiernej rozkoszy.

Gdy powrócił znów do przytomności, poczuł przede wszystkim ciepło słońca na plecach. Nadal tulił mocno do siebie drobne ciało Tamsyn. Z westchnieniem przewrócił się na plecy, pociągając za sobą także i ją; leżała teraz na nim, z głową opartą na jego ramieniu. "Wydawała się pozbawiona ciężaru. Jej wilgotna skóra przylgnęła do jego skóry. Przepełniała go euforia, jakiej nigdy jeszcze nie odczuwał. Żadna z dotychczasowych miłosnych przygód nie dała mu takiego poczucia spełnienia, jedności i spokoju.

Lekko poklepał ją po pośladkach. Tamsyn uniosła głowę z wyraźnym wysiłkiem.

- Jakim cudem przydarzyło się nam coś tak... niezmiernego?

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem i pocałowała go leciutko.

- Nie wiem - odparł. - Jesteś widać niezmierną istotą.

Roześmiała się słabo.

- Ależ, jasnie panie pułkowniku! Jestem kobietą z krwi i kości, od stóp do głów! I żeby ci to udowodnić, mam zamiar popływać!

- Woda jest lodowata! - zaprotestował. - Choć zapewne nie aż tak, jak Guadiana w marcu.

- No właśnie! - Zeskoczyła z niego ze zwinnością, która wyraźnie kłóciła się z jej poprzednim bezwładem. - Idziesz ze mną?

- Może się przyłączyć... za chwilę.

Tamsyn odbiegła, a Julian nadal leżał na plecach, ramieniem osłaniając oczy od słońca. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: znowu uległ pokusie! I tak długo, jak ten elf-rozbójnik kręcił się w pobliżu, będzie mu ulegał. Zwłaszcza jeśli Tamsyn zamierzała rozbierać się do naga w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach, bez słowa uprzedzenia. Może powinien po prostu uznać te zmysłowe rozkosze za dobrze zasłużoną nagrodę za swe trudy? Wykorzystywała go, dlaczego więc i on nie miałby z tego skorzystać... zwłaszcza że Tamsyn była bardziej niż chętna do takiej zapłaty!

Julian wstał i przyglądał się, jak na małej, piaszczystej plaży Tamsyn wbiega w cicho pluskające fale. Rzuciła się w nie bez wahania, choć wiedział, że woda musi być bardzo zimna. Potem wprawnym motylkiem przepłynęła zatoczkę w poprzek, zapewne chcąc zbadać siłę podwodnych prądów.

Czuła się równie swobodnie w wodzie, jak na końskim grzbiecie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej niekonwencjonalne wychowanie! Julian zbiegł do zatoczki i wszedł do wody; gdy sięgnęła mu do ud, przebiegł go dreszcz. Nadpłynęła kolejna fala, dal więc nurka. W zetknięciu z jego spocną skórą woda była nieprawdopodobnie zimna. Kiedy wynurzył się na

powierzchnię, ujrzał po prawej stronie oblepioną mokrymi włosami głowę Tamsyn. Uniosła rękę i pomachała do niego, potem zaś, przewróciwszy się na plecy, unosiła się beztrudno na spienionych falach.

Czuła ciepło słońca na ciele, a lekkie kołysanie przypominało jej nie-, dawno przeżyte miłosne uniesienia. Już prawie nie czuła, jak bardzo zimna jest woda. Oczy miała zamknięte i coraz gorętsze słońce wyczarowało pod jej powiekami ciepły czerwony blask.

Julian podpłynął do niej i dotknął stopami dna.

- Dość już tego, Tamsyn! Jest zimniej, niż ci się zdaje.

Mruknęła potakująco, ale nie zmieniła pozycji.

Julian odwrócił się i popłynął do brzegu. Wyskoczył na plażę, otrząsając się z wody. Tamsyn przewróciła się na brzuch i popłynęła za nim, a raczej pozwoliła, by fale wyniosły ją na brzeg.

Tak, igraszki miłosne z pewnością stanowią niejaką rekompensatę za czekające go miesiące przykrej beczynności... - dumął Julian, wkładając porzucone spodnie. Co prawda, beczynność nie była chyba najlepszym określeniem tego, co go czekało. Nie mógł sobie wyobrazić, jak miejscowa społeczność zareaguje na kogoś tak niezwykłego jak Tamsyn! Z pewnością dziewczyna popełni wiele gaf, nim uda mu się choć trochę ją oszlifować... Na myśl o Tamsyn popijającej herbatkę na probostwie pod czujnym okiem pani Thornton przebiegł go dreszcz. Niestety, wizja ta pobudziła go również do śmiechu. Oczywiście, im prędzej odkryją tych jej kornwalijskich przodków, tym łatwiejsze będzie jego zadanie, ale nie ma mowy o przedstawieniu jej nieznanym krewniakom, póki nie nabierze choć trochę ogłady!

Julian westchnął. Dobrze wiedział, jak trudne czeka go zadanie. Ale jego podopieczna musi się do tego przyłożyć! Chyba jeszcze nie pojmowała, na jaki wyczyn się poważyła, ale będzie musiała spojrzeć prawdzie w twarz.

Tamsyn biegła ku niemu przez plażę, drżąc z zimna, ale roześmiana.

- Wspaniale było! Ubóstwiałam pływać w słonej wodzie!

Chwyliła swoją koszulę i zaczęła się nią energicznie wycierać. Zęby jej szczękały, usta miała sine, ale oczy nie straciły blasku.

Julian odezwał się umyślnie chłodnym, władcym tonem, ukrywając radość, jaką odczuwał na widok ciała Tamsyn i naturalności jej ruchów.

- Jedno musisz zrozumieć: jeśli mamy kontynuować tę farsę, nie wolno ci już nigdy zachowywać się w taki sposób, dopóki mieszkasz pod moim dachem! Czy wyrażam się jasno?

- Nie całkiem - odparła Tamsyn, wciągając bryczesy. - Co masz konkretnie na myśli, milordzie? - Włożyła z powrotem koszulę i wzdrygnęła się, gdy mokry materiał przylgnął jej do skóry. - Ubieranie się po męsku i pływanie czy to, co robiliśmy wśród kwiatów?

Zapięła koszulę, spoglądając na pułkownika z ukosa, z ironicznym błyskiem w oku. Sformułowała pytanie tak, żeby musiał przyznać, iż pragnie, by ich gry miłosne trwały nadal.

- Mam na myśli narażanie się na plotki, jaskierku - odparł z rozmysłem. - O tym właśnie mówię.

Odwrócił się i ruszył po stoku w górę, do ogrodu, pogwizdując bez trosko, z rękami w kieszeniach.

Tamsyn uśmiechnęła się z uznaniem. Udało mu się wywinąć tak, że nie przyznał się do niczego, i sprawa nieodpowiedniego zachowania bez świadków pozostała otwarta! Ruszyła za nim pod górę.

Julian zatrzymał się, doszedłszy do muru. Zaczekał, aż Tamsyn zrówna się z nim. Jej drobne, twarde piersi były wyraźnie widoczne pod wilgotną koszulą.

- Lepiej tu zaczekaj, przyniosę ci jakieś okrycie - oświadczył. - Nie możesz wejść do domu w takim stroju! Po godzinie wiedziałyby o tym cała okolica. Ale ostrzegam: po raz ostatni pomogę ci ukryć twoje... twoje... -Jego oczy zatrzymały się przez chwilę na jej piersiach. Potem z rozmysłem pogłodził ją po głowie, plecach i pośladkach. -Jestem pewien, że mnie rozumiesz.

- Trudno tego nie zrozumieć! -W jego karesach było coś... obraźliwe. Tamsyn odsunęła się od Juliana, skrzyżowała ramiona na piersi i usiadła na murze. - Zaczekam na ciebie tutaj.

Siedziała wpatrzona w morze, uderzając nogą w kamienny mur. Była w stanie przemóc niechęć Juliana do miłosnych igraszek, jaką okazywał tego ranka... Teraz jednak nie potrafiła go zrozumieć!

Wzruszyła ramionami, starając się przekonać samą siebie, że to, jak się zachowuje, jest bez znaczenia, dopóki ma zapewnioną jego pomoc. Nie chciała jednak mieć z nim na pieńku. Byli zbyt do siebie podobni. Mieli tyle identycznych doświadczeń, poznali zarówno okrucieństwo, jak i wspańiałość wojny. Mogli sobie nawzajem sprawić tyle radości... i to nie tylko w grze miłosnej! Dzięki wspólnym rozmowom, podobnemu poczuciu humoru, wymianie myśli... ale na przeszkodzie stałajego uraza i jej własne dalekosiężne plany.

Spojrzała od niechcienia na szczyt skały przybrzeżnej w pobliżu Fowey... i nagle wyteżyła wzrok, mrużąc oczy od słońca. Na tle

bezhmurnego nieba odcinały się sylwetki dwóch jeźdźców na koniach. Byli zbyt daleko, by mogła ujrzeć ich wyraźnie, ale nie ulegało wątpliwości, że to mężczyźni, którzy dosiadali rasowych koni. Zdawało się jej też, że mieli strzelby oparte o łęk siodła. Tamsyn zastanawiała się, choć bez większego niepokoju, od jak dawna się tam znajdowali i ile zdołali zobaczyć. Z pewnością nie widzieli harców wśród kwiatów naparstnicy, gdyż bujna roślinność stanowiła wystarczającą osłonę. Ale dwóch osób, biegających nad morzem bez ubrania, trudno byłoby nie zauważyć.

Kiedy tak przyglądała się im, nieznajomi zawrócili konie i zniknęli za nadbrzeżnymi skałami. A gdy wrócił Julian z jej płaszczem, Tamsyn nie wspomniała mu, że prawdopodobnie mieli świadków; doszła do wniosku, że to by tylko spotęgowało jego irytację.

- Okryj się tym i nie rozmawiaj z nikim po drodze do swego pokoju! polecił jej szorstko Julian. Włożył już koszulę i buty, i wyglądał jak należy, - Służba dopiero się obudziła, więc przy odrobinie szczęścia na nikogo się nie natkniesz. Po śniadaniu przyjdź do biblioteki. Zaczniemy twoją edukację. Ubierz się w jedną z porannych sukien, które kupiłeś w Londynie. Chcę popracować nad twoją postawą.

- Nad moją postawą?! - powtórzyła Tamsyn z urazą.

Ale Julian skierował się już w stronę domu. Wyraźnie spieszyło mu się i nie życzył sobie jej towarzystwa.

Nad jej postawą? Co on miał na myśli, u licha?! Tamsyn podążyła za nim i bocznymi drzwiami weszła do domu. Julian jednak udał się od razu do pokoju śniadaniowego i Tamsyn musiała sama powędrować na górę, niezadowolona i zdziwiona.

Drzwi jej pokoju były uchylone, słyszała więc wyraźnie Josefę, usiłującą porozumieć się ze służącą, która przyniosła poranną czekoladę i biszkopty.

Tamsyn jeszcze szczerzej okryła się płaszczem, toteż jej niezwykle strój był całkowicie zasłonięty. Weszła do pokoju z wesołym powitaniem:

- *Buenos dias*, Josefo!

- Och, panienko! - zwróciła się do niej z wyrazem ulgi służąca, zanim Josefa zdążyła odwzajemnić pozdrowienie. - Próbowałam wyjaśnić pani-nej pokojówce, że śniadanie będzie podane w małym saloniku za biblioteką, ale ona nijak nie mogła zrozumieć!

- Rzeczywiście nie mogła - odparła z uśmiechem Tamsyn. - Ale ja potrafię jej to wyjaśnić, a gdyby nie mogła dogadać się ze służbą, to Gabriel z pewnością wszystko jej wytłumaczy.

- Ten wielki chłop, panienko?

Oczy służącej zrobiły się zupełnie okrągłe w jej pucołowatej twarzy.

- Bardzo trafne określenie - przytaknęła Tamsyn z szerokim uśmiechem. - To jej mąż.

Najprościej było użyć tego konwencjonalnego kłamstwka.

- A, to wszystko w porządku! Powiem to od razu panu i pani Hibbert. To nasz majordomus, a ona zarządza całym domem. Nie wiedzieli, jak sprawy stoją, panienko. Spadliście jak z nieba, a jego lordowska mość też się nie kwapi do wyjaśniania... - Dziewczyna zaczerwieniła się i zmieszała, obawiając się, że powiedziała coś niestosownego. Dygnawszy w pośpiechu, wymknęła się z sypialni, mamrocząc coś o przyniesieniu gorącej wody.

- Ay... ay\ Nigdy nie zrozumiem tej waszej mowy! — oświadczyła Josefa. - Co za głupi bełkot! Trzy razy powtarzałam tej dziewczynie, że potrzebna będzie gorąca woda, ale ona tylko gapiła się na mnie jak idiotka!

- Nie rozumie ciebie, *querida*, tak samo jak ty nie rozumiesz jej - odparła ze śmiechem Tamsyn, zrzucając płaszcz, bryczesy i koszulę. - Ale nie martw się, zawsze ktoś ci wszystko wytłumaczy - Gabriel, pułkownik albo ja. No i którą z tych głupich kiecek mam włożyć?

Całkiem nago, z filizanką czekolady w ręce podeszła do szafy. Niechętnym wzrokiem spoglądała na swoją garderobę, pogryzając biszkopt.

Spędzili w Londynie aż pięć dni. Pułkownik zniknął, gdy tylko zainstalował ich w hotelu Grillon's, i pojawił się dopiero wówczas, kiedy trzeba już było jechać do Kornwalii. Wręczył przedtem Tamsyn listę krawcowych i modystek oraz spis toalet niezbędnych dla debutantki - i pozostawił wszystko na jej głowie.

Tamsyn przekonała się, jak trudno - i nudno - skompletować taką wyprawę. Wypełniła jednak to zadanie z posępną determinacją, ponieważ było niezbędne, aby mogła zrealizować swoje plany. Ostatniego wieczoru przed wyjazdem do Kornwalii pułkownik dokonał inspekcji jej zakupów i uznał że są zadowalające. Wszelkie niezbędne drobiazgi można będzie dokupić w St Austell albo w Lostwithiel.

Słyszac jakąś krzątaninę za swymi plecami, Tamsyn domyśliła się, że to Mary wróciła z dzbankiem gorącej wody. Nie odwróciła się jednak do służącej, przeglądając od niechcienia swe toalety. Żadna z sukien jej się nie podobała, ale największą odrazę żywiła do wzorzystej muslinowej, którą pułkownik najbardziej pochwalił. Wyciągnęła ją z szafy i przyjrzała się jej pod światło. Suknia była bardzo ładna - w delikatnym kolorze lila w nieco ciemniejsze kwiaty, z kremową szarfą.

- Pfuj! - parsknęła Tamsyn, *rzucając* pogardzaną toaletę na łóżko. Chyba muszę włożyć tę!

- Ale śliczna suknia, panienko! - odezwała się Mary, dotykając z zachwytem materiału. -I kolor w sam raz dla panienki!

- Chyba tak - potwierdziła bez przekonania Tamsyn, zmierzając do umywalki, gdzie Josefa nalewała już gorącej wody do miednicy.

Tamsyn zmyła sól z całego ciała namydloną myjką, po czym zabrał się do uciążliwego wkładania pończoch, pantalonów i koszulki. Tyle tych fatałaszków! Całkiem bez potrzeby, kiedy jest tak ciepło jak dziś. Włożyła również batystową halkę, z irytacją odpychając stopą fałdy krępujące jej ruchy.

Josefa włożyła jej suknię przez głowę, a Tamsyn wetknęła niecierpliwie ręce w bufiaste rękawki. Niańka spojrzała na nią z wyrzutem. Mogła przecież rozdrzeć delikatny materiał! Suknia została zapięta, szarfa związana pod biustem i Tamsyn przejrzała się w lustrze. Była zupełnie niepodobna do siebie!

- Włosy już odrastają, Josefo, musisz mi je przystrzyc. - Przegarnęła palcami jasne, jedwabiste pasemka. - Opadają na kark i włożą do oczu!

Zadowolona z siebie - na tyle, na ile mogła w tak idiotycznym przebraniu Tamsyn zeszła na dół do pokoju śniadaniowego. Pułkownik najwidoczniej już zjadł i wyszedł. Było tylko jedno nakrycie na okrągłym stole, który ustawiono obok wykuszowego okna wychodzącego na jeden z bocznych ogrodów. Po pełnym wrażeń poranku Tamsyn miała dobry apetyt. Powitała więc z entuzjazmem lokaja, który wniósł kopiasty talerz jajeczniczy z boczkim i grzybkami.

- Kawa czy herbata, panienko?

- Poproszę kawę.

- Pani służący chce z panienką mówić... Czy mam mu przekazać, żeby zaczekał, aż panienka skończy śniadanie?

- Niczego mi nie będziesz przekazywał, synu! - odezwał się od drzwi Gabriel. - Lepiej przynieś drugi talerz tego samego. Dzień dobry, dziewczusko!

Nie zwracając uwagi na zgorzszą minę lokaja, któremu aż dech zaparło, Gabriel przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole. Lokaj zachnął się, więc Tamsyn pośpiesznie wyjaśniła:

- Gabriel nie jest moim służącym. Raczej... obrońcą. Jestem pewna, że lord St Simon wyjaśni to wam dokładniej.

- Tak jest, panienko.

Lokaj rzucił Gabrielowi piorunujące spojrzenie.

Dobroduszna twarz olbrzyma nie zmieniła wyrazu, ale Szkot odsunął się trochę od stołu i położył na widoku swoje potężne ręce.

- I kufel piwa dla mnie do śniadania, jeśli łaska!

Lokaj zawahał się na sekundę, po czym oddalił się pospiesznie - z taką odnością, na jaką mógł się jeszcze zdobyć. Gabriel zaśmiał się, sięgnął po hrupiącą bułkę i posmarował ją grubo masłem.

- Trzeba od razu postawić sprawę jasno! - stwierdził. - Nie wiedzą tym domu, co o mnie myśleć. Muszę pogadać z pułkownikiem...

- Tak, tak... - zgodziła się Tamsyn z roztargnieniem. - Widziałam czoraj Cedrica Penhallana.

Gabriel spojrzał na nią bystro.

- Gdzie?

- W oberży w Bodmin. Nie mogłam ci o tym powiedzieć w czasie podróży ze względu na pułkownika.

- Ano tak... - zgodził się Gabriel i zamilkł, gdyż pojawił się znów lokaj z kuflem piwa.

Postawił je przed Szkotem z wymownym stuknięciem, zanim odwrócił się i wziął talerz z rąk kuchcika, który mu towarzyszył.

- Dziękuję, chłopcze! - odezwał się jowialnie Gabriel i zanurzył nos w kuflu.

Lokaj miał taką minę, jakby chciał wybuchnąć, kuchcik zaś uśmiechnął się skrycie i wymknął się z pokoju, zanim Tom mógł wyładować na nim swój gniew.

- Rozmawiałaś z nim?

Gabriel nadział na widelec grzybek i umoczył go w żółtku.

- Ja nie, ale pułkownik z nim rozmawiał. Wygląda na to, że się znają.

- Chyba wszyscy się tu znają.

- Pewnie tak, ale oni nie przepadają za sobą, Gabrielu... i to jest bardzo łagodnie powiedziane.

Przekazała mu swoje obserwacje i powtórzyła zasłyszane strzępki rozmowy.

- Ja się tym zajmę - oznajmił Gabriel uspokajającym tonem. - Rozpytam się o nich po gospodarach. To twoi cioteczni bracia, czy jak?

- Chyba tak. Synowie młodszego brata Cecile... Nie pamiętam, jak się nazywał. Nie miał większego znaczenia w rodzinie.

- Pewnie tylko Cedric ma w niej coś do gadania - zauważył Gabriel, znów zanurzając nos w kuflu.

- Na razie, Gabrielu - odparła Tamsyn z lekkim uśmiechem. - Tylko na razie!

- No, no, kto by pomyślał! Naprawdę widzieliśmy, jak St Simon figluje w morzu z jakąś latawicą?!

Charles Penhallan wycelował i strzelił. Wrona umknęła na szczyt skały.

Dawid uśmiechnął się szeroko i sam spróbował szczęścia. Płoszenie wron to cholerne nudy, ale z dwojga złego lepsze od pukania do tych głupich królików! A o tej porze roku nie można było postrzelać sobie do niczego ciekawszego.

- Wszędzie bym poznał ten jego ryży łeb! - odpowiedział bratu. - No i jakoś nie zmalał, co?

- Nie zmalał, ale już nie taki z niego świętoszek jak dawniej. - Charles oparł swoją śrutówkę o łęk siodła. - A może tylko był i jest hipokrytą.

- Ale dziwkę wybrał sobie nieciekawą. Małe to to, sama skóra i kości!

- Wyglądała bardziej na chłopaka niż na dziewczuchę - zauważył Dawid, zniżając strzelbę. - Może w wojsku gust mu się zmienił, co?

Obaj się roześmiali. Mieli chude twarze o spiczastych podbródkach, usta niemal pozbawione warg i małe, głęboko osadzone ciemne oczy, twarde jak kamyki. Chuderlawi, ze sterczącymi łopatkami, o wąskiej piersi, brak krzepy i urody nadrabiali jadem i złością. Większość znajomych przechodziła na drugą stronę ulicy na widok braci Penhallanów. Rzadko pojawiali się w pojedynkę i porozumiewali się jakimiś dla nich tylko zrozumiałymi półsłówkami. Prezentowali jeden wspólny front - oni dwaj przeciw całemu światu. Nawet ich bardzo nieliczni przyjaciele nie czuli się swobodnie w obecności bliźniaków.

- Ciekawe, czy Szef wie, że St Simon jest w Tregarthan? - zastanawiał się Dawid. - Pewnie już wrócił do tej pory z Bodmin!

- Jak nie wie, to się wkrótce dowie. Lepiej wynieśmy się stąd - zauważył pośpiesznie Charles. - Jeszcze ktoś nas tu zobaczy i poleci z pyskiem.

- Po diabła ten St Simon zrobił taki raban?! - skrzywił się Dawid. - Co znaczy jedna dziwka?

- Była córką jego dzierzawcy.

Charles spiął konia i popędził ku granicy Tregarthan. Brat jechał za nim z nadąsaną miną.

- To świętoszek i hipokryta! - piorunował. - Kiedyś się postaram o to, żeby ten drań nie zadzierał więcej nosa! Zobaczysz!
- Pewnie! - zawtórował mu trochę ciszej Charles. - Obaj się o to postaramy!

16

No więc, co ci się nie podoba w mojej postawie?

Tamsyn niemal wbiegła do biblioteki. Zadarłszy spódnicę, siadła okrakiem na poręczy obitej skórą kanapy i popatrzyła na pułkownika bystro i z ciekawością.

Julian podniósł wzrok znad „Gazette” i przyjrzał się uważnie dziewczynie.

- Nie siedź w ten sposób! To niezgrabna i nieelegancka poza, nie mówiąc już o tym, że ci wszystkie szwy popękają.

Tamsyn zwiesiła obie nogi z jednej strony i przycupnęła na poręczy. Przechylając głowę na bok i patrząc bystro, znowu przypominała zuchwałego ptaszka.

- Tak lepiej?

- Niewielka poprawa. - Odrzucił gazetę na boczny stolik. - Damy siadają na krzesłach, nogi mają złączone, ręce na podolku. Wstań i usiądź przy oknie, na tym krześle z prostym oparciem!

Tamsyn podeszła do okna i siadła na wskazanym krześle, wyraźnie czekając, co będzie dalej.

- Siedź prosto! Ciągłe się garbisz.

- Jakież to ma znaczenie?

Była szczerze zdziwiona. Nigdy dotąd nie zaprzętała sobie głowy czymś tak nieistotnym jak garbienie się!

- Ogromne. - Julian podszedł do niej i stanął za jej krzesłem. Ujął ją mocno za ramiona i pociągnął je ostro do tyłu. - Czujesz różnicę?

- Przecież to idiotyczne! - protestowała Tamsyn. - Nie mogę siedzieć w taki sposób, jak wypchany manekin!

- Musisz siedzieć jak należy, stać jak należy, chodzić i jeździć konno jak należy! - oświadczył stanowczo, nadał opierając ręce na jej ramionach.

- Siedzisz na koniu jak worek kartofli. To wina tego hiszpańskiego siodła! Jeszcze bardziej się przez to garbisz.

Tamsyn nie uważała, by ta miażdżąca krytyka jej konnej jazdy miała coś wspólnego z nauką dobrych manier.

- Nie można przejechać setek kilometrów po nierównym gruncie, siedząc jak manekin! - odparowała. - A ja mogę jeździć bez zmęczenia przez cały dzień i całą noc. Dobrze o tym wiesz!

- Nikt od ciebie nie wymaga, żebyś jeździła konno przez cały dzień i całą noc, jeśli jesteś angielską damą - wyjaśnił jej. - Najtrudniejszy wyczyn to pościg za lisem podczas polowania... a sezon łowiecki zacznie się dopiero w październiku. Musisz się do tego czasu nauczyć, jak się jeździ elegancko. Angielskie siodło powinno ci w tym pomóc.

- Ale mi ulżyło! - burknęła Tamsyn, lecz Julian udał, że nie słyszy.

Zdjął dłonie z jej ramion, podszedł do niej od przodu i przyjrzał się jej uważnie.

- Złącz nogi w taki sposób, żeby kostki się stykały. A ręce opuść lekko na kolana.

Tamsyn wykonała te polecenia z przesadną dokładnością i siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie.

- Odpręż się!

- Jak mam się odprężyć, siedząc w ten sposób?! - syknęła, prawie nie otwierając ust, toteż jej twarz pozostała równie nieruchoma jak reszta postaci.

Juliana wcale to nie rozbawiło.

- Jeśli będziesz robić sobie z tego kpiny, umyłam ręce i rezygnuję z całej tej niemądrej umowy. Możesz mi wierzyć albo nie, ale znam lepsze sposoby spędzania czasu niż wychowywanie nieokrzesej rozbójniczki. Wstawaj!

Tamsyn usłuchała. Pułkownik najwyraźniej nie miał ochoty na żarty. Stała z rękami zwisającymi bezwładnie i spoglądając wprost przed siebie, czekała na dalsze instrukcje. Robiła, co mogła, by twarz jej była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Na litość boską, nie garb się tak! - Zniecierpliwiony pociągnął znów jej ramiona do tyłu. -I nie wystawiaj pupy!

Trzepnął ją po pośladkach.

- Można by pomyśleć, że jestem z drutu! - sarknęła Tamsyn. - Moje ciało tak się nie wygina!

- Dajże spokój, jaskierku! Widziałem twoje zdumiewające wyczyny akrobatyczne - stwierdził Julian i cofnąwszy się o krok, przyjrzał się jej krytycznie. -A teraz uśmiechnij się!

Tamsyn uśmiechnęła się sztucznie, wyciągnęła jak najdalej szyję, wygięła ramiona do tyłu i ścisnęła pośladki.

- Taaak?

- Dobry Jezu! - wymamrotał, usiłując powstrzymać się od śmiechu.

Zerknął znów na Tamsyn. W samą porę, by dostrzec jej triumfalny uśmiech, zanim starła go z twarzy, próbując zachować należytą powagę.

- To nie żarty!

- Nie! - przytaknęła. - Oczywiście, że nie!

Ale wargi drżały jej podejrzenie.

- Jeśli sama nie dasz sobie z tym rady, potrzebna ci będzie jakaś pomoc - oświadczył Julian. - Powiedzmy, deska na plecy.

— Co takiego?!

Opuściła ją cała ochota do śmiechu.

- Deska do noszenia na plecach - wyjaśnił z powagą. - Zalecana przez większość guwernantek. Przywiązuje się ją dziewczętom do pleców, żeby zapewnić właściwą postawę. Oczywiście zazwyczaj są to panienki znacznie młodsze od ciebie, ale i tobie mogłaby się przydać.

- To barbarzyństwo! - wykrzyknęła Tamsyn.

- Nic podobnego. Moja siostra nosiła taką deskę po kilka godzin dziennie przez rok czy dwa - odparł z uprzejmym uśmiechem. - Udam się do miasta i obstatuję dla ciebie podobną. Będiesz ją nosić każdego ranka, a jeśli nie da to pożądanego efektu, trzeba będzie chodzić z nią przez cały dzień.

Tamsyn spoglądała na niego w pełnym napięcia milczeniu. Zorientowała się, że będzie to prawdziwa wojna... A tak pragnęła zrobić z tego zabawę, choć wszystko miało służyć bardzo poważnym celom!

- Zanim jednak obstatuję tę deskę, spróbujemy czegoś innego - ciągnął Julian z pozorną bez troską.

Zbliżył się do półek z książkami i wybrał dwa ciężkie, oprawne w skórę tomy.

- Podejdź no tu!

Tamsyn podeszła, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Stój spokojnie! - Ostrożnie umieścił jej na głowie oba tomy. - A teraz przejdź się po pokoju tak, by książki nie spadły. Musisz trzymać głowę wysoko i nie poruszać nią. Dzięki temu nauczysz się także chodzić drobnym kroczkiem, zamiast hasać po pokoju jak rozpuszczony psiak.

Tamsyn wciągnęła raptownie powietrze, zacisnęła jednak wargi i nie dała się sprowokować. Szyja jej chwiała się pod ciężarem książek. Uparcie

wpatrywała się w jakiś sęczek w boazerii i starała się utrzymać równowagę. Jeśli pułkownik chce ją w ten sposób zmusić, by zrezygnowała ze swego planu, to przekona się, że jest znacznie bardziej wytrzymała, niż mu się zdaje! Zrobiła ostrożny krok... Książki zadrżały, ale nie spadły.

Julian uśmiechnął się od ucha do ucha i usadowił się na kanapie, po czym wziął do ręki porzuconą gazetę.

- Godzina takich ćwiczeń z pewnością da znakomity skutek - oświadczył. - A kiedy już nauczysz się trzymać plecy prosto, przejdziemy do dygania. Będzie ci to potrzebne, jeśli chcesz być prezentowana na królewskim dworze.

Tamsyn burknęła coś pod nosem. W duchu natomiast przeklinała, ile wlezie, wymyślając swemu preceptorowi od nadętych, mściwych, odróżających kundli. Chodziła po pokoju w tę i z powrotem, starając się, by książki nie spadły. Kilkakrotnie jednak zwały się na dywan z głośnym hukiem. Pułkownik odrywał wówczas wzrok od gazety, czekał, aż Tamsyn je podniesie i podejmie znów swój spacer, po czym wracał do lektury.

Bolał ją kark, a ramiona zdrętwiały. Miała wrażenie, że od tych cholerycznych książek zrobi się jej dziura w czaszce... Spojrzała na zegar i przekonała się, że minęło zaledwie piętnaście minut. Cóż za straszliwa tortura! Nawet konna jazda w skwarze hiszpańskiego lata, bez wody, kiedy muchy łążą po spoconej twarzy, a każdy mięsień jest obolały, nie mogła się z nią porównać!

Nie bądź głupia! To wcale nie jest takie straszne. Wytrzymałaś przecież gorsze rzeczy, chociaż nigdy nie wyglądałaś przy tym równie głupio jak teraz. Ten przeklęty Anglik chce, żebyś skapitulowała, ale ty nie możesz się poddać... choćbyś w tej chwili miała na to ochotę!

Julian bez trudu odgadywał myśli Tamsyn. Były wypisane na jej wyrazistej twarzy. Obrzydzenie zmagало się w niej z determinacją. Pułkownik odchylił się do tyłu, splótł dłonie na karku i przyglądał się dziewczynie spod opuszczonych powiek, obmyślając inne diaboliczne metody ujarznienia jej. Prezentuje się bardzo wdzięcznie w tej sukni, myślał z rozmarzeniem. Fałdy muślinu tuszowały muskularność jej wysportowanego ciała, nie umniejszając w niczym gracji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tamsyn natychmiast przerwała swój spacer i zdjęła z głowy książki.

Wkroczył Hibbert, majordomus.

- Mamy gości, wasza lordowska mość. Pani i panna Marshall, lord i lady Pendragon, proboszcz wraz z małżonką.

Spojrzał ukradkiem na Tamsyn. Cała służba snuła domysły na temat tej młodej damy, jej cudzoziemskiej pokojówki oraz ogromnego Szkota, który rządził się jak szara gęś. Lord St Simon powiedział tylko, że panna Tamsyn znajduje się pod jego opieką i spędzi lato w Tregarthan przed swym londyńskim debiutem w październiku.

Julian skrzywił się niezadowolony. Pewnie w każdej kuchni w sąsiedztwie od rana aż wrzało z powodu sensacyjnych nowin z Tregarthan. A to, o czym dyskutowano w kuchni, docierało na pańskie pokoje wraz z poranną czekoladą. Miejscowi plotkarze nie zwlekali długo - przybyli, by zbadać sprawę osobiście.

- Wprowadziłeś ich do salonu, Hibbert?

- Oczywiście, wasza lordowska mość.

- Zaraz się tam zjawię. Przynieś butelkę burgunda z 1698 roku dla lorda Pendragona i wielebnego Thorntona. Dla pań herbatę... chyba że będą wolały ratafię. Mamy ratafię? - upewnił się.

- Takjest, milordzie. Panna Lucy ma do niej prawdziwą słabość, może sobie wasza lordowska mość przypomina, toteż zawsze trzymamy kilka butelek w piwnicy.

- Co to takiego ratafia? - spytała zaciekawiona Tamsyn, gdy majordomus się oddalił.

Wyraz obrzydzenia na twarzy Juliana jeszcze się pogłębił.

- Odrażająco słodki napitek.

- A kim jest ta panna Lucy?

- To moja siostra. - Stał przez chwilę, wpatrując się w Tamsyn i marszcząc brwi. - Musisz się im pokazać... chyba że mam oznajmić, iż źle się czujesz po podróży? - Pokręcił głową. - To na długo nie pomoże! Lepiej od razu wziąć byka za rogi.

- Przecież obracałam się już wśród ludzi! - protestowała Tamsyn, urażonego widoczną konsternacją.

- Drogie dziecko, uznają cię za dziwoląga - stwierdził bez ogródek. - Nie potrafisz nawet usiąść jak należy. - Spojrzał na zegar i zmarszczka najego czole pogłębiła sięjeszcze. - Pójdę, przywitam się z nimi i wyjaśnię im, kimjesteś - tak, jakeśmy to ustalili. A ty przyłączysz się do nas za jakieś dziesięć minut. Podczas prezentacji powinnaś się leciutko skłonić, o tak!

Pokazał, jak należy to czynić, a Tamsyn z powagą kiwnęła głową.

- A teraz ty! - polecił i przyglądał się bacznie, gdy naśladowała jego ruchy. - No... nie najlepiej, ale nie mamy wyboru - orzekł. - Z tego, co im

powiem, wywnioskują, że jesteś nieśmiałą i stroniącą od ludzi córką hidalga, wychowaną w klasztorze.

Ruszył ku drzwiom, ale zatrzymał się, gdyż coś mu się przypomniało.

- Musisz mieć nazwisko! „Panna Tamsyn” wystarczy dla służby, ale nie dla reszty świata. Jak ty się właściwie nazywasz?

Tamsyn wzruszyła ramionami.

- Nie mam nazwiska. O moim ojcu wszyscy mówili po prostu El Baron.

- Wobec tego będziesz córką señora Barona - odparł szorstko. Podszedł znów do niej i wziął ją pod brodę. Jego oczy spoglądały surowo, niemal groźnie. - Jedno niestosowne słowo lub gest w obecności tych ludzi, *muchacha*, a wylecisz z mego domu raz na zawsze. Jasne?

- Dlaczego miałabym się niestosownie zachowywać? - spytała ze zdumieniem. - Przecież to nie leży w moim interesie!

- Istotnie, ale lepiej pamiętać o tym. Nigdy nie mówiłem bardziej serio. Jedno niebaczne słówko, i już cię tu nie ma! Muszę dbać o swoją opinię. Nie będę jej narażał na szwank ze względu na ciebie.

Popatrzył na nią groźnie, a potem wyszedł z biblioteki.

Tamsyn pospiesznie odłożyła ciężkie tomy na biurko. Co on sobie wyobraża?! Myślał, że rzuci mu się na szyję albo zacznie czulić się do niego i przy ludziach?! A może boi się tego, że niechcący obrazi jego gości? Oczywiście, było to możliwe: nie wiedziała przecież, czym ci obcy ludzie mogą się zgorzyc. Jej lekcje dobrych manier dopiero się zaczęły.

Stanął na palcach, by przejrzeć się w lustrze wiszącym nad kominem. Przeczesała włosy palcami. Grzywka naprawdę była za długa! Jak powinna się zachowywać wychowanka klasztoru, córka hidalga? Próbowwała uśmiechnąć się nieśmiało, ale nie wyglądało to zbyt przekonująco. Może lepiej udawać, że nie zna dobrze angielskiego? To powinno ją ustrzec od mimowolnych błędów! Będzie siedzieć cichutko, uśmiechać się i kiwać głową, jakby chciała być uprzejma, choć niewiele rozumie.

Opuściła bibliotekę i udała się do salonu na drugim końcu wielkiego hallu. W ostatniej chwili przypomniała sobie o właściwej postawie. Ramiona do tyłu, wciągnąć pupę, głowa jak najwyżej, szyja wyprostowana... *Por Dios!** Kto by to wszystko spamiętał?!

Otworzyła po cichu drzwi salonu i zatrzymała się nieśmiało na progu, czekając, aż ktoś ją zauważy. Serce zabiło jej szybciej, gdy uprzytomniła

obie, że gra zaczyna się na dobre. Przyglądając się uważnie grupce osób /obranych w przeciwległym końcu pokoju, zrozumiała, jak trudne czekają zadanie. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z takimi ludźmi... Co sobie pomyśla, gdy wreszcie ją zauważą?... Jedno nie ulegało wątpliwości: mimo że ubrała się tak jak oni, nie była jedną z nich! Wyróżniało ją coś nieuchwytnego, coś, co wynikało z jej sposobu życia i życiowych celów. Było to jak nieścieralne piętno.

W salonie zauważyła trzy matrony w średnim wieku, w ciemnych sukniach i koronkowych czepkach. Czwarta kobieta miała na sobie spacerową suknię z beżowego batystu i słomkowy kapelusik. Mimo jej młodego wieku, można było poznać z jej postawy i sposobu ubierania się, że z wiekiem stanie się bliźniaczo podobna do tych szacownych matron. Tamsyn natomiast nigdy nie będzie ich przypominać. Czuła się istotą tak odmienną, jakby przybyła tu z odległej gwiazdy.

Lord Pendragon i proboszcz stali przed wygaszonym kominkiem, delektując się winem. Obaj byli korpulentni i mieli zadowolone miny osób, które znają swą pozycję w świecie. Wielebny Thornton pierwszy dostrzegł Tamsyn.

- A! - huknął jowialnie. - Otóż i nasza mała cudzoziemka!

Pułkownik wstał z krzesła, które wydawało się zbyt kruche dla kogoś tak potężnie zbudowanego.

- Pozwól, Tamsyn, że przedstawię cię naszym gościom. - Podeszedł do niej z poważnym wyrazem twarzy. - Opowiadałem im właśnie o nieszczęściach, jakie cię spotkały.

- *Perdon!* - odezwała się Tamsyn, wyraźnie zmieszana. - *No comprendo, señor St Simon**.

Julian był tak zaskoczony, że omal nie wybuchnął śmiechem. Zdołała jednak zachować powagę i spoglądała na gości z lekliwym uśmiechem.

Ręka Juliana zacisnęła się na jej ramieniu.

- Przekonasz się, jak dużo rozumiesz, jeśli będziesz słuchać uważnie - powiedział z naciskiem. - Panie i panowie, oto señorita Tamsyn Baron!

Tamsyn uśmiechała się niepewnie podczas całej ceremonii zawierania znajomości i skłaniała głowę całkiem zgrabnie i z należytą powagą, choć kojarzyło jej się to z ruchami wytrwale dziobiącej kury. Wiedziała, że wszystkie matrony bacznie się jej przyglądały, gdy uśmiechała się do

* *Perdon? Non comprendo, señor St Simon*, (hiszp.) - Przepraszam? Nie rozumiem, panie St Simon.

nich i kłaniała im. Przyglądał się jej uważnie także lord Pendragon, ale jego zainteresowanie miało całkiem inny charakter. Choć wiedział, że Tamsyn znajduje się pod opieką St Simona, automatycznie uznał ją za zwierzynę łowną, ponieważ była młoda i niebrzydka. Proboszcz ujął ją za rękę i perorował z namaszczeniem, że choć -jak sądził -jest katoliczką, ma nadzieję, że nie będzie się czuła obco w tutejszym kościele. Anglikanie z jego parafii należą do Wysokiego Kościoła*, on sam z radością wysłucha jej spowiedzi, jeśli będzie to dla niej pociechą duchową.

Tamsyn spuszczała skromnie oczy i mamrotała coś niezrozumiale. Wyraźnie jej ulżyło, gdy przysła kolej na pannę Marshall. Ta uśmiechnęła się do niej serdecznie, bez odrobiny krytycyzmu.

- Biedactwo! Jakie tu wszystko musi być obce dla pani... I jak to smutno opuszczać rodzinne strony!

- *Perdon?*

Tamsyn spojrzała pytająco na Juliana, który zgrzytnął zębami, ale przetłumaczył.

- *Ah, muy amable!*- unosiła się Tamsyn, ściskając serdecznie podaną jej rękę. Aż za serdecznie, sądząc ze zdumionego spojrzenia panny Marshall, która nie przypuszczała, że ta drobna istotka ma tyle krzepy.

- Tamsyn zniosła to bardzo dzielnie - oświadczył Julian. - Siadaj, *nina!* - Popchnął ją na krzesło, a oburzenie Tamsyn sprawiło mu wyraźną satysfakcję. - Prawdę rzekłszy, ona zna angielski całkiem dobrze, tylko boi się mówić, by nie popełniać śmiesznych pomyłek. - Uśmiechnął się do niej, ale jego spojrzenie mówiło wyraźnie: „Jeszcze się z tobą porachuję!”

Tamsyn zmieszała się uroczo.

- Senor jest... jest... *muy amable*...

- Nie przesadzaj! - odparł gładko Julian i odwrócił się do swoich gości. - Jeśli będą państwo mówić powoli, Tamsyn bez trudu pojmie, o co chodzi.

Hester Marshall pokiwała głową ze zrozumieniem i spytała głośno i bez pośpiechu:

- Czy pani lubi jeździć konno, panno Baron?

* Nurt w Kościele anglikańskim najbardziej zbliżony do Kościoła rzymskokatolickiego: ozdobne wnętrza i bogatsze szaty liturgiczne, nastrojowość i wspaniałość ceremonii, w odróżnieniu od skromności i prostoty Kościoła Niższego (przyp. tłum.).

** *Ah, muy amable* (hiszp.) -Ach! Bardzo miło.

- Jeździć? - Tamsyn zmarszczyła brwi. - *A caballo?** Och, *si!* Lubię... bardzo, a bardzo, ale señor St Simon mówi, że ja to źle robię.

Spojrzała na pułkownika z wyrzutem.

- O, jestem pewna, że lord St Simon znajdzie dla pani spokojnego konika! - zapewniła ją ciepło Hester. - Musimy wybrać się razem na przejażdżkę. Ja też wolę kłus od galopu, więc nie grożą pani jakieś ryzykowne wyczyny!

Tamsyn z trudem przełknęła ślinę, a Julian wtrącił:

- To będzie dla ciebie doskonała rozrywka, *niña!* Z pewnością przypadnie ci do gustu, zwłaszcza teraz, gdy pogoda się poprawiła.

- To prawda, było okropnie - przytaknęła pani Marshall. - Dzierżawcy rozpaczali, że zbiory się zmarnują! Na jak długo rozstał się pan z armią, milordzie?

- Mam przeprowadzić pewne negocjacje w Westminsterze w imieniu księcia Wellingtona - wyjaśnił Julian. - A poza tym księciu zależy na tym, by Tamsyn całkiem się tu zadomowiła, nim powrócę do armii. On również znał jej ojca. Mam nadzieję, że z początkiem sezonu namówię Lucy, by opiekowała się Tamsyn.

To było całkiem coś nowego!

- *PerdorP.* - odezwała się Tamsyn. - Proszę... *No comprendo!*

Jak się z tobą rozprawię, jaskierku, to ci się naprawdę wszystko popłacze! - poprzysiągł sobie w duchu Julian.

- Lucy to moja siostra - przypomniał jej z całym spokojem.

- *Ah, si!*

Odchyliła się na oparcie fotela i skrzyżowała nogi, uśmiechając się promiennie.

Lady Pendragon spojrzała na nią zaszokowana, ale Julian pospiesznie zasłonił swą podopieczną, dolewając proboszczowi wina. Kopnął przy tym Tamsyn w kostkę. Dziewczyna natychmiast usiadła prosto i złożyła ręce na podołku.

- A gdzie się pani kształciła, panno Baron? - spytała powoli i wyraźnie lady Pendragon.

Tamsyn zamrugała oczami i zmarszczyła czoło, usiłując zrozumieć, o co tamtej chodzi. Potem skinęła głową i rozpromieniła się, jakby zrozumiała pytanie. Zaczęła trajkotać po hiszpańsku, uśmiechając się i gestykulując, podczas gdy całe towarzystwo spoglądało na nią z konsternacją.

A caballo (hiszp.) - na koniu.

Nikt niczego nie rozumiał. Kiedy umilkła, sześć głów zwróciło się w stronę pułkownika, który - z błyskiem ironii w niebieskich oczach - stał oparty o gzyms kominka.

- W klasztorze, łaskawa pani - wyjaśnił. - O bardzo surowej regule, położonym na szczycie góry. Wychowanki nie widują tam prawie nikogo prócz zakonnic. Matka Tamsyn zmarła, gdy dziewczynka miała zaledwie dziesięć lat. Wysłano ją do klasztoru zaraz po śmierci señory Baron. Potem, gdy córka skończyła osiemnaście lat, ojciec odebrał ją stamtąd, chcąc udać się wraz z nią do Madrytu; miała być prezentowana u dworu.

Tamsyn żywo przytakiwała, zaciskając ręce spoczywające na podołku. W jej fiołkowych oczach odbijało się mnóstwo uczuć, podczas gdy Julian tłumaczył jej słowa.

- Niestety, señor Baron zmarł nagle i powierzył córkę opiece dwóch swoich przyjaciół, księcia Wellingtona i mojej.

- *Si... si!* - potwierdziła Tamsyn, uśmiechając się promiennie do Juliana, po czym zaczęła znów trajkotać po hiszpańsku.

- Uznaliśmy, że będzie lepiej, by udała się do Anglii... przynajmniej do czasu, aż wojna w Hiszpanii dobiegnie końca - podsumował pułkownik bez cienia emocji.

Choć był zły na Tamsyn za te komedie, musiał przyznać, że dziewczyna sprytnie wymyśliła historyjkę, która potwierdzała jej arystokratyczne pochodzenie.

- Ach tak? - odezwała się słabym głosem lady Pendragon. - Los do prawdy uwziął się na panią, panno Baron.

- Wybacz, drogie dziecko, ale czy była pani niedawno chora? - zagadnęła pani Thornton, pochylając się ku Tamsyn i klepiąc ją przyjaźnie po kolanie.

Tamsyn przez chwilę wydawała się zaskoczona tym pytaniem, potem odpowiedziała znów po hiszpańsku i skinęła na Juliana, by przetłumaczył, co uczynił bez sprzeciwu.

- Powiada, że nigdy w życiu nie chorowała, łaskawa pani - wyjaśnił.

- Zastanawiałam się tylko, bo to jej uczesanie... takie niezwykle...

Ciekawe, jak Tamsyn wykręci się tym razem? Rzucił jej pytające spojrzenie.

- O, to klasztorny zwyczaj! - zaimprovizowała bez zwłoki Tamsyn. - Siostry nalegały, by obcinać włosy bardzo krótko. Żeby uchronić się od grzesznej próżności, rozumie pani?

- Godne najwyższej pochwały! - odparła pani Thornton, wymieniając spojrzenia ze swym wielbnym małżonkiem, kiedy lord St Simon z twarzą doskonale obojętną przetłumaczył jej odpowiedź Tamsyn. ~ Nieraz ubolewaliśmy na probostwie nad tym, że w obecnych czasach młode dziewczęta zbyt wiele myślą o swym wyglądzie. Nie mówię o Hester, oczywiście! To prawdziwy wzór cnót. I bierze taki żywy udział w życiu parafialnym!

- Lady Fortescue przedstawi pannę Baron u dworu, milordzie? - zainteresowała się pani Marshall, przyjąwszy komplement pod adresem córki z wyraźnym zadowoleniem.

- Mam nadzieję - odparł sucho pułkownik. - Chciałbym jak najprędzej powrócić do służby czynnej.

- Co sądzisz o przebiegu tej kampanii na półwyspie, St Simon? - zagadnął lord Pendragon i mężczyźni z zapałem wdali się w dyskusję na temat wojny.

Tamsyn siedziała skromnie i milczała, podczas gdy pozostałe damy rozmawiały między sobą, od czasu do czasu zwracając się do niej z uśmiechem, żeby nie czuła się całkiem wyobcowana. Ich konwersacja była jednak dla Tamsyn tak niezrozumiała, jakby rzeczywiście toczyła się w obcym dla niej języku. Rozmawiały o przepisach kucharskich, o najmodniejszym przybraniu sukni, o przywarach służby domowej. Tamsyn zaś nadstawiała ucha, starając się dosłyszeć jak najwięcej z dyskusji mężczyzn i nieustannie gryzła się w język, by nie włączyć się do tej, zdecydowanie bardziej interesującej, konwersacji.

- Mam nadzieję, że pańska podopieczna przyjdzie wraz z panem do kościoła, milordzie?

Pani Thornton naciągała rękawiczki, ponieważ goście zbierali się wreszcie do wyjścia.

- Tamsyn będzie się modlić w naszym kościele, ponieważ nie ma tu swojego - odparł Julian z całym spokojem. - Czyż nie tak, *niña*?

- *Perdon*? - zaszczębiotała słodko Tamsyn, trzepocząc bujnymi rzęsami i spoglądając na niego niewinnie.

W odpowiedzi rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Pozostała dyskretnie w tyle, gdy odprowadzał gości do ich powozów.

- Czy to drogie dziecko ma jakąś przyzwoitkę? - zatroszczyła się pani Marshall, gdy Julian pomagał jej wsiąść do powoziku.

- O tak, nieugiętą hiszpańską damę - zapewnił ją z całą powagą Julian. - A jakby tego nie było dosyć, Tamsyn ma też osobistą ochronę -

prawdziwego olbrzyma rodem ze Szkocji, który ma za zadanie odstraszać od niej nieznanym. Pewien jestem, że w okolicy niebawem zaczną o nim rozprawiać. Gabriela trudno nie zauważyć!

Pani Marshall zastanowiła się przez chwilę, potem zaś skinęła głową, jakby w pełni aprobowała taką sytuację. Jej córka wsiadła również do powozu i zajęła miejsce obok niej.

- Do widzenia, panno Baron! - Hester wychyliła się jeszcze, wyciągając rękę do Tamsyn. - Musimy niebawem wybrać się na przejażdżkę!

- Tak - odparła bohatersko Tamsyn, ściskając jej dłoń z mniejszą energią niż poprzednio. - I proszę... proszę mówić mi Tamsyn. Tak jest *my bien*, o wiele milej, *si*?

- Tamsyn - powtórzyła Hester z uśmiechem. - Takie śliczne kornwalijskie imię! Lord St Simon wspomniał, że rodzina twojej matki pochodziła z tych stron. Mów mi Hester! Jestem pewna, że zostaniemy serdecznymi przyjaciółkami.

Powozy potoczyły się po podjeździe, a Tamsyn energicznie machała ręką na pożegnanie, stojąc u boku St Simona.

- Załatwione, wracamy do domu! - zwrócił się do niej Julian, skoro tylko goście odjechali. Objął ją ramieniem w tali i pociągnął do wnętrza domu. - Powiedz mi, co u diabła to wszystko miało znaczyć?!

- Wydawało mi się, że to najlepsze rozwiązanie - tłumaczyła się Tamsyn z miną ucieleśnionej niewinności, gdy zaciągnął ją z powrotem do biblioteki i trzasnął drzwiami tak, że omal nie wypadły z zawiasów. - Bałam się, że niechcący powiem coś nie tak... albo ich obrażę, bo nic przecież nie wiem o Anglikach... więc pomyślałam, że im mniej będę mówić, tym lepiej... a ty nie przestajesz się niepokoić. - Położyła mu rękę na rękawie. - Ależ byłeś groźny, pułkowniku!

- Nie udawaj przede mną naiwnej! - warknął. - Kpiłaś sobie w żywe oczy z nich... i ze mnie!

- Wcale nie! - zaklinała się Tamsyn. - Jeśli się zastanowisz choć przez chwilę, zrozumiesz, że to najlepsze rozwiązanie, jeśli tylko nie wypadnę z roli. Kiedy się milczy, nie można powiedzieć nic głupiego! I wszyscy przyzwyczajają się do tego, że jestem dziwaczna, więc nie będą brali mi za złe osobliwego zachowania. A w tym czasie, gdy będziesz mnie uczył dobrych manier, mogę udawać, że ślęcę nad angielskim... I w chwili mego debiutu, czy jak tam się to nazywa, będziesz mógł już spokojnie puścić mnie samopas!

- Puścić cię samopas?! - burknął Julian. - Dobry Boże! - Odgarnął niecierpliwie rudy kosmyk, opadający mu na czoło. - Równie dobrze mógłbym wpuścić kobrę do mysiej nory!

- Och! - wykrzyknęła Tamsyn. - Cóż za okropne porównanie! I w ogóle, co ci się nie podoba w moim pomysłe? Znakomicie pomoże ukryć moje braki w wychowaniu.

Julian pokręcił głową, pokonany. Musiał przyznać, że Tamsyn miała rację, ale nie chciało mu to przejść przez gardło. Podszedł do kredensu i nałóż sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Przez minutę przyglądał się Tamsyn w pełnym napięcia milczeniu.

- I jeszcze jedno! - dodała z nieoczekiwaną stanowczością. - Jeśli znowu powiesz do mnie *nińa*, choćby raz, wyrwę ci język!

- Ależ, moja droga! Jest to najbardziej odpowiedni epitet ze względu na rolę, którą odgrywasz z takim uporem! - oświadczył impertynencko Julian. - Mała niema sierotka usiłująca przywyknąć do niepojętych zwyczajów wielkiego świata po tylu latach odosobnienia w klasztorze na szczycie góry, gdzie zmagająca się z grzechem próżności!

Tamsyn przyjęła postawę obronną.

- Według mnie to bardzo dobry pomysł!

- O, ty w ogóle jesteś bardzo pomysłowa, *nińa!* - odparował.

Usta drżały mu ze śmiechu, gdy rozwścieczona Tamsyn rzuciła się ku niemu.

Objął ją w pasie i podniósł do góry.

- Nasza pomysłowa rozbójniczka będzie kłusować dostojnie po polnych drózkach na spasionym kucu, bo przyznała, że zdaniem señora St Simona nie jeździ zbyt dobrze!

- O, nie! - lamentowała Tamsyn, wierzgając nogami.

- O, tak! - odpowiedział z szerokim uśmiechem. - Pomysłowe łgarstwa mszczą się na kłamczuchu, *muchacha!* Teraz po prostu nie możesz pokazać się na Cezarze!

- W takim razie będę jeździć konno po nocy! - oświadczyła kompletnie zde gustowana. - Puszczaj!

Pozwolił, by niemal wyślizgnęła mu się z rąk. Jego kpiący uśmiech zgasł, gdy palce musnęły wypukłość jej piersi. Pod tym dotknięciem uraza zniknęła również z jej fiołkowych oczu. Tamsyn dotknęła stopami dywanu, Julian przesunął kciukami po jej piersiach okrytych delikatnym muślinem. Sutki natychmiast nabrzmiały, wrażliwe jak zawsze, a jej wargi rozchyliły się.

- Tutaj? - szepnęła z podnieceniem w głosie. - Teraz?

Dochodziło południe. Znajdowali się w środku tętniącego życiem do mu. Julian wyjrzał przez okno. Jeden z ogrodników pielął rabatki w zasięgu jego wzroku.

Julian spojrzął na uniesioną ku niemu twarz Tamsyn. Płoneła z pożądania, wzrok jej wyrażał zuchwałe zaproszenie. Przytulona do niego poruszyła zalotnie biodrami, przyprawiając go o dreszcze. Zabrakło mu tchu.

- Oprzyj się o drzwi! - polecił spiesźnie, groźnym tonem. - Prędko! Naparł na nią i bez ceregieli poddał jej spódnicę aż do pasa.

- Tego właśnie chcesz, Violette?

- Tak! - szepnęła.

- I tego?

Ręka Juliana wślizgnęła się pomiędzy jej uda, jego dotknięcie parzyło ją przez wilgotny materiał.

- Tak! - odparła cichutko.

Oczy jej płonęły, skóra wydawała się prześwietlona światłem, gdy stała tak przed nim bez ruchu, po raz pierwszy nie przejawiając własnej inicjatywy.

Było to czyste szaleństwo. Pantalony opadły jej do kostek, nogi rozchyliły się pod naporem jego niecierpliwych dłoni. Palce Juliana sunęły po jej ciele i poruszały się wewnątrz niego, aż zatraciła się w szkarłatnej mgle. Odrzuciła głowę do tyłu i oparła ją o drzwi. Wysunęła biodra do przodu, ku jego ciekawskim, poszukującym dłoniom. Muskał wargami i drażnił zębami delikatny łuk między jej szyją a ramieniem. Tamsyn wydała cichy, gardłowy okrzyk - i nagle był już w niej. Oparła się mocniej o drzwi, krew tętniła jej w uszach... Julian zamknął jej usta pocałunkiem, tłumiąc dziki krzyk rozkoszy, nim się wydobył z jej warg.

A potem było już po wszystkim. Stała drżąca, kolana się pod nią ugięły, suknia przylgnęła do spoconego ciała. Julian uśmiechał się leniwie, zmysłowo, z satysfakcją.

- Co by na to powiedzieli w tym twoim klasztorze? - szepnął.

Tamsyn pokręciła tylko głową. Tym razem lord Julian St Simon pokonał ją definitywnie. Pozbawił ją mowy.

St Simon wrócił do Tregarthan - oznajmił Cedric Penhallan, badając bukiet wina nalanego do kieliszka, po czym skinął głową z aprobatą. Majordomus napełnił kieliszki bliźniaków, siedzących przy owalnym stole naprzeciw siebie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca błysnęły w szafirowym sygnecie, gdy wicehrabia uniósł w górę swój kieliszek.

- Widzieliśmy go dziś rano!

Dawid nałożył sobie na talerz gołębia.

- Golutki jak święty turecki, baraskował na plaży z jakąś dziwką - uzupełnił Charles z gardłowym chichotem.

- Byliście w Tregarthan?

Czarne oczy Cedrica stały się nieprzejrzyste jak agaty, wokół mięsistych ust pojawiła się biała obwódka.

Charles spurpurowiał.

- Tylko na szczycie skały nad zatoczką. Strzelaliśmy do wron i tak jakoś, przypadkiem, wjechaliśmy na jego grunty...

- Nie wierzę w takie przypadki, mój panie! - oświadczył stryj z niewróżącym nic dobrego spokojem.

- Nie mieliśmy pojęcia, że St Simon jest znowu w domu, stryju - wtrącił Dawid takim tonem, jakby miał pretensję do całego świata. - Nie było go tu od dwóch lat... Wpadł tylko jak po ogień na ślub siostry.

- Dwa lata temu ostrzegł was, żebyście trzymali się z dala od jego posiadłości - stwierdził Cedric z tym samym co poprzednio morderczym spokojem. - Pamiętacie, z jakiego powodu?

Spojrzał gdzieś w przestrzeń pomiędzy bratankami. Jego czarne oczy pełne były pogardy.

Nie otrzymał odpowiedzi. Obaj młodzieńcy wbili wzrok w talerze. Majordomus usunął się dyskretnie w cień.

- No i co? - ponaglił ich cichym głosem Cedric. - Przynajmniej jeden z was musiał to przecież zapamiętać!

Obaj bracia poruszyli się niespokojnie. W końcu odezwał się Dawid, nadąsany jak zwykle.

- To była zwykła dziwka! Zabawiliśmy się z nią, i to wszystko.

- Doprawdy?

Stryj uniósł brwi. Utkwił wzrok w półmisku z rzeczonymi pstrągami w maśle, wybrał największego i położył go na swoim talerzu. Przez kilka

minut jadł w pełnej napięcia ciszy. Nikt oprócz niego nie poruszył się, go łąb na talerzu Dawida stygł w krzepnącym sosie.

- Zabawiliście się, i to wszystko? - powtórzył w zadumie wicehrabia. - Zaatakowaliście dziecko... Ileż to ona miała lat? Zdaje się, że czternaście?

Znów spojrział w przestrzeń pomiędzy bratankami i czekał na odpowiedź.

- Aż się do tego paliła! - odpowiedział Charles. - Jej matka była dziwką, wszyscy to wiedzieli!

- O?... A ja myślałem, że jej matka zmarła rok wcześniej - wtrącił Cedric takim tonem, jakby prosił o wyjaśnienie. - Zdawało mi się, że ta mała była pod opieką ojca... bardzo poważanego przez sąsiadów. To jeden z dzierżawców St Simona, wielce przez niego ceniony. Ale może jestem w błędzie.

Dał znak majordomusowi, by znowu napełnił mu kieliszek.

- No więc jak, mój panie? Myliłem się?

Wbił czarne oczy w Dawida, który spuścił wzrok, starając się ukryć przepełniającą go nienawiść.

- Nie - wymamrotał wreszcie. - Ale skąd mogliśmy to wiedzieć?!

- Nie mogliście, oczywiście. - Cedric powiedział to niemal pocieszającym tonem. - Kiedy ją zgwałciliście, pobiliście i zostawiliście nagą na plaży, ledwie żywą, nie mieliście pojęcia, rzecz jasna, że zadarliście z jednym z dzierżawców St Simona!

Wicehrabia z pozornym spokojem pociągnął znowu łyk wina, pozwalając, by milczenie narastało wokół nich. Odkroił kawałek pasztetu z gołębi, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że nikt prócz niego nie ma apetytu.

- Zrozumiałe, że nie wiedzieliście o tym - powtórzył. - Tak samo jak nie przyszło wam do głowy, że ta dziewczynka mogła się komuś zwierzyć... Albo że wiedziała, kto się z nią tak zabawił w to długie letnie popołudnie! I oczywiście nawet wam nie przemknęło przez myśl, że wszyscy was znają w tych stronach. Przecież nie mieszkacie tu zbyt długo... zaledwie od dzieciństwa!

Głos wicehrabiego nabrał nagle ostrości, stał się gniewny i szyderczy.

- Nic mnie nie obchodzi, co wyprawiacie, przekłete półgłówki! Możecie zgwałcić połowę bab w Anglii, jeśli chcecie! Ale nawet pies nie paskudzi na swoim podwórku, do wszystkich diabłów!

Obaj bracia wciągnęli raptownie powietrze, poczerwienieli i zaraz potem zbledli. Cedric uśmiechnął się, spodobała mu się gniewna reakcja bliź-

niaków na to poniżenie w obecności służby, a jeszcze bardziej strach, który zmusił ich do przełknięcia zniewagi, choć zwiększyło to jeszcze jego pogardę.

Tylko Celia, jedyna z Penhallanów, ośmieliła się stawić mu czoło.

Nagle sprzykrzyło mu się dręczenie bratanków. Myślał już tylko o Celi. I o dziewczynie, którą wczoraj zobaczył i pomyłkowo wziął za Celie. Co za absurd! Pamięć zaczynała go już zawodzić. Zmyliły go jasne włosy i drobna postać. Niemniej jednak było to zadziwiające podobieństwo... Dziewczyna mniej więcej w tym wieku co Celia, gdy postanowił się jej pozbyć. Właśnie dlatego zrobiło to na nim takie wrażenie.

Podróżowała z St Simonem... Wicehrabia spojrzął znów na swoich bratanków. W jego przenikliwych czarnych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Co mówiliście o podglądaniu St Simona i jakiejś ładacznicy?

Charles i Dawid wyraźnie się odprężyli. Stryjowi widocznie znudziło się już dręczenie ich.

- Kapali się dziś rano w zatoczce! - pospieszył z odpowiedzią Dawid.

- Nie widzieliśmy ich dokładnie ze szczytu skały, ale byli na golasa. Z tej dziewczyny taki chudzielec, że powinna być chłopakiem... tak sobie pomyśleliśmy! - zachichotał i zerknął na brata, żeby potwierdził jego słowa.

- Pomyśleliśmy, że St Simon przerzucił się w wojsku na chłopaczków! - dodał Charles z pogardliwym grymasem.

- Nie bądź idiotą! - skarcił go ze znużeniem stryj. - Jak wyglądała ta dziewczyna?

- Mała, z jasnymi włosami... - Charles usiłował czym prędzej naprawić swój błąd. - To wszystko, co udało się zobaczyć.

Cedric zmarszczył brwi i w zamyśleniu gładził się po brodzie. Ten rysopis pasował do dziewczyny, którą widział w Bodmin.

- St Simon miałby sprowadzić kochanicę do Tregarthan? - kręcił głowę. - To nie w jego stylu! Kto to może być, u diabła?

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wypowiedział te słowa na głos. Nie zauważył też spojrzeń, jakie wymienili bliźniacy. Poczuli się na tyle bezpiecznie, że zabrali się do jedzenia.

Cedric znów wrócił do wspomnień. Rzadko teraz myślał o siostrze, ale spotkanie w Bodmin spowodowało nawrót niepożądanych obrazów. Celia była bystra i mogłaby okazać się bardzo użyteczna, gdyby pozwoliła sobą pokierować. Otarł kroplę sosu z podbródka. Była jednak taka nieprzewidywalna... Żadnego poczucia obowiązku wobec rodziny! A kiedy zagroziła,

że go zniszczy, nie miał innego wyjścia. Musiał się jej pozbyć. Wielka szkoda, doprawdy... Przyjemnie byłoby cieszyć się teraz jej towarzystwem.. Zwłaszcza że otaczali go ludzie, którzy bali się nawet spojrzeć mu w oczy! Ci synowie jego brata...

Paskudne typki! Byli tacy od chwili, gdy roztoczył nad nimi opiekę. Mieli wtedy po siedem lat... Ale szczytem wszystkiego była ta napaść na dziewczynkę w posiadłości St Simona! Gdyby wtedy nie sypanął groszem, sprawa mogłaby wyglądać kiepsko. St Simon upierał się, by pociągnąć bliźniaków do odpowiedzialności karnej, ale ojciec uszkodzonej zgodził się przyjąć pokątną sumę i nie chciał zmienić zdania. Jednak St Simon poprzysiągł, że srogo ukarze młodych Penhallanów, jeśli przytapię ich znów na swojej ziemi. Cedric nie wątpił, że sąsiad nie żartuje.

Prawdę mówiąc - dumął wicehrabia, spoglądając na twarze bratanków - z przyjemnością byłbym świadkiem kary wymierzonej przez St Simona! Zła sława przylgnęła do bliźniaków na amen. Nic dziwnego, że żadna szanująca się rodzina nawet nie myśli o skoligaceniu się z nimi, mimo że noszą nazwisko Penhallanów.

- Przynies mi koniak do biblioteki - polecił majordomusowi, odsuwając krzesło od stołu, aż zgrzytnęło na dębowej posadzce.

Głos wicehrabiego i ten zgrzyt zabrzmiały jak uderzenie gromu po długiej ciszy.

Obaj bracia podnieśli się grzecznie z miejsc, gdy stryj - nie odezwałszy się do nich więcej - wychodził z jadalni. Kroczył za nim majordomus z karafką koniaku.

Lokaj umieścił porto w zasięgu ręki Charlesa, skłonił się i zostawił braci samych.

- Co ty na to, żebyśmy rozwiązali za Szefa tę zagadkę?

Charles napełnił swój kieliszek i popchnął karafkę po blacie stołu i w kierunku bliźniaka.

- Jaka zagadkę?

Dawid zmrużył oczy; były szkliste, podobnie jak u brata. Nie mieli co prawda zbytniego apetytu przy obiedzie, zwłaszcza na początku, ale wina sobie nie żałowali.

- Chodzi o tę dziwkę St Simona - wyjaśnił jego bliźniak, opróżniając kieliszek i sięgając znów po karafkę. - Szef chce się dowiedzieć, co ona za jedna, a my to wykryjemy. Będzie z nas zadowolony, jasne?

- Może nawet wdzięczny... - dodał Dawid. - Ale jak się tego dowiemy?

- Zapytamy ją. Bardzo grzecznie, rzecz jasna!
- No dobra! Zapytamy tę dziwkę bardzo grzecznie - przytaknął jego brat i mrugnął porozumiewawczo. - Ale jak to zrobić, kiedy nie mamy wstępu do Tregarthan?

Charles rozważył sprawę, wpatrując się w kieliszek porto, jakby odpowiedź kryła się w jego rubinowej głębi.

- Od czasu do czasu chyba stamtąd wychodzi? Przecież nie może tam tkwić wiecznie! Różne wizyty, sprawunki, takie tam...

- Chyba że St Simon trzyma ją nagusienką w gotowości bojowej - podsunął Dawid i zaśmiał się rubasznie.

Przez chwilę obaj rozważali, jakby to było mieć pod ręką taką naguskę, wyłącznie dla własnej przyjemności.

- To mi nie pasuje do St Simona - stwierdził w końcu Charles, niemal z zalem. - Cała służba by o tym wiedziała! Rozeszłoby się raz-dwa po całym hrabstwie.

- Będzie musiała kiedyś stamtąd wyleźć! I wtedy popytamy ją grzecznie, jak tylko się z nią spotkamy! - oświadczył Dawid. - A jak się dobrze postaramy, powie nam to, o czym Szeff chciał wiedzieć.

- Ale lepiej, żeby nie wiedziała, kim jesteśmy - zauważył rozsądnie Charles. - Szeffowi by się to nie spodobało... Nie po tamtym, wiesz?

- Włożymy maski! - zaproponował Dawid. - A może nawet i domina? To załatwi sprawę.

- Żadne domina! - sprzeciwił się Charles z całą powagą. - Nie da się tego schować do kieszeni, jak maskę. Maskę możesz mieć zawsze przy sobie i nikt się nawet nie domyśli.

- Racja! - zgodził się brat, doceniając praktyczne podejście Charlesa do sprawy. - Będziemy mieli stale pod ręką, a kiedy zobaczymy tę dziwkę, nakładamy maski i zadajemy kilka pytań.

Bardzo z siebie zadowoleni bracia zabrali się na dobre do picia porto.

- Pocztylion przyniósł list do ciebie! - Tamsyn wkroczyła następnego ranka do biblioteki, wymachując zapieczętowaną epistołą. - Od kobiety, poznaję to po charakterze pisma. Czy wszystkie damy z towarzystwa piszą z takimi zawijasami? Może i ja powinnam się tego nauczyć? - Zmierzyła list krytycznym spojrzeniem. - Bardzo wymyślne... I na niebieskim papierze! Czy to od twojej kochanki?

Julian bez słowa wyciągnął rękę po list. Tamsyn wręczyła mu go i przycupnęła na skraju biurka.

- Masz jakąś inną kochankę? Co prawda, do mnie to określenie jakoś nie pasuje, nie uważasz?

- Wątpię, by w języku angielskim znalazło się określenie odpowiednie dla ciebie - zauważył sucho. - Zejdź z biurka. To w bardzo złym tonie!

- Już się robi, jaśnie panie pułkowniku! - Zsunęła się ze swej grzędy i wykonała bardzo dystyngowany ukłon, zbierając z boku fałdy muślinowej spódnicy, unosząc lekko jedną nogę i niemal dotykając pupą piętę drugiej. - Czy ten dyg jest wystarczająco głęboki dla króla, czy też nadaje się najwyższej dla królowej?

Julian przyglądał się jej z ironicznym błyskiem w oku. Tamsyn najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, czym grozi taki przesadnie głęboki ukłon.

- A teraz spróbuj wstać.

Tamsyn natychmiast uświadomiła sobie, że jest to niewykonalne. Przewróciła się na dywan i miała przy tym tak zgnębioną minę, że musiał się roześmiać, nim wrócił do listu.

Nagle całe jego rozbawienie zniknęło.

- Bogu dzięki, że przynajmniej nie użyła perfumowanego papieru! - wymamrotał, przełamując pieczęć.

- Kto taki?

Tamsyn podniosła się wreszcie i otrzepała spódnice.

- Moja siostra - odparł zwięźle, przebiegając wzrokiem pełną podkreśleń epistołę. -A niech to wszyscy diabli! To Gareth ją do tego namówił, od razu widać, że to sztuczka tego nieroba!

- Jaka sztuczka?

Tamsyn z powrotem zajęła miejsce na brzegu biurka.

- Moja siostra i jej mąż postanowili wybrać się do mnie z wizytą. Pewnie Gareth chce umknąć przed wierzycielami, a przy okazji skorzystać z darmowego wyżywienia i noclegu!

Popatrzył na Tamsyn. Czoło przecinały mu głębokie zmarszczki, poprzedni dobry humor całkiem się rozwiął.

- Mówiłem ci, żebyś tu nie siadała!

Trzepnął ją po biodrze dla podkreślenia wagi swoich słów.

Tamsyn wstała i przyjrzała mu się uważnie.

- Dlaczego jesteś taki zły, że przyjeżdża twoja siostra?

- A jak myślisz?

- Z mojego powodu?

- Właśnie!

Tamsyn zmarszczyła brwi.

- Dlaczego miałby z tym być kłopot? Myślisz, że jej nie polubię? Albo ja nie przypadnę jej do gustu?

Spoglądał na nią przez chwilę, zastanawiając się, czy Tamsyn tylko udawała. Odwzajemniła jednak jego spojrzenie ze zwykłą szczerością. Gdy wpatrywał się w jej mały nos i zdecydowaną brodę, w trzepotanie bujnych rzęs, rzucających cień na opalone policzki, zdumiał go gwałtowny przypływ powstania. Żywe aż do bólu wspomnienie jej ciała przy swoim i triumfalnego śmiechu Tamsyn, gdy była bliska szczytu...

Jak mógł gościć pod jednym dachem tę zaskakującą istotę i własną siostrę? Lucy była taka niewinna, tak dobrze wychowana, taka skromna - dama w każdy calu! Dokładnie taka, jakie powinny być niewiasty z rodziny St Simonów. A ta okropna rozbójniczka, ta... jego kochanka, stanowiła pod każdym względem jej przeciwieństwo!

Było jednak za późno, by temu zaradzić. Sądząc z daty na liście, Lucy i Gareth mogli się zjawić lada dzień. Kto wie, czy nie jadą właśnie przez Bodmin Moor?

- Jedno musimy sobie wyjaśnić - powiedział głosem tak pozbawionym życia jak Morze Martwe. - Moja siostra pozna historię twojego życia w dokładnie takiej wersji, jaką rozpowszechniliśmy w okolicy. Jesteś sierotą, protegowaną księcia Wellingtona, a on mianował mnie twoim opiekunem. Nie waż się nigdy dać Lucy do zrozumienia, że to nieprawda! Zrozumiano?!

Tamsyn wzruszyła ramionami i skinęła głową.

- Nie mam najmniejszego zamiaru niepokoić twojej siostry.

- Pamiętaj, żebyś nigdy tego nie zrobiła, bo wystarczy jedno słowo i opuścisz ten dom!

Tamsyn przygryzła wargę.

- Ale jeśli twoja siostra jest mężatką, nie może być przecież aż tak naiwna!

Oczy Juliana zapłonęły błękitnym ogniem.

- Nie masz prawa wydawać sądów o mojej siostrze! Nie rozumiesz takich kobiet jak ona... sposobu, w jaki została wychowana, jej poglądów na życie. Ty nie masz pojęcia, co to znaczy cnota, nie możesz więc pojąć świętości więzów małżeńskich. Na litość boską! Twoi rodzice nie zadbali nawet o to, by zawrzeć małżeństwo, usankcjonować swój...

- Nie waż się krytykować moich rodziców! - odparowała Tamsyn z dziką zjadłością. - I pozwól, że ci powiem, milordzie, że to ty nie masz

pojęcia o prawdziwej miłości, która nie potrzebuje oficjalnej pieczętki, by się ostać!

Pobladła z gniewu, ale w jej oczach kryło się coś potężniejszego niż gniew. W jej głosie było coś więcej niż gorycz.

- Nie wyobrażasz sobie, że można pokochać kogoś za to, że jest sobą? Prawda? Choćby nie pasował do twoich pojęć o tym, co słuszne i właściwe!

Nim zdążył odpowiedzieć, opuściła pokój z furkotem spódnic, a drzwi zatrzęsły się za nią. Co ją ugryzło?! Dlaczego zaatakowała go w taki sposób? Może wyraził się trochę za ostro o jej rodzicach, ale te jej osobiste przycinki były bezzasadne. Całe to gadanie o miłości!... Nie jej interes, kogo kochał i jak kochał...

... ale w głosie Tamsyn prócz goryczy były łzy, a w oczach oprócz gniewu bolesna uraza. Julian czuł, że przekroczył dopuszczalne granice. Nie miał prawa osądzać jej rodziców!

Przecięgnął ręką po włosach. Zrozumiał, że postąpił tak z obawy przed własną słabością, która go ogarniała, ilekroć zostali razem. Nie będzie w stanie oprzeć się tej dziewczynie, choćby nawet jego siostra znajdowała się pod tym samym dachem.

Dostrzegł przez okno Tamsyn zbiegającą po trawniku nad morze. Była boso, podkasała spódnicę, żeby się o nią nie potknąć. Jej włosy lśniły w słońcu... Nigdy nie spotka kobiety takiej jak ona, choćby dożył wieku Matuzalema! Po prostu nie było drugiej takiej jak Tamsyn. Nigdzie, w żadnym zakątku świata!

Tamsyn zbiegła po ukwieconym zboczku nad zatokę. Miała wrażenie, że ucieka przed czymś, o czym wolałaby nie myśleć. Kiedy jednak dotarła na maleńką plażę, palce jej nóg uwięzły w gładkim białym piasku i nie było już dokąd uciekać. Odetchnęła głębiej i zaczęła brodzić w płytkich falach przy brzegu. Piasek łaskotał jej stopy, woda była nagrzana słońcem...

Opuściła podkasaną spódnicę i drobne fale zmoczyły jej obrąbek, gdy szła wzdłuż brzegu. Co to właściwie było? Słowa buchnęły z niej, jakby zdjęła pokrywkę z kipiącego kotła! Wystąpiła w obronie swoich rodziców, to rozumiała, ale cała ta gadanina o miłości? Jakież to miało znaczenie dla niej, córki Cecile i El Barona, że ten sztywny, pyszałkowaty Anglik wyobrażał sobie przyszłość jedynie z kobietą swego pokroju?

Wróci przecież do Hiszpanii, kiedy tylko zniszczy Cedrica Penhallana! Lord St Simon jest dla niej po prostu użytecznym narzędziem. Kiedy

Ludzie już po wszystkim i on uświadomi sobie, że tylko go wykorzystała, pewnie zechce rozdrzeć ją na strzępy.... I trudno mieć o to do niego pretensję!

Przestała brodzić po płyciźnie i rozejrzała się dokoła posępnym wzrokiem, próbując się cieszyć pięknem zatoczki, bezmiarem i lśniącem błękitem morza. Spojrzała w górę, na szczyt nadbrzeżnej skały, i aż ją ścisnęło w żołądku: dwaj jeźdźcy znowu tam byli, wyraźnie widoczni na tle nieba!

Obserwowali ją! Dreszcz przebiegł jej po plecach, skóra na głowie ścierpła. Odwróciła się i z pluskiem popędziła z powrotem w stronę domu. Dół spódnicy i bosc stopy były teraz unurzane w wilgotnym piachu.

Gabriel wyłonił się zza węgła domu, gdy z wysiłkiem brnęła przez trawę. Dostrzegł jej opłakany wygląd, uniósł brwi i powiedział ze śmiechem:

- Och, dziewczuszko! Miejmy nadzieję, że żaden gość nie zaskoczy cię w tej chwili!

Poczuła się znów, nie wiedzieć dlaczego, nieszczęśliwa.

- Zaraz się przebiorę - odparła apatycznym głosem.

Gabriel przyjrzał się jej bacznie.

- Co z tobą, dzieciaku?

Otoczył ją swym potężnym ramieniem.

- Nic takiego - odparła, uśmiechając się z wysiłkiem. - Myślałam o Cecile i El Baronie.

Było to zgodne z prawdą... ale to tylko pół prawdy.

- Ach tak? - To go na razie zadowoliło. Skinął głową, uściśnął mocno Tamsyn i powiedział: - Mam wieści, które cię może zainteresują. Usłyszałem tę historię od paru plotkarzy na nabrzeżu.

- O Penhallanach?

Natychmiast się ożywiła, jak przewidywał.

Skinął głową.

- O tych bratankach... twoich ciotecznych braciach. To bliźniaki. Przejdźmy się, dobrze?

Poszli do sadu po przeciwnej stronie domu.

- No więc? - spytała żywo, gdy zagłębili się między drzewa.

Informacje zdobyte przez Gabriela odnosiły się do sprawy, która sprawdziła ją do Kornwalii. Tamsyn potrzebowała właśnie czegoś takiego, by zapomnieć o nonsensownych uczuciach, jakie żywiła do Juliana St Simona.

- No więc, jakieś dwa lata temu ci twoi krewniacy wtargnęli bez zaproszenia na ziemię pułkownika... ale to nie koniec.

Tamsyn słuchała uważnie. Ocierała zapiaszczone stopy o trawę a w brzuchu jej się skręcało na myśl o tym, że łączy ją bliskie pokrewieństwo z takimi bydłakami.

Gabriel sięgnął do wiszącej nad ich głowami gałęzi i pomacał gruszkę.

- Jeszcze kilka tygodni trzeba poczekać, nim dojrzeje - zauważył obojętnym tonem, jakby wcale się nie przejął tą historią. Ale Tamsyn znała go lepiej!

- Podobno o mały włos nie zabili tej dziewczuszki - rzucił od niechcenia.

Tamsyn zerwała jabłko z dzikiej jabłonki. Wgryzła się w nie, rada, że w ustach ma pełno kwasu i jakoś jej z tym lżej było myśleć o niewinnej dziewczynce w bezlitosnych łapach tych nieznanych Penhallanów.

- Brzuch cię rozboli, jak będziesz jadła to paskudztwo - ostrzegł ją Gabriel. - No i pułkownik zabronił tym bliźniakom wstępu na swoje grunty. Z wicehrabią podobno nie zerwał całkiem znajomości. Co prawda, spotykają się tylko dlatego, że trudno tego uniknąć w sąsiedztwie. Ale bliźniaki schodzą mu z drogi.

- Co mówią w okolicy o moich... o bliźniakach?

- Nikt nie chce mieć z nimi do czynienia. To tchórze i dranie. Myślą, że im wszystko wolno, bo są Penhallanami.

- Cecile mówiła, że tak właśnie uważał Cedric - powiedziała w zadumie Tamsyn. - Nikt nie śmie tknąć żadnego z Penhallanów... chyba tylko on!

- My to już zmienimy, dziewczuszko - odparł Gabriel, zwodniczo łagodnym głosem.

Tamsyn podniosła na niego oczy, które były niemal czarne.

- Tak - potwierdziła. - My im pokażemy, Gabrielu! Za Cecile i za tę biedną dziewczuszkę!

Mimo upału, poczuła nagły dreszcz na myśl o tych dwóch jeźdźcach na szczycie skały. Dwóch... Czyżby to były bliźniaki, jej krewni? Śledzili ją?

Cedric widział ją tylko raz. Czy to krótkie spotkanie rozbudziło jego ciekawość?

Mam nadzieję, że Julian nie uzna naszej wizyty za narzucanie się - powiedziała Lucy, nie mogąc ukryć niepokoju, który znów ją ogarnął, kiedy powóz skręcił w bramę Tregarthan.

- Czemuż miałyby tak źle o nas myśleć? - spytał Gareth z odrobiną niecierpliwości. - W Tregarthan z powodzeniem mógłby się pomieścić regiment wojska! - Zmienił pozycję nóg, które zdrętwiały w zbyt ciasnym pomieszczeniu. - Do licha! Rad będę, kiedy się skończy ta przekłeta podróż! Powiniennem zabrać konia i jechać wierzchem.

Przed wyjazdem stwierdził, że nie ma w stajni ani jednego, który mógłby się równać z końmi szwagra, i wobec tego Julian będzie musiał mu użyć w trakcie wizyty jednego ze swoich. Lucy jednak nie przypomniała mężowi o tym. Otworzyła okno powozu, dotąd zamknięte, by kurz nie wpadał do wnętrza, i wychyliła się, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy za zakrętem pojawi się jej ukochany dom rodzinny.

- Dobry Boże! Co za wspaniałe zwierzę! - wykrzyknął Gareth, wyglądając przez okno po swojej stronie. Zastukał energicznie w dach i woźnica ściągnął cugle.

Sir Gareth aż wychylił się z okna i otworzył usta na widok dwóch jeźdźców, którzy wyjechali zza drzew na podjazd tuż przed nimi.

Tamsyn osłoniła oczy od słońca, przyglądając się powozowi, który stał pośrodku podjazdu.

- To musi być siostra pułkownika! - stwierdziła po chwili zastanowienia. - Ciekawe, dlaczego się zatrzymali? - I pozostawiając Gabriela, pogłopowała w stronę powozu. - Dzień dobry! Czy coś się stało?

- To przez tego konia - stwierdził Fortescue. - Nigdy jeszcze nie widziałem równie wspaniałego!

- Cezar nie ma sobie równych! - rozpromieniła się Tamsyn. Zapomniała na chwilę, że skutkiem swego nieprzemyślanego konceptu mogła jeździć na arabie tylko w pobliżu domu. - Mówię z Garethem Fortescue, nieprawdaż?

- Do usług, łaskawa pani.

Gareth zamrugał oczyma, oszołomiony egzotycznym urokiem tej pary: mlecznobiałego konia i filigranowej amazonki o krótkich włosach, połyskujących srebrzyście w słońcu, i zdumiewających fiołkowych oczach, które spoglądały na niego przyjaźnie, z nieskrywaną ciekawością.

- Oczekiwaliśmy was - stwierdziła nieznajoma, pochylając się i wyciągając do niego rękę. —Jestem Tamsyn.

- No tak... oczywiście... - wydukał i ujął jej dłoń. Julian nie wspominał w liście, jak nazywa się jego podopieczna, ale Gareth był pewien, Tamsyn to nie jest hiszpańskie imię. Prawdę mówiąc, dziewczyna nie była podobna do Hiszpanki! - Moja żona... - Wskazał za siebie, do mrocznego wnętrza powozu i odsunął się trochę, by Lucy mogła wyrzeć z tej strony.

W oknie pojawiła się zdumiona twarz Lucy.

- Myślałam, że pani jest Hiszpanką! - wykrzyknęła, wypowiadając na głos myśl swego męża i całkiem zapominając o dobrych manierach.

- Półkrwi - odparła beztrąsko Tamsyn, pochylając się znowu, by uściskać jej rękę. - Mówię po angielsku całkiem dobrze, kiedy nie zawodzą mnie nerwy... ale w większym towarzystwie od razu wszystko mi z głowy wylatuje. - Uśmiechnęła się i dalej snuła swe zwierzenia: - Moja matka pochodziła z Kornwalii i właśnie dlatego znalazłam się w domu lorda St Simona. Mamy nadzieję odnaleźć jej rodzinę, a na razie uczę się, jak być Angielką, bo czeka mnie debiut w Londynie. Moi rodzice już nie żyją i książę Wellington zgodził się mną zaopiekować.

- O!... - wyszeptała Lucy słabym głosem, kompletnie zdezorientowana na skutek tych wyjaśnień. - Tak mi przykro z powodu pani rodziców...

Cień przemknął po twarzy Tamsyn i przez chwilę Lucy mignęło drugie, niepokojąco odmienne oblicze tej opalanej, uśmiechniętej dziewczyny o błyszczących oczach. Potem Tamsyn znów się odezwała:

- Zawieranie znajomości pośrodku drogi jest troszkę niewygodne! Może podjedziemy do domu? Pani brat powinien już tam być. Składał wizyty w sąsiedztwie.

Zawróciła konia i przez resztę drogi jechała obok powozu. Gabriel gdzieś się zapodział; pewnie wrócił już do stajni.

Usłyszawszy jakieś zamieszanie we frontowym hallu, Julian wyłonił się z biblioteki z niepokojem w oczach, lecz z uśmiechem na ustach.

- Lucy, jakże miło znowu cię widzieć! - Pocałował siostrę w policzek i zwrócił się do szwagra: - Cóż za urocza niespodzianka, Fortescue!

Gareth uściskał wyciągniętą ku niemu rękę i powiedział sobie, że tylko mu się przywidziało, że słyszy ironiczną nutkę w głosie St Simona.

- Pomyślałem, że złożymy ci rodzinną wizytę - wyjaśnił, choć sprawa była oczywista. - A Lucy doszła do wniosku, że mogłaby ci pomóc w zabawianiu twojego gościa. Spotkaliśmy właśnie pannę... pannę..

Tamsyn - podpowiedział z całym spokojem Julian. - Tamsyn Baron. Ale Tamsyn zupełnie wystarczy.

Ach tak... oczywiście. - Gareth odwrócił się z uśmiechem do osoby, o której właśnie rozmawiali. Dziewczyna stała spokojnie za nimi, czekając, aż skończy się rodzinne powitanie. — Co za fantastyczny okaz!

Tamsyn?

Pułkownik uniósł brwi tak wysoko, że niemal zniknęły pod włosami.

- Ależ skąd! - zmieszał się Gareth. Jego rumiana cera przybrała jakiś niezdrowy odcień. - Wiesz przecież, St Simon, co mam na myśli!

Lucy zmieszała się. Jakimś sposobem Julian zawsze doprowadził do tego, że jej mąż wychodził na głupca! Brat był dla niego niezmiennie uprzejmy, ale nie wiedzieć dlaczego Gareth w jego obecności stawał się niezręczny i skrępowany.

Tamsyn wystąpiła do przodu.

- Pułkownik lubi żartować. A im więcej miłych rzeczy powie pan o Cezarze, tym bardziej będę panu wdzięczna! - Zwróciła się do Lucy. - Musi być pani zmęczona po podróży, lady Fortescue.

- Proszę mówić do mnie Lucy...

Kręciło się jej w głowie. Spodziewała się, że zobaczy żalostną sierotkę albo egzotyczną damę w koronkowej mantyli, trzepoczącą wachlarzem. Ta podobna do chłopca, pewna siebie młoda kobieta, mówiąca po angielsku niemal bez śladu obcego akcentu, była dla niej kompletnym zaskoczeniem.

- Panno Lucy! Z pewnością jest panienka całkiem wykończona! - Macierzyńsko uśmiechnięta pani Hibbert wybiegła spiesźnie z kuchni. — Pójdzie panienka prosto na górę, a ja od razu każę przygotować kąpiel i herbatę dla panienki. Pewnie i obiad wolałaby panienka zjeść spokojnie w swoim pokoju?

- O tak... bardzo dziękuję, pani Hibbert! - Lucy wyraźnie odprężyła się w obecności troskliwej gospodyni, która natychmiast zagoniła ją na górę. Jednak Lucy, z nogą na pierwszym stopniu schodów, odwróciła się jeszcze. - Tamsyn, może byś przyszła do mego pokoju i napiła się ze mną herbaty, kiedy się będę kąpać?

Tamsyn pospiesznie zerknęła na pułkownika. Od wczorajszej kłótni nie rozmawiali na temat wizyty jego siostry. Ani o niczym innym, prawdę mówiąc. W tej chwili jego niebieskie oczy spoglądały na Tamsyn ostrzegawczo. Poczowała, że zalewają znów fala przynębienia, do którego przyłączyło się oburzenie. Powinien wiedzieć, że nie jest idiotką!

Zwróciła się znów do jego siostry.

- Bardzo chętnie, Lucy! Ale jestem pewna, że kiedy odpoczniesz, zejdziesz na dół na obiad.

Nie pojmowała, jak ktoś mógłby jeść samotnie kolację w sypialni!

Lucy zastanowiła się i doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy wcale nie ma ochoty leżeć samotnie na górze. Sądziła tylko, że mąż i brat tego się właśnie po niej spodziewają.

- Tak! - odparła. - Jestem pewna, że zejść na dół.

- Doskonale! - Tamsyn udała się razem z nią na górę, pozostawiając Garetha i Juliana w hallu. Jeśli pułkownik ją podejrzewa, że zamierza mącić wodę i intrygować, to niech sobie myśli, co chce! Nie miała najmniejszego zamiaru niszczyć bezcennej niewinności jego siostry!

- No więc, cóż to za tajemnicza historia, St Simon? - spytał Gareth, kiedy obie kobiety zniknęły na piętrze. - Lucy była bardzo ciekawa tego twojego gościa! Drobniutka z niej osóbką, nieprawdaż?

- A więc przybyliście tu, by zaspokoić ciekawość Lucy? - odpowiedział z niewzruszonym spokojem Julian. - A ja byłem gotów założyć się, że to ty znów wpadłeś w długi i chcesz uciec od wierzycieli! - Skierował się w stronę biblioteki. - Kieliszek wina?

- Z przyjemnością. - Gareth ruszył za gospodarzem. Jaka szkoda, że szwagier jest taki domyślny i pewny siebie! - Muszę cię prosić, St Simon, żebyś mi pożyczył konia pod wierzch. Mój nadwreżył sobie pęcinę tuż przed naszym wyjazdem.

Julian uśmiechnął się do siebie.

- Oczywiście! - odparł gładko, wręczając gościowi kieliszek. - Przewidywałem coś takiego.

Gareth zakrztusił się winem.

- Lucy będzie bardzo odpowiednim towarzystwem dla tej małej - stwierdził, gdy przestał już kasłać. - Z pewnością potrzeba jej jakiejś przyjaciółki. Wiesz, jak to jest z kobietami!

- Można powiedzieć, że wiem - przyznał Julian, wskazując gościowi miejsce na kanapie. Sam również usiadł. - Tamsyn jest jednak dość niezwykłą dziewczyną. - Wypił łyk wina i spytał: - A co tam u mojej siostry? Mam nadzieję, że stan małżeński jej służy?

Było to podchwytliwe pytanie; Gareth nie miał co do tego żadnych wątpliwości. St Simon nie chciał wyrazić zgody na ich małżeństwo, podkreślając skłonność Garetha do rozpustnego życia oraz jego karygodną rozrzutność. Siostra jednak poty go błagała, zaklinała i powtarzała, że to ją

zabije, jeśli nie będzie mogła poślubić miłości swojego życia, iż w końcu niechętnie ustąpił.

- O, Lucy miewa się całkiem dobrze - odparł Gareth. - Od czasu do czasu dokuczają jej migreny... jak większości kobiet. Wiesz, jak to z nimi jest!

- Owszem. Chyba to już ustaliliśmy? - Julian popatrzył na niego przenikliwie. - Nie zbaczasz chyba na manowce, Gareth?

Szwagier zaczerwienił się po uszy.

- Oczywiście, że nie! Jestem przecież żonaty... Cóż to za pytanie?!

- Zwykła ciekawość troskliwego brata - odparł Julian lekkim tonem sięgnął po karafkę, by znowu napełnić im kieliszki.

Na górze w pokoju Lucy Tamsyn usadowiła się na ławeczce pod oknem, mając nadzieję na zawarcie bliższej znajomości z siostrą Juliana.

- To ładny apartament - odezwała się Lucy z westchnieniem, podczas gdy pokojówka rozpiniała jej suknię. - Ale mimo wszystko czuję się jakoś dziwnie, nie śpiąc w mojej dawnej sypialni. Oczywiście, byłaby zbyt mała dla pary małżeńskiej... No i Gareth potrzebuje własnej garderoby.

- Zanurzyła duży palec u nogi w wannie pełnej gorącej wody. - Możesz już odejść, Maggie. Zadzwońię po ciebie, kiedy będziesz musiała mnie ubrać.

Pokojówka dygnęła, pozbierała porozrzucone części garderoby i pośpiesznie wyszła.

- Gareth sypia w swojej garderobie, kiedy późno wraca. Nie chce mi przeszkadzać, jest bardzo uważający.

- Kiedy późno wraca... skąd?

Tamsyn popijała herbatę drobnymi łyżkami, przyglądając się Lucy wchodzącej do wanny. Młoda mężatka miała wdzięcznie zaokrągloną figurę ze szczupłą talią, wydatnym biustem i krągłymi biodrami. Bardzo ładna! - pomyślała Tamsyn z odrobiną zazdrości, po raz pierwszy w życiu zastanawiając się, czy sama została dość hojnie wyposażona przez naturę?

- No, z jakiegoś klubu, czy dokąd tam chodzi! Mężczyźni nigdy nie siedzą w domu. Dawniej myślałam, że z żonatymi jest inaczej, ale okazuje się, że nie.

Mówiła to z pewnym przymusem i zaraz zaczęła energicznie mydlić nogi.

- Opowiedz mi, w jaki sposób trafiłaś do Kornwalii, Tamsyn! Mój brat w gruncie rzeczy nic mi o tym nie napisał w liście. Nigdy zresztą nie był skłonny do zwierzeń - dodała.

Tamsyn powtórzyła jej oficjalną wersję, której wyuczyła się już na pamięć.

- Chyba twój brat ma nadzieję namówić cię, żebyś się mną zaopiekowała, kiedy przyjdzie pora mojego londyńskiego debiutu - dodała.

- Och, będę zachwycona! - odparła Lucy ze szczerą radością. - Jak to miło chodzić z kimś na bale i przyjęcia! I jeść razem obiady... Gareth bardzo rzadko jada w domu. - Zanurzyła się jeszcze bardziej w wodzie i zmieniła temat. - Nauczę cię, jak obracać się w towarzystwie, póki tu jestem... Nasze zasady postępowania z pewnością bardzo się różnią od hiszpańskich. Wydamy specjalne przyjęcie na twoją cześć! Jestem pewna, że Julian się zgodzi. W Tregarthan całe wieki nie było uroczystego przyjęcia... chyba od mojego ślubu!

Lucy paplała swobodnie, jakby obie znały się od urodzenia. Tamsyn nigdy nie spędzała wiele czasu w towarzystwie innych dziewcząt: jako córka El Barona zajmowała o wiele wyższą od nich pozycję w obozowisku. Przyglądała się jednak - niekiedy z zazdrością - dziewczęcym przyjaźniom. W pewnym sensie poufne zwierzenia Lucy stwarzały złudzenie takiej kobiecej wspólnoty, wymiany doświadczeń i poglądów.

Lucy podniosła się, ociekając wodą, i sięgnęła po ręcznik.

- Jak sobie radzisz z Julianem? - spytała nieśmiało. - Niełatwo się z nim dogadać, prawda?

- O, całkiem dobrze - odparła zdziwiona Tamsyn. - Dogadujemy się bez trudności.

Przynajmniej wtedy, gdy się nie kłócimy zęb za zęb, dodała w myśli.

- Nie uważasz, że jest strasznie wymagający? - Lucy wyszła z wanny. - Wobec mnie zawsze był taki.

Z pewnością, pomyślała Tamsyn. Zwłaszcza wobec St Simonów ma niesłychane wymagania.

- Nie jestem jego siostrą - odparła obojętnym tonem. - Po prostu spłaca dług wdzięczności wobec mojego ojca, no i spełnia rozkazy księcia Wellingtona. Nie jest rad, że musiał się rozstać ze swoimi żołnierzami, więc od czasu do czasu wpada w złość.

- Trudno wytrzymać, kiedy Julian jest zły - zwierzyła się Lucy.

- Trudno - przytaknęła Tamsyn. Zerwała się z miejsca. - Muszę się przebrać do obiadu!

- Co na siebie włożysz? - Lucy natychmiast zaczęła myśleć o czymś innym. Owinięta w ręcznik podbiegła do łóżka, na którym leżało kilka toalet. - Powinniśmy ubrać się tak, żeby się nasze suknie nie gryzły!

Zdumiona Tamsyn zamrugała oczyma.

- Jak to - nie gryzły?

- No tak! Gdybym ja włożyła różową suknię, a ty ceglasta, wyglądałoby to okropnie!

- Nie mam ceglastej sukni - odparła Tamsyn z ulgą.

- Oczywiście, że nie, to okropny kolor! Powiedziałam tylko tak, dla przykładu. - Lucy przejrzała cały stos toalet. - No i co mi radzisz?

Tamsyn udała, że się zastanawia nad tym niewątpliwie ważnym dla jej rozmówczyni problemem. Jasnyniebieskie oczy Lucy nie odznaczały się taką inteligencją ani przenikliwością jak oczy jej brata, ale miały śliczną barwę. Cera młodej mężatki była jasna, a w jej brązowych włosach pojawiały się miedziane błyski, oczywiście o wiele dyskretniejsze niż w rudoblond grzywie Juliana.

- Tę ciemnoniebieską - odpowiedziała Tamsyn na chybił trafił. - Od jak dawna jesteś mężatką?

- Od dziesięciu miesięcy. - Lucy wzięła wskazaną przez Tamsyn suknię i podeszła z nią do lustra. - Tak, ubiorę się w nią!

- Od dziesięciu miesięcy... i twój mąż sypia w garderobie?!

Tamsyn nie grzeszyła taktem.

Lucy zaczerwieniła się gwałtownie.

- Kiedy późno wraca, przeważnie ma trochę w czubie... Mężczyźni już tacy są!

- Naprawdę?

- No cóż... Ty nie masz o tym pojęcia, bo nie jesteś mężatką, moja kochana - odparła Lucy nieco protekcyjnym tonem. - Młoda mężatka może się dowiedzieć bardzo wiele o mężczyznach!

Tamsyn podrapała się w głowę. Lucy była od niej o rok młodsza i wcale nie wyglądała na doświadczoną. Cóż, tego właśnie należało się spodziewać po cnotliwej, chowanej pod kloszem angielskiej damie. Broń Boże, żeby zetknęła się nos w nos z przykrymi realiami życia!

- Hiszpańscy mężczyźni są trochę inni - odparła Tamsyn obojętnym tonem. - No to spotkamy się na dole!

- O nie! Muszę koniecznie obejrzeć twoją garderobę! - zaproponowała Lucy, pozbyła się ręcznika i narzuciła szlafroczek. - Ubóstwiam chodzić na zakupy, a ty? Może Julian pozwoli nam skorzystać z landa i wybierzemy się do Bodmin... albo nawet do Truro! Mogłybyśmy kupić dobrane do siebie stroje! - Wzięła Tamsyn pod rękę i razem wybiegły z sypialni. - W którym pokoju mieszkasz?

- W narożnym, we wschodniej wieży.
- To śliczny pokój!

Radośnie szczebiocząc, Lucy drobnymi kroczkami przemierzała korytarz ramię w ramię z Tamsyn.

Julian, pojawiwszy się u szczytu schodów, zdążył dostrzec, że obie znikają w pokoju Tamsyn. Echo wesołej paplaniny Lucy unosiło się jeszcze w powietrzu.

Tamsyn nie byłaby taka głupia, by rzucać mu jawne wyzwanie, rozumował, przechodząc do swych apartamentów. Nie pogodzili się jeszcze, co prawda, ale nie wierzył, by dziewczyna zniweczyła własne plany tylko po to, by odegrać się na nim!

Była z niej cholerna intrygantka, kusicielskie półdiabły! Nie dopatrywał się w niej jednak głupoty ani mściwości. Zerwał fular z szyi, podszedł do J okna i spojrzął w stronę morza. Dlaczego nie był w stanie się jej oprzeć? I Pragnął wrócić do Hiszpanii, do swoich ludzi, swoich przyjaciół walczących i umierających w skwarnym letnim upale. Chciał zapomnieć o tej i przeklętej rozbójnicze!

Czy rzeczywiście?

Rzucił fular na podłogę i pozbył się surduta. Spędził całe popołudnie, ob- 1 jeżdżając swoje ziemie i odwiedzając dzierżawców. Rozmawiał przede wszyst- j kim z najstarszymi - tymi, co przeżyli na tej ziemi pięćdziesiąt albo i więcej lat. | Dopytywał się, czy ktoś z nich pamięta tajemnicze zniknięcie za granicą młó- " dej panny z jednej z ziemiańskich rodzin. Nikt jednak nie przypominał sobie czegoś podobnego. Owszem, była córka Penhallanów, która zmarła w Szkocji. "Wyprawili jej wspaniały pogrzeb, rodzina przez rok chodziła w żałobie. Wszy- scy to pamiętali. Ale nikt się nie zawieruszył podczas podróży do Hiszpanii!

Julian ściągnął bryczesy i podszedł do umywalki. Obmył twarz zimną wodą. Możliwe, że matka Tamsyn była córką jednego z drobnych właścicieli ziemskich mieszkających bardziej na południu, za Truro, bliżej Penzance...

Ukrył twarz w ręczniku i wytarł ją energicznie. Miał do października czas na odszukanie jej krewniaków. A jeśli do tego czasu nie zdoła ich odnaleźć, to już nie będzie jego zmartwienie, tylko Tamsyn! On wypełni wszystkie warunki umowy.

Tamsyn, skłoniwszy wreszcie Lucy, by wróciła do swojej sypialni, przejrzała z uwagą własną kolekcję sukien i zabrała się do szrotkowania włosów, podczas gdy Josefa krzątała się wokół niej.

Myślała gorączkowo, jak bardzo pomocna może okazać się Lucy. Jeżeli chciała zdemaskować publicznie Cedrica Penhallana, musiała zostać zaakceptowana przez wielki świat i mieć nieposzlakowaną opinię; inaczej nikt nie dałby wiary jej opowieści. Każdy jednak z pewnością wysłucha tego, co będzie miała do powiedzenia jej przyjaciółka i powiernica lady Fortescue, protegowana księcia Wellingtona i podopieczna lorda St Simona!

A gdy opowie swoją historię, gra dobiegnie końca. Chcąc uniknąć gniewu pułkownika, będzie musiała zapomnieć o ich rozkwitającej miłości i powrócić do dawnego życia, które wydawało się jej teraz dziwnie puste.

- *Por Dios!* - wymamrotała, bezwiednie wymykając się Josefie, która usiłowała zapiąć na niej suknię.

- *Ay... ay... ay!* - wykrzyknęła wreszcie zniecierpliwiona Josefa, goniąc za nią. - *Stójże spokojnie, nińia!*

Tamsyn zatrzymała się i wbiła wzrok w dywan. Gdyby można było jakimś sposobem dokonać tego, po co tu przybyła, pozostawiając pułkownika w nieświadomości, zdołałaby może zmienić jego opinię na swój temat... Dowiodłaby mu, że nie jest pozbawioną skrupułów awanturnicą, za jaką ją uważał. Niemożliwe, by to, co do niego czuła, było wyłącznie jednostronne! Może powinien tylko wejrzeć we własne serce - i wszystkie jego uprzedzenia znikną?

Przed wszystkim jednak musieli się pogodzić. Przyjrzała się uważnie swemu odbiciu w lustrze, pragnąc ujrzeć siebie jego oczami. Zobaczyła drobną postać w zielonej muślinowej sukni. Może włożyć jakieś klejnoty? Szmaragdy powinny dodać jej godności... W końcu jednak pokręciła głową. Jest, jaka jest, i nigdy dotąd nie przejmowała się tym! Ale dziś wieczorem, kiedy się już pogodzą, spyta Juliana, co dokładnie widzi, kiedy na nią patrzy.

Gdy weszła do salonu, zastała w nim jedynie Garetha. Stał obok kredensu i nalewał sobie wina.

- A, dobry wieczór, panno... Tamsyn! - uśmiechnął się do niej. - Jak widać, zjawiliśmy się pierwsi. Lucy zawsze marudzi godzinami przy toalecie, nim się wystroi. - Jego spojrzenie sunęło po postaci dziewczyny, z nawyku oceniając każdy szczegół. - Może kieliszek kseresu albo madery?

- Kseresu, bardzo proszę. - Tamsyn doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Fortescue szacuje ją wzrokiem. Zetknęła się już nieraz z mężczyznami tego typu. Ot, choćby lord Pendragon. Tacy panowie gapią się zwykle na każdą kobietę, choć trochę wartą zainteresowania. Mieli to już we krwi.

Wzięła od niego kieliszek.

- Słyszałam od pułkownika St Simona, że pochodzi pan z Susseksu. Nigdy nie byłam w tych stronach. Czyjest tam równie pięknie jak w Koni walii?

- Mamy w Susseksie łagodniejszy klimat - odpowiedział - spokojniejsze morze i piaszczyste wydmy, zamiast tych niesamowitych wrzosowisk!

- Jechaliśmy tu przez Bodmin Moor. To rzeczywiście ponure miejsce.
- Tamsyn usiadła i zaczęła przyglądać się Garethowi równie uważnie, jak on jej. Miał pełną twarz i zmysłowe usta ocienione bujnym wąsem; szare oczy z ciężkimi powiekami i ciemne, kędzierzawe włosy. Był na swój sposób pociągający... i dobrze o tym wiedział.

Jawność tych oględzin zaskoczyła Garetha. Był przyzwyczajony do tego, że damy ukradkiem podziwiałały jego wdzięki; zazwyczaj nie okazywały tak wyraźnie swego zainteresowania. Podkreślił węża i uśmiechnął się, mrużąc oczy.

Tamsyn doszła do wniosku, że całe to puszenie się weszło mu już w nawyk. Z czystej grzeczności zmieniła temat rozmowy.

- Mam wrażenie, że jest pan znawcą koni?

- Szczyć się tym - odparł, siadając na wprost niej. Wyraźnie się ożywił. - Nigdy jeszcze nie widziałem takiego cuda, jak pani siwek! Musi być pani nie lada amazonką!

- Pułkownik ma co do tego wątpliwości - odparła skromnie, małymi łyčkami popijając kseres.

- Co do czego? - spytał Julian od drzwi.

Tamsyn natychmiast podniosła wzrok. Patrzyła teraz na niego oczyma pełnymi miłości. Nie był w stroju wieczorowym: lśniące wysokie buty z chwaścikami, surdut z szarego sukna, kamizelka, kremowe pantalony, chustka na szyję związana prosto, bez wymyślnych węzłów. Tamsyn tak przywykła do widoku Juliana w mundurze, że w pierwszej chwili była zaskoczona jego cywilnym ubraniem. Rzuciła okiem na Garetha. Również nie włożył stroju wieczorowego, ale jego fular był misternie związany, miał najmodniejszą kamizelkę w paski, a poza tym błyszczał od złotych łańcuszków i brylantowych spinek. Surdut nie leżał na nim tak dobrze, jak na pułkownikowi, i Tamsyn miała wrażenie, że musiał sobie watować ramiona. No i uda Garetha w obcisłych pantalonach wydawały się trochę za grube.

- Co do moich umiejętności jeździeckich, milordzie - odparła. - Właśnie miałam wyjaśnić, że wolno mi jeździć na Cezarze wyłącznie w pobliżu domu.

Jej uśmiech, porozumiewawczy i zniewalający, oszołomił go. Takiego jeszcze u niej nie widział. Coś znacznie groźniejszego niż zmysłowe, przekorne uśmiechy, którymi go zazwyczaj wabiła.

Tamsyn wypijała jeszcze łyk kseresu i oczekiwała reakcji Juliana na ten pierwszy krok do zgody.

- Twoim zdolnościom jeździeckim nic nie można zarzucić, Tamsyn - stwierdził, starając się mówić lekkim tonem. Odwrócił się, by nalać sobie kseresu. - Zwłaszcza jeśli chodzi o jazdę w górzystym terenie. Jednakże twój sposób jeżdżenia jest nieco odmienny od przyjętego w Anglii.

- Mogłabym dostać jeszcze odrobinę?

Wyciągnęła do niego rękę z opróżnionym kieliszkiem.

Napełnił go i podsunął karafkę Garethowi.

- Coś mi się zdaje, że Lucy po dawnemu marudzi w gotowni!

- Kobiety! - odparł Gareth filozoficznym tonem. — Wiesz przecież, jakie one są!

To stwierdzenie wraca ostatnio jak refren na usta szwagra, pomyślał złośliwie Julian. Zerknął na Tamsyn. Starła się powstrzymać śmiech. Zauważyła, że w oczach pułkownika zapłonęły również wesołe iskierki.

- Nie wszystkie kobiety są takie - powiedziała słodko. - Hiszpańskie dziewczęta w klasztorze uczą się rezygnować z wszelkich światowych próżności. Dlatego właśnie mam obcięte włosy. Dzięki temu nie marudzę przy toalecie.

- Ach tak... No, oczywiście - przytaknął Gareth, trochę zakłopotany.

Raz jeszcze zmierzył ją wzrokiem znad kieliszka. Niezwykła dziewczyna, pomyślał. Było w niej coś diabła pociągającego... coś kusicielskiego, mimo krótkich włosów, szczupłej figury i skromnej sukni.

- Czyżbym się spóźniła?

Do pokoju wpłynęła Lucy - czarowna wizja w ciemnoniebieskich jedwabiach i kremowych koronkach. W jej włosach błyszczały brylantowy grzebień, starannie ufryzowane loki opadały na obnażone ramiona...

- Na coś takiego warto było czekać, moja droga - odparł szarmancko Gareth, podnosząc rękę żony do ust.

Lucy zarumieniła się, nieprzyzwyczajona do męzowskich komplementów. Nagle uświadomiła sobie, że atmosfera w salonie jest pełna napięcia, jakby coś zakazanego i niebezpiecznego kryło się tuż pod powierzchnią. Lucy spoglądała na twarze pozostałej trójki i nie potrafiła dostrzec na nich niczego, co by wyjaśniało jej niezwykle odczucia.

- Chyba pora na obiad?

Julian odstawił kieliszek i podał ramię siostrze.

Gareth pospieszył do Tamsyn i wszyscy przeszli do jadalni. Julian doprowadził Lucy na miejsce pani domu. Spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem się roześmiała.

- Nigdy nie siedziałam w Tregarthan na tym miejscu! Ale teraz chyba muszę... póki nie znajdziesz sobie żony, Julianie!

Posłała mu nieśmiały uśmiech i zajęła miejsce.

Oczy brata były nieodgadnione. Nie odpowiedział, tylko zajął miejsce naprzeciw niej, u szczytu stołu.

Lucy była zmieszana. Zastanawiała się, czy nie powiedziała czegoś nie stosownego... ale jak taką oczywistą prawdę można by uznać za nietakt? Zerknęła na Tamsyn, ją jednak przede wszystkim interesowały przyrumienione kurze udka na półmisku. Garetha zaś obchodziło czerwone wino. Lucy doszła więc do wniosku, że były to tylko humory jej brata. Nigdy nie lubił osobistych uwag.

Tamsyn jednakże zwróciła uwagę na słowa Lucy i na ciszę, jaka po nich zapadła. Czyżby z jej powodu? Może Julian uznał, że nie wypada wspominać o jego ożenku w obecności kochanki? To pewnie jedna z tych dżentelmeńskich zasad, o których wspominała jej Cecile! Pozbywając się niemiłej myśli, Tamsyn wzięła z półmiska soczyste udko i zaczęła je ogryzać.

Julian dostrzegł spojrzenie Garetha, utkwione w siedzącej naprzeciw niego Tamsyn. Jego szwagier był urzeczony, a Julian łatwo mógł to zrozumieć. Było coś niesłychanie zmysłowego w tej ogryzającej kość dzikusce!

- Tamsyn, w Anglii nie je się palcami w dobrym towarzystwie - upomniał ją, zanim fascynacja Garetha stała się zbyt widoczna. - Z pewnością już ci o tym wspomniałem.

- A prawda, wyleciało mi z głowy! - odparła, z pośpiechem odkładając kość i oblizując palce. - Tylko posługiwanie się nożem i widelcem wydaje mi się takie niemądre, kiedy za pomocą palców i zębów można to zrobić znacznie łatwiej.

Śmiech Garetha zagrział gromkim echem.

- Bardzo niemądre! - przytaknął. - Dlaczego właściwie nie mielibyśmy jeść palcami, jeśli ktoś ma na to ochotę?

- Mam wrażenie, że hiszpańskie obyczaje bardzo się różnią od angielskich - odezwała się Lucy z wymuszonym uśmiechem. - Pewnie ci trudno zapamiętać to wszystko, Tamsyn?

- Rzeczywiście! - odparła z całą szczerością. - Mam nadzieję, że zechcesz mi pomóc, Lucy! Jestem pewna, że twój brat odetchnie z ulgą, pozbywając się nieznośnego brzemienia.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, gdy spojrzała na Juliana. Na policzkach pojawiły się dwa dołeczki. Dlaczego nie zauważył ich wcześniej! Miała lekkie rumieńce, oczy jej błyszczały... Lokaj znów napełnił jej kieliszek. Trzeci kieliszek czerwonego wina... a przedtem dwa kieliszki kseresu.

Stała się jeszcze bardziej błyskotliwa, nic więcej. Julian wiedział, że wszystko, co Tamsyn robi, ma określony cel. Teraz najwidoczniej chciała się z nim pogodzić.

Gareth nadal był zafascynowany Tamsyn. Śledził każdej jej ruch, reagował gromkim śmiechem na każde jej zabawne powiedzonko... Lucy stała się coraz bardziej milcząca. Tamsyn absolutnie niczym nie zachęcała Garetha, ale nie było to konieczne, by przyciągnąć jego uwagę.

Kiedy obie damy przeszły do salonu, Gareth z uznaniem wciągnął w nozdrza zapach dobrego portu.

- Gorąca z niej kobieta, co? Zawsze myślałem, że Hiszpanie krótko trzymają swoje damulki. Wszystkie te klasztory, przyzwoitki, i tak dalej! Ale tej małej dosłownie pali się pod kiecką!

- Zawsze wysławiałaś się trafnie i taktownie, Fortescue - zauważył Julian lodowatym tonem.

Jego szwagier wypił stanowczo za dużo. Był mocno zaczerwieniony, oczy miał niezbyt przytomne.

- Najmocniej przepraszam! - Gareth uśmiechnął się szeroko. - Nic złego nie miałem na myśli! Słodkie z niej niewiniątko! Ojciec był hiszpańskim grandem, powiadasz?

- I przyjacielem Wellingtona - przypomniał mu Julian.

- Pewnie zostawił jej kupę pieniędzy? Tym grandom ich nie brakuje!

Gareth czknął i ze stojącej przed nim misy owoców, wybrał kilka winogron.

- Chyba tak.

Rozmowa się nie kleiła. Nawet Gareth zorientował się wreszcie i popadł w posępne milczenie. Perspektywa długich miesięcy letnich spędzonych w towarzystwie nieprzystępnego i pruderyjnego szwagra, bez żadnej Marjorie na osłodę, przedstawiała się gorzej, niż sądził.

W salonie Lucy usiłowała odzyskać spokój. Pełniąc rolę pani domu, zaczęła nalewać herbatę do filiżanek.

- Czy pijacie w Hiszpanii herbatę po obiedzie?

- Czasami.

Tamsyn spoglądała w zadumie na Lucy. Wszystko wskazywało na to, że siostra Juliana potrzebuje życzliwej rady. Pytanie tylko, jak jej udzielić, nie zdradzając się zbyt?

Lucy nalała herbaty.

- Mleka zawsze dolewamy na samym końcu - wyjaśniła nieco sztywnym tonem.

- Dlaczego?

- Aby dać każdemu herbatę tak mocną, jak sobie tego życzy - odparła.

- Nie można tego określić, jeśli wleje się mleko na samym początku.

- No tak, rozumiem - zgodziła się Tamsyn, siadając na kanapie obok Lucy. - Muszę to zapamiętać. Opowiedz mi o swoim mężu!

- Dlaczego on cię tak interesuje?

Policzki Lucy zapłonęły rumieńcem, gdy podawała filiżankę Tamsyn.

Ta wypła łyżeczek i doszła do wniosku, że nie pora teraz na herbatę.

- Bo myślę, że potrzebujesz pomocy - odparła bez ogródek, odstawiając filiżankę. - Jesteście młodym małżeństwem i on powinien stale z tobą sypiać! Jeśli nie będziesz uważać, ten twój mąż całkiem zejdzie na manowce.

- Jak możesz mówić takie okropne rzeczy! - Lucy przyłożyła ręce do swych rozpalonych policzków. - Cóż ty zresztą możesz wiedzieć o tych sprawach?!

- Jestem Hiszpanką - odparła dość mgliście Tamsyn. - Rozmawiamy bardziej otwarcie niż wy na takie tematy.

Wstała i podeszła do kredensu, na którym stały karafki. Nalała sobie kieliszek wina i spojrzała ze współczuciem na zaczerwienioną, zdezorionowaną i pełną urazy młodą mężatkę.

- Kochasz swojego męża, Lucy?

- Oczywiście, że tak! - W jasnoniebieskich oczach zaśniły łzy. - A on kocha mnie!

- Ależ tak, oczywiście. - Tamsyn usiadła znowu, z kieliszkiem w ręku. - Jest jednak starszy od ciebie i znacznie bardziej doświadczony... Czy sprawia ci to przyjemność, kiedy jesteś razem z nim w łóżku?

Lucy spojrzała na nią w osłupieniu.

Tamsyn pokiwała głową.

- Byłaś oczywiście dziewczicą. I wątpię, by twój mąż zadbał o to, by sprawić ci przyjemność. Mężczyźni jego pokroju przeważnie o tym nie myślą.

- O czym ty mówisz?! - Lucy z trudem szukała słów. - Nie chcę o tym rozmawiać! To okropne! To nieprzyzwoite!

- Na litość boską, Lucy! Jeśli z kimś o tym nie porozmawiasz, skąd dowiesz się czegokolwiek o miłości? A jeśli nie polubisz kochania, to i twojemu mężowi nie sprawi ono przyjemności. I wtedy naprawdę będziecie w kłopotcie! - Napiła się wina i znów pokiwała głową. - Cecile zawsze mówiła, że Anglicy są tacy pruderyjni! Nie oczekują od swoich kobiet, żeby im się to podobało. A jeśli którejś się spodoba, uważają, że to w złym guście!

- Cecile? - spytała Lucy słabym głosem.

- Moja matka. Na pewno porozmawiałaby z tobą tak, jak ja próbuję... więc nie obawiaj się, Lucy!

Zaskoczona Lucy spoglądała na tę zdumiewającą dziewczynę, która zwracała się do niej z takim przekonaniem i powagą, jak lekarz do pacjenta.

Zanim jednak pozbierała myśli, Julian i Gareth weszli do salonu.

- Lucy wyjaśniła mi, jak powinno się nalewać herbatę! - odezwała się Tamsyn. - Pozwolisz, że teraz ja podam ją panom, Lucy?

Lucy ustąpiła jej miejsca przy tacy. Wiedziała, że Tamsyn spostrzegła, jak drżą jej ręce. Kiedy Julian zaproponował siostrze, by coś zagrała, z wahaniem podeszła do fortepianu. Głowę miała pełną najdziwniejszych myśli, a ręce zawiodły ją kompletnie. Po dwóch nieudanych próbach żony Gareth powiedział bez ogródek:

- Na litość boską, Lucy, oszczędź nasze uszy! To brzmi zupełnie jak kocie wrzaski!

Lucy z hukiem opuściła wieko. Wstała od fortepianu i wróciła na kanapę.

- Jestem pewna, że wolelibyście posłuchać gry Tamsyn. To niewątpliwie jeden z jej rozlicznych talentów!

- Nie umiem grać na fortepianie, tylko na gitarze - odparła Tamsyn udając, że nie dostrzega urazy w głosie Lucy.

Zaszokowała ją swoimi uwagami. Wróci do nich jutro rano, kiedy Lucy przemyśli sobie to, co usłyszała.

- Na gitarze? Jakie to oryginalne! - mruknęła Lucy.

- Nie tam, skąd pochodzę - odparła Tamsyn.

Julian zmarszczył brwi, słysząc kąśliwe uwagi Lucy, ale rozchmurzył się, gdy Tamsyn nie okazała jej żadnej wrogości. Mimo to Lucy nadal była do niej niezycliwie nastawiona.

Gareth odchrząknął.

- Chyba przed snem przejdę się do wsi i z powrotem... A więc, do jutra rana!

Pochylił się nad żoną i cmoknął ją w policzek.

- Dobrej nocy, moja droga! Połóż się wcześniej. Musisz odespać męczącą podróż!

Lucy zbladła i poczerwieniała. Jej oczy mimo woli pomknęły w kierunku Tamsyn, ta jednak z rozmysłem unikała jej wzroku.

Drzwi zamknęły się za Garethem i Lucy zerwała się z miejsca.

- Naprawdę jestem bardzo zmęczona. Jeśli się nie obrazicie, położę się do łóżka.

W jej głosie słychać było płacz. Zakryła oczy ręką i podbiegła do drzwi.

- Bydlak! - zaklął Julian, gdy siostra opuściła pokój. - Prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę mu chodzić na dziwki, kiedy Lucy wypłakuje sobie oczy na górze!

- Tak, to bardzo egoistyczne z jego strony - przyznała Tamsyn. - Ale jeśli siłą wyciągniesz go stamtąd, będzie wiecznie obrażony. Tacy jak on mają ten zwyczaj.

Julian popatrzył na nią i zmarszczył brwi, widząc kieliszek w jej ręku.

- Dlaczego tyle dziś pijesz? Mówiłaś przecież, że ci to nie służy!

- Ależ służy mi, służy! - odparła leniwie, poprawiając włosy i mrucząc uwodzicielsko oczy. - Ale robię się potem za bardzo szczerą, no i pobudza to jeszcze moją wyobraźnię. Może pójdziemy na górę, kiedy nasi goście już się wynieśli?

Myśl o jeszcze bardziej niż zwykle szczerzej i pomysłowej Tamsyn mogła doprawdy przyprawić o zawrót głowy! Jej fiołkowe oczy kusiły Juliana, a poza, jaką przybrała w fotelu, też była uwodzicielska. Doprawdy, że świecą szukać drugiej takiej kobiety...

- Wybacz - powiedział sucho. - Mam jeszcze coś do załatwienia w bibliotece.

Ta odmowa była tak nieoczekiwana, że Tamsyn spoglądała w osłupieniu na drzwi, które się za nim zamknęły. Do oczu napływały jej piekące łzy; odpędziła je gniewnym mruganiem. Przez cały wieczór dawała mu do zrozumienia, że chce się z nim pogodzić, i wydawało się, że on też sobie życzy zakończenia tej kłótni. Teraz jednak odwrócił się od niej tak zimno...

Ale ona nie da za wygraną! Jej usta zacisnęły się w grymasie uporcu.

Gareth wracał przy księżycu na piechotę do Tregarthan, ubolewając z powodu braku rozrywek w niewielkiej rybackiej osadzie w Konwalii. W gospodach w Fowey brakowało młodych dziewcząt chętnych do pofiglowania z zamożnym- dżentelmenem. Co prawda, oberżystka w Pod Okrętem puszczała do niego oczko i pozwoliła, by dyskretnie popićYł jej bujne kształty, gdy pochylała się nad jego stolikiem, podając dżin z wodą. Niestety, pojawił się zaraz na scenie jej mążonek, pozornie dobroduszny, ale z parą tak potężnych ramion, że mógłby się równać z tym osiłkiem Ga-brielem. .. z którym zresztą popijali w jakimś ciemnym kącie.

Osobliwy typ z tego Szkota! Coś w rodzaju osobistej ochrony Tam-syn. Bardzo to dziwne... Prawdę rzekłszy, mówił sobie w duchu Gareth, beknawszy dyskretnie, wszystko to wygląda dziwacznie, z którejkolwiek strony na to spojrzeć! Julian, z dala od swych ukochanych pól bitewnych, bawi się w opiekuna jakiejś hiszpańskiej dzierlatki... Co prawda, jeśli ksią-żę Wellington mu to polecił, to nic dziwnego, że posłusznie wykonywał rozkaz. Straszny słuźbista z tego Juliana!

Postanowiwszy wracać najkrótszą drogą, Gareth najpierw utknął na przełazie, gdy nosek buta zaklinował mu się między szczeblami, a potem omal nie zwałił się na łeb. Klnąc pod nosem, odzyskał jakoś równowagę i ruszył samotnie na przełaj przez pole.

Zauważył co prawda Pod Okrętem braci Penhallanów; popijali - tylko we dwóch - w kącie gospody. Wymienili ukłony, ale ponieważ nie obracali się w tych samych kręgach towarzyskich, Gareth nie uważał za stosowne zacieśniać z nimi znajomości. Było w tych bliźniakach coś podejrzanego... zawsze to mówił. Wszyscy zresztą utrzymywali, że odezwała się w nich zła krew Penhallanów.

Gareth przedarł się jakoś przez dziurę w kolczastym żywopłocie i przystanął na chwilę. Z tyłu za nim i w dole niemal wszystkie światła Fo-wey były już pogaszone. Kołysała się tylko jedna latarnia na nabrzeżu - na wypadek, gdyby ktoś chciał przeprowić się z Polruan przez rzekę w środ-ku nocy. Przed nim rozciągały się tylko pola i widniał szczyt przybrzeżnej skały. Niech to szlag! Chyba się nie zgubił?! Powinien trzymać się pol-nych drózek. Spojrzał w usiane gwiazdami niebo, a potem gdzieś w dali dostrzegł światło błyskające zza drzew i doszedł do wniosku, że to pewnie okno stróżówki w Tregarthan.

Z nową energią ruszył w tamtym kierunku; ulżyło mu, gdy rozpoznał kamienny domek przy bramie i podjazd. Jego wiszący na łańcuszku zegarek wskazywał wyraźnie, że jest zaledwie jedenasta. W Londynie wieczór się dopiero zaczynał, ale tu mógł o tej porze posłuchać najwyżej szumu morza i pohukiwania sów.

Kiedy był już blisko domu, na drogę, którą kroczył, padł wielki cień. Serce podskoczyło mu do gardła. Odwrócił się raptownie i ujrzał tego osiłka Gabriela z latarką w ręku. Olbrzym uśmiechnął się przyjaźnie.

- Mam nadzieję, że udał się panu wieczór. Dobre ludziska z tych Kornwalijszczyków!

Gareth był zdumiony, że służący odzywa się do niego tak familiarnie.

- Mój dobry człowieku...

- Wolnego, chłopcze! Nie jestem twoim człowiekiem, ani dobrym, ani złym. Nikomu nie służę! Mam tylko obowiązek czuwać nad dzieckiem, żeby się jej nic złego nie przytrafiło... I radzę panu mieć to na uwadze, żeby uniknąć nieprzyjemności. Dobrej nocy życzę!

Gabriel miał już skrócić za róg domu, ale przystanął i obejrzał się przez ramię.

- A tak przy okazji, synu: na twoim miejscu nie kręciłbym się za bardzo koło baby Jebediaha!

I wielki Szkot, pogwizdując, skierował się na tyły domu. Gareth spoglądał za nim w niemym oburzeniu.

Gabriel skrzywił się w ciemności z pogardą. Szwagier pułkownika to skończony dureń. Jakby mu wetknąć pistolet do ręki, pewnie by się sam postrzelił! Nie miał też tęgiej głowy do picia. Olbrzym dotarł do stajni i po zewnętrznych schodach wspiał się do pokoiku o bielonych ścianach, który zajmowali wspólnie z Josefą. Wolał mieszkać na osobności, z dala od dworu. A poza tym pokój nad stajnią przypominał skromne izdebki, do których przywykł i on, i Josefa.

Powitała go czule, gdy schyliwszy się w niskich drzwiach wszedł do schludnego, pogodnego pokoju. Jego kobieta potrafiła stworzyć prawdziwie domową atmosferę wszędzie, gdzie ich losy zaniosły. Gabriel zwykł mawiać, że wyczarowałyby dom nawet pod kaktusem. Opadł na krzesło a Josefa podbiegła od razu, by ściągnąć mu buty.

- Natknąłem się na ciotecznych braci naszej dziewczuszki - powiedział, rozpinając koszulę.

Josefa nalała mu wieczorną porcję rumu. Pokiwała głową, jej oczy wyrażały prawdziwe zrozumienie. Wzięła od niego koszulę i starannie ją złożyła.

- Wyjątkowo paskudna z nich parka - mówił dalej Gabriel. Pozbył się bryczesów i stanął na jednej nodze, by ściągnąć pończochę. - Lepiej mieć ich na oku!

Stanął na drugiej nodze, zdjął drugą pończochę, po czym ściągnął wełniane gacie.

Josefa starannie pozbierała z podłogi poszczególne części ubrania, troskliwie je poskładała i złożyła w cedrowej skrzyni. Nie odzywała się ani słowem, podczas gdy jej chłop myślał na głos i dzielił się z nią informacjami - raczej po to, by sobie wszystko poukładać w głowie, niż dlatego, że szukał jej rady. Josefa słuchała go jednak i potakiwała. Wiedział też, że zachowa wszystko w pamięci i gdyby kiedykolwiek chciał poznać jej zdanie lub potrzebował rady, udzieliłaby jej całkiem rozsądnie.

Wychylił szklanekę rumu do dna i z westchnieniem satysfakcji opadł na sznurowe łóżko. Linki zaskrzypiały głośno pod jego ciężarem. Josefa ułożyła się obok niego, on zaś sięgnął po jej ciepłe, miękkie, chętne ciało i wtulił twarz w pulchny jak poduszka biust. Pogdakiwała cichutko z radości i obejmowała go swoimi krótkimi ramionami, dokąd tylko mogła sięgnąć. Była zawsze szczęśliwa, gdy zanurzał się w niej.

- Prawdziwa z ciebie perła, kobieto! - mruknął, ona zaś uśmiechnęła się i pogładziła go po plecach. - ... Ale na tych bliźniaków koniecznie trzeba uważać!

Irytacja Garetha jeszcze wzrosła, gdy wszedł do domu i zobaczył, że jego nowiutkie buty były pokryte błotem i zalatywały nawozem. W hallu panował mrok. Paliła się tylko gruba woskowa świeca, a na stole u podnóża schodów czekały dwie świeczki, którymi domownicy mieli sobie oświetlić drogę do łóżka. Spod drzwi biblioteki widać było smugę światła. Prawdopodobnie St Simon wciąż jeszcze nie spał i ta druga świeczka czekała na niego. Zapewne ktoś zamknie też drzwi frontowe... A może w tej zabitej deskami dziurze nie były potrzebne takie środki ostrożności?

Gareth zapalił swoją świeczkę i, ciężko stąpając, udał się schodami na górę. Dwie świece w ściennych kinkietach oświetlały długi korytarz. W całym domu panowała cisza. Trafił jakoś do swego pokoju przy końcu korytarza i po cichu otworzył drzwi. Kotary wokół łóżka były zaciągnięte, światło księżycy przenikało przez cienkie, stosowne na lato zasłony w oknach.

- To ty, Gareth? - odezwała się z osłoniętego łóżka zaniepokojona Lucy.

- A któż by inny?!

Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to niegrzecznie, ale smród unoszący się z jego butów mógł doprowadzić człowieka do szału! Ściągnął je czym prędzej i wystawił przed drzwi dla czyścibuta.

Rozebrał się, włożył nocną koszulę i skierował się w stronę garderoby. I nagle zatrzymał się. Niech to wszyscy diabli! Nie będzie rezygnował z wygodnego posłania, kiedy w gruncie rzeczy nie ma nic na sumieniu! Zdmuchnął świeczkę i rozsunął kotary przy łóżku. Lucy, w koronkowym nocnym czepeczku na ciemnych włosach, leżała skulona przy ścianie. Wślizgnął się pod kołdrę i położył obok żony. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale natychmiast się odsunęła.

Z westchnieniem odwrócił się na bok, plecami do niej. Nie był brutalnym i czuł się okropnie, gdy żona płakała i dygotała w jego objęciach, a on wiedział, że sprawia jej ból. Od czasu do czasu zmuszał jednakją - i siebie - do uścisków małżeńskich, gdyż musieli przecież postarać się o potomstwo. Kiedy dochowają się już syna albo dwóch na wszelki wypadek, będzie można zaniechać tych nikogo niesatysfakcjonujących karesów!

Gareth przymknął oczy i wyczarował obraz Marjorie, jej zręcznych rącek i wijącego się zmysłowo ciała.

Lucy leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczyma, starając się nie płakać. Mimo woli powracała myślą do rozmowy z Tamsyn. Jak ona śmiała poruszać takie tematy?! Co mogła wiedzieć o podobnych sprawach niezamężna panna?

Julian słyszał, że Gareth wrócił do domu, i zaczekał, aż kroki szwagra ucichną na schodach. Pogasił wtedy świece i wyszedł z biblioteki. Zamknął drzwi frontowe na klucz i zabezpieczył je zasuwą. Zapalił czekającą na niego świeczkę i udał się do łóżka. Tylko świece w kinkietach ściennych paliły się nadal — na wypadek, gdyby ktoś musiał wyjść w nocy.

Apartamenty pana domu - składające się z sypialni, garderoby i niewielkiego saloniku - zajmowały centralną część budynku z szeregiem rozdzielonych kolumnkami okien, wychodzących na trawniki i na morze. Po obu stronach znajdowały się narożne pokoje, usytuowane w wieży, naprzeciwko zaś pokoje gościnne, z których największy zajmowała jego siostra z mężem.

Julian wszedł do swojej sypialni; był zmęczony, a równocześnie niespokojny. Małżeńskie problemy siostry bardzo go martwiły, nie to jednak było głównym powodem złego samopoczucia. Wynikało ono po części z gwałtownego pożądanego, jakie wzbudziły w nim zachęcające błyski w oczach

Tamsyn i jej kocie, zmysłowe ruchy. A poza tym napawała go niesmakiem własna brutalność. Sprawiał przykrość Tamsyn - bez słowa wyjaśnienia czy usprawiedliwienia. Zrobiła tego wieczoru wszystko, by naprawić stosunki między nimi, na koniec zaś ofiarowała mu siebie, ze zwykłą u niej bezpośredniością, nie spodziewając się odtrącenia. Zanim odwrócił się od niej, dostrzegł w jej oczach wyraz konsternacji i lśnienie łez... Nie mógł uwolnić się od tego wspomnienia.

Zamknął drzwi swojej sypialni i obrzucił wzrokiem pokój, unosząc wysoko świecę. Przez sekundę sądził, że rozigrana wyobraźnia płata mu figle, potem jednak uświadomił sobie, że powinien to przewidzieć! Tamsyn nie należała do tych, co godzą się z porażką, choćby robiła wrażenie nie wiem jak zranionej i bezbronnej.

Siedziała nago na ławeczce pod oknem, oświetlona blaskiem księżyca, z brodą wspartą na ręce i spoglądała na osrebrzone trawniki i linię horyzontu, gdzie czarny aksamit nieba stykał się z ciemnym szafirem morza.

Serce biło mu jak szalone, krew w nim kipiała.

- Jesteś wreszcie! - odezwała się beztroskim tonem, jakby nie było między nimi żadnych nieporozumień. - Myślałam już, że twoje studia w bibliotece, czy cokolwiek to było, zatrzymają cię tam przez całą noc.

- Co ty tu robisz, u diabła?! - spytał ostrym szeptem, zmagając się ze sobą i z przekonaniem, że nigdy nie będzie w jego życiu kobiety, która dorównałaby Tamsyn. Postawił świecę na stole. - Mówiłem ci, że jak długo przebywa pod tym dachem moja siostra, nie możesz przychodzić do mnie!

- Nie określiłeś tego aż tak dokładnie - odparła Tamsyn, podnosząc się z ławeczki pod oknem. - A zresztą, twoja siostra śpi grzecznie w swoim łóżeczku! - Zbliżyła się do niego. - Wszyscy śpią, jaśnie panie pułkowniku. Któż mógłby się dowiedzieć, co się dzieje za tymi drzwiami?

- Nie o to chodzi! - oświadczył, pozbywając się surduta. - Moja siostra to niewinna młoda istotka. Wiem, że dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia, ale...

- Och, nie zaczynaj tego od nowa! - błagała Tamsyn. Stała teraz tak blisko niego, że ciepło jej nagiego ciała docierało do niego przez koszulę i cienką dzianinę spodni. - Czy musimy się znów o to kłócić?

Julian spojrzął na nią bezradnie. Wilgotne oczy, lekkie drżenie ust, błagalny ton głosu - wszystko to było tak nieoczekiwane! Dałby sobie radę z zapalczywą rozbójniczką, ale nie miał pojęcia, jak uporać się z tym nowym wcieleniem!

- Słuchaj, Tamsyn - próbował ją przekonać. - Rozumiem, że trudno ci to pojąć... Lucy z pewnością przypomina ci nieznaną, egzotyczny kwiat. Orchidea, wyhodowana w oranżerii, tak delikatna...

- Och, *estupido!** - wykrzyknęła Tamsyn, zapominając o swym postanowieniu, że będzie skora do pojednania, bardzo kobieca i pełna miłości, kiedy uraczył ją tą niesmacznie przesłodzoną i zgoła fałszywą interpretacją faktów. - Jeśli chcesz wiedzieć, twoja delikatna mała siostrzyczka doznała takiego szoku w małżeńskim łóżu, z powodu tego nieczułego drania, którego pozwoliłeś jej poślubić, że bardzo wątpliwe, czy kiedykolwiek się z tego otrząśnie, jeśli ktoś z całą miłością i dobrocią nie otworzy jej oczu na realia życia!

Julian z westchnieniem ulgi zdarł z szyi fular i spiorunował wzrokiem swą rozmówczynię. Jego oczy zionęły błękitnym ogniem. Z taką Tamsyn umiał sobie poradzić!

- Jeśli chodzi o postępowanie z moją siostrą, to niepotrzebne mi rady źle wychowanej, nieznośnej smarkuli, która nie ma pojęcia o formach towarzyskich!

- Też coś! - skrzywiła się z niesmakiem Tamsyn. - Formy towarzyskie! - powtórzyła drwiąco. - Tylko my, kobiety, musimy się do nich stosować, a taki Gareth niekoniecznie, prawda? Może obdarzać swymi względami kogo popadnie, a wszyscy uznają, że nic złego się nie stało!

- Nieprawda! - warknął Julian, wyciągając koszulę ze spodni i rzucając ją na podłogę.

W swym roznamiętnieniu nie pomyślał nawet, że pozbywając się ubrania na oczach nagiej Tamsyn może zostać zrozumiany całkiem opacznie. - Jeśli o mnie chodzi, to nie mam ani krztyny pobłażania dla słabostek Garetha... ani dla twoich!

- A co z twoimi? - odgryzła się. - Do takich słabostek, jak to delikatnie określiłeś, trzeba dwojga! Nie zauważyłam do tej pory, żebyś tak od nich stronił, jaśnie panie pułkowniku!

Oczy jej sypały iskry, a drobne ciało prężyło się w słusznym gniewie.

- Ze wszystkiego w świecie najbardziej nienawidzę hipokryzji!

- Nie mówimy o mojej hipokryzji, tylko o mojej siostrze! - warknął, zrzucając buty. - Nie pozwolę, byś zbrukała jej niewinność swoim, pożałuj się Boże, doświadczeniem!

Estupido (hiszp.) - głupiec.

- Ja miałabym ją zbrukać?! - wykrzyknęła Tamsyn. - Mówisz tak, jakbym była ostatnią szumowiną! - Jedyną osobą, która naprawdę zbrukała Lucy, jest ten jej cholerny mąż!

Pochylając się wdzięcznym ruchem, schwyciła porzuconą przez niego koszulę.

- Gdybyś naprawdę dobrze życzył Lucy, gdybyś ją kochał, wytłumaczyłbyś jej, co trzeba, i nie znalazłaby się w takiej sytuacji jak teraz! Życzę dobrej nocy, pułkownik! Szkoda mi czasu dla zaślepionych hipokrytów!

Przemknęła obok niego i podbiegła do drzwi, zrzuciwszy na siebie jego koszulę.

- Nie waż się tak wychodzić! Wracaj! - Zapominając, że chciał za wszelką cenę pozbyć się Tamsyn ze swego pokoju, Julian schwycił ją za ramię. - Powiedz wyraźnie, o co ci chodzi!

Wyrwała mu się i uskoczyła poza zasięg jego rąk.

- Sam to sobie przemyśl, mój panie!

Skoczył w jej kierunku i w tym samym momencie Tamsyn chwyciła dzbanek wody z umywalki. Oczy jej się żarzyły jak węgle.

- O nie! - powiedział z mocą. - Nie ośmielisz się!

- Właśnie, że się ośmielę! - odparowała i wylała na niego zawartość dzbanka.

W pokoju po przeciwnej stronie korytarza Lucy poderwała się z łóżka, słysząc ryk rozszerezonego byka.

- Co się tam dzieje?!

- Bóg raczy wiedzieć! - Gareth zerwał się półprzytomny z bardzo przyjemnego snu i siedział teraz po ciemku, usiłując odgadnąć znaczenie wszystkich tych hałasów. - Wygląda na jakąś bójkę...

- Bójkę?! - Lucy odrzuciła kołdrę. - Któż mógłby się bić w tym domu. ... o takiej porze?... O jakiegokolwiek porze?!

Gareth nadsłuchiwał z głową przechyloną na bok. Jeszcze jeden wstrząsający ziemią łomot i ryk... który wydał niewątpliwie jego szwagier! A potem pisk wściekłości, w znacznie wyższej tonacji.

- Dobry Boże! - odezwał się znowu. - To odgłosy z pokoju twojego brata! - Wyskoczył z łóżka i rozsunał kotary. - Chyba nie wlamywacze?

Dotarł do drzwi, Lucy deptała mu po piętach. Oboje aż podskoczyli na odgłos otwieranych i zamykających się z impetem drzwi pokoju St Simona.

Z palcem na ustach Gareth ostrożnie uchylił drzwi ich pokoju. Oboje wyjrzeni na słabo oświetlony korytarz i oczom ich ukazał się niecodzienny widok.

Julian - w samych spodniach, ociekający wodą - uganiał się za Tamsyn, odzianą jedynie w jego koszulę.

- Wracaj!

Pełen wściekłości szept Juliana rozbrzmiewał gromkim echem na pustym korytarzu.

- Idź do diabła! - syknęła przez ramię Tamsyn, tracąc w ten sposób szybkość.

Julian schwycił ją za kołnierz koszuli.

- Nie ujdzie ci to płazem, *mi muchacha!*

Tamsyn zręcznie wyplątała się z przyodziewku i pobiegła dalej, pozostawiając go z pustą koszulą w garści.

- Hera!

Julian w dalszym ciągu mówił szeptem, ale osłupiałe audytorium kryjące się w mroku usłyszało w jego głosie zarówno śmiech, jak i niezłomną determinację.

Rzucił się na swą ofiarę i objął ją w pasie. Tamsyn straciła grunt pod nogami i w następnej sekundzie wylądowała na jego ramieniu.

- *Espadachin!* Podlec!

Waliła go pięściami, zapominając o konieczności zachowania ciszy.

- Uspokój się, jaskierku! - odparł Julian cicho, przyjaznym tonem, i zawrócił do swego pokoju. - Aż się prosisz, żeby cię klepnąć w ten nadstawiony zadek!

- Zamorduję cię! - oświadczyła Tamsyn, opadając na jego ramię. - Gabriel wydrze ci to czarne serce, a ja będę chłęptać twoją krew!

Echo niskiego śmiechu Juliana wibrowało jeszcze w korytarzu, choć pułkownik ze swym brzemieniem zniknął już w swoim pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Do diabła! - mruknął Gareth, zerkając na Lucy. - Kto by pomyślał?!

Uświadomił sobie, jak bardzo jest podekscytowany. Widok nagiego ciała przerzuconej przez ramię Juliana Tamsyn, jaśniejącej w blasku świec, niezwykle go podniecił.

- A więc to miała na myśli... - szepnęła Lucy, spoglądając na męża. - Mówiła, że zna się na tych sprawach...

Głos się jej załamał, gdy ujrzała wyraz twarzy Garetha i poczuła, że z jej ciałem dzieje się coś dziwnego. Co miały znaczyć te gorące dreszczyki?

- Lucy... - powiedział zdławionym głosem Gareth.

Dotknął dłonią jej policzka, widząc zdumienie i podniecenie w oczach żony i rumieniec na jej twarzy. Czyżby i na niej ta scena zrobiła wrażenie? Lucy nie odsunęła się od niego, uniósł ją więc i przytulił do siebie, wyczuwając miękkość i ciepło jej ciała oraz rozkoszną krągłość pupy okrytej nocną koszulą. Czepek zsunął się z głowy Lucy, gdy oparła się o ramię męża. Pochylił się i ostrożnie złożył ją na łóżku.

Po raz pierwszy pozwoliła, by zdjął z niej koszulę. Kiedy jej dotknął, była wilgotna i otwarta, choć usztywniła się nagle, a twarz miała pełną napięcia.

- Wszystko będzie dobrze! - powiedział miękko, ledwie mogąc zapanować nad sobą, a żona nie zeszywniała z przerażenia, jak zawsze się zdarzało do tej pory. Niebawem było już po wszystkim, ale gdy zsunął się z niej, wiedział, że po raz pierwszy nie sprawił jej bólu, a jego samego dreszcz rozkoszy przeniknął na wskroś.

Lucy leżała po ciemku, zatopiona w myślach, wsłuchując się w coraz głośniejsze pochrapywanie Garetha. Czuła się bardzo dziwnie, ale była przyjemnie odprężona. Żywiła jednak niewzruszone przekonanie, że to, czego właśnie doświadczyła, było niczym w porównaniu z tym, co przeżywała Tamsyn w łóżku Juliana.

Była jego kochanką. Jakie to oryginalne... i jakie szokujące! Nic dziwnego, że wydawała się taka inna i że chciała udzielać jej rad! No cóż... rano Lucy poprosi ją o nie. Spoglądała teraz innymi oczami na swego pruderyjnego brata. Mimo woli zachichotała i wtuliła usta w poduszkę. W przyszłości będzie przywiązywać mniejszą wagę do jego kazań!

Następnego ranka Gareth nie bardzo wiedział, jak się odezwać do swego szwagra, ale słowom powitania, jakie rzucił mu Julian znad zastawionego do śniadania stołu, towarzyszył uśmiech taki sam jak zwykle i uprzejme zaproszenie, by szwagier wybrał sobie którego tylko zechce konia... z wyjątkiem Soula.

- Przyjechałem na nim spod Badajos do Lizbony - wyjaśnił Julian.

- Resztę swych koni bojowych pozostawiłem pod opieką stajennego w Hiszpanii.

- Kiedy zamierzasz tam wrócić?

Gareth nałożył sobie na talerz dużą porcję ryby z ryżem i jajkami i usiadłszy przy stole, napełnił swój kufel piwem z dzbanka.

- Najpóźniej w październiku. W przyszłym miesiącu muszę znówjechać do Londynu. - Otarł usta serwetką i rzucił ją na stół. - Wybacz, Gareth, ale mam mnóstwo roboty.

Zmierzał ku drzwiom, gdy otwarły się i weszła Tamsyn w sukni z wzorzystego muślinu, pod szyję i z długimi rękawami.

- Dzień dobry, pułkowniku!

- Dzień dobry, Tamsyn.

Głos Juliana był spokojny, w oczach miał lekkie rozbawienie. Zauważył, że wybrała strój szczelnie okrywający całe jej ciało. Oboje byli niezłe posiniaczeni po miłosnych potyczkach!

- Nie chciałabym cię zatrzymywać, milordzie...

- Nie zatrzymasz, sekutnico! - odparł cichym szeptem.

Uszczypnął ją od niechcienia w policzek. Resztką namiętności czaiła się w jego oczach. ..i w śmiechu. Obudził się ze śmiechem i był pewny, że śmiał się również we śnie.

- Brutal! - szepnęła bezgłośnie; oczy jej zabłyśły.

- Herod-baba! - wyszeptał i wyszedł.

Tamsyn zwróciła się do Garetha, który udawał, że wcale nie nadstawia ucha, by dowiedzieć się, co do siebie szepkali.

- Dzień dobry, Gareth! Czy Lucy jeszcze śpi? - Usiadła przy stole i wzięła grzanekę. - Mogę prosić o kawę?

Gareth spełnił jej prośbę.

- Lucy zazwyczaj jada śniadanie w swoim pokoju.

Przyłapał się na tym, że skrycie obserwuje Tamsyn. Dobrze zapamiętał, jak wyglądała bez ubrania! Ciekawe, jak przyjęłaby jego propozycję? Mógłby jej ofiarować wszystko to, co Julian. Niestety, nie bardzo mu wypadało zwrócić się do niej z podobną sugestią, gdy oboje znajdowali się pod dachem St Simona. Dżentelmen nie okrada swego gospodarza! Może jednak, gdy Julian wyjedzie do Londynu, zdoła się zorientować, jak Tamsyn zapatrywałaby się na to? Uśmiechnął się na tę myśl i odruchowo podkreślił wąż.

Tamsyn smarowała grzanekę masłem, zastanawiając się, co wywołało ten irytujący uśmiezek na twarzy Garetha. Oby nie miał on żadnego związku z jej osobą! Czyżby usłyszał ich harce ostatniej nocy? Nie, nie! Na korytarzu rozmawiali szeptem, a wszyscy spali jak zabici!

Opuściła pokój śniadaniowy, gdy Gareth zabierał się do drugiej porcji polędwicy. Grube uda mu od tego nie zeszczupleją! No, ale gusta bywają różne.

- Dzień dobry, Tamsyn!

Głos Lucy w samą porę przerwał jej te rozważania. Młoda mężatka schodziła właśnie ze schodów; była równocześnie podekscytowana i onieśmielona.

- Dzień dobry! - powitała ją przyjaźnie Tamsyn, zadowolona, że Lucy odzyskała już dobry humor. - Wybieram się na spacer. Miałabyś ochotę przejść się ze mną?

- O tak, bardzo chętnie! Wezmę tylko parasolkę i jakieś okrycie.

- Nie będą ci potrzebne. Jest bardzo ciepło i wybieram się na St Catherine's Point. Czeka nas niezła wspinaczka po skałach, lepiej więc nie taszczyć niepotrzebnych rzeczy.

Lucy, która spodziewała się spaceru po ogrodzie wśród kwitnących krzewów, była nieco skonsternowana. Odrzekła jednak mężnie:

- Wobec tego nie zabiorę ich. Chcesz tam iść od razu?

- Jeśli ci to dogadza - odparła grzecznie Tamsyn.

Były w połowie podjazdu, gdy zza drzew wynurzył się Gabriel - pie szo, ze strzelbą na ramieniu i z myśliwską torbą przewieszoną przez drugie ramię.

- Dokąd się wybierasz, mała?

- Idziemy na St Catherine's Point. A potem do Fowey po igły i nici dla Josefy.

Skinął głową, uśmiechnął się grzecznie do Lucy i poszedł w swoją stronę.

- Twój służący zwraca się do ciebie tak poufale!

- Gabriel nie jest moim służącym. Nie traktuj go w ten sposób - ostrzegła ją Tamsyn. - Strasznie go to irytuje! Był najwierniejszym przyjacielem mojego ojca, a teraz czuwa nade mną.

- W Hiszpanii doprawdy panują inne stosunki! - zauważyła Lucy, zastanawiając się, jakby tu skierować rozmowę na pożądane tory.

- W pewnym sensie...

Tamsyn ruszyła pod górę stromą, kamienistą ścieżką. Szła niemal męskim krokiem - długim i swobodnym. Lucy, posapując, podążała za nią. Opędzała się od much, które krążyły wokół niej zwabione kroplami potu na jej czole.

- I rozmawiacie inaczej o różnych sprawach... - Dotarli do końca ścieżki i Lucy przystanęła, wdychając ożywczą bryzę znad morza, które rozciągało się w dole pod nimi. - Mam na myśli rzeczy, które ci opowiadała matka.

Policzki jej pałały, i to nie tylko ze zmęczenia.

Śmiech Tamsyn zadźwięczał na wietrze.

- Twoja matka pewnie ci nie mówiła o takich rzeczach?

Ruszyła znowu, tym razem zbiegając ścieżką w dół do półki skalnej nad ujściem rzeki Fowey, powyżej ruin fortu świętej Katarzyny, który wznosił się tu od czasów Henryka VIII.

Zanim Lucyją dogoniła, Tamsyn zrzuciła już sandałki i położyła się na brzuchu, spoglądając w dół. Kliper, obładowany gliną porcelanową, wypływał właśnie z ujścia rzeki w morze.

- Nic mi nie mówiła - odparła Lucy, opadając na trawę obok Tamsyn i zastanawiając się, czy nie zazieleni sobie jasnej batystowej sukni.

- Raz tylko wspomniała, że niektóre aspekty małżeństwa nie są przyjemne, ale obowiązkiem kobiety jest znoszenie ich bez szemrania.

- Aha! Leż bez ruchu i myśl o Anglii! - sarknęła Tamsyn, żując źdźbło trawy. - Brat pewnie też ci nie wspomniał o niczym?

- Julian?! - Lucy spojrzała na nią z przerażeniem. - Jakże by mógł rozmawiać ze mną na podobne tematy!

- O!...

Tamsyn doszła do wniosku, że lepiej nie wspominać o Julianie w trakcie tej konwersacji, żeby się przypadkiem z czymś nie zdradzić.

- Wiem, że nie wypada poruszać takich tematów... - bąknęła zmieszana Lucy.

Tamsyn wybuchnęła śmiechem. Przewróciła się na wznak, mrużąc oczy od słońca.

- Gdyby robić tylko to, co wypada, życie byłoby okropnie nudne! Założę się, że Gareth wolałby w łóżku kurtyzanę od dobrze wychowanej skromnisi!

- O, kurtyzan mu nie brakuje! - odparła cierpko Lucy i aż się zachnęła. Jak mogła powiedzieć coś tak szokującego?!

Tamsyn wcale się nie zgorszyła.

- Gdyby miał taką ślubną kurtyzanę w domu, nie musiałby szukać innych poza domem!

- No więc, co mam robić, żeby być taką... ślubną kurtyzaną? - dopytywała się Lucy. - Widzę, że wiesz bardzo dużo na ten temat!

Chciała napomknąć o tym, co oboje z Garethem zobaczyli ostatniej nocy, ale wstyd jej było przyznać, że ich podglądali... i że to było takie ekscytujące.

- Powiem ci, jeśli nie piśniesz ani słowa swojemu bratu. Pomyślałaby, że cię gorszę, i wyrzuciłby mnie z domu!

- Naprawdę? - szepnęła cichusieńko Lucy.

Brat budził w niej lęk, ale po tym, co ujrzała ostatniej nocy, bardzo wątpiła, czy Tamsyn dałaby się wyrzucić bez protestu!

- Całkiem możliwe - odparła Tamsyn. - Musisz więc obiecać, że nic nie wypaplasz!

- Przysięgam, że nie!

Tamsyn uśmiechnęła się i zaczęła wtajemniczać słuchające jej w osłupieniu niewiniątko w niektóre sekrety miłości.

Godzinę później Lucy wróciła sama do Tregarthan. Pograżona w myślach, szła znacznie wolniej niż wówczas, gdy Tamsyn narzucała tempo.

Tamsyn natomiast poszła krętą skalną ścieżką do Fowley. Była również zatopiona w myślach. Doprawdy, warto komuś pomóc w dążeniu do szczęścia... tylko co ta Lucy widzi w Garecie Fortescue?! Leniwy, zarozumiały i wygodnicki! Jeśli wierzyć Cecile, były to wady często spotykane u angielskich arystokratów. Nigdy mu nie wystarczy małżeńskie łożo, choćby nie wiem jak satysfakcjonujące... ale może Lucy łatwiej zniesie „słabostki” męża, jeśli sama znajdzie w tym związku zaspokojenie? W każdym razie ich małżeństwo chyba się nie rozleci!

Tamsyn załatwiła drobne sprawunki w sklepie z pasmanterią i przechadzała się po tonącym w słońcu nabrzeżu. Dawid i Charles Penhallanowie dostrzegli ją ze stopni urzędu celnego, gdzie gawędzili z porucznikiem Barkerem. Ten potężnie zbudowany celnik zmagał się każdego dnia z paradoksem, jakim było pełnienie funkcji całkowicie sprzecznej z jego własnymi przekonaniem i interesami. Komuś tak rozmiłowanemu w dobrym winie i koniaku tępienie działalności przemytników wydawało się nieomal zbrodnią! Nauczył się więc patrzeć na ich poczynania przez palce, oni zaś przeważnie dawali mu znać, kiedy powinien zamknąć oczy i siedzieć cicho.

- Lord Penhallan zauważył onegdaj, że odkąd w Lanjerrick zaczęto zastawiać potrzaski, jego gajowi mają znacznie mniej kłopotu z kłusownikami - prawil właśnie Barker, masując wzdęty brzuch. Wędzone śledzie zawsze mu szkodziły, zwłaszcza na śniadanie... nie umiał jednak oprzeć się pokusie. Czknął dyskretnie. - Zamierzałem wspomnieć o tym lordowi St Simonowi. Jego rządca ubolewał, że tyle bażantów...

Urwał nagle, zorientowawszy się, że jego słowa trafiają w próżnię. Bracia Penhallanowie umknęli bez pożegnania.

Tamsyn wracała do domu wąskimi, stromymi uliczkami małego miasteczka, zatrzymując się od czasu do czasu, by popatrzeć to na małe, pełne róż ogródki, to na suszące się rybackie sieci.

Czy mogłaby zamieszkać tu na stałe? Porzucić strome przełęcz i ośnieżone szczyty gór? Zapomnieć o hiszpańskim letnim skwarze w tutejszym, znacznie łagodniejszym klimacie? Pokochać świeże powietrze i wiosenny deszcz?

Były to jednak czysto teoretyczne rozważania. Tamsyn wiedziała, że nie zdoła zdemaskować Cedrica Penhallana w taki sposób, by Julian nie zorientował się w jej planach. A jeśli tak, to pułkownik nigdy nie zajrzy w głąb własnego serca, ona zaś wróci do Hiszpanii. Zabierze ze sobą wspomnienie pewnego mężczyzny i miłości, która mogła trwać całe życie...

Wyszła już poza teren miasteczka i skrzyła w otoczoną wysokimi żywopłotami drogę, która wiodła do Tregarthari. Z trudem zmusiła się, by myśleć o czymś innym. Jaki wspaniały był jej rodzinny kraj!... Jak dobrze będzie walczyć znów u boku partyzantów, mieć wyraźny cel w życiu... Nie zapuszczać się na emocjonalne bezdroża!

Była tak zatopiona w myślach, że nie spostrzegła dwóch mężczyzn idących w pewnej odległości za nią.

Dawid i Charles to przemykali się pod domami, to kryli po bramach, to chowali się w bocznych uliczkach, żeby nie było widać, że idą w ślad za nią. Teraz zaś, gdy deptali jej po piętach na pustej, wąskiej drodze, obaj obracali w palcach czarne jedwabne maski. Ich oczy miały drapieżny wyraz, a na ustach widniał ten sam niemiły grymas. Bez słowa zasłonili sobie twarze.

Tamsyn wsłuchiwała się w sielskie odgłosy: leniwe buczenie trzmiela, wrzask spłoszonego bażanta... Słońce było gorące, ziemia wysuszona. Panna senny spokój... I nagle poczuła jak włosy na karku stają jej dęba.

Przystanęła i niby to od niechcienia rozejrzała się dokoła.

Podeszło do niej dwóch zamaskowanych mężczyzn. Nie miała wątpliwości co do ich złych intencji. Stała bez ruchu. Nigdzie w pobliżu nie było nikogo prócz niej i tych dwóch nieznanym. Tylko stado krów przyglądało się im, flegmatycznie przeżuwać paszę.

- No, no! - zagaił Charles, podchodząc do dziewczyny. - Czy to nie lalunia St Simona, ta znad zatoki?

Jeźdźcy ze szczytu skały! Jej cioteczni bracia?

Nie odezwała się ani słowem.

Dawid roześmiał się.

- Aż dziw, że St Simon trzyma dziwkę w swoim szacownym Tregarthan... pod jednym dachem z rodzoną siostrą!

Wyciągnął rękę i dotknął policzka Tamsyn. Dawid też się przysunął i Tamsyn została przyparta do żywopłotu. Nie miała żadnych szans, by im się wymknąć. Nadal milczała.

- No to może powiesz nam coś o sobie? - zachęcił ją Dawid i uszczypnął boleśnie w policzek.

Tamsyn pokręciła głową.

- *Perdon?* - szepnęła.

- Jak ci na imię, suko! - Uszczypnął ją w drugi policzek. Ich twarze niemal się stykały. - Jak się nazywasz? Skąd jesteś?

- *No comprendo...* - wyszeptła Tamsyn.

Modliła się w duchu, by nie dostrzegli lęku w jej oczach. Gdyby wyczuli jej strach, nie cofnęliby się przed niczym.

- Nie udawaj głupiej, ty dziwko!

Dawid znalazł się za nią. Chwycił ją za ramiona i wykręcił je boleśnie do tyłu.

Tamsyn wiedziała, że nie ma dość sił, by się obronić. Było ich dwóch. Przewyższali ją znacznie wzrostem, choć wydawali się chuderlawi. Gdyby miała przy sobie broń, nóż czy cokolwiek innego, może coś dałoby się zrobić... Ale nie miała nic.

Oprócz igieł i nici, które kupiła dla Josefy!

Umysł jej pracował szybko, podczas gdy ciało zastygło w bezruchu. Było w tych zamaskowanych mężczyznach coś, co przejmowało ją dreszczem. Są gorsi nawet od Cornicheta! - pomyślała. Tamten miał wyraźny powód, łatwy do zrozumienia.

Oczy Charlesa uśmiechały się do niej... a jednak były zimne i mordercze jak oczy węża. Dawid puścił jej ramiona. Odetchnęła, ale jej radość była krótka. Charles chwycił ją za brodę i szarpnął za włosy, przyciągając do siebie jej głowę. Potem pocałował w usta tak brutalnie, że zrobiło się jej niedobrze. Wepchnął jej język niemal do gardła. Nie mogła złapać tchu. Jej ręka zacisnęła się na paczuszcze igieł. Zdołała wydobyć ją z kieszeni. W ostatecznej desperacji, półprzytomna, dźgnęła napastnika w podbródek.

Charles ryknął i oderwał usta od jej ust. Z całej siły uderzył ją w twarz otwartą dłonią.

- Zdradliwa suko! Zapłacisz mi za to!

Dotknął podbródka, na którym wykwitła rubinowa kropla. Potem chwycił dziewczynę za przegub i wykręcił jej rękę tak, że krzyknęła. Pączuszka igieł upadła na ziemię. Napastnik chwycił pierś Tamsyn i ścisnął ją boleśnie. Przypatrywał się, jak łzy napływają jej do oczu, i ścisnął pierś coraz mocniej. Nie mogła powstrzymać okrzyku bólu.

- Niech najpierw wszystko wyśpiewa - mitygował brata Dawid. - Wydostaniemy od niej to, co chcemy. Potem możesz się mścić!

- Niech ci będzie. Gadaj, dziwko! - Palce Charlesa zacisnęły się na jej sutku. - Jak ci na imię? Skąd St Simon cię wytrzasnął?

- *Bastardo!*

Plunęła mu w oczy. Powalili ją na kolana, wykręcili rękę do tyłu. Mimo płynących z oczu łez przeklinała ich po hiszpańsku. Starła się zapanować nad swym bólem i powstrzymać ogarniające ją mdłości, gdy kłęzczała tak na twardej ziemi, z głową opadającą jej na piersi.

Nagle rozległ się dziki ryk, tak pełen wściekłości, że nawet Tamsyn się zdrygnęła. Zamaskowani mężczyźni w jednej chwili puścili ją i zniknęli. Z trudem uniosła głowę i przez nieustannie płynące z jej oczu łzy ujrzała, że napastnicy uciekają, jakby ścigały ich wszystkie moce piekielne.

Gabriel popędził za nimi, wydając swój okrzyk wojenny, zaraz jednak zrezygnował z pościgu. Zaklął przeraźliwie i podbiegł do skulonej postaci, leżącej teraz na trawie. Upadł obok niej na kolana.

- Och, moja dziewczuszko!... Jeszcze ich dopadnę!

Podniósł Tamsyn i przygarnawszy do swej potężnej piersi, kołysał ją, jakby była dzieckiem. Ze zbielałą twarzą, z oczyma jak fiołkowe kamyki, przez kilka minut leżała rozdygotana w jego ramionach. Potem odsunęła się z jakimś niezrozumiałym pomrukiem. Czuła jeszcze w ustach język jednego z napastników - i zwymiotowała do rowu.

- Porąbię ich na kawałki! - zapewniał Gabriel, gładząc po plecach przykucniętą Tamsyn. - Dopędzę te podłe kundle i obedrę ze skóry!

Nie były to czcze pogroźki, dobrze o tym wiedziała.

- Chcieli się dowiedzieć, kim jestem, Gabrielu. - Przekonała się ze zdziwieniem, że głos ma już spokojny. - Kim jestem i skąd się tu wzięłam. To z pewnością moi cioteczni bracia!

Wstała z ziemi i w zamyśleniu rozcierała siniaki i obolałe nadgarstki.

- Myślisz, że to twój wuj nasłał ich na ciebie?

Pokręciła głową.

- Z tego, co mówiła Cecile, wątpię, by Cedric był taki nieostrożny! Jest inteligentny i na pewno nie życzyłby sobie, żeby go oskarżono o tak odrażającą napaść. Ale bez wątplenia interesował się mną.

Już prawie opanowana, odgarnęła włosy do tyłu i otrzepała spódnicę z trawy i ziemi.

- Jakim cudem zjawiłeś się tak szybko, Gabrielu?

Wzruszył ramionami.

- Ot, przecucie! Coś mi nie dawało spokoju, odkąd zostawiłem cię z tą panną Lucy. Pomyślałem sobie, że zajrzę do miasteczka i odprowadzę cię do domu.

- Bogu dzięki! - Wzięta w obie ręce jego wielkie łapsko. - Jeszcze się z nimi porachujemy, ale nie spiesz się z tym, Gabrielu! Wcale bym nie chciała, żeby powiesili cię za morderstwo. - Próbowała się uśmiechnąć, ale twarz bolała ją od uderzenia i uszczygnięć. - Kiedy się dobierzemy do skóry Cedricowi, tych podleców też będziemy mieli w garści!

- Tylko nie zapominaj, że ci dwaj należą do mnie - powiedział cicho lecz groźnie.

- Będziesz ich miał - przyrzekła mu córka El Barona. Doskonale wiedziała, co mówi.

Nie czuła ani odrobiny litości dla swych krewniaków.

- Ale nim się to stanie, dziewczuszko, nigdzie nie będziesz łązić sama! Może twój wuj nie nasłał na ciebie tych bydlaków... ale jeśli wpadł już na twój trop, nie wiadomo, do czego może się posunąć!

- Nie wiadomo - przytaknęła Tamsyn. - A człowiek, który tak sprytnie pozbył się rodzonej siostry, nie będzie miał skrupułów wobec nieznamojej dziewczyny!

Ona po angielsku ani be, ani me, stryju!

— Kto taki?

Wicehrabia spojrział ze zniecierpliwieniem na intruza, który mu przeszkadzał. Spiorunował wzrokiem Dawida, który stał z dość

niepewną miną w drzwiach biblioteki, obawiając się wejść do środka bez zaproszenia.

- Ta lalunia od St Simona! - odezwał się Charles zza pleców brata.
- Pomyśleliśmy, że stryj chciałby o tym wiedzieć.

Cedric starannie złożył gazetę i rzucił ją na kanapę obok siebie.

- Pomyśleliście, powiadasz? - Zmrużył oczy. - Czyżbyście chcieli mieszać się do moich spraw?!

Dawid przestąpił z nogi na nogę, ale odpowiedział - jak zawsze - z na-
dąsaną miną:

- Stryj wspomniał kiedyś przy obiedzie, że chciałby wiedzieć, co to za jedna. No to pomyśleliśmy, że dowiemy się tego dla stryja.

- Co ci strzeliło do głowy, durniu? - zirytował się Cedric, nie podnosząc jednak głosu, co było jeszcze bardziej przerażające niż wściekły ryk. Obaj młodzieńcy instynktownie cofnęli się o krok. - Od kiedy to zachęcałem was do wtrącania się w moje interesy? Coście znów wymyślili?

- Zadaliśmy tej dziewczynie kilka pytań - odparł niepewnie Dawid.
- Ale ona nie zna angielskiego. Trajkotała tylko w jakimś obcym języku.

- Nie po francusku - wtrącił brat. - Francuski byśmy rozpoznali!

Cedric spoglądał na nich z niedowierzaniem. Ustawicznie zaskakiwali go swoją głupotą.

- To Hiszpanka - powiedział dobitnie. - Wiem o tym już od dwóch dni.

- O!... - Charles podrapał się w głowę. - Chcieliśmy tylko pomóc!

- Oszczędźcie mi takiej pomocy! - odparł Cedric z niesmakiem. - A gdzie przeprowadziliście tę wysoce pouczającą rozmowę? - Obrzucił ich przenikliwym spojrzeniem. - Czy przypadkiem nie w Tregarthan?

- Skądże znowu, stryju! - odpowiedzieli pospiesznie. - Była w Fowley, więc poszliśmy za nią, no i... I spytaliśmy, jak jej na imię.

Cedric odchylił się na oparcie kanapy i spojrzał na nich przeciągle, z wyraźnym obrzydzeniem.

- Wyrządziliście jej krzywdę? - spytał cicho. - Skrzywdziliście kobietę, która znajduje się pod opieką St Simona? Jest gościem w jego domu? Z pewnością nie! Nie mogliście zrobić czegoś aż tak idiotycznego... Prawda?! - wrzasnął nieoczekiwanie.

- Ależ skąd! Oczywiście, że nic takiego nie zrobiliśmy! - odparli niemal równocześnie. - Zadaliśmy jej tylko parę pytań!

Cedric przymknął oczy i westchnął ze znużeniem i z niesmakiem. Za dobrze znał swych bratanków, by uwierzyć w ich zapewnienia. Wszyst-

ko wskazywało na to, że doznawali podniecenia seksualnego tylko wówczas, gdy dręczyli jakąś kobietę. Odziedziczyli to dziwaczne upodobanie po ojcu. Jego żona, żalosna mała myszka, trzęsła się przed nim ze strachu i ukrywała swe obrażenia, aż wreszcie zmarła, spadając ze schodów, gdy była w zaawansowanej ciąży. Nikt, kto znał Thomasa Penhallana, nie wierzył, że Mary zginęła na skutek nieszczęśliwego wypadku. Bliźniaki odziedziczyły po ojcu jego wynaturzone skłonności. Na szczęście interesowały ich przede wszystkim ulicznice i zostawiali w spokoju panny ze swojej sfery. Można byłojedynie mieć nadzieję, że żadna z nich nie okaże się tak głupia, by poślubić Charlesa albo Dawida.

W tym wypadku bracia uznali prawdopodobnie, że kochanka St Simona to dziwka, i wobec tego mogą z nią robić, co tylko zechcą.

- A poza tym nie miała pojęcia, kim my jesteśmy! - obwieścił Charles z dumą w głosie. - Włożyliśmy maski.

- Co takiego?!

- Żeby nie mogła nas rozpoznać, jak tamta dziewczyna - wyjaśnił Dawid. - Ale nic jej nie zrobiliśmy! - dodał pospiesznie. - To wcale nie było tak jak wtedy!

Spoglądali na stryja z nadzieją, nadal spodziewając się, że ich pochwali, choćby za przezorność. Było już jasne, że nie mogą liczyć na wdzięczność, choć tylko chcieli mu pomóc.

Nie doczekali się jednak żadnej pochwały.

- Wyoście się stąd!

Umknęli obaj, a Cedric siedział wpatrzony w pusty kominek, zastanawiając się, ile złego wyrządzili. Sam przeprowadził już dochodzenie i dowiedział się bez trudu, że kobieta mieszkająca w Tregarthan to Hiszpanka, która przybyła tu z ojczyztego kraju pod opieką pułkownika St Simona; on zaś zajął się nią na wyraźne żądanie Wellingtona.

Dzięki skłonności jego bratanków do szpiegowania, lord Penhallan wiedział więcej niż reszta okolicznych ziemian o stosunkach łączących St Simona z ową damą. Wicehrabiego nie interesowało zbytnio, czy pułkownik *spia* z nią, czy nie; ciekawiło go jednak, jak się poznali i dlaczego, u licha, St Simon zadał sobie tyle trudu, przywożąc kochankę z Hiszpanii i goszcząc ją w Tregarthan.

Kim ona jest i po co tu przyjechała? Bez względu na to, z jakiej strony na to patrzeć, nie można było przeoczyć dwóch faktów: niezwykłego podobieństwa tej dziewczyny do Celi i oraz jej hiszpańskiego pochodzenia.

Zwykły zbieg okoliczności? O nie, Cedric nie wierzył w zbiegi okoliczności, tylko w planowanie umysłów równie przebiegłych jak jego własny.

Porwanie Celii odbyło się zgodnie z planem, jeśli nie liczyć tego, że ta idiotka Marianne uszła z życiem i mogła wszystko wypłacić. Jednakże poradził sobie z nią dość łatwo. Najpierw zastraszenie, potem hojna pensja, wreszcie domek na odludziu, w górach, w Szkocji - wszystko to zapewniło mu jej milczenie. Nie żyła zresztą od dziesięciu lat i zabrała tajemnicę ze sobą do grobu. Czyżby jednak Celia zdołała umknąć porywaczowi? Czy ocalała... wyszła za jakiegoś Hiszpana... urodziła mu dziecko?

Wszystko to nie trzymało się kupy. Gdyby ocalała, wróciłaby do domu. Nawet by jej nie przyszło do głowy, że rodzony brat mógł spiskować z bandytą! A jeżeli ta dziewczyna była prawowitą córką Celii, to dlaczego nie wystąpiła otwarcie i nie przyznała, kim jest?

Jeśli rzeczywiście miała coś wspólnego z Celią, będzie musiał rozprawić się z nią. Sprawa była skomplikowana, bo dziewczyna znajdowała się pod opieką St Simona... a w dodatku wiedziała już, że ktoś się nią niezwykle interesuje. Oczywiście, całkiem możliwe, że nie była w stanie rozpoznać zamaskowanych napastników. Nie znała prawie nikogo w tych stronach i z pewnością nigdy przedtem nie zetknęła się z bliźniakami. Nie miała więc powodu kojarzyć ich napaści z nim, chyba że opowiedziała St Simonowi o tym wydarzeniu. On bez trudu zidentyfikowałby tych półgłówków! Nie powinien jednak żywić żadnych podejrzeń w stosunku do ich stryja. Doszedłby zapewne do wniosku, że bliźniaki wrócili do dawnych sztuczek.

Wicehrabia wstał i nalał sobie koniaku. Smakował złocisty trunek, marszcząc czoło. Jeśli ta dziewczyna miała coś wspólnego z Celią, to czego mogła chcieć? Z pewnością czegoś chciała! Każdy czegoś chce. Zależało jej na pieniądzach?

No cóż, wkrótce się przekona. Może zdoła ją skłonić do odkrycia kart.

- To nie będzie wielkie przyjęcie! - zapewniała Lucy; jej jasnoniebieskie oczy błyszczały entuzjazmem. - Najwyżej dziesięć par, może kilka więcej... No i jak zawsze parę zaprzyjaźnionych rodzin. Żadnych oficjalnych tańców... choć może po kolacji zdecydujemy się zwinąć dywan i trochę poskakać. Dania też nie będą zbyt wyszukane...

- Moja droga Lucy! - Julian uniesieniem ręki przerwał potok jej słów. - Jeśli masz ochotę wydać niewielkie przyjęcie, nie mam nic przeciwko temu. Problem polega na tym, czy Tamsyn naprawdę chce tak od razu zacząć życie towarzyskie.

- Z pewnością tego chce! - zapewniła gorąco Lucy. - Nie ma się przecież czego obawiać! Wszyscy są tacy mili, tak się nią interesują i pragną ją poznać! Ty też masz na to ochotę, Tamsyn, prawda?

Słyszając niezwykle podniecenie w głosie Lucy, Tamsyn odparła uprzejmie, acz z lekkim rozbawieniem:

- Oczywiście, jeśli tak zachwalasz życie towarzyskie, Lucy!

- Wiesz przecież, że w towarzystwie ogarnia cię nagły lęk i zapominasz angielskiego - rzucił od niechcienia Julian, odchylając się na oparcie fotela i spoglądając na nią spod opuszczonych powiek. - Sądziś, że jesteś już gotowa wystąpić na towarzyskiej scenie... bez obawy, że nagle oniemiejesz?

- Przecież Tamsyn mówi doskonale po angielsku - zaprotestował Gareth, strzepując chusteczką jakiś pyłek ze swoich lśniących butów. - Jakby się tu urodziła!

- Może i tak - odparł łagodnie Julian - ale w chwilach napięcia angielszczyzna, niestety, ulatuje jej z głowy i mówi wyłącznie po hiszpańsku.

- Chyba już pokonałam moje onieśmienie - stwierdziła Tamsyn z godnością. - Sądzę, że nie przyniosę ci wstydu, jaśnie panie pułkowniku!

- Doprawdy?

Pogłaskał się po brodzie, nadal spoglądając z rozbawieniem na swą podopieczną.

Lucy zerknęła ukradkiem na nich oboje. Przeważnie Julian traktował Tamsyn z nienaganną, chłodną uprzejmością. Aż trudno było uwierzyć w to, co ujrzeli z Garethem na własne oczy tamtej nocy na korytarzu! Czasami jednak - na przykład w tej chwili - spoglądali na siebie w taki sposób, jakby łączył ich jakiś wspólny sekret.

- Tamsyn z całą pewnością nie zrobi ci wstydu! - zapewniła Lucy bardziej żarliwie niż zrećnie. - A zresztą będę przy niej przez cały wieczór i podszeptę, co trzeba, gdyby miała jakieś trudności!

- W takim razie wszystko ustalone - stwierdził jej brat, znów chłodno i rzeczowo. - Tylko nie oczekujcie ode mnie, że zajmę się przygotowaniami! Powiedzcie Hibbertowi, by dostarczył wina i szampana z naszej piwniczki.

- Podamy mrożony poncz. Koniecznie! - oświadczyła Lucy, zrywając się z miejsca. - W ostatnim sezonie zrobił furorę w Londynie. Zdobyłam od Amabel Featherstone doskonały przepis... Jestem pewna, że pani Hibert przyrządzi coś pysznego według tej receptury!

Już niemal biegła ku drzwiom. Energia wprost ją rozsadała.

- Chodźże ze mną, Tamsyn! Pomożesz mi ułożyć menu. I liczę na twoją pomoc przy wypisywaniu zaproszeń, zgoda? To żmudna robota, ale jeśli uporamy się z tym dziś wieczorem, to Judson porozwozi zaproszenia jutro rano!

- A kiedy wydamy to przyjęcie? - spytała Tamsyn, z żalem rezygnując z wieczornej przejażdżki na Cezarze.

Lucy zastanowiła się chwilę.

- W przyszłą sobotę. Dogadza ci to, Julianie?

- Jak najbardziej - odpowiedział. - Przy odrobinie szczęścia zdołam wprosić się do goś na sobotni wieczór.

- Och, nie! - wykrzyknęła Lucy z przerażeniem. - Cóż by to było za przyjęcie w Tregarthan bez twojego udziału?!

- St Simon tylko żartuje, moja droga - uspokoił ją Gareth i zerknął do lustra, poprawiając fular.

Lucy wydawała się zbita z tropu.

- Chodźmy, moja kochana - powiedziała Tamsyn, biorąc ją stanowczym ruchem pod ramię. - Musisz mi pokazać, jak się organizuje przyjęcia w wielkim świecie! Dotychczas brałam udział tylko...

- Jak to? Urządzałyście przyjęcia podczas swego pobytu w klasztorze? - rzucił ostrzegawczo Julian.

Tamsyn miała ochotę wymierzyć sobie tęgiego kopniaka. Niewiele brakowało, a zaczęłaby opisywać z zachwytem wspaniałe zabawy ludowe w górskich osadach, gdzie pieczono na rożnie całe owce i kozy, a hulanki i swawole trwały nieraz trzy dni!

- Ależ skąd! - odparła. - Zanim jednak oddano mnie do klasztornej szkoły, moja matka, jeszcze przed śmiercią, urządziła dla mnie kiedyś przyjęcie urodzinowe...

- Och, biedactwo! - wykrzyknęła Lucy, słysząc to żalosne wyznanie. - A zatem nie brałaś udziału w żadnym prawdziwym przyjęciu?!

- Nie - westchnęła Tamsyn, spoglądając niemal ze łzami w oczach na pułkownika.

- *Pobrecita** - mruknął i opuścił powieki, by ukryć ironiczne błyski w niebieskich oczach.

- Chciałbyś, Julianie, żebym ci dała do aprobaty listę zaproszonych gości? - spytała Lucy, pochłonięta bez reszty przygotowaniami.

- Nie, nie! Pozostawiam wszystko w twoich, jakże doświadczonych rękach - odparł, podnosząc wymownie gazetę do oczu.

Lucy skinęła głową z zadowoleniem.

- Mam istotnie pewne doświadczenie w organizowaniu imprez towarzyskich. W ubiegłym sezonie wydaliśmy wielkie przyjęcie... Pamiętasz, Gareth?

- Oczywiście, moja droga - przytaknął.

Przypomniało mu się, że uznał owoc jej starań za jedno wielkie nudziarstwo i wymknął się przy pierwszej sposobności do przytulnego domu Marjorie. Nazajutrz Lucy płakała gorzko niemal przez całą dzień... ale nie czyniła mu żadnych wymówek. Skutek był taki, że poczuł wyrzuty sumienia i wypadł z domu, mamrocząc, że nikt by nie wytrzymał z tą roniącą wciąż łzy fontanną!

Nie było to przyjemne wspomnienie, toteż - gdy tylko Tamsyn i Lucy opuściły pokój - Gareth sięgnął znów po swój kieliszek. Był pusty. Wpatrywał się w niego przez chwilę, starając się odzyskać swój zwykły spokój.

Wynagrodzę to mojej małej ślicznotce! - postanowił. Takie z niej słodkie niewiniątko... Wcale mu to nie odpowiadało, gdy się pobrali. Jak mógł oczekiwać od niej takiej znajomości rzeczy jak od Marjorie?! Prawdę mówiąc, teraz, gdy przemyślał całą sprawę, wcale by nie chciał, żeby jego żona zachowywała się tak jak Marjorie... Byłoby to doprawdy szokujące!

- Obawiam się, Fortescue, że twój kieliszek sam się nie napełni!

Chłodny głos szwagra przerwał mu rozmyślania. Julian stał nad nim z karafką w ręku.

- Aż tak zatopiony w myślach?

Gareth zaczerwienił się po uszy.

- Dobrze, że Lucy ma się czym zająć - powiedział. - Jest taka szczęśliwa, kiedy coś planuje!

Julian uniósł tylko brwi i wrócił do swojej gazety.

Jeżeli jego siostra uroczyście wprowadzi Tamsyn do lokalnego towarzystwa, będzie to i wygodniejsze, i bardziej zgodne z konwenansami, niż gdyby on sam to uczynił. Lucy znała na pamięć wszelkie zawiłości

miejscowych koligacji i mógł być pewny, że wysyłając zaproszenia, nikogo nie urazi. Zadba o to, by - nie zapominając o młodszym pokoleniu - nie pominąć żadnej starej plotkary w rodzaju czcigodnej pani Anslow lub panny Gretchen Dolby. I całkiem możliwe, że ktoś ze starszej generacji przypomni sobie historię osobliwego zniknięcia przed dwudziestu laty dobrze urodzonej panny...

Tamsyn nadal budziła sensację swą egzotyczną urodą i oryginalnym zachowaniem w tej - nie da się ukryć! - prowincjonalnej dziurze, ale jeśli nie zacznie się popisywać i postara się wtopić w tło, powinna jakoś przebrnąć przez to przyjęcie bez większej katastrofy... zwłaszcza że Lucy i on będą nad nią czuwać.

Zdumiewające, że tak się zaprzyjaźniły z Lucy! Początkowe skrepowanie zniknęło bez śladu. Gareth nadal próbował niezdarnie flirtować z Tamsyn, ona jednak umiała to zrećcznie ukrócić, a Lucy już się tym nie przejmowała. Prawdę mówiąc, wydawała się ostatnio o wiele szczęśliwsza. Jedno zmartwienie mniej! To jednak nie wystarczało, by rozproszyć jego przygnębienie.

Wiedział doskonale, że jest przygnębiony, gdyż tkwi tu beczynnienie, podczas gdy jego przyjaciele i podkomendni muszą znosić udręki skwarnej letniej kampanii. A jeśli nie wydarzy się jakiś cud, będzie tu siedział aż do października. Dopiero wówczas pozostawi Tamsyn jej losowi, bez względu na to, jaki przybiorą obrót jej sprawy, i pożegluje do Lizbony. Miał nadzieję, że wróci do wojska, zanim uda się ono na zimowe kwatery!

Jednak takie rozważania również nie poprawiały mu humoru - i dobrze wiedział dlaczego! Wcale nie chciał zakończyć swego romansu z rozbojniczką. W mroku nocy, gdy spała obok niego, przytulona do jego piersi jak zmęczony figłowaniem szczeniak, Julian pozwalał sobie na marzenia o powrocie do Hiszpanii razem z nią. Zostałaby jego stałą, oficjalną kochanką. Bez trudu przywykłaby do życia obozowego; włóczęgę i walkę miała we krwi. Ale jak mógł ją namawiać, by wyrzekła się dla niego swoich planów odnalezienia rodziny? I co mógłby jej w zamian zaoferować? Związek na bliżej nieokreślony czas, wędrowną na tyłach armii po kraju spustoszonego przez wojnę. A kiedy działania wojenne dobiegną końca, on będzie musiał wrócić do Anglii, znaleźć sobie żonę i zadbać o przedłużenie rodu.

Proponowanie czegoś takiego nie byłoby w porządku wobec Tamsyn! A ona sama nie występowała z podobnymi sugestiami.

W niewielkim saloniku na tyłach domu Lucy położyła przed sobą arkusz papieru.

- Zrobię listę wszystkich osób, które wypadałoby zaprosić. A przy okazji opowiem ci o nich, żebyś wiedziała, które rodziny mają tu największe znaczenie.

Tamsyn usiadła obok niej.

- Ilu gości chcesz zaprosić?

Lucy postukała końcem pióra o zęby.

- Prawdę mówiąc, powinnyśmy zaprosić wszystkich - stwierdziła. - Chyba że ma to być małe, niemal rodzinne spotkanie.

- Czego, rzecz jasna, wcale sobie nie życzysz?

- Nie! - odparła ze śmiechem Lucy. - Jaki byłby sens zadawać sobie tyle trudu dla dwudziestu osób? Julian nie będzie miał nic przeciwko temu, byśmy zaprosiły znacznie więcej gości... byle mu tylko nie zaprzętać głowy przygotowaniami!

Zaczęła wypisywać nazwiska sąsiadów i paplała przy tym nieustannie. Krótkie informacje o poszczególnych osobach przeplatały się ze smakowitymi ploteczkami.

- Uff! Chyba gotowe. - Mniej więcej po kwadransie Lucy wyprostowała się, potrząsając strudzoną ręką. - Myślę, że nie pominęłam nikogo, kto się liczy... stąd aż do Truro. Kilka osób nie przybędzie, oczywiście... Ale i te poczułyby się urażone, gdyby nie otrzymały zaproszeń.

Tamsyn przebiegła wzrokiem listę składającą się z ponad stu nazwisk. Spodziewała się, że Lucy umieści na niej Penhallanów, ale nawet o nich nie wspomniała.

- Gabriel napomknął kiedyś o rodzinie Penhallanów - powiedziała z lekkim zdziwieniem. - Słyszał o nich to i owo w Fowley.

- A tak, wicehrabia Penhallan - powiedziała Lucy - to bardzo ważna osobistość. Ma znajomości w rządzie. Ale on właściwie nie zalicza się do tutejszego towarzystwa. Zetknęłam się z nim tylko dwa razy, w Londynie. Wcale mi się nie spodobał. Taki groźny!

- Czy znają się z twoim bratem?

- Oczywiście - odparła Lucy z pewnym roztargnieniem. - Ale był jakiś skandal związany z bratanekami wicehrabiego i nikt z sąsiedztwa teraz ich nie przyjmuje. Nie wiem, o co chodziło, ale nie wspominaj o tym Julianowi, bo będzie miał do mnie pretensję, że plotkuję. Wiesz, jaki on potrafi być wyniosły i nieprzyjemny!

- Ale czy nie powinnaś wysłać zaproszenia do wicehrabiego Penhallana, jeśli zapraszasz całą okolicę? - spytała od niechcienia Tamsyn, biorąc z misy z owocami jabłko i wycierając je o spódnicę.

- O, z pewnością by się nie zjawił!

- Ale powiedziałaś, że nawet ci, którzy nie przyjadą, powinni zostać zaproszeni.

- Tak, oczywiście, ale to co innego! Lord Penhallan to bardzo ważna osobistość i z pewnością nie zależy mu na tym, by otrzymać zaproszenie na takie małe przyjęcie!

- Ponad stu gości to nie tak znów mało... - Tamsyn z chrzęstem ugryzła jabłko. - Chyba połowa hrabstwa! Z pewnością się nie obrazi, jeśli go zaprosisz. Lepiej przesadzić w grzeczności, niż sprawić komuś przykrość!

Lucy poważnie się zastanowiła.

Może rzeczywiście lord Penhallan uznałby za obrażę, że został pominięty?

- Sama wypiszę to zaproszenie - zaoferowała się Tamsyn, przyciągając do siebie listę gości. - Ty zajmij się tą górną połową, a ja dolną, dobrze?

Przyjedzie czy nie przyjedzie? Jeśli jest nią zainteresowany, na pewno się zjawi! Tamsyn wiedziała, że to nie on polecił bliźniakom, by ją zaatakowali. Była to prostacka napaść, niegodna kogoś tak inteligentnego i przebiegłego jak jej wuj... Ale nie doszło do niej przypadkiem. Bliźniaki postanowiły widocznie wziąć sprawę interesującą ich stryja w swoje podłe, niezręczne łapy.

Cedric Penhallan niewątpliwie interesował się nią i wobec tego z pewnością się zjawi!

Następnego ranka zaproszenie pojawiło się razem ze śniadaniem na stole Cedrica. Przeczytał je dwukrotnie i uśmiechnął się drapieźnie. Pismo było śmiałe, nieprzesadnie kobiece. Z pewnością nie napisała tego Lucy Fortescue! Intuicja podpowiadała mu, że skreśliła je ręka dziewczyny, którą ujrzał na schodach - dziewczyny o fiołkowych oczach dosiadającej mlecznobiałego araba. Dokładnie zapoznał się z tym pismem, starając się znaleźć w nim coś z charakteru Celii. Nie znalazł nic, wyczuwał jednak, że ten arkusik grubego pergaminu miał być wyzwaniem. Ruchem otwierającym grę.

Ale jaką rolę, u licha, odgrywał w tym wszystkim Julian St Simon?

Włóżę rubiny na to przyjęcie! - oświadczyła Tamsyn, siadając po turecku na łóżku Juliana.

Była, jak zwykle w takich okolicznościach, nago i przyglądała mu się bacznie, kiedy się rozbierał.

- Nie ma mowy! - odparł pułkownik i spryskał sobie twarz wodą z dzbanka.

Tamsyn pożądliwie przyglądała się czystym liniom jego pleców, sprężystym pośladkom i długim, muskularnym udom.

- Dlaczego nie?

Odwrócił się do niej przodem i od razu przestała ją interesować odpowiedź na to pytanie. Zeskoczyła z łóżka z cichym drapieżnym okrzykiem, jak myśliwy, który wpadł na trop lisa.

- Dlaczego nie mogę włożyć rubinów? - spytała znów po dłuższej przerwie. - Pasują idealnie do sukni, którą szyje dla mnie Josefa. - Ze srebrnej koronki na kremowym jedwabiu, z trenem! Co prawda niezbyt długim, ale i tak nie mam pojęcia, jak sobie z nim poradzę. Okropnie się płacze pod nogami! Pewnie się wywalę na schodach albo klapnę na tyłek podczas tańca!

Julian dmuchnął kosmyk srebrzystych włosów, który łaskotał go w nos.

- Bardzo w to wątpię, jaskierku! Założę się, że urodzona z ciebie tancerka.

- To przez tę hiszpańską krew - odparła. - Żałuj, żeś mnie nie widział podczas fiesty; furkoczące spódnice, kastaniety i długie, długie gołe nogi!

- Bardzo odpowiedni popis podczas niewielkiego przyjęcia w sennej kornwalijskiej dziurze - zauważył.

Nie masz pojęcia, jakie wielkie będzie to twoje małe przyjęcie! - pomyślała Tamsyn. Pułkownik nie przejawiał żadnego zainteresowania przygotowaniem do tej imprezy.

- Co się zaś tyczy twojego pytania - kontynuował Julian, wracając do pierwotnego tematu - to nie możesz wystroić się w rubiny, gdyż młodym niezamężnym damom wypada nosić jedynie perełki, turkusy, granaty albo topazy. Wszelkie naprawdę drogie kamienie uznano by za wulgarną ostentację.

- Co za głupie przepisy!

- Istotnie - przytaknął. - Musisz również pamiętać, że debiutantki, te niewinne istoty, nie powinny nigdy zwracać na siebie uwagi. Nie możesz tańczyć z nikim, kto nie został ci oficjalnie przedstawiony. I wolno ci zatańczyć z tym samym partnerem tylko raz. A w przerwach między tańcami masz siedzieć pod ścianą, obok swej przyzwoitki.

- Nie mówisz chyba poważnie?!

Odepchnęła się od jego piersi i przyjrzała mu się bacznie, choć było mroczno za kotarami łoża.

- Całkiem poważnie! - odparł, uśmiechając się szeroko na widok jej skonsternowanej miny. - Ale przecież sama chciałaś grać tę rolę, nieprawdaż?

- Lubisz mi o tym przypominać, co?

Próbowała spiorunować go wzrokiem, ale w jej oczach było nadal tyle miłości...

- Może i tak - przyznał, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Ze mną jednak możesz zatańczyć kilkakrotnie, ponieważ jestem twoim opiekunem. Nikt się również nie zgorszy, jeśli Gareth poprosi cię parę razy do tańca.

- Piękne dzięki! Cóż za urocza perspektywa! - Opadła znów na łóżko obok niego. - A prawda! Chciałam ci powiedzieć... - Znów się podniosła. - Nie mam pojęcia, ile to przyjęcie będzie kosztowało, ale ponieważ to przygrywka do mego debiutu, oczywiście sama za wszystko zapłacę! Bądź więc taki dobry i wystaw mi rachunek...

- O, jeden rubin z twojej kolekcji powinien pokryć wszelkie koszty - rzucił od niechcenia.

Poczuł nagle ściskanie w gardle: przypomniał sobie czarodziejską grootę Aladyna w Elvas. Kiedy Tamsyn zaferowała mu swoje skarby, źle to rozumiał i był wściekły, że chce mu zapłacić jak wynajętemu lokajowi. Ona tymczasem miała na myśli skarby swojego ciała i urzekająco bujnej wyobraźni.

- O co chodzi?

Tamsyn spostrzegła napięcie w jego rysach i zaciśnięte szczęki, choć jeszcze przed chwilą śmiał się, w jego oczach było tyle zmysłowej rozkośzy, a twarz pełna była czułego rozbawienia, które tak kochała.

Nie odpowiedział, przyciągnął ją tylko do siebie i obrócił się tak, że znalazła się pod nim. Tamsyn nadal była zdziwiona niepojętą zmianą, jaka w nim zaszła - niemal brutalną natarczywością, gwałtownością rozbudzonego na nowo pożądania... Dała się jednak ponieść namiętności,

zatraciła się w rytmie jego ciała, ponieważ tygodnie mijały lotem błyskawicy, Cedric Penhallan niemal już uwiązł w sieci... i wszystko zbyt prędko się skończy.

- Mój Boże! - mruknęła Tamsyn, przeglądając się w ściennym lustrze, gdy nadeszła sobota - dzień przyjęcia.

Przywykła już do sukien, ale skromne batysty i muśliny, które dotąd nosiła, nie przygotowały jej na taki widok! W tej toalecie miała obnażone ramiona i przepastny dekolt, pozwalający podziwiać górną część jej piersi i rowek pomiędzy nimi.

Tamsyn rzadko zastanawiała się nad swoim ciałem i czuła się nago równie swobodnie jak w ubraniu, ale takie umyślne przyciąganie uwagi do tego czy innego szczegółu jej anatomii wydało się jej po prostu nieprzyzwoite! Pamiętała też, jak Cecile z szelmowskim błyskiem w fiołkowych oczach i z wachlarzem w ręku demonstrowała, jak można przyciągać uwagę do swego biustu, udając, że się go skromnie zakrywa.

Tamsyn przemogła ściskanie w gardle i zwróciła się do swej dawnej niani:

- Co o tym myślisz, Josefo? Czy jestem podobna do Cecile?

Błyszczące czarne oczy Hiszpanki lustrowały smukłą postać od stóp do głów.

- Jak dwie krople wody, *queridita!** - zapewniła ze łzami w oczach.

Potem uśmiechnęła się i pochyliła, by wygładzić jej spódnice i poprawić tren.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Mogę wejść? - Lucy zajrzała do sypialni. - Och, Tamsyn! Jakaś ty piękna! - stwierdziła, podbiegając bliżej.

- Nie gadaj głupstw! - odparła Tamsyn, czerwieniąc się lekko. - Jestem chuda, spalona słońcem i mam za krótkie włosy!

- Nieprawda! - zaprotestowała Lucy, kręcąc głową. - Wyglądasz cudownie! Nietypowo... ale prześlicznie! - odwróciła się do lustra i spojrzała na swoje odbicie. - Jeszcze przed chwilą całkiem mi się podobała ta suknia... Teraz jednak wydaje się mdła i nieciekawa w porównaniu z twoją!

- Co za bzdury! - odpowiedziała ze śmiechem Tamsyn. - Dopraszasz się tylko o komplementy. A fe, Lucy!

* *Queridita* (hisz.) - kochaniutka.

Lucy roześmiała się z zażenowaniem i przygładziła nieposłuszny loczek.

Wiedziała, że wygląda ładnie i elegancko. A jednak, pomyślała, wpatrując się w odbicie przyjaciółki w lustrze, uroda Tamsyn po prostu zapiera dech w piersi... Może dlatego, że była taka niezwykła.

- W takim razie, jeśli jesteś gotowa, zejdźmy na dół! Julian i Gareth z pewnością już tam są.

- Idź pierwsza - odparła Tamsyn, czując nagle, że musi zebrać myśli.
- Przyłączę się do was za kilka minut.

Lucy zawahała się, ale wyszła z pokoju, wzruszając lekko okrągłymi, mlecznymi ramionami.

Tamsyn podeszła do okna, rozsunęła zasłony i spojrzała na widoczne w oddali morze. Był piękny letni wieczór, sierp księżycy wisiał nisko nad horyzontem, pierwsze gwiazdy ukazywały się na ciemniejącym niebie.

Cecile opowiedziała jej kiedyś o swej ulubionej sukni; była ze srebrnej koronki i kremowego jedwabiu. Dziś jej córka ukaże się Cedricowi Penhallanowi w tych samych barwach. Krój sukien był, oczywiście, całkiem inny: toaleta Cecile wspierała się na szerokiej krynolinie i była mocno ściśnięta w talii, suknia Tamsyn spływała luźno, jak srebrna pajęczynka. Jednak fiołkowe oczy córki były głębokie i świetliste jak oczy matki, włosy z tego samego połyskliwego srebra, a postać równie drobna i smukła.

Czy Cedric ujrzy zjawę swojej siostry?

Dotknęła wiszącego na jej szyi medalionu, czerpiąc siłę i determinację z uśmiechniętych twarzy rodziców, ukrytych we wnętrzu srebrnego cacka. Pewnym krokiem ruszyła do drzwi. Energia i niezłomna wola pulsowały znów w jej żyłach.

Julian stał u podnóża schodów, z pewnym zniecierpliwieniem czekając na Tamsyn. Pierwsi goście mogli się zjawić łała chwila. Chciał mieć pewność, że dziewczyna nie popełni żadnej poważniejszej gafy towarzyskiej, jaką byłoby obwieszenie się drogocenną biżuterią.

Zamajaczyła mu wreszcie, spowita cieniem u szczytu schodów. Zawołał do niej:

- Pospiesz się, Tamsyn, goście zaraz tu będą!

Zbiegła żywo ze schodów, jedną ręką od niechcenia unosząc spódnice. Niewielki tren spływał za nią z szelestem.

- Bardzo przepraszam! Nie chciałam się spóźnić!

Zeskoczyła z ostatniego stopnia i błysnęła zębami w uśmiechu, przkrzywiając znów głowę na bok jak ciekawski ptaszek.

- Jak ci się zdaje, milordzie - ujdę w tłoku?
- Dobry Boże! - szepnął.
- Coś nie tak?

Jej uśmiech zamarł.

- Istotnie - odparł Julian. - Damy nie pędzą po schodach na złamanie karku. Wróć na górę i zejdziesz jeszcze raz, jak należy!

- Dobrze już, dobrze!

Z przesadnym westchnieniem Tamsyn podkasła znów spódnicę i popędziła na górę. U szczytu schodów zatrzymała się, odwróciła, oparła lekko dłoń na poręczy i spłynęła wdzięcznie do hallu.

Julian stał z ręką na poręczy schodów, z jedną nogą na najniższym stopniu. Krytycznym wyrazem twarzy maskował miotające nim uczucia. Wytworna toaleta bynajmniej nie przesłoniła zmysłowości, która płonęła w oczach Tamsyn, pulsowała pod jej niemal przezroczystą skórą. Stonowane barwy i delikatny materiał podkreślały jeszcze przepełniającą ją żywotność. Julian pragnął chwycić dziewczynę w ramiona, przywrzeć ustami do nasady szyi, przegarnąć palcami krótkie, lśniące włosy.

Chciał oświadczyć z dumą całemu światu: To moje!

Kiedy podeszła do niego, wziął jej rękę i podniósł do ust.

- Staraj się przez resztę wieczoru nie brykać jak żrebak! - ostrzegł.

Potem puścił jej dłoń i przeszedł do salonu.

Tamsyn przygryzła wargę. Nie liczyła na przesadne komplementy, ale coś więcej prócz upomnień zrędnego belfra bardzo by ją ucieszyło...

Przez następne dwie godziny, gdy cały dom rozbrzmiewał śmiechem i gwarem, Julian uważnie obserwował Tamsyn. Stała u szczytu schodów obok Lucy, która witała gości i przedstawiała im „pannę Baron”. Zauważył z aprobatą, że choć Tamsyn mówiła teraz płynnie po angielsku, wymawiała słowa z czarującym hiszpańskim akcentem, co jeszcze jej dodawało egzotycznego uroku. Widział, jak młodzi ludzie tłoczą się wokół niej, przyjmując gromkim śmiechem każdy jej żarcik i wpatrując się z zachwytem w jej promienną twarz. Starsi panowie, korzystając z przywileju podeszłego wieku, dotykali ramienia Tamsyn i poklepywali ją po ręce, ona zaś uśmiechała się do nich i kokietowała ich niewinnie, czym byli najwyraźniej zachwyceni.

Cóż za wspaniałe przedstawienie! - myślał Julian. Patrząc na nią w tej chwili, nikt by się nie domyślił, że to dzika, zawzięta wojowniczką z ich pierwszego spotkania, nieposkromiona furia z Badajos czy zmordowany, czarny od prochu pomocnik kanonierów na pokładzie „Isabelle”. A ja

znałem ją we wszystkich tych wcieleniach! - myślał w porywie tęsknoty i w zamęcie uczuć. Teraz odgrywała bezbłędnie rolę salonowej damy. Ale była to po prostu kolejna rola... i tylko on o tym wiedział!

Jednak prawdziwa Tamsyn należała wyłącznie do niego. Pragnął rzucić się ku niej, wyrwać ją z kręgu oczarowanych niedorostków i obwieścić całemu światu, że tylko on ma do niej prawa.

Szaleństwo! Czyste szaleństwo! Był urzeczony jej talentem aktorskim, jak wszyscy na tej sali. On jednak wiedział, kim była w rzeczywistości: bękartem, mieszańcem, rozbójniczką bez skrupułów i bez sumienia.

- Zdumiewające podobieństwo, nieprawdaż? - zaskrzeczał starczy głos mniej więcej na wysokości jego łokcia.

Nagle wyrwany ze swych rozmyślań, Julian zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do stojącej obok niego sędziwej damy, zgiętej we dwoje i wspierającej się na lasce ze srebrną rączką.

- Jakże się pani miewa, lady Gunston?

- Kiedy się ma dziewięćdziesiąt sześć lat, młody człowieku, nie warto odpowiadać na takie pytania! - zachichotała. - Podprowadź mnie do jakiegoś fotela i przynieś mi szklaneczkę negusa. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała ta moja ciamajda!

Julian z uśmiechem spełnił jej polecenia. Letitia Gunston była dobrze znana wszystkim w okolicy. Nigdy nie odmawiała, gdy ją gdzieś zaproszono, i jej nieszczęsna dama do towarzystwa, niemal równie stara jak jej chlebobodawczyni, zносиła kolejne przyjęcie z równym bohaterstwem, jak zjadliwe uwagi lady Gunston i jej wieczne pretensje.

- Bardzo proszę, madame! - Julian podał wiekowej damie napój, o który prosiła, i usiadł obok niej. - Dodałem nieco wina, bo wiem, że woli pani bardziej esencjonalne napoje.

Lady Gunston znowu zachichotała i skosztowała tej mieszaniny doprawionego korzeniami wina i gorącej wody.

- Piłam już gorsze! - Pokiwała głową, a jej zaczerwienione oczy zaczęły znów błędzić po sali. - Zdumiewające podobieństwo, nieprawdaż?

- O kim pani mówi, madame?

Pochylił się ku niej, żeby słyszeć wyraźnie jej słaby głos.

- O tej dziewczynie! - Wskazała łaską kogoś w przeciwległym końcu pokoju. - Nigdy przedtem jej nie widziałam... ale to skóra zdjęta z Celi!

- Nie bardzo wiem, kogo...

Serce Juliana na chwilę zamarło.

Wiekowa dama odwróciła się i zerknęła na niego.

- No pewnie! Kiedy Celia umarła, pewnie nosiłeś jeszcze koszulę w zębach! Cóż to była za urocza dziewczyna! Tylko za wiele miała w sobie życia. Nigdy się nie wiedziało, co jej jeszcze strzeli do głowy!

Staruszka wybuchnęła śmiechem, rozkasłała się i pociągnęła znów spory łyk negusa.

- Jaka Celia, madame?

Poczuł nagle lodowate zimno; całe jego ciało sprężyło się w oczekiwaniu na informację, którą zaraz otrzyma... i która definitywnie zakończy jego przygodę z rozbójniczką.

- Jak to jaka? Penhallan, oczywiście! Zmarła, biedactwo, na jakąś gorączkę w Szkocji.

Lady Gunston znów pokiwała głową i, mrużąc oczy, zerknęła na Tam-syn, która tańczyła z jakimś młodym ziemianinem.

- Poznałam to po włosach - mówiła stara dama do siebie, tak cicho, że Julian musiał się jeszcze bardziej nachylić. - Nigdy nie widziałam u nikogo innego takich włosów! Tylko oczu nie widzę dokładnie...

- Są fiołkowe —odparł Julian.

Miał wrażenie, że jego głos dociera z niezmierniej dali.

- A tak, to się zgadza! - Staruszka pokazała w uśmiechu bezzębne dziąsła. Była bardzo z siebie zadowolona. - Celia miała fiołkowe oczy. - Głowa nagle jej opadła i lady Gunston wymamrotała: - Sprowadź tę moją ciamajdę, młodzieńcze! Pora wracać do domu...

Julian udał się na poszukiwanie panny Winston. Miał wrażenie, że porusza się w próżni, jego mózg był jak odrętwiwały. Odprowadził wiekową damę do jej staroświeckiej berlinki. Lokaj w liberii niemal wniósł swoją panią do powozu. Malutka panna Winston, obładowana zapasowymi okryciami i woreczkami, wgramoliła się tuż za swą chlebowawczynią. Stangret dotknął trój graniastego kapelusza, strzelił z bata i ciężki wehikuł potoczył się po podjeździe.

Julian stał w drzwiach wejściowych. Z tyłu docierały do niego dźwięki muzyki, gwar rozmów, od czasu do czasu wybuch śmiechu... Lucy przeszła samą siebie - skonstatował z całkowitą obojętnością. Jeśli to miało być niewielkie przyjęcie, to jakby wyglądał wielki bal?

Celia... Cecile... Jakim sposobem Celia Penhallan przeistoczyła się w Cecile, kochankę hiszpańskiego herszta rozbójników? Jak się miała śmierć w Szkocji do porwania w Pirenejach?!

Cedric Penhallan zapewne potrafiłby na to odpowiedzieć.

Julian zszedł na podjazd, potem zaś wzdłuż bocznej ściany domu skierował się do mrocznego, ustronnego sadu. Przez chwilę nikt nie zauważył w tym tłoku jego nieobecności, a on po prostu nie był w stanie wrócić natychmiast do pustych frazesów, bezmyślnych uśmiechów i wiecznej paplanki eleganckiego towarzystwa. Musi mu się przedtem trochę rozjaśnić w głowie!

W żyłach Tamsyn płynęła krew Penhallanów. Błękitna krew jednego z najznaczniej szczyh w tym kraju rodów. Ale była to zarazem zła krew. Skazona niepohamowaną ambicją wicehrabiego i odrażającymi występkami bliźniaków.

Boże wielki! W tych delikatnych błękitnych żyłkach, tak wyraźnie widocznych pod białą skórą na jej przegubach, krew hiszpańskiego banity mieszała się z krwią angielskiego despoty. Pomyślał o charakterze Tamsyn, o jej arogancko wysuniętej brodzie, błysku oczu, gdy stanęła wobec wyzwania, zaciśniętych z uporem ustach... Wszystko to były cechy Penhallanów: nieubłagana determinacja, bezwzględne dążenie do raz obranego celu, sposób, w jaki zmiatała ze swej drogi wszelkie przeszkody...

Mimo to Cedric Penhallan nigdy nie przyzna się do tego pokrewieństwa, choćby było niewątpliwe. Nie tylko dlatego, że duma nie pozwoli mu uznać za krewną osoby o tak skandalicznym pochodzeniu, ale przede wszystkim dlatego, że potwierdzając owo pokrewieństwo, musiałby publicznie przyznać, iż rzekoma śmierć siostry, jej pogrzeb i solenna żałoba po niej były zwykłą komedią. Tylko po co, na litość boską, urządzono to przedstawienie?! Znając Cedrica, nietrudno było to odgadnąć: dla uniknięcia skandalu. Może Cecile, to znaczy Celia, uciekła z domu? Schroniła się w Hiszpanii w nadziei, że tam jej nie dosięgnie długie ramię brata... a Cedric po prostu wymyślił historyjkę z pogrzebem w Szkocji na użytek publiczny? To miało sens!

Julian czuł, że głowa zaraz mu pęknie. Nie znosił Penhallanów i wszystkiego, co się z nimi wiązało! Dwadzieścia lat temu Cedric próbował dla swoich celów manipulować życiem najbliższych mu osób... i Tamsyn była nieprzewidzianym rezultatem tych manipulacji.

A teraz ten nieoczekiwany owoc machinacji jego wroga zaczął wywierać fatalny wpływ na przyszłość niejakiego lorda St Simona z Tregarthan. Został schwytyany w sieć intryg Penhallana, które odbiją się na jego życiu!

Dostrzegął to wyraźnie, ale nie pomagało mu to naprawić sytuacji. Ułożenie sobie wspólnego życia z Tamsyn było nie do pomyślenia... a jednak nie wyobrażał sobie rozstania z nią.

Czy powinien jej powiedzieć o swoim odkryciu?... A cóż by jej z tego przyszło? Cedric Penhallan roześmiały się jej w twarz, niszcząc ukochane marzenie Tamsyn o znalezieniu rodziny, która miała jej zastąpić utraczonych rodziców.

Podczas gdy Julian błąkał się po sadzie, Cedric Penhallan jechał do Tregarthan. Z całą premedytacją wyruszył tam późno. Pełniąc obowiązki pani domu Lucy Fortescue od dawna opuściła swe stanowisko u szczytu schodów, zanim wicehrabia wkroczył do siedziby St Simonów.

Zatrzymał się na progu największego salonu, pełnego kobiet odzianych barwnie jak motyle oraz ciemno ubranych mężczyzn. Muzykanci grali walca. Dostrzegł natychmiast córkę Celi, wirującą wdzięcznie w ramionach młodzieńca w szkarłatnym mundurze.

Cedric tkwił nadal przy drzwiach, przyglądając się smukłej dziewczęcej postaci. Celia miała niegdyś suknię w tym samym kolorze. I tańczyła i: z takim samym ożywieniem i wdziękiem.

- Jesteśmy zaszczyceni, milordzie!

Lucy spieszyła ku niemu z drugiego końca sali, trochę zdyszana i zaskoczona. Jej oczy nerwowo szukały w tłumie Juliana, który z pewnością powinien powitać tak znakomitego gościa. Nie było jednak ani śladu brata. Skłoniła się więc wicehrabiemu i podali sobie ręce.

- Może kieliszek wina, milordzie? Och, jesteś tu, Gareth! - Z ulgą i dostrzegła swojego męża w odległości kilku kroków. - Zaszczycił nas lord Penhallan!

Gareth także rozejrzał się w poszukiwaniu swojego szwagra. Nie czuł się na siłach konwersować z człowiekiem, który obracał się w najwyższych kręgach, absolutnie dla Garetha niedostępnych... a w dodatku spoglądał teraz na niego ironicznym wzrokiem spod siwych, krzaczastych brwi. Młody człowiek stawiał jednak dzielnie czoło sytuacji i zagadnął lorda Penhallana o jego stadninę.

Tamsyn wyczuła instynktownie, że jej wuj się zjawił i przypatruje się jej. Kiedy tylko muzyka umilkła, uśmiechnęła się do swego partnera i wymówiła się grzecznie, kiedy zaproponował, by przeszła razem z nim do pokoju, gdzie podawano kolację.

Pewnym krokiem ruszyła przez salę. Spojrzenie Cedrica spotkało się z jej wzrokiem, gdy podchodziła do nich.

- O! - Lucy ucieszyła się z jej przybycia. - Pozwól, Tamsyn, to lord Penhallan. Wicehrabio, oto podopieczna mojego brata, señorita Baron. Przybyła do nas z Hiszpanii. Książę...

- Tak, słyszałem tę historię - przerwał jej niegrzecznie Cedric. - Wszyscy ją znają w sąsiedztwie.

- Oczywiście... jaka ja niemądra! - wymamrotała Lucy i zaczerwieniła się po uszy.

Cedric zbył jej słowa władczy gestem i zwrócił się do Tamsyn.

- Jak się pani miewa, panno Baron?

- Dziękuję, doskonale, señor. - Uśmiechnęła się słodko i lekko skłoniła. - To zaszczyt poznać pana. - Dotknęła ręką wiszącego na jej szyi medalionu, po czym dodała: - Proszę mi wybaczyć, ale obiecałam ten taniec i widzę, że mój partner już czeka.

Odeszła i nawet się nie obejrzała. Poczuła jednak, że włoski na jej karku zjeżyły się, gdy spojrzenie wicehrabiego przesunęło się po niej.

Lord Penhallan obserwował ją przez chwilę. Potem przerwał skomplikowany wywód Garetha na temat wyścigów w Newmarket zdawkowym frazesem:

- Dobrej nocy, lady Fortescue.

Wyjątkowo zwinnie, jak na swą potężną posturę, obrócił się na pięcie i już go nie było.

- Coś takiego! - obruszyła się Lucy. - Jak można być takim grubianinem?! Po to przyjeżdżał, by zaraz nas opuścić?

- Diabli wiedzą - odparł Gareth. - Ale wszyscy Penhallanowie to niezdolne pyszałki. Uważają, że nikt im do pięt nie dorasta!

- O St Simonach nie mogą tego powiedzieć! - odparła Lucy, prostując się dumnie. - St Simonowie są równie dobrzy jak Penhallanowie, każdy to potwierdzi!

- Pewnie, pewnie! - uspokajał ją Gareth. - Ale lord Penhallan ma znajomości w rządzie. Mówią, że premier nigdy nie podejmie decyzji, nie naradziwszy się z nim.

- Tak czy owak, jest odrażający! Bogu dzięki, że sobie poszedł!

Julian wrócił do domu bocznymi drzwiami i nie dowiedział się o krótkiej wizycie wicehrabiego Penhallana. Zajrzał do salonu. Część gości już wyszła, ale Tamsyn nadal tańczyła. Pułkownik podszedł i lekko postukał jej partnera w ramię.

- Wybacz, Jamie, ale chciałbym skorzystać z mojego przywileju opiekuna.

Młody człowiek skłonił się pośpiesznie i z nieszczęśliwą miną stanął pod ścianą.

- Dobrze się bawisz?

- Oczywiście - odparła Tamsyn z pewnym roztargnieniem.

Gdy zaczęli tańczyć, Julian wyczuł napięcie w całym jej ciele. Oczy błyszczały jej gorączkowo, policzki miała zaczerwienione.

- Ile wypiłeś wina? - spytał.

- Jeden kieliszek.

- W takim razie to tylko podniecenie.

Z uśmiechem wyjął chustkę i otarł jej wilgotne czoło.

- To moje pierwsze przyjęcie od czasu, gdy skończyłam siedem lat! - rzuciła z uśmiechem, ale ten dowcip wydawał się trochę wymuszony.

- Rano wyjeżdżam do Londynu - oznajmił Julian nieoczekiwanie, nawet dla samego siebie.

- Miałeś wyjechać dopiero za dwa tygodnie! - Przygryzła dolną wargę i zmarszczyła brwi. - Skąd ten pośpiech, Julianie?

Ujrzała w jego oczach coś, co napełniło ją głębokim niepokojem. Wyglądał jak człowiek, który zbiera siły, by rzucić się z urwiska do morza.

Nie odpowiedział od razu, lecz pociągnął ją do wnęki okiennej. Kiedy odezwał się, jego głos był niski i poważny.

- Wróc ze mną do Hiszpanii, Tamsyn!

Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego!

- Teraz? Zaraz?

- Tak. - Odgarnął jej kosmyk włosów z czoła. - Wróc ze mną, będziemy wspólnie wojowali! Zostaniemy razem i będziemy cieszyli się sobą, póki się to w nas nie wypali.

Póki się to w nas nie wypali... Serce jej pękało z powodu zawartego w tych słowach ostatecznego wyroku. I ślepoty człowieka, który nie wyobraża sobie wspólnej przyszłości z kochającą kobietą... tylko dlatego, że jest ulepiona z innej niż on gliny!

- Ale ja nie osiągnęłam jeszcze swojego celu - odpowiedziała bardzo spokojnie.

- Czy naprawdę znaczy to dla ciebie tak wiele, Tamsyn? Pomyśl, jakie życie czekałoby cię tu... nawet gdyby rodzina matki przyznała się do ciebie. To nie jest miejsce dla ciebie, sama wiesz. Wróćmy do Hiszpanii, tam możemy żyć swobodnie!

- Zależy ci na mnie? - spytała cicho.

- Wiesz, że tak - odparł, dotykając palcem jej warg. - Właśnie dlatego proszę, żebyś ze mną wróciła!

- Ale nie widzisz dla nas przyszłości... wspólnej przyszłości?

Jego milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

- Chyba nie - odpowiedziała głucho na własne pytanie. - St Simon nie może się związać na zawsze z bękartem, z rozbójniczką... Rozumiem.

Próbowała się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały.

- To brzmi tak... bezlitośnie - powiedział bezradnie.

- Prawda często bywa okrutna. - Cofnęła się o krok. Gniew i duma przysły jej z pomocą. Nie pozwoli, by ten mężczyzna spoglądał na nią z politowaniem. Córka El Barona i Cecile Penhallan nie będzie błagać jakiegoś tam St Simona! - Nie, nie wrócę razem z tobą. Osiągnę to, co postanowiłam! Ale zwalniam cię z umowy, jasnie panie pułkowniku, bo widzę, że nie jesteś w stanie dotrzymać jej warunków.

Była w tej chwili nieodrodną córą Penhallanów, zimną i arogancką, on zaś musiał zdławić w sobie gniew wywołany jej zuchwalstwem.

Skłonił się sztywno.

- Możesz, oczywiście, pozostać w Tregarthan, jak długo zechcesz. Jestem pewien, że Lucy chętnie się tobą zaopiekuje. To będzie nawet bardziej odpowiednie.

Odpowiednie! Jakież to miało znaczenie?!

Odwróciła się od niego ze zdawkowym gestem pożegnania. Usta miała zaciśnięte.

- Szczęśliwej podróży, pułkowniku.

Stał nadal we wnęce okiennej, gdy Tamsyn kroczyła przez pusty niemal salon, a potem wyszła. Przeklinał w duchu własną głupotę. Jak mógł jej złożyć podobną propozycję? Powinien wiedzieć, że jej nie przyjmie! Zrobił to jednak nie tylko dla siebie, ale też ze względu na nią; tak bardzo pragnął uchronić ją od bolesnego odkrycia, kim była naprawdę, oraz nieuchronnego odrzucenia, kiedy Cedric Penhallan ze śmiechem zatrzaska przed nią drzwi swojego domu.

Ale wszystko już przepadło i nie będzie czekał z odjazdem do rana. Jeśli wyjedzie stąd przed świtem, dotrze do Bodmin w sam raz na śniadanie i przeprawi się przez wrzosowisko w pełnym blasku dnia.

Nie zamieniwszy już z nikim ani słowa, Tamsyn udała się do swego pokoju w wieży. Czekwała tam na nią Josefa, drzemiąc w niskim fotelu obok kominka. Zerwała się na równe nogi, ciekawa, jak Tamsyn się bawiła. Jednak radosne ożywienie zmieniło się w okrzyk niepokoju na widok twarzy dziewczyny.

- Nie chcę teraz o tym mówić - oświadczyła Tamsyn. - Idź spać, jutro rano porozmawiamy wszyscy troje.

Josefa wyszła niechętnie. Dobrze znała ten ton! Kiedy El Baron przemawiał w taki sposób, nikt z nim nie dyskutował.

Tamsyn zadrzała, gdy nagły podmuch wiatru wpadł przez otwarte okno. Słyszała, jak fale przypływu biją o brzeg. Wiatr się wzmagił. Skrzyżowawszy ręce na piersi, podeszła do okna. Chmury przesłoniły księżyc, łagodna bryza przeistoczyła się nagle w zimną i moką wichurę. Okres wspaniałej letniej pogody dobiegł widać końca.

Dolatywały do niej głosy od strony podjazdu: ostatni goście żegnali się spiesźnie, chcąc zdążyć przed burzą do domu.

Nie wiedziała, jak długo stała tak w oknie, spoglądając na zbierające się burzowe chmury i czując narastającą siłę wiatru, który wprawiał w drżenie szyby i targał zasłonami. Dopiero pierwsze krople deszczu wyrwały Tamsyn z zamyślenia. Zamknęła okno i zasłoniła je szczelnie, by odgrodzić się od nieprzyjemnej nocy, a potem się rozebrała. Gdy ustąpiło otępienie wywołane szokiem, zaczęła intensywnie myśleć.

Nie spodziewała się, że Julian tak nagle zakończy sprawę. Gdyby nie nastąpiło to zaraz po jej spotkaniu z Cedrikiem, z pewnością zachowałaby się całkiem inaczej. Była jednak zbyt przejęta tym wydarzeniem, by myśleć jasno i reagować sensownie na wszystko, co nie wiązało się z nim bezpośrednio. Cedric wiedział, kim była. Poznała to po jego spojrzeniu, gdy podjął rzuconą mu rękawicę. Pragnęła, by zauważył, jak swobodnie czuje się w eleganckim towarzystwie, by zastanawiał się, jakie ma plany, w jaki sposób do niego dotarła...

A tymczasem Julian wtargnął w tę atmosferę podniecenia i cisnął bombę, która omal nie zniweczyła jej starannie ułożonych planów. Zamiast więc zastanowić się nad jego propozycją i przemyśleć, czy nie zbliżyłaby ich do siebie, Tamsyn zareagowała emocjonalnie. Nie powinna pozwolić sobie na to dla dobra jej planów - zemsty i miłości.

Położyła się do łóżka i podciągnęła kołdrę pod samą brodę.

Jeśli Julian zamierzał wrócić do Hiszpanii, powinna udać się tam razem z nim. Połowa bochenka to więcej niż nic, zwłaszcza że tę połówkę dałoby się może rozmnożyć...

Przewróciwszy się na bok, zdmuchnęła świecę i leżała w ciemności, wsłuchując się w stukanie deszczu o szyby. Słysząc też było wyraźnie huk fal; burza srożyła się coraz bardziej.

Kochała Juliana... Kochała go tak, jak Cecile El Barona! Był jedyną miłością jej życia... miłością na całe życie. I jeśli nawet mógł jej ofiarować

tylko połowę siebie, na razie zadowolili się tym. Musi mu to powiedzieć! A potem rozprawi się z Cedrikiem. Tylko jak to uczynić w zmienionych okolicznościach?

Rano z pewnością coś jej przyjdzie do głowy! A kiedy odpocznie i opamięta się, oznajmi Julianowi, że zmieniła zdanie.

Burza ucichła tuż przed świtem. Było zimno i wilgotno, gdy Julian dosiadał Souлта. Niebo miało barwę ołowiu, morze pociemniało, trawniki tonęły w wodzie, a na zwirowanych ścieżkach i na rabatkach pełno było kałuż. Julian obejrzał się na wschodnią wieżę, na otoczone girlandami bluszczu okno wychodzące na podjazd. Potem obrócił się twarzą ku północy i ruszył galopem.

Tamsyn, z oczyma podkrążonymi po nieprzespanej nocy, stała w oknie i wyglądała na złany deszczem poranek, gdy Julian odjeżdżał. Tak wcześniej? Jak mógł się nie domyślić, że ona zmieni plany, kiedy tylko gniew w niej wygaśnie?

Obróciła się jak fryga i wybiegła z pokoju. Pędziła po schodach, przez dziedziniec, i znów po schodach do pokoiku Josefy i Gabriela.

- Spokojnie, dziewczuszko, spokojnie! - mitygował ją Gabriel, podnosząc się z łóżka, gdy wpadła do nich z nieprzytomnym spojrzeniem. - Powiedz, o co chodzi.

Objął ją ramionami i przycisnął do piersi tak mocno, że w pierwszej chwili nie mogłaby wydobyć głosu, choćby nawet chciała.

W końcu jednak zdołała opowiedzieć im, co się wydarzyło.

- Muszę jechać za nim! - oświadczyła po prostu, siedząc w nogach ich łóżka i zaciskając ręce, leżące na kolanach. - Ja go kocham... tak jak Cecile El Barona. Nic na to nie mogę poradzić. To boli!

Popatrzyła na swoich przyjaciół. Oczy Josefy były błyszczące i przenikliwe, Gabriel szarpał brodę.

Po chwili skinął głową.

- No to zbierajmy się do drogi! Josefa zostanie tutaj. Nie spodobałoby się jej galopowanie z tyłu za mną! - Spojrzał na swoją kobietę, która flegmatycznie skinęła głową. Nie po raz pierwszy zostawała sama, podczas gdy oni spieszyli na jakąś wyprawę.

- Powiem Lucy, że mam coś ważnego do załatwienia w Penzance i wrócimy za tydzień czy dwa.

- A więc wrócisz rozprawić się z Penhallanem?

Tamsyn spojrzała na niego bezradnie i niepewnie.

- Muszę. Przysięgam to w duchu rodzicom, naprawdę! Ale nic już nie wiem, Gabrieli. Nie mam pojęcia, co się stanie...

- Nie kłopotz się, dzieciaku! Co ma być, to będzie - pocieszył ją. - Chyba warto spytać pannę Lucy, gdzie dokładnie jest w Londynie dom pułkownika. Lepiej, żebyśmy wiedzieli, gdzie go szukać!

Tamsyn zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Co ja bym zrobiła bez ciebie... bez was obojga!

Ze łzami w oczach uściskała Josefę, która przez ten czas spokojnie się ubierała.

- Musimy ci zapakować to i owo - stwierdziła, poklepując Tamsyn po plecach. - Nie wypada, żebyś się wybierała w drogę bez czystych majątek na zmianę!

- Masz rację, Josefo - przyznała potulnie Tamsyn, kiedy wyszły z pokoju nad stajnię na wilgotny dziedziniec, za nimi huczał basowy, krzepiący śmiech Gabriela.

22

Na tyłach domu przy Audley Square znajdował się niewielki ogród. Można tam było wejść przez furtkę od strony stajni. Lucy wyjaśniła, że okna biblioteki jej brata wychodzą na ten ogród.

Gdy zapadł zmierzch, Tamsyn siedziała na ogrodzonym kawałku zieleni pośrodku Audley Square, czekając na Gabriela, który udał się na rozpoznanie terenu. Była przyjemnie zmęczona po pięciu dniach intensywnej jazdy z szybkością niemal osiemdziesięciu kilometrów na dzień. Konie pozostawili w stajni przy stacji dylizansów w pobliżu Charing Cross. Gabriel również miał tam spędzić noc, podczas gdy Tamsyn postanowiła zrobić pułkownikowi niespodziankę.

Miała nadzieję, że będzie to dla niego przyjemna niespodzianka.

Mogła, oczywiście, podejść do drzwi frontowych i posłużyć się kołatką, ale wolała bardziej dramatyczne efekty. Pasujące do nagłego wyjazdu Juliana.

Szczęk furtki sprawił, że Tamsyn aż podskoczyła. Ależ się stała bojaźliwa! Zupełnie jakby próbowała zaskoczyć kogoś całkiem nieznanego, a nie mężczyznę, z którym od czterech miesięcy dzieliła życie i łóżko.

Kroki Gabriela zachrzęściły na żwirowanej ścieżce wiodącej między ścianami bukszpanowego żywopłotu na sam środek skweru, gdzie na kamiennej ławce siedziała Tamsyn.

- No cóż... sprawa wydaje się całkiem prosta - powiedział Gabriel bez wstępów, siadając obok niej. - Furtka od strony stajni jest zamknięta, ale mogę cię bez trudu podsadzić na szczyt muru. Biblioteka pułkownika ma dwa okna, oba całkiem nisko. Łatwo dostaniesz się do wnętrza bez mojej pomocy.

- Chyba nie są otwarte?

- Wszystko możliwe. A jeśli nie, wybijesz szybę. Nic prostszego, tylko owiń czymś kamień, to nikt nie usłyszy.

- Chyba żeby pułkownik był w pokoju - rozważała. - Ale wtedy mogę zastukać do okna.

- A do drzwi nie? - zauważył Gabriel. - Byłoby o wiele prościej.

Tamsyn uśmiechnęła się.

- Może i prościej, ale nie tak zabawnie!

- No tak... I pewnie wejście tam za dnia też by nie było zabawne, co?

- Jakbyś zgadł! - przytaknęła. - I wobec tego chodźmy gdzieś na kolację. Wrócimy tu, jak się całkiem ściemni. Koło dziesiątej.

Pożywili się w obskurnej garkuchni na Piccadilly. Tamsyn wypita kilka szklanek porteru, żeby uspokoić nerwy. Nie pojmowała, dlaczego się tak denerwuje. Znała przecież tego człowieka! Jego ciało - prawie tak dobrze jak własne - jego nastroje, wyraz oczu, postawę, mimikę - każde drgnienie warg, ruchliwych rudozłotych brwi, ciężkich powiek, przesłaniających intensywnie niebieskie oczy...

Wiedziała też, jak wygląda, gdy się gniewa. Ale dlaczego miałyby się gniewać? Powie mu po prostu, że zmieniła zdanie i gotowa jest wrócić razem z nim do Hiszpanii. Zaakceptować związek na nieokreślony czas, jeśli to wszystko, co - jak sądził - może jej zaproponować.

Gabriel mówił mało, koncentrując się na baranich kotletach i winie, ale jego łagodne oczy bystro oceniały sytuację. Nie był wcale pewien, czy ta eskapada jest rozsądna, i - prawdę rzekłszy - z całego serca życzył pułkownikowi St Simonowi, żeby go diabli wzięli. Tamsyn mogła uważać tego Anglika za miłość swojego życia... ale on, Gabriel, mógł marzyć o tym, by jego dziewczuszka upatrzyła sobie kogoś łatwiejszego do prowadzenia i bardziej do niej pasującego niż ten angielski lord.

Gdyby się nie pojawił ten jaśnie pan pułkownik, Tamsyn znalazłaby sobie kogoś w rodzaju El Barona i wszyscy żyliby długo i szczęśliwie w górach, zajmując się tym, na czym znali się najlepiej.

Baju, baju, będziesz w raju... - pomyślał Gabriel i uśmiechnął się kwaśno.

- No, zbieramy się, dziewczuszko! - Odsunął krzesło od stołu. - Zmartwisz się na śmierć!

- Wcale nie! - zaprzeczyła Tamsyn, ale wyraźnie jej ulżyło, kiedy skończyło się pełne napięcia oczekiwanie. - Zaczekasz koło stajni, póki nie dostanę się do środka?

- Zaczekam, póki mnie nie powiadomisz, że mogę iść spać - zapewnił.

Szli żwawym krokiem i w milczeniu aż do Audley Square. W oknach domu St Simona paliło się światło. Nad frontowymi drzwiami także wisiała zapalona latarnia.

- Może ma gości? - powiedziała Tamsyn; po raz pierwszy przysła jej do głowy taka ewentualność.

- Kiedy już wejdiesz do środka, możesz poczekać, aż się wyniosą - odparł spokojnie Gabriel. - A jeśli jest tam tylko parę osób służby, nietrudno ci będzie schować się przed nimi. Masz przecież plan domu!

- To prawda!

Tamsyn wsunęła rękę do kieszeni spodni. To Lucy powiedziała jej, że brat zatrudnił tak mało służby w domu przy Audley Square, ponieważ bardzo rzadko z niego korzystał. Nietrudno było wyciągnąć Lucy na spytki! Ani zachęcić do narysowania planu, żeby jej opis stał się bardziej zrozumiały. Teraz ów plan szeleścił pod palcami Tamsyn, dodając jej odwagi. Jeśli Julian miał gości albo nie było go w domu, przemknie się na górę i zaczeka w jego sypialni.

W stajni panował spokój. Dały się słyszeć tylko ciche posapywania śpiących koni. Noc była pochmurna, ale lampa z pokoju głównego stajennego rzucała złotawe światło na czysto wymieciony dziedziniec. Tamsyn i Gabriel przemknęli bezszelestnie w cieniu. Dziewczyna ukryła swą jasną, lśniąca główkę pod kapturem ciemnej peleryny, którą się szczerlnie owinęła.

Furtka do ogrodu była zamknięta, jak Gabriel przewidywał. Podniósł więc Tamsyn bez trudu i posadził ją na szczycie muru. Natychmiast zsunęła się stamtąd i już z drugiej strony ogrodzenia doleciał jej szept:

- Pali się lampa w bibliotece!

- *Buena suerte!** - odparł równie cicho Gabriel i zniknął w mroku.

Buena suerte (hiszp.) - Na szczęście!

Tamsyn skradała się w cieniu pod murem. Raz pnąca róża chwyciła ją za pelerynę, więc przystanęła i ostrożnie, rozpląszczona niemal na ścianie, wyciągnęła kolec. Z okien biblioteki padało światło na porządnie utrzymane klomby i trawnik.

Dotarła wreszcie do oświetlonego okna. Było zamknięte, ale nie zasłonięte kotarami. Przysuwała się boczkiem coraz bliżej, aż wreszcie mogła zajrzeć do środka. Serce jej waliło i dłonie miała spocone - ze zdenerwowania, a może z podniecenia...

Julian siedział przy biurku, plecami do okna i coś pisał; pióro sunęło po papierze. Krew zaczęła szybciej krążyć Tamsyn w żyłach, gdy przyglądała mu się, pochłoniętemu pracą. Jaką też zrobiłby minę, gdyby się odwrócił i zobaczył ją? Na pewno byłby zachwycony. Oczywiście, że tak!

Tamsyn zastukała w szybę, odsunęła się i ukryła w cieniu.

Julian przygotowywał raport, który miał wręczyć premierowi naza jutrz rano. Lord Liverpool poprosił o więcej danych na temat akcji bojowych i strat poniesionych pod Ciudad Rodrigo i Badajos, chcąc poprze nimi żądania księcia Wellingtona, domagającego się więcej ludzi i więcej pieniędzy.

Po pierwszym stuknięciu Julian obejrzał się przez ramię. Zapewne jakaś gałąź znajdowała się zbyt blisko okna. Ze znużeniem przetarł oczy. Miał trudności z koncentracją; nie mógł się jakoś skupić na tym, o czym pisał. Ciągłe brzmiał mu w uszach zmysłowy śmiech Tamsyn i miał przed oczami jej uśmiech, szelmowski i kuszący. Cóż, takie majaki powinny zblednąć z czasem. Kiedy wróci do Hiszpanii, nie będzie miał ani chwili na myślenie o niej! Dobrze jednak wiedział, że w Hiszpanii tym bardziej nie zapomni o niej. Wspomnienia staną się boleśnie żywe na ziemi, która wydała to niezwykle, nieznośne stworzenie, mające w sobie krew Penhallanów i...

Zmarszczył brwi, poruszył karkiem, starając pozbyć się kurczu, potem zaś zdecydowanie powrócił do pisania raportu.

Stukanie powtórzyło się, jeszcze bardziej nagłące. Zignorował je. Wówczas przeszło w rytmiczne bębnienie. Odwrócił się raptownie. Nie zobaczył jednak nic. Niecierpliwie odsunął krzesło i podszedłszy do okna, otworzył je na oścież. W najbliższej odległości nie było krzewów ani drzew, których gałęzie mogłyby uderzać o szybę. Spojrzał do ogrodu, niczego jednak nie dostrzegł.

I wówczas niezapomniany głos odezwał się gdzieś z dołu:

- Dobry wieczór, jaśnie panie pułkowniku!

Spojrzał więc na to, co kryło się pod parapetem. Fiołkowe oczy Tamsyn płonęły w bladej twarzy, kaptur peleryny zsunął się z głowy i srebrzyste włosy świeciły jak latarnia morska.

- Już myślałam, że nigdy nie podejdziesz do okna! - powiedziała do osłupiałego Juliana. Odwróciła się tyłem, oparła ręce na szerokim parapecie i usiadła nań. Kolejny obrót w oknie i uśmiechnęła się do pułkownika. Gdyby nie był tak otumaniony, dostrzegłby niepokój kryjący się za tym uśmiechem. - Nie masz mi nic do powiedzenia?

- Ty... diabelskie nasienie! - Odzyskał wreszcie głos. - Jak się tu dostałaś, u diabła?!

Objął ją w talii pod peleryną i wciągnął z parapetu do pokoju. Zamiast jednak postawić dziewczynę na ziemi, wziął ją na ręce bez trudu, jakby była szmacianą lalką. Twarz miała teraz na równi z jego twarzą. Peleryna upadła na podłogę; ukazały się bryczesy i koszula, zwykły strój rozbójniczeki.

- Przyjechałam na Cezarze, oczywiście - odparła z uśmiechem.
- Dość tych sztuczek, moja panno!

Potrząsnął nią, ale nadal nie stawał na ziemi. Nie wiedziała, czy jest naprawdę wściekły, czy tylko zdumiony. Tak czy owak, nie skakał z radości na jej widok.

- Musiałam przyjechać - wyjaśniła. - Zabrałeś się bez słowa i...
- Zdawało mi się, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co trzeba! - przerwał jej obcesowo. - Dałaś mi bardzo wyraźnie do zrozumienia...
- No tak, ale całkiem mnie zaskoczyłeś! - zaprotestowała Tamsyn, nadal zwisając pomiędzy niebem a ziemią. - Skąd mogłam przewidzieć, że wyniesiesz się po nocy, nawet się nie obejrzawszy?!

Próbowała go kopnąć, w nadziei, że postawi ją wreszcie na ziemi, ale nie odniosło to żadnego skutku.

- Czyżby?! - Uniósł rudozłotą brew. - A zatem nasza mała wymiana zdań w salonie była jedynie przygrzywką?! Oświadczyłaś mi z tą twoją przeklętą arogancją, że nie chcesz mieć ze mną więcej do czynienia... a ja miałem to uznać za zachętę?!

- Nie całkiem tak było - odparła cicho. - To ty chciałeś wszystko czym prędzej zakończyć, nie ja!

- Myślałem, że proponuję ci coś innego! - odparł równie cicho, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

To nie mogło doprowadzić do niczego! Nadal trzymał ją, jakby była słomianą kukłą... A poza tym nie pozwoli, psiakrew, żeby zwałił na nią całą

winę, kiedy każdy widzi od razu, że to on robi trudności! I to on niczego nie rozumie!

- Wspomniałeś o mojej arogancji, więc ci powiem, pułkowniku, że z ciebie jest sto razy większy uparciuch i arogant niż ja! - warknęła.

Ogarnęła ją wściekłość, bo płacz nagle ścisnął ją za gardło i łzy napłynęły do oczu. Chciała powiedzieć, że go kocha, ale nie mogła wykrztusić tych słów. Chciała go też zapewnić, że i on ją kocha, bo nie mogłaby przecież czuć tego wszystkiego, gdyby to uczucie nie było wzajemne...

- To ty - stwierdził z rozmysłem Julian -jesteś upartą, zepsutą, kłamliwą diablicą!

Myślał, że już pogodził się z tym, iż ich przygoda zakończyła się ostatecznie, a Tamsyn odeszła z jego życia raz na zawsze... Przekonał się jednak, że z niczym się nie pogodził!

- W takim razie bardzo żałuję, że się niepotrzebnie fatygowałam - oświadczyła Tamsyn z urazą w głosie. - Jeśli mnie wreszcie puścisz, zaraz sobie pójdę!

- Nigdzie nie pójdziesz, przekłete półdiabło!

Owładnęła nim tak dobrze znana gwałtowna namiętność, kiedy ją ścisnął, wyczuwając dłońmi smukłość jej ciała, wdychając słodki zapach jej skóry, tonąc w głębi jej ogromnych oczu... Milczenie między nimi było coraz bardziej pełne napięcia. Czuł, że udzieliło się jej to podniecenie, że odwzajemnia je z równą gwałtownością. Oczy jej promieniały, długie, ciemne rzęsy były wilgotne od łez, wargi lekko rozchylone... Bezbłędnie wyczuwała, co się z nim dzieje, i oczekiwała na jego następne posunięcie.

- Nikt mi nie zarzuci, że przegapiłem taką okazję!

Jak niegdyś w Badajos, wetknął ją sobie pod pachę niczym tłumoczek i pospiesznie opuścił bibliotekę.

Pokonał schody w marszowym tempie i Tamsyn, która zamarała w bezruchu, dziękowała Bogu, że nie natknęli się na nikogo z domowników. Otworzył drzwi swojej sypialni, wszedł do środka i rzucił swe brzemię na łóżko.

Trzymając ręce na biodrach i uśmiechając się lekko, spoglądał na nią z góry.

- Nieodparcie pociągająca - stwierdził z nutką zdziwienia w głosie. - Nie pojmuję, jak taka chuderlawa, źle wychowana, pozbawiona wszelkich skrupułów intrygantka może być do tego stopnia pociągająca! Ale widocznie takjuż musi być.

Tamsyn kusicielsko zmrużyła oczy, nic jednak nie powiedziała. Miała na razie dość kłótni i intryg. Może przyjdzie czas, gdy Julian nie będzie się opierał temu, co rozkwitało pomiędzy nimi, może zajrzy w głąb własnego serca... Na razie jednak musiało jej wystarczyć to, co miała. Określenie „nieodparcie pociągająca” było nie najgorsze, jak na początek!

Bez pomocy rąk ściągnęła buty, które upadły z cichym stuknięciem na dywan z Aubusson.

Rozpięła bryczesy i zsunęła je z bioder i z ud.

Julian pospieszył z pomocą i ściągnął je do reszty z jej nóg, a przy okazji uwolnił ją także od pończoch. Potem wyprostował się i wrócił do roli widza.

- Muszę ze wszystkim męczyć się sama? - poskarżyła się niby to żałośnie.

- Tak.

Przymknął lekko powieki. Znowu spoglądał na nią z góry, wziąwszy się pod boki.

Tamsyn wyplątała się z majtek, rozpięła i ściągnęła koszulę. Potem już tylko leżała nago na kołdrze i spoglądała na niego tajemniczo.

- Teraz mogłabyś pomóc mnie — zasugerował Julian.

Obojętny ton głosu pozostawał w wyraźnej sprzeczności z żarem w jego oczach.

Tamsyn usiadła na łóżku, położyła ręce na biodrach kochanka i przyciągnęła go do siebie. Odpięła mu zręcznie pas i pozwoliła, by ześlizgnął się na podłogę.

- Nie szkodzi, że zacznę od tego? - spytała lekkim tonem, rozpinając mu bryczesy.

- Ani trochę.

Bez pośpiechu ściągnęła mu spodnie z bioder z taką delikatnością, że podnieciło to ich oboje. Czuł jej palce na swych kościach biodrowych i rozpostartą dłoń Tamsyn na swoim brzuchu. Jego mięśnie mimo woli się napięły. Ręka dziewczyny zsunęła się z brzucha i zawędrowała między uda. Tamsyn nachyliła się i dotknęła językiem jego pępka. Jej palce to gładziły, to ugniatały jego ciało, aż cicho jęknął. Sięgnąwszy do tyłu, wbiła paznokcie w sprężyste mięśnie jego pośladków. Oparła się przy tym o niego tak, że członek Juliana znalazł się pomiędzy jej piersiami. Gdy ścisnęła je delikatnie i napór na jego męskość stawał się coraz silniejszy, Julian odrzucił głowę do tyłu.

- Przestań, na litość boską... - wyszeptał.

Tamsyn uśmiechnęła się tylko. Jej rzęsy zatrzepotały szelmowsko, łaskocząc go w pierś. Nieubłaganie ciągnęła go na skraj przepaści, aż wstrząs - nął nim dreszcz i cały świat rozpadł się w eksplozji rozkoszy.

- *Diablillol* - skarcił ją, gdy jego oddech stał się mniej gorączkowy, a półprzymknięte oczy spojrzały z wyrazem pełnego zaspokojenia w uniesionej ku niemu twarzy. - Możesz mieć pretensję tylko do siebie!

- Zauważyłam, że szybko wracają ci męskie siły, pułkowniku! - odparła z bezczelnym uśmieszkiem, opadając na plecy i pociągając za sobą także i jego.

Ucałowała ją brutalnie, szczypiąc w policzki.

- Sam już nie wiem, na co zasługujesz!

- Ja także... ale najważniejsze, żebym to dostała.

- Dostaniesz, za to ci ręczę! - obiecał, całując ją znowu w usta, tym razem długo i delikatnie.

- Ojej! Zapomniałam... Jak mogłam zapomnieć?! - Z niespodziewaną gwałtownością Tamsyn wyrwała mu się i wyskoczyła z łóżka. - Ten pokój jest na tyłach domu, prawda?

Julian przewrócił się na wznak, nie wiedząc, czy śmiać się, czy wrzeszczeć na nią.

- Pewnie chodzi o Gabriela?

- Tak, czeka koło stajni.

Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież.

- Zaproś go do nas - powiedział z westchnieniem Julian.

- Nie, musi wrócić na Charing Cross, żeby zajrzeć do koni.

Wychyliła się z okna, zwinęła ręce wokół ust i zahukała raz i drugi, zupełnie jak sowa. Odpowiedź przyszła natychmiast. Tamsyn wydała jeszcze wiele innych ptasich odgłosów, za każdym razem czekając na odzew.

Charring Cross, dumał Julian. Dlaczego Charing Cross?... Choć właściwie... dlaczego nie?... Analizowanie skomplikowanych zamysłów Tamsyn nie miałyby sensu. Oczywiście we wszystkich jej planach uczestniczył Gabriel!

Julian, rozbawiony i zaintrygowany niezwykłą konwersacją przy oknie, uniósł się na łokciach. Zapatrzył się na nagie plecy schylonej Tamsyn i przestał głowić się nad tym, o czym tak rozprawiają. Ma urzekający tyłeczek! - pomyślał z rozmarzeniem.

- No! - Tamsyn się wyprostowała. - Wszystko ustalone.

- Doskonale. W takim razie może zechcesz tu wrócić? - spytał z uprzejmą ironią.

- O, czyżbyś już był gotowy?
- Odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem.
- Dojdzie do tego lada chwila. Wracaj tu, do diaska!
- Tamsyn przemierzyła pokój w kilku susach i wskoczyła do łóżka.
- Tak jest, panie pułkowniku. Czego pan sobie tylko życzy, milordzie!

23

Tamsyn nadal spała, kiedy Julian obudził się rankiem. Za oknami padało, a w pokoju było mroczno. Ogólne posępne wrażenie potęgowały jeszcze masywne dębowe meble i ciężkie aksamitne kotary. Dom aż się prosił o odnowienie, Julian jednak zawsze uważał, że można z tym poczekać, dopóki się nie ożeni. Zona z przyjemnością urządzi dom po swojemu... a znacznie łatwiej będzie dokonać tego tutaj niż w Tregarthan, noszącym niezatarte piętno czterech pokoleń St Simonów.

Ostatnimi laty Julian spędzał tak mało czasu w Londynie, że zaniedbany wygląd domu przy Audley Square nie martwił go zbyt. Teraz jednak przyszło mu na myśl, że powinien chyba zająć się tą sprawą, nim szkody staną się zbyt widoczne. Perspektywa jego małżeństwa była sprawą odległej przyszłości, czymś, o czym nawet nie można myśleć, póki Napoleon nie zostanie ostatecznie pokonany.

Julian odwrócił się na poduszce, by spojrzeć w twarz śpiącej obok niego dziewczyny. Kiedyś będzie musiał znaleźć sobie żonę. Nie mógł jednak opędzić się od myśli, że świat zmysłowych czarów, jakie roztaczała ta filigranowa rozbójniczka, odebrał mu raz na zawsze ochotę na związanie się z prawdziwą damą, która byłaby idealną panią na Tregarthan.

Przeżycia ostatniej nocy pozostawiły niezwykle żywy ślad zarówno w jego ciele, jak i umyśle. Jednym z niezwykłych talentów Tamsyn było to, że każda noc miłosna z nią była czymś niepowtarzalnym, o czym nie sposób zapomnieć.

Usiadł na łóżku i spojrzął na zegar. Szósta... a z lordem Liverpoolem miał się spotkać o ósmej.

Tamsyn westchnęła i przewróciła się na brzuch, kryjąc twarz w poduszkach.

- Co robisz?

- Wstaję. - Nachylił się nad nią i pocałował w kark, łaskocząc ciepłym swego oddechu. - Wrócisz do Hiszpanii razem ze mną, Tamsyn?

- A po co, według ciebie, zjawiłam się tutaj? - wymamrotała w poduszkę.

- Nie będziesz się już starała odnaleźć rodziny twojej matki?

Przejechał palcem po jej kręgosłupie.

Tamsyn podniosła głowę znad poduszki.

- Dlaczego powiedziałeś, że życie w Kornwalii nie jest dla mnie? Myślałam, że radzę tu sobie całkiem dobrze. Goście na przyjęciu uważali, że do nich pasuję!

- Dlatego, że grałaś przed nimi taką rolę. Oboje wiemy, że dla prawdziwej Tamsyn nie jest to odpowiednie miejsce. Zanudziłabyś się na śmierć już po kilku tygodniach!

- Ale dobrze grałam swoją rolę! - upierała się.

- Tak, muszę ci to przyznać.

Głowa Tamsyn opadła znów na poduszkę. Julian miał rację, nie było to wymarzone życie dla niej, ale nie miała zamiaru wiecznie żyć w ten sposób! W specyficznych okolicznościach mogłaby jednak przywyknąć do tego... gdyby jej bardzo na tym zależało. To był krok we właściwym kierunku!

- I naprawdę zrezygnowałaś ze swego zamiaru odszukania krewnych? - spytał raz jeszcze.

- Tak - odparła, mówiąc sobie w duchu, że nie jest to kłamstwo: przecież już ich znalazła!

Cóż za rozkoszna ulga! Przesunął ręką, wolno i pieszczotliwie, po jej plecach.

- Śpij dalej, jaskierku!

Westchnęła w poduszkę, ale nie próbowała go zatrzymać, gdy wymknął się z łóżka. Zasunął szczerlnie zasłony wokół niego, nim zadzwonił, domagając się wody do golenia.

Włożył pośpiesznie szkarłatną kurtkę i futrzaną pelerynkę oficera kawalerii i zapiął pas, na którym nosił zakrzywioną szablę. Wypełniał przecież ważne zadanie dla wojska! Kiedy widział się w mundurze, napawało go to głęboką satysfakcją. Stokroć by wolał znajdować się na polu bitwy, ale już niebawem znowu się tam znajdzie. Wróć do Hiszpanii razem z Tamsyn i nie będzie między nimi urazy ani gniewu, ani poczucia, że zostało się wykorzystanym... Niczego, co mogłoby zatruć im rozkosz, jaką nawzajem sobie dawali.

Nim wyszedł, raz jeszcze rozsunął zasłony przy łóżku. Tamsyn leżała, pogrążona znów we śnie, odwrócona do niego tyłem. Policzek oparty na ręku, cera delikatnie zaróżowiona od snu... Stał przez chwilę, wpatrując się w nią i uśmiechając się bezwiednie. Wiedział doskonale, że jej widok znów go podniecił. Nie było to jednak zwykłe gwałtowne pożądanie, tylko coś znacznie subtelniejszego.

Zasłonił łóżko i wyszedł z pokoju, po cichu zamykając drzwi. Zanim opuścił dom, oznajmił staremu Bekonowi, który kierował garstką pozostawionej tu służby, że w jego pokoju znajduje się młoda dama, której należy zapewnić wszystko, o co poprosi.

- Takjest, milordzie.

Służący skłonił się, otwierając przed swym panem drzwi frontowe. Nie po raz pierwszy jego lordowska mość przyjmował w swej londyńskiej rezydencji jakąś panienczkę... a zapewne i nie po raz ostatni.

Skoro tylko drzwi się zamknęły za Julianem, Tamsyn usiadła na łóżku, całkowicie przytomna. Nie miała ochoty kontynuować z nim rozmowy na temat krewnych, toteż udała, że śpi, co wydawało się jej najprostszym rozwiązaniem. Jeśli tylko okaże się to możliwe, nie wspomni już Julianowi ani razu o rodzinie swojej matki. Najlepiej by było, gdyby zapomniał, że jej matka w ogóle miała jakąś rodzinę!

Tamsyn doskonale wiedziała, co robić dalej. Gdyby Julian odkrył prawdę o Penhallanach i o tym, co w rzeczywistości sprowadziło ją do Anglii, wszystko między nimi byłoby skończone. Nie zniósłby myśli, że posłużyła się nim i oszukała go; nie może więc nigdy dowiedzieć się o tym! Ponieważ jednak rozpoczęła już ostateczną rozgrywkę z Cedrikiem, musi doprowadzić ją do końca. Nie może go publicznie zdemaskować, gdyż musiałaby wyjawić łączące ich więzi pokrewieństwa. O tym jednak Cedric nie wiedział, a taka groźba, choćby nawet bez pokrycia, mogła stanowić potężną broń. Jeśli dobrze rozegra swoje karty, zdoła odebrać mu brylanty - rodowe klejnoty Penhallanów.

Takie zadośćuczynienie z pewnością zadowoliłoby Cecile i El Barona. A po załatwieniu tej sprawy będzie mogła wrócić do Hiszpanii z pułkownikiem. Zrobi wówczas wszystko, by na dobre połączyć ich losy!

Tamsyn wyskoczyła żywo z łóżka, obmyła twarz wystygłą już wodą z dzbanka, pożyczyla sobie proszku do zębów Juliana, skorzystała z jego grzebienia i ubrała się. Potem zbiegła na dół. Zanim wróci do Kornwalii, by doprowadzić do końca sprawę z wicehrabią, miała w planie specjalny

program rozrywkowy, dzięki któremu pozostanie w pamięci pułkownika aż do swego powrotu.

Starszawy służący przechodził akurat przez hall. Podniósł wzrok i zamrugał zaczerwienionymi oczyma ze zdumienia, gdy Tamsyn zeskoczyła z ostatniego stopnia schodów.

- Dzień dobry! Nazywacie się Belton, nieprawdaż? - odezwała się do niego Tamsyn. - Lady Fortescue mówiła mi, jak wspaniale zarządzacie całym tym domem!

Lady Fortescue?! Stary sługa spoglądał na nią w osłupieniu. Tamsyn niemal widziała, jak obracają się trybiki w jego mózgu, gdy usiłował odkryć, jakie więzi mogły łączyć to zdumiewające, odziane po męsku stworzenie, które spędziło ostatnią noc w łóżku lorda St Simona, z siostrą jego lordowskiej gości.

- Gdyby lord St Simon wrócił wcześniej niż ja, czy możecie mu powtórzyć, że będę tu po południu? - rzuciła beztrzesko, zmiierzając do drzwi.

- Tak jest, proszę pani - wymamrotał Belton, ponieważ spiesząc ku drzwiom, by je otworzyć przed nią.

- W porządku, poradzę sobie! Dzięki, Belton! - Tamsyn otworzyła drzwi. - Do cholery, znowu pada! Co za parszywy klimat! - Osłoniła głowę kapturem i pożegnała skinieniem ręki osłupiałego służącego. Zeskoczyła z trzech schodków na trotuar i popędziła ulicą, pochyliwszy głowę z powodu upartej mżawki.

Kompletnie zdezorientowany Belton zadał sobie pytanie, czy nie jest już za stary do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji? Czy ta dama była naprawdę ubrana w spodnie? Jego lordowska gość nabrał widać dziwnych upodobań w Hiszpanii - pogańskim kraju, jak powiadają... Zamknąwszy drzwi, poczłapał do kredensu, gdzie miał butelkę leczniczego koniaku, którą tam chował i do której pomocy się uciekał w chwilach wyjątkowego napięcia.

Tamsyn zatrzymała dorożkę i kazała się zawieźć do zajazdu Pod Głową Króla przy Charing Cross, po czym rozsiadła się wygodnie, rozważając swoje plany. Ten deszcz był cholerną zawadą, zwłaszcza że miała tyle spraw do załatwienia!

Gabriel jadł właśnie bez pośpiechu śniadanie złożone z jajek i polędwicy, gdy Tamsyn przybyła Pod Głowę Króla.

- Wcześniej się zjawiasz - zauważył.

- Owszem. I to na głodniaka. - Przyniosła sobie nogą krzesło i usiadła na nim. - Gospodarzu, jeszcze jedno takie śniadanko!

Właściciel zajazdu odpowiedział mruknięciem. W mdłym świetle ledwo widział młodego chłopaka, który przysiadł się do wielkiego Szkota. Potatygował się jednak do kuchni i po kilku minutach służąca przyniosła drugi kopiały talerz.

- Śniadanie, pszepana!

Dziewuszka dygnęła, zerkając na Tamsyn spod rzęs i wyraźnie zastanawiając się, czy warto sobie zwracać głowę tym młodym człowiekiem.

Tamsyn uśmiechnęła się od ucha do ucha. Była przyzwyczajona do podobnych pomyłek w źle oświetlonych izbach. Pochyliła się ku dziewczynie i połaskotała ją pod brodą.

- Co za ładna dziewczuszka! Jak ci na imię?

- Annie, pszepana...

Służąca zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

- No to przynieś mi jeszcze kawy! Dobrze, Annie?

- Pewnie, pszepana!

Dygnęła raz jeszcze i pospiesznie wybiegła.

- Oj, mała, powinnaś się wstydzić! - Gabriel zbeształ łagodnie swą podopieczną, pociągając trochę piwa. - Kpić sobie z takiego dzieciaka!

Tamsyn tylko się roześmiała i z wilczym apetytem zabrała się do śniadania.

- Sprawy nieźle stoją, co? - zagadnął Gabriel. - Wygląda na to, że musisz się pokrzepić po udanej nocce!

Tamsyn skinęła głową. Oczywiście błyszczały, gdy doprawiała polędwicę musztardą.

- Wkrótce wracamy do Hiszpanii.

- To dobrze - odparł lakonicznie. - Z przyjemnością wyniosę się stąd. Moja kobieta też. Ale co z Penhallanem?

- Chyba dam temu spokój, Gabrielu - powiedziała, nie odrywając oczu od talerza. - Masz mi to za złe?

Twarz mu spochmurniała.

- Zrobisz jak zechcesz, dziewczuszko. Ale ja rozprawię się z tymi podlecami! Tylko po swojemu i w swoim czasie. Tobie to w niczym nie przeszkodzi.

Tamsyn milczała. Wiedziała, że nie jest w stanie go powstrzymać. Dla Gabriela było to święte zobowiązanie; czułby na sobie karcący wzrok El Barona, póki by się z tym nie uporał. Jednak zemsta Gabriela nie mogła przeszkodzić Tamsyn w rozprawieniu się z Cedrikiem i z tego właśnie powodu postanowiła stawić wujowi czoło samotnie. Charakter Gabriela był

zbyt wybuchowy; gdyby podczas wizyty w Lanjerrick natknął się na bliźniaków, nic by go nie powstrzymało od rozprawienia się z nimi od ręki. Prawdopodobnie zaleźliby się świadkowie, Cedric mógłby złożyć oskarżenie... i Gabriel skończyłby zapewne na szafocie w Bodmin.

Nigdy jednak nie pozwoliłby jej udać się tam samej, gdyby żywił choćby najmniejsze podejrzenia co do jej zamiarów! Musi zatem przekonać go, że miłość do Juliana St Simona zatriumfowała w niej nad pragnieniem pomśzczenia rodziców.

- No to wracamy po Josefę, a potem do Hiszpanii, tak? - podsumował Gabriel z nieznaczną zmarszczką na czole.

Tamsyn skinęła głową i napiła się kawy.

- Ale nie ruszę się stąd wcześniej niż jutro rano. Chcę zostawić pułkownikowi piękne wspomnienia, żeby miał o czym myśleć, kiedy nas tu nie będzie.

Gabriel uniósł brew.

- W tym chyba nie potrzebujesz mojej pomocy?

Tamsyn uśmiechnęła się.

- Chyba nie, Gabrielu.

- W takim razie zostaną tutaj. Gospodarz ma niezłą piwniczkę, a i dobra kompania się znajdzie.

- No to jak, zjawisz się razem z Cezarem na Audley Square o świcie? Wymknę się znów przez olcno i spotkamy się koło stajni. Pojedziemy do Kornwalii, zabierzemy, co trzeba, i wracamy razem z Josefą!

Gabriel skinął głową potakująco. Taki ukradkowy i pospieszny wyjazd nie był dla niego niczym nadzwyczajnym. Przeważnie w ten sposób przenosili się w górach z miejsca na miejsce. Jednakże coś w tej zmianie planów niepokoiło starego Szkota. Jego dziewczuszka nie miała zwyczaju rezygnować beztrąsko z ważnego przedsięwzięcia!

Tamsyn kromką chleba wytarła do czysta sos z talerza, wypła resztkę kawy i wstała od stołu.

- Muszę się przebrać. I potrzeba mi trochę pieniędzy, Gabrielu.

Sięgnął do kieszeni po klucz od swego pokoju.

- Na samej górze, na lewo od schodów.

W jego sypialni Tamsyn przebrała się w jedną ze swych batystowych sukien i zmieniła buty do konnej jazdy na parę płóciennych trzewiczków, które nie chroniły - niestety - równie dobrze przed deszczem i kałużami. Schowała swój strój do konnej jazdy do sukiennej torby, którą zamierzała zabrać ze sobą, wetknęła zwitek banknotów i garść monet

do swego woreczka, przejrzała się w popstrzonym przez muchy lustrze, po czym wróciła do szynku, starając się nie chodzić zbyt wielkimi krokami.

Annie zbierała właśnie nakrycie ze stołu i omal nie upuściła tacy na widok niezwykłej przemiany.

- Ooo! -jęknęła. -Więc to nie chłopak?!

- Nie - przytaknęła Tamsyn. - Ale ty nadaljesteś ładną dziewczuszką.

- Co za bezczelność! - odcięła się Annie, nieco się opanowawszy. - Ładnie to robić takie sztuczki?! Nadużywać zaufania porządnej dziewczyny...

- Jak mogłam nadużyć twego zaufania? - klarowała jej Tamsyn, całkiem logicznie. - Przecież nie jestem mężczyzną!

Annie prychnęła pogardliwie i wróciła z tacą do kuchni.

Gabriel nadal siedział przy stole, ściskając w rękę napełniony ponownie kufel.

- Już zmykasz?

- Tak. - Nachyliła się, żeby go pocałować. - Do zobaczenia o świcie!

- Będę czekał.

Tamsyn uniosła rękę w pożegnalnym geście i wyszła znów na mroczny i dżdżysty londyński dzień.

Wróciła na Audley Square wczesnym popołudniem. Belton otworzył jej drzwi i ujrzał tym razem ubranąjak należy młodą damę. Gdyby nie charakterystyczne włosy Tamsyn, nigdy by nie uwierzył, że to ta sama osoba, która wyszła stąd tego ranka.

- Czy można posłać kogoś, żeby zabrał paczki z dorożki, Belton? - spytała, schowana niemal całkowicie za naręczem paczek i paczuszek, które trzymała w objęciach.

- Pani pozwoli, że ja sam...

Belton pospieszył, by uwolnić ją od brzemienia.

- Nie, nie! - broniła się Tamsyn w obawie, że staruszek upuści je na schody. - Ale w powozie jest tego znacznie więcej!

Belton zawołał przez ramię i krzepki młodzian w bajowym fartuchu i skórzanych spodniach wynurzył się z okolic kuchni. Zerknął ciekawie na młodą kobietę obładowaną paczkami i wyszedł przed dom, by przynieść z dorożki resztę jej zakupów.

- Czyjego lordowska mość już wrócił?

- Jeszcze nie, proszę pani. Sądzę, że udał się do jednego ze swoich klubów. Zazwyczaj odwiedza je rano, gdy wychodzi na miasto.

- Znakomicie! - Sytuacja bardzo odpowiadała Tamsyn. Do czasu, gdy Julian wróci do domu, ona będzie gotowa na jego powitanie! Skierowała się ku schodom wiodącym na górę. - Proszę dopilnować, by wszystkie paczki zostały odniesione do apartamentów jego lordowskiej mości... I czy ktoś mógłby tam przynieść jeszcze dwa kieliszki i korkociąg?

Młody osiłek ruszył za nią truchtem z całym naręczem paczek.

- Połóż je na kanapie - poleciła, składając swoje brzemię na narzucie łożka. - Dziękuję. I czy mógłbyś rozpaścić ogień na kominku? Taka dziś okropna pogoda!

Przyglądała się, jak służący rozzgarnia popiół, dokłada podpałkę i krzesze ogień. Drewno zajęło się, pióropusz wonnego dymu uniósł się w powietrze, a płomień sięgnęły niemal komina.

Służący dołożył jeszcze kilka polan, po czym wstał z klęczek i wytarł ręce o spodnie. W tejże chwili rumiana dziewczuszka, może trzynastoletnia, przyniosła kieliszki i korkociąg. Ona też nie mogła powściągnąć ciekawości i zerkała ukradkiem na niezwykłego gościa jego lordowskiej mości. „To prawdziwa latawica, nic dobrego!” - orzekła stara pani Cogg, kucharka. Maisie nigdy dotąd nie widziała prawdziwej latawicy!

- Doskonałe!

Tamsyn uśmiechnęła się z niejakim roztargnieniem do chłopaka, który skłonił się niezdarnie i wyszedł. W jego ślady poszła też mała służąca. Po ich odejściu Tamsyn przefrunęła przez pokój i zamknęła drzwi na klucz. Przez chwilę stała, uderzając końcem palca o przednie zęby. Ile jej jeszcze zostało czasu?

Dokładnie piętnaście minut zajęło jej wyłożenie na stół smakołyków, starannie dobranych na zaimprovizowany piknik. Czerwone wino dobrego rocznika, krewetki w cieście, wędzone ostrygi, krab na zimno, ciastka z truskawkami i świeże figi. Wszystko bez trudu można było jeść palcami.

Ogień na kominku trząskał aż miło, świece zostały zapalone i pokój - mimo ponurego umeblowania - zrobił się całkiem przytulny. Tamsyn rzuciła suknię, wepchnęła ją w kąt szafy razem z trzewiczkami, bielizną i sukienną torbą, z jej strojem do konnej jazdy. Potem wyjęła kreację, której wybranie zajęło jej kilka godzin. Uszyta z kremowej jedwabnej koronki suknia migotała w blasku świec, zwiewna i połyskliwa. Tamsyn włożyła ją przez głowę, a delikatny materiał - dzieło mrówczej pracy tuzina koronczarek-pieścił jej nagie ciało, równie podniecająco jak powiew wiosennego wiatru.

Podeszła do ściennego lustra i przyjrzała się sobie uważnie. Suknia kosztowała mnóstwo pieniędzy, ale wywierała dokładnie takie wrażenie, na jakim Tamsyn zależała. Była skromna i dziewicza jak nocna koszulka panny młodej. Szerokie rękawy sięgały do łokcia i przyciągały uwagę do lekko zaokrąglonych rąk i delikatnych przegubów. Szyja wyłaniała się - smukła i wdzięczna jak u łabędzia - z potrójnej warstwy koronki, oczy migdałowego kształtu były ogromne i pełne blasku, a ich głęboki fiolet zdumiewał w zestawieniu z kremową bledością twarzy i sukni oraz ze srebrnym połyskiem włosów.

Na próbę przewiązała włosy kremową aksamitką. Efekt był zaskakujący. Podkreślał wrażenie dziecinnej naiwności... z jakąś nieuchwytną, podniecającą domieszką.

Tamsyn obracała się bez pośpiechu przed lustrem, oglądając się ze wszystkich stron. Jej białe stopy wyzierały spod zdobnego obrąbka, materiał spływał miękko po ciele, koronka była tak delikatna, że ciało prześwitywało spod niej.

Tamsyn czuła się podobnie, gdy projektowała swą czarodziejską groteskę Aladyna - urzeczona tą zabawą i pewna, że Julian będzie nią równie zafascynowany. Czuła, jak prężą się jej sutki, a po plecach przebiegają dreszcze.

Otworzyła zamknięte na klucz drzwi, rzuciła ostatnie spojrzenie na zachęcająco zastawiony stół i zwinęła się w kłębek w wielkim, obitym czarną skórą fotelu przy kominku.

Po dość zadowalającym spotkaniu z premierem, Julian udał się do Dowództwa Gwardii Konnej, by przekonać się, ilu dawnych przyjaciół i kolegów może tam znaleźć i jak mogliby mu pomóc. Następnie skierował się do admiralicji, gdzie dowiedział się, że fregata, eskortująca konwój statków handlowych, ma wypłynąć z Portsmouth do Lizbony pod dowództwem kapitana Marriota w końcu następnego tygodnia. Kapitan powinien zostać oficjalnie powiadomiony, że będzie miał czworo pasażerów na swym pokładzie. Pułkownik musiał więc uzyskać niezbędne dokumenty od właściwego admirała. To jednak zajmie mu najwyżej dzień lub dwa.

W doskonałym humorze Julian wyszedł na siąpiący kapuśniaczek; zmoknięty ulicznik pilnował Souлта. Chwycił otrzymaną sześciopensówkę, uśmiechnął się od ucha do ucha i odbiegł, próbując zębami, czy moneta nie jest fałszywa. Nie mógł wprost uwierzyć w taką hojność oficera.

Julian wrócił do domu konno, zostawił wierzchowca w stajni i wszedł do ogrodu przez furtkę w murze. Spojrzał w okno swojej sypialni. Było zamknięte z powodu deszczu, ale świeciło ciepłym, przyjaznym blaskiem.

Mimowolny uśmiech rozjaśnił twarz pułkownika, a jego serce podskoczyło z radości na myśl, że to Tamsyn czeka na niego.

Wszedł do domu bocznymi drzwiami i pomknął na górę. Nie napotkał nikogo po drodze, co wcale go nie zdziwiło. Nigdy nie wyprawiał tutaj przyjęć i nawet sam tak rzadko tu gościł, że Belton i pani Cogg radzili sobie z prowadzeniem domu, mając do pomocy jedynie chłopaka do cięższych robót i podkuchenną. W większości pokojów zresztą meble były okryte płóciennymi pokrowcami.

Wszedł do swojej sypialni i stanął jak wryty. Tamsyn - drobna postać, spowita lśniąca kremową koronką - leżała skulona w wielkim fotelu obitym czarną skórą.

Na widok Juliana uśmiechnęła się, przeciągnęła i wstała.

- Miałeś męczący dzień, pułkowniku? - spytała miękko, podchodząc do niego. - Przygotowałam dla nas piknik!

Wpatrywał się w nią z zapartym tchem. Dobry Boże, miała wstążeczkę we włosach! I ta sukienka — taka skromna, a zarazem taka kusicielska! Wyglądała na czystą i niewinną jak dziecko... a jednak jej ciało przebłyskiwało obiecująco spod materiału, który opływał jej biodra i podkreślał miękką wypukłość piersi i twarde, ciemne koniuszki sutków.

W głowie mu się kręciło, gdy podeszła bliżej i uniosła ku niemu twarz, dopraszając się słodko o całusa. Nadal nie był w stanie mówić, pochylił się jednak i ucałował jej wargi.

- Może odpasziesz szablę? - spytała, odsuwając się, zanim mógł ją objąć. - Jest taka okropna, wielka i niepokojąca!

Niepokojąca... To ta kobieta była najbardziej niepokojącą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał! Ale jej ręce odpinały już pas, na którym nosił szablę, i podnosiły go tak, jakby to był ciężar ponad siły. I pas z szablą naprawdę wydawał się niesłychanie wielki i groźny w porównaniu z jej delikatną kruchością... tylko że ona wcale nie była delikatna ani krucha! Przyglądał się w osłupieniu, z jaką ostrożnością odnosi szablę w kąt pokoju, po czym znów zwraca się do niego.

- Mogę ci pomóc przy zdejmowaniu butów?

W stanie całkowitego oszołomienia usiadł w fotelu, z którego Tamsyn dopiero się podniosła.

Ze zmarszczonym czołem, w najwyższym skupieniu, siadła okraciem najego kolanach, tyłem do niego, i chwyciła za lewy but. Kragłości jej pośladków, przeświecających przez cienką jak pajęczyna suknię, nie sposób

się było oprzeć. Położył ręce na adamaszkowych półkulach i bijący od nich żar niemal go oparzył.

- Próbuje się skupić - powiedziała Tamsyn, gdy but zsunął się z nogi.
- Muszę to robić bardzo ostrożnie, by nie ubłocić sobie sukni!

- Nie mam nic przeciwko temu, co widzę - mruknął, odzyskawszy wreszcie głos, wygładzając cieniuseńką tkaninę na jej pośladkach - ale pewien jestem, że powinnaś nosić coś pod spodem.

- To już zależy od tego, gdzie się nosi tę suknię - odparła, po czym, stęknawszy z wysiłku, opadła na jego kolana, sadowiąc się na dłoniach Juliana podczas zdejmowania drugiego buta. - No, załatwione! - Rzuciła drugi but na podłogę obok pierwszego. - Teraz zdejmę ci kurtkę, a potem podam wino i wędzone ostrygi.

- Za chwilę! - powiedział.

- Oczywiście! - zgodziła się Tamsyn potulnie. - Wszystko będzie tak, jak sobie tego życzysz.

- To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe - stwierdził Julian, lecz uśmiechał się przy tym. Bez względu na to, na czym ta zabawa polegała, bardzo chciał w niej uczestniczyć. Objął Tamsyn jedną ręką w tali i trzymał mocno, podczas gdy drugą rękę wsunął pod jej siedzenie. Końce jego palców zagłębiły się w szparkę między pośladkami dziewczyny, tak że dech jej zaparło i zaczęła się wiercić na jego kolanach. W końcu puścił ją. - Nie chcę rozedrzeć tej olśniewającej dziewiczej szaty... a przynajmniej jeszcze nie teraz. Wobec tego lepiej wstawaj!

Tamsyn ześlizgnęła się z jego kolan i obciągnęła spódnicę, która się poddała.

- Czego tylko sobie życzysz, mój panie! - Podeszła do stołu i nalała wina do kieliszka. Przyniosła je razem z talerzem wędzonych ostryg i uśmiechając się nieśmiało, siadła znów Julianowi na kolanach. Przytknęła kieliszek do jego ust, po czym zaczęła karmić go ostrygami.

- Smakuje ci?

- Hm... - mruknął z pełnymi ustami. Rozpraszała go mnogość i różnorodność doznań: ciężar Tamsyn - jakże niewielki! - na jego kolanach... zapach jej ciała... jej niewiarygodnie nieśmiały uśmiech... zwodnicza niewinność kremowej koronki... - Chyba mi się podoba ta twoja zabawa!

Zrobiła wielkie oczy. Był w nich wyraz skrzywdzonej niewinności.

- Zabawa? To nie żadna zabawa, mój panie! Chcę ci tylko sprawić przyjemność. Spełnić każde twoje życzenie!

Znów napoiła go winem, po czym sama wypita łyk, zanim odstawiła kieliszek na stół, obok talerza z ostrygami. Mościła się na jego kolanach, aż wreszcie usadowiła się wygodnie, przytulona do jego piersi.

Byłajak mały ptaszek, gdy serce jej biło tuż przy gorsie jego koszuli. Taka krucha i bezbronna... Nieważne, że w rzeczywistości była groźna, nieustępliwa, wybuchowa, a on dobrze o tym wiedział. W tej chwili wydawała się ucieleśnieniem słodkiej niewinności i doprowadzała go do szaleństwa.

Całowała go w szyję - tam, gdzie wyczuwało się tętno. Wierciła się na jego podołku, prawie niedostrzegalnie, ale jakże podniecająco. Jej głos był melodyjny, gdy szeptała mu czułe i namiętne słowa. Oplotła go czarodziejską siecią... Dopiero po chwili dotarło do niego, co szepcze ta niewinna, krucha istotka. Były to brutalne słowa namiętności i żądzy, które urzekają go swą zuchwałą zmysłowością i szokowały do głębi, wypływając z ust uśmiechniętej nieśmiało dziewczynki.

- Ty diabolic! - wyszeptał cicho i pożądliwie.

Ugryzła go w wargę. Oczy miała przymknięte. Znów poruszyła się na jego kolanach, tym razem z całą premedytacją, więząc pobudzony członek między swymi udami.

- Podnieś spódnicę! - zażądał głosem chrapliwym z pożądania.

Posłusznie uniosła się, by podciągnąć okrywające ją koronki powyżej bioder. Jej palce powędrowały do paska spodni Juliana i oswobodziły spragnione aż do bólu ciało. Chwycił ją w talii i odwrócił tyłem do siebie. Podsunął ręce pod jej pośladki i uniosł ją wystarczająco wysoko, by wbić się w pulsujące ciepło jej brzucha.

Tamsyn wciągnęła raptownie powietrze i zachwiała się pod tym gwałtownym atakiem. Brutalnie trzymał ją za pośladki, aż ogarnął ją wirujący płomień i eksplodował w jej brzuchu. Miała wrażenie, że rozpadnie się na kawałki... i słyszała za sobą krzyk kochanka, gdy pożar objął także i jego.

Na kominku trzeszczał ogień, świeca pryskała woskiem... Julian wracał powoli do rzeczywistości. Tamsyn opadła do tyłu, na jego pierś i leżała na niej jak zraniony ptak - bezsilna i lekka.

- Ty czarownico! - wyrzucił z siebie ze śmiechem, gdy odzyskał wreszcie głos.

Uśmiechnęła się słabo.

- Potrafię zagrać każdą rolę, jaśnie panie pułkowniku!

- Jakbym tego nie wiedział! - Pocałował ją w czubek lśniącej głowy.

- A teraz daj mi kilka ostrzyg na wzmocnienie!

- Jestem tu po to, żeby ci służyć - odparła skromnie i ześlizgnęła się z jego kolan. - Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

Julian przeciagnał się rozkosznie. Na jego ustach pojawił się leniwy uśmiech.

- Mam dla ciebie mnóstwo rozkazów, jaskierku! Przewiduję, że będzie to bardzo długa noc.

Była to istotnie bardzo długa noc i Tamsyn spała zaledwie półtorej godziny, gdy wewnętrzny nakaz wyrwał ją ze snu tuż przed świtem. Julian spał głęboko obok niej - na brzuchu, a jego rudozłote włosy były rozsypane na poduszce.

Wymknęła się niepostrzeżenie z osłoniętego kotarami łóżka. W pokoju było ciemno, ale Tamsyn przywykła do poruszania się po ciemku i jej oczy szybko oswoiły się z mrokiem. Pozostałości z ich pikniku nadal leżały na stole, ciężkie meble były wywrócone lub poprzestawiane... Wkładając popieszczenie spodnie do konnej jazdy, uśmiechała się do swoich wspomnień. Rozkazy wydawane tej nocy przez pułkownika wymagały iście akrobatycznych zdolności!

Pięć minut później była już ubrana. Zasiadła przy biurczku, by napisać list. Musiała znaleźć jakieś przekonujące wyjaśnienie tego, że wymyka się po nocy i bez uprzedzenia. Może Julian nie obstawałby przy tym, żeby wrócić razem z nią do Kornwalii... ale może by się uparł, a nie chciała mieć go pod bokiem, kiedy będzie załatwiał swoje porachunki z Cedrikiem Penhallanem!

„Mój najdroższy jaśnie panie pułkowniku!

Musimy wrócić do Kornwalii po Josefę i skarb, a Gabriel ma jeszcze jakieś swoje sprawy do załatwienia. Wrócimy tu od dziś za dwa tygodnie. Wiem, że masz mnóstwo roboty w Londynie, więc nie chciałam, żebyś czuł się zobowiązany do towarzyszenia nam. Za dwa tygodnie będę tu znowu, gotowa spełniać wszystkie twoje rozkazy. *Besos!*

Przeczytała popieszczenie to, co napisała. Musi wystarczyć! Jeśli Julian będzie wściekły, że zniknęła równie nagle jak się zjawiała, wynagrodzi mu to jakoś po powrocie. A w tym czasie przynajmniej będzie miał co wspominać!

Zwinęła papier i z uśmiechem przewiązała rulonik kremową aksamitką, którą miała we włosach. Potem na paluszkach wróciła do łóżka i położyła ostrożnie list na poduszce, tuż obok głowy Juliana.

Wymamrotał coś przez sen i przewrócił się na wznak, rozrzucając szeroko ramiona. Tamsyn zwalczyła pokusę odgarnięcia mu nieposłusznego kosmyka włosów i ucałowania go w szerokie czoło. Wiedziała, że Julian spał czujnie, po żołniersku, i najłżejsze dotknięcie obudziłoby go.

Wymknęła się z pokoju, zbiegła ze schodów i dotarła do biblioteki na tyłach domu. Otworzyła niskie okno, przelazła przez parapet i zeskoczyła na miękką, wilgotną ziemię.

Gabriel czekał już koło stajni, trzymając Cezara za uzdę. Powitał Tamsyn skinieniem głowy.

- Wszystko w porządku, mała?
- W porządku.

Wskoczyła na siodło. Za pięć dni powinni być z powrotem w Tregarthan. Konfrontacja z Cedrikiem nie zajmie jej więcej czasu niż godzinę czy dwie. Koniom przyda się dzień odpoczynku. A potem wróć tutaj, ona zaś skoncentruje wszystkie siły, aby zdobyć najważniejszy bastion: lorda Juliana St Simona.

Jeśli zaś nie zdoła sforsować tych murów, zadowolony będzie tym, co pułkownik gotów był jej ofiarować... na tak długo, jak będzie mu to odpowiadało.

Był już jasny dzień, kiedy Julian się obudził. Przeczytał list Tamsyn z niedowierzaniem i rosnącym gniewem. Przez długie godziny z premedytacją uwodziła go na wszelkie sposoby, demonstrując mu swoje niewiarygodne wprost talenty. Ale mimo wszystko pozostała w duchu przeklętą rozbójniczką! Dlaczego nie mogła być szczerą i otwartą? Czy musiała, na litość boską, wymykać się w środku nocy, by załatwić tak proste sprawy, jak zabranie z Tregarthan swoich rzeczy i Josefy?!

Przeleciał mu po grzbiecie dreszcz niepokoju. Dlaczego miałyby wyprawiać takie komedie? Nawet ona nie opuściłaby go w ten sposób bez konkretnej przyczyny!

A przyczyna mogła być tylko jedna: Tamsyn nie chciała, by towarzyszył jej podczas tej podróży. Dała mu niezapomnianą noc, planując z rozmysłem, że wymknie się z jego łóżka i ucieknie, kiedy on będzie spał. Takie przewrotne zachowanie nie miałyby żadnego sensu, gdyby zamierzała wrócić po prostu do Tregarthan po Josefę i swój skarb.

Czyżby - mimo zapewnień - chciała po raz ostatni spróbować, dowiedzieć się czegoś o rodzinie matki? A może wpadła na jakiś trop, który postanowiła sprawdzić, zanim ostatecznie opuści Anglię?

Sądził, że Tamsyn raczej będzie chciała wyjaśnić do końca sprawę, która ją tu przywiodła, niż potulnie z niej zrezygnuje na jego prośbę. Owszem, wierzył, że zamierzała wrócić do Hiszpanii razem z nim. Przedtem jednak chciała coś załatwić.

Niech diabli porwą to uparte, przewrotne półdiabło!

On zaś nie mógł udać się za nią, póki nie załatwi spraw związanych z zaokrętowaniem się i wyjazdem z Portsmouth. Gdyby okazał więcej zaangażowania, gdyby gotów był szturmować nieugięcie wszystkie biurokracyjne przeszkody, mógłby prawdopodobnie zdobyć wszelkie niezbędne dokumenty w ciągu jednego dnia... Potem jednak nie będzie przecież rusał na noc - i w ten sposób straci dwadzieścia cztery godziny!

Dlaczego właściwie był taki niespokojny? Zmarszczył drzwi, spoglądając z irytacją na bałagan w swoim pokoju. Nawet jeśli Tamsyn snuła jakieś domysły na temat Penhallanów, najgorsze, co ją czeka, to rozmowa z Cedrikiem, który upokorzy ją niemiłosiernie. Cóż innego mogłoby się jej przytrafić w ciągu doby spędzonej w Tregarthan? Zresztą, miała przecież przy sobie Gabriela!

24

Chciałabym, żebyście nie wracali do Hiszpanii! - powtarzała niepokieszona Lucy, przycupnąwszy na ławeczce pod oknem w pokoju Tamsyn. - Tak się cieszyłam na twój pierwszy londyński sezon... i na to, że będę twoją przyzwoitką!

- To była dość nagła decyzja - tłumaczyła jej Tamsyn, zapinając męską koszulę i starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

- Ale co z rodziną twojej matki? Nie chcesz już odnaleźć krewnych?

- Twój brat przekonał mnie, że to nie był najlepszy pomysł. Gdybym ich nawet znalazła, nie byłiby pewnie zachwyceni takim nabytkiem... a może i ja nie chciałabym mieć z nimi do czynienia..

Tamsyn wetknęła końce koszuli pod pasek spódnicy do konnej jazdy i zapięła ją. W duchu modliła się, żeby Lucy przestała zadawać jej pytania na ten temat i znalazła sobie jakiś inny. Gabriel miał zamiar spędzić

popołudnie w Fowey. Nie wyjaśnił, w jakim celu się tam wybiera, ona zaś nie dopytywała się o to. Korzystając z nieobecności Gabriela, miała okazję wybrać się do Lanjerrick i spotkać ze swoim wujem... a tu Lucy zabiera jej cenny czas!

- Czy wracasz tam z Julianem dlatego, że jesteś jego kochanką? - spytała nieoczekiwanie Lucy.

Policzki jej pałały, a jasnoniebieskie oczy błyszczały gorączkowo, gdy wpatrywała się z natężeniem w Tamsyn.

- O!... - Tamsyn opadła na taboret przy toalecie i skrzywiła się żałośnie. - Jak to odkryłaś?

Wzięła do ręki but do konnej jazdy i wsunęła na prawą nogę.

- Słyszeliśmy was któreś nocy... - odparła Lucy, coraz mocniej zaczerwieniona. - I... widzieliśmy na korytarzu. Julian cię gonił.

Tamsyn uśmiechnęła się szeroko, przypominając sobie to wydarzenie.

- Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

- Ja... my... doszliśmy do wniosku, że to by było niedelikatne. Julian wyraźnie sobie nie życzył, żeby ktoś się o tym dowiedział... zachowywał się zwykle tak obojętnie wobec ciebie, no i... O Boże, to takie krępujące!

Lucy śmiała się, zasłaniając rękoma płonące policzki.

- Wcale nie! - odparła stanowczo Tamsyn, wkładając drugi but. - Ale nie sądzę, by twój brat życzył sobie, żebyś się o tym dowiedziała, więc bądź tak dobra i dopilnuj, by Gareth z czymś się nie wygadał, dobrze?

To wyjaśniało poufale mrugnięcia i aluzje Garetha, a także jego taksujące spojrzenia. Oceniał zapewne swoje szanse na zajęcie miejsca po Julianie, gdyby się zwolniło - pomyślała Tamsyn i skrzywiła się w duchu.

- Oczywiście, że Gareth nic nie powie! - oświadczyła Lucy z nutką urazy. - Nie jest taki niedyskretny!

- Ależ nie, z pewnością - potwierdziła Tamsyn bez przekonania.

Doskonale mogła sobie wyobrazić Garetha Fortescue, jak w przypływie męskiej szczerości zwraca się do szwagra i żartobliwym mruganiem zachęca go, by podzielił się z nim co smakowitszymi anegdotkami dotyczącymi tego romansu. Równie wyraźnie mogła przewidzieć reakcję Juliana. Jeśli Gareth uświadomi sobie, co mu grozi w takim wypadku, będzie trzymał język za zębami!

- No cóż... - odpowiedziała wreszcie na pierwsze pytanie Lucy. - To jeden z powodów, dla których wracam do Hiszpanii.

- Myślisz, że wyjdiesz za Juliana? - spytała Lucy, marszcząc czoło i gryząc dolną wargę.

Tamsyn obróciła się na taborecie, by, spoglądając w lustro, związać na szyi wykrochmaloną chustkę.

- Sądzisz, że byłabym dla niego dobrą żoną? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Lucy zastanawiała się dłuży czas i Tamsyn pożałowała, że spytała ją o to. Potem jednak Lucy odparła:

- Jeśli go kochasz, to oczywiście nią będziesz! Prawda?

- Tak. - Tamsyn odwróciła się plecami. - Ale wątpię, czy twój brat jest zdania, że nadaje się na lady St Simon.

- No cóż... jesteś rzeczywiście... niepodobna do innych dam - odparła Lucy po zastanowieniu. - Ale nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie.

Dokładniejsze wyjaśnienia zabrałyby im kilka godzin i pewnie wydałyby się Lucy całkiem nieprawdopodobne. Tamsyn rzuciła więc tylko lekkim tonem:

- Z kochanek bardzo rzadko wyrastają żony! -I wkładając obcisły żakiet, dodała: - Wybacz mi, Lucy, ale muszę załatwić pewną bardzo ważną sprawę. Spotkamy się przy obiedzie!

Podeszła do drzwi i otworzyła je wymownym gestem.

- Dokąd się wybierasz? - spytała Lucy, z wyraźnym żalem opuszczając pokój. - Może mogłabym ci towarzyszyć?

- Niestety, nie. Zamierzam pojechać na Cezarze, a w stajni nie ma konia odpowiedniego dla ciebie, który potrafiłby dotrzymać mu kroku.

Tamsyn uśmiechnęła się, by osłodzić tę przyganę. Lucy była bardzo marną amazonką. Tamsyn przypomniała sobie żywo chwilę, gdy pod Badajos Cezar się spłoszył i pułkownik chwycił za jej cugle. Wściekła się za to na niego, on zaś wyjaśnił, że przywykł do ratowania siostry z opresji, ilekroć wyjeżdżał razem z nią konno.

Lucy mina zrzędała, ale nie napraszała się dłużej.

- W takim razie - do zobaczenia.

- Tak, tak!

Pomachała jej ręką, gdy młoda kobieta zmierzała, niepokieszona, korytarzem do swego pokoju.

Tamsyn zamknęła drzwi z westchnieniem ulgi i zaczęła zbierać rzeczy, które postanowiła wziąć ze sobą.

Kopie dokumentów, które przekazała jej Cecile, schowała do kieszeni peleryny. Ich oryginały były ukryte w jej kasetce z biżuterią, na dnie szafy.

Medalion -jak zawsze - miała na szyi. Zatknęła pistolet za pasek spódnicy, dwa sztylety w pochwach przywiązała do łydek.

Nie przypuszczała, by spotkanie z Cedrikiem Penhallanem przekształciło się w zbrojne starcie. Jednak - na wszelki wypadek - wolała być przygotowana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Umysł miała jasny, serce spokojne; była pełna determinacji i żądna zemsty. Spadnie jak grom z jasnego nieba w sam środek uporządkowanego światka nikczemnego Cedrica Penhallana! I zażąda brylantów swojej matki jako zapłaty za milczenie. Oczywiście, można by to nazwać szantażem... ale gdy ma się do czynienia z niedoszłym mordercą - a Bóg raczy wiedzieć, jakie inne zbrodnie popełnił, aby zrealizować swoje ambicje -jest to zwykła, sprawiedliwa kara! Zresztą brylanty należały się jej w spadku po matce.

Natrętny głos wewnętrzny upominał, że, zdaniem Juliana, mimo wszystko byłby to szantaż... ale Julian został w Londynie i nigdy się o tym nie dowie!

Josefa wpadła do pokoju w chwili, gdy Tamsyn wkładała szykowny, trójgraniasty kapelusz. Hiszpanka promieniała radością od chwili, gdy wrócili do Kornwalii ze wspianą wieścią, że niebawem wyruszą z powrotem do domu. Kręciła się tanecznym krokiem po pokoju, podnosząc suknię Tamsyn z podłogi i łąjała swą wychowanekę za nieporządek, ale bez przekonania. Nieustająco się uśmiechała.

- Wybieram się na konną przejażdżkę, Josefo. I gdyby to kogoś obchodziło, wrócę najpóźniej koło piątej.

Tamsyn ucałowała ją w błyszczący, kragły policzek i pobiegła do stajni.

Pięć minut później była już w drodze do Lanjerrick. Któregoś popołudnia kilka tygodni temu pojechali w tamtą stronę z Gabrielem, by zorientować się, jak daleko sięgają ziemie Penhallanów; nie zapuścili się jednak aż do dworu. Dom z szarego kamienia stał na wzniesieniu nad zatoką St Austell Bay i był wyraźnie widoczny od strony drogi. Tamsyn od razu poczuła do niego niechęć. Wydawał się jej odpychający w porównaniu ze złocistym, promieniującym ciepłem Tregarthan.

Minęła kamienną bramę i wjechała na zachwaszczony podjazd. Dreszcze niepokoju i podniecenia przebiegały jej po grzbiecie, gdy zapuszczała się coraz głębiej na ziemie Penhallanów. To był przecież rodzinny dom Cecile, w nim dorastała. Czy wiele się tu zmieniło przez ostatnich dwadzieścia lat? Czy jej matka bardzo tęskniła za Lanjerrick? Tamsyn uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym. Cecile wydawała się zawsze taka szczęśliwa! Trudno było sobie wyobrazić, że czegoś jej brak.

Może jednak czasem myślała tęsknie o domu swego dzieciństwa, podobnie jak Tamsyn wspominała teraz górskie wioski i ośnieżone szczyty swojej ojczyzny?

Podjazd kończył się półkołem wysypanym żwirem, nad którym wznosił się dom porośnięty bluszczem. Kamiennie bloki tu i ówdzie popękały, okna zdawały się dziwnie martwe, jak oczy ślepeca. Tamsyn dziwiło, że człowiek tak bogaty i wpływowy jak Cedric Penhallan pozwala, by jego siedziba podupadła. Kiedy Cecile opowiadała o Lanjerrick, podkreślała jego wspaniałość, wystawne przyjęcia, kilkudniowe polowania, wieczne tłumy gości. Tak, ale wówczas nie brakowało w tym domu kobiet, strażniczek porządku. Teraz mieszkał tam jedynie Cedric i wstrętne bliźniaki. Być może żaden z nich nie zwracał uwagi na to, że rodowa siedziba jest zaniedbana.

Tamsyn podjechała śmiało do drzwi frontowych i zsiadła z konia. W tejże chwili drzwi otworzyły się i wyszedł z nich lokaj w liberii i staromodnej, pudrowanej peruce.

- Czego pani sobie życzy?

- Przybyłam z wizytą do lorda Penhallana - odparła beztrosko Tamsyn, przywiązując Cezara do kamiennego słupka u podnóża schodów prowadzących prosto do głównego wejścia.

Lokaj na chwilę oniemiał. Korzystając z tego, Tamsyn weszła po stopniach do drzwi frontowych.

- Może oznajmisz wicehrabiemu, że przybyłam?

Nie czekając na odpowiedź, wyminęła go i weszła do ogromnego hallu wykładanego płytkami z czarnego i białego marmuru. W głębi widniały schody. Światło przedostawało się przez rząd zwieńczonych łukiem okienek na jednej ze ścian. Gdy Tamsyn stała, rozglądając się dokoła - ciekawość wzięła w niej górę nad lękiem - dwa charty wyskoczyły, nie wiedzieć skąd, i przebiegły obok niej.

- Co ty, u licha, wyprawiasz, Walters? - dało się słyszeć jakiś chrapliwy głos. - Zamknij te cholerne drzwi, zanim psy się wymkną!

Drzwi za plecami Tamsyn zamknęły się z trzaskiem, a dwa charty skryły się znów w mroku.

- Kto tam znowu i czego chce, u Boga Ojca?! - spytał niecierpliwie ten człowiek.

Cedric Penhallan podszedł bliżej, usiłując coś dostrzec w mroku. Nagle zatrzymał się, ujrawszy wyraźnie swego gościa.

Tamsyn podniosła dumnie głowę i spójrzała wujowi prosto w twarz, tak samo jak na przyjęciu w Tregarthan. Dostrzegła groźną minę, pozbawione

blasku ciemne oczy, bujne szpakowate włosy, haczykowany nos i mięsiste wargi. Był potężnie zbudowany, z wyraźną skłonnością do tycia. Włosy zjeżyły się jej na głowie, gdy wyczuła otaczającą go aurę wrogości; po raz pierwszy zdjął ją naprawdę strach.

Cedric także wpatrywał się w nią. Minuty mijały, a jedynym dźwiękiem było drapanie psich pazurów o kamienne płytki.

- Kim pani jest?

Jego głos stał się nagle spokojny, oczy nabrały osobliwego blasku. Znał odpowiedź na to pytanie, ale chciał ją usłyszeć z ust dziewczyny

Tamsyn podeszła bliżej w przypływie radosnego podniecenia, które przemogło w niej strach. Wicehrabia wiedział, kogo ma przed sobą, ale widać nie wierzył własnym oczom.

- Dzień dobry, wuju!

- Dobry Boże, przecież to ta lalunia St Simona! - Zanim Cedric zdążył odpowiedzieć, od strony schodów dobiegł zapijaczony głos Charlesa Penhallana, który trzymał w ręku kieliszek i spoglądał mętym wzrokiem. - Spójrz, co my tu mamy, bracie! Ta mała dziwka przyszła po dokładkę!

Zaśmiał się głośno i zszedł niżej. Dopiero wówczas dostrzegł swego stryja.

- Najmocniej przepraszam! Ale co ta wywłoka tu robi?!

- Nie rób z siebie jeszcze większego durnia, niż jesteś! - rzucił zimno Cedric. Władczym skinieniem głowy przywołał Tamsyn. - Wejdzmy tutaj!

Już miała iść za nim, ale dostrzegła, że Dawid stanął obok swego brata na schodach. Całe szczęście, że nie zabrała ze sobą Gabriela! Bliźniaki spoglądały na nią lubieżnie, z pijacką natarczywością. Popatrzyła na ich.

- Ale z was dobrana parka, krewniaci: tchórze i pijusy! Dręczyliście ostatnio jakieś bezbronne dziewczuszki?

Powiedziawszy to, weszła za wujem do obszernej biblioteki o ścianach pokrytych boazerią.

- Skąd przybywasz?

Głos wicehrabiego dobiegał od strony kredensu; Cedric nalewał sobie koniaku, a ręce mu nieznacznie drżały.

Tamsyn nie odpowiedziała na jego pytanie. Tylko spytała:

- Jestem do niej bardzo podobna, prawda?

Raczej wyczuła instynktownie, niż usłyszała, że bliźniaki wślizgują się do pokoju tuż za nią.

Cedric wypił koniakjednym haustem.

- Tak- odparł. - Niezwykle podobna. Gdzie ona teraz jest?
- Nie żyje. Ale żyła znacznie dłużej, niż to zaplanowałeś. - Tamsyn bawiła się teraz znakomicie. Całkiem pozbyła się lęku. Spojrzała znów na swoich ciotecznych braci, którzy stali przy drzwiach z rozdziawionymi gębami, niczego nie pojmując. -Wystarczająco długo, by zadbać o to, żebyś zapłacił za wszystko, coś jej zrobił. - Na jej ustach pojawił się lodowaty uśmiezek. - Czy doprawdy musiałeś skazywać ją na śmierć, wuju?

- Twoja matka miała bardzo trudny charakter. - Cedric napełnił znów swój kieliszek. Wydawał się niemal rozbawiony. - Chciała mnie zniszczyć... okryć hańbą imię Penhallanów. Gdyby była po prostu niemądrą dzierlatką, zmusiłbym ją do posłuszeństwa. Ale Celia miała żelazną wolę... Trudno w to uwierzyć, była taka drobniutka...

- Co ta dziwka St Simona ma wspólnego z nami? - spytał Dawid; był wręcz żaloszny w swym pijackim zamroczeniu.

- Jesteś naprawdę jego dziwką? - spytał Cedric siostrzenicę z nutą szczerzego rozbawienia.

- Oczywiście, że nie! Jestem jedną z Penhallanów, a w tej rodzinie nigdy nie było dziwek, prawda?

Twarz Cedrica jeszcze bardziej poczerwieniała, jego oddech świszczał, ale głos był równie obojętny jak przedtem.

- A zatem, jaki związek ma z tym wszystkim St Simon?

- Żadnego - odparła. - Nie wie nic o tej sprawie.

- Ach tak... - Cedric pogłaskał się po brodzie. - Masz chyba jakieś do wody swej tożsamości?

- Oczywiście! Nie jestem głupia!

- Nie, nie jesteś głupia, podobnie jak twoja matka. - Roześmiał się nagle, szczerze ubawiony. - Pomyśleć tylko! Można by powiedzieć, że to Celia wróciła, żeby mnie straszyć. Zdumiewające doprawdy... ale brak mi jej.

- Z pewnością byłaby wzruszona, słysząc to - odparła sucho Tamsyn. Roześmiał się znowu.

- Masz ostry języczek, zupełnie jak ona! - Sięgnął po karafkę i znów napełnił sobie kieliszek. - Czegoż więc chcesz?

- No cóż... Miałabym ochotę na brylanty Penhallanów - odparła w zamyśleniu Tamsyn. - Należały do Cecile i zgodnie z prawem powinny przejść w moje ręce.

- O czym ona gada?! - dopytywał się Charles.

- Zamknij gębę, idioto! - Cedric obserwował siostrzenicę z nad brzegu kieliszka. - A więc w dalszym ciągu kazała się nazywać Cecile. Dobry Boże, ależ była uparta!

Najwyraźniej nie zamierzał sprzeciwiać się żądaniom Tamsyn. Była zaskoczona przyjacielskim charakterem tej pogawędki. Spodziewała się, że wuj będzie zionął nienawiścią!

- Nie zaprzeczasz, że brylanty powinny być moje?

Cedric pokręcił głową.

- Ależ skąd! Jak najbardziej powinny należeć do ciebie... jeśli udowodnisz, że jesteś córką Celii.

- Mam jej medalion. I podpisane przez nią dokumenty.

Wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że dokumentów ci nie brak! Z pewnością jest ich wystarczająco dużo, by doprowadzić mnie do ruiny... jeśli, oczywiście, historia twojej matki rozejdzie się po świecie.

- No właśnie! - Nadal brzmiało to jakoś dziwnie... Nie umiała jednak powiedzieć, co ją niepokoi. Wiedziała, że jej żądania są należycie udokumentowane, dlaczego więc czuła, że coś nie jest w porządku, gdy Cedric zamierzał uznać jej prawa? Był człowiekiem inteligentnym, nie zwykł marnować energii na obronę straconych pozycji. - Prawdę mówiąc - powiedziała - wcale nie potrzebuję tych brylantów. Mam wiele innych. Cecile wyszła naprawdę bogato za męża!

Cedric odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Doprawdy?

- Tak, choć wątpię, by ten związek spotkał się z twoją aprobatą.

- A zatem, nie potrzebujesz tych brylantów, a mimo to domagasz się ich?

- Jak sam powiedziałaś, wuju, należą mi się jak najbardziej. A zatem, albo oddasz mi je jako zadośćuczynienie krzywd doznanych przez moją matkę, albo wyślę tę zabawną historyjkę do „Gazette” i w całej Anglii będzie huczało!

- Nie możesz jej pozwolić na takie sztuczki, stryju! - zaoponował Charles, wysuwając się do przodu. Do jego zapijaczonego mózgu coś wreszcie dotarło. - To szantaż!

- Brawo, mój panie! - Cedric klasnął w ręce. - Cóż za przenikliwość! Napijesz się ze mną szampana, siostrzenico, dla przypiecztowania umowy?

Było to raczej żądanie niż propozycja. Tamsyn zmrużyła oczy.

- Nie sędzę, milordzie.

- Daj że spokój, jesteście przecież cywilizowanymi ludźmi! - strofował ją wicehrabia. - Twoja matka nie wahałaby się podać ręki pokonanemu przeciwnikowi. W każdej sytuacji zachowywała się z klasą!

Ma rację! - pomyślała Tamsyn i coś ją zakłuło w sercu. Cecile, wygrawszy sprawę, napiła się wina ze swym bratem. Potem wsunęłyby brylanty do kieszeni, uściśnęłyby mu rękę i uśmiechając się, wyszły.

Skłoniła głowę na znak zgody.

- W takim razie przepraszam na chwilę. Poszukam czegoś specjalnego dla uczczenia tej okazji. Twój cioteczni bracia postarają się zabawić cię jak najlepiej, jestem tego pewny!

- Przekonałam się już raz, jak potraficie zabawiać damy - zwróciła się Tamsyn zimno do swych kuzynów, gdy wuj wyszedł z pokoju.

Gabriel może rozprawić się z nimi później. Teraz sama postanowiła dać im nauczkę. Postawiła nogę na krześle i wydobyła sztylet z pochwy. Potem zrobiła to samo z drugą nogą. Z rozmysłem odwróciła się znów twarzą do bliźniaków. Trzymała jeden sztylet w prawej, drugi w lewej ręce - delikatnie, za sam koniec ostrza, kciukiem i palcem wskazującym. Dokładnie tak, jak nauczył ją tego ojciec.

Bliźniacy wytrzeszczyli oczy, gdy zobaczyli na jej twarzy ten sam wyraz, jaki ujrzał Cornichet, gdy przyszła po jego epolety. A potem oba sztylety pofrunęły ku nim i bracia zawyli z bólu i przerażenia, gdy jedno ostrze utkwilo w prawym bucie Dawida, a drugie Charlesa. Przecięły skórę butów tak łatwo, jakby to było masło, i uwieźły między palcami. Braciom na skutek szoku odebrało na chwilę mowę.

- Macie szczęście, że nie jestem mściwa - stwierdziła Tamsyn uprzejmym tonem. - Wątpię, żeby to były poważne obrażenia. Przekonacie się, jak ściągniecie buty.

Będą jeszcze mieli do czynienia z Gabrielem... Oszczędziła im jednak tej przykrej wiadomości.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Cedric, stając w drzwiach i ogarniając spojrzeniem tę scenę.

Jego bratankowie gulgotali jak indyki, usiłując wydobyć z siebie choć jedno słowo. Co chwila zerkali z niedowierzaniem to na buty przygniżdżone sztyletami do podłogi, to na zimno uśmiechniętą kobietę, która tak ich urządziła.

- Byłam im coś winna - wyjaśniła Tamsyn, gdy obaj bracia równocześnie pochylili się, by wyciągnąć sztylety.

Cedric uniósł brwi.

- A prawda! Zapomniałem, że już wcześniej zawarliście ze sobą znajomość.

- Tak, miałam tę przyjemność kilka tygodni temu - odparła Tamsyn. Podeszła błyskawicznie i wyrwała sztylety z niezdarnych rąk bliźniaków. Obejrzała ostrza. - Doprawdy, prawie nie ma krwi! El Baron byłby ze mnie dumny.

- Baron? - zainteresował się Cedric.

- Mój ojciec - wyjaśniła, wycierając ostrza w pelerynę, nim znów wsunęła je do pochew.

- Chętnie bym dowiedział się więcej na ten temat - mruknął Cedric.

- Obawiam się jednak, że nie ma na to czasu.

Odwrócony tyłem wyciągnął ostrożnie korek z butli szampana i musujący płyn poleił się z sykiem do czterech kieliszków.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, by napić się ze swymi ciotecznymi braćmi? - Odwrócił się do Tamsyn i podał jej kieliszek.

- Niewiele warta parka, ale - niestety - nie wybieramy sobie krewnych.

- Może i nie, ale nie mam najmniejszego zamiaru pić z tymi tchórzami i podlecami!

Tamsyn wzięła kieliszek, ale jej oczy, jak oblodzone fiołki, rzucały wujowi wyzwanie.

- W takim razie nie zaprosimy ich do kompanii - zgodził się natychmiast Cedric, pozostawiając na tacy dwa kieliszki. Swój uniósł do góry z uśmiechem rozbawienia.

- Za Celię!

- Za Cecile!

Tamsyn piła najpierw wino małymi łyżkami, gdyż tak zapewne zachowałaby się matka. Cedric wychylił jednak swój kieliszek duszkiem, poszła więc za jego przykładem.

- A zatem, wuju, jeśli doszliśmy do porozumienia, pozwolisz, że cię pożegnam.

Uśmiechnęła się i odstawiła kieliszek na stół. Nagle na jej twarzy odbiło się zdumienie. Jej usta nie były posłuszne wskazaniom umysłu... Na granicy jej pola widzenia obraz się zamazywał, jakaś szara mgła podpełzała ku niej... Twarz Cedrica tańczyła i rozmazywała się przed jej oczyma, to znów ogromniała... Jego usta otwierały się i zamykały... Mówił coś, ale niczego nie słyszała...

Kretynka! Zbyt pewna siebie mądrała! Cedric odwołał się do jedynej osoby, dzięki której mógł przełamać jej bariery ochronne: Cecile. A ona dała się na to nabrać, bo tak się jej spieszyło i taka była pewna własnego zwycięstwa!

Gabriel...

Ale już nawet nie była w stanie myśleć...

Cedric pochylił się nad skuloną postacią. Znalazł medalion, ukryty na piersi i otworzył go. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w oba portrety. Potem zamknął srebrne pudełeczko i ukrył je znów na dawnym miejscu. Wyjął dziewczynie pistolet zza pasa i sztylety z pochew. Zauważył przy tym:

- Oto młoda kobieta, która przybywa należycie przygotowana!

Wyprostował się i mruknął z pewnym żalem:

- Doprawdy przykro mi, moja droga... ale szantaż nie był najlepszym pomysłem. Ty i twoja matka zawsze zapędzałyście się za daleko. - Spojrzał na osłupiałych bratanków i skrzywił pogardliwie usta. - Była warta cztery razy więcej niż wy. A teraz pozbadźcie się jej!

- B.. .bardzo przepraszam, stryju... Co mamy z nią zrobić?

- Durnie! - warknął z gniewnym szyderstwem. - A jak się wam зда-je?! Pozbadźcie się jej! Usuńcie ją! Wypłyńcie z nią na morze i wyrzućcie ją za burtę! Upewnijcie się tylko, żeby nie uszła z życiem, bo jeszcze wygada się przed kimś!

Opadł na fotel i posepnym wzrokiem zmierzył Charlesa, który pochylił się nad nieruchomą dziewczyną.

- I uwińcie się z tym, zanim się ocknie! - dodał pośpiesznie, widząc, że ręce Charlesa błędzą po ciele Tamsyn. - Niech wam nie przyjdzie do głowy zabawiać się z nią! Jest dla was o wiele za sprytna. Jeśli się ocknie, z pewnością was przechytry.

Charles zaczerwienił się jak burak, ale podniósł bezwładne ciało.

- Mam ją zabrać na „Mary Jane”?

- Możemy popłynąć za Gribbon Head i tam ją wyrzucić za burtę - podsunął Dawid, któremu drgała nerwowo powieka od nadmiaru mocnych wrażeń. - Razem z sieciami na kraby!

- Będą miały smakowite danie! - zaśmiał się Charles. Jego oczy pełne były nienawiści, gdy spoglądał na pobladłą twarz dziewczyny. - Bez obawy, stryju! Postaramy się, żeby już nigdy tu nie wróciła.

- Zróbcie to jak należy - powiedział Cedric ze znużeniem. - Niczego więcej od was nie wymagam.

Powiedziała, dokąd się wybiera?

Gabriel wpatrywał się w Josefę i coraz większy gniew rozpałał się w jego oczach. Kobieta trzymała się twardo, choć wargi jej lekko drżały.

- Nie powiedziała. Mówiła tylko, że jedzie konno i wróci koło piątej.

Gabriel spojrzął na zegar na ścianie stajni. Było już po szóstej.

- A jak wyglądała? W jakim była humorze?

Josefa zmarszczyła czoło i zastanawiała się przez chwilę. Gabriel uderzał niecierpliwie stopą o kamienie.

- Wiesz, jaka jest zawsze przed wyprawą - powiedziała w końcu Josefa. - Oczy się jej świecą i myśli tylko o tym, co sobie zamierzyła...

- Wiem, wiem! - odparł Gabriel z pośępną miną. - Głupiec ze mnie! Powinienem się domyślić, że nie zrezygnuje z zemsty na Penhallanie! - Obrócił się na pięcie i ryknął głosem, od którego mogłyby się zatrzęść góry: - Osiodłaj znów mojego konia!

- Ale gdzie ona jest?! - biadała Josefa.

- Znowu szuka guza - powiedział cicho Gabriel. - I to w pojedynkę. A te brudne świny gotowe... Pospiesz no się! - warknął na stajennego, który biedził się z popręgiem. Niecierpliwie odsunął go na bok. - Ja to zrobię! - Jego wielkie ręce nadspodziewanie zręcznie poradziły sobie z rzemieniami. Potem wskoczył na siodło i opuścił galopem stajenny dziedziniec.

Koń, waląc kopytami, mknął po wąskich drogach ogrodzonych żywopłotami - czuł widocznie, że jeźdźcowi spieszą. Gabriel jechał pochylony w siodle; jego złość na Tamsyn, która tak go oszukała, łączyła się z obawą. Mała nie wróciła na czas, więc coś się jej musiało przytrafić. Co gorsza, obawiała się, by pułkownik nie odkrył jej tajemnic, spieszyła się więc i nie zachowała chłodnej rozwagi. A nawet jedno potknięcie mogło doprowadzić do zguby samotną kobietę walczącą z trzema Penhallanami.

Tuż za zakrętem spłoszony koń Gabriela odskoczył prosto w żywopłot, zetknąwszy się nos w nos z potężnym karosem, który pojawił się nie wiedzieć skąd.

- *Madre de Dios*, skądś się tu wziąłeś, pułkowniku?!

Julian nie odpowiedział. Wyraz twarzy Gabriela sprawił, że znowu przeszył go dreszcz niepokoju.

- Dokąd, u diaska, gnasz z takim pośpiechem, Gabrielu? I gdzie jest Tamsyn?

Gabriel nie miał czasu zastanawiać się, czy będzie to zgodne z życzeniami Tamsyn, jeśli wyjawি jej sekrety temu człowiekowi. Potrzebna mu była druga para rąk, a ręce pułkownika odpowiadały mu jak najbardziej!

- Lanjerrick to odpowiedź na oba pytania, pułkowniku. Lepiej jedźmy razem; nie wiem, co tam zastaniemy.

- Na litość boską! Ja też się tego obawiałem... - Skóra Juliana była wilgotna od potu, wzbierały w nim złe przecucia. - Widać odkryła, że Penhallanowie to jej krewni!

- Zawsze o tym wiedziała - odparł lakonicznie Gabriel, puszczając znów konia galopem.

Lodowato zimna, twarda bryła złych przecuć narastała w Julianie, gdy skręcił w wąską drogę i zrównał się z Gabrielem.

- Jak to? - Jechali teraz łeb w łeb. - Od kiedy o tym wiedziała?

- O tym, że wywodzi się z Penhallanów? Od zawsze.

Julian przełknął tę informację w milczeniu. Dlaczego wcale go to nie zdziwiło?...

- Wiedziała o tym przed wyjazdem z Hiszpanii?

Chciał się jeszcze upewnić, choć prawdziwy obraz kształtował się przed nim z zatrważającą wyrazistością.

- Zaprzy sięgła im zemstę za to, co zrobili jej matce.

- Jaką zemstę? - spytał głucho.

Ostatnie kawałki układanki znalazły się na właściwym miejscu: oszustwo i intrygi Tamsyn wyszły całkowicie na jaw. Podobnie jak ogrom jego łatwowierności. Tak bardzo pragnął wierzyć w jej uczciwość i niewinność, z jaką zabiegała o jego obronę i schronienie pod jego dachem... Nie było w niej jednak ani śliska szczerości, tylko wyrachowana kokieteria i stek podłych kłamstw. Kłamała od pierwszej chwili, gdy się spotkali!

- Chciała zniszczyć Cedrica Penhallana za krzywdę swojej matki... zdemaskować go publicznie. Ale potem zrozumiała, że nie może tego zrobić tak, żebyś się o tym nie dowiedział, pułkowniku... więc chyba się zdecydowała odebrać temu draniowi rodowe brylanty. Znacznie prostsze, a poza tym i tak według prawa należały do jej matki, a teraz do niej. - Gabriel pokręcił głową. - Brylantów małej nie brakuje, wiadomo, ale chodzi jej przede wszystkim o sprawiedliwość. Zawsze jej na tym zależało!

- I z tego umiłowania sprawiedliwości postanowiła go okraść?
- Wcale nie zamierzała ich kraść, człowieku! Tylko skłonić Penhallana, żeby jej te kamyki zwrócił. Zna jakieś jego sekrety.

- Doprawdy? A więc to szantaż - odparł St Simon tym samym beznamiętnym tonem.

- W pewnym sensie. Ale mała uważa, że zrobi tylko to, co El Baron sam by zrobił, gdyby jeszcze żył.

- Znakomity przykład ze strony rodziców - stwierdził Julian z gorzką ironią. - Powiadasz więc, że wybrała się do Lanjerrick, żeby szantażem zmusić wicehrabiego do oddania jej rodzinnych klejnotów? Czy ona sobie wyobraża, że Cedric bez oporu spełni jej żądanie?

Zaśmiał się pogardliwie.

Gabriel zacisnął wargi.

- Ten człowiek jest zdolny do morderstwa, a ona o tym wie. Będzie na to przygotowana. Tylko... nie powinna jechać tam sama! - Oddech mu się rwał. - Jeśli ci dwaj podlece też tam są, będzie ich trzech przeciwko niej jednej! Już ją kiedyś mieli w rękach... Dobry Boże!... Przecież ty, człowieku, dobrze wiesz, do czego oni są zdolni!... Wyobrażasz sobie, co jej mogą zrobić?!

Tamsyn знаła więc i tę historię! Czy jest coś, czego by nie wyniuchała?! Czy choćby przez jedną chwilę od ich pierwszego spotkania nie snuła intryg, nie wykorzystywała go? Nawet gdy leżała w jego objęciach, przez cały czas snuła swoje zdradzieckie plany! A on tak wierzył w szczerość jej uczuć... i nie mógł się uporać z własnymi...

Czy zamierzała go porzucić, kiedy tylko powiedzie się jej ten szantaż? Ależ nie, oczywiście, że nie! Był jej potrzebny, zaślepiony głupek, by załatwić dla nich wszystkich powrót do Hiszpanii. Dzięki niemu mogła podróżować bezpiecznie i wygodnie jako gość armii brytyjskiej. Ale kiedy znajdzie się znów bezpiecznie w domu... No cóż, wówczas go opuści. Już jej nie będzie potrzebny. Czy zamierzała wymknąć się nocą, jak oszustka i złodziejka, którą przecież była? Bez słowa wyjaśnienia?

Nagle dreszcz trwogi przebił się przez jego gniew. Pomyślał o bliźniakach, o tym, co mogli jej zrobić. Gabriel wspominał, że już raz wpadła im w ręce...

- Już miała z nimi do czynienia?

Gabriel opowiedział mu i tę historię.

- Ale to ja przysiągłem odpłacić im za to! Są moi, nie zapomnij o tym, pułkowniku!

- Ja też mam swoje rachunki do wyrównania - odparł szorstko Julian.
- Najpierw z Penhallanami... a potem z Tamsyn.

Gabriel spojrział na niego z ukosa w bladym świetle młodziutkiego księżycy. Twarz pułkownika była ściągnięta i pełna złości, ale odbijał się na niej także ból. Ból człowieka, który w końcu musi się poddać w obliczu niezaprzeczalnych faktów. Napełniło to Gabriela jak najgorszymi przeczuciami. Nie wiedział jednak, co powiedzieć, by naprawić zło. Tamsyn mówiła, że kocha tego człowieka, i jedynie ona mogła wszystko naprawić. Były tylko wysła cało z tarapatów, w które się wplątała!

- Powiedziałem sobie, że rozprawię się z Penhallanami ~ oświadczył Gabriel, pochylając się nad końskim karkiem i bodąc wierzchowca ostrogami, żeby biegł jeszcze szybciej, jako że zbliżali się już Lanjerrick. - Ale chętnie podzielę się tą przyjemnością z tobą, pułkowniku!

- Jedźmy najkrótszą drogą przez nadmorskie skały. - Julian zawrócił konia i przedostał się przez dziurę w żywopłocie. - Nie zamierzam tym razem wkraczać frontowymi drzwiami!

Gabriel ruszył jego śladem i popędzili skalistą ścieżką w stronę szarego domu, który wyłonił się przed nimi z mroku, dziwnie pusty i ciemny.

- Chwileczkę! - Julian ściągnął wodze. - Jakieś światło nad zatoczką. Któż mógłby wypłynąć o tej porze? Dla poławiaczy krabów za ciemno.

Obaj zatrzymali się na brzegu urwiska i spojrzeli w dół. Światło latarni chwiało się i migotało na piasku pod nimi. Fale uderzały o skalny cypel, zanim wypłynęły spienione na brzeg.

- Natrafiliśmy na żyłę złota, pułkowniku! - mruknął Gabriel, zeskaakując z konia. - Zdaje się, że te szumowiny tu są!

- Chyba masz rację.

Julian także zsiadł z konia i obaj przywiązali swoje wierzchowce do głogu, powyginanego wichrem od morza. Pułkownik poczuł, że ogarnia go spokój i zimna determinacja. Chciał na Tamsyn wyładować swą gorycz i ból, dać odczuć pogardę tej oszustce, tej szantażystce... ale nie tu, na brzegu morza! Możliwe zresztą, że zabrała już swoją zdobycz i była w drodze powrotnej do Tregarthan z brylantami schowanymi pod Koszulą...

Coś mu jednak mówiło, że się myli.

Dał znak Gabrielowi i ostrożnie zsunąwszy się z wierzchołka skały, znalazł krętą ścieżkę, która wiodła w dół, nad zatokę, przez kamienne usypiska i zarośla. Osłaniał to przejście skalny nawis sięgający aż do ziemi. Gdy do niego dotarli, zsunęli się bezszelestnie na piasek i ukryli za skałą, by przyrzeć się scenie, która rozgrywała się przed nimi.

Bliźniacy siedzieli na piasku. Z cygara, które palił Dawid, błękitna smużka wonnego dymu unosiła się ku górze. Na ziemi między nimi stała butelka koniaku. W pobliżu znajdowała się wyciągnięta na piasek łódź wiosłowa. Bracia rozmawiali i śmiali się po cichu. Julian poczuł, że skóra na nim cierpnie. Widział ich już w takim samym nastroju - rozluźnionych, zaspokojonych... Odpoczywających, zanim wrócą znów do skulonej, zmasakrowanej dziewczynki, która leżała na trawie przednimi...

Wyteżał wzrok, myśląc z przerażeniem, że zaraz błysną mu na piasku srebrzyste włosy, że ujrzy obnażoną, drobną figurkę i strzępy jej ubrania, porzucone w miejscu, gdzie zdarli je z niej.

Nie mógł jednak nic dostrzec ani w migotliwym świetle latarni, ani w mdłym blasku księżyca.

Gabriel wyciągnął nóż zza pasa, a jego oczy błysnęły, gdy przekazywał bezgłośny sygnał. Julian skinął głową; jego ręka zacisnęła się na pistolecie.

Wysunęli się - dwa groźne cienie - ze swej kryjówki wśród skał i zbliżyli się do dwóch braci.

Tamsyn leżała na dnie łodzi, z nosem przyciśniętym do okrężnicy i walczyła z nudnościami. Narkotyk, podany jej przez Cedrica, powoli przestawał działać, ale nadal kręciło się jej w głowie i mdliło ją tak, że ledwo się mogła powstrzymać. Walczyła jednak z odruchem wymiotnym z posępną determinacją, nie mogąc znieść myśli, że będzie tu leżeć we własnych wymiocinach, unieruchomiona i bezradna. Ręce miała związane na plecach, a sznur sięgał aż do spętanych kostek u nóg. Gdy ją nim krępowali, była jeszcze nieprzytomna, potem jednak ocknęła się, kiedy zaczęli ją obmacywać, rozdarli jej koszulę i podkasali spódnicę...

Zacisnęła mocno powieki i zmagą się z kolejnym atakiem mdłości. Na razie bliźniacy nie posunęli się dalej. Nie zdradziła, że jest już przytomna, postanowili więc zaczekać do chwili, kiedy się ocknie, i dopiero wtedy zabawić się na dobre. Charles pijackim głosem oznajmił z odrażającym śmiechem, że nekrofilia to żadna frajda. Dawid mruknął coś o niezadowoleniu Szefa, ale potem roześmiał się także i brutalnie przesunął ręką pod koszulą Tamsyn. Później zostawili ją w spokoju i słyszała tylko ich głosy i śmiech. Kilka razy podchodzili, by spojrzeć na nią, ona jednak trwała bez ruchu, z twarzą przyciśniętą do szorstkich desek. Za to jej umysł powoli się rozjaśniał. Próbowwała obmyślić, jakby wydostać się z tej opresji.

Sytuacja wydawała się bez wyjścia, podobnie jak wtedy z Cornichetem. Czy gwałt jest z dwójga złego lepszy niż obdzieranie żywca ze skóry? Wolała się nad tym nie zastanawiać. I teraz, i wówczas ostatecznym zakończeniem sprawy miała być jej śmierć. Gdyby tylko tak jej nie mdliło... A może, jeśli zwymiotuje na tych podleców, uznają, że jest zbyt odrażająca i poniechają myśli o gwałcie?

To jest już jakaś myśl! Będą musieli wyjąć ją z łodzi i ułożyć na piasku, gdyż w wąskiej łódce nie mieliby swobody ruchów... Może nawet rozluźniającej więzy? A potem, gdyby dostała gwałtownych torsji, pewnie zbije ich to z tropu... a ona uzyska jakieś pole manewru, może zdoła coś wymyślić...

Był to beznadziejny plan, ale innego nie miała. Leżała nieruchomo, nadsłuchując: czekała na jakąś zmianę w ich głosie, na szuranie stóp po piasku, gdy się będą zbliżali...

Usłyszała jednak tylko coś jakby ciche westchnienie, potem tępe uderzenie... i wreszcie kroki. Tamsyn z trudem przewróciła się na wznak. Blask księżyca oświetlił jej zbielełą twarz, krople potu na czole i odgniecenia od desek, które wpiły się jej w policzki.

Ujrzała nad sobą Juliana... Skąd się tu wziął?! Stał bez ruchu, a jego niebieskie oczy były twarde, przenikliwe i pytające. Całym swym obolałym ciałem wyczuwała jego gniew i urazę. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy leżała tak bez ruchu, wpatrzona w niego. Teraz wiedział już wszystko. Ta świadomość płonęła w jego oczach i paliła ją pogardą.

Potem Gabriel stanął obok niego i poczuła jego szczerą troskę, pełną miłości.

- Och, dziewczuszko, jak mogłaś mi to zrobić?-powiedział, pochylając się nad nią.

Nieoczekiwanie Julian odsunął go na bok.

- Zostaw, ja się nią zajmę!

Ten szorstki rozkaz był wydany ledwie dosłyszalnym głosem, ale Gabriel cofnął się o krok.

Julian pochylił się nad nią, wsunął pod nią ręce i podniósł ją do góry. Ten ruch i zmiana pozycji okazały się katastrofalne. Tamsyn zjękem odwróciła głowę od Juliana i - ku własnemu upokorzeniu - zwymiotowała na piasek, opryskując mu buty.

- Przepraszam - szepnęła. - Czułam, że to mi grozi przy najbliższym ruchu...

- Nie przejmuj się tym - powiedział i łagodny ton jego głosu zaskoczył ich oboje.

Położył ją na piasku, ona zaś przetoczyła się na bok i znów wymiotowała bezradnie, podczas gdy on rozcinał krępującą ją sznury. Gdy torse ustały, otarł jej usta swoją chusteczką i wziął należącą do bliźniaków butelkę koniaku z rąk Gabriela, który kręcił się niespokojnie koło nich.

- Wypij choć łyżeczek!

Łyknęła więc koniaku, który sparzył jej gardło i przeniknął do buntującego się żołądka. O dziwo, mdłości zaczęły ustępować. Tamsyn otarła ręką spocone czoło i spojrzała bezradnie na Juliana. Twarz miał jak z granitu, ale w oczach dostrzegła zawieruchę uczuć.

Odwróciła się, by spojrzeć na Charlesa i Dawida, leżących bez ruchu na piasku.

- Nie żyją?

- Nie, nie! Tylko sobie odpoczywają, bo oberwali po głowie. Zrobili ci krzywdę?

Zadał to pytanie niemal obojętnie, ale oczy miał pełne wściekłości.

Pokręciła głową.

- Nic wielkiego. Czekali, aż wrócę do przytomności. Cedric dodał czegoś do szampana... nie wiem, co to było. Nie mam pojęcia, jak długo leżałam bez przytomności. Ale kiedy rozmawialiśmy w bibliotece, było jeszcze widno.

- Jest już prawie ósma.. - Odwrócił się od niej, jakby stwierdził, że gdy wróciła do przytomności, nie warto się już nią zajmować. - Jak myślisz, co z nimi zrobić, Gabrielu? - Tracił stopą nieruchomego Charlesa. - Chyba niebawem się ockną.

- Może by tak rozebrać ich do naga, wsadzić do łodzi i puścić na pełne morze? - odparł od razu Gabriel. - Pewnie jutro ktoś ich wyłowi... Szkoda wielka, ale cóż to będzie za przedstawienie!

- Musiałbyś sam z nimi wypłynąć - zwróciła mu uwagę Tamsyn. - I jak potem wrócisz do brzegu?

- Wpław - odparł Gabriel z szerokim uśmiechem. - Wypłynę z nimi daleko od lądu. A odpływ do rana uniesie ich jeszcze spory kawałek.

- Musiałbyś płynąć pod prąd, a jest tu bardzo silny - ostrzegł go Julian.

- Ja też nie ułomek - odparł Gabriel, uśmiechając się szeroko. - Możesz mi ich rozebrać, pułkowniku?

- Z przyjemnością.

Tamsyn przyglądała się, jak bliźniacy po kolei lądowali na piasku całym nadz. Obaj poruszyli się i pojękiwali, gdy Gabriel ściągał im buty.

- Dziwne! - stary Szkot zmarszczył brwi. - Obaj skaleczyli sobie nogi dokładnie w tym samym miejscu.

- Mnie to zawdzięczają - pochwaliła się Tamsyn.

Oczy Juliana mimo woli pomknęły ku siedzącej na piasku dziewczynie. Usiłował pokonać upartą i irytującą amnezję, która ogarnęła go w chwili, gdy ujrzał Tamsyn leżącą na dnie łodzi. Popatrzyła na niego z niemym błaganie, w nim zaś serce podskoczyło z radości, że ukochana żyje. Zapomniał o swej urazie i o gniewie, odczuwał tylko ogromną ulgę i pragnął pochwycić Tamsyn w ramiona.

Teraz obojętnie odwrócił się od niej, by pomóc Gabrielowi wrzucić nieruchome ciała bliźniaków do łodzi.

Tamsyn zadrżała, choć noc była ciepła. Dostrzegła wyraz oczu Juliana. Mogła czytać w jego myślach jak w otwartej księdze.

Gabriel rozebrał się do długich wełnianych gaci i pomógł pułkownikowi zepchnąć łódź na przybrzeżne fale, po czym sam wskoczył do niej i umocował wiosła w dulkach. Dawid poruszył się i stęknął, powieki mu zatrzepotały.

- Śpij dalej, chłopcze!

Gabriel stuknął go lekko obcasem. Przynajmniej tak to wyglądało, ale Dawid natychmiast znieruchomiał.

- Nie zamierzasz ich zabić, prawda? - spytał Julian.

Gabriel kręcił głową i odparł pogodnym tonem:

- Dzień pod palącym słońcem na otwartym morzu wystarczy w zupełności, pułkownik. Zostawię im nawet jedno wiosło, jeśli chcesz.

Julian spojrzął na nagie, blade ciała i pomyślał, jak będą przypiekać się koło południa na słońcu, czekając, aż się pojawi jakaś rybacka łódź. Przyjemna perspektywa!

- Zostaw im jedno - powiedział.

Gabriel skinął głową.

- A ty, pułkownik, odprowadź małą do domu.

- Nie odmówię jej schronienia pod moim dachem na jeszcze jedną noc - oświadczył stanowczo Julian. - Ale potem, ponieważ wasze sprawy zostały już załatwione, chyba nie będziecie musieli dłużej korzystać z mojej gościnności.

Gabriel zmarszczył brwi, po czym odezwał się obojętnym tonem:

- Zostawcie mojego konia tam, gdzie jest. Zabiorę i jego, i swoje rzeczy, kiedy tu wrócę.

Julian cofnął się na brzeg i wziąwszy się pod boki, przyglądał się, jak Gabriel wiosłuje energicznie w stronę otwartego morza. Potem odwrócił się do Tamsyn. Siedziała na kamieniu z rękoma splecionymi na podołku, z głową pochyloną, jakby szukała czegoś na piasku.

Podniosła na niego oczy. Były wielkie i pełne napięcia w bladej twarzy.

- A więc teraz wiesz już wszystko.

Julian uniósł brwi.

- Niewiarygodne! - wycodził. - Żadnych tajemnic więcej? Żadne intrygi nie kielkują już w twoim przewrotnym umyśle? Wybacz, Violette, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć!

- O, jest jeszcze jedna tajemnica - odparła głucho. - Już tylko jedna, więc możesz i ją poznać. Kocham cię. Kocham tak bardzo, że to aż boli. I nigdy nie pokocham nikogo tak jak ciebie.

Ręce opadły jej bezwładnie.

- Teraz wiesz już wszystko - powiedziała. - Oszukiwałam cię, posłużyłam się tobą. Okłamywałam cię, dla własnych celów zmusiłam cię do opuszczenia Hiszpanii. I jestem nieślubną córką Cecile Penhallan i herszta rozbójników. Ale kocham cię całym sercem i całą duszą. I oddałabym ci ostatnią kroplę krwi, gdybyś tego potrzebował.

Wstała z kamienia.

- Ale oczywiście nigdy nie będziesz tego potrzebował, więc odchodzę. I nie obawiaj się, że nasze drogi kiedykolwiek znów się skrzyżują.

Odwróciła się od niego i ruszyła w drogę powrotną, brnąc w piasku.

- Zapomniałaś wspomnieć w tym katalogu występków, że zwymiotowałaś na moje buty - zauważył Julian.

Tamsyn zatrzymała się i powoli odwróciła się do niego.

- Pewnie masz do tego prawo - powiedziała. - Możesz naigrawać się ze mnie. Dlaczego miałbyś wierzyć w moją miłość? Cóż ona zresztą warta?... Wiem, że nie ma dla mnie usprawiedliwienia i że nie mogę w żaden sposób naprawić zła, które ci wyrządziłam.

- Dobry Boże! - zakpił. - Cóż za niezwykła pokora! Może to skutki leku, który ci zaaplikował Penhallan? Mam nadzieję, że nie będą trwałe!

Tego już było za wiele! Cała skrucha i pokora Tamsyn rozwiały się bez śladu. O nie! Nie zniknie z jego życia jako skruszona pokutnica god-

na politowania! Jaśnie pan pułkownik zachowa o niej całkiem inne wspomnienie!

- Ach ty, podły bydlaku! Ty nienazarty kundlu!

Chwyciła garść piachu i cisnęła w niego. Gdy się uchylił, chwyciła pustą butelkę po koniaku. Przeleciała jak błyskawica i ugodziła go w ramię, zanim potoczyła się po piasku.

- *Diablillo!* Herod-baba! Sekutnica! - drażnił się z nią Julian, uskakując znowu, gdy cisnęła weń butem Gabriela.

- *Espadachin!* Brutal! Samolubna świnią! - odwzajemniła się Tamsyn, szukając innych pocisków. - Nie potrafisz nawet wysłuchać grzecznie przeprosin!

Julian rzucił się ku niej i zbił ją z nóg. Upadła na piasek. Czuł się jakos dziwnie... Przeżył właśnie objawienie! Miał wrażenie, że urodził się na nowo. Jego uraza i gniew rozwiały się bez śladu. Nie miało już znaczenia, jak się to wszystko zaczęło. Liczyło się tylko to, co jest teraz: Tamsyn go kochała! Wierzył każdemu jej słowu, bo i on czuł dokładnie to samo. Zmagał się z tym od tygodni... i teraz poddał się ostatecznie. Tak, kpiła sobie z prawa, nie miała zasad moralnych... Tak, była nieślubnym mieszkańcem, najgorszym materiałem na żonę St Simona - ale guzik go to obchodziło!

Wziął jej nogi w kleszcze, unieruchomił jej ramiona ponad głową, przytłoczył ją swoim ciężarem.

- Kiedy się przekonałaś, że mnie kochasz?

- Wiele tygodni temu - odparła, leżąc spokojnie pod nim i z blasku jego oczu czerpiąc niespodziewaną nadzieję. - Wiedziałam, że uważasz, iż nie jestem warta twojej miłości. Ale liczyłam na to, że w Hiszpanii nauczysz się wreszcie czytać we własnym sercu... Tylko musiałam się jeszcze porachować z Cedrikiem... ze względu na moich rodziców... Zrezygnowałam ze zdemaskowania go publicznie, bo wtedy dowiedziałabyś się o wszystkim i może byłoby ci przykro...

- Byłoby mi przykro?! Cóż za eufemizm! Znajdziesz może równie delikatne określenie dla twego szantażu?

- Nie chodziło o szantaż, tylko o wynagrodzenie krzywdy!

- Nieźle. Postaraj się jeszcze lepiej!

- Te brylanty należały do mojej matki! - wyszeptwała i wreszcie opowiedziała mu całą historię. - To byłaby zwykła sprawiedliwość!

- Zwykła sprawiedliwość... - rozważał Julian, nadal przytłaczając ją całym swym ciężarem. - Przypuszczam, że z tym zdołam się pogodzić.

Kobieta z takim poczuciem sprawiedliwości po prostu nie może być szan-
tażystką!

- Jesteś bardzo ciężki - odezwała się Tamsyn. - Nie chciałabym znów
dostać torsji...

Julian wymamrotał coś i pospiesznie stoczył się na piasek.

- Muszę wrócić do Lanjerrick! - Tamsyn usiadła. - Moje poczucie
sprawiedliwości nie zostało zaspokojone... a poza tym został tam Cezar!

Julian wstał i pomógł jej się podnieść.

- No to złożymy wizytę twojemu wujowi.

- Nie musisz iść tam ze mną!

- Właśnie, że muszę. Ja też bardzo sobie cenię sprawiedliwość.

- Nie przeszkadza ci, że mam w sobie krew Penhallanów? - spytała
z wahaniem, kiedy dotarli do ścieżki wśród skał.

- Chyba nie - odparł z cierpkim uśmiechem. - Twoje pokrewień-
stwo z tym utytułowanym mordercą to twój jedyny atut w wielkim
świecie!

Cedric siedział w bibliotece, z kieliszkiem koniaku w ręce, i oczekiwał
na powrót bratanków, kiedy ktoś zaczął energicznie dobijać się do drzwi
frontowych. Wicehrabia siadł prosto w fotelu, wsłuchując się w kroki lo-
kaja i zgrzytanie rygli.

Nagle drzwi biblioteki otwały się na oścież. Do pokoju wkroczył Ju-
lian St Simon, a za nim córka Celii.

- Ci idioci znów wszystko spartaczyli! - mruknął ze znużeniem Pen-
hallan. - Mogłem się tego spodziewać. - Wskazał gościom stojące na kre-
densie karafki. - Proszę się poczęstować!

- Wolę nie ryzykować picia w tym domu - odparła zgrzyliwie Tam-
syn.

- O, jeśli chodzi o koniak lub porto, nie ma najmniejszej obawy - wy-
jaśnił wuj, wpatrując się w nich przymrużonymi oczami. - Zabiliście ich?

- Nie.

Julian nalał sobie koniaku.

Tamsyn poczęstowała się jabłkiem z miski z owocami.

- Nie wszyscy Penhallanowie mają mordercze instynkty, wuju. -
Z chrzęstem ugryzła jabłko. - Gdzie mój koń?

- To wspaniałe zwierzę znajduje się w mojej stajni - odparł. - Moje
gratulacje, jest niezrównany!

- To prezent od mojego ojca. - odparła, jedząc jabłko. - Mówiłam ci,
że Cecile znalazła sobie bogatego męża!

- Owszem, mówiłaś. - Odwrócił głowę i jego spojrzenie spoczęło na pułkowniku. - Czym mogę ci służyć, St Simon?

- Wszystko we właściwym czasie - odparł spokojnie Julian, opierając się o kredens i krzyżując swe długie nogi.

Skosztował koniaku z pewną nieufnością.

- Możesz sobie zatrzymać brylanty - oświadczyła Tamsyn. - Zrobię to, czego życzyłyby sobie mój ojciec: opowiem całemu światu o wszystkich twych niegodziwościach. Nie chciałam demaskować cię publicznie, bo pułkownik nie znał jeszcze całej historii, ale teraz już ją zna... - Urwała, spostrzegłszy uniesione brwi Juliana. - Zgadzasz się, że powinnam to zrobić, prawda?

- Kimże ja jestem, by kwestionować mądrość El Barona i jego życzenia?

- Jeśli przez to naraziłbyś się na skandal, nie zrobię tego - powiedziała z namysłem. - Zadowolę się brylantami. Ale to byłby szantaż, a ty tego nie aprobujesz...

- Doprawdy szantaż? - spytał i jego brwi niemal zniknęły pod włosami.

- No... wynagrodzenie krzywdy. Zapomniałam, że tak to określiliśmy.

- Wynikające z doskonałego poczucia sprawiedliwości, jeśli dobrze pamiętam.

- Tak, rzeczywiście.

- Chcesz więc uczynić to, czym twoja matka groziła mi dwadzieścia lat temu? - Cedric podsunął swój pusty kieliszek Julianowi, ten zaś podał mu karafkę. Wicehrabia podziękował skinieniem głowy. - Czy nie tak?

- Owszem.

Cedric skinął znowu głową i wypił łyk koniaku.

- A zatem, jeśli to uzgodniliśmy, może wyniesiecie się z mojego domu?

- Z przyjemnością. - Julian odstawił kieliszek i podszedł do drzwi. - Jeszcze tylko jedno... czysta formalność, ale należy przestrzegać pewnych reguł, nieprawdaż? - powiedział Julian z ironicznym uśmiechem. - Ponieważ jesteś chyba najstarszym krewnym Tamsyn, powinienem prosić cię o pozwolenie ubiegania się o rękę twojej siostrzenicy.

- Byłem tylko nie musiał prowadzić jej do ołtarza - odparł Cedric obojętnie - to proszę bardzo. I idźcie wreszcie oboje do diabła!

- Serdeczne dzięki! - Julian skłonił się raz jeszcze. - Chodźmy, jasnie!

Wyciągnął ją czym prędzej z biblioteki.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? - spytała Tamsyn głośnym szeptem, gdy przechodzili przez hall.

- Wszystko na to wskazuje - odparł uprzejmie. - Choć pewnie to tylko przesady mojej sfery, wolałbym zrobić z ciebie uczciwą kobietę... aczkolwiek nie powinienem chyba mieć zbyt wielkich nadziei pod tym względem...

- Parszywy kundel!

- Bandytka!

Epilog

Madryt, Boże Narodzenie, 1812

Prószył lekki śnieżek, delikatny puch osiadał na drodze, która wijąc się po równinie, wiodła do stolicy. Wiatr przybrał na sile; jego podmuch uniósł warstwę śniegu, która posuwała się jak ruchoma zaspą ku bramie.

Kapral stojący przed wartownią zadygotał i podniósł kołnierz. Zajrzał do niechlujnego, ciepłego wnętrza.

- Ktoś nadjeżdża!

Porucznik odwrócił się od kosza z płonącym węglem drzewnym, przy którym grzał sobie ręce, i wyszedł na zewnątrz. Rzeczywiście, zbliżała się niewielka grupka konnych - białe, podobne do duchów postacie wśród wirującego białego puchu.

- Hiszpańskie siodła - zauważył porucznik, zabijając rękoma dla rozgrzewki. - Ani chybi, żona naszego brygadiera. W piekle bym poznał tego konia!

Cztery wierzchowce wynurzyły się zza zasłony śnieżnej i zatrzymały przed wartownią. Dwaj jeźdźcy niczym się nie wyróżniali, ale trzeci był wielki jak dąb i dosiadał potężnego, grubokościstego ogiera. Obok niego jechała - także po męsku - drobna postać na wspaniałym, białym jak mleko arabisie.

- Dobry wieczór, poruczniku!

Dosiadający araba mały jeździec odezwał się po angielsku z leciutkim cudzoziemskim akcentem. Głos był niewątpliwie kobiecy i kapral zrobił wielkie oczy. Porucznik jednakże nie okazywał zdziwienia.

- Dobry wieczór, madame! Zdażyła pani w samą porę na gwiazdkowy bal w kwaterze głównej. Rozpoczął się przed godziną.

- Trafiałam idealnie! - Tamsyn uśmiechnęła się olśniewająco. - Mam nadzieję, poruczniku, że nie spędzi pan całego wieczoru na posterunku!

- Cóż, miałem pecha - odparł z niewesołym uśmiechem. - Ale chłopaki przyniosą mi później coś na poczekanie!

- Kto to był? - spytał kapral, gdy czterech jeźdźców wjechało do miasta.

- Zona naszego brygadiera - odparł porucznik. - A prawda! Zapomniałem, że jesteście u nas dopiero od paru tygodni.

Wrócił do wartowni, otrząsając śnieg z butów.

- Lady St Simon - wyjaśniał idącemu za nim kapralowi - ma kontakty z partyzantami; pełni funkcję łącznika między nimi a naszym głównodowodzącym. A to wielkie chłopisko to jej straż przyboczna. Nazywa się Gabriel. Przeważnie łagodny jak owieczka, ale po kilku głębszych diabeł w niego wstępuje!

- Żona brygadiera, lorda St Simona - zdumiał się kapral - kuma się z partyzantami?

- Ajakże! - Porucznik był wyraźnie ubawiony jego zaskoczeniem. - To ulubienica regimentu! Wszyscy się cieszą z jej powrotu. - Roześmiał się. - Powinna wrócić już cztery dni temu. Brygadier zamartwiał się na śmierć... i był nie do zniesienia!

Wspomniany brygadier, lord Julian St Simon, z najwyższym trudem prawił teraz uprzejmości partnerce, z którą tańczył kadryla. Bal odbywał się w wielkiej rezydencji zajętej przez księcia Wellingtona. Salę balową udekorowano zielenią, która wędła już z powodu gorąca. Zar buchał z dwóch wielkich kominków, usytuowanych w przeciwległych końcach sali, a ponadto płonęło mnóstwo świec w wieloramiennych kandelabrach. Zapach perfum, pomady do włosów i rozgrzanych ciał mógł niemal zwalić z nóg, ponieważ wszyscy oficerowie armii brytyjskiej, stacjonującej na Półwyspie Iberyjskim, oraz towarzyszące im damy zapomnieli o trudach letniej kampanii i rzucili się w wir życia towarzyskiego na kwaterach zimowych.

Julian wcale się dobrze nie bawił, choć jego partnerką była jedna z piękności regimentu, panna Beazley. Szczęściem, wiedziała ona dobrze, dlaczego jej partner odpowiada monosylabami, współczuła mu i usiłowała podtrzymać rozmowę. Od czasu do czasu zwracała też taktownie uwagę na jakąś figurę w skomplikowanym układzie tanecznym, gdy brygadier stawał się zbyt roztargniony.

Zegar wybił właśnie dziewiątą, kiedy podwójne drzwi sali balowej otworzyły się na roścież, wpuszczając strumień orzeźwiająco zimnego powietrza z hallu. Zapanowało niejakie zamieszanie, gdy drobna postać ruszyła przez środek sali, nie zważając na tańczące pary.

Brygadier St Simon puścił rękę swojej partnerki, kiedy jego połowica - nadal w bryczesach - rzuciła mu się w ramiona z radosnym okrzykiem, obejmując go nogami w pasie, ściskając go za szyję i całując.

Do pewnego stopnia Julian zdawał sobie sprawę z tego, jak nieodpowiednio zachowuje się jego żona i jak nieprzystojnie opinają jej figurę bryczesy. Jednak ręce Wiliama same zacisnęły się na pośladkach Tamasyn, gdy przygarnął ją do siebie z całej mocy i odwzajemniał jej żarliwe pocałunki, a w głowie kręciło mu się z radości i z ulgi.

- Ale ma temperament ta klaczka, prawda? - mruknął Wellington, wyraźnie zachwycony tą sceną. - I jaka zgrabna!

- Chyba zastąpię Juliana przy panie Beazley - stwierdził z szerokim uśmiechem Tim O'Connor. - Jest trochę zbity z tropu, biedactwo!

Ruszył bojowym krokiem i zręcznie włączył się wraz z porzuconą partnerką brygadiera w krąg tańczących.

Julian, nadal obejmując tulącą się do niego żonę, odsunął się pośpiesznie pod ścianę.

- Gdzieś ty się podziewała?! - wykrzyknął, gdy na chwilę oderwała się od jego ust. - Od zmysłów odchodziłem!

- Na przełęczach leży śnieg i niektóre są nieprzejezdne - wyjaśnił Tamsyn, poprawiając się na podtrzymujących ją rękach i uśmiechając MC mężowi prosto w twarz. - Nie obeszło się też bez kilku potyczek... Nie poważnego! - dodała pośpiesznie, widząc, że twarz Juliana mrocznieje.

- Dałaś mi słowo, że nie wdasz się w żadne bijatyki!

- I wcale się nie wdawałam - zapewniła. - Spytaj Gabriela!

Musnęła wargami usta męża.

- A spytam, żebyś wiedziała!

Zabrzmiało to dość groźnie, ale Tamsyn pamiętała, z jakim muli ui mąż zgodził się na jej powrót do działalności partyzanckiej, więc pu pioMu znów go pocałowała.

- Dobry Boże! - Julian nagle uświadomił sobie, gdzie się /,naji,lilj|, - Co ty robisz w takim stroju na świątecznym balu?! Wstydu nie truHf I

- Wolałbyś, żebym przez godzinę przebierała się w stosowny strfji />i miast powiadomić cię natychmiast o swoim powrocie? - spyta!;i Tiillllhjh, udając, że się dąsa.

- Nie! - oświadczył stanowczo. - Gdybyś zwlekała z tym choćby minutę, skręciłbym ci kark!

- Tak też myślałam! - odparła z szerokim uśmiechem i zwróciła się do mężczyzny, który podszedł do nich od tyłu: - Wasza książęca mość, przywożę wieści od Longi. Planuje kilka wypadów za francuską granicę!

- Rad jestem, że widzę cię całą i zdrową, Violette - odpowiedział Wellington. - Mam nadzieję, że twój mąż będzie teraz zdolny do sensownej rozmowy. - Przyjrzał się jej przez szkieleto z wyraźnym rozbawieniem. - Dość niecodzienny strój, madame, na uroczysty bal!

Tamsyn uśmiechnęła się kwaśno.

- Proszę o wybaczenie, wasza książęca mość. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę Juliana... a ponieważ był tu i hasał, nie myśląc wcale o żonie, nie miałam innego wyjścia! - Spojrzała na męża z wyrzutem w fiołkowych oczach. - Obtańcowywałeś tę piękną pannę Beazley, mój panie! Jestem urażona do żywego.

Julian pokręcił głową i zacisnął wargi.

- Zapędzasz się zbyt, jaskierku! - Jednym szybkim ruchem chwycił ją, jak pakunek, pod pachę. - Państwo wybaczą...

- To niesprawiedliwe, że nadal mi wymyślasz od jaskierków, kiedy ja nie mogę cię już przezywać jaśnie panem pułkownikiem! - protestowała Tamsyn, gdy wynosił ją z sali balowej.

- Życie pełne jest niesprawiedliwości, moja droga.

- A poza tym nie znoszę, gdy ktoś mnie taszczy jak worek kartofli! Czuję się całkiem wyzuta z godności.

- Od kiedy tak ci zależy na godności? - zdziwił się Julian, gdy weszli do domu, w którym ich zakwaterowano.

- Pewnie! Nie jestem odpowiednią żoną dla St Simona, co?

Wierciła się w jego uścisku, usiłując otworzyć drzwi, gdy dotarli do ich sypialni u szczytu schodów.

- Wręcz przeciwnie. Jesteś wprost idealną żoną dla St Simona!

Rzucił ją na łóżko, twarzą do pościeli.

- Nawet jeśli mój najbliższy krewny jest bohaterem największego skandalu, jaki wstrząsnął Londynem w tym stuleciu?

Przewróciła się na plecy i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Lord St Simon nie wyobraża sobie cudowniejszej żony - zapewnił ją przesadnie uroczystym tonem.

Tamsyn otwarła ramiona.

- Tak się składa, że i lady St Simon nie może sobie wyobrazić innego męża! A w tej chwili jest bardzo, ale to bardzo spragniona miłości, *mi esposa!*

Uśmiechnął się i przekorne błyski zniknęły z jego oczu, gdy opadł na łóżko obok niej.

- Nigdy ci nie zabraknie mojej miłości, *querida*.

- Bo to miłość na całe życie! - oświadczyła, obrysowując końcem palca kontur jego ust.

- Czyż istnieje inna miłość?

Chwycił ją za nadgarstek i to ssał, to znów drażnił zębami jej paluszek.

- Baron i Cecile uważali, że nie ma!

Uśmiechnęła się. Jej spojrzenie stało się senne pod wpływem tych zmysłowych pieśczoł.

- Mądrzy byli, ci twoi rodzice - stwierdził z przekonaniem, odwracając jej rękę, by ucałować wewnątrz dłoni. - Miłość na całe życie, najmiłsza, i bez granic!

Jego język uwijał się po dłoni żony i śmigał między palcami.

- Bez granic... - wymruczała Tamsyn, rozkoszując się obietnicą, która kryła się za iskierkami śmiechu w jego intensywnie niebieskich oczach.

- To brzmi całkiem zachęcająco, mości panie brygadierze!

- Zawsze do usług, madame!

^